

1/1 1955

Wydano w dubieto
1955 Publ. w W-w



ŻYCIE MYSŁ

* DWUMIESIĘCZNIK *

NR • 4
1955

W A R S Z A W A

S P I S R Z E C Z Y

BOLESŁAW PIASECKI — Ideologiczna dynamika wydarzeń międzynarodowych	1
JANUSZ OSTASZEWSKI — Indie na drodze do wolności	10
TIBOR MENDE — Podróż przez kraj Patanów	99
BOHDAN GĘBARSKI — Zagadka Indonezji	118
JULIUSZ DOMAŃSKI — O właściwą ocenę augustynizmu	153
JEAN LACROIX — Moralność, która zatraciła pojęcie grzechu	176
ALFONS KŁAFKOWSKI — Umowa poczdamska 1945 — 1955	188

NA TLE KSIĄŻEK

INDIE W BELETRYSTYCE HINDUSKIEJ I POLSKIEJ — Bohdan Gębarski	202
ŻYCIE JEZUSA CHRYSTUSA (Giuseppe Ricciotti: Życie Jezusa Chrystusa, Warszawa „Pax”) 1954 — ks. Seweryn Kowalski	223
KOMENTARZ DO KARTY NARODÓW ZJEDNOCZONYCH (Goodrich L. M. and Hambro E. Charter of the United Nations. Commentary and Documents. Boston 1946) — Alfons Kłafkowski	230

KORESPONDENCJA

STEFANIA SKWARCZYŃSKA — Protest przeciwko przypiskowi	237
---	-----



04118



ZYCIE MYŚL

* DWUMIESIĘCZNIK *

NR 4
1955

W A R S Z A W A

BOLESŁAW PIASECKI

IDEOLOGICZNA DYNAMIKA WYDARZEŃ MIĘDZYNARODOWYCH *)

I

Dzięki socjalizmowi, zacofana gospodarczo i technicznie, cierpiąca na obezwładniający brak przemysłu, Rosja carska przekształciła się w mocarstwo Związku Radzieckiego, którego potęga ekonomiczna waży twórczo na losach świata. Dzięki socjalizmowi narody Chin, Polski i pozostałych krajów demokracji ludowej nadają treść pełną siły i godności zasadzie suwerenności, opierając ją o rozbudowę własnej bazy przemysłowej i rolniczej. Historyczna skala osiągnięć gospodarczych krajów socjalizmu sprawiła w poważnym stopniu, że jest on ideologicznym natchnieniem dla wszystkich narodów czy to zacofanych ekonomicznie, czy to skrzępowanych jeszcze kolonializmem. Trzeba sobie uświadomić, że sumując liczbę ludności krajów, które realizując socjalizm dopędziły poziom cywilizacyjny obowiązujący dwudziesty wiek, z liczbą ludności krajów zacofanych lub kolonialnych, które dzięki socjalizmowi dopędzą ten poziom jutro — otrzymujemy trzy czwarte obecnie żyjących ludzi na kuli ziemskiej. Po-

* Artykuł drukowany w „Słowie Powszechnym“ dn. 29.VI.1955 r.

D 58-86/89/cz

została jedna czwarta — to mieszkańcy przodujących krajów kapitalistycznych.

Trzeba tu powiedzieć, że inaczej wygląda zagadnienie dalszego, zwycięskiego pochodzenia socjalizmu w każdej z części tego historycznie wytworzonego układu poziomu sił produkcyjnych. Jeśli chodzi o narody, w których socjalizm stworzył lub stworzy jutro gospodarcze podstawy do przodującej roli, to żadne manewry ideologiczne imperializmu nie zmacą obrazu prawdy wskazującego, gdzie jest niewola, a gdzie wolność. Nie zachwieją także woli obrony własnej ojczyzny w tych narodach żadne, choćby najbardziej wymyślne groźby zniszczenia wojennego. Jeżeli chodzi natomiast o przodujące kraje kapitalistyczne, to naprzeciw trudnościom ich społeczeństw na drodze do postępu wychodzi potężny proces rozwojowy ideologii socjalistycznej, rozszerzający wszechstronność jej oddziaływania. Sprawa ta posiada nie tylko znaczenie dla odległych perspektyw rozwoju ludzkości, ale stanowi zagadnienie o bezpośredniej wielkiej doniosłości. Zadanie utrzymania pokoju wymaga zwiększenia siły atrakcyjnej socjalizmu w wymienionej jednej czwartej świata.

Potrzebne jest pozytywne i twórcze rozprawienie się z następującym rozumowaniem:

— że socjalizm stanowi w swej obecnej postaci historycznej program dopędzenia w dziedzinie gospodarczej i technicznej przodujących krajów kapitalistycznych i przez to może być interesujący tylko dla narodów dotychczas zacofanych gospodarczo,

— i że narody socjalistyczne są zbyt zajęte trudnościami swego wzrostu ekonomicznego, aby mogły swym przykładem twórczo przyczynić się do rozwiązania problemów kulturalnych i moralno-społecznych krajów posiadających w wyniku poprzednich okresów historycznych przodujący poziom życia cywilizacyjnego.

Rozważania niniejsze są pisane z pozycji ideologicznych bezpartyjnego katolika społecznie postępowego. Chodzi o to, jaki jest obraz rozwoju dynamiki ideologicznej socjalizmu, odpowiadającej jego nowemu, zaktualizowanemu przez bieżącą historię zadaniu.

II

Należy się zastanowić, jakie są specyficzne cechy treści walki klasowej, występujące w życiu narodów o wysokim stopniu kapitalistycznego uprzedmiotowienia.

Podstawowym założeniem socjalizmu jest prawda, że do rzeczywistego wyzwolenia człowieka niezbędne są dwa warunki: osiąganie najwyższego pod względem ilościowym i jakościowym poziomu sił produkcyjnych oraz sprawiedliwe, czyli uspołecznione władanie środkami produkcji. Wydawałoby się z powodów historycznych, że dla jednych krajów droga do wolności człowieka wiedzie i przez budownictwo gospodarcze i przez uspołecznienie środków produkcji, inne zaś kraje mogą zacząć realizację socjalizmu od razu od drugiego etapu. Ścisłość rozumowania wymaga jednak stwierdzenia, że nie ma kolejnej realizacji programu wzrostu sił produkcyjnych i uspołecznienia środków produkcji. Prawdą jest, że w przodujących krajach kapitalistycznych odbywa się stały wzrost sił produkcyjnych. Prawdą jest jednak także, że wzrost ten jest nieproporcjonalnie

słabszy w stosunku do tempa rozwoju sił produkcyjnych w krajach socjalistycznych. I właśnie uspołecznienie środków produkcji jest przyczyną stanowiącą o tym, że to decydujące zjawisko ma miejsce mimo uposiedzenia historyczno-ekonomicznego narodów żyjących w ustroju socjalistycznym.

Rozwój sił produkcyjnych jest zawsze funkcją bogactw naturalnych, możliwości technicznych i poziomu moralności społecznej. W przodujących krajach kapitalistycznych jesteśmy stale świadkami gorączkowego poszukiwania pozornego celu rozwijania sił produkcyjnych. Poszukiwanie to wynika stąd, że klasa wielkich posiadaczy musi dążeń do nieograniczonego zysku przybierać w formy usypiające czujność społeczną własnych narodów. W poszukiwaniu tych form, które jako obłudne szybko się rozpadają, klasa wielkich posiadaczy posługuje się programami różnych partii politycznych, nadużywa wiary religijnej. Dysponenci sił produkcyjnych w tych krajach — wielcy kapitaliści — nie widzą możliwości rozwijania ich bez aktualnie skutecznego takiego fałszywego społecznego uzasadnienia. Wystarczy przypomnieć, że bezradność wielkiego kapitału wobec dwóch problemów — czym zatrudnić własny przemysł wojenny w wypadku konieczności przestawienia go na produkcję pokojową — i jak się zabezpieczyć przed skutkami wzrostu produkcji socjalistycznej, wyzwolonej od ciężaru zbrojeń — nazywa się w języku propagandy kapitalistycznej potrzebą wojny atomowej w obronie „wolności człowieka”.

Takie są źródła paradoksalnego na pozór zjawiska, które sprawia, że partie klasy robotniczej w wysoko uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych walczą o rozwój sił produkcyjnych. Walka ta jest walką o moralność społeczną własnego narodu. Jest ona także wyrazem troski o budowanie potęgi własnego narodu na trwałych, bo służebnych postępowi społecznemu ludzkości podstawach. Kierunek rozwojowy postępu społecznego zmierza do uwolnienia każdego człowieka od stanu, w którym jest on raczej wynikiem uwarunkowania społeczno-gospodarczego i do doprowadzenia do stanu, w którym każdy człowiek jest twórcą warunków społeczno-gospodarczych, najlepiej odpowiadających rozwojowi jego osobowości. Droga do tego przełomowego w dziejach ludzkości stanu wiedzie przez pełne uruchomienie możliwości produkcyjnych każdego narodu. Socjalizm dlatego między innymi czyni świat społeczny sensownym, że wie, jak zwiększać maksymalnie siłę produkcyjną ludzkości i co ze stałym wzrostem tej siły czynić, czyli wie, jak podporządkować ją rozwojowi każdego człowieka na ziemi.

W krajach dawniej zacofanych gospodarczo, które dzięki socjalizmowi odzyskały potęgę narodową, problem dalszego rozwoju sił produkcyjnych jest przede wszystkim zagadnieniem technicznym i naukowym. Jest sprawą stałego wzrostu kwalifikacji ogółu pracujących ludzi i sprawą dalekowzrocznej, nieustannej troski o podnoszenie stopy życiowej. W wysoko uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych to samo zagadnienie jest przede wszystkim sprawą zadośćuczynienia moralności społecznej, domagającej się przez zmianę ustroju wymiany klasowej celu gospodarowania z celu zysku mniejszości na służebność rozwojowi całego narodu i wszystkich ludzi na świecie.

Oczywista jest zależność między poziomem sił produkcyjnych i sprawą, czy nimi dysponuje naród, czy klasa posiadaczy, a między poziomem roz-

woju kultury w danym narodzie. Zależność ta powoduje, iż w wysoko uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych musi występować zjawisko dużej żywotności procesów kulturalnych z jednoczesnymi, zasadniczymi powikłaniami funkcji moralnej kultury. Wysoki poziom sił produkcyjnych dostarcza niezbędnych narzędzi do aktywności kulturalnej; ludzi zdolnych i jako twórców kultury i jako odbiorców kultury posiada każdy naród. Stąd płynie zrozumiała w takich warunkach intensywność zjawisk kulturalnych. Powiedzieć należy więcej — charakterystyczna dla niemoralności wielkiego kapitalizmu potrzeba dobudowywania różnych uzasadnień społecznych zbiega się i wykorzystuje naturalną dla twórczości kulturalnej dążność poszukiwania. Powstaje przez to obraz dyskusji, obraz pozornej niezależności i bogactwa kierunków kulturalnych. Trzeba wreszcie dodać, że zachodnia Europa, przechowująca dokumentarnie wielką tradycję kulturalną ludzkości, znajduje się w sferze politycznego nacisku wielkiego kapitału, przez co oddziałuje wzmacniająco na grę procesów kulturalnych w kręgu jego wpływów.

Jeśli w procesach kulturalnych, zachodzących w świecie imperialistycznym, widzimy odbicie rozkładu tego świata, to powstaje pytanie, do czego należy sprowadzić istotę takiego rozkładu. Przecież nie do tego, co w procesach tych jest słuszne, co posiada urok estetyczny i intelektualny. Przejawiająca się w nich teza, iż postęp kulturalny wymaga jako jednej z przesłanek poznania całej przeszłości i wszystkich kierunków dorobku kulturalnego narodu czy ludzkości, pozostaje słuszna. Rozkładowy wpływ środowiska kapitalistycznego na kulturę nie polega na tym, iż twierdzi się, że wszystko trzeba poznać, ale na tym, że wyciąga się z tego twierdzenia wnioski, iż wszystko pozostaje dyskusyjne, i że nawet na oczywiste zbrodnie z punktu widzenia prostej moralności społecznej można patrzeć z różnych punktów widzenia. Krótko mówiąc czyni się relatywnym, wątpliwym, sam cel wyzwolenia każdego człowieka od nędzy, wyzysku, ciemnoty. Kultura krajów wielkokapitalistycznych płaci także zabójczą dla niej cenę moralną za fakt, że rozwija się na bazie konsumpcji rezultatów eksploatacji krajów jeszcze zacofanych i jeszcze kolonialnych. Ułatwia to odrywanie kultury od podstaw moralności społecznej i używanie jej przez klasy wyzyskujące do demobilizowania człowieka, klasy robotniczej, narodu, w walce o postęp społeczno-gospodarczy.

Stąd partie klasy robotniczej narodów o wysokim szczeblu uprzemysłowienia walczą o to, aby możliwości i dostępność konsumowania całej treści intelektualnej kultury dostarczała człowiekowi środków do zwyczajnego rozwoju własnej osobowości, a nie pozbawiała go zrozumienia sensu istnienia społecznego i jednostkowego.

III

Prawdą jest, że narody Związku Radzieckiego, a następnie inne kraje, które realizują socjalizm, skoncentrowały swe wysiłki i koncentrować będą je nadal w dziedzinach, gdzie to jest jeszcze potrzebne, na dopędzeniu i prześcignięciu dotychczasowego produkcyjnego poziomu XX wieku. Prawdą jest także, że potęgą gospodarczą nie była nigdy dla tych narodów celem samym w sobie, lecz od początku służyła wewnętrznemu, socjalistycznemu postępowi społecznemu oraz była mobilizującym przykładem

dla społecznie postępowych sił w reszcie świata. Prawdą jest jednak, że kraje socjalizmu weszły w nowy okres, który uruchamia przez skok rozwojowy nowe zasoby sił ideologicznych socjalizmu. Dzieje się tak dlatego, że osiągnięty już poziom wewnętrzno-socjalistycznego budownictwa gospodarczego owocuje w dziedzinie kultury i wychowania społecznego.

Stać obóz socjalizmu na to, aby świadczeniami troszczył się nie tylko o los człowieka w krajach do niego należących, ale o zasadniczy los człowieka bez względu na to, czy człowiek ten żyje w krajach socjalizmu, czy kapitalizmu. Ta troska o wszystkich ludzi na świecie wymagająca świadczeń ze strony obozu socjalistycznego, to przede wszystkim prowadzona przezeń walka o pokój, to międzynarodowa ofensywa inicjatywy pokojowych Związku Radzieckiego. Ogarnianie całej kuli ziemskiej przez ideologię socjalistyczną jako służącą potrzebom olbrzymiej większości i jako uświadamiającą i mobilizującą tę większość — jest nieuchronne. Ten wielki, współczesny proces historyczny dokonywać się będzie zarówno wtedy, gdy rozwinię się dalej drogą przez krew, jak i drogą przez pokój. Jest sprawą najwyższej wagi dla ludzkości, aby droga do socjalizmu wiodła przez pokój. Jeśli pokój jest sprawą tak wielkiej wagi dla ludzkości, to nie może, ale musi być i jest sprawą takiego samego znaczenia dla socjalizmu. Na tym bowiem polega siła zwycięska socjalizmu, że jest on służebny wobec historycznych potrzeb wszystkich ludzi. Dlatego rząd Związku Radzieckiego i rządy państw demokracji ludowych, starając się ustawić rządy państw kapitalistycznych na pozycjach współistnienia dwóch systemów, realizują swój obowiązek ideologiczny. Pokój dla socjalizmu nie jest zagadnieniem doraźnie politycznej kalkulacji, ponieważ pozostaje on zwycięską siłą historyczną w każdej ewentualności, a stanowi sprawę samych założeń ideowych. Jeśli obóz socjalizmu proponuje wymianę handlową między światowym rynkiem socjalistycznym i światowym rynkiem kapitalistycznym, to wychodzi naprzeciw bezradności systemu kapitalistycznego wobec perspektywy pokoju. Kapitałiści będą w takiej wymianie handlowej na pewno mniej zarabiać niż na wyścigu zbrojeń, ale daje im ona ekonomiczną możliwość współistnienia z obozem socjalizmu. Oczywiście, że intencją prób pomocy w rozwiązywaniu nieuniknionych trudności systemu kapitalistycznego jest chronienie każdego człowieka na ziemi przed konsekwencjami nowoczesnej wojny. Życie w kraju socjalizmu powoduje widzenie oczywiście słusznego walki o pokój. Nie można jednak nie spojrzeć głębiej i nie stwierdzić, że współczesna akcja pokojowa obozu socjalistycznego jest realizacją na światową skalę humanistycznej troski o los każdego człowieka. Nie można także nie dostrzec, że ta realizacja jest możliwa tylko dzięki osiągnięciu potęgi gospodarczej i obronnej zdobytej przez zwycięstwo w budownictwie socjalistycznym. Właściwe widzenie walki o pokój ukazuje socjalizm jako humanizm dla wszystkich ludzi.

Stać socjalizm na przyjęcie historycznych i współczesnych ogólnoludzkich wartości kulturalnych. Dzieje się to dlatego, że w krajach zwycięskiego socjalizmu sformowała się osobowość człowieka socjalistycznego. Wielką i nie dającą się pomyśleć w warunkach społeczeństwa burżuazyjnego jest moralno-społeczna droga formowania się tej osobowości. Nie żelazna kurtyna i nie obstawione wojskiem granice izolowały rozwój człowieka socjalistycznego od wpływów zagarniętej przez burżuazję światowej kultury. Wojska czuwały nad niewpuszczeniem dywersji i sabotażu. We-

wewnętrzne, samoistne procesy rozwoju człowieka socjalistycznego oddaliły go od konsumpcji wartości kultury zagarniętej przez burżuazję.

Długie lata wyteżonej pracy nad samodzielną budową potęgi gospodarczej zdanego na własne siły narodu, nad samodzielnym przejściem od zakresu prymitywnych wiadomości technicznych do poziomu umożliwiającego twórczą rolę w postępie cywilizacyjnym współczesnego świata -- to droga zarówno społecznego, jak i jednostkowego heroizmu. Istnieje naturalna, niejako automatyczna izolacja między postawą tworzenia nowej historii własnego narodu pełnym wysiłkiem osobistej pracy a postawą przede wszystkim konsumowania owoców tej historii. Człowiek socjalistyczny budował od samych podstaw nowe życie, poznawał dokładnie i szybko przede wszystkim to, co do budownictwa socjalistycznego było bezpośrednio potrzebne. I oto w naszych latach po drugiej wojnie światowej nowe budownictwo odniosło rozwojowe zwycięstwo, potęgę gospodarczą obozu socjalizmu stała się faktem. Wraz z osiągnięciem jej odniosły zwycięstwo w procesach jednostkowego rozwoju dziesiątki milionów budowniczych socjalizmu. Z kolei dzięki temu zwycięstwu nowe społeczeństwa, posiadające namiętą pasję poznawczą i wolę korzystania ze światowego dorobku kulturalnego, zdobyły możliwość uczestnictwa w światowych procesach kulturalnych. Ta możliwość nie jest tylko faktyczna, ale i moralna. Bezkompromisowa, twarda droga wychowania przez wyteżoną pracę i samokształcenie, którą przeszły, zabezpieczyła je przed sceptycyzmem, relatywizmem i egoizmem, które są skutkami niemoralnego społecznie konsumowania kultury. Typ ludzi ukształtowanych w warunkach zwycięskiego socjalizmu tym się różni w swym stosunku do kultury od myślących ludzi uformowanych w przodujących państwach kapitalistycznych, że kultura nie służy mu do zapełnienia pustki wywołanej brakiem sensu społecznego istnienia, ale uzdalnia go do coraz pełniejszej służebności dla szczęścia wszystkich ludzi. Jest prawidłem historii kultury, że spuścizna kulturalna ludzkości przypada w udziale tym siłom ideologicznym, dla których przyszłość w sensie społecznym jest zrozumiałym intelektualnie i obowiązującym moralnie zadaniem. Zadaniem, które jednocześnie stanowi program mobilizujący świadomość historyczną mas.

Każdy, kto obserwuje nawet z daleką wewnętrzną i zewnętrzną działalność obozu socjalistycznego, widzi potężniejący prąd przejawów, prób, osiągnięć w przejmowaniu i użytkowaniu światowego dorobku kulturalnego. Drugorzędne, choć także charakterystyczne są tu stałe wołania o podniesienie poziomu twórczości, jakimi socjalistyczny świat kulturalny mobilizuje się do sprostania swemu powołaniu. Ważne natomiast jest, że wołanie to towarzyszy dojrzałości człowieka socjalistycznego do czerpania z pasją poznawczą autentycznych wartości kultury ogólnoludzkiej bez szkody, a przeciwnie — z uwieloкратноści skuteczności jego postawy ideologicznej. Jest to początek nowego skoku rozwojowego ekspansji kulturalnej socjalizmu, skoku, który jest naturalną konsekwencją dokonywanego wzrostu potęgi społeczno-gospodarczej organizmu społeczeństw socjalistycznych.

IV

Historia dziesięciu lat powojennych nakazuje zwrócić uwagę na skutki ekspansji ideologii socjalistycznej powodującej jej intensywne ścieranie się z ideologią burżuazyjną w narodach Europy i Azji, nie należących do

obozu socjalizmu. Praktycznie rzecz biorąc w życiu każdego myślącego Europejczyka i Azjaty dokonuje się w oparciu na prawdziwych lub fałszywych przesłankach, ale stały proces porównywania działalności socjalizmu i kapitalizmu.

Skomplikowane warunki drobnomieszczańskich społeczeństw w Europie zachodniej i jeszcze bardziej skomplikowane warunki zróżnicowania społecznego w Indiach sprawiają, że dochodzi w nich do szeregu wewnętrzno-burżuazyjnych sprzeczności w poglądach na socjalizm. Najpoważniejszą z tych powikłanych sprzeczności jest konflikt na tle kosmopolitycznego charakteru postawy wielkiej burżuazji, a narodowego średniej i drobnej. Powoduje to wytwarzanie się zjawiska bardzo specjalnego typu sympatyków socjalizmu. Są nimi środowiska społeczne, które widzą, że przyszłość świata należy do socjalizmu, widzą i aktywnie przeciwdziałają nonsensowi agresji wojennej, a jednocześnie odkładają moment włączenia się do obozu socjalistycznego. W krajach Europy zachodniej szerzy się postawa człowieka częściowo zdobytego dla sprawy socjalizmu. To częściowe zdobycie polega na potępieniu społeczno-moralnym kapitalizmu, na przewidywaniu ostatecznego zwycięstwa socjalizmu, lecz bez poczuwania się do celowości przyspieszenia tego zwycięstwa. Na przykład duża część myślącej inteligencji francuskiej czeka na socjalizm w swym kraju, sądzi jednak, że lepiej będzie, jeśli socjalizm zjawi się tam w późniejszym stadium swego historycznego rozwoju. Trzeba dodać, że taka postawa ideologiczna wobec socjalizmu jest wzmocniana w omawianych społeczeństwach ciasnym, ale silnym egoizmem narodowym, który ma nadzieję zbierać praktyczne korzyści od obu stron światowego konfliktu. Ważność tej dążącej do przedłużania się w czasie, sympatyzującej połowicznie z socjalizmem, postawy neutralności wynika z jego masowego zakresu w środowiskach drobnomieszczańskich i drobnokapitalistycznych. Ideologicznie nie wnosi ona jednak nic zasadniczo nowego do typu obiektywnego sojusznika socjalizmu. Doświadczenie historyczne wzbogaca rejestrację postaw w połowie drogi między starym i nowym światem o postawę, która chce korzystać ze zdobyczy socjalizmu bez udziału w trudzie jego budowania.

Procesy ideologiczne lat powojennych krystalizują jednak coraz bardziej precyzyjnie nowy typ sojusznika sprawy socjalizmu. Uchwała KC KPZR nie pozostawia wątpliwości co do tego, że ocenia postawę religijną jako postawę antyintelektualną. Ta sama uchwała notuje jednak wyraźnie nowe w historii socjalizmu zjawisko społeczne ludzi wierzących, którzy nie są politycznymi przeciwnikami socjalizmu, a wprost przeciwnie — przy czyniają się w sposób wartościowy do budownictwa socjalistycznego. Zjawisko ludzi wierzących budujących socjalizm jest przede wszystkim charakterystyczne dla krajów socjalistycznych. Jeśli jednak wpływ ideologiczny, jaki wywierają ludzie wierzący tych krajów na całość międzynarodową swych społeczności religijnych, zsumować z postępowymi prądami w katolicyzmie i chrześcijaństwie zachodnio europejskim, otrzymujemy zjawisko o poważnej perspektywie społecznego oddziaływania. Do tego procesu ideologicznego dołącza się pokrewny, choć przebiegający w innej płaszczyźnie. Można ten drugi proces scharakteryzować następująco. Zarówno typ człowieka wierzącego jak i niewierzącego nakazuje szacunek, jeśli: postawa jego wynika z uczciwości intelektu i sumienia. Obserwuje-

my jednak, że w wielu krajach nabiera społecznego znaczenia przeświadczenie przyjmowane i przez niewierzących, i przez wierzących, stwierdzające, że zarówno ci, którzy uznają sens religii, jak i ci, którzy nie widzą jej potrzeby, są powołani do pełnowartościowego uczestnictwa w budowaniu postępu cywilizacyjnego i kulturalnego. Ściśle mówiąc chodzi tu o przekonanie, że sama wiara lub niewiara w Boga nie przesądza w niczym o wartości społecznej czynów człowieka, a decydujące jest przyjęcie jednej z tych pierwszych zasad i decydujące są konsekwencje, jakie się wyciąga z tego przyjęcia. Określając więc zasięg społeczny nowego typu sojusznika socjalizmu trzeba stwierdzić, że składają się nań zarówno ludzie, którzy interpretują funkcję społeczną swojej religii jako nakazującą im pełny, bezkompromisowy udział w walce o socjalistyczną, społeczno-gospodarczą przyszłość świata, jak i ludzie dochodzący do tego samego nakazu z przeświadczenia, że nie postawa ateistyczna czy religijna sama przez się jest postępową lub wsteczną, tylko jej filozoficzna i społeczna interpretacja. Nowość tego typu sojuszników socjalizmu polega na tym, że rozbieżność swojej postawy z niektórymi zasadami marksizmu-leninizmu traktują jako sprawę wewnętrzną rosnącego socjalistycznego świata i widzą zarówno teoretycznie, jak i praktycznie bezwzględne społecznie zadanie przyczynienia się do zwycięstwa socjalizmu budowanego przez partie klasy robotniczej.

V

Zasadnicze cechy współczesnej polityki radzieckiej, realizującej międzynarodowe zadania obozu pokoju i socjalizmu, dają się ująć następująco:

— podjęcie ciężaru wszechstronnej inicjatywy dokumentującej możliwość i celowość pokojowego współistnienia, pokojowego regulowania spraw spornych,

— dążenie do osłabienia szans możliwości agresji przez ustawianie jak największej ilości sił burżuazyjnych na pozycjach neutralności,

— próba przemówienia do prymitywnego instynktu samozachowawczego rządzących sił imperialistycznych w Stanach Zjednoczonych i Niemczech zachodnich.

W świetle przeprowadzonych rozważań widać jasno, jak dalece główne kierunki polityki radzieckiej opierają się o treść wewnętrznych procesów obozu socjalistycznego i jak dalece wychodzą naprzeciw dającym się spożytkować w interesie socjalizmu wewnętrznym przeobrażeniom świata burżuazyjnego.

Trzeba jednak pamiętać, że jeśli siły imperializmu będą musiały wobec skuteczności pokojowej polityki międzynarodowej Związku Radzieckiego rozstać się z szalonym zamiarem wojennej likwidacji socjalizmu, to zastąpią go natychmiast organizowaniem próby pokojowej likwidacji socjalizmu. Można nawet stwierdzić objawy przygotowań na tę drugą ewentualność. Sprowadzają się one do dwóch tez propagandowych obliczonych na sianie zamętu ideologicznego. Twierdzi się, że polityka radziecka jest oportunistyczna, bo przekłada sukcesy państwowe nad ideologiczne, i wysuwa się program neutralizacji krajów demokracji ludowej.

Oddzielenie sukcesów państwa od sukcesów ideologii jest możliwe tylko w warunkach państwowości burżuazyjnej, która jest specjalnie przysto-

sowana do służenia innej sprawie niż tej, którą się społeczeństwu ujawnia. Sukces państwa socjalistycznego jest natomiast zawsze sukcesem socjalizmu. Dlatego jest rzeczą oczywistą, że kierownicze państwo socjalistyczne może w okresie naturalnego skoku rozwojowego sił ideologicznych socjalizmu przyjąć śmiało i zobowiązującą do świadczeń w interesie całej ludzkości linię polityki międzynarodowej. Linia ta bowiem jest wykwitem jednoczesnego rośnięcia potęgi ideologicznej, gospodarczej i kulturalnej. Układ Warszawski organizujący formalnie siłę obronną całego obozu socjalizmu oraz ustawiający ją na straży nienaruszalności granic i suwerenności każdego kraju socjalistycznego stanowi bazę, o którą się opiera ofensywa pokojowych inicjatyw.

Próba przejęcia polityki neutralizacji przez siły imperializmu pozostanie bez adresata w krajach socjalistycznych. Neutralizacja może dotyczyć bądź ideologii, bądź organizowania zbrojnej agresji. Neutralizować można państwa burżuazyjne i burżuazję, ponieważ obiektywne procesy ideologiczne wewnątrzburżuazyjne rodzą tęsknotę tej klasy za spokojem stanu neutralnego. W krajach budującego się socjalizmu nie można neutralizować socjalistów, bo jest to ideologiczna sprzeczność sama w sobie. Burżuazja zas wewnątrz tych krajów bądź znikła, bądź została zneutralizowana przez socjalizm. Socjalizm zresztą nie poprzestał i nie poprzestanie na neutralizacji, ale konsekwentnie likwiduje burżuazję jako zjawisko społeczne. Usunięcie ustroju wyzysku nie tylko wyzwala klasy dotychczas uciskane, ale usuwając źródło demoralizacji wartościowych ludzi ze środowiska burżuazyjnego daje im możliwość pełnowartościowego udziału w budowaniu nowego porządku. Dlatego adresatami programu neutralizacji socjalizmu w krajach demokracji ludowej mogą być tylko zdecydowani wrogowie ustroju. Dla tych jednak zapamiętałych jednostek, służących złej i przegranej sprawie, program neutralizacji socjalizmu jest rozczarowaniem, skoro byłyby one skłonne zniszczyć wraz z sobą cały świat wojną atomową.

Program neutralizacji krajów demokracji ludowych jest jednak obliczony przez propagandę imperialistyczną także na adresata w państwach burżuazyjnych. Neutralizować w tym znaczeniu można tylko kraj, który ma zamiary agresywne. Jeśli się imputuje potrzebę neutralizacji krajów socjalistycznych i próbuje się ją szerzyć w opinii społeczeństw państw kapitalistycznych, to usiłuje się jednocześnie wywołać przekonanie o istnieniu planów agresywnych w obozie socjalizmu. Można jednak ze spokojem stwierdzić, że wielkie linie radzieckiej polityki, ukazując w oczywistym świetle ideologiczną i dobrą wolę utrzymania pokoju, uniemożliwiają w państwach burżuazyjnych oszukiwanie społeczeństw programem neutralizacji socjalizmu.

JANUSZ OSTASZEWSKI

INDIE — NA DRODZE DO WOLNOŚCI

N i e z n a n y k r a j

Atanazy Nikitin, kupiec, co z Tweru do dalekich Indii przez trzy morza w XV wieku wędrował, w pamiętniku swej podróży tak scharakteryzował stosunki w ówczesnych Indiach:

„Kraj jest ogromnie ludny; więcej ludzie wszyscy bardzo ubodzy, bojarowie zaś potężni i wspaniali. Noszą ich na łożach ze srebra, a prowadzą przed nimi do dwudziestu koni w złotej uprzęży, a za nimi trzystu ludzi konno, pięćset pieszo, trębaczy dziesięciu; dziesięciu co biją w kotły, dziesięciu gra na piszczalkach. Gdy zaś sultan wyjeżdża dla rozrywki, z matką i żoną, to z nim konnych dziesięć tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy pieszych, dalej prowadzą dwieście słoni przybranych w złoceny rynsztunek; przed nim stu trębaczy i stu tancerzy, trzysta zwykłych koni w złotej uprzęży, i małą sto, i sto nałożnic, a wszystko to gauryki.“¹

Doświadczony i trzeźwy kupiec twerski, odznaczający się niezwykłą na swoje czasy spostrzegawczością i zdolnością trafnej obserwacji — zwrócił uwagę na jedno z najbardziej charakterystycznych zjawisk, cechujących stosunki w Indiach nie tylko w owym okresie, gdy Nikitin wędrując z miasta do miasta przemierzał gościńce i szlaki Dekanu. Bowiem trwała cechą, jednym z najtrwalszych elementów niezmiennie bujnej, bogatej i zmiennej historii Indii jest ów j a s k r a w y k o n t r a s t pomiędzy nędzą i niedolą setek milionów ludności — przede wszystkim chłopów — i niezwykłym, rozrzutnym, wspaniałym przepychem bogactw, nagromadzonych w rękę nielicznej garstki władców i warstw panujących.

Dlatego też można o Indiach powiedzieć, że były — i wciąż są jeszcze — krajem bogactwa i zarazem krajem nędzy, krajem głodu i zarazem krajem obfitości, słowem — krajem wielkich kontrastów społecznych.

Właściwe zrozumienie tej prawdy, o której mówią uważnemu czytelnikowi niezliczone dzieła historyków, geografów, podróżników, ekonomistów, socjologów, powieściopisarzy, proroków, statystyków i poetów, utrudnia niewątpliwie atmosfera egzotyizmu, jaką owiane są dla nas sprawy indyjskie. Indie — dalekie i tajemnicze, Indie maharadzów i jogów, Indie —

¹ A. Nikitin, *Wędrowka za trzy morza*, przełożyła H. Willman-Grabowska, Biblioteka Narodowa, nr 72, s. 23; *Gauryka* — młoda dziewczyna.

ojczyzna Buddy i ziemia obiecana teozoficznego ruchu pani Besant, Indie — kraj wspaniałych pałaców i bogatych świątyń, kraj m a l o w n i c z e j n ę d z y, kraj tysiąca intryg i przygód, kraj 3000 kast oraz 222 języków, kraj najdziwniejszych i najróżnorodniejszych obyczajów — cała ta barwna, hałaśliwa i budząca zaciekawienie egzotyka w sposób niezmiernie skuteczny zaciemnia właściwy sens problematyki indyjskiej, oddala nas od istoty zagadnienia.

Ileż to lat temu czytałem po raz pierwszy — z zapartym oddechem i wypiekami na twarzy — *Kima*, pełną kłamiwego uroku opowieść o irlandzkim chłopcu-sierocie, co tak zrósł się z ziemią indyjską, tak pokochał jej piękno i romantyczny urok awantur, przygód i wędrówek po ludnych drogach i bezdrożach tego kraju, tak głęboko zespolił się z jego zwyczajami i obyczajami — że w rezultacie został... agentem brytyjskiej służby wywiadowczej. Indie, oglądane oczyma Kimbella O'Hary, zatracają konkretne kontury, przekształcały się w kraj bajki i przygody, pelen złudnych wartości, nieprawdziwych światel i przemilczanych cieni. To były Indie Rudyarda Kiplinga.

Obraz ten uzupełniały fantastyczne filmy amerykańskie, kręcone przez ludzi, którzy nigdy nie widzieli Indii, oraz reportaże podróżników, którzy widzieli tylko to, co trzeba było zobaczyć, tylko to, co zalecał Bedaecker. Dalsze elementy tej naszej przypadkowej (choć wcale nie przypadkowo kształtowanej) „wiedzy“ o Indiach to: fotografie arcydzieł architektury, oglądane w podręcznikach historii sztuki i w ilustrowanych czasopismach; sensacyjne wiadomości o dworskich intrygach i bogactwie maharadzów; strzępki wiadomości z dziejów Indii; jakieś urywki arcydzieł literatury (chyba w *Dywanie Wschodnim* Langego), niejasne wiadomości o *Wedach*, o *Ramajanie* i *Mahabharacie*; niepokojące, dziwne, oderwane od rzeczywistości nazwy miast, rzek i krajów: Bombaj, Benares, Kalkuta, Hajdara-bad, Pendżab i Bengal albo Orissa, Ganges, Bramaputra i Narbada.

Daleki, nierealny obraz kraju baśni i cudów, podobny do tego, o którym w XIII wieku wenecki podróżnik tak pisał:

„Żyją tam liczne zwierzęta odmienne od wszystkich innych na świecie. Powiadam wam bowiem, że są tam lwy czarne bez żadnej plamki ani znaku. Żyją tam rozmaitego gatunku papugi. Są całkiem białe jak śnieg, mające łapy i dzioby czerwone; są jeszcze czerwone i niebieskie, ślicznotki najpiękniejsze w świecie. Są maleńkie, również bardzo piękne, są też zielone. Żyją tam pawie bardzo piękne, większe i innego rodzaju niż nasze. Inne niż nasze są ich kury. I cóż wam powiem? Wszystko tam jest od naszego różne — i piękniejsze.“²

Obraz ten zmąciła nam czasem wiadomość dziwnie do tego bajkowego tła nie pasująca: o strajku robotników w zakładach włókienniczych Bombaju, o masakrze w Amritsar, o postulatach ruchu narodowo-wyzwoleńczego, o uwięzieniu i nowej głodówce Mahatmy...

W sumie, trzeba to stwierdzić bez ogródek, Indie były dla nas k r a j e m n i e z n a n y m. Niemal wszystkie wiadomości docierające do nas i kształtujące obraz dalekich Indii były poważnie zniekształcone. Interes bowiem angielskich władców Indii wymagał, by prawda o Indiach —

² Marko Polo, *Opisanie świata*, Warszawa 1954, s. 453.

o Indiach wyzyskiwanych i głodujących, uciskanych i hamowanych w rozwoju, o Indiach walczących i uparcie dążących do wolności — by ta prawda ukryta była za egzotycznym obrazem Indii z bajki.

Dzisiaj, kiedy Indie odgrywają w polityce międzynarodowej coraz większą i coraz aktywniejszą rolę, trzeba podjąć poważny wysiłek dla lepszego poznania tego nieznanego kraju; trzeba odrzucić nawarstwienia pojęć ukształtowanych przez imperialistyczną propagandę; trzeba spod kłamstw i fałszerstw wyluskać prawdę o Indiach oraz ich walce o wolność narodową i społeczną.

Jest to oczywiście sprawa, której nie można załatwić jednym artykułem czy nawet jedną książką. Wymaga ona wytrwałej i dociekliwej pracy. gromadzenia wiadomości z najróżniejszych dziedzin, zawartych w nie zawsze łatwo dostępnych źródłach.

Tym, którzy interesują się tymi zagadnieniami, będą może pewną pomocą te notatki na marginesie lektury kilkunastu książek, poświęconych problemom indyjskim.

Przesłanki geograficzne

Oto mapa Azji. Na jej południu — wielki półwysep. To Indie.

Najbardziej charakterystyczną cechą tego półwyspu są naturalne granice, które w sposób wyraźny odcinają go od potężnego masywu lądowego Azji — i od całego świata. Na północy piętrzą się niedostępne łańcuchy Himalajów i Karakorum, na północnym zachodzie (na zachód od Indii) ciągnie się kilka pasm górskich, na północnym wschodzie wreszcie góry Assamu i Kaczaru. Ze wszystkich innych stron oblewa półwysep indyjski morze.

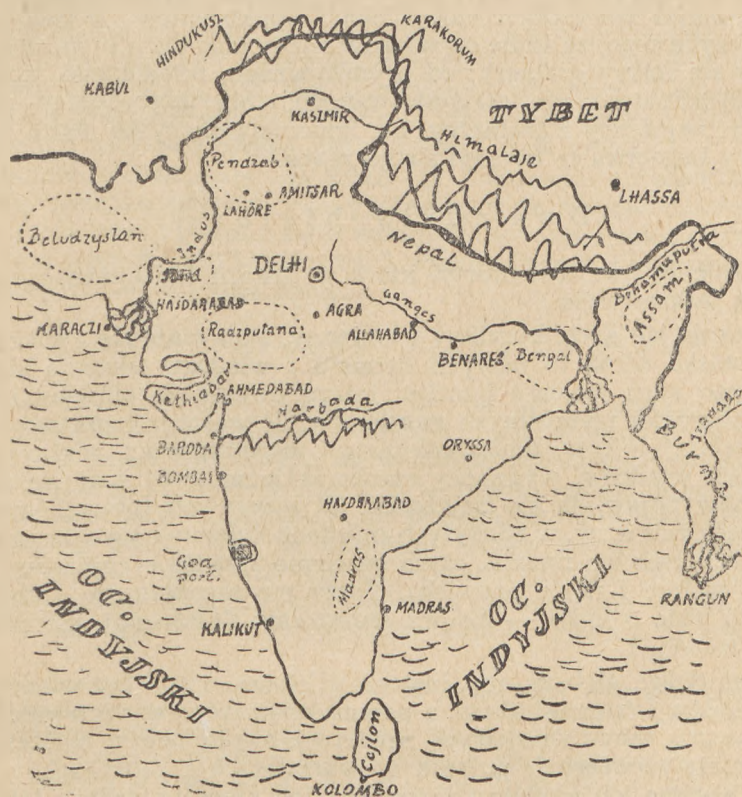
Zatem sama natura stworzyła geograficzne przesłanki dla traktowania tego ponad 4 miliony km² liczącego półwyspu jako zamkniętej w sobie jednostki, jako czegoś w rodzaju odrębnego kontynentu. Byłoby jednak błędem wyciągać stąd zbyt daleko idące wnioski. Bowiem ten „odrębny kontynent“ zamyka w sobie tereny o skrajnie różnych warunkach: północny zachód, gdzie panuje klimat kontynentalny charakteryzujący się ogromnymi wahaniami temperatury — od mrozów w zimie do + 50° C w cieniu latem — i południe odznaczające się równomiernym, ciepłym klimatem morskim: bezwodne pustynie na północnym zachodzie i tereny o najobfitszych na świecie opadach u podnóży Himalajów; suche stepy i tropikalne puszcze żyzne, gęsto zaludnione równiny i niedostępne, niezamieszkałe pasma górskie.

Szeroki pas zalesionych wzgórz, ciągnących się od zatoki Kambajskiej na zachodzie do ujść rzeki Mahandi na wschodzie stwarza naturalny podział Indii na północne i południowe. Granicę stanowi rzeka Narbada.

Podział ten zarysowuje się zresztą wyraźnie również i w historii Indii. Odrębnie przez długie wieki kształtowały się dzieje Indii północnych, owych żyznych i ludnych równin leżących między Himalajami i Narbadą w dorzeczach Indu i Gangesu, inaczej zaś na południu, gdzie między rzekami Tapti i Tungabhadra rozpościera się Dekan — oraz na dalekim południu, między Tungabhadrą i przylądkiem Komoryn.

Niewielu było władców w historii Indii, których państwa obejmowały cały lub prawie cały półwysep indyjski. W granicach tej zamkniętej jednostki geograficznej, jaką jest ten półwysep, a nawet w granicach bardziej zwartych północnych i południowych Indii nie może być mowy w ciągu minionych wieków o trwałej politycznej jedności. Nie ma tej jedności i dzisiaj, gdy na tym terytorium stworzone zostały dwa państwa: Hindustan i Pakistan.

Warunki geograficzne nie uchroniły również Indii przed najazdami. Rzecz osobliwa — dzieje tego kraju, który z dużą słuszością nazwać można, jak już powiedziano, odrębnym kontynentem — dzieje tego kraju tak bardzo, wydawałoby się, zabezpieczonego dzięki naturalnym granicom są



historią jego zdobywania i ujarzmiania przez coraz to nowych najeźdźców. Przez bramę lądową Indii na północnym zachodzie wkraczali w głąb kraju coraz to nowi zdobywcy i coraz to nowi najeźdźcy. Tędy szedł z głębi Azji najazd Ariów gdzieś w latach 2 000 — 1 500 przed Chr., tędy wiodła droga Aleksandra Wielkiego, tędy wtargnęły w II wieku przed Chr. hordy koczowniczych Siaków, i w I wieku po Chr. owe plemiona (zwane przez chińskich historyków Jue-czi), które założyły w północnych Indiach potężne państwo Kuszanów. W V i VI wieku od północno-zachodniej granicy groziły nieustanne najazdy białych Hunów. Od tej też strony rozpoczął swą

podboje zwycięski islam, który w XII wieku zaczyna systematycznie zdobywać dla siebie Indie.

Nie lepszym zabezpieczeniem okazała się granica morska. W 1498 roku wylądował w Kalikut Vasco da Gama, witany przyjaźnie przez Hindusów. W dwa lata później, w roku 1500, zjawia się tu ze swą flotą Pedro Alvarez Cabral, w roku 1507 umacniają się Portugalczycy w Koczinie i na Sokotrze, pod koniec zaś roku 1510 wicekról Alfonso de Albuquerque zajmuje Goa. Goa po dziś dzień jest portugalską posiadłością. Na początku XVII w. pojawiają się w Indiach Holendrzy i Anglicy, w roku 1782 — Francuzi. Wschodnio-Indyjska Kompania Handlowa, która zdobyła Indie dla Anglii, umocniła się przede wszystkim na wybrzeżach, by stąd przenikać coraz dalej w głąb kraju i chwycić w swe ręce władzę nad całymi Indiami: po wyeliminowaniu wszystkich europejskich konkurentów. Bogactwa kraju były przyczyną tego, że Indie od wieków nęciły chciwych łupu najeźdźców. Zmieniały się formy grabieży: od prymitywnego, żołdeckiego rabunku do rabunku systematycznego, zorganizowanego, imperialistycznego, zmieniali się władcy, najeźdźcy i grabieżcy, nie zmieniała się tylko nędza i niedola ludu, który bogactwa te tworzył swoją pracą.

Dwa nurty historii

To właśnie są owe dwa nurty, które w historii Indii zaznaczają się ze szczególną jaskrawością.

Jeden niesie się górą, burzliwy i zmienny. Pojawiają się i nikną królestwa, nazwiska coraz to nowych dynastii i władców ukazują się wśród nieustannego wiru wojen i buntów, intryg dworskich, spisków i bezlitosnych, najbardziej wymyślnych morderstw. W walce o bogactwo i władzę synowie zabijają ojców, bracia oślepiają i mordują braci, wodzowie zdradzają swych władców, wygnańcy sprowadzają na swój kraj wojska wrogów. I znów pojawiają się najeźdźcy. W krwawych bitwach giną dziesiątki tysięcy żołnierzy, w zdobytych miastach dokonuje się masakra mieszkańców i rabunek ich mienia, płoną bezcenne zabytki architektury. I znowu nowe twarze i nowe nazwiska. Toczy się nieubłagane kołowrót historii. Jeśli idzie o Indie — historii szczególnie zawikłanej, trudnej, burzliwej i krwawej.

I jest ten drugi, głębszy nurt historii. Historia owych bezimiennych milionów chłopów i rzemieślników, a potem robotników, co wytrwale i cierpliwie uprawiają wśród dziejowych zawieruch swoją ziemię, wykonują pracowicie swoje rzemiosło, pracują w warsztatach i fabrykach; historia ich bytu, historia ich trudów i nieszczęść, ich niedoli i nędzy. Jakże mało mówią o nich historycy Indii, tak bardzo gadatliwi jeśli idzie o inne sprawy. A wszakże owe wielkie wydarzenia historyczne, owe wojny i najazdy, bitwy, zbrojne pochody i oblężenia miast, owe walki religijne, owe budowy, którymi chlubili się dostojni władcy, owe wspaniałości dworów i rezydencji — to wszystko kładło się swym ciężarem na utrudzonych barkach bezimiennych mas ludności indyjskiej. Ich praca, ich życie i ich szczęście — oto budulec tej historii, który trzeba widzieć, czuć i rozumieć poza stubarwnym i egzotycznym widowiskiem historycznym. Jest to tym bardziej konieczne obecnie, gdy Indie wkroczyły w nową epokę swej historii. Coraz głośniejsz rozlega się głos mas ludowych, ich woła coraz większy

wpływ wywiera na bieg współczesnych i przyszłych wydarzeń. Widzimy, jak górę bierze ten głęboki nurt historii, który przyniesie Indiom wyzwolenie narodowe i społeczne.

*

*

Nie oznacza to bynajmniej, jakoby nie miały wielkiego znaczenia dla rozwoju dzisiejszej sytuacji w Indiach tysiącletnie dzieje tej ziemi. Wręcz przeciwnie. Trzeba stwierdzić, że właśnie w tym kraju, gdzie przeszłość historyczna jest wciąż tak uparcie żywa, gdzie na każdym kroku zdumiewa nas żywotna siła reliktyw obyczajowych, wywodzących się z najdawniejszej, często przedhistorycznej przeszłości, znajomość minionych epok jest konieczna dla zrozumienia aktualnej problematyki. Opór, jaki w Indiach stawia rodzącej się wśród trudu i walki przyszłości owa wpleciona w dzień dzisiejszy i stanowiąca ogromną siłę przeszłość, jest szczególnie wielki. Dlatego też, dla zrozumienia przemian dokonujących się w Indiach i dróg, którymi przemiany te idą, trzeba poznać, choćby w najogólniejszym zarysie, obydwa nurty historii tego kraju.

Usiłowanie „streszczenia“ na kilku czy kilkunastu stronach historii Indii byłoby przedsięwzięciem z góry skazanym na niepowodzenie³; wydaje się jednak, że warto pokusić się o wskazanie pewnych zasadniczych rysów, charakteryzujących bieg tej historii i wywierających niejednokrotnie głęboki wpływ na Indie współczesne.

Kultura przedaryjska i Ariowie

Na pierwszym miejscu wymienić trzeba jej dawność. Wykopaliska w Mohendźo Daro i Harappie, w dolinie Indu, wykazują, że w okresie 3250—2750 r. przed Chr. kwitła tu, w zachodnich Indiach, wysoko stojąca i bogata kultura. Zdumiewa nas dziś to miasto sprzed paru tysięcy lat, gdzie jedynym dotychczas odkrytym budynkiem publicznej użyteczności jest wspaniała łaźnia. Nie ma natomiast śladów świątyń i pałaców. Budynki mieszkalne, wśród których nie brak dwupiętrowych domów, wyposażone były w kanalizację oraz urządzenia do usuwania śmieci poza dom. Mieszkańcami tego miasta byli głównie kupcy i rolnicy. O wysokim po-

³ Krótką historię Indii, napisaną przez dr Eugeniusza Śluszkiewicza, zawiera *Wielka Historia Powszechna*, wydana przez Trzaskę, Everta i Michalskiego, w tomie I: Pradzieje ludzkości i historia państw Wschodu (od s. 367). Obszernie temat ten traktuje 6-tomowa *Cambridge History of India*. Skrót jej zawiera *The Cambridge Shorter History of India* by J. Allen, Sir T. Wolseley Haig and H. H. Dodwell, Cambridge 1934. Zwięzły podręcznik angielski napisał Sir George Dunbar pt. *History of India from the earliest times to the present day*, Londyn 1936, cytowany w niniejszym artykule wg wydania niemieckiego: *Geschichte Indiens von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart*, Monachium - Berlin 1937. Korzystając z opracowań historyków burżuazyjnych należy pamiętać, że powstały one pod wpływem potrzeb i interesów imperialistycznych władców Indii. „*Historie Indii* — pisze na ten temat J. Nehru w swej książce pt. «The Discovery of India» — które czytała większość z nas, napisane są przeważnie przez Anglików i są one zazwyczaj obszernymi apologiami i panegirykami angielskiego panowania.”

Ogólny rys najistotniejszych zagadnień historii Indii znaleźć można w odnośnych rozdziałach radzieckich podręczników: W. Siemionow, *Historia wieków średnich*, Warszawa 1954 oraz *Historia nowożytna*, tom. I (1640—1789), pod redakcją B. F. Porszniewa, S. D. Skazkina i prof. W. W. Biriukowa, Warszawa 1954.

ziomie rzemiosła świadczą kunsztowne wyroby ze złota, srebra i kości słoniowej. Obrazkowe pismo, którym pokryte są znalezione w Mohendżo Daro pieczęcie i płytki miedziane, nie zostało dotychczas rozszyfrowane.⁴

Nie wiemy, jaki był zasięg terytorialny tej kultury, której szczątki przekazały nam wykopaliska Mohendżo Daro, jakie były jej początki, rozwój i upadek, można jednak przypuszczać, że gdy w Pendżabie pojawili się Ariowie — kultura ta należała już do przeszłości.

Ariowie zjawili się tu między 2000—1500 r. przed Chr. Podczas gdy inni najeźdźcy (z wyjątkiem — w znacznie późniejszym czasie — muzułmanów i Anglików) rozplynęli się w obszarze i ludności Indii, nie zostawiając trwałszych śladów — Ariowie wywarli na historię tego kraju wpływ głęboki i zasadniczy. Szereg najistotniejszych zagadnień religijnych i kastowych, tak silnie ciężących na rozwoju współczesnych stosunków indyjskich, tkwi korzeniami w owej zamierzchłej przeszłości, gdy Ariowie dokonywali podboju północnych Indii i zajmowali je.

Nie są nam znane wydarzenia tego okresu; nie mówi o nich sanskrycka literatura *Wed*, z której czerpiemy liczne wiadomości o życiu Ariów w tym okresie. Wiemy tylko, że zajęli oni północne Indie, na południe zaś, poza pas gor Vindhya nie przeniknęli. Toteż Dekan na długo zachował swoją odrębność polityczną, choć z biegiem czasu uległ kulturze Ariów.

Najstarsze spośród świętych ksiąg sanskryckiej literatury *Wedy*, będące, wedle hinduskich wierzeń, *śruti* — objawieniem, powstały, jak głosi od dawna przyjęta hipoteza, w latach 1500—1000 przed Chr. (choć B. G. Tilak powstanie najdawniejszych *Wed* przesuwając gdzieś ok. 4500 r. przed Chr.)⁵

Drugi okres literatury wedyjskiej wydał *Upaniszady*, oznaczające ważny etap w rozwoju religii Ariów. O ile *Wedy* (z nielicznymi wyjątkami) mają wyraźnie politeistyczny charakter, *Upaniszady* mówią o jednej istocie boskiej, zspalającej wszystkie bóstwa i siły natury. Nauka *Upaniszad* o *Brahmie*, *Atman* i o uwolnieniu się od cierpień widzialnego świata stanowi filozoficzny zrab hinduizmu po dzień dzisiejszy.

Z trzeciego okresu literatury wedyjskiej (zaczynającego się ok. 600 lub 500 r. przed Chr.) doszły nas *Sutry*. Z końca tej epoki pochodzą ogromne poematy epickie *Ramajana* i *Mahabharata*.

Wierzenia religijne i filozoficzne Ariów, zawarte w literaturze wedyjskiej, stanowiły podstawę dla dalszego rozwoju indyjskiej filozofii i religii. Oczywiście w ciągu wieków ulegają one przekształceniu. Wchłaniają liczne elementy kultów drawidyjskich. Animistyczne wierzenia dawnych, przedaryjskich mieszkańców Indii przeobrażają się w naukę o *Karmie* — wędrówce dusz, stanowiącą dziś nierozłączną część składową hinduizmu.

Varuna, *Vishnu*, *Shiva*, *Agni* — to bóstwa wedyjskie. Żyje po dziś dzień dla wyznawców hinduizmu. W łonie religijnych i filozoficznych poglądów Ariów zrodziły się w drugiej połowie VI wieku przed Chr.: dżinizm

⁴ Wykopaliskom tym poświęcone jest obszerne, trzutomowe dzieło J. Marshalla pt. *Mohenjo Daro and the Indus Civilisation*, Londyn 1931.

⁵ B. G. Tilak, uczonego hinduski, uzasadnia swą hipotezę w pracy pt. *Orion or Researches into the Antiquity of the Vedas*, Poona 1916, opierając się na pewnych danych astronomicznych, zawartych w *Wedach*.

i buddyzm. Vardhamana Mahavira, twórca dżinizmu i Siddhartha Gautama Budda działali równocześnie. Dżinizm jest jedną z żywych religii dzisiejszych Indii, buddyzm natomiast, wyparty stąd przez hinduizm, zdobył dla siebie milionowe rzesze wyznawców poza granicami Indii, na Ceylonie, w Chinach, Tybecie, Japonii.

Gdy mowa o dzisiejszych zagadnieniach religijnych w Indiach — a jak wiadomo, jest to jeden z tych problemów, które w rękę imperialistycznych polityków angielskich były przez długie lata narzędziem służącym do rozbijania jedności indyjskiego ruchu wyzwolenczego — to trzeba pamiętać, że tradycje hinduizmu, będącego religią blisko 240 milionów mieszkańców Indii, sięgają w głęboką przeszłość aż po owe czasy, gdy zbrojni Ariowie wtargnęli na ziemię indyjską na południo-wschód od dzisiejszej Ambali.

Jest jeszcze i druga sprawa, należąca do najbardziej aktualnych i trudnych współczesnych zagadnień indyjskich, a związana ściśle z opanowaniem Indii przez Ariów. Jest to problem kast.

Purusha-sukta, jeden z hymnów wedyjskich, mówi o pochodzeniu czterech zasadniczych kast. Wyszły one z ust, ramion, ud i nóg Stworzyciela — i stosownie do tego kształtuje się ich pierwszeństwo. Najwyższą kastę stanowią *bramani*, dalej idą: *kszatrija* (rycerze), *vaiśja* (kupcy i rolnicy) i *śiudra*, służący trzem wyższym kastom. *Śiudra*, którzy powstałi z nóg Stworzyciela, powinni dźwigać inne kasty i żyć z pracy swych nóg — wyjaśnia *Taittiriya-Samhita*, wchodząca w skład jednej z późniejszych ksiąg wedyjskich.

Nie wiemy, czy Ariowie przybywając do Indii dzielili się już na kasty. W każdym razie sytuacja ich w podbitym kraju, gdzie ogromną większość stanowili jego dawni mieszkańcy, spowodowała jeśli nie powstanie, to w każdym razie silny rozwój kastowości.

Nie wchodząc w gąszcz spornych i zagmatwanych zagadnień,⁶ związanych z problematyką podziału kastowego w Indiach, stwierdzić trzeba, że podział ten wiąże się ściśle z okresem podboju Indii przez Ariów. Jasnokórym Ariom — zdobywcom i władcom kraju — groziło rozplynięcie się wśród tubylczych ciemnych plemion, zwanych przez nich *Dasa*. Ludność, którą Ariowie w Indiach zastali, była — jak o tym mówią wedyjskie teksty — ciemnoskóra i szerokonosa, obejmowała plemiona o różnym poziomie kulturalnym, określane, mimo ich niezmiernej różnorodności, mianem Drawidów.

Różnica koloru skóry widomie odróżniała zdobywców od ludności tubylczej. Toteż pierwotne określenie dla czterech zasadniczych kast brzmi *varna* — jest to słowo oznaczające w sanskrycie również kolor, barwę. Podział kastowy miał zatem zabezpieczyć pozycję społeczną i władzę Ariów, którzy grupowali się w trzech wyższych kastach. Ludność drawidyjską, najpierw niewolniczą, potem również i wolną, obejmowała kasta *śiudrów*.

Pierwotne cztery kasty, o których wyżej mowa, przekształciły się z biegiem czasu w cztery wielkie g r u p y k a s t , w których tworzyły się

⁶ E. W a r g a podaje, że Anglicy wydrukowali ok. 5 tysięcy książek i artykułów na ten temat; por. *Podstawowe zagadnienia ekonomiki i polityki imperializmu*, Warszawa 1954, str. 349.

i rozwijały nowe kasty. Rozwój ten doprowadził do istnienia we współczesnych Indiach 2000—3000 *dziati* — kast i podkast, uszeregowanych hierarchicznie w olbrzymią drabinę społeczną, na której najwyższym szczeblu stoją bramani.

Kasta — tak jak ukształtowała się ona w wyniku historycznego rozwoju — to grupa rodzin, związanych jednakowymi przepisami rytualnymi, dotyczącymi przede wszystkim jedzenia i zawierania małżeństw. Niezliczone przepisy, nakazy i zakazy regulują w drobiazgowy sposób życie członków każdej kasty.

Podział kastowy stanowi jeden z najbardziej charakterystycznych elementów hinduizmu. Każdy rodzi się jako członek jednej z kast — i przez całe życie w kaście swej pozostaje. Jego życie religijne i znaczna część życia społecznego określona jest przynależnością kastową. Wiąże się z tym znamienna cecha wyróżniająca hinduizm jako religię, w której trzeba się urodzić, do której nie można wejść przez nawrócenie — jako religię o wybitnie nie misyjnym charakterze.

Jeszcze niżej od *siudrów* stoją ci wszyscy, którzy urodzili się poza systemem kastowym. Teoretycznie trzeba by tu zaliczyć wszystkich nie Hindusów, np. wszystkich Europejczyków, wszystkich muzułmanów itd. W istocie jest to niezmiernie trudny i bolesny problem „nietykalnych“, znanych w angielskim języku urzędowym jako *depressed classes*.⁷ Liczbę ich określa się na 40—60 milionów. Sytuacja „nietykalnych“ jest bezprzykładnie ciężka i hańbiąca: nie wolno im czerpać wody z hinduskich studni ani uczęszczać do świątyń Hindusów, dzieci ich nie mogą chodzić do szkoły razem z dziećmi Hindusów, dotknięcie, a czasem nawet tylko zbliżenie się „nietykalnego“ sprowadza na Hindusa nieczystość, wymagającą przepisanych rytualnie zabiegów „oczyszczających“.

Byłoby nadmiernym uproszczeniem widzieć istotę podziału kastowego tylko w problemie rasowym lub dostrzegać w nim tylko organizację społeczną, opartą na podziale ludności według zawodów (choć są takie kasty, które zbliżają się nieco swym charakterem do cechów rzemieślniczych). Kastowość jest w Indiach wynikiem procesu historycznego, na któryłożyły się rozliczne i różnorodne elementy, nadające podziałowi kastowemu w tym kraju jego specyficzną odrębność. Nie powinno nam to jednak przesłaniać istotnej treści podziału kastowego, jako formy utrwalenia uprzywilejowanej pozycji klasy rządzącej. Taka była geneza kast u Ariów, takie były prawdziwe przesłanki ich umacniania.

Dlatego też o stosunku burżuazyjnych badaczy do zagadnienia podziału kastowego zadecydowała niewątpliwa przydatność kastowości dla celów polityki imperialistycznej. Sir George Dunbar np. wskazuje na system kastowy jako nieledwie dobrodziejstwo; dostrzega w nim elementy opieki społecznej, z nim wiąże wysoki poziom artystycznego rzemiosła indyjskiego.⁸ Nie zdziwi nas też sympatia faszystowskich badaczy zagadnień indyjskich dla systemu kastowego, w którym widzą oni nie tylko urządzenie społeczne chroniące „czystość rasową“ wyższej rasy — Ariów, lecz rów-

⁷ Określenie „*parias*“, zapożyczone od nazwy jednej z najniższych kast południowo-indyjskich, jest nieścisłe.

⁸ G. D u n b a r, dz. cyt. s. 15.

niez „sprężystą i z punktu widzenia dyscypliny niezmiernie skuteczną organizację społeczeństwa narodowego“.⁹

Wraz z Ariami pojawiły się w Indiach zagadnienia, które — jak widzimy — zachowały swą aktualność w perspektywie tysiącleci. Oczywiście ulegały one przekształceniom w miarę tego, jak nawarstwiała się bogata w wydarzenia i bujna historia Indii.

Pierwsze daty i pierwsze królestwa

Wiadomości nasze o pierwszym tysiącleciu historii Ariów w Indiach są niezmiernie skąpe. Badania nad literaturą wedyjską mówią nam o przesuwaniu się Ariów z Pendżabu na wschód, w głąb kraju. Zmieniają się również formy społeczne: pod wpływem warunków życia w podbitym kraju tworzą się pierwsze małe królestwa czy księstwa. W okresie powstania budyzmu było już w Indiach Północnych 16 takich państw. W ich liczbie do najważniejszych zaliczało się królestwo Magadhy (nad średnim Gangesem). Tutaj właśnie w VI wieku przed Chr. rozwijały się nowe ruchy religijne, z których najważniejszym niewątpliwie był buddyzm. Śmierć jego twórcy, Gautamy Buddy w roku 480 przed Chr. — to pierwsza znana nam data w historii Indii.

Druga data — to rok 326 przed Chr. — wyprawa Aleksandra Wielkiego do Indii.

Na czele 30-tysięcznej, wielojęzycznej armii, której trzon stanowiła ciężka macedońska falanga i jazda grecka, wyruszył Aleksander Wielki wiosną 326 r. do Indii. Była to ostatnia, przed bliską już śmiercią, wyprawa wielkiego zdobywcy na podbój nowych krain.

Aleksander Wielki dotarł — to walcząc, to zawierając przymierza — do rzeki Hyphasis (Bias). Dalej oddziały macedońskie już iść nie chciały. W dwa lata później (323 r.) Aleksander zmarł w Babilonie.

To krótkie pierwsze zetknięcie się Europejczyków z Indiami na długie wieki zostawiło głębokie ślady. Co prawda nie zachowały się ani sprawozdania Nearchosa o żegludze Indem, ani zapiski 20 greckich kronikarzy, których wiodł ze sobą Aleksander, by spisywali historię tej wyprawy, ale urywki tych dzieł przetrwały w formie cytatów, zawartych w pracach późniejszych pisarzy. Żywa też była poprzez dziesiątki stuleci tradycja fantastycznych opowieści o owej w kraje baśni i dziwów wyprawie Aleksandra, „skaziciela świata, skaziciela Persydyjey i Indyjey, który zwyciężył Partę, Medę i Batę“.¹⁰ Jednym z najpopularniejszych romansów średniowiecza była wywodząca się ze starożytności *Historia Alexandri Magni de proeliis*, pełna dziwów wszelakich i awantur niesłychanych, wśród których poczesne miejsce zajmowały indyjskie cuda. I u nas *Historyja o żywociu i znamenitych sprawach Aleksandra Wielkiego* doczekała się niezmiernej popularności i wielu aż po wiek XVIII wydań, z których ostatnie ukazało się w r. 1776.¹¹

⁹ Ludwig Alsdorf, *Indien. Weltpolitische Bücherei*, Berlin 1940, s. 19.

¹⁰ Tymi słowy zwraca się Kandacis, królowa Merońska do Aleksandra w *Historyi Aleksandra Wielkiego*; por. *Proza polska wczesnego renesansu 1510—1550*, opracował Julian Krzyżanowski, Warszawa 1954, s. 57.

¹¹ Por. J. Krzyżanowski we wstępie do *Prozy polskiej wczesnego renesansu*, s. 13.

Przez całe stulecia Europa pozostawała pod urokiem fantastycznych opowieści o dalekich, przebogatych krajach indyjskich, które pobudzały wyobraźnię, nęciły awanturników i podróżników, wzywały mimo trudów i niebezpieczeństw do coraz to nowych wędrówek, mających na celu odkrycie drogi do Indii.

Taka była niezmiernie trwała europejska spuścizna wyprawy Aleksandra Wielkiego do Indii. W Indiach natomiast wieść o aleksandrowym najeździe zaginęła jako mało znaczny, przelotny fragment w historii indyjskich wojen i najazdów.

Rzecz oczywista, że Indie — chociaż żaden z następców Aleksandra nie zdołał utrzymać Pendżabu i Sindu — wpłątane były na długie lata w kom-



pleks wydarzeń i walk politycznych, których widownią były tereny, wchodzące swego czasu w skład olbrzymiego państwa Aleksandra.

I tak Seleukos Nikator, satrapa Babilonu i król Syrii ruszył w 305 r. przed Chr. przez Ind, by zdobyć ziemie Hindustanu, ale tu natknął się na rosnącą potęgę Czandragupty, założyciela dynastii Maurjów. Nie znamy bliżej biegu wypadków. W każdym razie w późniejszym okresie Seleukos Nikator traktował Czandraguptę jak niezależnego władcę i trzymał na jego dworze posła, Megastenesa. Temu to Megastenesowi zawdzięczamy — nawiasem mówiąc — szczegółowy i żywy obraz Indii sprzed więcej niż 2000 lat.

A był to okres niezmiernie ciekawy, okres tworzenia się pierwszego w historii Indii wielkiego państwa ze stolicą w Pataliputrze. Założnikiem jego było królestwo Magadhy, w którym władzę (po wymordowaniu wszystkich członków rodu Nandów, który tam przedtem panował) wziął w swoje ręce Czandragupta.

Czandragupta opanował całe Indie północne (ważnym epizodem było w tym procesie rozprzestrzenianie się i umacnianie jego panowania starcie z Seleukosem Nikatorem). Wnuk jego Asioka, który nie tylko utrzymał to, co odziedziczył, lecz również znacznie rozszerzył swe państwo, władał już całymi Indiami, z wyjątkiem najdalszego południa (poniżej 14° szerokości geograficznej).

Panowanie Asioki, przypadające na lata 273—232 przed Chr., zajmuje w historii Indii szczególne miejsce: cały niemal teren Indii stanowi podówczas po raz pierwszy jedność polityczną.

Okres ten stanowi również niezmiernie ważną epokę w rozwoju stosunków religijnych w Indiach. Asioka ok. 262 r. przyjął buddyzm i stał się jego gorliwym szerzycielem. Organizował misje w południowych Indiach, na Ceylonie, w Syrii, Egipcie, a nawet w Macedonii i Epirze. Okres rozwoju i rozprzestrzeniania buddyzmu szedł w parze z ożywieniem i rozszerzeniem stosunków handlowych i umysłowych. Indie południowe i zachodnie bogacą się dzięki handlowi przede wszystkim pieprzem, korzeniami i drogimi kamieniami.

Panowanie Asioki zapoczątkowało przewagę buddyzmu w Indiach, która trwała w zasadzie od III wieku przed Chr. do VII wieku po Chr. Reakcja hinduizmu, zapoczątkowana w VII wieku po Chr., szybko postępowała w VIII i IX wieku, tak że w rezultacie buddyzm — religia, która powstała w Indiach — przestał być religią indyjską i przetrwał do dzisiaj jako jedna z wielkich religii świata, mająca jednak swych wyznawców poza Indiami.

Wielkie królestwo Maurjów niedługo przetrwało najwybitniejszego przedstawiciela dynastii, Asiokę. Za jego następców na zachód od Indu utworzyły się samodzielne drobne państewka. Był to początek upadku i rozpadu królestwa Asioki. Ostatni z Maurjów, Brhadratha, został zamordowany ok. 184 r. przed Chr.

Na setki lat Indie pogrążają się w chaosie walk wewnętrznych i najazdów. Siakowie zajmują półwysep Kathjavar. Jueci wpadają przez Baktrię i Kabul do Indii. Powstaje wielkie państwo Kuszanów, w skład którego wchodzi znaczna część Indii północnych. Ale i to państwo, którego niektórzy władcy utrwalili pamięć o sobie wznosząc wspaniałe i liczne budowle buddyjskie, zaczyna się rozpadać ok. 180 r. po Chr.

Z wirowiska wydarzeń i zmian wyłania się dopiero w początku IV wieku po Chr. państwo Guptów. Rodzi się ono w 600 lat po państwie Maurjów — tak samo nad Gangesem. Stolicą jego jest również Pataliputra, założyciel zaś dynastii Guptów nosi także imię Czandragupty. Następca jego Samudragupta rozszerzył swe państwo łącząc całe niemal północne Indie (z wyjątkiem Pendżabu). W wyprawach wojennych zapuszczał się głęboko na południe, tak daleko jak ongiś sięgało państwo Asioki, ale do terytorium swego królestwa nie przyłączył ziem leżących na południe od Narbady. Szczyt potęgi Guptów przypada na panowanie Czandragupty II Wikramaditji (375—413).

Państwo Guptów jest drugim z kolei wielkim państwem indyjskim, które — chociaż obejmuje terytorialnie obszar mniejszy niż królestwo Asioki — zasięgiem swych wpływów ogarnia całe niemal Indie. Okres Guptów, a zwłaszcza V w., jest złotym wiekiem północnych Indii. Jeśli wierzyć chińskiemu mnichowi buddyjskiemu, nazwiskiem Fa-Hien, w państwie Czan-drugupty II panował dobrobyt, spokój i bezpieczeństwo. Nauka i sztuka rozwijały się pod opieką władców z dynastii Guptów, spośród których Samudragupta sam był ponoć uczonym i poetą.

W czasie panowania ostatnich dwóch królów z tej dynastii wtargnęli do Indii biali Hunowie. Pod ich ciosami runęło ok. 470 r. państwo Guptów. Duża część Indii północnych znalazła się pod panowaniem Hunów, które przetrwało do 528 r.

Na początku VII wieku pojawia się znowu władca, który reprezentuje ideę jedności politycznej Indii. Jest nim Harsza z Thanesar, przez matkę spokrewniony z Guptami (606—647). Stworzył on w Indiach północnych państwo, które sięgało od ujścia Gangesu aż po Satleń na zachodzie. Na południe władza Harszy nie przekroczyła Narbady. Wiemy jednak, że Harsza zamierzał podbić południe, ale został pobity w bitwie nad Narbadą.

Harsza przeszedł, podobnie, jak ongiś Asioka, na buddyzm. Za jego panowania zaznaczyło się już jednak wyraźnie osłabienie buddyzmu oraz wzmocnienie hinduizmu, który pozostawał religią mas.

Panowanie Harszy, podobnie jak czasy Guptów, zalicza się do owego okresu rozkwitu kultury indyjskiej od V — VII wieku, który wydał szereg wybitnych dzieł. Ze śmiercią Harszy zamyka się ten okres. Indie pogrążają się znowu w chaosie i anarchii. Powstają i upadają państwa i państewka, pojawiają się i giną dynastie. Punkt ciężkości, który już przedtem z Pataliputry przesunął się do Kanaudżu, teraz przesunął się dalej na zachód — do Radżputany, Sindu i Pendżabu. Wśród tych wydarzeń politycznych, które przeważnie nie mają szerszego znaczenia, odgrywają wielką rolę radżpuci, dumni mieszkańcy Radżputany o „*rodowodzie długim jak miecz — i mieczu długim, jak droga we wsi*“. Spośród radżpuckich rodów wyszły liczne dynastie rządzące państwami Indii północnych aż po wiek XII.

Na tę epokę, epokę rozdrobnienia politycznego, kiedy brak jest konkretnych przejawów działania idei jedności politycznej Indii, epokę poprzedzającą pojawienie się w Indiach islamu, przypada — jak o tym była mowa — likwidacja w Indiach buddyzmu i odrodzenie hinduizmu. Równolegle zaś następuje upadek handlu zagranicznego. Indie zamykają się w kręgu swoich spraw, odgradzają się coraz bardziej od reszty świata.

Historia polityczna Dekanu i dalekiego południa rozwijała się przez cały ten czas — poza niektórymi punktami stycznymi, o których była już mowa — odrębnie. Ale i tu nastąpiło poważne osłabienie tych wszystkich organizmów państwowych, które istniały w chwili, gdy w Indiach pojawił się muzułmanie.

Półksiężyc nad Indiami

W niespełna sto lat od ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny, która zapoczątkowała zdumiewający w swej prężności rozwój stworzonej przez niego religii, chorągiew proroka powiewała już u granic Indii. Na początku VIII wieku Arabowie zajęli bowiem teren dzisiejszego Beludżystanu, wkrót-

ce zaś potem zdobyli Sind i dolny Pendżab. Nie stąd jednak przyszło decydujące uderzenie islamu na Indie.

Panowanie Arabów w Sindze i zdobytej przez nich części Pendżabu odznaczało się wyjątkową na owe czasy łagodnością. Pozostawiono Hindusom ich świątynie, administracja w dużej mierze spoczywała w ich ręku, opodatkowanie było umiarkowane. Nie było też tendencji do opanowania pobliskich państwek na północy i wschodzie, pozostających pod władzą królów radżpuckich.

Wkrótce jednak islam ukazał Indiom swe inne oblicze.

Pod koniec X stulecia polityczna jedność świata muzułmańskiego należała do przeszłości. Władza przeszła z rąk arabskich następców Mahometa w ręce różnych, samodzielnych władców, tworzących niepodległe państwa i nowe dynastie. W tym właśnie czasie powstało w bliskim sąsiedztwie Indii (na terenie dzisiejszego Afganistanu) takie właśnie nowe, niezależne państwo muzułmańskie ze stolicą w Gazni.

Stąd ruszyły na Indie krwawe najazdy muzułmańskie. Stąd Sebuktegin, niewolnik tureckiego pochodzenia, który od 977 r. panował w Gazni, sięgnął po Kabul i Peszawar, które weszły w skład jego państwa. Stąd też syn Sebuktegina, Mahmud z Gazni, przedsięwziął kilkanaście wypraw wojennych w głąb Indii. Trwale włączył on do swego państwa tylko Pendżab, liczne zaś jego najazdy miały na celu gromienie bałwochwalczych Hindusów, niszczenie ich świątyń i bóstw — krwawe też i niszczycielskie były to wojny, z których Mahmud wracał wzbogacony niezmiernymi łupami wziętymi w miastach i przede wszystkim w zasobnych w skarby świątyniach hinduskich. W r. 1018 dotarł Mahmud aż do Kanaudzu, w r. 1023 — 1024 do półwyspu Kathjavar, gdzie zdobył i zburzył jedną z najbardziej czczonych świątyń w Soennath.

W czasie tych wypraw muzułmańscy wojownicy pokonywali wielokrotnie wojska hinduskich królów, które usiłowały przeciwstawić się najazdom, niszczącym wśród najstraszliwszych okrucieństw kraje indyjskie. Powstawały coraz to nowe ligi królów i książąt hinduskich, rozporządzające poważnymi siłami, wielką ilością żołnierzy i słoni — opór ich jednak był bezskuteczny. Nieraz znacznie mniejsze liczebnie armie muzułmańskie rozbiły liczniejszych od siebie przeciwników. Zjawisko to występowało zresztą nie tylko w latach napaści Mahmuda z Gazni, lecz i później, gdy mahometanie zaczęli podbój Indii. Wśród przyczyn, które w poważnym stopniu powodowały taki właśnie wynik starć zbrojnych pomiędzy muzułmanami i Hindusami, wymienić trzeba przede wszystkim brak jedności politycznej i wojskowej Hindusów, broniących się często nawet z dużą ofiarnością i poświęceniem.

Ileż to razy w ciągu długich wieków historii tego kraju najeźdźca zwyciężał dzięki rozbiciu i brakowi jedności w Indiach!

„Święta wojna“, prowadzona przez Mahmuda z Gazni, to prolog jednej z wielkich dziejowych tragedii Indii: konfliktu hindusko-muzułmańskiego, który tak silnie zaciążył na dziejach tego kraju aż po dzień dzisiejszy, kiedy jesteśmy świadkami licznych trudności we współżyciu Hindustanu i Pakistanu we współczesnych Indiach.

Oczywiście grubą przesadą (i to w zrozumiałym interesie) jest twierdzenie licznych polityków i publicystów, a nawet historyków brytyjskich, że jedną z istotnych przyczyn wrogości hindusko-muzułmańskiej, aż do na-

szych czasów, są właśnie krwawe wyczyny Mahmuda z Gazni. Trzeba jednak przyznać, że historia podbojów i panowania muzułmańskiego w Indiach, zapoczątkowana wyprawami Gaznewidów, niezwykle — poza nielicznymi okresami — krwawa i bezwzględna, znakomicie ułatwiała Anglikom pogłębienie i zaostrzenie tego konfliktu w imię zasady *divide et impera*, jednej z podstawowych zasad polityki brytyjskiej w Indiach.

Podbój Indii przez mahometan zaczął się pod koniec XII wieku, gdy sułtanem w Gazni (po Gaznewidach) został Mohamed Gori. Z niezmierną wytrwałością, nie zważając na początkowe niepowodzenia (w r. 1191 został pobity przez hinduskich książąt na równinie Tarain) opanował w ciągu 11 lat poważną część Indii północnych: Delhi, Benares, Gwaljor, Anhilawara, Kalendźar znalazły się w jego ręku.

W związku z tymi podbojami pozostaje ustanowienie sułtanatu w Delhi, który po śmierci Mohameda Gori przekształcił się w odrębne, niezależne państwo muzułmańskie w Indiach. Trzy z górą stulecia (1206—1526) trwa w historii Indii okres sułtanów delhijskich, z których pierwszym był Kutb-ed-din Ajbek, turecki niewolnik, cieszący się zupełnym zaufaniem Mohameda. Założył on pierwszą z szeregu dynastii sułtanów delhijskich.

W ciągu trzystu dwudziestu lat swego istnienia państwo to podlegało, wśród niezliczonych buntów, zdrad, morderstw, rzezi i ekscesów, niezliczonej ilości zmian: zmieniały się dynastie, zmieniali się władcy, zmieniało się terytorium państwa.

Pamiętajmy, że na ten okres przypadły również czasy Dżengis-chana. Począwszy od roku 1221 hordy mongolskie niepokoją Indie, i tak już zagrożone w głębokim zamięcie, z którego wydobywa je co jakiś czas — poważnie na krótko — żelazna ręka tego czy innego spośród delhijskich sułtanów. Ala-ed-din np. musiał pięciokrotnie odpierać najazdy Mongołów (po raz ostatni w 1303 r.).

W końcu XIV wieku wpada do Indii i zajmuje Delhi — Timur Kulawy (Tamerlan).

Wszystkie te najazdy topiły kraj w morzu krwi, pożarów, zniszczeń i nędzy.

Nie było warunków do ukształtowania się i umocnienia w tym okresie silnego i jednolitego, obejmującego całe Indie państwa. Co prawda za panowania Ala-ed-dina (1296—1315) w jego ręku, w Delhi, skupiała się na czas jakiś władza nad niemal całymi Indiami aż daleko na południe od Dekanu, po Madurę, ale nie trwało to długo. Wkrótce po śmierci Ala-ed-dina, wśród zamieszek i walk o tron, z których wyszła zwycięsko dynastia Togluków, zaczął się proces osłabiania państwa delhijskiego. Władcy z rodziny Togluków procesu tego zatrzymać nie potrafili. W r. 1338—1339 usamodzielnia się Bengal, w 1340 Koromandel, w 1347 Dekan, który rozpadł się potem z kolei na 5 mniejszych sułtanatów. W czasie inwazji Timura uniezależnia się Gudźerat, na przełomie zaś XIV i XV w. Dżaunpur.

Ostatnia dynastia sułtanów delhijskich, dynastia Łodich, zmierzała do powiększenia mocno uszczuplonego państwa, rządy jednak Ibrahima, który wstąpił na tron w r. 1517 po śmierci swego ojca Sikandera Łodi, wywołały walki wewnętrzne i rewolty, wpośród których rządca Pendżabu, Daulet-chan-Łodi, wezwał na pomoc przeciw Ibrahimowi władcę Kabulu, Babura.

W r. 1526 rozgrywa się na polach Panipat, na północ od Delhi, bitwa, która położyła kres państwu sultanów delhijskich. Zwycięski Babur zakłada nową dynastję. Zaczyna się nowy rozdział historii Indii — r z ą d y M o g o ł ó w.

Mimo tak zmiennych losów, państwo sultanów delhijskich wycisnęło trwale piętno na historii Indii. Okres ten zadecydował bowiem o rządach muzułmanów, które przeciągnęły się w głąb XVIII w., aż do opanowania Indii przez Anglików. Władza muzułmańskich zdobywców obejmuje w roku 1526, gdy Babur zapoczątkował nowy okres dziejów indyjskich, c a ł e I n d i e, z wyjątkiem najdalego południa, gdzie od 1336 r. utrzymuje się ostatnie potężne państwo hinduskie — królestwo Widżajanagar. Przerwa ono do drugiej połowy XVI w., kiedy upadnie ostatecznie w wyniku walk z muzułmańskimi władcami.

Twórca państwa Mogolów, Babur, był postacią dla swego okresu ze wszech miar charakterystyczną. W linii męskiej wywodził się od Timura, w żeńskiej od Dżengis-chana. Był gorliwym muzułmaninem, który walki z Hindusami uważał za „świętą wojnę“. Jako poeta i pisarz władał po mistrzowsku językiem perskim, nie obca mu była również muzyka. Znany wojownik i dyplomata — życie miał awanturnicze i ciekawe. Z bezdomnego wędrowcy, co stracił ojcowskie królestwo, stał się założycielem państwa, które przetrwało dwa i pół wieku. Babur urodził się w r. 1483 w Ferganie, której władcą został w 11 roku życia. Musi stąd jednak uchodzić. Wielokrotnie, lecz bezskutecznie usiłuje odzyskać Ferganę. Wreszcie zostaje królem zdobytego przez siebie Kabulu i podejmuje ambitny zamiar odbudowania olbrzymiego państwa Timura. Dwukrotnie zdobywa i traci królestwo Samarkandy. Jako potomek Timura w prostej linii uważa siebie za pana Hindustanu.

Babur kilkakrotnie wyprawiał się do Indii, zanim — wezwany przez Dżaulat-chana — odniósł zwycięstwo na polach Panipat. Ale państwo wielkiego Mogola musiało przełamać opór nie tylko muzułmańskich, lecz również hinduskich książąt, na których czele stanął Rana Sangrama Singh. W roku 1527 Babur rozbił ligę książąt hinduskich, co umożliwiło mu dalsze podboje i utworzenie wielkiego państwa, rozciągającego się od Himalajów po Narbadę i od Bengalu po Oksus.

Spośród potomków Babura najwybitniejszym władcą był jego wnuk Akbar. Miał on zaledwie 13 lat, gdy ojciec jego Humajun, wkrótce po powrocie z wygnania i po odzyskaniu (dzięki pomocy szacha perskiego) królestwa, umarł w r. 1556. Całe długie panowanie Akbara poświęcone było wysiłkom nad zorganizowaniem silnego państwa. Proces ten dokonywał się wśród ustawicznych wojen, tłumienia buntów i zamieszek. Gdy Akbar umierał w r. 1605, państwo jego obejmowało całe Indie północne i znaczną część południowych, przekraczając tradycyjną granicę Narbady. Na południe od państwa Akbara istniało kilka niezależnych państw muzułmańskich (spośród których zresztą Akmednagar i Bidżapur znalazły się w orbicie państwa Mogolów za panowania wnuka Akbara — Szachdżehana). Niezależne państwa hinduskie utrzymały się tylko na najdalejszym południu.

Jest to zatem okres, kiedy — podobnie jak za czasów Asioki — niemal cały obszar Indii objęty został jednolitym organizmem państwowym. Ale

państwo Mogołów, stworzone przez Babura i zorganizowane przez Akbara, zaczyna chylić się do upadku za panowania Aurangzeba (1659—1707).

Następcy Akbara byli fanatycznymi muzułmanami. Zerwali oni całkowicie z polityką tolerancji i umiaru, która cechowała Akbara. Już za panowania Szachdżehana zaznaczyła się ostra reakcja muzułmańska. W r. 1632 władca ten wydał nakaz burzenia świątyń hinduskich. Ten ostry anty-hinduski kurs utrzymywał się nadal za Aurangzeba, który przywrócił również płacone przez ludność hinduską podatkowe (zniesione swego czasu przez Akbara).¹² Sytuacja ekonomiczna ogromnej większości ludności hinduskiej stale pogarszała się. Państwo Mogołów w coraz większym stopniu stało się mechanizmem ucisku i feudalnego wyzysku tej ludności.



Toteż w połowie XVII wieku rodzą się siły wyrażające opór przeciwko tej polityce. Tym nowym czynnikiem politycznym są Marathowie, hinduscy mieszkańcy kraju Maharasztra na Dekanie. Pod wodzą Siwadźiego walcząc z Aurangzebem stali się siłą polityczną, która przetrwała państwo Mogołów. Państwem Marathów rządził *peszwa*, pierwszy minister.

Drugą siłą przeciwstawiającą się władzy Wielkiego Mogoła w Delhi, była sekta Sikhów. Twórcą tej religii był Hindus Nanak, który żył w la-

¹² Specyficzny charakter tego podległego ujawnia się np. w tym, że nie płacili go Hindusi, będący urzędnikami rządowymi.

tach 1469—1539. Nauka jego, ściśle monoteistyczna, obrazoburcza, odrzucająca kastowość, zakazująca pielgrzymek oraz używania wina i tytoniu, zachowała jednak z hinduizmu wiarę w wędrówkę dusz. Na czele Sikhów stał *guru* (mistrz). W ostatnim ćwierćwieczu XVII stulecia Sikhowie pod wodzą *guru* Gobinda Singha stali się poważną siłą polityczną.

Okres po śmierci Aurangzeba — to już lata zupełnego upadku i rozkładu państwa Mogolów. Mohammed-szach panuje od 1719—1748 r. Za jego panowania zdobywają niezależność: Dekan, Audh i Bengal. Utrzymuje się państwo Marathów.

Ostatni cios zadał jednak chwiejącemu się państwu Mogolów szach perski Nadir-szach i jego następca Ahmed-szach Durani.

Nadir-szach pobił w r. 1739 na głowę Mohammeda pod Panipat, zajął i złupił doszczętnie Delhi, ziemie zaś za Indem przyłączył do swego państwa. Ahmed-szach idzie w jego ślady, zdobywając i rabując Delhi oraz przyłączając Pendżab. Zadał on również w r. 1761 na polach Panipat klęskę Marathom.

Państwo Mogolów nominalnie przetrwało jeszcze do r. 1858, okres jednak 1761—1858 r. to już następna epoka w dziejach Indii — epoka pozostająca pod znakiem Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

W y n i k i m u z u ł m a ń s k i c h r z ą d ó w w I n d i a c h

Na widnokręgu Indii pojawił się nowy zdobywca, którego zwycięstwo umożliwiła sytuacja, jaka wytworzyła się za panowania ostatnich Mogolów.

Jakiz był bowiem wynik wielowiekowego panowania muzułmanów w Indiach?

Przed wszystkim trzeba stwierdzić, że stosunki religijne różnicowały i zaogniły się ogromnie. Islam i hinduizm — to dwa systemy religijne niezmiernie różne, w wielu najistotniejszych zagadnieniach wręcz przeciwstawne. Muzułmanie, których cechuje, jak wiadomo, bezwzględny monoteizm, uważali Hindusów za bałwochwalców. Jakże nienawistne były dla tych obrazoburców świątynie hinduskie, będące istną erupcją rzeźbiarską tysiącznych upostaciowań bóstw i sił przyrody oraz wyrazem owego ludowego politeizmu, który nie tylko czcił własnych, pradawnych bogów, lecz wchłaniał również przez wieki coraz to nowe obce bóstwa. Toteż wielka ilość tych świątyń padła ofiarą niszczycielskiej pasji pobożnych władców muzułmańskich, pogłębiając nienawiść wśród hinduskiego ludu, który w masie pozostał przy wierze swoich ojców. Blisko 80 milionów muzułmanów w Indiach współczesnych (jeden z najtrudniejszych problemów indyjskich) — to niewątpliwie jeden z najbardziej trwałych wyników, pozostawionych czasem dzisiejszym po okresie muzułmańskiego panowania.

Należy dalej pamiętać, że — z drugiej strony — Hindusi, przestrzegający skrupulatnie kastowych przepisów czystości, spoglądali na muzułmanów z pogardą, jako na „nieczystych“.

Warto zastanowić się, jak to się stało, że muzułmanie nie rozplynęli się w morzu hinduizmu. Złożyło się na to szereg przyczyn, których szersze omawianie mijaloby się na tym miejscu z celem. Warto jednak podkreślić pasywny charakter hinduizmu — który zakłada, że do religii należy

się przez kastę, w której się człowiek rodzi — i dynamiczny charakter islamu, który szedł w świat szerząc naukę proroka ogniem i mieczem oraz zyskując dobrowolnie czy pod przymusem rzesze nowych wyznawców. Toteż i w Indiach ilość nawróconych na islam była duża. Religia ta musiała być zresztą niezmiernie atrakcyjna, zwłaszcza dla członków najbardziej upośledzonych kast.

Jest dalej faktem, że podbój Indii przez islam był procesem długotrwałym. Szły tu, nie napotykając na skuteczny opór ze strony rozdrobnionych państw hinduskich, fale kolejnych najazdów muzułmańskich, niosące w głąb kraju coraz to nowych wyznawców proroka i zasilające obficie element muzułmański w Indiach. Indie, najbogatsze — pamiętajmy — w tym okresie państwo świata mahometańskiego, Indie, gdzie najbardziej fantastyczne kariery stały otworem nawet dla muzułmańskiego niewolnika. pociągali żołnierzy, awanturników, urzędników, poetów, kupców, uczonych. Przybywali oni ze wszystkich stron ogromnego obszaru, nad którym pannał półksiężyć: — z centralnej Azji, z Turcji, z Persji, z Abisynii, z północnej Afryki...

Wraz z muzułmańskimi najeźdźcami i zdobywcami pojawiła się w Indiach wysoka i bogata kultura ówczesnego islamu. Mahometańska kultura w Indiach (choć niewątpliwie wyraźne są w niej wpływy hinduskie, dla każdego widoczne np. w budownictwie) zachowała swą odrębność. Decydujące piętno wywarły na niej wpływy perskie. Pod wpływami perskimi i tureckimi ukształtował się język muzułmańskiej literatury indyjskiej *urdu*.

Przeciwieństwa między islamem i hinduizmem w sposób zasadniczy pogłębił fakt, że islam był religią zwycięzców, religią władców. Byłoby jednak niedopuszczalnym uproszczeniem, gdyby w wielowiekowym współżyciu tych dwu religii i kultur w jednym kraju dostrzegać tylko sprzeczności i konflikty. Były niewątpliwie wzajemne wpływy we wszelakich dziedzinach. Nawet w tej, wydawałoby się, najbardziej niepodatnej dziedzinie religijnej można wskazać na istnienie zjawiska przenikania wpływów. Mówią o tym np. monoteistyczne poglądy religijne, wyznawane przez takich reformatorów jak Ramanudża (XI—XII w.) czy Ramanand (XIV w.) i jego uczeń Kabir, który wywarł poważny wpływ na Nanaka, założyciela sekty Sikhów, czy wreszcie Czajtanja, nauczający w Bengalu (XVI w.).

Świadomą próbą pokojowego ułożenia stosunków religijnych w jednym organizmie państwowym na zasadzie tolerancji i pokojowego współżycia było panowanie Akbara, który nawet zezwolił w r. 1593 na powrót do poprzedniego wyznania tym wszystkim Hindusom, którzy przeszli na islam pod przymusem. Wraz ze śmiercią Akbara zakończył się jednak — jak to już wspomniano — ten okres tolerancji i zaczęła się ostra reakcja muzułmańska.

Jednak i wtedy, gdy zasiadający na tronie w Delhi Mogołowie realizowali bezkompromisową politykę muzułmańską, nie należy widzieć w problemie religijnym jedyne go zasadniczego konfliktu, decydującego o procesach, jakie dokonywały się w państwie Mogołów. Opanowanie Indii przez muzułmanów nie zatrzymało bowiem procesu feudalizacji, który zaczął się w poprzednim okresie historycznym.

Podstawową bazą społeczną w Indiach były od niepamiętnych czasów małe gminy wiejskie. Ogromna, decydująca większość ludności Indii to ludność wiejska, żyjąca w tych gminach i coraz bardziej wyzyskiwana

w miarę rozwijania się feudalizmu. Proces ten, zapoczątkowany wyraźnie za panowania dynastii Guptów, pogłębiał się powodując — w miarę wzrostu przepychu warstw panujących oraz ilościowego zwiększania się pasożytniczego elementu urzędniczego — upadek gospodarczy gmin wiejskich i coraz większą nędzę chłopów, rujnowanych podatkami i obciążanymi robotami państwowymi.

Równoległe do tego następowało, zwłaszcza od czasów Harszy, osłabienie władzy centralnej, w wyniku czego uniezależniały się liczne drobne państewka. W rezultacie, gdy pojawili się tu muzułmanie, Indie były krajem rozdrobnionym, niezdolnym — jak widzieliśmy — do skutecznego stawiania oporu najeźdźcom.

Ale utrwalenie się panowania muzułmańskich władców w Delhi bynajmniej nie powstrzymało i nie zmieniło kierunku przemian. Co prawda ziemię otrzymują teraz (przeważnie w formach działów wojskowych zwanych *iktami*) m u z u ł m a n i e — Turcy i Afgańczycy, a także Hindusi przyjmujący islam, nie zmienia to jednak w niczym sytuacji gospodarczej i społecznej chłopów indyjskiego.

Owe działy wojskowe, coraz to większe, przekształcały się w majątki dziedziczne i stawały się z biegiem czasu potężnymi księstwami, a wreszcie udzielnymi państwami. Postępujący w ten sposób rozkład państwa sultanów delhijskich stworzył warunki dla powstania państwa Mogolów, które po okresie rozkwitu, przede wszystkim za Akbara, przeżywa w XVII wieku głęboki kryzys. Stały wzrost opodatkowania (Akbar określił je na jedną trzecią plonów) znowu podciął gospodarstwo chłopskie, stanowiące niezmiennie podstawę gospodarki indyjskiej. Wraz ze zmianą podatku w naturze na podatek pieniężny pojawił się na wsi nowy wyzyskiwacz — lichwiarz. Obok podatku na rzecz skarbu państwa rośnie stale danina dla lokalnych panów — *dżagirdarów*.

Począwszy od Aurangzeba znowu następuje rozkład — ekonomiczny i polityczny — państwa. Upadkowi gospodarczemu towarzyszy rozprzężenie; powstania chłopskie i bunt potężnych lenników osłabiają władzę Mogolów. Tworzą się niepodległe państwa, prowincje zaś, które nawet nie zrywają formalnych więzów zależności, faktycznie są niezależne.

Rozdrobnienie polityczne, konflikty religijne, głębokie różnice kulturalne, rozbieżności kastowe, upadek gospodarki narodowej, przede wszystkim zaś nędza i ruina chłopstwa — oto najbardziej charakterystyczne cechy tych Indii, w których zaczęła się walka europejskich kolonizatorów o panowanie.

Europejscy kolonizatorzy

Bezpośrednie stosunki handlowe między Europą a Indiami zostały przerwane w VII wieku, gdy zajęcie Egiptu i Persji przez Arabów przecięło odwieczne drogi, którymi płynęły drogocenne korzenie, perły, drogocenne kamienie i kość słoniowa. O ożywionej wymianie handlowej świadczy chociażby wielka ilość znalezionych w Indiach monet rzymskich czy też żale Pliniusza na ogromne sumy, idące z cesarstwa rzymskiego do Indii w związku z importem luksusowych towarów. Handel ten szedł przede wszystkim przez Aleksandrię. Od VII wieku cały ten handel zmonopolizowali muzułmanie, ciągnący z niego olbrzymie zyski.

Ale Indie nie przestawały nęcić europejskich kupców wizją niezmierzonych bogactw. Stąd owe dalekie, wręcz zuchwałe w warunkach technicznych tamtych czasów, podróże morskie w poszukiwaniu drogi morskiej do Indii, zapoczątkowane w XV wieku. Rezultatem tych wypraw było także — pamiętajmy o tym — odkrycie Ameryki przez Kolumba, a w Indiach — na początku XVI wieku — pojawienie się pierwszych europejskich kolonizatorów.

Byli nimi Portugalczycy. W krótkim czasie po podróży Vasco da Gamy wyrasta w Indiach kupiecka potęga Portugalii. W ręku Portugalczyków znalazł się monopol handlu z Indiami: Mnożą się faktorie i forte. Kalikut, Kananor, Goa, Cejlon, Sokotra, Malakka są ważnymi placówkami handlowymi. W ciągu pół wieku Portugalczycy ujęli w swe ręce handel na olbrzymim terenie sięgającym od Madery do Japonii. Indie stanowiły na tym szlaku najważniejsze ogniwo.

Rządy portugalskie charakteryzuje znakomicie powiedzenie indyjskie: „*Całe szczęście, że Bóg stworzył nie więcej Portugalczyków niż lwów i tygrysów, bo w przeciwnym razie zniszczyliby cały ród ludzki.*“¹³

Portugalczycy prowadzili bezwzględłą politykę antymuzułmańską. Łączyły ich natomiast przyjazne stosunki handlowe z hinduskim królestwem Widżanajagry, którego upadek w drugiej połowie XVI wieku poważnie osłabił pozycję portugalskich kolonizatorów.

Wraz z Portugalczykami pojawił się w Indiach chrystianizm, a raczej — ściślej się wyrażając — chrześcijańska działalność misyjna. Bowiem już przedtem mieszkali w Indiach grupy chrześcijan. Byli to nestorianie. Marko Polo zwiedzał jeszcze w XIII wieku miejsce ich pielgrzymek, „*gdzie jest ciało pana świętego Tomasza apostoła*“.¹⁴

„*Ciało pana świętego Tomasza apostoła znajduje się w kraju Maabar, w małym miasteczku — opowiada wenecki podróżnik. — Mało tam ludności i kupcy tam nie zaglądają, gdyż brak tam towarów, które by wywieźć można, a także dlatego, że dostęp jest bardzo trudny. Lecz trzeba wiedzieć, że z pielgrzymką przybywa tu wielu chrześcijan i Saracenów. Saraceni tego kraju bowiem mają wielkie nabożeństwo do świętego Tomasza uważając go za Saracena...*“

Wiedźcie, że są tam dziwne, o których wam opowiem — zapewnia dalej Marko Polo. — Chrześcijanie przybywający z pielgrzymką zabierają ziemię z miejsca, gdzie święty został umęczony. I ziemię tę zanoszą do swego kraju; i dają pić chorym na febrę czwartaczkę lub trzydniówkę, albo jaką inną. I natychmiast po wypiciu tego lekarstwa chory odzyskuje zdrowie...

I powiadam wam, że inne cuda dzieją się tam przez cały rok, które uważane byłyby za bardzo wielkie, gdyby je ktoś chciał opowiedzieć.“¹⁵

¹³ Por. dr Josef Kulischer, *Allgemeine Wirtschaftsgeschichte des Mittelalters und Neuzeit. Zweiter Band: Die Neuzeit.* München und Berlin 1929, s. 201.

¹⁴ Marko Polo, dz. cyt., księga III, rozdział CLXXVII, s. 435.

¹⁵ O żywocie i działalności św. Tomasza w Indiach mówią apokryficzne *Acta Thomae* i inne legendy. Król indyjski Gundaforos polecił — wedle tych tekstów — udającemu się do Syrii kupcowi Abbanesowi przywieźć do Indii budowniczego, który zbudowałby wspaniały pałac królewski. Dowiedział się o tym Chrystus i sprzedał

Chrześcijanie jednak, mieszkający w Indiach przed przybyciem Portugalczyków, nie rozwijali działalności misyjnej, nie próbowali na religię swą nawracać pogan, wśród których żyli.

Natomiast Portugalczycy uważali za swój święty obowiązek nie tylko zgubywać nowe ziemie i wzbogacać się na handlu indyjskim, lecz również zyskać dla Kościoła rzesze nowych wiernych. Wszakże papież Aleksander VI, wyznaczając linię dzielącą daleki świat kolonii między Portugalie i Hiszpanię, przykazał królowi portugalskiemu, by „do nowo odkrytych lądów i wysp siał godnych i bogobojnych ludzi” — takich, którzy mogliby „mieszkańców tych krain uczyć wiary katolickiej i dobrych obyczajów”.

Wyniki działalności Portugalczyków w zakresie krzewienia wiary katolickiej były na pozór imponujące. Św. Franciszek Ksawery, który przybył do Goa za rządów gubernatora Alfonso da Sousa w r. 1542, pisał wkrótce po przybyciu, pod wrażeniem wspaniałych kościołów i rzucając się w oczy pozorów:

„Kraj Goa zaludniony jest całkowicie przez chrześcijan... Powinniśmy Panu Bogu być bardzo wdzięczni, że imię Chrystusowe tak wspaniale rozkwitło na tej dalekiej ziemi i wśród tych rzesz niewiernych.“¹⁶

Ale przed przenikliwym wzrokiem apostoła Indii nie ukryły się na długo istotne stosunki, panujące w portugalskich koloniach: korupcja i nadużycia wśród Portugalczyków dbających jedynie o wzbogacenie się; pozorny katolicyzm miejscowej ludności, która — mimo że ochrzczona — nadal na cgoł czciła swe dawne bóstwa; nieludzki stosunek Portugalczyków do tubylców, tak nawróconych, jak nienawróconych.

Św. Franciszek Ksawery widział, że w tych warunkach nie może być mowy o prawdziwej chrystianizacji Indii, i tak pisał o tym w gniewnych słowach do króla w dalekiej Lizbonie: „Jeśli WKMość nie zagrozi swoim urzędnikom kajdanami, więzieniem i konfiskatą majątków i jeśli ta groźba nie zostanie zrealizowana, wszystkie rozkazy zmierzające do rozwoju chrześcijaństwa w Indiach spełzną na niczym. Boleścią napelnia, gdy trzeba cierpliwie przyglądać się, jak kapitanowie WKMości i inni urzędnicy poniewierają nowonawróconych.“¹⁷

Św. Franciszek Ksawery zapoczątkował działalność misji jezuickich w Indiach. Uwaga jego skierowana była przede wszystkim na jakże liczne rzesze tych, co cierpieli nędzę i upokorzenie. Do bramanów odnosił się on z bezwzględną niechęcią i dezaprobatą. Dopiero później włoski jezuita Robert de Nobili osiadłszy w Madurze próbował, z pewnym powodzeniem, nawracania bramanów.

Najciekawszym (choć bynajmniej nie uwieńczonym powodzeniem) epizodem w działalności jezuitów w Indiach była ich misja na dworze Akbara.

Abbanesowi — jako rzekomego niewolnika i budowniczego — św. Tomasza. Dostawszy się w ten sposób do Indii, święty Apostoł nawrócił Gundaforsa i część mieszkańców jego królestwa. Prowadząc dalszą pracę misyjną na wschodzie, w królestwie Mizdeosa znalazł śmierć męczeńską. Miastem, gdzie miał się znajdować grób św. Tomasza, był Majlapur.

¹⁶ Cytuję za R e n e F ü l ö p - M i l l e r e m, *Macht und Geheimnis der Jesuiten. Eine Kultur — und Geistesgeschichte*. Berlin b.d., s. 251.

¹⁷ F ü l ö p - M i l l e r, dz. cyt., s. 253.

Akbar, o którego tolerancyjnej polityce była już mowa, odznaczał się głębokim zainteresowaniem zagadnieniami religijnymi. Nie ustawał w dążeniu do poznania prawdziwej religii. Uważając, że można ją będzie poznać za pośrednictwem dzieci, polecił 30 dzieci wychowywać w całkowitym oderwaniu od świata; nie wolno było nikomu do nich mówić ani niczego ich uczyć. Akbar sądził, że tak wychowane dzieci przemówią naturalnym językiem i wyznawać będą prawdziwą religię. Gdy ten eksperyment się nie udał, Akbar zorganizował dyskusje religijne między przedstawicielami religii, które istniały w jego państwie. Bramani, buddyści, mahometanie i parsi toczyli przed Wielkim Mogołem długie dysputy, które oczywiście do żadnego rezultatu nie doprowadziły.

Na wieść o rozwijającej się w Goa działalności jezuitów Akbar zaprosił ich również na swój dwór. W ten sposób znaleźli się tu: Rudolf Aquaviva, Hieronim Ksawery, Emanuel Pinheiro i Benedykt Goes.

Zainteresowanie Akbara religią głoszoną przez jezuitów było bardzo duże. Zezwolił im na prowadzenie działalności misyjnej i chrzczenie nawróconych. Kiedy wyruszył na wojnę, uczeni jezuiti towarzyszyli mu, wykładając zasady wiary, wyjaśniając niezmordowanie wątpliwości, tłumacząc niejasności.

Akbar, jak wiadomo, na chrystianizm się nie nawrócił. Stworzył własną, eklektyczną, sztuczną religię, która przestała istnieć zaraz po jego śmierci. Wraz ze śmiercią Akbara rozwiały się złudne nadzieje na uzyskanie dla wiary Chrystusowej państwa Mogolów.

Ani działalność misyjna Portugalczyków, ani usiłowania jezuitów nie zaważyły w poważniejszy sposób na stosunkach religijnych w Indiach. Chryścianizm pozostał tu nadal religią o niewielkiej ilości wyznawców, nie odgrywającą większej roli w skomplikowanej problematyce religijnej Indii. Nie zmienił tej sytuacji fakt, że również i po upadku potęgi portugalskiej Indie były terenem ożywionej działalności dalszych europejskich kolonizatorów.

Nowy okres historii Europejczyków w Indiach zaczyna się na początku XVII wieku, kiedy portugalski monopol handlu z Indiami został złamany przez Holendrów i Anglików. Pojawiają się w Indiach — jako nowa forma penetracji europejskiej — kompanie handlu zamorskiego. Ostatniego dnia 1600 r. zatwierdza królowa Elżbieta „Kompanię kupców londyńskich, handlującą z Indiami Wschodnimi“.¹⁸ W 15 miesięcy później, w marcu 1602 r. powstaje kompania holenderska, mająca oparcie w morskiej potędze ówczesnej Holandii. W r. 1616 założona została duńska kompania dla handlu z Indiami. W r. 1664 wreszcie założył Colbert francuską „Compagnie des Indes Orientales“.

Owe kompanie dla handlu zamorskiego stanowiły formę organizacyjną kapitału handlowego, zmniejszającą ryzyko poszczególnych kupców-udziałowców, związane z niebezpieczeństwami handlu zamorskiego. Doraźne spółki przekształciły się z biegiem czasu w trwałe formy spółek handlowych, operujących kapitałem spółki. Zorganizowane były jako spółki ak-

¹⁸ Przywilej królowej Elżbiety dla „Kompanii“ opiewał na... 15 lat. Jak wiadomo Kompania ta istniała (co prawda przechodząc liczne przeobrażenia) 250 lat z górą.

cyjne, udziały ich jednak należały do nielicznego grona osób, spośród których rekrutowali się z reguły dyrektorzy spółki. Udziały angielskiej Kompanii Wschodnio-Indyjskiej należały do 550 osób, w ręku jednak 40 skupiona była decydująca ilość akcji. Udziały Kompanii holenderskiej posiadało 550—600 osób.¹⁹

Podstawę działalności kompanii stanowił monopol handlu z określonym krajem — z Indiami.

Kompanie te stanowiły potężny instrument pierwotnej akumulacji, dzięki czemu wywarły poważny wpływ na początkowe stadium rozwoju kapitalizmu w metropoliach. Z biegiem jednak czasu, w miarę rozwoju kapitalizmu i burżuazji, monopolistyczne uprawnienia kompanii oraz ich rabunkowa gospodarka, zagrażająca podcięciem dalszej eksploatacji krajów kolonialnych, stały się w sprzeczności z potrzebami rozwijającego się kapitalizmu.

Momenty te wskazywał Adam Smith już w r. 1776 w *Badaniach nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*. Pisał on w rozdziale O korzyściach jakie odniosła Europa z odkrycia Ameryki oraz z odkrycia drogi do Indii Wschodnich wokół Przylądka Dobrej Nadziei co następuje: „...we wszystkich krajach Europy, z wyjątkiem Portugalii, a od kilku lat również i Francji, handel z Indiami Wschodnimi znajduje się w rękach monopolistycznej kompanii. Tego typu monopol zwraca się przeciwko temu właśnie narodowi, który go ustanowił. W ten sposób bowiem nie tylko odsuwa się większość obywateli tego kraju od handlu, w którym byłoby im dogodnie umieścić pewną część swego kapitału, lecz zmusza się ich do nabywania artykułów tego handlu nieco drożej, niżby za nie płacili, gdyby handel ów był otwarty i wolny dla wszystkich obywateli kraju.“²⁰ Kończy zaś Smith wspomniany rozdział taką konkluzją: „Tak więc monopolistyczne kompanie są szkodliwe pod każdym względem. Sprawiają zawsze mniej lub więcej kłopotu krajom, które je utworzyły, wyniszczają zaś te kraje, które miały nieszczęście znaleźć się pod ich rządami.“²¹

Toteż nastąpił pod koniec XVIII wieku zanik kompanii, względnie — jak w przypadku angielskiej Kompanii Wschodnio-Indyjskiej — przekształcenie.

Czołowe miejsce w walce o wyzyskanie bogactw Indii zajmowali Holendrzy i Anglicy. Początkowo zdecydowana przewaga była po stronie Holendrów, którzy zajęli po Portugalczykach decydującą pozycję w handlu indyjskim. Głównym ośrodkiem ich potęgi były Malaje.

W tym pierwszym okresie głównym celem holenderskiej kompanii było osiągnięcie monopolu w handlu korzeniami i pieprzem. Temu zadaniu podporządkowane były inne poczynania, jak np. handel bawełnianymi tkaninami indyjskimi. Ale gdy żelazna energia założyciela Batawii, Jana Pietera Coena, w dwudziestych latach XVII stulecia umocniła pozycję holenderską w Indiach, zaczynają Holendrzy na dużą skalę również handel niewolnikami, których wywozili z Bengalu i innych stron Indii — za zgodą i zezwoleniem tamtejszych władców.

¹⁹ J. K u l i s c h e r, dz. cyt., s. 301.

²⁰ A d a m S m i t h, *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*, Warszawa 1954, tom II, księga IV, rozdział VII, cz. III, s. 310.

²¹ A d a m S m i t h, dz. cyt. s. 236.

W 1616 r. powstają holenderskie ośrodki handlowe w Suracie i Ahmedabadzie, w 1618 r. w Agrze, w 1653 r. w Hugli i Patnie. W 1660 r. odbierają Holendrzy Portugalczykom Cejlon, w r. 1663 zaś ośrodki na wybrzeżu Malabaru.

Charakteryzując działalność Holendrów w Indiach Wschodnich pisze Adam Smith: „Na Molukkach Holendrzy palą podobno tę część zbioru, która w okresie urodzaju przewyższa to, co jak oczekują, będą mogli zbyć w Europie z takim zyskiem, jaki uważają za opłacalny. Mówi się również, że na wyspach, gdzie nie posiadają osiedli, Holendrzy płacą specjalne premie ludziom, którzy zbierają świeżo rozwinięte kwiaty i zielone liście drzew goździkowych i muszkatołowych; drzewa te rosną tam dziko, a obecnie zostały przez tę barbarzyńską gospodarkę niemal całkowicie wytrzebione. Nawet na wyspach, gdzie posiadają swe osiedla, Holendrzy uszczuplili znacznie liczbę tych drzew... Stosując różne metody nacisku doprowadzili do tego, że zaludnienie niektórych wysp archipelagu Molukków zmniejszyło się do tego stopnia, iż liczba mieszkańców wynosi tyle tylko, ile potrzeba, by zaopatrywać w świeżą żywność i inne artykuły pierwszej potrzeby szczupłe garnizony holenderskie oraz statki, które od czasu do czasu przybijają po ładunek korzeni. A przecież mówi się, że wyspy te nawet pod rządami Portugalczyków były dość ludne.”²²

W ten sposób wyrosła holenderska potęga w Indiach.

W tym samym czasie, wśród walk konkurencyjnych,²³ przerywanych krótkimi okresami dyktowanych przez interes porozumień, stawiała pierwsze swe kroki na tym terenie angielska Kompania Wschodnio-Indyjska.

Pierwsza angielska faktoria powstała w r. 1612 w Suracie; potem założono szereg dalszych. W r. 1639 Francis Day nabył teren, na którym dziś wznosi się miasto Madras, w r. 1661 Katarzyna brabancka wnosi Karolowi II w posagu wyspę, na której wybudowany został Bombaj. Kompania płaciła królowi za odstąpienie tej wyspy... 10 funtów szterlingów rocznie. W r. 1690 Job Charnock założył osadę, która z biegiem czasu wyrosła na Kalkutę.

Poważniejszy rozwój angielskiej kompanii zapoczątkowany został w drugiej połowie XVII wieku. Uzyskała ona w r. 1661 od Karola II prawo bicia monet oraz jurysdykcję nad poddanymi angielskimi na wschodzie. Poza tym przysługiwało jej prawo prowadzenia wojen z niechrześcijańskimi monarchami i zawierania z nimi pokoju oraz prawo mianowania gubernatorów, wyposażonych we władzę cywilną i sądową.

Czasy w ówczesnych Indiach były niespokojne. Państwo Mogolów nie umiało już zapewnić spokoju. Trwała wojna z Maratham. Toteż jeden z kierowników Kompanii w Indiach, Aungler, pisał w 1677 r. do Londynu: „handel można prowadzić dalej tylko z mieczem w ręku.”²⁴

²² A d a m S m i t h, dz. cyt., s. 318. Niektóre szczegóły dotyczące rabunkowej gospodarki Holendrów w Indiach Wschodnich podaje też J. Kulischer (dz. cyt., s. 207). Wspomina on również za Wilkoxem o paleniu przez Kompanię importowanych już do Europy wielkich ilości goździków, gałki muszkatołowej i cynamonu, tak że na wiele mil wokół Middelburga unosił się zapach palonych korzeni.

²³ Najbardziej bezwzględny i okrutny epizodem tych walk była masakra w Ambojnii, gdzie Holendrzy sturutowali i następnie uśmiercili 10 pracowników tamtejszej angielskiej faktorii.

²⁴ G. D u n b a r, dz. cyt., s. 188.

Istotnie Kompania Wschodnio-Indyjska prowadziła odtąd handel — z mieczem w ręku.

O ile w pierwszym okresie Kompania nie miała na celu zdobyczy terytorialnych i starała się prowadzić handel korzystając z układów, umów i koncesji, to w końcu XVII wieku zarysowuje się istotna zmiana. Tworzą się — za wzorem holenderskim — wojskowe oddziały na usługach Kompanii, rosnący zaś rozkład państwa Mogolów stwarzał warunki dla ingerencji w wewnętrzne sprawy indyjskie oraz dla budowania nowej pozycji Kompanii w Indiach.

W miarę tego, jak Anglia zdobywała przewagę na morzach świata, wzmacniała się też pozycja Kompanii, która coraz bardziej brała górę nad holenderskimi a potem i francuskimi konkurentami. W połowie XVIII wieku Kompania stoczyła decydującą walkę o władzę w Indiach i pokonując wszystkich swych konkurentów zapoczątkowała nowy okres dziejów indyjskich.

R z ą d y K o m p a n i i W s c h o d n i o - I n d y j s k i e j

Do połowy XVIII wieku posiadłości terytorialne Kompanii Wschodnio-Indyjskiej były całkiem nieznaczne. Miała ona w swym ręku sieć faktorii, fortów i stacji handlowych rozrzuconych przede wszystkim wzdłuż wybrzeży. Chociaż jeden z dyrektorów Kompanii, Sir Josia Child, jeszcze w 1685 r. określał jako ważne zadanie utworzenie wielkiej i silnej podstawy terytorialnej dla umocnienia angielskiego panowania w Indiach, w praktyce Kompania zadania tego bynajmniej nie realizowała.

Pod koniec panowania Mohammed-szacha, wśród rosnącego rozprężenia i chaosu, następuje w południowych Indiach konflikt francusko-angielski. Ambitny gubernator francuski Dupleix (1741—1754) dąży do umocnienia w Indiach pozycji Kompanii francuskiej, której główny ośrodek stanowił Pondicherry, na południe od Madrasu. Echem wojny o sukcesję austriacką (1741—1748), toczonej w Europie, była zaczęta w r. 1746 wojna francusko-angielska w Indiach, w czasie której Francuzi zajęli nawet Madras (oddali go Anglikom po zawarciu pokoju w 1748 r.). Mimo zakończenia wojny sukcesyjnej w Europie wojna w Indiach faktycznie trwała nadal. Bezpośrednim jej powodem była sprawa następcy zmarłego nizama Hajderabadu i nawaba Karnatiku. Francuzi i Anglicy popierali oczywiście różnych pretendentów, przy czym szala zwycięstwa przechylała się wyraźnie na rzecz Francuzów. Wtedy to śmiało przedsięwzięcie wojskowe nieznanego i nieznacznego urzędniczka angielskiej Kompanii, Roberta Clive'a, zdecydowało o zwycięstwie Anglików i o osadzeniu popieranego przez nich Mohammeda Alego na Karnatiku.

Działania wojenne w Indiach, które toczyły między sobą i na własną rękę kompania angielska i francuska, wzmogły się na wieść o nowej wojnie w Europie. Wojna siedmioletnia (1756—1763) zakończyła się klęską Francji na morzu i w koloniach. Potęga francuska w Indiach przestała istnieć. „Wypadki wojny siedmioletniej przekształciły Kompanię Wschodnio-Indyjską z siły handlowej w potęgę wojenną i terytorialną.”²⁵

²⁵ K. Marks i Fr. Engels, *Dziela*, wyd. ros., t. IX, s. 354.

Z tej wielkiej i obfitującej w dramatyczne momenty awantury wojennej, w którą uwikłani byli nie tylko Francuzi i Anglicy, lecz również Holendrzy oraz różni władcy indyjscy, zwycięzcami wyszli Anglicy.

Decydujące zwycięstwo odniósł w r. 1757 pod Plassey Robert Clive. Dzięki temu mogli Anglicy osadzić w Bengalu Mira Dżaffara, a następnie — po pobiciu w r. 1759 Holendrów, przywołanych przez Mira Dżaffara na ratunek przeciw angielskim sprzymierzeńcom — Mira Kasima. W zamian za tę przysługę otrzymała Kompania Bardwan, Midnapur i Czittagong. Ale Mir Kasim chciał się także wyzwolić od kłopotliwej angielskiej przyjaźni, łącząc się z nawabem Audh. Bezskuteczne usiłowania! — Pod Baxar pobił ich bowiem w r. 1764 (pod nieobecność Clive'a, który w r. 1760 wyjechał do Anglii) major Munro.

W ten sposób Bengal znalazł się w rękach Kompanii.

W r. 1765 powrócił do Indii Clive, którego dziełem jest organizacja władania posiadłościami Kompanii.

Władza Kompanii rozciągała się podówczas na Bihar, Bengal i północną część Oryssy, dalej zaś na południe obejmowała część Sarkaru. Oficjalnie władza ta wyrażała się w uzyskaniu od Wielkiego Mogoła *prawa dżanani* — zarządu finansowego, ściągania danin i podatków. Płacąc Wielkiemu Mogołowi „daninę“, która była właściwie pensją z kasy Kompanii, „zalegalizował“ Clive sytuację Kompanii.²⁶

Prawie przez cały wiek (do r. 1858) Kompania rządziła Indiami. Niecelowe byłoby wchodzić tutaj w szczegóły historii tego okresu, trzeba jednak wskazać najbardziej charakterystyczne jego cechy.

Przede wszystkim nieustannie trwa proces terytorialnego rozszerzania się władztwa angielskiego w Indiach.

Co prawda w r. 1734 parlament angielski uchwalił oświadczenie, w którym czytamy: *„Realizacja planów podboju i rozszerzenia władzy w Indiach — to posunięcia sprzeczne z życzeniem, honorem i polityką tego (angielskiego) narodu.“* Co prawda raz po raz na czele Kompanii w Indiach staję generalny gubernator, mający, jak np. Cornwallis, za główne zadanie prowadzenie w Indiach pokojowej polityki i odciągnięcie Kompanii od kosztownych wojen — wszystko to jednak nie zmieniło zasadniczego kierunku rozwoju wydarzeń.

Wydarzenia w Indiach były fragmentem wojen handlowych, toczonych przez państwa europejskie w XVII i XVIII wieku. Celem tych wojen było ustalenie hegemonii kolonialnej i handlowej. Trzeba pamiętać, że zmagania te obejmowały cały ówczesny świat, zwycięstwo zaś Kompanii w Indiach było jednym z ważnych czynników pomyślnego dla Anglii wyniku tych wojen.

Kompania łamała wszystkie siły, które mogły przeciwstawić się jej władzy. Ona to położyła kres potędze Marathów i Sikhów, ona zniszczyła

²⁶ Warto pokrótce wspomnieć, o dalszych losach Clive'a. W r. 1760 w czasie pobytu w Anglii otrzymał godność para iryjskiego. Lata 1765—1767 spędza w Indiach, skąd wraca już na stałe do Anglii. Oskarżony został o liczne (prawdziwe i nieprawdziwe) winy z okresu swej działalności w Indiach. Częściowa rehabilitacja nie zadowolila tego ambitnego twórcy początków imperium brytyjskiego w Indiach. W r. 1774 popełnił samobójstwo.

państwo majsurskie, założone przez Hajdar Alego na gruzach państwa Mogolów, ona wyciągała niemal zawsze korzyści z niezliczonych wojen i zamieszek. W r. 1792 przyłączone zostały do posiadłości Kompanii Malabar i Kurg. w r. 1793 obszary zajmowane przez Francuzów. W r. 1799 zostaje zdobyty Seringpatam. W r. 1801 Kompania przyłącza do swych obszarów Karnatik.

Niezwykle korzystny dla Kompanii był „system przymierzy“, stosowany przez generalnego gubernatora, barona Wellesleya. O charakterze tych przymierzy jasno mówią fakty: w r. 1802 zawarł przymierze radża Benaresu, Bhonsla, oddając Kompanii przy tej okazji prowincję Katak w Orysie. Podobnie też Daulet Rao Sindja z okazji przymierza oddaje Kompanii tereny między Gangesem i Dżamną.

W r. 1810 Anglicy zajmują wyspę Mauritius i sąsiednie wyspy, pozostające dotychczas w ręku Francuzów. W r. 1816 na podstawie traktatu w Sagauli, który zakończył wojnę w Nepalu, dostaje się Anglikom część terenów zamieszkałych przez Gurków. W r. 1826 — po źle przygotowanej i nieudolnie prowadzonej wojnie z Burmą — Anglicy uzyskali jednak terytorialne korzyści, a mianowicie Assam, Arakan i Tenasserim. W r. 1829 lord Bentinck przyłącza do terenów Kompanii część państwa majsurskiego, w r. 1843 zaś gubernator Ellenborough prowincję Sind.

W latach 1844 — 1849 rozstrzygnęły się losy Sikhów. Traktat w Lahorze zawarty przez lorda Hardinge'a ustanawiał rezydenta angielskiego w Lahorze i przyznawał Kompanii tereny między rzekami Bias i Satleđzem.

W tym właśnie czasie następuje zmiana gubernatora. Hardinge wraca do Anglii, jego zaś miejsce zajmuje lord Dalhousie (1848—1856). Jest to okres szczególnie intensywnego powiększenia się terytoriów Kompanii. Po ostatecznym rozgromieniu Sikhów w r. 1849 przyłączony został do posiadłości angielskich cały Pendżab. W r. 1852 zaś w wyniku wojny z Burmą następuje przyłączenie prowincji Pegu.

Lord Dalhousie zastąpił wellesleyowską „zasadę przymierzy“ — nową „zasadą spadkową“. Nie uznawał on mianowicie adopcji dokonywanej przez władców indyjskich, lecz ich dziedzictwo w takich przypadkach przyłączał do posiadłości angielskich. Dzięki tej „zasadzie“ terytoria Kompanii zwiększyły się o Satarę, Dżhansi i Nagpur. Dalhousie przyłączył też Audh.

Tak oto wzrastała potęga angielska w Indiach, obejmując coraz to nowe terytoria w swe bezpośrednie władanie. W zasadzie w tych właśnie latach — za rządów Kompanii — dokonał się proces terytorialnego ugruntowania angielskiego imperium w Indiach. W okresie następnym miały miejsce już tylko pewne przesunięcia i uzupełnienia (najistotniejsze zresztą poza granicami samych Indii — Burma, Beludżystan).

Gdyby na szereg map rzucić kolejne etapy terytorialnego rozwoju posiadłości Kompanii w Indiach, otrzymalibyśmy niezwykle ciekawy obraz konsekwentnego opanowania tego ogromnego kraju. Na początku — sieć faktorii, fortów i stacji handlowych; to jeszcze nie posiadłości, ale stworzony dla potrzeb i celów handlowych szkielet przyszłego władztwa terytorialnego. Potem zjawiają się dwie bazy wypadowe na wschodzie Indii; jedna to Bengal wraz z Biharem, druga zaś — północny Sarkar. Z pierwszej bazy wypadowej poszła ekspansja na zachód, wzdłuż północnej granicy Indii z Sarkaru zaś wzdłuż wybrzeża wschodniego, na południe. Następny okres

przyniósł dalszy poważny wzrost posiadłości na południu i rozprzestrzenienie się od południa na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża. Na północy pas posiadłości angielskich rozszerza się i wydłuża na zachód (aż po Pendżab) i na wschód (Assam). W tym okresie pojawiają się też angielskie posiadłości w samym centrum Indii.

W ten sposób tworzyły się Indie Brytyjskie, obejmujące w r. 1931 swymi rozczłonkowanymi terytoriami 55% obszaru Indii.



Historia wzrostu terytorialnego Kompanii Wschodnio-Indyjskiej tłumaczy nam ów niezwykle skomplikowany obraz, jaki przedstawiała do niedawna (a właściwie w pewnej mierze i dziś przedstawia) mapa polityczna Indii. Księstwa indyjskie, relikty historycznej przeszłości indyjskiej, oplecione i obezwładnione mackami polipa — oto mapa Indii Brytyjskich przed utworzeniem Hindustanu i Pakistanu po drugiej wojnie światowej.

Procesowi powiększania się posiadłości terytorialnych Kompanii w Indiach towarzyszyło przekształcanie się organizacyjne Kompanii i przekształcanie form rządzenia olbrzymimi, zdobytymi przez nią posiadłościami. W miarę jak rosła rola

Kompanii, następowało ograniczanie władzy jej właścicieli. Pierwszy wyraźny krok w tym kierunku stanowił *Regulating Act* z r. 1773, będący punktem wyjścia i podstawą dla dalszego rozwoju formy rządów angielskich w Indiach. *Regulating Act* nakładał na Kompanię obowiązek składania sprawozdań i udzielania informacji zainteresowanym ministrom angielskim, ustanawiał generalnego gubernatora, stojącego na czele rady (złożonej z 4 członków), jako władzę nad posiadłościami angielskimi w Indiach oraz angielski trybunał najwyższy. Wkrótce potem (1781) uregulowane zostało zagadnienie jurysdykcji nad poddanymi pochodzenia angielskiego oraz uprawnomocnione zostały sądy Kompanii nad ludnością w posiadłościach indyjskich.

Pierwszym generalnym gubernatorem był Warren Hastings, który położył podwaliny późniejszej administracji angielskiej w Indiach.²⁷

Koniec 13-letnich rządów Hastingsa w Indiach (1785) zbiegł się z nową istotną zmianą w zarządzaniu Kompanią. Uchwalony w 1784 r. *Pitt's India Act* oddawał zarząd Kompanii w ręce komitetu, złożonego z prezesa, wiceprezesa i członka Rady Dyrektorów. Komitet ten podlegać miał mianowanej przez Koronę Radzie Nadzorczej, której przewodniczącym był jeden z ministrów. W praktyce Rada Nadzorcza nie odgrywała żadnej roli, natomiast jej przewodniczący-minister miał zasadniczy wpływ na sprawy Kompanii.

Wyrazem tej samej tendencji, która dyktowała te zmiany, było mianowanie po Hastingsie nowego generalnego gubernatora, który nie był przedtem związany z Kompanią i jej interesami. Był nim Earl Cornwallis. Postawił on sobie za zadanie dokonanie reform wewnętrznych w administracji indyjskiej. Zorganizował regularną służbę administracyjną pobierającą stałe wynagrodzenie, wprowadził stałe opodatkowanie, zreformował sądownictwo. Cornwallis oparł całą administrację na Anglikach, krajowcy mogli być dopuszczeni tylko do najniższych stopni służby administracyjnej. Konsekwencją tego było przeciążenie i nieudolność administracji angielskiej. Dopiero lord Bentinck w r. 1828 dopuścił w szerszym stopniu krajowców do urzędów.

W r. 1813 karta Kompanii została przedłużona na dalszych lat 20, z tym jednak, że cofnięto Kompanii uprawnienia monopolistyczne. Od tego czasu wolno było wszystkim handlować z Indiami.

W r. 1833 przy okazji odnowienia karty Kompanii dokonana została zasadnicza zmiana charakteru tej instytucji. Przestała ona istnieć jako instytucja handlowa i weszła w zasadzie w skład aparatu rządowego. Po raz ostatni kartę przywilejów Kompanii odnowiono w r. 1853. Tym razem już nie na długo.

W r. 1857 wybuchnął w Bengalu groźny bunt Sipojów (najemne wojsko Kompanii złożone z krajowców). To było bezpośrednim pretekstem dla położenia kresu istnieniu Kompanii i powierzenia rządów nad posiadłościami Koronie.

²⁷ Warren Hastings, mianowany w r. 1772 gubernatorem Bengalu, zaliczany jest obok Clive'a do głównych twórców imperium brytyjskiego w Indiach. Był on, po ustanowieniu tego urzędu, pierwszym generalnym gubernatorem angielskim w Indiach (od 1774 r.). W r. 1785 powrócił Hastings do Anglii, gdzie został oskarżony, podobnie jak Clive, za swą działalność w Indiach. W r. 1795 został uwolniony od zarzutów. Umarł w r. 1818.

Dnia 1 października 1858 r. w Allahabad ogłosił ostatni generalny gubernator z ramienia Kompanii, lord Canning, proklamację królowej Wiktorii, ustalającą nowe zasady rządzenia Indiami i mianującą go pierwszym wicekrólem.

Dwu i pół wiekowa historia Kompanii Wschodnio-Indyjskiej dobiegła kresu.

Gdy się chce jednak wytworzyć sobie pełniejsze pojęcie o tej epoce dziejów indyjskich, nie wystarczy zapoznanie się z rozwojem terytorialnym Kompanii i jej przeobrażeniami ze spółki kupieckiej w integralną część aparatu rządowego. Trzeba jeszcze zrozumieć treść gospodarczą, ekonomiczny sens działalności Kompanii.

Robinson Kruzoe, niepoprawny i niefortunny włóczęga po szlakach morskich, ogarnięty żądzą wędrówek po świecie, po opuszczeniu swej bezludnej wyspy udał się w podróż do Indii. „*Nawiasem uczynię tu uwagę — czytamy w Przypadkach Robinsona Kruzoe — że u nas w Anglii dziwi się wielu, jakim sposobem urzędnicy Kompanii w Indiach i rezydujący tam kupcy dorabiają się ogromnych majątków, które dochodzą częstokroć do sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu, a nawet stu tysięcy funtów szterlingów. Nie wyda się to nam wcale, a przynajmniej nie tak bardzo dziwne, gdy się zastanowimy, do ilu to przystani i miejsc rozciągają się przywileje wolnego handlu Kompanii; a gdy zważyć, że w tych portach istnieje ciągly popyt na towary wszystkich obcych narodów, tak, iż gdy okręty angielskie przybędą, mają niezawodną okazję sprzedaży, a nadto nigdy nie muszą wracać puste, zawsze bowiem znajdą kupców na wywożone towary — podziwienie takowe samo przez się upadnie.*“²⁸

Istotnie — w porównaniu z okresem portugalskiej hegemonii w Indiach, kiedy to w ciągu lat 1498 — 1612 odplynęło z Portugalii do Indii zaledwie 806 statków²⁹ — w wieku XVII i XVIII nastąpiło znaczne ożywienie handlu z Indiami. Mimo to jednak wyjaśnienia Robinsona Kruzoe nie mogą nam wystarczyć. Handel bowiem, prowadzony przez Kompanię w Indiach, scharakteryzować należy krótko i węzłowato jako grabież uprawianą pod pozorami handlu. Tym rozbójniczym cechom działalności Kompanii, przemilczanym przez autora *Przypadków Robinsona*, poświęcić należy nieco uwagi.

Kompania Wschodnio-Indyjska powstała dla osiągnięcia, dzięki monopolowi handlowemu, jak największych zysków z handlu towarami i wyrobami Indii. Zadaniem jej było wzbogacenie tymi zyskami metropolii. Nie było jeszcze mowy, w pierwszym okresie działalności Kompanii, o szukaniu w Indiach rynku zbytu dla wyrobów przemysłu angielskiego — przemysł ten zresztą w owym czasie jeszcze nie był na tyle rozwinięty.

O metodach handlu prowadzonego przez Kompanię informują najlepiej współczesne opinie³⁰, pochodzące zwłaszcza z drugiej połowy XVIII wieku, kiedy to rozwijać się zaczął w Anglii nowoczesny kapitalizm, Kompania zaś stała się jednym z głównych instrumentów pierwotnej akumulacji,

²⁸ Daniel Defoe, *Przypadki Robinsona Kruzoe*. Wydanie pod redakcją Jana Kotta. Warszawa 1954. Tom. II, s. 211.

²⁹ *Historia Nowożytna* pod redakcją prof. B. F. Porszniewa, S. D. Skazkina i prof. W. W. Biriukowa. Warszawa 1954, s. 404.

³⁰ Cytuję wg R. Palme Dutta, *Indie dzisiejsze*, Warszawa 1951, str. 99 i ns.

gromadzenia kapitału, potrzebnego dla dalszego rozwoju gospodarki kapitalistycznej.

W r. 1762 nabab Bengalů tak pisał do Kompanii o praktykach jej agentów: „*Siłą zabierają towary rajotów (chłopów), kupców itd. za czwartą część ich wartości, a przez gwałt i represję zmuszają rajotów itd. do płacenia pięciu rupii za towar wart tylko rupię.*“ W dziesięć lat później kupiec angielski William Bolts charakteryzował te stosunki w sposób następujący: „*Anglicy wyznaczają arbitralnie ceny i ilość towarów, które mają im dostarczyć wytwórcy. Zgoda biednego tkacza jest uważana za zbyteczną formalność, a w razie protestów z jego strony lub odmowy przyjęcia zbyt niskiej zapłaty za jego wyroby, urzędnicy Towarzystwa batem przywołują go do rozsądku. Wielu tkaczy zostało zapisanych w księgach Towarzystwa przez miejscowych agentów; nie wolno im pracować dla innego pracodawcy, agenci zaś wymieniają ich pomiędzy sobą jak niewolników. Podłości i nadużycia w stosunku do pracowników indyjskich nie dadzą się wprost opisać. Ceny płacone za tkaniny są od 15—40 procent niższe od rynkowych.*“

Z chwilą gdy w posiadaniu Kompanii znalazły się rozległe terytoria w Indiach oraz uprawnienie do ściągania podatków i danin z ludności, otworzyły się nowe możliwości grabieży. Kompania podwyższyła obciążenia podatkowe. W ostatnim roku przed przejściem Bengalů pod władzę Kompanii (1764—1765) podatek gruntowy wyniósł tam 817 tys. funtów. Pod rządami Kompanii wpływy z tego podatku rosły w sposób następujący:

1765/6	1.470.000 funtów
1771/2	2.431.000 „
1775/6	2.818.000 „
1793	3.400.000 „

Dochody podatkowe Kompanii wzrastają, chociaż stale pogłębia się ruina gospodarki w Bengalů, chociaż straszliwa klęska głodowa w r. 1770 spowodowała śmierć ok. 10 milionów mieszkańców tego kraju.

„*Mimo rozmiarów klęski głodowej — czytamy w sprawozdaniu Kompanii z r. 1771 — i związanego z tym wielkiego ubytku ludności, uzyskano pewne powiększenie wpływów na rok bieżący, zarówno w prowincji bengalskiej, jak i w Biharze.*“

A Warren Hastings pisze o tym samym okresie: „*Mimo ubytku co najmniej trzeciej części mieszkańców prowincji, co pociągnęło za sobą obniżenie poziomu uprawy, wpływy podatkowe w r. 1771 przewyższyły nawet r. 1768... Należało oczywiście oczekiwać zmniejszenia dochodu, proporcjonalnie do skutków tak wielkiej klęski. Że się tak nie stało, należy zawdzięczać energicznemu utrzymaniu go na dawniejszym poziomie.*“

Milionowe zyski przekazywała Kompania do Anglii. W latach 1766 — 1768 eksport z Indii wynosił 6.311.250 funtów i był dziesięciokrotnie wyższy od importu. Z przedstawionego w r. 1773 parlamentowi zestawienia wynika, że Kompania osiągnęła w ciągu pierwszych 6 lat rządzenia Bengalem przekazany do Anglii czysty zysk w sumie 4.039 tys. funtów, co stanowiło blisko jedną trzecią dochodów netto.

Trzeba jednak pamiętać, że do sumy zysków osiągniętych przez Kompanię należy jeszcze dodać olbrzymie fortuny wzbogaconych w Indiach urzędników i pracowników Kompanii.

„Trudno sobie wyobrazić — pisze na ten temat Adam Smith — coś bardziej nierozsądnego niż to, by oczekiwać, że urzędnicy wielkich kantorów oddalonych o dziesięć tysięcy mil, którzy znajdują się zatem niemal całkowicie poza zasięgiem kontroli, na rozkaz swych zwierzchników zrezygnują od razu z prowadzenia wszelkich interesów na własny rachunek, że porzucą raz na zawsze wszelkie nadzieje dorobienia się majątku, do czego mają wszelkie dane, i że zadowolą się skromnym uposażeniem, jakie zwierzchnicy im wyznaczili... Urzędnicy starają się z natury rzeczy zdobyć dla swego prywatnego handlu taki sam monopol, co dla oficjalnego handlu kompanii. Jeżeli się im pozwoli postępować tak, jak tego pragną, ustanowią ów monopol jawnie i w sposób bezpośredni... Jeżeli natomiast zabroni się im tego na mocy rozkazów przesłanych z Europy, mimo to jednak będą się starać o ustanowienie tego samego typu monopolu w sposób tajny i pośredni, co jest dla kraju o wiele bardziej szkodliwe. Użyję wtedy całej swej władzy i zdeprawuję wymiar sprawiedliwości, aby tylko zgłębić i zrujnować ludzi, którzy wchodzą im w drogę w tej gałęzi handlu, jaką oni wybrali dla siebie...”³¹

Lord Clive, który przybył do Indii jako skromny, nikomu nieznany urzędniczyna, wrócił do Anglii jako właściciel majątku obliczanego na 250 tysięcy funtów i posiadłości w Indiach, dających rocznie 27 tysięcy funtów. Kariera Clive'a była oczywiście wyjątkowa, ale dzięki pobytowi w Indiach powstały i poza nim liczne fortuny.

„Wielkie wydarzenia — pisał w r. 1840 Macaulay — które dokonały się w Indiach, stworzyły nową kategorię Anglików, których ziomkowie ochrzczili mianem «nabobów». Są to osoby nie pochodzące z reguły ani ze starych, ani też z bogatych rodzin; wysłane z reguły we wczesnej młodości na wschód, zdobyły wielkie majątki, które przywiozły ze sobą do ojczyznoego kraju.”³²

Przypomnijmy sobie Josepha Sedleya, w którym Thackeray wykiął niemiłosiernie owych indyjskich dorobkiewiczów.³³ Setki i tysiące takich Sedleyów bogaciło się w Indiach, by potem wywieźć zdobyte majątki do Anglii. Uprawiana przez urzędników Kompanii na własną rękę i na własny rachunek grabież, uzupełnia znakomicie ogólny obraz łupieskiej polityki, prowadzonej przez Anglików w Indiach w pierwszym okresie rządów Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

Skutki tej polityki nie dały na siebie długo czekać. William Fullarton, poseł do parlamentu, tak charakteryzował wyniki dwudziestoletniego panowania Kompanii w Bengalu: „Dawniej ziemie Bengalu były spichlerzem narodów i składnicą handlu, bogactwa i rękodziela na Wschodzie... Ale tak niezmordowana była energia naszych złych rządów, że w ciągu

³¹ Adam Smith, dz. cyt., s. 322—323.

³² Jest to ustęp z obszerniejszej charakterystyki *nabobów*, zawartej w szkicu historycznym Macaulay'a, zatytułowanym *Lord Clive*. Cytuję za przekładem niemieckim: Thomas Babington Macaulay's kleine geschichtliche und biographische Schriften... übersetzt von Prof. Friedrich Bülow, Leipzig 1850, tom. I, s. 93.

³³ William Makepeace Thackeray, *Vanity Fair*. Polski przekład ukazał się pt. *Targowisko próżności*.

krótkiego okresu dwudziestu lat liczne polacie tych ziem doprowadzono do stanu pustynnego. Pola nie są już uprawiane: wielkie obszary są zarosnięte gęszczem, hodowca jest zrujnowany, rękodzielnik uciśniony; głód spowodował wyludnienie.“

W tym samym czasie Smith, którego świadectwo jest szczególnie cenne, scharakteryzował całokształt zorganizowanej przez Kompanię administracji angielskiej w Indiach tymi słowami: „Dziwny to doprawdy ustrój, w którym każdy urzędnik administracji marzy tylko o tym, aby się z tego kraju wydostać i tym samym jak najprędzej pozbyć się udziału w rządach, a w dniu, w którym go opuszcza unosząc zebraną tam fortunę, staje się względem tego kraju tak całkowicie obojętnym, że nie wzruszyłby się, gdyby go w całości pochłonęło trzęsienie ziemi.“³⁴

W kilka lat później, w r. 1784 — w związku z przygotowywaną reorganizacją Kompanii w kierunku poddania jej silniejszej kontroli (Pitt's India Act) — uchwała Izby Gmin tak ocenia działalność Kompanii: „W wyniku dochodzeń Parlamentu stwierdzono, że Towarzystwo jest całkowicie skorumpowane i jak najbardziej odległe od celów tej instytucji, zarówno politycznych, jak i handlowych; władza pokoju i wojny, nadana w Karcie, została nadużyta przez podsycanie wrogości w celach rabunkowych; wszystkie traktaty pokojowe zawarte przez Towarzystwo doprowadziły jedynie do tylu wypadków wiarołomstwa; kraje niegdyś kwitnące doprowadzono do stanu bezsily, upadku i wyludnienia.“

Ludziłby się jednak, kto by sądził, że liczne zmiany organizacyjne, uchwalane w związku z odnawianiem Karty przywilejów Kompanii, dokonały istotnego przełomu. Bowiem formy organizacyjne zmieniały się w zależności od zmieniających się form wyzysku Indii przez Wielką Brytanię. Istota stosunków pozostawała zatem taka sama.

Toteż nie powinny nas dziwić słowa wypowiedziane przez sir George'a Cornwell Lewisa w Parlamencie w r. 1858, tak bardzo przypominające swym oskarżycielskim tonem uchwałę sprzed 75 lat:

„Stwierdzam z całą świadomością — mówił Cornwell Lewis — że nie istniał nigdy na powierzchni tej ziemi żaden cywilizowany rząd, który byłby bardziej skorumpowany, bardziej perfidny i bardziej chciwy niż Zarząd Towarzystwa Indii Wschodnich.“

Nie przeszkodziło to oczywiście Anglikom we wzniesieniu w katedrze Westminsterkiej bogatego i pompatycznego pomnika Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

Indie i rozwój kapitalizmu angielskiego

Kompania Wschodnio-Indyjska dobrze zasłużyła na ten pomnik, wystawiony jej przez burżuazję angielską. Wszakże historia jej zdobyczy w Indiach nierozdzielnie wiąże się z rozwojem kapitalizmu angielskiego w okresie rewolucji przemysłowej.

Dla uprzytomnienia sobie tego związku warto zestawić kilka dat. Przypomnijmy sobie, że bitwa pod Plassey, która zapoczątkowała terytorialne zdobycze Kompanii i grabież bogactw Indii na wielką skalę, nastąpiła

³⁴ Adam Smith, dz. cyt., s. 325.

w r. 1757. W następnych latach dokonano w Anglii szeregu wynalazków, które oznaczały początek rewolucji przemysłowej. I tak w r. 1764 Hargreaves konstruuje przędzarkę bawełny. W r. 1765 pojawia się maszyna parowa Watta (opatentowana w r. 1769). W r. 1775 Arkwright wynalazł przędzarkę i gręplarkę. Przędzarka Cromptona znajduje zastosowanie od r. 1779, mechaniczne krosna Cartwrighta od r. 1785. Pierwszą maszynę parową w przemyśle bawełnianym zastosowano w r. 1785.

W pierwszej połowie XVIII wieku Anglia była krajem o przeważającym charakterze rolniczym. Co prawda już w tym okresie rozwija się przemysł angielski, którego produkcja w latach 1740—1749 wyższa była o ok. 40% od produkcji w latach 1700—1709, jednakże od połowy XVIII wieku podwaja się tempo wzrostu produkcji, pod koniec zaś tego stulecia, do lat trzydziestych XIX wieku potraja się nawet.

W tym czasie dokonują się poważne zmiany w przemyśle angielskim. Przemysł wełniany, stojący początkowo na pierwszym miejscu, został wypredzony przez przemysł bawełniany. Zużycie bawełny przez ten przemysł wynosiło w r. 1781 ok. 2,5 miliona kg, w r. 1810 wzrosło dwudziestopięciokrotnie i osiągnęło w r. 1831 poziom 125 milionów kg. Przemysł żelazny przeżywa również okres gwałtownego rozwoju. Produkcja żelaza wynosiła w Anglii w r. 1788 ok. 68.000 t. i podwoiła się w ciągu 8 lat. Następnym lat dziesięć przyniosło ponowne podwojenie się produkcji żelaza, która osiągnęła poziom 250 000 t. W r. 1820 Anglia wytwarzała 400 000 t. żelaza, w r. 1830 prawie 700 000 t., a w r. 1840 już 2 000 000 ton. Wydobywanie węgla wzrosło z 3 milionów ton w r. 1700 do 10 milionów w r. 1800 i 35 milionów ton w r. 1845.

Pierwszą lokomotywę skonstruował Stephenson w r. 1814, w r. 1830 uruchomiona została linia kolejowa Liverpool — Manchester, w r. 1840 sieć kolejowa w Anglii miała już 1.350 km.

Ten niezwykle szybki, gwałtowny rozwój gospodarczy Anglii, zwany przez historyków „rewolucją przemysłową“, oprócz ogólnych warunków społecznych wyrażających się przede wszystkim w ustanowieniu władzy burżuazji oraz powstaniu proletariatu, wymagał ogromnej akumulacji kapitału. Jednym z najistotniejszych elementów tej akumulacji były właśnie bogactwa Indii, które po bitwie pod Plassey popłynęły szerokim strumieniem do Anglii.

„Napływ skarbów indyjskich — pisze jeden z angielskich autorów — nie tylko wydatnie zwiększył kapitał pieniężny naszego narodu, lecz wzmógł znacznie jego energię i przedsiębiorczość. Lupy z Bengalu zjawily się w Londynie prawie natychmiast po bitwie pod Plassey i skutki tego stały się od razu widoczne. Wszystkie autorytety przyjmują datę 1760 jako początek «rewolucji przemysłowej». Przedtem maszyny do przędzenia bawełny w Lancashire były równie prymitywne jak w Indiach, a angielski przemysł żelazny podupadał coraz bardziej z powodu ubytku lasów dostarczających paliwa... Zmiany po bitwie pod Plassey (1757) nastąpiły z niezwykłą szybkością. Lecz wynalazki maszyn przedziałniczych, maszyny parowej i zastąpienie drzewa węglem przy wytopianiu rudy żelaznej, aczkolwiek przyspieszyły proces uprzemysłowienia, nie były główną jego podstawą. Właściwy impuls i tempo zostały nadane przez płynny i ruchliwy kapitał pieniężny. Przed napływem bogactw indyjskich, które umożliwiły szybką rozbudowę kredytu, brakło dostatecznie silnego kapitału. Gdyby

Watt urodził się o pięćdziesiąt lat wcześniej, jego wynalazek maszyny parowej powędrowałby z nim razem do grobu. Żadna inwestycja w dziejach nie dała tak wspaniałych zysków jak podbój Indii; przez około pół wieku Anglicy nie mieli tam żadnego konkurenta. W okresie 1694—1757 rozwój gospodarki angielskiej był względnie wolny. W okresie 1760—1815 przybrał zawrotne tempo.“³⁵

Konsekwencją gwałtownego rozwoju przemysłu angielskiego w drugiej połowie XVIII wieku oraz na przełomie XVIII i XIX stulecia był wzrost produkcji, ogromne zwiększenie się ilości towarów, wymagające rozszerzenia rynku zbytu. Dotychczasowy krąg odbiorców nie wystarczał już dynamicznie rozwijającej się produkcji. Innymi słowy, kapitalizm merkantylny dobiegał swego kresu, zaczynały zwyciężać zasady kapitalizmu wolnohan-
dlowego.

W imię tych zasad zaatakowana została monopolistyczna pozycja Kompanii Wschodnio-Indyjskiej zarówno przez coraz potężniejszy przemysł angielski, jak też i przez te koła handlowe, które w konsekwencji monopolistycznych przywilejów Kompanii nie mogły prowadzić interesów z Indiami i ciągnąć stąd obfitych zysków. Opór Kompanii został przezwyciężony, co wyraziło się w szeregu aktów prawnych, przekształcających — jak już o tym była mowa wyżej — dość zasadniczo oblicze Kompanii. W r. 1813 utraciła ona swe monopolistyczne stanowisko w handlu z Indiami.

D z i e ł o z n i s z c z e n i a

W ciągu XIX wieku nastąpiło zasadnicze przeobrażenie stosunków gospodarczych między Indiami i Anglią. Istotą tych zmian było zniszczenie przemysłu indyjskiego i stworzenie z Indii rynku zbytu dla wyrobów przemysłu angielskiego. Indie, z jednego z przodujących krajów produkcji przemysłowej, zamieniły się w zacofany kraj rolniczy dostarczający Anglii surowców rolniczych i zakupujący wyroby gotowe. Proces ten był bardzo gwałtowny i zaciążył w sposób złowrogi na półtora wieku nad historią gospodarczą Indii. Niezmiernie trudne problemy ekonomiczne dzisiejszych Indii w poważnej mierze tkwią swymi korzeniami w tym okresie niszczenia indyjskiego zwycięstwa kapitalizmu angielskiego.

Już w poprzednim okresie rozwój angielskiego przemysłu bawełnianego chroniony był przed konkurencją wyrobów indyjskich wysokimi cłami ochronnymi.

„...Indyjskie wyroby jedwabne i bawełniane — pisze o okresie przed 1813 r. angielski historyk Indii — można było sprzedawać z zyskiem na rynku brytyjskim po cenie 50—60% niższej niż tkaniny angielskie. Ochrona tych ostatnich cłami w wysokości 70—80% wartości lub przez wyraźny zakaz przywozu stała się konieczna. W przeciwnym wypadku fabryki w Paisley i Manchester musiałyby stanąć w samym początku swego istnienia i nie daloby się ich ponownie uruchomić, nawet z pomocą pary. Dla ich stworzenia poświęcono przemysł indyjski.“³⁶

³⁵ Brooks Adams, *The Law of Civilisation and Decay* — cytuję za R. Palme Dutt, dz. cyt., s. 106.

³⁶ H. H. Wilson, *History of British India*, t. I, str. 385 — cytuję za R. Palme Dutt, dz. cyt., str. 111.

O rozmiarach i szybkości, z jaką przemysł angielski zrealizował swoje zwycięstwo nad przemysłem indyjskim, świadczą następujące liczby: w latach 1814—1835 wzrósł eksport do Indii tkanin bawełnianych, wytwarzanych przez przemysł angielski, przeszło pięćdziesięciokrotnie (z mniej niż milion jardów³⁷ do 51 milionów jardów). W tym samym czasie import tkanin indyjskich do Anglii zmniejszył się z 1.250.000 sztuk do 306.000, w dalszych latach zaznaczył się dalszy spadek, tak że import ten wynosił w r. 1844 już tylko 63.000 sztuk. Odpowiednio uległa zmianie wartość eksportu i importu. W latach 1815—1832 wartość importu wyrobów bawełnianych do Indii wzrosła z 26.000 funtów do 400.000, eksport zaś indyjskich towarów bawełnianych zmniejszył się z 1,3 miliona funtów do 100.000.

Za tymi liczbami kryje się ruina i tragedia milionów indyjskich rzemieślników. Wykorzystywani przedtem bezlitośnie przez Kompanię i jej pracowników — teraz znaleźli się całkiem bez pracy, bez możliwości zdobycia środków do życia. Wielki ośrodek indyjskiego przemysłu bawełnianego — Dacca, skąd eksportowano w r. 1787 do Anglii muślin za 3 miliony rupii — podupadł zupełnie. W r. 1817 eksport muślinu z Dakki ustał. Ludność tego miasta, która wynosiła 150 tysięcy, spadła w krótkim okresie czasu do 30 tysięcy. Nie było przesady w powiedzeniu lorda Williama Cavendish-Bentincka, gubernatora Indii w latach 1828—1836: „*Kości i tkaczy bawełnianych bieleją na szerokich równinach.*”³⁸

Proces wyniszczenia rzemiosła indyjskiego obejmował nie tylko tkactwo bawełniane, lecz również rzemiosło wytwarzające wyroby jedwabne, artykuły metalowe, garncarskie itd.

Procesowi temu, który kładł kres wielkim tradycjom technicznym i gospodarczym Indii³⁹, nie towarzyszyło tworzenie nowego przemysłu fabrycznego. Toteż miliony rzemieślników indyjskich zmuszone były przejść do pracy w rolnictwie. W ten sposób jeden z najtrudniejszych współczesnych problemów indyjskich — przeludnienie wsi — wiąże się również w dużym stopniu z gospodarczymi poczynaniami angielskich kolonizatorów w okresie bezwzględnej likwidacji konkurencji indyjskiej wytwórczości.

Prezes manchesterskiej izby handlowej, Thomas Bazley, tak sformułował przesłanki dla dalszego rozwoju angielskiej polityki gospodarczej w stosunku do Indii: „*Przestrzeń Indii jest niezmierzona, a ludność ich mo-*

³⁷ 1 jard = 91,5 cm.

³⁸ Por. J ü r g e n K u c z y n s k i, *Die Geschichte der Lage der Arbeiter im englischen Kolonialreich von 1800 bis zur Gegenwart*. Berlin 1950, s. 38.

³⁹ Dr P r a m a t h a n a t h B a n e r j e a w swojej pracy pt. *A Study of Indian Economics* pisze: „Współcześnie są Indie, jeśli idzie o produkcję przemysłową, krajem zacofanym. Ale był czas, gdy były one jednym z głównych światowych producentów towarów przemysłowych. Jeszcze w XVIII w., jeśli idzie o przemysł, stały one na tym samym poziomie co Europa i wyroby przemysłowe Indii znajdowały chętnych odbiorców we wielu obcych krajach.” (Str. 80.) O wysokim poziomie rzemiosła metalowego świadczy stara broń indyjska. Klingi damasceńskie kute były podobno ze stali sprowadzanej z Hajderabadu. Kolumna żelazna w Delhi, nosząca nazwę *Kutub*, mówi nam o świetności i dawności tradycji rzemiosła metalowego w Indiach. Kolumna ta, na której wyrzyta została pochwała zwycięstwa króla Czandragupty II, żyjącego na przełomie IV i V wieku po n. Chr., waży ponad 6 ton. Po dziś dzień nie wiadomo, jak zdołano w owych odległych czasach odlać tak ogromną bryłę żelaza; odlewnictwo europejskie osiągnęło takie możliwości techniczne dopiero pod koniec XIX w. Kolumna *Kutub* poza tym zupełnie nie uległa w ciągu blisko piętnastu wieków korozji, aczkolwiek wystawiona była na wpływy atmosferyczne.

głaby konsumować wyroby brytyjskie w olbrzymich ilościach. Całe zagadnienie handlu indyjskiego sprowadza się do tego, czy mogą oni nam płacić płodami swej ziemi za towary, które gotowi jesteśmy im posyłać.“⁴⁰

W interesie rozwoju eksportu wyrobów angielskiej produkcji przemysłowej do Indii leżało zatem rozwijanie produkcji i wywozu surowców indyjskich. Toteż od roku 1833 zezwolono Anglikom nabywać w Indiach ziemię i zakładać plantacje. System plantatorski rozwinął się bardzo szeroko, obejmując uprawę kawy, herbaty, kauczuku i indyga. Cechą charakterystyczną tego rozwoju jest zupełne nieliczenie się z istotnymi potrzebami Indii. Zwiększanie się i zmniejszanie powierzchni poszczególnych upraw uzależnione było od interesów angielskich kolonizatorów, którzy zupełnie nie liczyli się z tym, że decyzje ich oznaczały niejednokrotnie śmierć głodową setek tysięcy a czasem nawet milionów mieszkańców Indii. Jaskrawym przykładem takiego postępowania są lata sześćdziesiąte XIX wieku, kiedy to w związku z wojną domową w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zwiększyło się nagle zapotrzebowanie na indyjską bawełnę, jutę itd. Spowodowało to znaczne ograniczenie uprawy ryżu (na rzecz tych surowców przemysłowych), wzrost ceny ryżu i sprzedaż starych zapasów ryżu. W latach 1864—1866 — w tym samym czasie, gdy w jednej tylko Oryssie głód spowodował milion ofiar w ludziach — eksportowano ryż z Indii do Australii, Madagaskaru itd.⁴¹

Do najbardziej zbrodniczych epizodów historii gospodarczej Indii pod panowaniem angielskim należała sprawa opium. Jeszcze w państwie Mogolów eksport opium był monopolem władcy. Monopol ten przejęła z biegiem czasu Kompania Wschodnio-Indyjska, która — począwszy od drugiej połowy XVIII w. — zaopatrywała w opium Indie, Chiny i cały niemal Wschód, osiągając na tym handlu olbrzymie zyski. W r. 1820 Chiny wydały zakaz importowania opium. Kompania w odpowiedzi na to zorganizowała przemyt, a po tzw. wojnie opiumowej — w dwadzieścia lat później — Anglicy wymogli na Chinach otwarcie granicy dla opium. Po likwidacji Kompanii monopol opiumowy przeszedł na rząd angielski, który dopiero od r. 1906 wyraził zgodę na zmniejszenie eksportu opium do Chin — i to tylko w miarę zmniejszenia przez Chiny areалу upraw maku.

Począwszy od r. 1833 wzrasta gwałtownie eksport surowców z Indii. Mówią o tym następujące dane:

	1833	1844
wywóz surowej bawełny w tonach	14.500	40.000
wywóz wełny owczej w tonach	1,7	1.200
wywóz siemienia lnianego w buszlach	2.100	237.000

Również i w dalszych latach trwa nieprzerwany wzrost wywozu surowców z Indii. Eksport bawełny surowej zwiększył się w okresie 1849—1914 trzynastokrotnie, eksport juty w tym samym czasie wzrósł sto dwadzieścia sześć razy, eksport zaś ryżu i pszenicy — dwadzieścia dwa razy. W tym czasie klęski głodowe nawiedziły Indie więcej niż trzydziestokrotnie.

⁴⁰ Cytuję za R. P a l m e D u t t e m, dz. cyt., s. 114.

⁴¹ Fakty te przytacza M a r k s w II tomie *Kapitału*. Por. K a r l M a r x, *Das Kapital. Zweiter Band*. Berlin 1953, st. 135, przypisek 16.

⁴² 1 buszel = 36,3 litra.

W artykule ogłoszonym w „New York Daily Tribune“ w r. 1853⁴³ Karol Marks zwrócił uwagę na dokonujące się w Indiach dzieło niszczenia: na upadek rolnictwa, spowodowany zaniedbaniem przez Anglików systemu kanałów i urządzeń irygacyjnych, na zupełny upadek tkactwa oraz na zniszczenie prastarych form organizmu społecznego, w których żyły setki milionów mieszkańców Indii. „Brytyjska maszyna parowa i brytyjska nauka zniszczyły w całym Hindostanie związek między uprawą roli a rzemiosłem“ — pisze Marks, dalej zaś — po zwięzłej charakterystyce tzw. *village system*⁴⁴ — w ten sposób ocenia dokonujący się we współczesnych mu Indiach proces rozkładu form społecznych:

„Te drobne stereotypowe formy organizmu społecznego przeważnie się rozpadły i znikają z powierzchni Indii, nie tyle wskutek brutalnej ingerencji brytyjskiego poborcy podatkowego i brytyjskiego żołnierza, ile dzięki działaniu angielskich maszyn parowych i angielskiego wolnego handlu. Ta wspólnota rodzinna była oparta o rzemiosło domowe, o specyficzne połączenie ręcznego tkactwa, ręcznego przedziałnictwa i ręcznej uprawy roli, dzięki czemu mogła sama zaspokajać swe potrzeby. Angielska ingerencja przeniosła przędzarnię do Lancashire, a tkacznię do Bengali lub też obydwu, tj. hinduskiego przędzarnię i hinduskiego tkacznię zmiołła z powierzchni ziemi. Prowadziła ona do rozpadnięcia się tych małych, na wół barbarzyńskich, na wół cywilizowanych wspólnot rozbijając ich bazę ekonomiczną i wywołując w ten sposób największą i w rzeczywistości jedyną rewolucję s o c j a l n ą, jaką Azja kiedykolwiek przeżyła. Aczkolwiek uczucie ludzkie wzdyga się na widok zniszczenia i rozkładu dziesiątków tysięcy pracowitych, patriarchalnych i pokojowych organizacji społecznych, rzuconych w morze nieszczęść, na widok ich członków pozbawionych jednocześnie swej starej formy cywilizacyjnej i dziedzicznych środków utrzymania — nie wolno nam jednak zapominać, że te idylliczne wspólnoty wiejskie mimo swej pozornej niewinności były zawsze silną podstawą wschodniego despotyzmu, że zamykały one umysł ludzki w możliwie najwęższych granicach czyniąc zeń powolne narzędzie przesady, czyniąc zeń uległego niewolnika tradycyjnych zasad, pozbawiając go wszelkiej wielkości i historycznej aktywności. Nie wolno nam zapominać o egoizmie barbarzyńców, którzy przyglądawszy do nędznego skrawka ziemi spokojnie patrzyli na upadek całych imperiów, na niesłychane okrucieństwa, masakry ludności w wielkich miastach — spokojnie patrzyli na to wszystko nie udzielając temu większej uwagi niż zjawisku przyrody, sami stając się bezbronnym łupem każdego napastnika, który zaszczylił ich w ogóle swą uwagą. Nie wolno nam zapominać, że ta niegodna człowieka wegetacja,

⁴³ Artykuł pt. *Brytyjskie panowanie w Indiach* cytuję wg tłumaczenia ogłoszonego w tomie I *Dzieł wybranych Karola Marksa i Fryderyka Engelsa*, Warszawa 1949, s. 319 i ns.

⁴⁴ „...dwie okoliczności — z jednej strony fakt, że Hindusi... pozostawiali rządowi centralnemu troskę o roboty publiczne na wielką skalę, będące najważniejszą przesłanką rozwoju ich rolnictwa i handlu, z drugiej zaś strony fakt, że ludność Indii rozproszona jest po całym kraju i tworzy małe, bardziej zaludnione skupienia tylko wskutek tego, że praca na roli i rzemiosło zjednoczone są patriarchalną więzią — te dwie okoliczności powołały do życia od niepamiętnych czasów szczególny system społeczny, tzw. *village system*, w ramach którego każda z tych drobnych jednostek była zorganizowana niezależnie od innych i pędziła swój odrębny żywot.“ (K. M a r k s, dz. cyt., s. 323).

że ta pasywna forma bytowania wywoływała z drugiej strony, jako reakcję, dzikie, ślepe, nieposkromione siły zniszczenia i uczyniła w Hindustanie z mordu — rytuał religijny. Nie wolno nam zapominać, że te małe wspólnoty były rozdarte podziałem na kasty i niewolnictwem, że oddawały one człowieka w jarzmo zewnętrznym okoliczności, zamiast go wynieść do roli władcy tych okoliczności, że przekształciły one rozwijający się samorzutnie ustrój społeczny w niewzruszone prawo natury i w ten sposób doszły do zwierzęco-prymitywnego kultu przyrody, którego upodlenie znalazło swój wyraz w tym, że człowiek, władca przyrody, padał pobożnie na kolana przed małpą Hanuman i krową Sabala.“⁴⁵

Stare i nowe metody wyzysku

Procesy upadku gospodarczego i rozkładu form życia społecznego — to zjawiska ściśle związane ze stosowanymi przez angielskich kolonizatorów metodami eksploatacji i wyzysku. Wiek XIX przyniósł — po bezplanowej, dzikiej grabieży, prowadzonej w poprzednim okresie — nowe, lepiej i bardziej nowoczesnie zorganizowane metody, co nie oznacza bynajmniej zaprzestania stosowanych poprzednio form bezpośredniej grabieży, które utrzymują się nadal.

Kapitał przemysłowy w Indiach był zmuszony — we własnym oczywiście interesie — wprowadzić pewne elementy nowoczesnej gospodarki, pewne elementy postępu i rozwoju.

Na pierwszym miejscu należy tu wymienić poważne inwestycje kolejowe. Budowa kolei żelaznych została zapoczątkowana w Indiach w r. 1850, tzn. w dwadzieścia lat po uruchomieniu pierwszej linii kolejowej w Anglii. Rozbudowa sieci kolejowej w Indiach podporządkowana była jednak nie interesom tego kraju, lecz uwzględniała przede wszystkim potrzeby handlu zagranicznego oraz względy strategiczne. Obecnie Indie posiadają sieć kolejową o długości ponad 70.000 km.

„Wiem — pisał Karol Marks w r. 1853, a zatem wkrótce po rozpoczęciu inwestycji kolejowych w Indiach — że angielska burżuazja przemysłowa tylko po to chce uszczęśliwić Indie siecią kolei żelaznych, aby obniżyć koszty sprowadzania stamtąd bawełny i innych surowców, niezbędnych dla jej fabryk. Ale gdy się mechanizuje środki lokomocji w kraju, obfitującym w żelazo i węgiel, to nie można już przeszkodzić temu, aby kraj ten sam produkował maszyny... Koleje żelazne staną się więc w Indiach prawdziwym zwiastunem nowoczesnego przemysłu.“⁴⁶

Rozwój kolei żelaznych, ogromny wzrost tonażu floty handlowej i postęp techniczny w żegludze, wreszcie zaś skrócenie drogi morskiej po uruchomieniu kanału Sueskiego w r. 1869, wszystko to były czynniki umożliwiające szybki wzrost handlu zagranicznego Indii. Oto kilka liczb obrazujących ten proces:

⁴⁵ K. Marks, dz. cyt. s. 324—325.

⁴⁶ K. Marks, art. pt. *Przyszłe wyniki brytyjskiego panowania w Indiach*, dz. cyt., s. 329—330.

wartość w milionach funtów szterl.

	przywozu	wywozu
r. 1835	4,9	7,6
r. 1880	41,2	53,6
r. 1913	122,2	162,8
r. 1928/29	196,5	253,5

Jest rzeczą charakterystyczną, że stale utrzymuje się nadwyżka eksportu. Tylko przez siedem lat (1856—1862) występowała w handlu zagranicznym Indii nadwyżka importowa — i to dość nieznaczna. Jednakże ten czynny bilans handlowy nie oznaczał bynajmniej dla Indii pomyślnej sytuacji gospodarczej. Indie płaciły bowiem Anglii olbrzymi haracz pieniężny, który decydował o tym, że bilans płatniczy Indii był stale bierny. W r. 1846 plk Sykes określił wysokość tego haraczu na 3,5 miliona f. szt. rocznie. „*Indie mogą podolać temu haraczowi — stwierdził Sykes — jedynie dzięki nadwyżce eksportu nad importem.*“ N. Alexander, kupiec z Indii zeznając podobnie jak Sykes przed Komisją Izby Gmin dla spraw plantacji cukru i kawy oświadczył: „*Do 1847 r. import do Indii wynosił około 6.000.000 funtów, a eksport około 9.000.000. Różnicę stanowi haracz ściągany przez Towarzystwo.*“⁴⁷

Ten stan rzeczy oświetlają również w sposób jaskrawy niektóre zeznania złożone w r. 1857 przed Komisją Izby Gmin, w związku z prawną regulacją działalności banków. Import z Indii do Anglii w r. 1855 wynosił — zeznał przed tą komisją Newmarch — 12.670.000 f. szt., eksport angielski do Indii — 10.350.000 f. szt.; bilans zatem czynny na rzecz Indii wyrażał się w tym roku sumą ok. 2.300.000 f. szt. Jednakże India House zgłosił z tytułu londyńskich kosztów Kompanii oraz dywidend dla akcjonariuszów roszczenia w wysokości 3.250.000 f. szt. W ten sposób nie tylko pochłonięty został cały czynny bilans handlowy, lecz powstała również milionowa nadwyżka na korzyść Anglii. Roszczenia India House wyjaśnił Newmarch tym, że Anglicy eksportują do Indii „dobry rząd“.⁴⁸

Sumy przekazywane z Indii do Anglii stale wzrastają. Składają się na nie obok przekazów prywatnych, tzw. „podatki wewnętrzne“, które wzrosły w latach 1851—1901 z 2,5 miliona do 17,3 milionów f. szt., w r. 1914 osiągnęły poziom 19,4, a w r. 1933—1934 doszły do 27,5 milionów f. szt.

R. Palme Dutt ilustruje „stromo wznoszącą się krzywą wyzysku“ następującym wymownym zestawieniem:⁴⁹

	1851	1901	1913/14	1933/34
	w milionach funtów			
Podatki wewnętrzne	2,5	17,3	19,4	27,5
Nadwyżka eksportu	3,3	11,0	14,2	69,7

Jeśli więc angielscy publicyści i politycy mówią o eksporcie angielskiego kapitału do Indii, podkreślając poczynione tam przez ten kapitał inwestycje-

⁴⁷ Cytuję wg. R. P a l m e D u t t a, dz. cyt., s. 119.

⁴⁸ K a r l M a r x, *Das Kapital*. Dritter Band. Berlin 1949, s. 630.

⁴⁹ R. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 120.

cje — to oceniając ich argumentację trzeba pamiętać, że eksport kapitału do Indii był wielokrotnie niższy od haraczu, jaki płaciły Indie Anglii. Innymi słowy — że zacytuje tu sformułowanie Palme Dutta — „brytyjski kapitał, zanim został zainwestowany w Indiach, był w rzeczywistości zagrabiony narodowi indyjskiemu i zapisany jako dług wobec Anglii, od którego naród indyjski musiał płacić odsetki i dywidendy”.⁵⁰

Gdy w r. 1858 Kompania Wschodnio-Indyjska została rozwiązana i Indie Brytyjskie stały się kolonią Korony angielskiej, zadłużenie Indii wynosiło 70 milionów funtów. Dług ten powstał przez obciążenie indyjskich posiadłości Kompanii kosztami wojennych imprez lorda Wellesleya, kosztami wojen afgańskich i wojen z Sikhami oraz kosztami stłumienia powstania w 1857 r. Zadłużenie indyjskie wzrastało po roku 1858 z wielką szybkością i w okresie do 1876 r., tzn. w ciągu osiemnastu lat, podwoiło się, osiągając wysokość 140 milionów f. szt. Na ten wzrost złożyły się w stosunkowo małym stopniu wydatki na koleje i roboty melioracyjne (24 miliony), w poważnej natomiast mierze — obciążenia różnego rodzaju kosztami i opłatami, nie mającymi niejednokrotnie żadnego niemal związku z gospodarką indyjską.⁵¹

Ten system „rozliczania się” z Indiami, który był kontynuacją metody „haraczu” (choć nazwa ta znika w drugiej połowie XIX wieku z urzędowego słownictwa angielskiego), spowodował dalszy systematyczny wzrost długu publicznego, który wyniósł:

rok	ogółem	w tym dług szterlingowy
	w milionach funtów	
1858	70	ok. 4
1876	140	ok. 70
1900	224	133
1913	274	177
1939	884	352

Rozwój sieci kolejowej w Indiach zapoczątkował nowy etap w historii gospodarczej tego kraju, charakteryzujący się wzrostem inwestycji prywatnego kapitału angielskiego. Powstają i rozwijają się plantacje herbaty, kawy i kauczuku, pojawiają się drobne i średnie przedsiębiorstwa. Banki prowincjonalne zlewają się z biegiem czasu w Imperial Bank of India, potężną instytucję finansową, odgrywającą kluczową rolę w życiu gospodarczym Indii.

W ten sposób zostały stworzone podstawy następnego okresu — okresu wycisku przez kapitał finansowy, którego pełny rozwój w Indiach przypada na lata po pierwszej wojnie światowej.

Penetracja kapitału angielskiego w drugiej połowie XIX oraz na początku XX wieku, owe inwestycje brytyjskie w Indiach, które wielu

⁵⁰ R. P a l m e D u t t, dz. cyt. 102.

⁵¹ Obciążono np. Indie kosztami przyjęcia sultana tureckiego w Londynie, utrzymania angielskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Chinach i Persji, kosztami wojny w Abisynii itp.

burżuazyjnych polityków, ekonomistów i publicystów angielskich uważało za uzasadnienie angielskiego władania w Indiach — to zagadnienie wymagające dodatkowego oświecenia. Warto bowiem ustalić, jaki charakter miały te inwestycje, w jakim kierunku szedł pod ich wpływem rozwój gospodarki Indii.

Niedwuznaczną odpowiedź na to pytanie dać można w oparciu o analizę udziału poszczególnych gałęzi życia gospodarczego w ogólnej sumie kapitału angielskiego zainwestowanego w Indiach (i na Cejlonie) w r. 1910, wynoszącej 365 milionów funtów. Z sumy tej przypadło:

na rząd i samorząd miejski	50%
na koleje	37%
na plantacje	6,6%

natomiast:

na kopalnie	0,9%
na handel i przemysł	0,7%

Z liczb tych wyczytać można wyraźnie, jaka była polityka ekonomiczna angielskiego kapitału w Indiach. Zmierzała ona mianowicie do rozwinięcia tych dziedzin życia gospodarczego, które pozostawały w związku z rolą Indii jako źródła surowców i rynku zbytu dla wyrobów przemysłu angielskiego. Natomiast nie rozwijano zupełnie — hamowano wręcz — rozwój nowoczesnego przemysłu w Indiach.

Pod koniec XIX wieku zarysowało się wyraźnie osłabienie pozycji Anglii w gospodarce światowej. Jej monopol przemysłowy został poważnie nadszarpnięty. Odbiło się to — chociaż nieco później niż na innych rynkach światowych — również i w kształtowaniu się angielsko-indyjskich stosunków gospodarczych. Udział Anglii w imporcie indyjskim, który osiągnął w latach 1874—1879 poziom 82% (przy czym dalszych 11% przypadło na inne kraje imperium brytyjskiego), zaczyna się powoli, potem zaś coraz szybciej zmniejszać. I tak udział ten wyniósł:

1874—1879	— 82%
1884—1889	— 79%
1899—1904	— 66%
1909—1914	— 63%

Proces ten trwał nadal po pierwszej wojnie światowej:

1932	— 35%
1935—1936	— 32%
1937—1938	— 30%
1939—1940	— 25%

Ten gwałtowny spadek udziału importu angielskiego w całości importu Indii — mimo okresów przejściowego zahamowania, a nawet wzrostu tego udziału, spowodowanego preferencyjnymi posunięciami — jest jedną z cech charakterystycznych tego okresu i wiąże się w sposób bezpośredni ze zmniejszeniem się eksportu z Anglii do Indii wyrobów bawełnianych. W r. 1913 eksport ten wynosił 3.057 milionów jardów, w r. 1928 zmniejszył się do 1.452,

w r. 1939 do 144 milionów jardów, w r. zaś 1942—1943 poziom jego spadł już do zaledwie 11 milionów jardów.

Na rynku indyjskim przemysł angielski spotyka się z konkurencją japońską, niemiecką i amerykańską. Mimo swego niewątpliwie uprzywilejowanego stanowiska w Indiach przemysł angielski nie jest w stanie utrzymać swojej dawnej pozycji. Udział Japonii w imporcie indyjskim wzrósł w okresie 1914—1936 r. z 2,6% do 16,3%. W tym samym czasie powiększył się import z Niemiec z 6,9% do 9,2%, a ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z 2,6% do 6,7%.

Już z przytoczonych danych statystycznych wynika, że lata po pierwszej wojnie światowej otwierają nowy okres w historii gospodarczej Indii — okres wyzysku i eksploatacji kraju przez angielski kapitał finansowy.

Charakteryzując ten okres, trzeba sobie uprzytomnić, że nie oznacza on poniechania metod wyzysku kolonialnego, uprawianych w poprzednich okresach. „Szybko wzrasta znaczenie metod osiągania zysku, właściwych kapitalizmowi finansowemu” — pisze J. Kuczynski — „Specjalne metody handlowe, które rozwinęły się w okresie władzy kapitalizmu handlowego, znajdują w pewnym stopniu i nadal zastosowanie jako metody pomocnicze. Narzucony import wyrobów angielskich, tak charakterystyczny dla drugiego okresu, gra jeszcze dużą rolę — jakkolwiek angielski udział w imporcie indyjskim spadł z ok. 80% w osiemdziesiątych latach poprzedniego stulecia na mniej niż 40% w latach trzydziestych obecnego wieku. Jednakowoż zasadniczą metodą osiągania zysków jest obecnie ściąganie haraczu dla zapewnienia odsetek angielskiemu kapitałowi.”⁵²

Zmienioną sytuację cechuje (obok wskazanych powyżej zjawisk zmniejszenia się udziału Anglii, zwiększenia zaś udziału innych państw w imporcie indyjskim) bardzo poważne zwiększenie się znaczenia indyjskich inwestycji w strukturze kapitału angielskiego. W r. 1910, kiedy to — jak już wspomniano — szacowano inwestycje angielskie w Indiach (i na Ceylonie) na 365 milionów funtów, suma ta stanowiła 11% ogólnej wartości inwestycji angielskich na świecie. W r. 1933 kapitał zainwestowany w Indiach wynosił już 25%. „Wzrost z jednej dziewiątej do jednej czwartej... — stwierdza R. Palme Dutt — jest miarą wzrostu znaczenia Indii dla brytyjskiego kapitału finansowego i kluczem do nowoczesnej polityki imperializmu.”⁵³

Kapitał finansowy eksploatował Indie jeszcze bardziej skutecznie, niż mogły to zapewnić metody odziedziczone po poprzednim okresie. O poziomie rocznego haraczu płaconego przez Indie pod rządami kapitału finansowego dają pojęcie obliczenia dokonane na podstawie oficjalnych danych statystycznych. Uwzględniając poziom podatków wewnętrznych, odsetki od zainwestowanych kapitałów, prowizje bankowe, należności za usługi linii okrętowych, zyski z przedsiębiorstw i zawodów wolnych oraz pensje obywateli brytyjskich zatrudnionych w przemyśle indyjskim — dojść można do następujących liczb:

⁵² J. K u c z y n s k i, dz. cyt., s. 41.

⁵³ R. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 129.

miliony funtów

1921—1922 ⁵⁴	146,5
1934 ⁵⁵	135
1945 ⁵⁶	135

Oceniając te „osiągnięcia“ kapitału finansowego trzeba uprzytomnić sobie, że są one wielokrotnie wyższe od sum uzyskanych w poprzednich okresach.

Dalszą cechą charakterystyczną tego okresu w gospodarstwie indyjskim jest rozwój przemysłu indyjskiego. Proces ten zapoczątkowany został jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej, chociaż napotykał na jawnie wrogie stanowisko administracji angielskiej. Lord Morley, sekretarz stanu dla Indii, wypowiedział w r. 1910 taką opinię o rozwoju przemysłu:

„Po zbadaniu raportu rządu w Madrasie o projektach utworzenia nowych gałęzi przemysłu w tej prowincji, doszedłem do wniosku, że nie ma powodu do zmiany naszego negatywnego stanowiska w tej sprawie.“

Toteż rozwój przemysłu indyjskiego w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową był bardzo powolny i ograniczał się w zasadzie tylko do przemysłu bawełnianego i jutowego, bardzo skromne początki stawiała produkcja żelaza i stali, natomiast przemysł maszynowy nie istniał wcale.

Zasadnicza zmiana w angielskiej polityce gospodarczej w stosunku do Indii zaznaczyła się dopiero w związku z pierwszą wojną światową. Ogłoszona została oficjalnie polityka uprzemysłowienia Indii.

Jakie były zasadnicze motywy tej decyzji?

Przede wszystkim zaważyły tu względy strategiczne. Brak bazy przemysłowej w Indiach uzależniał Anglię w jej działaniach wojennych na Wschodzie od dalekich dostaw; przecięcie linii komunikacyjnych i trudności w dowozie artykułów przemysłowych w warunkach wojennych wskazywały na przydatność rozwiniętego przemysłu indyjskiego. Ale obok argumentów związanych z sytuacją wojenną na zmianę stanowiska angielskiego kapitału wpłynął fakt, że coraz większą rolę na rynku indyjskim zaczynała odgrywać zagraniczna konkurencja, coraz silniej zagrażająca — zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej — pozycji angielskiej w Indiach. Konkurencji tej postanowił kapitał angielski przeciwstawić przemysł indyjski, nie rezygnując oczywiście z kontroli nad tym przemysłem, umożliwionej dzięki politycznej i finansowej dominacji angielskiej. Nie bez znaczenia

⁵⁴ Statystyki oficjalne brytyjskie nie ułatwiają bynajmniej wyliczeń tego rodzaju, zmierzają raczej do zaciemnienia obrazu. Dlatego też dane zawarte w tej tabeli, obliczone przez różnych ekonomistów i różnymi metodami, traktować należy jako dane szacunkowe, dające pojęcie o rzędzie wielkości. K. T. Shah i K. I. Khambata podają liczby dla r. 1921/22 w książce *Wealth and Taxable Capacity of India*.

⁵⁵ M. Visvesvaraya w swej pracy *Planned Economy for India* podaje liczbę 121 milionów funtów, którą R. Palme Dutt koryguje o sumę podatków wewnętrznych. Porównując lata 1921—1922 oraz następne lata w powyższej tabeli należy uwzględnić, że obliczenie Shaha i Khambaty dotyczy okresu wyjątkowo wysokich cen. Toteż porównywalne dane dla 1934 r. byłyby znacznie wyższe.

⁵⁶ Według Lawrence K. Rosingera, *Independence for Colonial Asia — the Cost to the Western World*.

było również i to, że kolonizatorzy angielscy widzieli w burżuazji indyjskiej sprzymierzeńców w walce ze skrajnym nurtem w ruchu narodowo-wyzwoleńczym, nabierającym coraz większego znaczenia w okresie pierwszej wojny światowej oraz bezpośrednio po niej.

Jednak po roku 1924 nastąpił znowu odwrót od polityki popierania rozwoju przemysłu w Indiach. Równocześnie zmniejszył się — po gwałtownym skoku w latach 1921—1923 — eksport kapitału angielskiego do Indii. O ile w latach 1921—1923 osiągnął on poziom 30,2 milionów funtów (co stanowiło 23,7% całego eksportu kapitału angielskiego w tym okresie), to w latach 1925—1927 wyniósł już tylko 2,1 milionów funtów (1,7% eksportu kapitału), w następnym zaś okresie utrzymał się nadal na bardzo niskim poziomie (1932—1934 r. — 4,2 miliony; 1934—1936 r. — 1 milion funtów).⁵⁷

Proces uprzemysłowienia Indii rozwijał się jednak nieprzerwanie. Obrazują go następujące dane:⁵⁸

rok	ilość fabryk	ilość robotników
1900	1.207	468.956
1910	2.271	792.511
1914	2.874	950.973
1919	3.523	1.171.513
1925	6.926	1.497.158
1930	8.148	1.528.302
1935	8.831	1.610.932

W latach 1900—1935 ilość fabryk wzrosła zatem siedmiokrotnie, ilość zaś zatrudnionych w nich robotników tylko 3,5-krotnie. Średnia ilość robotników przypadających na jedną fabrykę z *m n i e i j s z y ł a* się w tym czasie z 388 do 182 robotników. Oznacza to, że decydujące znaczenie dla wzrostu ilości fabryk miały małe i średnie zakłady pracy.

Obraz sytuacji byłby jednak niezupełny, gdyby nie podkreślić, że powyższe dane statystyczne odnoszą się tylko do przemysłu fabrycznego. Całkiem inaczej natomiast kształtowało się zatrudnienie przemysłowe, jeśli wziąć pod uwagę również niezliczone małe przedsiębiorstwa i warsztaty wytwarzające wyroby nierolnicze, jeśli uwzględnić całą indyjską drobną wytwórczość. Stan zatrudnienia przemysłowego ogółem przedstawiał się następująco:

1911 — 17,5 milionów
1921 — 15,7 „
1931 — 15,3 „

A zatem ogólne zatrudnienie przemysłowe w Indiach spadło w ciągu tych dwudziestu lat o 12,6%. Udział zatrudnienia przemysłowego w ogólnej ilości ludności pracującej zmniejszył się w tym czasie z 11,7% do 10%.

Zatem obok procesu wzrostu przemysłu fabrycznego podkreślić należy, jako cechę charakterystyczną omawianego okresu indyjskiej historii gospodarczej, dalszą *d e z i n d u s t r i a l i z a c j ę* kraju, polegającą na stałym zanikaniu drobnej wytwórczości przemysłowej.

⁵⁷ Dane o eksporcie kapitału angielskiego do Indii — łącznie z Cejlonem.

⁵⁸ J. K u c z y n s k i, dz. cyt., s. 46.

Rozwój przemysłu indyjskiego, ściśle zaś mówiąc: rozwój fabrycznego przemysłu indyjskiego w XX wieku, doprowadził do stworzenia nowego systemu kontroli ze strony kapitału angielskiego. Organami tej kontroli są tzw. agencje kierownicze. „System agencji kierowniczych — pisze R. Palme Dutt — jest specyficzną cechą gospodarki imperialistycznej w Indiach i innych częściach Azji; stanowi on jedną z najważniejszych broni utrzymujących brytyjską kontrolę nad indyjskim rozwojem przemysłowym. Dzięki temu systemowi niewielka stosunkowo ilość agencji koordynuje i kontroluje i w znacznym stopniu finansuje różnorodne towarzystwa i przedsiębiorstwa przemysłowe, kieruje ich operacjami i produkcją, sprzedaje ich wyroby, podczas gdy zarządy odgrywają jedynie podrzędną a nawet nominalną rolę. Śmietankę zysków zgarniają nie akcjonariusze, lecz agencje kierownicze. Zgodnie z danymi ankiety Komisji Taryfowej w sprawie tkanin bawełnianych w 1927 r., prowizja wypłacona urzędnikom agencji kierowniczych przez bombajskie przedsiębiorstwa bawełny w ciągu dwudziestu lat 1905—1925 wyniosła przeciętnie rocznie 5,2% wpłaconego kapitału. Jest to oczywiście niezależne od wszelkich dywidend z tytułu akcji posiadanych przez agencje oraz od prowizji z zakupów i sprzedaży. Znane są wypadki, w których przedsiębiorstwa bawełny ponosiły straty, a agencja kierownicza otrzymywała większą prowizję niż całość strat przedsiębiorstwa, którą zarządzała.”⁵⁹

Decydujące znaczenie w gospodarce Indii miały agencje angielskie, których zakres wpływów znacznie rozszerzył się w okresie kryzysu gospodarczego po r. 1929.

Jednakże najistotniejszym czynnikiem, który zapewniał angielskiemu kapitałowi finansowemu istotne opanowanie i kierownictwo życiem gospodarczym Indii, był system bankowy. Reserve Bank of India (bank emisyjny), Imperial Bank of India oraz szesnaście banków angielskich i innych zagranicznych, finansujących handel importowy i eksportowy — oto aparat, przy pomocy którego kapitał angielski prowadzi wszechstronną kontrolę gospodarki indyjskiej. Indyjskie banki akcyjne odgrywały znacznie mniejszą rolę, nie mówiąc już o tym, że szereg spośród nich pozostawał pod kontrolą zagraniczną.

T. C. Goswami w swej wypowiedzi, załączonej do raportu Komisji dla Spraw Kapitału Zagranicznego, w ten sposób scharakteryzował działalność aparatu bankowego w Indiach: „Chciałbym wyrazić powszechną opinię, opierając się na solidnej podstawie faktów: w sprawach kredytu istnieje dyskryminacja rasowa i polityczna i Hindusi nie są traktowani tak, jakby należało ich traktować z tytułu posiadanych przez nich aktywów. Z drugiej strony przemysłowcom brytyjskim przyznaje się często większy kredyt, niż powinni by otrzymać przy stosowaniu normalnych zasad handlowych.”

Bankowość angielska w Indiach reprezentowała bowiem interesy angielskie i do zadań jej należało, obok egzekwowania haraczu na rzecz Anglii. przeciwdziałanie rozwojowi samodzielnego kapitału, samodzielnego przemysłu i samodzielnej burżuazji indyjskiej.

Po tej ogólnej charakterystyce gospodarczego aparatu eksploatacji i wyzysku w Indiach oraz stosowanych przezeń metod trzeba, dla pełni obrazu, wspomnieć o zmianach ustroju politycznego, którego formy kształtowały

⁵⁹ R. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 142.

się zgodnie z potrzebami i interesami angielskich kolonizatorów w Indiach. Ustrój polityczny, ustalony w r. 1858, tzn. w momencie bezpośredniego objęcia przez Koronę angielską rządów nad Indiami, nie ulegał głębszym zmianom przez długie lata. W miejsce prezesa Rady i tajnego Komitetu ustanowiony został Sekretarz Stanu dla Indii i rada złożona z 15 członków. Na czele administracji w Indiach stał wicekról.

Okres bezpośrednio po 1858 r. zaznaczył się usprawnieniem administracji w Indiach, połączeniem dotychczasowych wojsk Kompanii z wojskami królowej. Uporządkowany został system podatkowy. Dotychczasowe sądy Kompanii zastąpione zostały sądami najwyższymi. W r. 1860 wydany został kodeks karny, w następnym zaś roku kodeks postępowania karnego.

Nie był oczywiście istotną zmianą ustrojową fakt proklamowania w dniu 1 stycznia 1877 r. królowej Wiktorii — cesarzową Indii, *Kaisar-i Hind*.⁶⁰ W długiej liście godności, piastowanych przez władców Imperium Brytyjskiego, pojawił się nowy tytuł.

Centralnym punktem w zagadnieniu ustroju politycznego był przez cały ten okres problem udziału ludności Indii w rządach. Reformy w tym zakresie rozwijały się powoli, w miarę tego jak angielscy władcy Indii musieli w coraz większym stopniu liczyć się z budzeniem się świadomości narodowej i politycznej tej ludności. Począwszy od *Councils Act* z r. 1861 ciągnie się, aż do momentu stworzenia po drugiej wojnie światowej dominiów Hindustanu i Pakistanu, konsekwentna polityka angielska, zmierzająca do odsuwania ludności Indii od istotnego wpływu na rządy przy równoczesnym stwarzaniu pozorów ustępstw na rzecz zasady zwiększenia jej udziału w rządzeniu krajem.

Proklamacja królowej Wiktorii z r. 1858 głosiła m. in.: „*Jest naszą wolą, o ile to możliwe, aby nasi poddani, bez względu na rasę i wyznanie, byli swobodnie i bezstronnie dopuszczani do sprawowania tych urzędów w naszej służbie, które mogą wykonywać dzięki swojemu wykształceniu, zdolnościom i uczciwości*“.⁶¹

W praktyce okazało się to możliwe w ograniczonym zakresie — to znaczy z wyłączeniem kierowniczych stanowisk. W tej sytuacji zwiększenie ilości Hindusów w służbie państwowej, jak np. za rządów lorda Ripona (1880—1884), nie oznaczało bynajmniej zwiększenia ich wpływu na rządy.

W trzy lata po proklamacji królowej Wiktorii, w r. 1861, *Councils Act* powołał sześciu mianowanych członków Rady Ustawodawczej przy wicekrólu. Znaleźli się wśród nich również członkowie pochodzenia indyjskiego. Rok 1884 przyniósł ustawy samorządowe, które wprowadzały wybieralność organów samorządu komunalnego. W r. 1892 ustawą o indyjskich organach doradczych wprowadzeni zostali w skład prowincjonalnych rad ustawodawczych pośrednio wybierani członkowie. W r. 1909 przeprowa-

⁶⁰ Co prawda ówczesny wicekról Indii lord Lytton określił to wydarzenie jako „początek nowej polityki, na skutek której korona angielska winna być odąd utożsamiona z nadziejami, dążeniami, sympatiami i interesami potężnej tubylczej arystokracji“.

⁶¹ Proklamacja ta nie stanowiła zresztą jakiejś zasadniczej zmiany w stosunku do dotychczasowych sformułowań. Np. statut Kompanii Wschodnio-Indyjskiej z r. 1833 zawierał następujące stwierdzenie: „Żaden Hinduś nie może być usunięty od piastowania jakiegokolwiek urzędu lub stanowiska rządowego ze względu na swoją religię, miejsce urodzenia, pochodzenie lub kolor skóry.“

dzony zostały reformy Morleya i Minto. Zwiększyły one udział wybieralnych członków tak w prowincjonalnych radach ustawodawczych, jak również w Radzie Ustawodawczej przy wicekrólu. Funkcje tych rad jednak i zakres ich kompetencji były niezmiennie ograniczone. Reformy te w intencji swych twórców miały być nieszkodliwym kompromisem. Toteż lord Morley zastrzegał się stanowczo przeciwko traktowaniu ich jako punktu wyjścia do dalszego rozwoju ustroju parlamentarnego w Indiach. „Gdyby reformy te — oto słowa Morleya — pośrednio lub bezpośrednio prowadzić miały do ustanowienia w Indiach systemu parlamentarnego, ja pierwszy nie chciałbym mieć z tym nic wspólnego.“

Sytuacja uległa zmianie po pierwszej wojnie światowej. Ten zwrot, jaki zaznaczył się w polityce gospodarczej w tym okresie, miał również swój odpowiednik w koncesjach ustrojowych. Nowa polityka angielskiego imperializmu w Indiach znalazła wyraz w deklaracji z 20 sierpnia 1917 r., znanej pod nazwą „deklaracji Montagu“, w której m. in. obwieszczono co następuje: „Polityka rządu Jego Królewskiej Mości, z którą rząd Indii zgadza się całkowicie, polega na zwiększeniu udziału Hindusów we wszystkich dziedzinach administracji oraz stopniowym rozwijaniu instytucji samorządowych w celu ostatecznego urzeczywistnienia ustroju parlamentarnego w Indiach, jako integralnej części Imperium Brytyjskiego. Rząd zdecydował, że należy jak najszybciej poczynić poważne kroki w tym kierunku... Postępy można w tej polityce osiągnąć jedynie w kolejnych etapach. Jedynie rząd brytyjski i rząd Indii, na których spoczywa odpowiedzialność za dobrobyt i postęp narodów indyjskich, mogą decydować o terminie i zakresie każdego kroku naprzód.“

W dwa lata później, w r. 1919, *Government of India Act* wprowadził osławiony system diarchii. Polegał on na podporządkowaniu w rządach prowincji niektórych zagadnień ministrom indyjskim, odpowiedzialnym przed prowincjonalnymi izbami ustawodawczymi. Do takich spraw należały oświata i zdrowie. Natomiast zagadnienia kluczowe, jak np. policja i podatki, podporządkowane zostały ministrom, odpowiedzialnym przed gubernatorem. Większość prowincjonalnych izb ustawodawczych była wybieralna, czynne prawo wyborcze obejmowało jednak niespełna 3% ludności.

Rząd centralny w zasadzie nie uległ w r. 1919 zmianom. Ustanowiono przy gubernatorze generalnym Radę Stanu i Zgromadzenie Ustawodawcze, częściowo wybieralne, przy czym prawo wyborcze do tych dwu izb określone było w sposób jeszcze bardziej wąski niż do prowincjonalnych izb ustawodawczych (czynne prawo wyborcze do Rady Stanu przysługiwało ok. 18.000 wyborców, do Zgromadzenia Ustawodawczego ok. 1% ludności).

System diarchii oraz ustawy, które system ten wprowadził, były ostro krytykowane tak przez opinię indyjską, jak też przez rzeczników angielskiego imperializmu.

Następny akt konstytucyjny — to *Government of India Act* z r. 1935, wprowadzony w życie częściowo w r. 1937, bowiem część poświęcona Federacji Wszechindyjskiej nie została w ogóle nigdy zrealizowana. Koncepcja „Federacji“ zmierzała mianowicie do wykorzystania wewnętrznego rozbitcia Indii na kilkaset małych, średnich i większych księstw oraz do stworzenia i zabezpieczenia szczególnie silnej pozycji najbardziej wstecznym elementom politycznym. Np. w projektowanej Radzie Stanu dwie piąte miejsc miało przypaść książętom, w Zgromadzeniu Federalnym zaś jedna

trzecia miejsc, podczas gdy ludność księstw wynosiła zaledwie 24% ogólnego zaludnienia Indii, a 90% dochodów Federacji miało pochodzić z Indii Brytyjskich. Wśród uprawnień Gubernatora Generalnego figurowały m. in. takie, jak mianowanie i odwoływanie ministrów, prawo weta w stosunku do uchwalonej ustawy, wydawanie rozporządzeń z mocą ustawy, rozwiązanie izb, zawieszenie Konstytucji.

Podobne uprawnienia miał gubernator prowincji w stosunku do parlamentów prowincjonalnych. Parlamente te pochodziły całkowicie z wyboru i były wybierane bezpośrednio przez 11% ludności. Kryteriami cenzusu wyborczego był majątek, wysokość płaconych podatków i umiejętność pisanja.

Wśród „specjalnych zadań“ Gubernatora Generalnego, dla realizacji których miał on prawo podjąć wszelkie kroki, uznane przezeń za celowe i uzasadnione, znajdujemy m. in.: „zapobieganie handlowej lub finansowej dyskryminacji w stosunku do brytyjskich obywateli i towarzystw działających w Indiach, bez względu na to, czy są rejestrowane w Indiach, czy w Zjednoczonym Królestwie“ oraz „zapobieganie dyskryminacji w stosunku do brytyjskiego importu do Indii“.

W tych punktach ujawnione zostały istotne cele wszystkich angielskich poczynañ ustrojowych w Indiach. Instytucje polityczne, powołane do życia w różnorodnych kolejnych aktach prawnych, służyć miały angielskim interesom w Indiach, stać miały na straży pozycji i uprawnień angielskiego kapitału, realizowały konsekwentnie politykę imperializmu angielskiego. Wszystko, co nie wiązało się w sposób bezpośredni lub pośredni z tymi celami, było kompromisem, grą pozorów przeznaczonych dla ukrycia właściwej treści.

Pozory jednak nie mogły zaspokoić żądań, które wysuwał coraz potężniejszy, coraz bardziej świadomy swych celów indyjski ruch narodowo-wyzwoleńczy.

Rozwój ruchu narodowo-wyzwoleńczego w Indiach

Indyjski ruch narodowo-wyzwoleńczy formułował swoje zadania i cele w ciągu wiekowej walki. W miarę rozszerzania się społecznej bazy tego ruchu, w miarę jak obejmował on coraz szersze masy ludowe — przekształcało się też jego oblicze, żądania stawały się coraz śmielsze. W ten sposób etapy rozwoju ruchu narodowo-wyzwoleńczego były zarazem etapami tej drogi do wolności, po której i dziś jeszcze kroczą Indie.

Początki ruchu narodowo-wyzwoleńczego sięgają (jeśli pominąć ruch reformatorski Brahmo Sanadź z r. 1823) połowy XIX w. Wtedy to ukazuje się na horyzoncie młoda burżuazja indyjska; pamiętajmy, że w r. 1853 powstała pierwsza indyjska wielka przedziałnia bawełny, w r. 1880 jest ich już 154. W tym samym czasie pojawia się również nowa inteligencja indyjska: lekarze, prawnicy, nauczyciele, urzędnicy. W r. 1857 zostały wszakże założone pierwsze uniwersytety w Kalkucie, Madrasie i Bombaju.

Pierwsze organizacje — zrzeszające przede wszystkim elementy obszarńcze — powstają w latach 1843 i 1851. W r. 1875 założone zostaje Towarzystwo Indyjskie, reprezentujące wyraźnie burżuazję indyjską. Na czele

Towarzystwa stanął Surendra Nath Banerdzi. Z inicjatywy Towarzystwa Indyjskiego zwołana została w r. 1883 w Kalkucie pierwsza Wszechindyjska Konferencja Narodowa.

Jest to okres niezmiernie ciężki. W tym samym czasie, gdy wśród wspa- niałych uroczystości i przepychu ogłoszono królową Wiktorię cesarzową Indii, straszliwa klęska głodu spadła na Dekan, prowincję bombajską i madrasą, zbierając straszliwe pokłosie ok. 5 milionów istnień ludzkich. A lord Lytton prowadził równocześnie drugą wojnę afgańską, która zakończyła się osadzeniem nowego władcy i zajęciem Beludżystanu, co oznaczało zwycięstwo Anglików, ale nie poprawiło w niczym położenia nieszczęśliwej ludności Indii. Wybuchły powstania chłopskie w Dekanie. Anglicy zastosowali ostre represje. W r. 1878 wprowadzono ograniczenia wolności prasowej, w r. 1878 wydano ustawę o broni. Sytuacja jednak stawała się coraz bardziej napężona i nie można było mieć — według słów A. O. Hume'a — cienia wątpliwości, że „znajdowaliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie jak najstraszliwszej rewolucji“, „w obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa strasznego wybuchu“.

Wtedy to właśnie, w r. 1885, został założony Indyjski Kongres Narodowy, który przetrwał po dzień dzisiejszy jako największa organizacja polityczna Indii.

Założycielem Kongresu był A. O. Hume, Anglik, który do r. 1882 był w służbie rządowej, a po przejściu w stan spoczynku zorganizował Indyjski Kongres Narodowy.

Z ujawnionych po wielu latach dokumentów wynika zresztą, że pierwotne projekty Hume'a były inne, zrealizowana zaś została przezeń koncepcja, wysunięta przez... ówczesnego wicekróla Indii, markiza of Dufferin and Ava.⁶²

Kongres pomyślany był przez jego angielskich inicjatorów jako klapa bezpieczeństwa, niezmiernie przydatna w ówczesnej napiętej sytuacji. Dzięki utworzeniu Kongresu udało się podzielić społeczeństwo Indii: elementy lojalistyczne, zorganizowane w Kongresie oddzielono od tzw. „ekstremistów“.

Hume wyraził tę rolę Kongresu bez żadnych osłonek. „Potrzeba było pilnie — to jego słowa — klapy bezpieczeństwa przez danie upustu wielkim i rosnącym niepokojom wytworzonym naszym własnym postępowaniem i nie można było wymyślić skuteczniejszej niż ruch kongresowy.“

Pierwszy okres istnienia Kongresu nie zawiódł jego angielskich twórców.

Pierwsza sesja nie wyszła poza drugorzędne zagadnienia. Przez dwadzieścia lat Kongres był trybuną wiernopoddańczych hołdów i lojalistycznych deklaracji. Wyrażał on interesy burżuazji indyjskiej, postępowych właścicieli ziemskich i zamożnej inteligencji, tzn. tych warstw, które chciały bronić swych interesów współpracując z angielskimi władzami. Toteż przewodniczący Kongresu w r. 1898, Ananda Mohan Bose, stwierdzał: „Klasy oświecone są przyjaciółmi, a nie wrogami Anglii, jej naturalnymi i niezbędnymi sprzymierzeńcami w dziele, które przed nią stoi“. A wtórował mu Surendra Nath Banerdzi, głosząc zasadę „niewzruszonej lojalności wobec Anglii — bo celem naszym jest nie obalenie władzy brytyjskiej, lecz roz-

⁶² Por. L. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 235 i ns.

szerzenie jej podstawy, liberalizacja jej ducha, uszlachetnienie jej charakteru i danie jej mocnego oparcia w miłości ludu“.

Temu kompromisowemu i ultralojalistycznemu stanowisku przywódców Kongresu przeciwstawili się w ostatnich latach XIX wieku nowi politycy, domagający się zerwania z imperialistycznymi władcami Indii. Najbardziej znany i najpopularniejszy był B. G. Tilak. Obok niego jednak cieszyli się dużym wpływem wśród chłopów tacy działacze, jak Bepin Czandra Pal, Aurobindo Gose i Ladżpat Rai.

Już w tym wczesnym okresie rozwoju ruchu narodowo-wyzwoleńczego silnie wystąpiły cechy tak bardzo charakterystyczne i dla późniejszych etapów tego ruchu. Mianowicie opozycja w stosunku do lojalistycznej linii politycznej Kongresu, domagająca się ostatecznego przewyciężenia zasady kompromisu (która przeistaczała się coraz bardziej w zasadę zdrady interesów narodowych), wiązała się zarazem z postawą konserwatyzmu społecznego, z ortodoksyjną religijnością hinduistyczną. Wszakże to właśnie B. G. Tilak był założycielem Towarzystwa Ochrony Krowy i występował przeciwko zwalczaniu małżeństwa dzieci. Te hinduistyczne tendencje były jedną z przyczyn osłabienia ruchu narodowo-wyzwoleńczego, prowadziły bowiem do odsunięcia się od niego poważnego odłamu ludności muzułmańskiej. Charakteryzując ruch narodowo-wyzwoleńczy w Indiach na przełomie XIX i XX stulecia, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na jego podstawową i zasadniczą słabość: słabość więzi z masami ludowymi.

A zbliżał się okres, w którym na arenie życia politycznego miały się te masy ukazać, by z biegiem czasu odgrywać coraz większą, coraz bardziej aktywną rolę.

Rok 1905, rok wrzenia rewolucyjnego, rok wysokiego wzrostu fali rewolucyjnej, zaznaczył się również i w historii Indii jako rok wielkich wydarzeń. Nie było to bynajmniej przypadkiem, że pierwszy potężny zryw walki w Indiach zbiegł się w czasie z klęską caratu w wojnie rosyjsko - japońskiej. Wydarzenie to wszakże głośnym i szerokim echem rozległo się wśród narodów Azji.

Bezpośrednią przyczyną rozpętania się walki w Indiach było zrealizowanie planu Curzona: podziału administracyjnego Bengalu, głównego ośrodka ruchu narodowo-wyzwoleńczego. W dniu 7 sierpnia 1905 r. ogłoszony został bojkot towarów zagranicznych, a w r. 1906 sesja Kongresu uchwaliła nowy program, streszczający się w czterech zasadniczych punktach:

1. S w a r a d ż, tzn. autonomia (hasło to zostało wówczas wysunięte po raz pierwszy);
2. P o p a r c i e b o j k o t u (co oznaczało również poważny postęp, wprowadzało bowiem do arsenału środków walki nową broń ekonomiczną);
3. S w a d e s z i, tzn. postulat rozwoju przemysłu krajowego;
4. Stworzenie i rozwinięcie o ś w i a t y n a r o d o w e j.

Na tej nowej drodze, określonej powyższym programem, nie można było utrzymać jedności Kongresu. W r. 1907 nastąpił rozłam, który trwał aż do r. 1916. Na czele umiarkowanych stanął Gokhala, na czele „ekstremistów“ — Tilak.

Rozwój ruchu i szeroki odzew, jaki znalazło hasło bojkotu ekonomicznego i program z r. 1906, zaniepokoił Anglików. Toteż w r. 1907 nastąpiły poważne represje. Wydano ustawę o „buntowniczych zgromadzeniach”. Tilak został aresztowany w r. 1908 i skazany na sześć lat więzienia. W związku z aresztowaniem Tilaka wybuchnął potężny strajk robotników bombajskiego przemysłu włókienniczego. Po raz pierwszy przemówił wtedy nowoczesny proletariat indyjski.

Uwięzienie i zesłanie licznych działaczy, bezwzględne tłumienie zamieszek chłopskich w Pendzabie, setki wyroków skazujących — oto metody represji, którymi zakończyli angielscy kolonizatorzy tę pierwszą fazę walki, w której gruntowała się w masach świadomość polityczna — żądanie wolności narodowej.

Równocześnie zaś — zgodnie z zasadą *divide et impera* — dla rozbitcia społeczeństwa indyjskiego przeprowadzono w r. 1909 reformy Morleya i Minto, stwarzając umiarkowanym platformę dla nowego kompromisu.

Przybycie nowego wicekróla, lorda Hardinge'a w r. 1910, rewizja podziału Bengal w r. 1911 oraz koronacja króla i królowej w Delhi, nowej stolicy Indii, w r. 1912 — dały wielokrotnie okazję do stwierdzenia przez przywódców Kongresu, że „wszystkie serca są przepełnione czcią i oddaniem dla Tronu oraz zaufaniem i wdzięcznością dla brytyjskiej sztuki rządzenia”.

Tak dobiegł kresu pierwszy okres wzmóżonej walki narodowo-wyzwolenczej.

Nowym wstrząsem, który pobudził aktywność polityczną w Indiach, była pierwsza wojna światowa. Wojska indyjskie walczyły na froncie francuskim, w Mezopotamii, Turcji i Palestynie. Odczuły również Indie finansowy ciężar wojny. Podczas gdy przywódcy polityczni wyrażali swe lojalne uczucia w stosunku do Anglii i Imperium — wśród mas ludowych rosło niezadowolenie. Ciężary finansowe, wzrost cen, krzewiące się paskarstwo, a wreszcie straszliwa epidemia influenzy, w czasie której zmarło w Indiach 14 milionów ludzi — okrutna ta nędza i niewola ludu znalazła ujście w rewoltach chłopskich i buntach w wojsku.

Od r. 1916 następuje również ożywienie działalności politycznej. W roku tym w Kongresie jednoczą się ugodowi i ekstremiści, likwidując w ten sposób rozbitcie, które trwało od r. 1907. Zacieśniają się związki Kongresu i Ligi Muzułmańskiej. Tilak zakłada ligę „samorząd dla Indii”. Naczelne hasło ruchu narodowo-wyzwolenczego brzmi w owym czasie: „Autonomia na wzór innych dominiów — Indie równorzędnym partnerem w Imperium”.

Nadchodzi historyczny rok 1917. Rewolucja Październikowa wywiera głęboki wpływ również i na stosunki w Indiach. W parę miesięcy po upadku caratu deklaracja Montagu określiła (w sposób zresztą niejasny) zasadę rozwijania w Indiach instytucji samorządowych jako przygotowania ustroju parlamentarnego. Jest to następna — i znowu udana — próba rozbitcia ruchu narodowo-wyzwolenczego, wykorzystująca chwiejność kierowniczych kół partii Kongresu.

W r. 1917 sesja Kongresu obradowała w Kalkucie pod przewodnictwem... angielskiej teozofki Annie Besant. Na sesji tej uchwalono rezolucję, w której czytamy: „Kongres, przemawiając w imieniu zjednoczonego narodu Indii, pozwala sobie przekazać Jego Królewskiej Mości Królowi i Cesarzowi

wyrazy głębokiego przywiązania dla Tronu, niezachwianej lojalności dla Wielkiej Brytanii i zdecydowanej woli wytrwania przy boku Imperium Brytyjskiego za wszelką cenę.“

Jednakże pod wpływem nastrojów mas — w następnym roku sesja Kongresu w Bombaju potępiła powyższą rezolucję, co stało się powodem opuszczenia Kongresu przez umiarkowanych. Ta ich secesja dała początek Indyjskiej Federacji Liberalnej, skupiającej te elementy spośród indyjskiej burżuazji, które dążyły do otwartej współpracy z kapitalizmem angielskim.

W r. 1919 ogłoszony został, jako wykonanie deklaracji Montagu, *Government of India Act*, wprowadzający ów nieszczęsny system diarchii. Mimo że reformy ustrojowe, zawarte w tym akcie prawnym, nie mogły w najmniejszej nawet mierze zaspokoić nadziei, jakie budziły się w Indiach w tym okresie oraz jakie wiązano z deklaracją Montagu — Gandhi, który zaczął odgrywać decydującą rolę w indyjskim ruchu narodowo-wyzwoleńczym, w wydawanym przez siebie piśmie „Young India“, wypowiedział się dn. 31 grudnia 1919 r. na ten temat w sposób następujący: „Ustawa o reformach wraz z Proklamacją stanowią poważny dowód intencji narodu brytyjskiego sprawiedliwego postępowania wobec Indii i powinny usunąć wszelkie podejrzenia na ten temat... Jest więc naszym obowiązkiem nie poddawać reform uszczypliwej krytyce, lecz zabrać się do pracy, aby im zapewnić powodzenie.“

Pod wpływem Gandhiego i pani Besant, a wbrew opozycji C. R. Dasa, Kongres ustosunkował się pozytywnie do reform.

Ale to stanowisko Kongresu stało w jawnej i coraz bardziej jaskrawej sprzeczności z nastrojami mas ludowych. Już pod koniec r. 1918 Indie ogarnął ruch strajkowy na wielką skalę. Gdy w pierwszych miesiącach 1919 r. sytuacja nie uległa zmianie — rząd wprowadził w marcu ustawę Rowlat-ta, przedłużającą specjalne pełnomocnictwa rządowe również i na okres powojenny. Wobec powszechnego wzburzenia, jakie wywołało to pociągnięcie — przywódcy polityczni nie mogli pozostać obojętni. Gandhi postanowił wobec tego stworzyć ligę *Satiagraha* jako organizację biernego oporu. Sięgał on w ten sposób do metod, którymi uzyskał znaczne wyniki w czasie swej działalności w Afryce Południowej.

Ale ten potężny ruch, jaki objął całe niemal Indie, ta woła walki, która przejawiała się w aktywności szerokich mas — to były w historii Indii fakty nowe, fakty — tak dla licznych przywódców politycznych, jak też i dla rządu angielskiego — niespodziewane.

Charakterystyczna była reakcja na te wydarzenia: władze angielskie zastosowały bezwzględne represje. W Amritsar generał Dyer kazał strzelać do tłumu, powodując straszliwą masakrę.⁶³ W Pendżabie wprowadzony został stan wojenny. Użyto dla opanowania sytuacji wszelkich środków policyjnych.

Charakterystyczna była również reakcja z drugiej strony: gdy wrzenie i wzburzenie w całym kraju doprowadziło do przekroczenia granic nakreślonych zasadami *Satiagraha*, biernego oporu, gdy doszło do obustronnych

⁶³ Co prawda pod naciskiem opinii rząd zbadał przez komisję, powołaną w tym celu, zbrodnię w Amritsar i potępił ją, ale gen. Dyer otrzymał... pochwałę oraz nagrodę w wysokości 20 tys. funtów.

aktów zastosowania siły — w połowie kwietnia 1919 r. Gandhi zawiesił masowy ruch biernego oporu.

Ale mimo to uspokojenie nie nastąpiło. Wciąż trwały zamieszki, demonstracje, strajki. Fala potężnego wzburzenia stale narastała. Pierwsza połowa r. 1920 — to najwyższe nasilenie ruchu strajkowego, w którym uczestniczyło pół miliona robotników. Kryzys gospodarczy pogłębiał nędzę mas, skłaniał je do szukania rewolucyjnego rozwiązania.

Wobec tych rewolucyjnych nastrojów Kongres musiał zmienić stanowisko zajęte w grudniu 1919 r., a wyrażające się w akceptacji reform ustrojowych. We wrześniu 1920 r. Kongres postanowił stanąć na czele masowego ruchu i postawił zasadę odmowy współpracy bez uciekania się do siły. Na gruncie tej zasady zjednoczyły się różne grupy Kongresu — pod przewodnictwem Gandhiego i Motilala Nehru — oraz muzułmanie, na czele których stali bracia Ali.

„Odmowa współpracy bez uciekania się do siły — aż do naprawienia krzywd i ustanowienia Swaradżu“ — miała być wprowadzana w życie w trzech etapach. Pierwszy etap obejmował zrzeczenie się nadanych przez rząd tytułów oraz bojkot izb ustawodawczych, sądów i uczelni. W drugim etapie nastąpić miało wskrzeszenie i rozpowszechnienie ręcznego tkactwa i przedzenia. Treść trzeciego etapu stanowić miało wreszcie nieplacenie podatków.

Masowe nieposłuszeństwo cywilne (ściśle wiążące się w koncepcji Gandhiego z jego podstawową tezą filozoficzno-religijną — nie uciekania się do gwałtu) — realizowane było z ogromnym entuzjazmem przez masy ludowe. W praktyce jednak ten ruch masowy przekraczał granice, jakie chcieli mu wyznaczyć przywódcy Kongresu. Wybuchł więc strajk kolejowy w Assamie, rozwijała się (choć Kongres nie ogłosił jeszcze wkroczenia w trzeci etap) kampania antypodatkowa w Midnapur, zaczęło się powstanie w Malabarze, wreszcie zaś ruch Akali skierował swą działalność w Pendżabie przeciwko obszarnikom. Przyjazd księcia Walii spowodował wzmożenie ruchu. 17 listopada, w dniu jego przyjazdu do Indii, wybuchł strajk powszechny, który spowodował represje i krwawe zamieszki. Zdelegalizowano tzw. ruch narodowych ochotników i aresztowano wielu działaczy. Mimo to napięcie walki nie zmniejszyło się, a sesja Kongresu w Ahmedabadzie uchwaliła prowadzić nadal rozpoczętą kampanię. Na tejże sesji jedyną władzą wykonawcą Kongresu ustanowiony został Mahatma Gandhi.

W tym szczytowym punkcie potężnej fazy walki narodowo-wyzwoleńczej nie zostały podjęte przez Gandhiego decyzje, zmierzające do podjęcia pełnej i konsekwentnej walki z rządami angielskimi. Komunistyczna Partia Indii w ten sposób formułowała w tym okresie pogląd na sytuację i zadania Kongresu: „Jeśli Kongres ma stanąć na czele rewolucji, która wstrząsnęłaby posadami Indii, niechaj nie pokłada całej nadziei jedynie w demonstracjach i chwilowym entuzjazmie. Niechaj wysunie żądania związków zawodowych jako swoje i uczyni program Kisan Sabha ⁶⁴ swoim programem, a wkrótce nadejdzie chwila, kiedy Kongresu nie zatrzyma żadna przeszkoda, gdyż poprze go nieodparta siła całej ludności, świadomie walczącej o swe życiowe interesy.“

⁶⁴ Związki chłopskie.

Kongres nie poszedł jednak tą drogą. Odrzucona została rezolucja określająca Swaradż jako „całkowitą niepodległość wolną od wszelkiej obcej kontroli”.⁶⁵ Realizację hasła niepłacenia podatków postanowiono (pod wpływem Gandhiego) ograniczyć początkowo do liczącego niewiele ponad 80 tys. ludności okręgu Bardoli. W tym momencie nastąpiła decyzja Komitetu Wykonawczego Kongresu, zebranego w Bardoli — oznaczająca całkowite wycofanie się z wielkiej, masowej akcji. Mianowicie na wiadomość o wydarzeniach we wsi Czauri Czaura, gdzie chłopci zabili 22 policjantów, Gandhi uznał za konieczne odwołanie masowego nieposłuszeństwa cywilnego. „Ponieważ za każdym razem, gdy rozpoczyna się masowe nieposłuszeństwo cywilne — głosi jeden z punktów uchwały w Bardoli — następują wybuchy gwałtu świadczące, że kraj nie wyrzekł się jeszcze całkowicie używania siły, Komitet Wykonawczy Kongresu postanawia zawiesić ruch masowego nieposłuszeństwa cywilnego i zaleca... doradzać rolnikom płacenie podatku gruntowego i innych podatków oraz powstrzymanie się od wszelkiej innej działalności agresywnego charakteru.” Poza tym uchwały podjęte w Bardoli brały wyraznie w obronę obszarników, polecając płacenie czynszu oraz broniąc ich legalnych praw. Z wielkiego programu pozostały tylko punkty mówiące o tkaniu i przedzeniu domowym, wstrzeżliwości i działalności oświatowej.

Po decyzjach w Bardoli opadła na szereg lat fala ruchu narodowo-wyzwolenczego w Indiach. Równocześnie zaś zaczynają się szerzyć objawy rozkładu politycznego: Liga Muzułmańska zrywa więź z Kongresem. Działacz zaczyna hinduska Mahasabha, organizacja o nacjonalistycznym i faszystującym charakterze.

W Kongresie na plan pierwszy wysuwa się, założona przez C. R. Dasa i Motilala Nehru — Partia Swaradżu, będąca partią postępowej burżuazji. Osiągnęła ona w wyborach 1923 r. poważne sukcesy i przedstawiciele jej weszli do organów doradczych oraz do Centralnej Izby Ustawodawczej, gdzie stanowiła najsilniejszą partię.

Partia Swaradżu zmierzała — poprzez wejście do parlamentu — do współpracy z imperialistycznymi władcami Indii. Jasno sformułował to stanowisko C. R. Das: „Partia nasza weszła do Parlamentu — mówił on — aby zaoferować współpracę. Rząd przekona się, o ile przyjmie tę współpracę, że partia nasza — to jego ludzie”. Oferta ta jednak nie została przyjęta. Partia Swaradżu nie miała poparcia w masach. Ta jej zasadnicza słabość odbiła się na jej pozycji. Władze angielskie — wobec osłabnięcia ruchu narodowo-wyzwolenczego — zaczęły wycofywać się z wszelkich ustępstw. Jaskrawym dowodem ich nastawienia był fakt, że w Komisji Simona, która miała postawić wnioski dotyczące ustroju Indii, nie było ani jednego przedstawiciela ludności indyjskiej.

Burżuazja indyjska przekonała się raz jeszcze, że na ustępstwa ze strony angielskiej może liczyć jedynie wykorzystując dla swoich celów walkę szerokich mas ludowych.

Ale sytuacja uległa w tym czasie zmianie. W latach 1920—1930 w indyjskim ruchu narodowo-wyzwolenczym pojawiła się nowa siła, z którą się trzeba było poważnie liczyć. Tą nową siłą był proletariát indyjski. Jego ro-

⁶⁵ Z wnioskiem takim wystąpił muzułmanin Hasrat Mohani na sesji w Ahmedabadzie.

ła w wydarzeniach składających się na trzecią z kolei fazę nasilenia walki, w latach 1930—1934, była bardzo poważna.

Rozwijają się związki zawodowe, powstają pierwsze partie robotniczo-chłopskie, narasta fala strajków, osiągająca kulminacyjny punkt w roku 1928, aktywność i uświadomienie mas robotniczych wyraża się w udziale w demonstracjach przeciwko Komisji Simona.

Te procesy przemian, dokonujące się wśród najszerszych mas ludności indyjskiej wpłynęły poważnie na kształtowanie się sytuacji w Kongresie. Lewicowe skrzydło Kongresu, na czele którego stanęli Dżawaharlal Nehru (syn Motilala, obecny premier Hindustanu) oraz Subhas Bose, rosło w siłę. W r. 1927 na sesji w Madrasie pod wpływem lewicy Kongresu uchwalono szereg rezolucji, wśród których znalazło się stwierdzenie, że celem, do którego zmierza Kongres, jest całkowita niepodległość.

Wbrew temu, w r. 1923 w Kalkucie, za Gandhim, który w tym czasie znowu wysunął się na czoło działaczy Kongresu, uchwalono, mimo poważnej opozycji (973 głosy przeciw 1350), zatwierdzić Raport Motilala Nehru, domagający się autonomii Indii w ramach Imperium Brytyjskiego. Zgodnie z propozycją Gandhiego pozostawiono rządowi dla przyjęcia raportu Nehru czas do 31 grudnia 1929 r. Jeśli rząd do tego czasu nie zaakceptuje raportu — postanowiono — zostanie znowu rozpoczęta kampania odmowy współpracy bez uciekania się do siły.

Okres walk z lat 1930—1934 jest szczególnie tragiczny. Cechuje go z jednej strony potężny zryw mas, który przekroczył granice określone przez przywódców Kongresu, z drugiej zaś strony — chwiejne stanowisko tych przywódców, dążących do utrzymania w ryzach masowego ruchu.

W końcu r. 1929 uchwalono na sesji Kongresu w Lahorze, że celem walki (wobec unieważnienia nieprzyjętego przez rząd raportu Motilala Nehru) jest *Purna Swaradž*, czyli pełna niepodległość. Ale wkrótce potem, w styczniu 1930 r., Gandhi opublikował w swym czasopiśmie „Young India“ 11 punktów, za cenę przyjęcia których przez rząd nastąpi odwołanie akcji nieposłuszeństwa cywilnego. Punkty te dalekie były oczywiście od postulatu całkowitej niepodległości.

Kampania rozpoczęła się marszem solnym Gandhiego na brzeg morza, gdzie Mahatma, warząc sól z wody morskiej, uroczyście złamał monopol solny. Poza walką z monopolem solnym, miało cywilne nieposłuszeństwo obejmować bojkot wyrobów zagranicznego przemysłu włókienniczego, bojkot napojów alkoholowych oraz pikietowanie sklepów z tymi towarami. Takie były intencje przywódców Kongresu.

Życie potoczyło się inaczej. Rozwijać się zaczął ruch chłopski, który w tym okresie znalazł swój organizacyjny wyraz w związkach chłopskich (*Kisansabha*). Całe niemal Indie objęła fala strajków i demonstracji. W Czittagong zaatakowano arsenał. Miasto Peszawar, gdzie żołnierze pułku Gahwali odmówili strzelania do ludności, przez szereg dni znajdowało się w rękach ludu. Rozwijała się spontanicznie i wbrew stanowisku Kongresu odmowa płacenia czynszu.

5 maja 1930 r. Gandhi został aresztowany. Odpowiedzią na to były masowe strajki i dalsze zaognienie sytuacji. Rząd zastosował nowe, coraz ostrzejsze represje. W czerwcu nastąpiła delegalizacja Kongresu. Ok. 90.000 działaczy politycznych i uczestników ruchu nieposłuszeństwa cywilnego zna-

zło się w więzieniach. Okazało się jednak, że ruch nie załamał się — przeciwnie, trwał ze wzrastającą siłą, zwłaszcza w ośrodkach robotniczych, takich jak Bombaj.

I to właśnie skłoniło tak rząd angielski, jak i przywódców Kongresu do kompromisu, jakim był układ zawarty między Irwinem, ówczesnym wicekrólem Indii, i Gandhim w dniu 3 marca 1931 r. Układ ten przyniósł korzyści Anglikom, którzy osiągnęli przejściowe uspokojenie w Indiach — za cenę niejasnych obietnic, które miały być zrealizowane po uzgodnieniu pogłódów w czasie konferencji okrągłego stołu. Po stronie indyjskiej osiągnięto obietnicę zezwolenia na bojkot towarów obcych — co odpowiadało oczywiście interesom burżuazji indyjskiej. Lud indyjski natomiast nic nie zyskał.

Układ Irwin-Gandhi został zaakceptowany na sesji Kongresu w Karaczi. Na sesji tej Kongres przyjął również program społeczno-gospodarczy, przewidujący zapewnienie szerokich swobód demokratycznych, żądanie nacjonalizacji przemysłu kluczowego, reformy rolnej i ustawodawstwa pracy. Miało to być przesłonięciem całkowitego załamania się lewicy Kongresu.

Konferencja okrągłego stołu zakończyła się zupełnym fiaskiem.

Rząd angielski przygotował się w tym czasie do ostatecznego zdławienia ruchu — po to właśnie był mu potrzebny układ Irwin-Gandhi i związane z nim „zawieszenie broni“. Nastąpiło aresztowanie Gandhiego, ponowna delegalizacja Kongresu, represje wszelkiego rodzaju. Aresztowano 120 tysięcy uczestników ruchu, nakładano kontrybucje, bito, organizowano ekspedycje karne, znęcano się nad ludnością. Represje te wypełniły lata 1932 — 1933.

W maju 1934 r. Komitet Kongresu zebrał się za zezwoleniem władz angielskich w Patnie i ogłosił ostateczne zakończenie ruchu nieposłuszeństwa cywilnego, które już przedtem zostało przejściowo zawieszone i ograniczone do nieposłuszeństwa indywidualnego. W czerwcu Kongresowi przywrócono legalne istnienie (w lipcu natomiast zdelegalizowano Partię Komunistyczną Indii). Jesienią tegoż roku Gandhi opuścił Kongres. Zresztą już od 1932 r. na pierwszy plan w jego zainteresowaniach wysunęło się zagadnienie haridżanów, tzn. nietykalnych, którym poświęcił swą głódówkę w r. 1933.

Trzecia fala walk narodowo-wyzwoleńczych dobiegała w ten sposób kresu.

Ze wstrząsu, jakim było załamanie się w r. 1934, ruch narodowo-wyzwoleńczy podnosił się powoli i z trudem. O poważnym kryzysie świadczył spadek ilości członków Kongresu, która spadała poniżej 500 tys. oraz brak szerszego zainteresowania wyborami w r. 1934.

Równocześnie jednak zaznaczyły się poważne przemiany, które wpłynęły również na oblicze Kongresu. Umacnia się i rozszerza ruch robotniczy, rośnie znaczenie związków zawodowych, pogłębia się świadomość klasy robotniczej w Indiach. W tych warunkach lewicowe skrzydło Kongresu rozwija się odgrywając coraz większą rolę, wpływając w coraz znacniejszym stopniu na program i linię polityczną. W r. 1933 utworzona została jednolita Komunistyczna Partia Indii, która od roku 1935 czynnie uczestniczyła w pracach Kongresu. Wielokrotnie zdelegalizowana, rozwijała się w walce i nabierała coraz większego znaczenia — by w wyborach w r. 1952 stanąć na czele Zjednoczonego Frontu Lewicy.

Począwszy od sesji w Lucknow (tzn. od kwietnia 1936 r.), datuje nowy etap rozwoju ruchu kongresowego. Szybko wzrasta znowu ilość członków, dochodząc w r. 1939 do 5 milionów.

Centralnym zagadnieniem politycznym była nadal sprawa ustroju Indii. Zbliżał się termin nowych wyborów — i trzeba było zająć stanowisko w stosunku do ustawy konstytucyjnej z 1935 r. Sesja Kongresu w Faizpur w grudniu 1936 r. wypowiedziała się w sposób bezwzględny przeciwko tej ustawie. „Kongres ponownie i kategorycznie odrzuca — czytamy w uchwalonej przez tę sesję rezolucji — Ustawę o ustroju Indii z 1935 r. oraz konstytucję, która została narzucona wbrew jasno wyrażonej woli ludności. W mniemaniu Kongresu wszelkie poparcie udzielone Konstytucji stanowi zdradę indyjskiej walki o wolność, wzmocnienie władzy imperializmu brytyjskiego i dalszy wyzysk mas indyjskich, które już zostały doprowadzone przez imperialistów do najstraszliwszej nędzy“.

Tak mówiła rezolucja.

W praktyce — Kongres wziął udział w wyborach i odniósł w nich wielkie zwycięstwo. Na ogólną ilość 1585 mandatów — Kongres zdobył 715.⁶⁶ Okazało się, że Kongres jest jedyną ogólnoindyjską organizacją polityczną, mającą poważne wpływy w całym kraju. Nie zmienił tej sytuacji fakt popierania przez rząd różnego rodzaju pomniejszych ugrupowań czy stronnictw politycznych.

Po wyborach — w siedmiu prowincjach (na ogólną ilość jedenastu) przedstawiciele Kongresu objęli stanowiska ministrów. Umożliwiła im to sformułowana przez Gandhiego kompromisowa uchwała Komitetu Kongresu, przyjęta wbrew stanowisku lewicy.

Pozycję tych indyjskich ministrów w rządach prowincjonalnych dosadnie scharakteryzował Gandhi pisząc: „Wielka Brytania stworzyła w Indiach pomyślowy system, który nie jest właściwie niczym innym jak tylko znakomicie zorganizowaną kontrolą wojskową. Sprawa nie uległa zmianie i dzisiaj. Ministrowie są marionetkami, istotna władza nie do nich należy.“

A dalej wyjaśniał on, że udział Kongresu w rządach prowincjonalnych nie zmierza do tego, „aby pracować w sposób zamierzony przez autorów ustawy, lecz aby przyspieszyć dzień zastąpienia jej ustawą stworzoną przez same Indie“.

Trzeba jednak pamiętać, że ministrami zostali przedstawiciele umiarkowanego odłamu Kongresu, co oczywiście przesądziło o kierunku ich pracy w rządach prowincjonalnych. Osiągnięte przez nich zdobycze w dziedzinie swobód obywatelskich czy też w zakresie zagadnień gospodarczo-społecznych były znikome. Natomiast coraz silniej zaznaczała się rola tych ministrów jako organów imperialistycznej administracji angielskiej.

Ostatnie lata przed wybuchem drugiej wojny światowej są latami fermentu rosnącego w łonie Kongresu. Kierownictwo Kongresu (chociaż w swych deklaracjach niejednokrotnie wyrażało poglądy zgodne z życzeniami mas ludowych⁶⁷) zmierzało do kompromisu. Ta linia polityczna na-

⁶⁶ Zwycięstwo to było tym większe, że wybory otwarte obejmowały tylko 657 mandatów, resztę zaś ordynacja wyborcza rezerwowała dla różnych grup.

⁶⁷ W lutym r. 1938 np. Kongres jednogłośnie określił swe negatywne stanowisko w stosunku do tzw. części federalnej konstytucji z r. 1935. Jednak umiarkowani przywódcy Kongresu skłonni byli do kompromisu i prowadzili w tym kierunku rozmowy z przedstawicielami strony angielskiej w r. 1938.

potykała na krytykę i opozycję mas członków Kongresu. Jak silna była ta opozycja, dowodzi tego fakt, że Subhas Czandra Bose został w r. 1939 wybrany przewodniczącym Kongresu przeciwko kandydatowi Gandhiego i większości Kongresu Wykonawczego.⁶⁸ Kongresowi groziło rozbitcie jedności. Prawica mogła spowodować rozłam. Zapobiegła temu sesja Kongresu w Tripuri, gdzie znowu do decydującego głosu doszedł Gandhi. Nie scementowało to jednak partii kongresowej. W ramach Kongresu tworzy S. C. Bose opozycyjny blok *N a p r z ó d*, powstaje *K o m i t e t K o n s o l i d a c j i L e w i c y*.

Działo się to na kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej.

3 września 1939 wydany został dekret o ochronie Indii, który — łącznie z nowelą do ustawy o ustroju Indii, uchwaloną przez parlament angielski — przekreślił wszelkie dotychczasowe polityczne uprawnienia i zdobycze ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

Sytuacja w porównaniu do okresu pierwszej wojny światowej uległa jednak zasadniczej zmianie. Dwadzieścia lat, dzielących dwie wojny, wypełniła wszakże walka z imperializmem. Dojrzała w tym czasie świadomość polityczna ludu indyjskiego, który z biernego przedmiotu stał się podmiotem swej historii.

Toteż odpowiedzią na posunięcia rządu z pierwszych dni września 1939 roku była rezolucja Komitetu Wykonawczego Kongresu z 14 września tegoż roku, w której czytamy m. in.: „*Komitet Wykonawczy wzywa rząd brytyjski do określenia w sposób niedwuznaczny, jakie są jego cele wojenne w stosunku do demokracji i imperializmu, a zwłaszcza do wyjaśnienia, w jakim stopniu zadania te będą się odnosić do Indii jako wolnego kraju, którego polityka będzie prowadzona zgodnie z życzeniami jego mieszkańców.*”

Kolejne propozycje rządowe z r. 1939 i 1940 nie mogły zadowolić najbardziej nawet umiarkowanych przywódców Kongresu. Toteż w październiku 1939 r. — na znak protestu — ustąpili z rządów prowincjonalnych wszyscy ministrowie — członkowie Kongresu. W rok zaś później pod kierownictwem Gandhiego zaczęto akcję nieposłuszeństwa cywilnego.⁶⁹ Odpowiedzią na te — zaiste niezbyt gwałtowne poczynania — były masowe aresztowania, zapoczątkowane w ostatnich miesiącach 1940 r.

Wydawało się, że sytuacja zmieni się po wypadkach 1941 r., gdy po hitlerowskiej napaści na Związek Radziecki oraz po uderzeniu japońskim na Dalekim Wschodzie wojna weszła w nową fazę. Jednakowoż okazało się, że strona angielska bynajmniej nie była skłonna do istotnej zmiany stanowiska. Ujawniła to misja Crippsa w r. 1942. Sir Stafford Cripps opracował plan zawierający pewne obietnice na okres powojenny⁷⁰ oraz przewi-

⁶⁸ W r. 1939 po raz pierwszy w historii Kongresu było dwóch kandydatów na stanowisko Przewodniczącego.

⁶⁹ Nie była to akcja masowa. Osoby, które zaakceptował Gandhi, miały powiadamiać policję, kiedy i w jaki sposób — po wojnie — zamierzają dokonać aktu nieposłuszeństwa cywilnego.

⁷⁰ Obietnice te obejmowały m.in. statut dominialny, powołanie Konstytuanty, traktat między W. Brytanią i Konstytuantą dla zapewnienia ochrony mniejszości rasowych i wyznaniowych.

dujący zatrzymanie na okres wojny władzy przez Anglię. Współpraca przedstawicieli indyjskich opierać się miała na zasadach konsultatywnych.

Przywódcy Kongresu podjęli próbę kompromisu, Anglicy jednak nie zgadzali się na żadne ustępstwa. W rezultacie — po jakimś czasie — zaczęła brać w Kongresie górę opinia zwolenników Gandhiego, że należy uciec się do ponownej kampanii odmowy współpracy. Prowadziło to do dalszych komplikacji politycznych.

Trzeba bowiem uprzytomnić sobie, że już wcześniej S. C. Bose stanął po stronie osi,⁷¹ odmowa zaś współpracy cywilnej miała być przeprowadzona w czasie, gdy toczyła się wojna przeciwko faszyzmowi. W tej sytuacji całkiem specjalną wymowę miały stwierdzenia Kongresu z 8 sierpnia 1942 r.: *„Komitet uważa jednak, że nie ma dłużej prawa wstrzymywać narodu od prób przeprowadzenia swej woli przeciwko imperialistycznemu i autokratycznemu rządowi, który nad nim panuje i nie pozwala mu działać w interesie ani własnym, ani ludzkości. Komitet postanawia więc udzielić swej sankcji — w celu zdobycia przez Indie świętego prawa do wolności i niepoależłości — na rozpoczęcie w a l k i m a s o w e j n a j a k n a j w i ę k s z ą s k a l ę, aby kraj mógł wykorzystać całą siłę, nagromadzoną w ciągu 22 lat walki pokojowej. Walka taka musi być prowadzona pod przewodnictwem Gandhiego i Kongres prosi go o objęcie dowództwa i kierowania krokami narodu.“*

Nazajutrz po uchwaleniu tej rezolucji zostali uwięzieni wszyscy przywódcy Kongresu wraz z Gandhim, do końca zaś roku 1942 znalazły się w więzieniach dziesiątki tysięcy działaczy i uczestników ruchu narodowo-wyzwoleńczego, którzy w licznych manifestacjach, protestach i strajkach dawali wyraz oburzeniu na postępowanie władz angielskich.

W maju 1944 r. wypuszczono z więzienia Gandhiego, w czerwcu 1945 r. członków Komitetu Wykonawczego Kongresu. Wkrótce potem zaczęły się znowu pertraktacje w sprawie ustroju politycznego Indii. Konferencja w Simla nie dała rezultatu. Co gorsza pogłębiły się (przy wyraźnym udziale angielskiej polityki) różnice i sprzeczności pomiędzy Kongresem i Ligą Muzułmańską. Kierownictwo polityczne ruchu narodowo-wyzwoleńczego było w tym niezmiernie ważnym momencie historii Indii rozbite, pełne wahań i niepewności.

A tymczasem wśród mas ludowych dojrzewała jedność walki przeciwko angielskim imperialistom. Lud indyjski, który niezmiernie ciężko odczuł ciężar minionej wojny; lud indyjski, który oczekiwał wyzwolenia — wielkim głosem domagał się spełnienia swoich nadziei, wołał o swoje prawa. Na ulicach Kalkuty, Bombaju i wielu innych miast indyjskich, wśród demonstracji i strajków toczyła się walka o wolność. Bombaj, Karaczi i Madras przeżyły wielkie dni rewolucyjnego wrzenia. Bunt marynarzy indyjskiej floty wojennej został krwawo stłumiony. Strajk ich nie został poparty przez działaczy Kongresu i Ligi Muzułmańskiej, których napędliała lękiem siła, z jaką występowały na tym etapie walki masy ludowe.

R. Palme Dutt zestawiał w sposób niezmiernie pouczający dwie daty: *„18 lutego — pisze on — zaczął się strajk marynarzy w Bombaju. 19 lutego Attlee ogłosił w Izbie Gmin decyzję wysłania misji rządowej.“*⁷²

⁷¹ S. C. Bose zorganizował po stronie japońskiej tzw. Indyjską Armię Narodową.

⁷² R. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 399.

Działalność misji rządowej z r. 1946 zakończyła się jednak niepowodzeniem. Przewlekające się tangi i pertraktacje nie doprowadziły do rezultatu.

Tymczasem sytuacja w Indiach stawała się coraz bardziej groźna: w pierwszej połowie 1946 r. odbyło się 1.115 strajków, w drugiej zaś połowie roku ruch strajkowy wzrastał się nadal. Ostre represje nie doprowadziły do opanowania sytuacji. Konieczne były szybkie decyzje polityczne. W czerwcu 1947 r. został opracowany i ogłoszony plan Mountbattena, który został zrealizowany 15 sierpnia. Utworzone zostały dwa dominia, *H i n d u s t a n i P a k i s t a n*.

Zaczął się nowy okres historii Indii.

Trzeba sobie jasno uprzytomnić, że jest to zwycięstwo — jeszcze nie ostateczne — walki, jaką toczył z angielskim imperializmem indyjski ruch narodowo-wyzwolenczy. Tym bardziej jednak należy pamiętać, że ruch ten nie stanowił jednolitego, zwartego nurtu. Wręcz przeciwnie — stanowił on zjawisko niezmiernie skomplikowane, podlegające istotnym przemianom w toku swej historii.

W okresie początkowym siłą dominującą w indyjskim ruchu narodowo-wyzwolenczym była młoda burżuazja indyjska. Z biegiem czasu coraz istotniejszym czynnikiem staje się jednak rosnąca świadomość polityczna mas ludowych, przede wszystkim zaś rosnącego w siłę proletariatu Indii. W tej fazie rozwoju następuje również zróżnicowanie stanowisk w łonie burżuazji indyjskiej. Zjawisko to scharakteryzował J. W. Stalin w swym przemówieniu do studentów Uniwersytetu Narodów Wschodu w r. 1925 następującymi słowami: „To, co jest podstawowe i nowe w warunkach istnienia takich kolonii jak Indie, polega nie tylko na tym, że narodowa burżuazja rozpadła się na partię rewolucyjną i ugodową, ale przede wszystkim na tym, że ugodowa część tej burżuazji już zdążyła w zasadzie porozumieć się z imperializmem. Lękając się rewolucji bardziej niż imperializmu, troszcząc się o interesy swojej sakiewki bardziej niż o interesy swej własnej ojczyzny, ta część burżuazji, najbogatsza i najbardziej wpływową, staje obiemą nogami w obozie nieubłaganych wrogów rewolucji, zawiera z imperializmem blok przeciwko robotnikom i chłopom swego własnego kraju.”⁷³

Ale czasy, kiedy burżuazja indyjska i jej interesy decydowały o postawie ruchu narodowo-wyzwolenczego, należą już do bezpowrotnej przeszłości. Wraz z rozwojem przemysłu wzrasta rola i znaczenie proletariatu przemysłowego. Jego walka o poprawę warunków bytu, o stworzenie form organizacyjnych ruchu związkowego, wreszcie zaś jego udział w walce o prawa polityczne — to czynniki, które w sposób zasadniczy przeobraziły oblicze ruchu narodowo-wyzwolenczego w Indiach.

Początki były niezmiernie skromne: pierwsze strajki w latach 1877 oraz 1887—1890, pierwsze poczynania organizacyjne wśród włóknarzy bombajskich w r. 1884.⁷⁴ Dopiero lata 1905—1909 przyniosły znaczne wzmoczenie się ruchu robotniczego oraz udział robotników w walkach politycznych. Cechą charakterystyczną tego okresu był brak masowych organi-

⁷³ J. W. S t a l i n, *Dzieła*, tom. 7, Warszawa 1950, s. 151.

⁷⁴ N. M. Lokhande zakłada w tym czasie Stowarzyszenie Robotników Przemysłowych Bombajskich oraz pismo „Dinabandhu” (Przyjaciel Ubogich).

zacji. Związki zawodowe powstały⁷⁵ w Indiach dopiero w latach 1917—1918 w okresie wzmożonej fali strajkowej. Pierwszą inicjatywą na szeroką skalę był założony w Madrasie w r. 1918 Związek Pracy.⁷⁶ W Ahmedabadzie Gandhi założył związek oparty na zasadzie współpracy i negacji walki klasowej. W r. 1920 stworzony został Indyjski Kongres Związków Zawodowych. Mimo ugodowego charakteru, jaki nadawali związkom ich przywódcy, nie ustawała walka klasy robotniczej, wyrażająca się w strajkach, których fala raz po raz podnosiła się lub opadała, trwając jednak nieprzerwanie.

Rząd angielski był bezsilny. Nie pomagały represje, takie jak proces w Kaunpur w r. 1924, w którym skazano na więzienie czterech działaczy komunistycznych.⁷⁷ Nie pomogła też wydana w r. 1926 ustawa o związkach zawodowych ani ciągnący się ponad trzy lata (1929—1933) proces czołowych działaczy robotniczych w Mirut.

Wśród represji i prześladowań krzepła siła klasy robotniczej. Począwszy od r. 1926 powstają pierwsze partie robotniczo-chłopskie. W r. 1927 po raz pierwszy obchodzono w Indiach w dniu 1 maja Święto Pracy. Wzrastała ilość członków zrzeszonych w związkach zawodowych. Pod naciskiem mas członkowskich dokonują się znamienne przesunięcia w kierownictwie związków zawodowych, które znalazły wyraz w zwycięstwie lewicy związkowej na Kongresie w Nagpur w r. 1929. Bezpośrednio potem nastąpił w indyjskim ruchu związkowym rozłam, który jednak po kilku latach (w r. 1935 i 1938) został zlikwidowany.

W przededniu drugiej wojny światowej ruch robotniczy stanowił w Indiach przodującą siłę w walce o wolność.

W ten sposób proletariatu Indii dojrzał do swej zasadniczej roli, która przypada mu w udziale i o której mówił Stalin: „...chodzi o to, by w takich koloniach jak Indie przygotować proletariatu do roli wodza ruchu wyzwolenczego, krok za krokiem wypierając z tego zaszczytnego stanowiska burżuazję i jej heroldów. Stworzyć rewolucyjny blok antyimperialistyczny i zapewnić w tym bloku hegemonię proletariatu — takie jest zadanie.”⁷⁸

Charakterystyka ruchu narodowo-wyzwolenczego w Indiach byłaby jednak niepełna, gdyby nie dotknąć jeszcze jednego problemu, który w historii tego ruchu miał szczególne znaczenie. Mam tu na myśli Gandhiego.

Mohandas Karamchand Gandhi — tak brzmi jego właściwe nazwisko — po swoim powrocie z Afryki Południowej⁷⁹ przez szereg lat odgrywał czołową rolę w indyjskim ruchu narodowo-wyzwolenczym. Jego poglądy

⁷⁵ Przed pierwszą wojną światową istniały w Indiach związki obejmujące tylko wyższe warstwy pracowników, jak np. założone w r. 1897 Towarzystwo Pracowników Kolejowych.

⁷⁶ Związek Pracy założył B. P. Wadia, jeden ze współpracowników Anny Besant. Nazwisko tej teozofki pojawia się raz po raz w historii ruchu narodowo-wyzwolenczego — i to wszędzie i zawsze tam, gdzie trzeba było w sposób zamaskowany stanąć w obronie interesów angielskiego imperializmu.

⁷⁷ Byli to: S. A. Dange, redaktor wychodzącego w Bombaju dziennika „Socjalista”, oraz Szaukat Usmani, Muzafar Ahmad i Das Gupta.

⁷⁸ J. W. Stalin, dz. cyt., s. 152.

⁷⁹ Gandhi spędził w Afryce Południowej lata 1893—1914. Stał on tam na czele walki o prawa mniejszości indyjskiej.

religijno-filozoficzne zaciążyły poważnie na dziejach tego ruchu. Osiągnął on niespotykaną popularność wśród ludu indyjskiego, który nazwał go Mahatmą (co znaczy w dosłownym tłumaczeniu: Wielki Duch).

Romain Rolland w swojej książce o Gandhim, pisanej w r. 1922, nazywa go człowiekiem, który „zbudził trzysta milionów ludzi, wstrząsnął Imperium Brytyjskim i stworzył największy duchowy ruch ostatnich dwóch tysiącleci”.⁸⁰ Ocena natomiast Gandhiego przez postępowych publicystów i polityków — dzisiaj, kiedy można objąć nią całokształt działalności Mahatmy — jest bardzo surowa.⁸¹ Podkreślają oni, że teorie pokoju klasowego, nie uciekania się do siły, przeciwstawiania się postępowi technicznemu — w swoich konsekwencjach działały na korzyść imperialistycznych władców Indii. Niechęć Gandhiego do przejawów czynnej walki mas ludowych, opieranie decyzji o zasadniczym znaczeniu politycznym na przesłankach oderwanych od narastającej rewolucyjnej świadomości tych mas — narażały ruch na gwałtowne załamania i wielkie ofiary. Wszystko to świadczy o tym, że Gandhi — przy całej swej bezinteresowności, szlachetności wewnętrznej, przy całkowitym poświęceniu się sprawie, o którą walczył — nie przezwyciężył uwarunkowań historycznych epoki, w której się urodził, oraz uwarunkowań społecznych środowiska, w którym wyrósł.⁸²

Wydaje się jednakowoż, że wśród elementów mających ważne znaczenie dla oceny działalności Gandhiego trzeba podkreślić mocno jego rolę jako działacza, który umiał pobudzić do masowych wystąpień miliony mieszkańców Indii, który umiał zespolic w pewnych okresach różnorodne wysiłki i inicjatywy. Trzeba też wskazać odwagę, z jaką umiał on postawić przed swymi rodakami jeden z najboleśniejszych problemów Indii — sprawę haridżanów, nietykalnych.

Kiedy — już po drugiej wojnie światowej — Mahatma Gandhi zginął zamordowany przez fanatycznego wroga politycznego, cały świat, jego wielbiciele i jego wrogowie, oddał cześć jego prawości osobistej, czystości jego intencji.

Na progu nowego okresu historii Indii odszedł jeden z tych, którzy wycisnęły swe piętno na poprzednim okresie walki. Wpływ jego uczniów, takich jak Asha Devi i Aryanayakam, którzy organizują system wychowania młodzieży według zasad Mahatmy, czy też takich jak Vinobadhi Bhawe, wędrujący pieszo od wsi do wsi i głoszący konieczność bezkrwawych przemian społecznych — jest jeszcze w Indiach dość znaczny. Ale życie idzie naprzód. Zwolennicy Gandhiego, którzy nie biorą udziału

⁸⁰ R o m a i n R o l l a n d, *Mahatma Gandhi*.

⁸¹ Por. R. P a l m e D u t t, dz. cyt., oraz A. M. D j a k o w, *Kryzys państwa angielskiego i nowy etap walki narodowo-wyzwoleńczej w Indiach* (w pracy zbiorowej pt. *Kryzys systemu kolonialnego. Walka narodowo-wyzwoleńcza ludów Wschodniej Azji*. Warszawa 1951). Podobne stanowisko znajdujemy w artykule *Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej*, poświęconym Gandhieu.

⁸² Gandhi urodził się w środowisku bogatym i wykształconym, aczkolwiek nie należącym do najwyższych kast. Rodzice jego wyznawali dżainizm. W skład ich wierzeń wchodziła *Ahimsa*, nauka o nieposługiwaniu się gwałtem ani siłą. Gandhi po ukończeniu studiów prawniczych w Anglii był adwokatem, początkowo w Bombaju, potem w Południowej Afryce.

w rządach Hindustanu i występują przeciwko postępowi technicznemu, reprezentują w dzisiejszych Indiach — przemijającą przeszłość.

Oceniając spuściznę Gandhiego, należy poza tym pamiętać, że również i Dżawaharlal Nehru, premier Hindustanu, najwybitniejszy współczesny indyjski mąż stanu nawiązuje do tej spuścizny. „*Nasz wielki nauczyciel Mahatma Gandhi* — powiedział premier Nehru, przemawiając na wiecu w Hali Mirowskiej w Warszawie — *uczył nas cenić nade wszystko pokój. Ale pokój czynny i pokój twórczy*“. Pokojowej polityce Indii przyświecają zatem, wedle oświadczenia Nehru, nauki Gandhiego, wpływając w ten sposób twórczo i pozytywnie na Indie dnia dzisiejszego.

N a n o w y m e t a p i e

15 sierpnia 1947 r. rozpoczął się w historii Indii ważny etap. Nie został co prawda zrealizowany postulat całkowitej niepodległości, imperializm angielski musiał jednak poczynić ustępstwa, przyznając Indiom statut dominialny. Jest to niewątpliwie jeden z charakterystycznych przejawów rozkładu systemu kolonialnego oraz poważnego osłabienia imperializmu. Nie oznacza jednak rezygnacji z panowania w Indiach — lecz próbę zmiany metod, polegającą na przejściu z bezpośredniego panowania politycznego na panowanie pośrednie.

Radziecki ekonomista E. Warga w ten sposób charakteryzuje nową sytuację, jaka wytworzyła się w Indiach: „Przekształcenie Indii w dwa dominia oznacza kompromis między angielską burżuazją imperialistyczną a kontrrewolucyjnym blokiem indyjskiej wielkiej burżuazji i obszarników; oznacza ono ze strony angielskiego kapitału monopolistycznego próbę utrzymania swych pozycji ekonomicznych w Indiach przy pomocy miejscowych klas panujących; ze strony indyjskich klas panujących natomiast — próbę utrzymania istniejącego ustroju społecznego przy pomocy imperializmu angielskiego, próbę jego obrony przed narastającym ruchem rewolucyjnym robotników i chłopów. Zawierając kompromis burżuazja indyjska sprzeniewierzyła się interesom narodowym swego kraju, zdradziła sprawę walki antyimperialistycznej, walki, którą zawsze prowadziła niezdecydowanie i niekonsekwentnie, i to jedynie pod naciskiem mas. Rola kierownicza w walce antyimperialistycznej w Indiach należy do proletariatu, który zespala masy ludowe do walki o prawdziwą wolność i niepodległość. Wielka burżuazja indyjska zrezygnowała z walki z imperializmem angielskim, mając nadzieję, że z pomocą Anglii zachowa swe panowanie klasowe. Burżuazja angielska zrezygnowała z bezpośredniego panowania politycznego w Indiach w tym celu, aby uratować swe pozycje, przede wszystkim ekonomiczne, w Indiach i Pakistanie. Między angielską a indyjską wielką burżuazją i obszarnikami został zawarty sojusz klasowy, mający na celu przedłużenie wspólnego wyzysku ludu indyjskiego, wspólną obronę ustroju burżuazyjnego.“⁸³

Rezygnując z bezpośredniego władania politycznego w Indiach imperializm angielski dążył z jednej strony do ocalenia zysków płynących z tego

⁸³ E. W a r g a, Podstawowe zagadnienia ekonomiki i polityki imperializmu (po drugiej wojnie światowej). Warszawa 1954, s. 388.

kraju, z drugiej zaś strony do stworzenia takich warunków, które w maksymalnym stopniu utrudniłyby dalszy rozwój Indii w kierunku pełnej niepodległości. Te dążenia i intencje imperializmu angielskiego tłumaczą sens niektórych zasadniczych decyzji z r. 1947, stanowiących zresztą konsekwentną i logiczną kontynuację polityki angielskiej w poprzednich okresach.

Przede wszystkim więc Indie nie stały się w r. 1947 jednąnością polityczną. Stworzone zostały, jak wiadomo, na terenie Indii dwa dominia: Hindustan i Pakistan. Wykorzystano w ten sposób podsyćany przez Anglików, zwłaszcza od r. 1906, kiedy to powstała „Liga Muzułmańska”, antagonizm religijny hindusko-muzułmański — dla rozbicia Indii na dwa twory państwowe.



Plan Mountbattena przewidywał następujący podział Indii:⁸⁴

- 1) Północno-Zachodni Pakistan, obejmujący Pendżab Zachodni, Sind, okręgi graniczne północno-zachodnie i Beludżystan, z ludnością 25 milionów (8 milionów muzułmanów);
- 2) Północno-Wschodni Pakistan, obejmujący Bengal Wschodni i Okręg Sylhet w Assamie, z ludnością 44 milionów (31 milionów muzułma-

⁸⁴ Przytaczam za R. P a l m e D u t t e m, dz. cyt., s. 410.

nów). Te dwa terytoria, które dzieli od siebie odległość 1.500 km, wchodzą w skład Państwa Pakistanu, o ludności około 70 milionów;

- 3) Unia Indyjska (Hindustan) obejmująca całą resztę dawnych Indii Brytyjskich, o ludności 225 milionów;
- 4) Państwa Książęce, obejmujące dwie piąte powierzchni Indii, o ludności 93 miliony.

Jak z tego widać, plan Mountbattena nawiązywał do mozaikowego rozbitcia terytorium Indii na Indie Brytyjskie i na Państwa Książęce,⁸⁵ które ukształtowało się w wyniku polityki imperialistycznej, oraz do antagonizmów religijnych, których oczywiście nie rozwiązywał.

W rok po powstaniu Hindustanu i Pakistanu wszystkie Państwa Książęce przystąpiły do jednego z dwóch dominiów, przy czym sporne sprawy Kaszmiru i Hajderabadu wywołały nawet działania wojenne (w r. 1948). W rezultacie nowy podział Indii przedstawia się następująco:⁸⁶

	obszar w tys. km ²	ludność (tys. osób)	liczba nieszk. na 1 km ²
Hindustan (z Kaszmirem)	3.162,5	356.829	113
Pakistan	947,7	75.842	80

Jeśli idzie o zagadnienia religijne — to trzeba stwierdzić, że decyzja stworzenia dwóch państw na zasadzie religii wyznawanej przez ludność spowodowała, zwłaszcza w pierwszym okresie, bardzo silne zaognienie antagonizmu hindusko-muzułmańskiego. Wysiedlenie ludności wyznającej hinduizm z Pakistanu (ok. 6 milionów) oraz ludności muzułmańskiej z Hindustanu (ok. 15 milionów) dokonywało się wśród wzajemnych okrucieństw, represji, prześladowań.

W pierwszych latach nowego okresu historii Indii stworzone zostały zatem warunki jak najbardziej utrudniające współpracę i współżycie dwóch państw indyjskich.

Trudności, które piętrzą się na drodze dalszego rozwoju politycznego Indii, nie ograniczają się tylko do tych zagadnień. Problemem o niezwykłej doniosłości jest wielonarodowy charakter ludu indyjskiego. Rezultatem historii indyjskiej jest ogromne zróżnicowanie.

⁸⁵ W r. 1853 pisał Marks w „New York Daily Tribune“, że „jeśli idzie o Państwa tubylcze, przestały one właściwie istnieć od momentu, w którym zostały uzależnione lub dostały się pod opiekę Towarzystwa (Kompanii Wschodnio-Indyjskiej)... Warunki, na jakich pozwala im się zachować swoją pozorną niezależność, są jednocześnie warunkami stałego rozkładu i całkowitej niezdolności do dalszego rozwoju... Jedną z zasad polityki angielskiej było utrzymywanie sztucznie przy życiu tych osobliwych tworów państwowych, które ułatwiały rozbijanie jedności Indii. Państw i państewek książęcych było w r. 1931 ogółem 563, w tym 108 większych i 127 mniejszych. 328 „państw“ stanowiło formę feudalnego posiadania ziemi, obwarowaną specjalnymi przywilejami. Na książętach, reprezentujących najbardziej reakcyjny element, opierała się m. in. angielska polityka rozbijania ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

⁸⁶ *Ekonomika krajów kapitalistycznych po drugiej wojnie światowej: Zbiór statystyczny.* Warszawa 1954, s. 54 i 55.

wanie⁸⁷ językowe, kulturalne, społeczne i gospodarcze. Dlatego też właściwym rozwiązaniem uwzględniającym te specyficzne, historycznie ukształtowane warunki — powinno być przyznanie różnym narodowościom prawa samostanowienia w ramach federalnego (związkowego państwa). W tym kierunku zmierza Komunistyczna Partia Indii, która stanowisko swe sformułowała w r. 1946 w memorandum do brytyjskiej misji rządowej w sposób następujący: „Proponujemy, aby Rząd Tymczasowy obarczyć zadaniem powołania Komisji Delimitacyjnej, w celu ponownego wyznaczenia granic na podstawie naturalnych granic każdego narodu tak, aby nowowyznaczone prowincje stały się, o ile to jest tylko możliwe, językowo i kulturalnie jednolitymi narodowymi jednostkami... Lud każdej takiej jednostki powinien mieć nieskrępowane prawo do swobodnego zdecydowania czy chce przystąpić do Unii Indyjskiej, czy też stanowić oddzielne państwo lub stworzyć inną Unię Indyjską... Partia Komunistyczna walczy o wolną, dobrowolną, demokratyczną Unię Indyjską suwerennych jednostek. Jest przeświadczona, że najżywotniejszym interesom mas indyjskich wyjdzie na korzyść pozostanie w jednej wspólnej unii, we wspólnym braterstwie, dla obrony wolności i rozwiązania zagadnienia nędzy, które wymaga współpracy wszystkich. Jedynie przy zastosowaniu wyżej wspomnianej zasady samostanowienia da się zachować jedność Indii.“

Dalszą sprawą, której rozwiązanie jest jednym z podstawowych warunków dalszego rozwoju Indii, zwycięstwa postępu i wolności — jest z agadnienie kastowości oraz problem „nietykalnych“. Te bolesne zagadnienia były stale jednym z argumentów, którymi angielscy imperialiści uzasadniali swe panowanie w Indiach. Toteż świadomie nie czynili oni nic, co by mogło przyspieszyć rozwiązanie. Na Wszechindyjskim Kongresie Mas Uciśnionych w r. 1930 dr Ambedkar tak mówił o stosunku Anglików do „nietykalnych“: „Moim zdaniem, Anglicy zdecydowali się na reklamowanie naszego nieszczęsnego położenia nie z zamiarem jego zreformowania, lecz ponieważ tego rodzaju postępowanie służy jako pretekst do opóźnienia politycznego postępu Indii.“

Jest niezaprzeczną i wielką zasługą rządu premiera Nehru, że postawił te zagadnienia wśród najpilniejszych i najważniejszych problemów współczesnych Indii. Już w czasie pisania niniejszego artykułu dotarły do prasy polskiej wiadomości o uchwalonej w czerwcu b.r. ustawie, regulującej w sposób postępowy sprawę kastowości oraz haridżanów. Brak jeszcze bliższych wiadomości o treści tej ustawy — jest to jednak niewątpliwie pierwszy, niezmiernie ważny krok na drodze do pełnego rozwiązania tych zagadnień.

Kastowość — jest bowiem problemem, który mogłby być załatwiony z dnia na dzień, kształtował się wszakże i narastał przez dziesiątki wieków, i wymaga głębokiej, żmudnej i trudnej pracy, na którą złożą się z jednej strony przemiany społeczno-gospodarcze, niosące ze sobą nowe warunki życia, z drugiej zaś strony dalsze podniesienie się świadomości politycznej, wzrost poziomu kulturalnego i oświatowego ludności.

⁸⁷ Anglicy w swych publikacjach z dużą dozą przesady akcentowali to różnicowanie. Spis ludności w r. 1921 np. podawał, że w Indiach były aż 222 języki. W tej liczbie jednak figurowały m. in. takie języki jak Kabui (którym mówiły 4 osoby), Andro (1 osoba), Nora (2 osoby), Kasui (11 osób), Tairong (12 osób).

A stoją w tej dziedzinie przed ludnością Indii olbrzymie zadania do spełnienia. Warto przypomnieć, że w czasie ostatnich wyborów — na kartkach do głosowania trzeba było umieścić rysunki symbolizujące poszczególne stronnictwa polityczne — napisów lub numerów nie można było zastosować w kraju, w którym ogromna większość ludności nie umie czytać i pisać.

Spadek, jaki nowym państwom Indii pozostawiły rządy angielskie w tej dziedzinie, charakteryzuje najlepiej fakt, że ilość analfabetów w Indiach wynosiła do niedawna około 90 procent.⁸⁸ Obecnie szacuje się ilość analfabetów na 80%. Nie ma w Indiach przymusu szkolnego ani bezpłatnych szkół. „Spomiędzy dzieci w wieku szkolnym — stwierdziła w swym przemówieniu na Światowym Kongresie Kobiet w Kopenhadze w r. 1953 delegatka Indii, Hadżra Begum Ahmad — tylko 21% może uczęszczać do szkoły. Lecz umniejsza się jeszcze istniejące możliwości tak bardzo zresztą niedostateczne, i nauka dziewcząt pada pierwszą ofiarą redukcji budżetów szkolnych.“⁸⁹

We wszystkich dziedzinach życia — przed państwami Indii stoją olbrzymie zadania. W wyniku bowiem panowania angielskiego Indie są krajem zacofanym; krajem o jednostronnie rozwiniętej, na skutek polityki kolonializmu, strukturze gospodarczej; krajem najtrudniejszych problemów, ale i ogromnych możliwości. „Był to — stwierdza Dż. Nehru w swej książce pt. *The Discovery of India* — klasyczny przykład współczesnej gospodarki kolonialnej — Indie przemienione zostały w agrarną kolonię uprzemysłowioną Anglii, w dostawcę surowca, w rynek zbytu dla brytyjskich towarów przemysłowych... Prawie wszystkie podstawowe nasze problemy dnia dzisiejszego powstały w czasie angielskiego panowania i są bezpośrednim rezultatem brytyjskiej polityki: księżęta, problem mniejszości, różne prywatno-własnościowe interesy, zagraniczne i hinduskie, brak przemysłu i zaniedbanie rolnictwa, skrajne zacofanie opieki socjalnej, a przede wszystkim — tragiczne zubożenie ludności.“

Zagadnienie demografii i rolnictwa w krajnie głodu

Zasadniczym problemem Indii jest zagadnienie rolnictwa. Na to zgadzają się wszyscy. Nie wszyscy jednak widzą drogi prowadzące do rozwiązania tego problemu.

Neomaltuzjaniści tacy jak Vogt, Cook, Pendell, Anstey i Knowles przyczynę nędzy i głodu w Indiach upatrują w przeludnieniu, w nadmiernej rozrodczości ludności Indii. „Indie są jakby przeznaczone do tego — formułuje pogląd neomaltuzjanistów Knowles — aby być ilustracją teorii Malthusa. Zaludnienie zwiększyło się do nieprawdopodobnych rozmiarów,

⁸⁸ W tych warunkach ogólnego niskiego poziomu oświaty przykładem charakterystycznego dla Indii kontrastu jest pogląd wyrażony przez panią Wadia o potrzebie objęcia nauką filozofii... dzieci od lat pięciu (por. N. A. N i k a m: *L'enseignement de la philosophie en Inde* — w wydawnictwie Unesco pt. *L'enseignement de la philosophie. Une enquête internationale de l'Unesco*. 1953, s. 135).

⁸⁹ *Congrès Mondial des Femmes. Rapports, Interventions, Documents*. Berlin b. d., s. 185.

kiedy przyrostu nie jest już w stanie zahamować ani wojna, ani epidemie czy głód.“ Vogt zaś zwała całą winę na Hindusów, którzy „rozmnażają się z podobnym brakiem poczucia odpowiedzialności jak dorsze“.⁹⁰ Na poparcie swych twierdzeń przytaczają zwolennicy neomaltuzjanizmu fakt, że ludność Indii wzrasta w ostatnich czasach z szybkością 40 milionów co dziesięć lat, podczas gdy produkcja środków żywności w zasadzie stoi na miejscu. W konsekwencji tego stanu rzeczy ludność Indii jest niedożywiona, raz po raz zaś wybuchają tu straszliwe klęski głodowe, powodujące milionowe ofiary.

O sytuacji żywnościowej w Indiach mówią aż nadto dobitnie angielskie sprawozdania oficjalne. „Od 70—80% mieszkańców Indii żyje na pograniczu śmierci głodowej, w nędzy nie dającej się porównać z niczym na Zachodzie“ — czytamy w jednym z nich. 61% ludności Indii, a 78% ludności Bengalu odżywia się słabo albo bardzo źle — stwierdza John Megaw, szef indyjskiej służby zdrowia w r. 1933. „Jedna trzecia ludności Indii jest stale, i to w poważnej mierze, niedożywiona“ — stwierdza w dziesięć lat później, w r. 1943, sprawozdanie Komitetu Rządowego dla spraw zbóż chlebowych, powołując się na opinię eksperta dr Aykroyda.

Generał John Megaw, dyrektor służby zdrowia określał ilość ludzi stale głodujących w Indiach na co najmniej 80 milionów. Kali Czarani Ghosh wykazał na podstawie oficjalnych dokumentów, że za rządów angielskich Indie przeżywały 23 razy klęski głodu, nie licząc licznych okresów wielkich trudności żywnościowych.

Przerazające są relacje o głodzie w r. 1943, który kosztował Indie 4 miliony istnień ludzkich:

„W Thakurgaone mężczyzna, który niósł na ręku małą dziewczynkę, prosił przechodniów, aby kupili dziecko. Ponieważ nie było chętnych, rzucił dziecko do studni, sam zaś uciekł...“

„26 września w wiosce Boalia (okręg Czanpura) w oczach żywych jeszcze chłopów szarpał głodującego Hindusa, który konał na skraju drogi wiejskiej...“

„Dnia 22 października na wschodnim krańcu Dakki mężczyzna i kobieta wraz z małą dziewczynką rzucili się pod pociąg. Dziewczynka jakimś cudem pozostała przy życiu.“

„W Kontai często ujrzeć można psy obok kpnających dzieci, czekające swej zdobyczy.“⁹¹

W latach 1951 i 1952 klęska głodu, chociaż nie tak straszliwa jak w r. 1943, znowu nawiedziła niektóre prowincje Indii.

Czy istotnie sytuacja ta spowodowana jest zbyt wielkim przyrostem naturalnym w Indiach?

R. Palme Dutt w swojej książce o współczesnych Indiach przytacza ciekawe dane porównawcze, które całkowicie zaprzeczają tezie o nadmiernym przyroście naturalnym ludności indyjskiej.⁹²

⁹⁰ Cytuję Knowlesa i Vogta wg A. P o p o w a, *Neomaltuzjanizm ideologia imperializmu*. Warszawa 1954, s. 148.

⁹¹ Cytuję wg M. D u n i n a, *Dlaczego Indie głodują?* (Nowe Czasy, nr 12 z 19 marca 1952).

⁹² Patrz R. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 60 i ns.

Ilość urodzeń żywych na 1.000 mieszkańców w latach 1901—1910 wynosiła w Indiach 38 urodzeń. W tym samym czasie w Europie przypadało przeciętnie na 1.000 mieszkańców 35,1 urodzeń żywych, dane zaś dla Polski z tego okresu (dla lat 1908—1913) mówią o 38,9 urodzeniach.⁹³ Spadek ilości urodzeń był jednak w Indiach mniej intensywny niż w krajach europejskich, aczkolwiek i tutaj wyraźnie zaznacza się ten proces:

lata	ilość urodzeń żywych na 1.000 mieszkańców w Indiach
1901—1910	38
1931—1940	34
1943—	26

Mimo stosunkowo wysokiej ilości urodzeń — przyrost naturalny w Indiach nie był wysoki. Zadecydowała o tym wysoka śmiertelność, wynosząca wg oficjalnych danych 24 zgony na 1.000 mieszkańców rocznie, oceniana zaś przez hinduskiego demografa Chandrasekhara na 30 zgonów. W Indiach 25% dzieci umiera w pierwszym roku życia, 40% w wieku lat pięciu, zaledwie 50% dochodzi do 20 lat życia. Średnia długość życia mieszkańca Indii wynosi 26,7 lat (dane za r. 1931), podczas gdy np. w tym samym czasie w Anglii 60,8 lat, w Szwecji 64,3 lata, w Polsce 49,8 lat.⁹⁴

O stosunkach zdrowotnych w Indiach świadczy to, że na 350 milionów mieszkańców Indie mają zaledwie 50 tys. lekarzy, 7 tys. kwalifikowanych pielęgniarzek, 5.000 akuszerek i 100 pediatrów. Szpitale w Indiach rozporządzają 70 tys. łóżek. Minister Zdrowia Radżkumari Amrit Kaur stwierdził w swym sprawozdaniu, że jedna trzecia ludności choruje na malarię. Gruźlica zabiera co minutę jedno życie ludzkie.⁹⁵

W konsekwencji tego stanu rzeczy kształtował się przyrost naturalny w Indiach.

Wzrost ilości ludności wynosił w latach 1870—1900:

w Indiach	18,9%
w Anglii	58,0%
w Europie	45,4%

Dla okresu 1872—1931 przyrost ludności przedstawiał się następująco:

w Indiach	30%
w Anglii	77%

W latach 1921—1940 przyrost ludności w Indiach, wynoszący 21%, kształtował się wyżej niż w Europie, niżej jednak niż w Stanach Zjednoczonych A. P.(24%). „Ale zagadnienie nędzy indyjskiej — stwierdza Palme Dutt — nie datuje się od 1921 roku.”

⁹³ *Mały Rocznik Statystyczny 1939*, Warszawa 1939.

⁹⁴ *Mały Rocznik Statystyczny 1939* oraz Josue de Castro, *Geografia głodu*, Warszawa 1954, s. 179.

⁹⁵ Dane te zostały zaczerpnięte z przemówienia delegatki Indii na Światowy Kongres Kobiet w Kopenhadze (5—10. VI. 1953) — por. *Congrès Mondial des Femmes. Rapports, Interventions, Documents*, Berlin b. d., s. 185—186. W świetle tych informacji pewne wątpliwości budzi wykazywany przez oficjalną statystykę indyjską spadek wskaźnika zgonów od 14,5 (na 1000 mieszkańców) w r. 1952 (por. E. Szturm de Sztrem: *Elementy demografii*, Warszawa 1955, s. 175) oraz przytoczony w artykule Stefana J. Kurowskiego spadek wskaźnika zgonów w latach 1938—1952 z 23,7 na 13,8 na 1000 mieszkańców, (Por. artykuł pt. *Indie — szóste mocarstwo*, „Dziś i Jutro”, nr 10 z 13 marca 1955 r.).

Z przytoczonych danych wynika jasno, że zagadnienia demograficzne nie stanowią bynajmniej (wbrew temu, co usiłują sugerować zwolennicy koncepcji neomaltuzjańskich) istoty problemu.

Dla uchwycenia podstawowych elementów, które przesądziły o sytuacji, wobec której stoją dziś Indie w zakresie zagadnień wyżywienia i rolnictwa, trzeba choćby pokrótce zająć się niektórymi wynikami angielskiego panowania w Indiach.

Przed wszystkim warto omówić strukturę zawodową ludności. Oficjalne sprawozdanie angielskie Montagu i Chelmsforda z r. 1918 wyraża w tej sprawie pogląd następujący: „*Rolnictwo jest podstawowym zajęciem ludności; w normalnych czasach wysoce uprzemysłowiony kraj, jak Anglia, daje 58 osób na każde 100 przemysłowi, a tylko 8 rolnictwu. Ale Indie z każdej setki dają 71 rolnictwu lub hodowli... W całych Indiach praca na wsi utrzymuje 226 na 315 milionów, a 208 milionów zarabia na życie bezpośrednią uprawą swoich lub cudzych pól, albo też jest od niej wprost zależna.*”

W liczbach tych wyraża się jednostronność struktury gospodarczej Indii, która spowodowana została polityką angielskich kolonizatorów. Zahamowanie rozwoju nowoczesnego przemysłu oraz likwidacja rzemiosła i drobnej wytwórczości (o czym była już wyżej mowa) zaciążyły na strukturze zawodowej ludności w sposób decydujący. Toteż zjawisko przeludnienia na wsi pogłębiało się. Świadczą o tym liczby oficjalnych spisów ludności, wg których procent ludności żyjącej z rolnictwa wynosił:

w r. 1891	61,1
1901	66,5
1911	72,2
1921	73,0

W r. 1931 — w związku ze zmianą podstawy klasyfikacji — udział ten spadł do 65,6%. Był to jednak spadek pozorny i według zgodnej opinii badaczy tego zagadnienia nie było w dziesięcioleciu 1921—1931 poważniejszych zmian w tym zakresie.

Charakterystyczny dla stosunków indyjskich jest fakt, że obok zjawiska podnoszenia się udziału ludności żyjącej z rolnictwa — obserwujemy spadek procentu ludności żyjącej z przemysłu, który wynosił (wg R. Palme Dutta):

w r. 1911	5,5
1921	4,9
1931	4,3

Z liczb tych wynika, że w okresie tym trwał nadal proces niszczenia tradycyjnego rzemiosła i wypierania ludności rękodzielniczej do rolnictwa.

„Przeludnienie na roli — pisze R. Palme Dutt — oznacza, że obecne, zacośane rolnictwo musi wyżywić większą część stale wzrastającej ludności.”⁹⁶

⁹⁶ R. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 166.

Tymczasem zaś angielscy kolonizatorzy, przystosowując produkcję rolną do swoich potrzeb i interesów, kładli szczególny nacisk na rozwijanie uprawy roślin niejadalnych, powodując tym zaniedbanie rozwoju uprawy roślin jadalnych. Mówią o tym dobitnie następujące dane statystyczne. W latach 1893—1920 obszar uprawy roślin jadalnych zwiększył się o 7%, roślin niejadalnych o 43%; w latach 1935—1940 obszar uprawy roślin jadalnych zmniejszył się o 600 tys. ha, roślin niejadalnych zaś wzrósł o 640 tys. ha. W wyniku tej polityki wskaźniki zaludnienia i ziem uprawnych w Indiach kształtowały się jak następuje:

Okres	Wskaźniki wzrostu		
	ludności	ziemi pod uprawą	obszaru uprawy zbóż jadalnych
1910—1911			
1914—1915	100	100	100
1930—1931	107	118,6	113,9
1934—1935	120	117,2	112,4

Dalszym faktem charakteryzującym sytuację w Indiach jest istnienie ogromnego obszaru ziemi nadającej się pod uprawę, lecz nie uprawianej. Dane dotyczące byłych Indii Brytyjskich mówią np., że na 355 milionów akrów⁹⁷ ziemi nadającej się pod uprawę zaledwie 59% stanowi ziemia uprawiana, natomiast 13,2% (49,1 milionów akrów) obejmują odłogi, 27,3% (97,2 milionów akrów) to ziemia nieuprawiana. Objęcie pod uprawę nowych terenów wymaga poważnych nakładów finansowych. Dlatego też — mimo wielkiego głodu ziemi — żyjący w skrajnej nędzy chłop indyjski nie może rozszerzyć przestrzeni upraw. Sir James Caird już w r. 1879 w raporcie przedstawionym Sekretarzowi Stanu dla Indii pisał: „Istnieją... obszernie tereny dobrej ziemi w różnych stronach kraju, które są pokryte dżunglą, chociaż mogłyby być oczyszczone i udostępnione dla uprawy; do tego celu potrzeba jednak kapitału, a ludzie mają niewiele oszczędności“.

„W Indiach — czytamy w 75 lat później w pracy publicysty radzieckiego — jeszcze do tej pory 10 mln. akrów urodzajnej ziemi jest zarośnięte pewną odmianą dzikiej trzciny cukrowej — nader niebezpiecznego chwastu. Chwast ten posiada bardzo mocny i rozgałęziony system korzeni i dlatego nie podobna go zniszczyć ani przeorywaniem, ani paleniem. Jedynym sposobem walki z nim jest podcinanie korzeni na głębokości 30 — 40 cm, co mogą zrobić jedynie potężne nowoczesne traktory i pługi stalowe. Jednakże zastosowanie traktorów nie leży w granicach możliwości finansowych biednych chłopów hinduskich, którzy posługują się jedynie narzędziem pradziadów — drewnianą sochą. Nic więc dziwnego, że olbrzymie polacie urodzajnej ziemi zarośnięte chwastami nie są uprawiane...“⁹⁸

Zatem potencjał żywnościowy Indii można by podnieść o wielkie obszary „nadających się do uprawy nieużytków“ oraz „odłogów“.

⁹⁷ 1 akr = ok. $\frac{2}{5}$ ha.

⁹⁸ A. J. P o p o w, dz. cyt., s. 68.

Ale nie na tym kończą się niewykorzystane możliwości wzrostu produkcji żywnościowej w Indiach. Podniesienie rolnictwa na wyższy poziom techniczny, a zwłaszcza usprawnienie i rozbudowa systemu nawadniania — to droga do podniesienia plonów z ha, które są w Indiach znacznie niższe niż w innych krajach. I tak według danych porównawczych, opublikowanych dla lat 1932—1933 przez Ligę Narodów, produkcja ryżu z akra wynosiła (w funtach):

w Indiach	1357
w Egipcie	2356
w U S A	2112
we Włoszech	4601

Produkcja pszenicy z akra wynosiła wg tego samego źródła (w funtach):

w Indiach	652
w Japonii	1508
w Egipcie	1688
w U S A	973
w Anglii	1812

Podkreślić należy, że wydajność w rolnictwie indyjskim w okresie rządów angielskich stale się zmniejszała. Przeciętny plon ryżu z akra wynosił w pięcioleciu 1903—1908 — 1234 funty i spadł w ciągu 20 lat, tzn. do roku 1926—1927 o 212 funtów, tzn. do 1022 funtów z akra. Podobnie przedstawia się sytuacja jeśli idzie o pszenicę (spadek o 80 funtów na akrze) czy fasolę (spadek o 70 funtów).

Ten zastój i upadek rolnictwa indyjskiego — prowadzący do stałego pogłębiania się nędzy indyjskiej — wiąże się ściśle z wynikami panowania angielskiego. Dr J. A. Voelcker (z Royal Agricultural Society) wypowiedział w r. 1889 w swoim raporcie prawdziwą pochwałę chłopu indyjskiego:

„Na poziomie najwyższym chłop indyjski dorównuje, a pod pewnymi względami przewyższa przeciętnego farmera brytyjskiego; na najniższym zaś... chłop indyjski potrafi walczyć z trudnościami cierpliwie i bez skargi, jak bodaj nikt inny na świecie. Brytyjscy farmerzy nie powinni się temu dziwić, gdyż tubylcy w Indiach zaczęli uprawiać pszenicę ocale setki lat wcześniej niż Anglicy. Nie sądzę, aby można ich było wiele pod tym względem nauczyć. Przyczyną niskiej produkcji ich pól jest nędza oraz brak nawozu i wody.“

Zagadnienie nawodnienia jest jednym z centralnych problemów rolnictwa indyjskiego. Już w r. 1853 Marks zwracał uwagę na całkowite zaniedbanie systemu irygacyjnego przez Anglików, a Engels mniej więcej w dwadzieścia lat później pisał: „Ilu tylko despotów wyrosło i upadło w Persji i Indiach, każdy wiedział dokładnie, że przede wszystkim jest ogólnym kierownikiem irygacji dolin rzecznych, bez której rolnictwo nie jest tam możliwe. Dopiero oświeconym Anglikom sądzone było przeoczyć to w Indiach; dopuścili do ruiny kanałów irygacyjnych i słuz, a teraz dzięki powtarzającym się regularnie klęskom głodowym przekonują się w końcu, że zaniedbali jedynej czynności, która mogłaby ich panowanie w Indiach uczynić

co najmniej tak prawomocnym, jak było panowanie ich poprzedników”.

Zaniedbania te trwały nadal w XX stuleciu. Bengalska Komisja dla Spraw Irygacji w r. 1930 stwierdziła np., że „środkowy Bengal jest w tej chwili okolicą zamierającą; jest on wysoce malaryczny, zaludnienie stale zmniejsza się, przestaje się uprawiać ziemię. Jest naturalnie możliwe, że spadek posunął się tak daleko, że nie można go teraz powstrzymać... Jeśli chodzi o rozbudowanie i utrzymanie pomniejszych dróg wodnych... nie zrobiono praktycznie nic...“ Opinia zaś eksperta do spraw nawadniania, Sir Williama Willcocksa, pochodząca z tego samego mniej więcej czasu, mówi: „Odkryłem, że niezliczona ilość drobnych rzek, niszczycielskich dzisiaj na skutek wylewów, są to w rzeczywistości dawne kanały, które, zaniedbane pod rządami brytyjskimi, porzuciły swe normalne łożyska. Kanały te wykorzystując wody Gangesu służyły niegdyś irygacji i one to były jedną z głównych przyczyn bogactwa Bengalu. Nie tylko nie uczyniono nic dla utrzymania i polepszenia ich stanu, ale zniszczono wiele z nich przy budowie nasypów kolejowych. Niektóre okolice odcięte od wód Gangesu straciły zupełnie urodzajność. W innych zrujnowanie systemu irygacyjnego doprowadziło do powstania moczarów — źródła malarii. W dolnym biegu Gangesu brak regulacji tej rzeki pozwala corocznie na erozję, niszczącą olbrzymie obszary pól.“

W swoich wrażeniach z podróży do Indii współczesny biolog radziecki M. Dunin tak opisuje częsty obraz — ręczne zraszanie pól: „Na spadzistym zboczu wysokiego brzegu zbiornika wodnego pracuje około 10 «ludzi-pomp». Dwóch stoi przy samym brzegu zbiornika. Każdy z nich trzyma w rękach koniec sznura, na którego środku zawieszony jest skórzany ceber pojemności 3—4 wiader. Zmniejszając napięcie sznura ludzie opuszczają ceber do zbiornika. Ceber prawie momentalnie napęlnia się wodą. Ludzie natychmiast szybko naciągają sznur, podejmują ceber z wodą do góry i przewracają go w zagłębienie urządzone na zboczu brzegu, na wysokości mniej więcej około metra nad powierzchnią zbiornika. Stoi tam druga taka sama «pompa», składająca się z dwóch ludzi. Przerzucają oni wodę jeszcze o jeden stopień wyżej w następne zagłębienie, zrobione na spadzistym zboczu i tak dalej — dopóty, dopóki woda nie zostanie podniesiona na taką wysokość, skąd już samoczynnie popłynie na działki. Tak pracują Hindusi od rana do wieczora, kołysząc się jak wahadła. Ale nawet przy takiej wyczerpującej pracy, kilku ludzi wyciągając ciężkie cebry wody w ciągu 3—4 tygodni polewa powierzchnię chyba nie większą od hektara.“⁹⁹

Oto przykład poziomu techniki stosowanej w rolnictwie indyjskim w połowie XX wieku, w wyniku wiekowych zaniedbań angielskich władców Indii, którzy zresztą uczynili wszystko, by i nadal utrudnić rozwiązanie problemu irygacyjnego w Indiach przez podział kraju na Hindustan i Pakistan. Podział bowiem systemu nawadniającego jest niemożliwy i wymaga wobec tego trudnej i skomplikowanej współpracy. Źródła lub górne biegi pięciu rzek Pendżabu, Indus oraz niektóre zapory regulujące wody rzek znajdują się w Hindustanie. Duże obszary żyznych ziem Pendżabu, Sindu i innych prowincji, pozbawione wody dla swego systemu kanałów obróci-

⁹⁹ F. Engels, *Anty-Dühring*, Warszawa 1949, s. 177.

¹⁰⁰ M. Dunin, *Przez Afganistan, Pakistan i Indie*, Warszawa 1954, s. 174.

łyby się w pustynię. Toteż problemy te przyczyniają wielu trudności w stosunkach pomiędzy Hindustanem i Pakistanem.

Spadek po rządach angielskich nie ogranicza się do zewnętrznych, technicznych warunków pracy rolnika, lecz obejmuje również problem s t r u k t u r y a g r a r n e j.

Trzeba uprzytomnić sobie przede wszystkim, że to właśnie Anglicy stworzyli w Indiach monopol obszarników na ziemię. Przed rządami angielskimi ziemia była własnością chłopów, którzy płacili „udział królewski“, czyli określoną część plonów. Anglicy wprowadzili podatek gruntowy, którego wysokość określano niezależnie od plonów, natomiast w zależności od areалу uprawianych gruntów.

Obciążenie podatkowe pod angielskimi rządami poważnie wzrosło.¹⁰¹ Przed objęciem władzy przez Kompanię Wschodnio-Indyjską dzierżawcami podatków, ściągającymi je na rzecz ówczesnych władców, byli tzw. zemindarzy. Tych to właśnie zemindarów przekształcił lord Cornwallis tzw. Starym Statutem Rolnym z r. 1793 na obszarników. W ten sposób na bazie wywłaszczenia chłopów indyjskiego powstała — a następnie rozwinęła się — nowa warstwa obszarnicza, najstarszy sprzymierzeniec rządów imperialistycznych w Indiach.

Obok systemu zemindarskiego, w którym w wyzysku chłopów uczestniczył obszarnik-zemindar oraz za jego pośrednictwem rząd, stworzony został w r. 1820 przez Sir Thomasa Munro system bezpośredniego wyzysku chłopów, tzw. *system rajotvari*. System ten rozbił tradycyjne stosunki wspólnoty wiejskiej i w miejsce zbiorowych rozrachunków z gminami wiejskimi (*system mauzawari*) wprowadzał indywidualne obciążenie poszczególnych chłopów.

Analizując materiały statystyczne dotyczące struktury rolnej Indii, dochodzimy do wniosku że ukształtowała się ona w wyniku kilku wyraźnie zarysowujących się procesów, dla których punktem wyjścia było stworzenie systemu obszarniczego-zemindarskiego oraz systemu *rajotvari*. Przede wszystkim nastąpiło rozszerzenie się i ilościowy wzrost obszarnictwa, o którym świadczy zwiększająca się ilość właścicieli i pobierających czynsz, wykazywana przez kolejne spisy ludności. Równolegle dokonuje się proces stałego zubożania mas chłopskich, znajdujący wyraz w rozdrobnieniu własności chłopskiej oraz w powiększaniu się ilości bezrolnych robotników.

Rozdrobnienie własności chłopskiej doprowadziło do tego, że np. w Bengalu ok. $\frac{3}{4}$ rodzin żyło w gospodarstwach o powierzchni poniżej 5 akrów, więcej zaś niż połowa gospodarstw nie przekraczała 3 akrów. Badania jednego z burżuazyjnych uczonych¹⁰² wykazały na przykładzie szczegółowej analizy stosunków wsi indyjskiej, że 31% gospodarstw w badanej wsi z racji zbyt małej powierzchni nie jest w stanie w najbardziej sprzyjających warunkach wyżywić swych właścicieli.

O wzroście ilości bezrolnych mówi porównanie liczb spisów ludności, które wykazywały:

¹⁰¹ Por. dane na str. 50 niniejszego artykułu.

¹⁰² Dr H. M a n n, *Życie i praca w wiosce dekańskiej* (cyt. przez R. P a l m e D u t t a, dz. cyt., s. 191).

w r. 1921	21,7 milionów
w r. 1931	33,5 miliona robotników rolnych

W Madrasie np. na 1000 osób ludności rolniczej przypadało:

w r. 1921	317
w r. 1931	429 robotników rolnych

Ze zubożeniem chłopą, z jego stale rosnącą nędzą wiąże się ściśle następny charakterystyczny element sytuacji w rolnictwie indyjskim — zadłużenie. Z chwilą gdy wierzyciel na podstawie wprowadzonych przez Anglików praw mógł zająć ziemię dłużnika (co dawniej pod rządem praw tubylczych było niemożliwe), lichwiarz stał się jednym z aktywnych czynników przekształcenia struktury rolnictwa indyjskiego. Proces zadłużenia się chłopów rozwijał się stale w ciągu XX wieku. O ile np. w okręgu Faizpur (w Bengalu) w r. 1906 jeszcze 55% rodzin nie było zadłużonych, to już w r. 1934 tylko 16,9% rodzin było wolnych od długów.

Na prymitywnej gospodarce chłopskiej, utrzymywanej przez cały okres rządów angielskich na najniższym poziomie, ciąży zatem wyzysk ze strony rządu (reprezentowanego przez poborcę podatkowego), ze strony obszarnika i wreszcie ze strony lichwiarza. Wedle dokonanych obliczeń odbierają cni chłopu ok. $\frac{2}{3}$ jego zarobku, pozostawiając mu mniej, niż potrzeba na życie.

Oto — w bardzo ogólnym zarysie — problemy, które stoją przed rolnictwem Indii.

Trzeba przyznać, że ten po-angielski spadek ciąży w sposób decydujący na gospodarstwie narodowym współczesnych Indii. Zagadnienie rolnictwa oraz zasadniczej poprawy w zakresie żywienia i stanu zdrowotnego mas ludności indyjskiej należy do pierwszoplanowych spraw, stojących przed rządami Hindustanu i Pakistanu. Wszakże w r. 1943 zmarło w Indiach na skutek głodu ok. 4 milionów ludzi. O wadze tych spraw przypomniały znowu okresy powojennego „wielkiego głodu“, głodu w Biharze w r. 1951 czy głodu w południowych Indiach w 1952 roku, które kosztowały Indie znowu miliony istnień ludzkich.

Plan pięcioletni¹⁰³, będący wyrazem rządowej polityki gospodarczej Hindustanu, przeznaczył w latach 1951—1956 na system irygacyjny i urządzenia hydroelektryczne sumę 420,8 milionów funtów (co stanowi 27,1% nakładów finansowych, przewidzianych planem pięcioletnim). Dumą współczesnych Indii jest realizacja olbrzymich urządzeń hydrotechnicznych na rzece Satledź tzw. Projektu Bakra-Nangalskiego. Gigantyczna ta inwestycja zapewni prawidłowe nawodnienie na terenie stanów Pepsu, Pendżab i Radżastan oraz dostarczy energii elektrycznej dla przemysłu i rolnictwa. Poza tym figurują w planie pięcioletnim sumy na rozwój rolnictwa i gospodarki gminnej w wysokości 270,8 milionów funtów. Te dwie pozycje łącznie stanowią 44,6% nakładów finansowych w planie pięcioletnim. Czy oznacza to rozwiązanie zasadniczych problemów? Oczywiście, że nie. Niezależnie od bezspornego stwierdzenia, iż wiekowych zaniedbań w ciągu lat pięciu nie można odrobić, trzeba ponadto zwrócić uwagę na kierunek roz-

¹⁰³ Wszelkie dane dotyczące planu pięcioletniego Hindustanu czerpię z artykułu *India — Progress and Plan* („The Economist“ z 22 stycznia 1955 r., nr 5813).

woju rolnictwa, założony w planie pięcioletnim: produkcja zbóż jadalnych wzrosnąć ma mianowicie o 14%, produkcja bawełny o 42%, juty zaś o 63%. Mamy tu zatem do czynienia z kontynuacją zasadniczego dotychczasowego kierunku kształtowania rolnictwa indyjskiego.

Poza tym stwierdzić trzeba, że sprawa podniesienia wydajności rolnictwa indyjskiego, sprawa dźwignięcia produkcji rolnej na taki poziom, by Indie przestały być wreszcie krajem wiecznego głodu — wymaga zasadniczej przebudowy ustroju rolnego. Od dawna radykalne ruchy chłopskie i Komunistyczna Partia Indii domagają się przeprowadzenia likwidacji obszarniczej własności ziemskiej bez odszkodowania i bezpłatnego uwłaszczenia chłopów. Burżuazyjne czynniki Hindustanu i Pakistanu, powiązane silnie z feudalami-obszarnikami oraz widzące w masie bezrolnej ludności „rezerwę” dla przemysłowego rynku pracy, nie poszły oczywiście tą drogą. Poczynania ich na odcinku reformy rolnej są niezmiernie skromne. Przewidują odszkodowanie dla obszarników oraz sprzedawanie ziemi chłopom. Wzmocniłoby to oczywiście tylko niewielką górną warstwę najbogatszych chłopów. Tak pomyślana „reformacja rolna” nie jest oczywiście w stanie przyczynić się do rozwiązania problemu rolnictwa indyjskiego.

Projekt programu Komunistycznej Partii Indii sformułował następujące tezy, dotyczące tego centralnego gospodarczego i społecznego zagadnienia Indii: „Aby uwolnić kraj od wszystkich tych nieszczęść i wydobyć go z zacołania kulturalnego, trzeba stworzyć ludzkie warunki egzystencji dla chłopów, trzeba odebrać ziemię obszarnikom i oddać ją chłopom. W tym celu konieczne jest:

Przekazanie ziemi obszarniczej chłopom bez wykupu i ustawowe utrwalenie tej reformy w formie specjalnej ustawy o ziemi.

Zapewnienie chłopom długoterminowego, taniego kredytu na zakup narzędzi rolniczych i niezbędnych nasion.

Anulowanie zadłużenia chłopów wobec lichwiarzy.

Zapewnienie robotnikom rolnym dostatecznego poziomu płac i warunków życiowych.“

Tezy te stanowiły wspólną platformę indyjskich partii bloku lewicowo-demokratycznego w wyborach 1952 r.¹⁰⁴ — i po tej zasadniczej linii pójść musi każda próba istotnego rozwiązania zadań w dziedzinie indyjskiego rolnictwa i wyżywienia. Stwierdzić należy, że obecnie — w związku z opracowywaniem drugiego planu pięcioletniego — dyskutowana jest znowu szeroko sprawa reformy rolnej. Decyzje jednak na ten temat nie zostały jeszcze podjęte.

Problemy gospodarki przemysłowej

Wspomniano już wyżej o jednostronnym ukształtowaniu struktury gospodarczej Indii, wyrażającym się w niedorozwoju przemysłu. Należy jednak pamiętać, że jedną z charakterystycznych cech dezindustrializacji Indii (o czym była mowa wyżej) stanowi zanikanie tradycyjnej produkcji rękodzielniczej. To właśnie decydowało o zjawisku zmniejszania się udziału ludności żyjącej z pracy przemysłowej w ogólnej ilości ludności.

¹⁰⁴ Cytuję za E. W a r g ą, dz. cyt., s. 371.

Natomiast produkcja fabryczna, mimo negatywnego stanowiska angielskich władców i mimo płynących stąd hamulców rozwoju — w XX wieku stale, i to poważnie, wzrastała. Wzrost produkcji fabrycznej i zatrudnienia w fabrykach obrazują następujące wskaźniki (lata 1919—1923 przyjęto za 100):

<i>lata</i>	<i>produkcja</i>	<i>zatrudnienie</i>
1919—1923	100	100
1924—1928	119	117
1929—1933	134	114
1934—1938	181	126

W czasie drugiej wojny światowej wzrasta poważnie indyjska produkcja przemysłowa. Przyjmując poziom produkcji w r. 1937 za 100, otrzymamy następujące wskaźniki, mówiące o tym zjawisku:

<i>rok</i>	<i>wskaźnik produkcji</i>	<i>rok</i>	<i>wskaźnik produkcji</i>
1937	100	1942	111
1938	105	1943	117
1939	103	1944	117
1940	110	1945	120
1941	118		

Potem nastąpiło załamanie produkcji i wskaźnik dla lat następnych ukształtował się na znacznie niższym poziomie:

<i>rok</i>	<i>wskaźnik produkcji</i>
1946	109
1947	102

Wzrost produkcji w latach wojny nie oznaczał jednak bynajmniej wzrostu potencjału przemysłowego, lecz był, jak to stwierdził Sir Badridas Goenka, prezes Federacji Indyjskich Izb Handlowych i Przemysłowych, wynikiem „*bezwzględnego przeciążania istniejących maszyn, zwiększenia ilości robotniko-godzin, bez stwarzania nowych możliwości produkcyjnych*“.

Znamienny dla struktury przemysłu indyjskiego jest fakt, że decydujące znaczenie ma przemysł wytwarzania środków spożycia, natomiast — poza nielicznymi przedsiębiorstwami — nie ma w Indiach przemysłu wytwarzającego środki produkcji. Świadczą o tym dane o podziale robotników przemysłowych na różne gałęzie przemysłu (wg spisu z r. 1931). I tak z ogólnej ilości robotników zatrudnionych w przemyśle fabrycznym przypadało np. na:

przemysł włókienniczy	43 ⁰ / ₀
„ drzewny	10 ⁰ / ₀
„ spożywczy	10 ⁰ / ₀
„ metalowy	5 ⁰ / ₀
„ budowlany	4 ⁰ / ₀
„ chemiczny	4 ⁰ / ₀

W przemyśle ciężkim pracuje ogółem zaledwie 15% robotników. E. Wargę przypomina, że w r. 1951 produkcja stali w Indiach wynosiła poniżej 3 kg na 1 mieszkańca, podczas gdy w Anglii ok. 320 kg na 1 mieszkańca.¹⁰⁵

O niezmiernie niskim poziomie przemysłu i techniki w Indiach świadczy również ciekawy wskaźnik, obliczony przez prof. T. T. Readę z uniwersytetu Columbia, a ujmujący ilość pracy mechanicznej na dobę, uzyskanej ze wszystkich źródeł energii na jednego mieszkańca kraju w 1939 r., wyrażoną w godzinach pracy 1KM. Wskaźnik ten wynosi dla Indii 0,49, natomiast dla Stanów Zjednoczonych 12,27, dla Anglii 7,96, dla Francji 4,32, dla Polski 1,94 (w r. 1929). W Indiach 70% energii pochodzi z pracy mięśni ludzi i zwierząt, 30% zaś z przemiany surowców energetycznych. W Stanach Zjednoczonych — dla porównania — zaledwie 4% energii dostarczają ludzie i zwierzęta.¹⁰⁶

Anglicy przez konsekwentne hamowanie rozwoju przemysłu ciężkiego przeciwdziałali z pełną świadomością tworzeniu podstaw dla dalszej rozbudowy przemysłowej Indii. Stanowiska swego imperializm angielski nie zmienił również i po utworzeniu dominiów Hindustanu i Pakistanu. Na tle stosunku burżuazji angielskiej do sprawy istotnego uprzemysłowienia Indii — specjalnej wymowy nabiera fakt podpisania pomiędzy ZSRR i Hindustanem umowy w sprawie budowy w Indiach potężnej huty o zdolności produkcyjnej 1 miliona ton stali. Jest to zresztą dalszy krok na drodze do wzmocnienia więzi ekonomicznych między Związkiem Radzieckim a Indiami. Indie zapoczątkowały bezpośrednio stosunki handlowe ze Związkiem Radzieckim dopiero po drugiej wojnie światowej, przedtem pośredniczyły bowiem w takich transakcjach firmy angielskie. W r. 1953 podpisana została pierwsza umowa handlowa ze Związkiem Radzieckim. Wśród towarów eksportowanych do Indii ze Związku Radzieckiego znalazły się również różnorodne urządzenia przemysłowe, takie jak maszyny dla przemysłu naftowego, górniczego, maszyny do budowy dróg, kopalń, urządzenia dla przemyśłu włókienniczego, spożywczego i poligraficznego, traktory i maszyny rolnicze, rozmaite obrabiarki i narzędzia.¹⁰⁷ Import ze Związku Radzieckiego stanowi poważną pomoc dla Indii, nie może jednak w obecnym układzie stosunków wywrzeć decydującego wpływu na proces uprzemysłowienia Indii. Niemniej stale rośnie jego znaczenie i zasięg.

Premier Nehru w czasie konferencji prasowej w Moskwie, dnia 21 czerwca br. odpowiedział w sposób następujący na pytania angielskich i amerykańskich dziennikarzy w sprawie technicznej i materialnej pomocy Związku Radzieckiego dla Indii: „Rząd radziecki oświadczył, że chętnie udzieli nam pomocy technicznej i dostarczy urządzeń w celu realizacji naszych planów rozwoju kraju“. A dalej: „W Indiach buduje się stalownię. Radzieccy specjaliści udzielają konsultacji przy budowie tych zakładów. Zawarliśmy przyjacielską transakcję, w rezultacie której my otrzymujemy urządzenia i maszyny, płacąc za to. Byli u nas również radzieccy uczeni-eksperci. Udzielali oni nam konsultacji w różnych zagadnieniach. Oczekujemy przy-

¹⁰⁵ E. W a r g a, dz. cyt., s. 360.

¹⁰⁶ Cytuję wg Mateusza Tadeusza Milewskiego, *Geografia wyżywienia*, Warszawa 1953, s. 99.

¹⁰⁷ Por. W. S p a n d a r i a n, *Wzmocnienie więzi ekonomicznych między Związkiem Radzieckim a Indiami* („Nowe Czasy“ nr 50 z 12 grudnia 1953).

jazdu dalszych uczonych radzieckich. Obecnie w ZSRR przebywa grupa pracowników naszego przemysłu. Dzieje się to zgodnie z programem udzielania pomocy technicznej poprzez ONZ". A na kolejne pytanie przedstawiciela hinduskiego dziennika *Statesman*, premier Nehru scharakteryzował pomoc radziecką tymi słowami: „Pomoc Związku Radzieckiego dla naszego kraju nie jest oczywiście uwarunkowana żadnymi zobowiązaniami politycznymi“.

Czy wraz z nowym etapem historii politycznej Indii — nadaniem statutu dominialnego — nastąpiła zasadnicza i istotna zmiana w dziedzinie możliwości uprzemysłowienia tego kraju?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przede wszystkim uprzytomnić sobie, jaki ma wpływ na rozwój gospodarczy Indii podział na dwa organizmy państwowe.

Cały prawie przemysł Indii pozostał w Hindustanie. Jeśli idzie o największe przedsiębiorstwa, to 380 zakładów przemysłu bawełnianego przypada na Hindustan, 9 zaś tylko na Pakistan, 16 cementowni na Hindustan, 3 na Pakistan. W s z y s t k i e większe przedsiębiorstwa przemysłu stalowego, papierniczego i huty szkła znajdują się w Hindustanie. Również i cały przemysł jutowy zgrupowany jest w Hindustanie, przy czym sytuacja w tym przemyśle kształtuje się tym bardziej absurdalnie, ponieważ surowiec dla tego przemysłu — juta, uprawiany jest (podobnie zresztą jak bawełna długowłóknista) przede wszystkim w Pakistanie. Bogactwa mineralne Indii zlokalizowane są w 85—90%, produkcja zaś węgla w 90% — w Hindustanie. Pakistan natomiast, będący obszarem o pewnej nadwyżce żywnościowej, w dążeniu do stworzenia własnego przemysłu wprowadził wysokie cła, odcinając w ten sposób barierą celną przemysł Hindustanu od jednego z naturalnych, bliskich rynków zbytu.

Ogólne warunki dla rozwoju przemysłu nie zostały zatem poprawione. Toteż przemysł indyjski nie notuje w pierwszych latach po utworzeniu dominiów poważniejszych sukcesów. Wskaźnik produkcji przemysłowej kształtował się w latach 1948—1951 następująco:

r. 1948	100
r. 1949	98
r. 1950	97
r. 1951	108

Realizacja planu pięcioletniego spowodowała w późniejszych latach nieco szybszy wzrost produkcji, który osiągnął w r. 1954 poziom o 30% wyższy niż w r. 1948.

Wzrost wydobywania bogactw naturalnych charakteryzują następujące liczby:

	1948	1949	1950	1951
węgiel kamienny (w milionach ton)	30	32	33	35
ruda manganowa (w tys. ton.)	123	215	255	386
ruda chromowa (w tys. ton)	10	9	6	—
boksyty (w tys. ton)	21	51	42	—
ruda miedziana (w tys. ton)	8,1	9,9	9,0	—

Plan pięcioletni nie przewiduje większych inwestycji w przemyśle. Jak obliczył E. Warga, na 1 mieszkańca Hindustanu przypadają w ciągu pięciu lat inwestycje przemysłowe wartości 1 dolara.¹⁰⁸

Według oficjalnych danych wzrost produkcji niektórych wyrobów przemysłowych w ciągu planu pięcioletniego przedstawia się następująco:

	produkcja w okresie przed planem	1951—52	1953—54	produkcja planowana na r. 1956
surówka żelazna (w tys. t.)	1572	1740	1651	2835
stal (w tys. t.)	976	1083	1081	1650
aluminium (w t.)	3677	3905	3846	12000
lokomotywy (w szt.)	—	27	86	438
wagony (w szt.)	1095	3707	6892	30000
motory elektr. (w tys. HP)	99	154	161	320
superfosfat (w tys. t.)	55	57	66	180
cement (w tys. t.)	2692	3281	4028	4800
rowery (w tys. szt.)	—	101	289	530
maszyny do szycia (w tys. szt.)	—	32,9	68,4	91,5
juta (w tys. t.)	392	931	864	1200

Jak widać z danych za lata 1953—1954, poważny, jak na stosunki indyjskie, wysilek zmierzający do osiągnięcia zadań określonych przez plan, nie we wszystkich dziedzinach daje zamierzone wyniki. Wciąż jeszcze — że zacytujemy raz jeszcze opinię E. Wargi — „Indie i Pakistan są jak dawniej zacofanymi krajami rolniczymi. Indie, których ludność jest 7-krotnie liczniejsza od ludności Anglii, produkowały w 1950 r. w porównaniu z Anglią 6 razy mniej surówki żelaznej, 11 razy mniej stali, 10 razy mniej energii elektrycznej itd. Indie i Pakistan jak dawniej nie posiadają ani przemysłu budowy maszyn, ani fabryk obrabiarek, ani fabryk parowozów.”¹⁰⁹ Nawet i po realizacji zamierzeń objętych pierwszym planem pięcioletnim stan ten zmieni się w małym tylko stopniu. Charakteryzując zamierzenia rządu w dziedzinie ekonomicznej, premier Nehru stwierdził na konferencji prasowej w Moskwie: „Przede wszystkim postawiliśmy dwa zadania — zwiększenie produkcji rolnej i rozwinięcie zasobów energetycznych oraz systemu sztucznego nawodnienia. W tej dziedzinie osiągnęliśmy sukcesy. W drugim planie pięcioletnim, który rozpoczyna się w przyszłym roku, położymy wielki nacisk na rozwój przemysłu ciężkiego.”

Produkcja stali wzrosnąć ma w toku realizacji drugiego planu pięcioletniego z 1,7 do 5 milionów ton, wydobycie węgla z 38 do 60 milionów ton, produkcja cementu z 4 do 10 milionów ton. Wskaźniki wzrostu w przemyśle lekkim są znacznie niższe i wynoszą np. dla produkcji tkanin bawełnianych — 10%, dla produkcji tkanin wełnianych — 25%.

Rozwój przemysłu ciężkiego ma następować pod postacią przemysłu państwowego. Niezależnie od przemysłu ciężkiego — szczególną opieką ma zostać otoczone rzemiosło, które posiada w Indiach wspaniałe tradycje, a tak bezlitośnie wyniszczone zostało w wyniku angielskiej polityki kolonialnej.

¹⁰⁸ E. W a r g a, dz. cyt., s. 373.

¹⁰⁹ E. W a r g a, dz. cyt., s. 373.

Istotnym czynnikiem dla oceny sytuacji jest (obok rozwoju produkcji) analiza struktury kapitałowej przemysłu indyjskiego. Udział kapitału angielskiego wynosi w produkcji ropy naftowej 97%, kauczuku 93%, zapalek 90%, herbaty 86%, węgla 62%, w innych gałęziach górnictwa również 62%, w produkcji energii elektrycznej 43%. W przemyśle włókienniczym tzn. w tej gałęzi przemysłu, która tradycyjnie jest domeną rozwoju kapitału indyjskiego, Anglicy również partycypują w 21%. Poza kapitałem angielskim działa w Indiach także kapitał amerykański, szwajcarski, kanadyjski, francuski i belgijski.

Decydujące znaczenie ma wciąż jednak kapitał angielski. Na 3.200 milionów rupii lokat kapitału zagranicznego w Indiach lokaty angielskie wyrosły w r. 1948 — 2.283 miliony rupii, tzn. ponad 70%, amerykańskie zaś 180 milionów rupii (5,6%). Sytuacji tej nie zmieni bynajmniej realizacja planu pięcioletniego, który zakłada import kapitału w wysokości 1.300 mln. dolarów.

Niezależnie od bezpośredniego zaangażowania kapitału zagranicznego należy zwrócić uwagę na inną formę uzależnienia przemysłu indyjskiego od monopolu angielskich, jaką jest powiązanie niektórych koncernów indyjskich z ich angielskimi partnerami.

Największy koncern indyjski, *Tata Industries Limited*, który kontroluje m. in. $\frac{3}{4}$ indyjskiego przemysłu hutniczego oraz obejmuje poważną część przemysłu chemicznego, powiązany jest jak najściślej z angielskim koncernem *Imperial Chemical Industries (ICI)*. W rezultacie ludność indyjska otrzymuje wyroby angielskie w opakowaniach z indyjskimi napisami. Drugi potężny trust indyjski *Birla*, którego zasadniczą domeną działalności jest przemysł bawełniany i jutowy (obok bardzo licznych i różnorodnych gałęzi przemysłu, w których poza tym jest czynny), zawarł umowę z angielskim trustem samochodowym *Nuffielda*, w wyniku której Indie miały być zaopatrywane w samochody angielskiej produkcji, co najwyżej montowane w Indiach, i to pod kierunkiem angielskich inżynierów.

Niektóre spółki angielskie „przystosowując się” do nowych warunków przekształcają się na spółki — z punktu widzenia formalno-prawnego — indyjskie, jak np. *East India Distilleries and Sugar Factories Ltd.* Nie zmienia to oczywiście ich rzeczywistego charakteru. To samo odnosi się do działalności angielskiego kapitału, który pod firmą *Birma Oil Shell* buduje rafinerię nafty w Indiach. Tzw. *Pakistan Petroleum Ltd.* jest filią *Burmah Oil Company*, która z kolei stanowi filię angielskiej firmy *Royal Dutch Shell*.

Znane są także umowy indyjsko-amerykańskie z koncernami *Studebaker*, *Chrysler*, *National Rayon Corporation*, *Standard Oil* itd. Stwierdzić można w ogóle ożywienie penetracji i wpływów ekonomicznych Stanów Zjednoczonych A. P. w Indiach. Od r. 1951 angielski monopol wydobycia manganu złamany został przez mieszaną amerykańsko-indyjską firmę *Brainard International Company*. Znane są powiązania amerykańsko-indyjskie pomiędzy *Electric Bond and Share Company* i *Tata Hydro-Electric Agencies Limited*. *Chemical Construction Corporation* uczestniczyła w budowie fabryki nawozów sztucznych w Sindry, *American Cyanamid Company* w budowie fabryki wyrobów farmaceutycznych i barwników w Bulsarze. Znajduje to wyraz również i w przekształcaniu struktury

handlu zagranicznego Indii, mianowicie w latach 1937 — 1951 udział Stanów Zjednoczonych w eksporcie indyjskim wzrósł z 10 do 18%, w imporcie indyjskim z 6 do 30%. W tym samym czasie udział Anglii spadł w eksporcie z 32 do 26%, w imporcie z 32 do 16%.

Terenem, na którym najsilniej zaznaczają się wpływy amerykańskie, jest Pakistan. Coraz większą rolę odgrywa tu amerykańska firma naftowa *Standard-Vacuum Oil Company*. Konkurencję amerykańską (w stosunku do „zadomowionych“ tu z dawną angielskich monopolistów) reprezentują takie spółki amerykańskie jak *Bethlehem Steel Corporation* czy *Sui Gas Transmission Company*. Inwestycje zagraniczne w Pakistanie wzrosły w latach 1947—1952 o blisko 215 milionów rupii. Duża ich część — to inwestycje amerykańskie. W ślad za wpływami ekonomicznymi poszedł układ wojskowy z 19 maja 1954 r., umożliwiający Stanom Zjednoczonym daleko idącą kontrolę nad pakistańskimi siłami zbrojnymi.

Ważnym etapem na drodze do uniezależnienia się Indii od kapitału obcego ma być realizacja drugiego planu pięcioletniego. Program inwestycyjny (wg projektów tego planu) wynieść ma 56 miliardów rupii, z czego na sektor państwowy przypada 36 miliardów. Ze źródeł zagranicznych pokryte zostaną te nakłady inwestycyjne w mniej niż 10% (5 miliardów rupii), zasadniczo zaś sfinansowanie nastąpi ze źródeł wewnętrznych. Będzie to ogromny wysiłek, znaczenie jego jednak jest bardzo poważne dla kształtowania się przyszłości gospodarczej Indii.

Niemniej jednak dominującą rolę w Indiach odgrywa wciąż jeszcze kapitał angielski.¹¹⁰ Stosunki układają się zresztą w sposób o tyle osobliwy, że o ile przed drugą wojną światową zadłużenie Indii wynosiło 553 miliony funtów, to po wojnie Indie stały się z dłużnika wierzycielem Anglii, przy czym dług angielski wobec Indii wynosi 531 mln. funtów.

Na czym polegają te zmiany i jaki jest ich istotny sens? Otóż lokaty kapitału angielskiego w Indiach wyrażały się przed wojną łączną kwotą ok. 1 miliarda funtów, z czego 40% stanowiły lokaty w papierach o stałym oprocentowaniu, które nabyła w okresie wojny burżuazja indyjska. 60% stanowił kapitał przemysłowy zaangażowany w fabrykach, kopalniach i plantacjach — lokaty te pozostały w zasadzie w rękach angielskich.

Drugi proces, jaki dokonał się w okresie wojny, to narastanie ogromnego zadłużenia Anglii w związku z zakupami artykułów żywnościowych i innych towarów, dokonywanymi w Indiach na warunkach kredytowych. W ten sposób powstało saldo szterlingowe, wynoszące 1.160 milionów funtów. Słusznie podkreśla się, że narastanie tego salda oznacza w istocie grabież Indii w czasie wojny. W ten sposób powstało a k t y w n e s a l d o k a p i t a ł o w e Indii wobec Anglii, które było przedmiotem licznych i skomplikowanych pertraktacji i układów finansowych, w wyniku których Indie otrzymały obietnicę faktycznego spłacenia przez Anglię 400 milionów funtów.

¹¹⁰ Por. artykuły: A. K u c e n k o w, O. L i t o w, *Angielsko-amerykańska rywalizacja w Indiach* („Nowe Czasy“ nr 36 z 3 września 1952 r.) oraz A d ż o j G h o s z, *O charakterze amerykańskiej penetracji w Indiach* („Nowe Czasy“ nr 50 z 10 grudnia 1952).

Równocześnie zaś istnieje wysokie aktywne saldo dochodowe na rzecz Anglii. Dochody Anglii czerpane z Indii ocenia się na ok. 50 milionów funtów rocznie. Oznacza to, że w nowej sytuacji i w nowych formach trwa nadal wyzysk kolonialny Indii.

I oznacza to — dodajmy zaraz — że najistotniejsze problemy nędzy indyjskiej dalekie są jeszcze od rozwiązania.

Konsekwencją niskiego poziomu produkcji rolniczej i przemysłowej jest niezmiernie niski poziom dochodu narodowego. Najwyżej oszacowany został on w r. 1930 przez Komisję Simona (na 155 szylingów rocznie na głowę mieszkańca). W r. 1938 doradca finansowy gubernatora Indii James Grigg oszacował dochód narodowy na 84 szylingi, indyjscy ekonomiści i statystycy oceniają go jeszcze niżej. Burżuazyjny ekonomista Colin Clark, który dąży do stworzenia danych porównywalnych, eliminujących wpływ przeliczeń walutowych, operując tzw. „jednostkami orientalnymi“ doszedł do wniosku, że dochód narodowy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie jest 3.900⁰/₀ wyższy od dochodu narodowego w Indiach.¹¹¹ W światowej „skali dobrobytu“ — stoją zatem Indie na jednym z najniższych miejsc.

*„Przeciętny dochód w Indiach — stwierdzają K. Shah i K. Khambatta w swej książce — wystarcza jedynie na dwie ewentualności: albo na to, by żywić tylko dwóch ludzi z każdych trzech, albo też na to, by żywić wszystkich, lecz nie — co jest niezbędne — trzy razy dziennie, a tylko dwa razy dziennie; wszystko to zaś pod warunkiem, że ludzie mogą żyć pod gołym niebem, chodzić nago i nie mieć żadnych potrzeb poza najprostszy i najniższym jakościowo wyżywieniem.“*¹¹²

W okresie drugiej wojny światowej nędza ludu indyjskiego pogłębiła się jeszcze w stosunku do okresu przedwojennego. Koszty utrzymania rosły szybciej od płac. Wskaźnik realnych płac robotników indyjskich utrzymywał się zatem poniżej poziomu 1939 r. i wynosił (r. 1939 przyjęto za 100):

1940	96
1941	90
1943	73
1944	80
1945	83

Bezpośrednio po zakończeniu wojny nie nastąpiła bynajmniej radykalna poprawa. Wskaźnik płac realnych wynosił bowiem dla r. 1946 zaledwie 85 i wzrósł w r. 1947 do 96, nie osiągając zatem jeszcze poziomu przedwojennego.

Nie nastąpiła również zasadnicza poprawa, jeśli idzie o stosunki mieszkaniowe. W r. 1949 ok. 13⁰/₀ ludności Bombaju nocowało na ulicach. Przeciętna powierzchnia mieszkalna na 1 mieszkańca wynosiła w tym mieście w r. 1946 — 1,12 m². A oto przytoczony przez R. Palme Dutta opis dzielnicy robotniczej Bombaju w r. 1946: *„Stłoczone, jeden przy drugim, stały tam rzędy nędznych, jednoizbowych domostw, a raczej chat, o powierzchni 12 stóp na 10 stóp, bez światła i wentylacji. Chaty te były pozbawione*

¹¹¹ K. Wołicki, *Hinduska stal* („Trybuna Ludu“ nr 68 z r. 1955).

¹¹² Cytuję wg E. Wargi, dz. cyt., s. 361.

w ogóle okien; ciemności wewnątrz nich rozpraszał migotliwy płomień małego knota zanurzonego w oleju. Od piecyka kuchennego było nieznośne gorąco. W pierwszej chacie, do której wszedłem, mieszkało 10 osób... W następnej naliczyłem 13 piecyków kuchennych — było tam zatem trzynaście samodzielnych gospodarstw... Na trzy rzędy chat, zamieszkałych przez około 300 osób, naliczyłem tylko trzy źródła wody, w postaci kranów wodociągowych. Woda ciekła z nich cienkim strumieniem i to nie przez cały dzień, lecz tylko rano i wieczorem..."¹¹³

Nędza ludu indyjskiego — chłopów i robotników — będąca wynikiem wyzysku kapitalistycznego i kolonialnego, może zostać ostatecznie przezwyciężona pod warunkiem usunięcia istotnych jej przyczyn: kolonializmu i kapitalizmu. Dlatego też przed Indianami, przed indyjskimi masami ludowymi — na drodze do pełnego wyzwolenia narodowego i społecznego — stoją jeszcze wielkie i trudne zadania, stoi nowy etap walki.

Indie i polityka azjatycka

Ten nowy etap walki rozgrywać się będzie jednak w całkiem nowych warunkach, znacznie bardziej pomyślnych od tych, w których przebiegały poprzednie okresy walki narodowo-wyzwoleńczej.

Jakie są zasadnicze cechy tego nowego etapu?

P o p i e r w s z e — pogłębiają się sprzeczności i walki wewnętrzne w obozie imperialistycznym; upadkowi imperializmu angielskiego towarzyszy dążenie imperializmu amerykańskiego do panowania nad światem oraz odrodzenie imperializmu niemieckiego i japońskiego.

W warunkach pogłębiającego się ogólnego kryzysu kapitalizmu obserwujemy drugi proces: rozkład systemu kolonialnego, którego postępy oznaczają zarazem osiągnięcia w walce narodowo-wyzwoleńczej narodów kolonialnych. Osiągnięcia te — to klęska imperializmu w Chinach i utworzenie nowych Chin, to sukcesy osiągnięte przez narody Korei, Wietnamu, Indonezji, to wreszcie osłabienie pozycji imperializmu w Indiach. Wpływ tych zwycięstw, dokonujących się pod kierownictwem partii komunistycznych i postępowych, wyraził się również w znamiennych przesunięciach w układzie sił politycznych w Indiach. W wyborach do Izby Ludowej oraz do zgromadzeń ustawodawczych, odbywających się na przełomie 1951 i 1952 r., druzgocącą klęskę ponieśli skrajnie prawicowe ugrupowania w rodzaju Hindu Mahasabha oraz partia socjalistyczna. Partia Kongresu, mimo uzyskania absolutnej większości w Izbie Ludowej oraz we wszystkich (z wyjątkiem czterech) prowincjonalnych zgromadzeniach ustawodawczych, stanęła wobec faktu poważnej ilości głosujących przeciwno jej kierunkowi politycznemu. Zjednoczony Front Lewicy wyszedł z wyborów znacznie wzmocniony, uzyskując w Izbie Ludowej oraz w zgromadzeniach ustawodawczych największą po Partii Kongresu ilość mandatów.¹¹⁴ W polityce zagranicznej utrwała się i pogłębia antyimperia-

¹¹³ R. P a l m e D u t t, dz. cyt., s. 53.

¹¹⁴ J. B o c z k a r i o w, O wynikach wyborów w Indiach („Nowe Czasy“ nr 11 z 12 marca 1952 r.).

listyczny kierunek. „Najistotniejszą cechą indyjskiej myśli politycznej w sprawach międzynarodowych — stwierdza z goryczą angielski „The Economist“ — jest nadal brak zaufania do zachodniego systemu kolonialnego.“¹¹⁵

Jeśli idzie o ogólną sytuację w Azji, trzeba wskazać na trzeci element, mający olbrzymie znaczenie i wywierający ogromny wpływ na kształtowanie się sytuacji. Elementem tym jest umocnienie się władzy ludowej w Chinach oraz jej wielkie osiągnięcia polityczne, społeczne i gospodarcze. Rozwiązywanie przez Ludowe Chiny wiekowych zagadnień, przewyższanie kolosalnych trudności na drodze uprzemysłowienia i rozwoju gospodarczego, osiągnięcia w dziedzinie oświaty i kultury — to wszystko nie tylko kształtuje postawę mas ludowych niewyzwolonych jeszcze krajów Azji, lecz również wywiera przemożny wpływ na polityków reprezentujących narodową burżuazję. Nawet burżuazyjny angielski „The Economist“ zwraca uwagę na wielki wpływ wydarzeń w Chinach na sytuację w Indiach. „Dzisiejsi przywódcy Indii — czytamy — mają poczucie głębokiej łączności z tym krajem. Pamiętają o więzach łączących te dwie wielkie cywilizacje, o nawróceniu wielu Chińczyków na buddyzm przez indyjskich misjonarzy, o tysiącach lat wzajemnej wymiany handlowej i kulturalnej, przerwanej przez inwazję Zachodu.“¹¹⁶

W Indiach — obok Pakistanu, którego rząd burżuazyjny idzie na pasku polityki amerykańskiej, mającej swój organizacyjny wyraz w agresywnym pakcie SEATO — możemy obserwować wyraźną ewolucję w polityce Hindustanu, reprezentowanej przez premiera Nehru. W wyniku tej ewolucji sformułowane zostały w bezpośrednich rozmowach premiera Indii Nehru i premiera Chińskiej Republiki Ludowej Czou-En-laia zasady, na których opiera się pokojowa polityka zagraniczna Chin i Indii. Tych pięć zadań sprowadza się do sformułowań prostych i jasnych, obejmujących:

1. wzajemne poszanowanie terytorialnej integralności i suwerenności;
2. nieagresja;
3. nieingerencja w wewnętrzne sprawy z jakichkolwiek względów o charakterze gospodarczym, politycznym czy ideologicznym;
4. równość i wzajemne korzyści oraz
5. pokojowe współistnienie.

Tych pięć zasad, zwanych po hindusku *pančasila*, leży u podstaw polityki zagranicznej Hindustanu, polityki zmierzającej do utrwalenia pokoju, jako nieodzownego warunku konstruktywnej pracy wszystkich narodów. „Dlatego też — powiedział premier Nehru w swym pożegnalnym przemówieniu, przed wyjazdem ze Związku Radzieckiego — kwestia pokoju nabiera szczególnie wielkiego znaczenia, o ile jesteśmy zainteresowani w postępie naszej cywilizacji lub bodaj w jej zachowaniu. W naszym pojęciu pokój nie jest po prostu powstrzymaniem się od wojny, lecz aktywnym i pozytywnym podejściem do stosunków międzynarodowych, prowadzącym przede wszystkim do osłabienia istniejącego napięcia. Pokój jest również próbą rozwiązania naszych problemów w drodze rokowań z zacieśnieniem w dalszej perspektywie w rozmaity sposób współpracy między krajami.“

¹¹⁵ „The Economist“ z 24 stycznia 1953.

¹¹⁶ „The Economist“ z 24 stycznia 1953.

Czynne dążenie do rozszerzenia i pogłębienia współpracy z wszystkimi krajami, niezależnie od różnic ustrojowych i światopoglądowych, cechuje politykę rządu premiera Nehru. Pięć zasad — o których wyżej była mowa — to niezmiernie ważny i konstruktywny element współczesnej polityki międzynarodowej. Zostały one, jak wiadomo, sformułowane w wyniku porozumienia pomiędzy rządem Indii i rządem Chin Ludowych. „Zasady te — stwierdził premier Nehru w swym przemówieniu, wygłoszonym na stadionie „Dynamo“ w Moskwie — zostały później przyjęte przez Burmę i Jugosławię, a rząd radziecki także je aprobował. Na konferencji w Bandungu zasady te zostały rozwinięte w dziesięciu punktach i ujęte w Deklaracji o pokoju na całym świecie i o współpracy. Tym samym przeszło 30 krajów zaakceptowało je.“

Również i wspólne oświadczenie Prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Premiera Republiki Indii, podpisane 25 czerwca br. w Warszawie, akceptuje w pełnej rozciągłości pięć zasad.

Wcielając stale i konsekwentnie w życie zasady swej pokojowej polityki, Indie odgrywają dziś poważną rolę w polityce międzynarodowej. I tak: w kwietniu 1954 r. podpisane zostało pomiędzy Indiami i Chińską Republiką Ludową porozumienie w sprawie tybetańskiego rejonu ChRL; w drodze pokojowej w początku rb. zlikwidowane zostały francuskie enklawy kolonialne w Indiach; znana jest aktywna i pozytywna rola Indii w zakończeniu działań wojennych w Korei i Wietnamie; Indie przeciwstawiły się udziałowi w agresywnym pakcie SEATO, dając tym przykład i pociągając za sobą szereg innych państw azjatyckich; stanowisko Indii w sprawie rozbrojenia i zakazu broni atomowej wypływa z całokształtu pokojowej polityki tego kraju.

Politykę tę scharakteryzował premier J. Cyrankiewicz w następujących słowach: „Mówiąc o wysiłkach narodów południowo-wschodniej Azji nie można nie podkreślić roli Indii, które w ostatnim okresie wniosły poważny wkład w dzieło pokojowego rozwiązania problemów azjatyckich. Należy zaznaczyć, że w ostatnim okresie nastąpiło nawiązanie ściślejszych stosunków między Polską a Indiami, co znalazło swój wyraz w wymianie ambasadorów i w rozwijającej się coraz bardziej wymianie kulturalnej i handlowej.“ (Exposé z dn. 16 marca br.).

Te więzy wzajemnego zainteresowania i przyjaźni zostały pogłębione w czasie wizyty premiera Nehru w Polsce w czerwcu br., podobnie zresztą jak to nastąpiło w innych krajach, które indyjski mąż stanu odwiedził w swoich podróżach.

Ale, wracając do problemów Azji, trzeba stwierdzić, że pięć zasad — oraz szeroki ich oddźwięk w całej Azji — to dowód zrozumienia, że „realne interesy wszystkich krajów azjatyckich stanowią wymaganą polityki współpracy i pokojowego współistnienia państw i narodów tego kontynentu, niezależnie od ich ustroju społeczno-gospodarczego. Przecież wszystkie kraje Azji, niezależnie od tego, jaki system ustroju państwowego w nich istnieje i jaka ideologia panuje, są żywo zainteresowane w obronie swej niezawisłości przed agresywnymi zakusami sił imperialistycznych.“¹¹⁷

¹¹⁷ A. Chęjfec, *Narody Azji, a „pięć zasad“* („Nowe Czasy“ nr 44 z 30 października 1954 r.).

O istotnych przemianach dokonujących się w polityce azjatyckiej świadczy fakt, że szereg państw Azji wzięło udział w konferencji krajów Azji i Afryki, która odbyła się w kwietniu br. w Bandungu. Decyzja zwołania tej konferencji została powzięta w końcu roku 1954 w czasie narady premierów Indii, Indonezji, Burmy, Pakistanu i Ceylonu w Bogorze. Celem konferencji w Bandungu było — jak pisze radziecki publicysta J. Boczkariow — „omówienie takich problemów jak utrwalenie pokoju, przeciwdziałanie kolonializmowi i dyskryminacji rasowej, znalezienie dróg prowadzących do gospodarczego i kulturalnego odrodzenia kontynentów azjatyckiego i afrykańskiego. Są to niewątpliwie najaktualniejsze problemy dla krajów położonych na olbrzymiej przestrzeni od Liberii do Japonii, których ludność stanowi prawie $\frac{2}{3}$ ludzkości.“¹¹⁸

Miarą przemian dokonujących się w Azji jest fakt, że w konferencji tej wzięły udział obok Chińskiej Republiki Ludowej, Demokratycznej Republiki Wietnamu — kraje, w których rządzi burżuazja. Dowodzi to w sposób dobitny, że rozkład systemu kolonialnego, mimo takich prób ratowania go, jak pakt SEATO, posuwa się stale, zmuszając również i burżuazyjne rządy państw Azji do liczenia się ze zmianami, jakie zaszły na tym kontynencie. W uświadomieniu sobie, jak istotne są te zmiany i jaki jest ich wpływ na postawę mas ludowych, szukać należy źródła polityki takich mężów stanu jak Dżawaharlal Nehru.

W związku z przyjęciem przez Pakistan „pomocy“ wojskowej Stanów Zjednoczonych premier Nehru w swoim przemówieniu wygłoszonym 22 lutego 1954 r. w Izbie Ludowej powiedział: „W ciągu setek lat marzyliśmy o wyzwoleniu naszych krajów i jeden z symbolów naszej wolności polegał na ewakuacji obcych sił zbrojnych. Powiadam, że niezależnie od jakichkolwiek pobudek, powrót jakichkolwiek sił zbrojnych czy też cokolwiek w tym rodzaju oznacza próbę zwrócenia wstecz historii Azji.“¹¹⁹

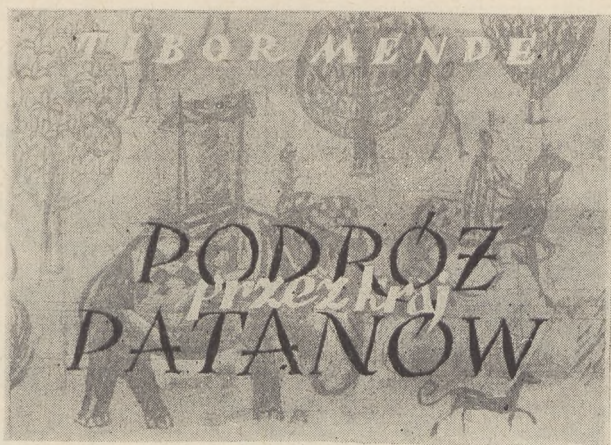
Wszelkie tego rodzaju próby, jakiegokolwiek dziedziny dotyczą, skazane są na całkowite niepowodzenie.

W r. 1947 pokazywano mi w jednym z pałaców londyńskich zegar, a raczej system zegarów, które wskazywały, jaka jest właśnie godzina w stolicach różnych krajów Imperium Brytyjskiego.

Na zegarze, który wskazuje czas indyjski, wskazówki zbliżają się nieuchronnie do godziny, której na imię: p r a w d z i w a w o l n o ś ć.

¹¹⁸ J. B o c z k a r i o w, *O zbliżającej się konferencji w Bandungu* („Nowe Czasy“ nr 10 z 5 marca 1955 r.).

¹¹⁹ Cytuję wg W. B i e r e ż k o w a, *O pokojowym uregulowaniu problemów Azji* („Nowe Czasy“ nr 11 z 13 marca 1954 r.).



Na przełaj przez Pakistan

Przejechać drogę z Delhi do Lahor, a stamtąd dalej do szlaku na przełęcz Chajber, znaczy odbyć podróż aż do bramy, przez którą Islam począwszy od X stulecia wdzierał się na kontynent indyjski.

Pierwsze kontakty Indii z wiarą muzułmańską pochodziły wprost z Arabii, lecz ludzie, którzy nawrócili największą ilość Hindusów, przyszli do nich od ładu. Pierwsi misjonarze przybyli prawdopodobnie przez morze jeszcze za życia Proroka. Porty na zachodnim wybrzeżu Indii przez długie wieki witały życzliwie przybywających kupców i marynarzy arabskich. Lecz już w kilka lat po śmierci Mahometa pierwsi napastnicy muzułmańscy zstępowali drogą karawan przez przełęcz Chajber. Z początkiem VIII wieku zdobyli teren, który dziś jest prowincją Sind. Natomiast stałe i ważne kontakty Indii z Islamem rozpoczęły się dopiero w wieku X, a nawiązały się dzięki tej samej drodze, którą chcąc dotrzeć do Indusu przebywał Aleksander Wielki.

Sułtan Mahmed z Ghazni (w Afganistanie), współczesny Ryszardowi Lwie Serce, rozpoczął szereg kolejnych wypraw przez przełęcz i po trochu zagarnął Pendżab. Po nim przyszli rywale, turecy najeźdźcy, którzy przesunęli aż do Delhi granice islamowych podbojów. W okresie trzeciej wyprawy krzyżowej Ryszarda Lwie Serce i Filipa Augusta Delhi stało się stolicą muzułmańskiego królestwa (w r. 1192). W ciągu następnych czterech wieków różne dynastie tureckie i afgańskie rządziły prawie całą północną częścią półwyspu, od Delhi począwszy. W r. 1526, kiedy to w Europie Turcy zapuścili się aż na Węgry i zaczęli zagrażać środkowej Europie, na złoty tron w Delhi wstąpił pierwszy z sześciu wielkich cesarzy mongolskich: był to początek dwóch wspaniałych stuleci, które hinduscy muzułmanie uważają za najchlubniejszy okres w swych dziejach.

W tym najeździe ras Środkowej Azji na półwysep indyjski kryje się pewnego rodzaju symbolizm historyczny. Same zagrożone przez następu-



jące na nie zdobywcze narody, pchane strachem, okrążyły potężną pętlę Hindukuszu, przeszły przez przełęcz Chajber i jak lawina spadły na legendarny kraj Hindusów, bardzo między sobą poróżnionych. I wtedy, podobnie jak dzisiaj, surowa sztywność hinduskiego społeczeństwa i zupełny brak giętkości w jego socjalnej piramidzie uczyniły je niebezpiecznie bezbronny wobec dynamizmu i oswobodzicielskich zapędów obcych najeźdźców. Lecz Islam zdawał się także przynosić nowe widoki milionom ludzi kostniejących w sklerozie hinduskiego układu społecznego. Niezależnie od tego, czy ustępowali przed przewagą miecza — co zdarzało się jeszcze częściej — czy zostaliby przyciągnięci wolnościowym zapalem Islamu, dla milionów mieszkańców północno-zachodniej części półwyspu, a szczególnie Bengal, dla ubogich rybaków i rolników niskiego stanu, pokusa była nieodparta. Na rozległych obszarach całymi gromadami przyjmowali nową wiarę, aby tylko wymknąć się z wiecznego niewolnictwa. Rymarze, rzeźnicy, krawcy i tkacze, wszyscy skazani w społecznym ustroju hinduskim na pracę niewolniczą, są do dziś jeszcze na całym półwyspie Muzułmanami. W owej epoce, tak jak w naszych czasach, siły zagrażające Indiom hinduskim nadciągały z północy. Przekraczały opuszczoną „granicę” i żyłne równiny Pendżabu, zmierzając w kierunku Delhi będącego bramą do bogatej i ludnej doliny Gangesu.

Chcąc dotrzeć do żywych źródeł Pakistanu musiałem i ja udać się do tej bramy, przez którą wkroczył Islam. A że pragnąłem zobaczyć jak najwięcej w czasie drogi, postanowiłem pojechać autobusem kursującym między Lahor a zachodem.

Autokary utrzymujące komunikację między prowincjonalnymi miastami Pakistanu są dalekie od jakiegokolwiek komfortu. Wehikuł, który zabrał mnie z Lahor do Rawalpindi, wielki Mercedes-Benz, pokryty metalowymi blachami, przypominał olbrzymi samochód pancerny. Był wprawdzie podzielony na „pierwszą“ i „drugą“ klasę, lecz było to chyba tylko prostą formalnością, mającą na celu rozdzielenie pasażerów stosownie do ich zasobów. Zamożniejsi zasiadali na przednich miejscach, tuż za drewnianą kabiną kierowcy, biedacy lokowali się na tyłach. Jeśli chodzi o wygodę, nie było w tym podziale najmniejszej różnicy i w obydwóch „klasach“ w rozmieszczeniu siedzeń nie wzięto pod uwagę przyrodzonej każdemu człowiekowi potrzeby wyciągnięcia nóg. Poza tym, mimo że według krajowych statystyk (na pewno przesadnie optymistycznych) co najmniej ośmiu na dziesięciu moich towarzyszy podróży nie umiało czytać ani pisać, na oparciu fotela kierowcy umocowano całą litanię zaleceń, obwieszczeń, każde wypisane kwieciste językiem urdu i uzupełnione tłumaczeniem na angielski. — „Nie wolno pluć w samochodzie“ — głosił pierwszy napis. Ten zakaz był przestrzegany dosłownie: większość podróżnych pluła przez okna pozbawione szyb w przestrzeń „niezakazaną“. Następne ogłoszenie sformułowano nieco uprzejmiej: „Prosimy pasażerów o upewnienie się, czy posiadają bilet jazdy“. Lecz jakby na dowód, iż Przedsiębiorstwo Autobusowe doskonale zdaje sobie sprawę, że liczba analfabetów jest oplakanie wysoka, co pewien czas obok konduktora pojawiał się kontroler. Po chwili, kiedy wóz ruszał, kontroler — jakby nagle przypomniał sobie o swoich



obowiązkach — podnosił się z krzesła, z kocią zwinnością prześlizgiwał się przez wąski otwór w przepierzeniu i zabierał się do sprawdzania, czy każdy jest aby na pewno zaopatrzony w papierową karteczkę, którą mu sprzedano przy wyjeździe. Trzecie ogłoszenie miało charakter wybitnie humanitarny: „W y c h y l a n i e j a k i e j k o l w i e k c z ę ś c i w a s z e g o c i a ł a p o z a o k n o t e g o s a m o c h o d u g r o z i n i e b e z p i e c z e ń s t w e m“. To ostrzeżenie było chyba zupełnie niepotrzebne, bo okna obite były gęstą siatką drucianą, w jaką zaopatrzone są wozy policyjne. W najlepszym razie możliwe było wytknięcie czubka palca. Niewątpliwie bolesnym doświadczeniem podyktowany był czwarty napis zwrócony do wszystkich pasażerów naszego samochodu, który w istocie wyglądał na to, że przeżył już to i owo: „U p r a s z a s i ę o p o s z a n o w a n i e s p r z ę t u“. Jednakże masywny, a nawet monumentalny charakter wewnętrznego wyposażenia wozu oraz niemożliwość zastosowania go do użytku domowego zdawały się wykazywać zbyteczność tego zalecenia, nawet w wypadku, gdyby pasażerowie umieli je przeczytać. I wreszcie, do połowy zakryte fotografią szczodrze obnażonej gwiazdy pakistańskiego filmu, oznajmienie: „W o d ę d o p i c i a m o ż n a d o s t a ć w s a m o c h o d z i e“. Mimo to nikt z podróżnych nie liczył na tę wodę i na każdym postoju otaczała nas natychmiast cała armia wędrownych sprzedawców, ofiarujących nam napoje wszelkich kolorów i gatunków.

Jedne ogłoszenie nie odnoszące się do pasażerów umieszczone było przed szoferem i brzmiało: „S z y b k o ś ć m a k s y m a l n a 5 0 k m n a g o d z i n ę“. Tego nakazu sumiennie przestrzegano. Naprawdę kierowca nigdy nawet nie próbował osiągnąć tej skrajnej szybkości i potrzeba było około dziesięciu godzin, aby przebyć marnych 250 km dzielących nas od Rawalpindi.

Bardzo powoli, zatrzymując się wedle ochoty, posuwaliśmy się ku zachodowi. Przejechaliśmy Rawi, Czinab i Dżelam, pierwsze trzy z pięciu rzek Pendżabu płynących ku południowi, aby w olbrzymim wachlarzu wtoczyć swe wody do Indusu. Drogi były dobre. Oprócz kilku samochodów mijaliśmy autokary, małe stadka bawołów oraz wozy jakby wyjęte z obrazków biblijnych, pełnzące w tempie ślimaków. Woznice z fajką „huka“ w zębach, siedzący na przodzie tych pojazdów, apatycznie uderzali wątlami patykami po zadach swoich bawołów, jak gdyby wygrywali jakąś smętną arię na ksylofonie o dwóch klawiaturach. Okolice te należały do gospodarczo najlepszych w Indiach. Co dwa lub trzy kilometry można było oglądać wsie otoczone zielonymi łąkami, ciągnącymi się aż po horyzont. Chaty z wysuszonego mułu i rzadkie budowle z cegieł porozrzucane były w chaotycznym beładzie wśród rozgardiaszu i hałasów wioski. Wokół zwierząt domowych stały grupki mężczyzn. Kilka kobiet w barwnych sukniach, ze srebrnymi kołami lub złotymi gwoździami w nozdrzach kręciło się po uliczkach. Niezliczone gromady dzieci, szczekające psy, mały dworzec, czy kinematograf w cieniu nieproporcjonalnie wielkiego meczetu pokrytego zdobieniami — wszystko to razem przypominało olbrzymie mrowisko spowite kurzem unoszącym się leniwie w blasku słonecznym.

Wszędzie, gdzie zatrzymywał się nasz samochód, uderzał w nas zapach kebabu oraz smażącego się siekanego mięsa i nacierała zgraja zawodowych zebraków, zwracających krzykliwe naszą uwagę na rany swoich twarzy

i członków oraz na swoje ohydne kalectwa. Jeżeli wysiadaliśmy, chodzili za nami krok w krok. Jeśli zostawialiśmy w samochodzie, wnet otwory okienne zatarasowywały dziesiątki wyciągniętych rąk, zza których do-
bywało się i docierało do wnętrza jednostajne, nieznosnie cierpliwe mru-
czenie o wsparcie. Łakociami, jakie podróżni najchętniej kupowali, była
pokrajana w kawałki trzcina cukrowa: chrzęst gnieczonego w zębach cu-
kru towarzyszył nam przez całą podróż. W jakimś zapadłym kącie zatrzy-
naliśmy się razem z innymi autokarami, przybyłymi z różnych kierun-
ków. Zauważyłem tam po raz pierwszy dwie kobiety — pasażerki, scho-
dzące z jednego z samochodów. Były szczelnie otulone w czarne burki,
zasłaniające starannie całe ciało. Z wahaniem, jak bezosobowe dwa kształ-
ty, przesuwwały się między żebrakami i sprzedawcami smażonej siekaniny.
Stanąwszy przed handlarzem kebabu, uniosły z lekka ciężkie, czarne zasło-
ny okrywające twarze i, jak słonie trąbą, podniosły do ust wonne pożywie-
nie. Kiedy spostrzegły, że im się przyglądam, w panicznym popłochu pę-
dem uciekły do wozu pozostawiając mi wrażenie, że jestem zmysłowym
bydłem, które pogwałciło ich wstydlivość, z którą się tak obnoszą.

Choć tak wolne było tempo naszej podróży, to jednak zbliżaliśmy się
do jej celu. Po trochu też łagodniała tyrania palącego słońca. Żywe kolory
pól przybierały świetliste tony i wszystko wokół nas zdawało się oddy-
chać w jakimś nastrojowym odprężeniu. Zwiększyły się gromadki wieśni-
ków skupiających się nad drogą, pokrzepionych zbliżaniem się wieczoru
widokiem małych grupek kobiet zbierających się pod drzewami, goto-
wych do omawiania zdarzeń dnia. Dwóch mężczyzn idących drogą prowa-
dziło rower i trzymało się czule za małe palce u rąk. Nawet wózki za-
prężone w bawoły zdawały się jeszcze zwalniać swój i tak już bardzo
umiarkowany bieg, a ogniki konduktorskich fajek „huka“ widoczne były
już daleko.

Rawalpindi, jak większość miast garnizonowych dawnych Indii Brytyj-
skich, było miastem dosyć dziwnym. Kwatery wojskowe znajdowały się
daleko od właściwego miasta — od tego, co w dawnym języku nazywało
się „dzielnicami tubylców“ — i dwa te skupiska istniały obok siebie, upar-
cie ignorując nawzajem swoją obecność.

Nowoczesna połowa miasta żyła jeszcze atmosferą epoki brytyjskiego
imperium. Dawni zwierzchnicy kolonialni uczynili sobie z niego bazę woj-
skową, zobowiązaną do czuwania nad przełęczą Chajber i do strzeżenia
Pendżabu. A więc, choć dla celów nieco odmiennych, Pakistan zachował
Rawalpindi jako kwaterę główną. Ponieważ jednak żadne poważniejsze
niebezpieczeństwo nie zagrażało od strony przełęczy, czujność Rawalpindi
zwróciła się raczej ku granicy indyjskiej powyżej Lahor i ku niedalekiemu
Kaszmrowi na północy. Jednakże nowa rola wcale nie zmieniła atmosf-
ery miasta. Czyste „bungalows“ i starannie utrzymane ogrody, regularne
narożniki ulic i prosto wytyczone ulice nosiły znamiona wojskowego „pół-
wyspiarskiego“ porządku. Główna arteria nadal nazywała się *The Mall*,
a statua młodocianej i czarującej królowej Wiktorii wciąż jeszcze pano-
wała nad ulicami noszącymi imiona Edwardów i Lawrence'a. Tablice woj-
skowe wskazywały strzałkami drogę do *C. in C's House* (siedziby
głównego komendanta) do *Royal Artillery Mess*; do *Topy Park*, gdzie sahibowie niepokojeni nostalgicznym wspomina-
niem obnosili swoje hełmy tropikalne — i w końcu do *Cambridge*

Barracks (koszary Cambridge): Gdyby nie tongi i podtropikalny upał południa, można by myśleć, że jest się w Sandhurst lub w jakimkolwiek innym miejscu uświęconym brytyjską tradycją militarną. Mundury i zachowanie się żołnierzy były, podobnie jak tablice drogowskazów, takie same jak w wojsku brytyjskim. Jedynie kolor ich skóry i oznaki pułkowe były różne.

Aby zdać sobie sprawę, że mimo wszystko jestem w Pendżabie, musiałem przejść dwa lub trzy kilometry, wydostać się ze sztucznej atmosfery „koszarowej” i zanurzyć się w rojowisku bazarów. Hałaśliwy tłum krążył pośród małych kramów otoczonych wielbładami i mułami. Ludzie kręcili się obok zwykłej różnorodności towarów, zachwalanych głośno przez kupców rozmaitych ras i zwyczajów. W czasie mej wędrówki natknąłem się na nowoczesną i dość okazałą księgarnię. Chcąc kupić jakieś książki zajmujące się problemami regionalnymi, wszedłem do wnętrza i spytałem o nie księgarza. Na półkach stały rządami powieści importowane z Anglii czy Ameryki oraz kilka przekładów na język *urdu*.

— Problemy aktualne? — powtórzył księgarz drapiąc się po głowie — owszem, mam tu wiele książek...

Zaprowadził mnie w kąt sklepu. Znalazłem tam cały ich wybór w broszurowym, tanim wydaniu. Niektóre z nich poświęcone były opisom życia pana Jinnah, inne mówiły o Proroku lub o poecie Iqbalu. Był tam również cały szereg publikacji o tak mało pociągających tytułach jak np.: *Duch Islamu*, *Treść społeczna Islamu*, *Islam naszym przewodnikiem*, *Islam przeciwko komunizmowi*, *Nasza wiara w Islam i Proroka*.

— Czy nie ma pan nic o problemach bardziej żywotnych? — spytałem. — O wychowaniu? Może jakieś statystyki z dziedziny higieny czy spraw żywnościowych, albo może analizę zagadnienia agrarnego?

Mężczyzna patrzył na mnie trochę zaskoczony.

— Nie, panie — odparł. — Oto wszystko, co posiadamy o tematyce współczesnej. Mamy jeszcze takie książki... Proszę... bardzo ciekawa literatura...

Wskazał ręką na rząd romansów kryminalnych w krzyczących okładkach, pamiętników różnych Anglików z okresu odwrotu oraz ilustrowanych dzieł o kwiatach w Wielkiej Brytanii.

— Czy nie macie dzienników ani periodyków angielskich? Czy nie otrzymujecie ich? — pytałem dalej.

— Nie, proszę pana — odparł — nie mamy dewiz na kupowanie tego rodzaju rzeczy. Przeżywamy trudny okres.

Lecz zauważywszy, że przyglądam się jego pstrokatej tandecie, także przecież sprowadzanej z zagranicy, zaczął się tłumaczyć:

— Rawalpindi jest miastem garnizonowym, proszę pana. Ludzie tutejsi nie interesują się takimi rzeczami. Domagają się romansów. Życie żołnierskie jest aż nazbyt często często jednostajne... — mówił, nadając naszej rozmowie poetycki zwrot.

Najbardziej rewolucyjną publikacją, na jaką natknąłem się w Pakistanie, była książka, którą znalazłem w moim pokoju, w najlepszym hotelu miasta Rawalpindi. Było to skrócone wydanie *Olivera Twista* Dickensa, widocznie pozostawione przez zapomnienie przez mojego poprzednika zajmującego ten sam pokój, pachnący dawno nieprzewietrzanym wnętrzem. Ów *Flashman's Hotel* był w gruncie rzeczy szeregiem ceglanych

koszarowych baraków, podzielonych na równe celki, z których każda wyposażona była w przedpotopowe umeblowanie składające się z fotela, łózka, wentylatora u sufitu i umywalni. Chłopey hotelowi, wszyscy w czerwonych turbanach, przypominali nędznych i obdartych służących ze starej bajki tureckiej, chociaż ich usłużność i chęć wykazania swej użyteczności stała w rażącym przeciwieństwie do ilości pieniędzy, które zarabiali w tej szacownej instytucji. Z pozostałymi pensjonariuszami hotelu spotykałem się wyłącznie w sali jadalnej. W godzinach posiłków wysypywali się z rozproszonych budyneczków, przechodzili przez małe, brukowane podwórka i spieszyli do sali jadalnej — szczęśliwi, że mogą przerwać jednostajność swojego bytowania.

Jak zawsze na tym indyjskim półwyspie zbyt wielka ilość służby czuwała nad wygodą klientów. Lecz owe posiłki spożywane wśród minionej elegancji tej brudnej sali dawały mi zawsze ciekawe uczucie przeżywania nieznanych dotąd wrażeń. Już od samych drzwi zapach musztardy, szeregi służących w białych turbanach z szerokim, czerwonym pasem, nadmierna ilość nakryć rozłożonych na stołach, wilgoć na ścianach, tuszowana przez złe oświetlenie, nieruchome wentylatory, przyczepione do sufitu jak uspione motyle, wszystko to razem nieodparcie narzucało mi porównanie ze zrujnowanym arystokratą, czepiającym się gorączkowo złoczonego pucharu swoich przodków. Służący zajmujący się zupą podawał mi ją z ceremonialnymi gestami. Przechylał tors do przodu, a jego czarna broda upodabniała go do uczonego wykładowcy koranu. Drugi, odpowiedzialny za jarzyny, był mały i tłusty. Chodził zabawnym, podrygującym krokiem i był żywym portretem Ali Baby ze wschodniej bajki. Następny wyznaczony do zmieniania talerzy, pełnił swoje funkcje z podkreślaną pieczołowitością. Z zadartym w górę małym palcem, poruszał ręką gestami pełnymi wdzięku jak prestidigitator, który zaledwie uchyla rąbka kapelusza, aby pokazać, że królik już zniknął. Człowiek roznoszący wodę do picia wydawał się bardzo stary. Stał w kącie z dzbankiem przyciśniętym do piersi, gotów skoczyć natychmiast ku tej szklance, w której poziom wody nieco się obniżył. Sledził oczyma wszystkie stoły, jak latarnia morska obszukując horyzont, czyhając na jakieś podejrzané ruchy. Wszyscy wyglądali na zaawansowanych gruźlików i wszyscy patrzyli na swoich klientów z psią służalczością w oczach. Kiedy podnosiłem wzrok i napotykałem spojrzenie któregoś ze służących, natychmiast pędził do mnie zaniepokojny, aby spytać, czego mi potrzeba. Było to niezwykle przykre. A jednak być może, że to nuda i samotność doprowadziły niektórych pensjonariuszy do takiego stanu, iż przyjmowali tę służalczość tak, jakby im się ona słusznie należała.

Klientela składała się z kobiet w średnim wieku, żon rzeczoznawców wojсковych, przydzielonych do armii Pakistanu, z podróżnych udających się do Afganistanu, z pary ekspertów amerykańskich z Pomocy Technicznej oraz z jasnowłosego Niemca przysłanego z Karaczi, aby napisał sprawozdanie o rozwoju miejscowej centrali. Lecz najliczniejszymi klientami, którzy zdawali się być stałymi lokatorami, były wieloosobowe rodziny, spacerujące z puszkami *nescafé* i z butelkami przypraw do potraw, co wskazywało, że długotrwałość ich pobytu w tym mieście zmusiła ich już do przystosowania się do warunków miejscowych. Rozmawiali z sobą od stołu do stołu, lecz choć wszystkie pogawędki były prowadzone w języku angielskim, odmienność akcentów zdradzała przynależność do różnych narodo-

wości. Pewnego dnia wszyscy mężczyźni pojawili się w mundurach i zorientowałem się, że to Narody Zjednoczone w akcji. Jeden z nich, rumiany oficer pochodzący z któregoś z północno-europejskich krajów, zatrzymał mnie kiedyś zapraszając, abym napił się z nim szklaneczkę whisky.

— Już dwa lata tu siedzimy — powiedział z westchnieniem. — Zabójcze zajęcie. Ale wciąż jeszcze nie ma pokoju w Kaszmirze. Jesteśmy tu po to, żeby pilnować linii ustalonej na czas zawieszenia broni... Pan rozumie — dodał z uśmiechem — żyjemy w epoce permanentnego zawieszenia broni. Jeśli ludzkość nadal będzie je przekładała nad prawdziwy pokój, zdolał zaoszczędzić dostateczną sumkę, aby po powrocie do mojego kraju kupić sobie domek. Ale po dwóch czy trzech latach pobytu w Rawalpindi słusznie się to należy, niech mi pan wierzy...

— A Kaszmirowie? — spytałem.

— Oh, te nieboraki? Właściwie to chyba nigdy nie się o nich nie mówi — odparł i wychylił swoją szklaneczkę.

K r a j P a t a n ó w

Autokar wiozący mnie z Rawalpindi do Peszaur był bliźniaczym bratem tego, który mnie przywiózł z Lahor do Rawalpindi. Był równie potężny, tak samo często się zatrzymywał i z tą samą przerażającą powolnością włókł się naprzód.

Granice między Pendżabem i prowincją Pogranicza Północno-Zachodniego tworzy Indus. Lecz już na długo przedtem, zanim dotarliśmy do tej historycznej rzeki, zieloność Pendżabu zaczęła blednąć i ustępować miejsca jałowym równinom. Przejechawszy rzekę zbliżyliśmy się do Peszaur, jadąc przez dziwaczny i opuszczony kraj, wśród piasków tworzących nieregularne pagórki i jałowych dziur — kraj przypominający olbrzymi kawał sera szwajcarskiego.

Pogranicze należy do takich okolic świata, które wymykają się spod wszelkiej klasyfikacji. Ponad surowym krajobrazem wyczuwa się już oddech Środkowej Azji, a obyczaje są jeszcze takie same, jak na tamtym stoku Himalajów. Lecz geografia i historia uczyniły Pogranicze i jego mieszkańców częścią półwyspu indyjskiego. Ludność Pogranicza, Patanowie oraz inne szczepy wylały się, jakby to można nazwać, poza brzegi Azji Środkowej na półwysep. Byli zawsze dumni i niezależni, nie znali, co to strach, i żadnemu z władców Indii nigdy nie udało się ich ujarzmić — nawet Anglikom. Kolejni zdobywcy Pendżabu i cesarze mongolscy sami zwykle osądzali, że nie w ich mocy jest utrzymanie władzy w rejonach granicznych. Pochodzenie mieszkańców jest niejasne. Jedni uważają się za potomków Persów, inni sięgają swym pochodzeniem jeszcze dawniejszych czasów. Fizycznie natomiast, mimo że są rasą złożoną, ludność zamieszkująca Pogranicze nie różni się wiele od szczepów afgańskich, wędrujących w górach po drugiej stronie przełęczy Chajber.

Dawne rasy: turecka i inne, zamieszkujące Afganistan i niektóre połacie Środkowej Azji, były przed przyjściem Islamu przeważnie buddyjskie. Pogranicze stało się jednym z głównych ośrodków starożytnej kultury indyjskiej. Kraina ta obfituje jeszcze teraz w ruiny pomników i klasztorów. Dziś dorzucono do nich kilka rzadkich obelisków. Każdy z nich wieści o bohaterskim czynie jakiegoś zwycięskiego generała angielskiego, któremu

udało się wysunąć trochę dalej ku przełęczy Chajber forpocztę brytyjskiego imperium. A tymczasem właśnie na tych równinach miało miejsce pewne spotkanie, jedno z najniezwykłych w dziejach. Tam właśnie skrzyżowały się drogi buddaizmu i cywilizacji greckiej. Kiedy Aleksander Wielki odszedł przez przełęcz Chajber, osadnicy greccy pozostali na zdobytych ziemiach wzdłuż brzegów Indusu, oraz greccy artyści, którzy zaoferowali swoje usługi kulturze buddyjskiej, wprowadzili nowe cechy do sztuki i architektury indyjskiej. Lecz z owego spotkania dwóch cywilizacji, należących do najbardziej wyrafinowanych w dziejach całej ludzkości, nie wynikło nic prawdziwie trwałego. Cesarstwo greckie wycofało się z tej strony gór, a buddaizm zagubił się w Indiach w skomplikowanym obrazie wskazanego porządku hindusko-bramińskiego. Pozostały z niego buddyjskie „stupy”; pasażer jadący samochodem z Rawalpindi do granicy może zobaczyć ich nagie półkule, umieszczone na podwójnej podstawie. Pozostały po nim jeszcze inne ruiny, napisy wyrzeźbione na skałach czy na słupach i niezaprzeczalnie olimpijski uśmiech hinduskich posągów w muzeach. Lecz oprócz tego nie ostał się żaden trwały pomnik tego spotkania, które mogło być zmienić bieg historii.

Po kilku wiekach, które minęły nie przekazując po sobie śladu, pojawił się Islam i po trochu Patanowie zaczęli się ukazywać po indyjskiej stronie granicy. I jeszcze przez kilkanaście wieków podróżujący kupcy afgańscy prowadzili swoje karawany z Buchary, Samarkandy i Kabulu na targi do Peszaur, tej Gandhary epoki grecko-buddyjskiej. Rokrocznie na jesieni długimi szeregami zstępowali w dół ze swymi końmi i wełną, jadwabiami, barwnikami, ze złotymi nićmi, suszonymi owocami, drogimi kamieniami i kobiercami o światowej sławie. Rokrocznie z bronią lub złotem w garści szli na przełaj przez Afganistan aż do granicy nowego, nie mającego precedensu imperium: aż do granicy brytyjskiej, do przełęczy Chajber.

Odkąd wyjechaliśmy z Pendżabu, napotkaliśmy po drodze kilka fortec. Wszystkie zwrócone były ku zachodowi, frontem do jedynej bramy, przez którą mógł wdrzeć się najeźdźca. Widzieliśmy straszny fort Attok, przejechaliśmy wojskowy most znajdujący się u progu prowincji Pogranicze Północno-Zachodnie i nagle... otoczyli nas ludzie innej rasy. Nigdy specjalnie nie wierzyłem w istnienie „ras wojowników” — aż do dnia, w którym przyjechałem do Pogranicza. Kiedy zatrzymaliśmy się w Nawsari, zastaliśmy tam całe tłumy Patanów Rośli i brodaci, wielkoludy z płonącymi, głęboko osadzonymi oczyma i orlimi nosami, wyglądali trochę przerażająco, jednak to pierwsze wrażenie ustępowało natychmiast, kiedy uśmiech złagodził ich rysy. Nosili turbany, białe, luźne spodnie, kurtki z baraniej skóry, sandały i mimo przytłaczającego upału jakieś okrycia na ramionach. Prawie wszyscy posiadali strzelby i ładownice.

Wąskie i kręte uliczki Peszaur zatłoczone były góralami. Na wystawach piętrzyły się owoce i warzywa, a w sklepach ciągnących się długimi rzędami sprzedawano wszędzie te same towary. Całe uliczki były zapchane miedzianymi naczyniami kuchennymi, a rzemieślnicy ustawieni w długim szeregu zachęcali do kupna wszelkiego rodzaju fajek, lamp, latarni, haftowanych sandałów, dywanów oraz ozdób ze złota. Między chwiejącymi się domami krążył podniecony tłum zmieszany z wielbłędami, mułami i konnymi pojazdami. Ludzie wychodzili z mieszkań i namiętnie rzucali się w kipiącą ciżbę, podobnie jak mieszkańcy wielkich miast zachodnich wy-



chodzą z metro i zanurzają się w gorączkowy ruch dzielnicy handlowej. Ludzie wylaniali się ze sklepów i mijali się w tłoku, jak ryby w wodzie, choć nie można było odgadnąć, co robili ani dokąd szli. Niektórzy zatrzymywali się i wtedy tworzył się mały zator. Jakieś słowo czy ruch nieopatrzny wywoływał burzę, która równie nagle cichła i wszystko kończyło się wybuchami śmiechu. Inni mężczyźni wystawiali wytrwale przed sklepami, zajęci jakimś niekończącymi się targami, dopóty dopóki jakiś opowiadacz bajek czy roznosiciel plakatów z miejscowego kina lub fantastyczna suknia i kaskady różnokolorowych perełek wędrownego masażysty nie odwracały ich uwagi. Opasli kramikarze z podwinie-

tymi na krzyż nogami i fajkami „huka“ w zębach królowali wśród stosów swoich towarów i uważnym wzrokiem wodzili po otaczającym ich rozgardiaszu. Obok wielkiej fontanny naprzeciwko strzelistego minaretu siedziała grupa ślepych żebraków, spokojnych i obojętnych, trzymających cię całkowicie poza zasięgiem bazarowego zgiełku. Nieco dalej przysiadła koło ogniska inna jakaś gromadka, przygotowująca pod gołym niebem południowy posiłek. Kupcy afgańscy z przebiegłym uśmiechem na mongoloidalnych twarzach zachwalali skórki astrachańskie. Jakiś mężczyzna prowadzący rząd wielbłądów, w którym ogon idącego na przedzie wielbłąda przyczepiony był do szyi drugiego z kolei i tak dalej aż do ostatniego, zatrzymał się przed sklepem, aby posłuchać jazgotliwego lamentu płynącego z olbrzymiego radia. Wszystko w tym obrazie, wyłączając radio, było prawdopodobnie takie samo jak przed wiekami, doskonale w kolorach, wieczne w ruchu, wszystko było dokładnie poniżej poziomu, od którego zaczynamy odróżniać ubóstwo od nędzy. Nie było wyraźnej linii podziału: były tylko pewne odcienie w wielkim braterstwie wspólnego losu. Dobro i zło, wszystko pochodziło od Allaha, a w owej gorączkowej ruchliwości znajdowali bógie i całkowite zapomnienie o czasie. Kobiety były rzadkością na bazarze, a te, które przechodziły przez tłum, stapały z wahaniem w swoich dziwacznych, czarnych całunach. Mężczyźni, członkowie rasy zahartowanej i zdrowej, w większości mieli piękną postawę. Ogromne turbany nadawały im wygląd władczy i prawie wszyscy posia-

gali strzelby. Mimo zmarszczonego czoła i wojowniczej miny wnet ukazywało się wszystko, co w nich było łagodnego i dziecinnego, skoro tylko zapraszano ich do pozowania do fotografii. A pozwali z taką uprzejmością i kurtuazją, że zmuszony byłem przyznać, iż „rasy wojowników“ mogą być łagodne i ludzkie.

Sekretarz zarządu prowincji Pogranicze Północno-Zachodnie oznajmił mi z dumą, że Patanowie nareszcie zostali spacyfikowani.

— Przynosimy im szkoły i fabryki — mówił. — I jako dobrzy muzułmanie wiedzą, że Pakistan jest ich ojczyzną. Stanowczo wiele jest przesady w agitacji na rzecz jakiegoś „Pakhtunistanu“. Afgańczycy czy Hindusi mogą próbować podburzać przeciwko nam różne szczepy; będą musieli im za to płacić indywidualnie... a to ich będzie drogo kosztowało — dorzucił z sarkastycznym uśmiechem

Sekretarz objaśnił mnie, że „N. W. F. P.“ (Póln.-Zach. Prow. Gran.) jest najmniejszą z pięciu prowincji Pakistanu. Lecz prowincja Póln.-Zachodnia „Pogranicze“ obejmowała niektóre rejony plemienne, które nie były uzależnione od administracji prowincji. W tych zamkniętych okręgach Patanowie żyli według własnych praw plemiennych. Lecz prawa pakistańskie można było przystosować do praw prowincji. Czasy zmieniały się szybko, a zwyczaje nie mogły za nimi nadążyć. Przestępstwa zdarzały się jeszcze dość często, lecz nie były już tak liczne. Według etyki plemiennej wszelkie niedotrzymanie słowa czy uchybienie honorowi jest równie poważnym wykroczeniem, jak nieokazanie szacunku kobiecie. Za jakiegokolwiek naruszenie plemiennego kodeksu honorowego muszą płacić wszyscy członkowie rodziny winowajcy — także kobiety — i to płacić na ogół życiem bez specjalnego postępowania procesowego. W enklawach plemiennych zabójstwo z zemsty podlega tylko karze grzywny. Natomiast w prowincji rządzi prawo Pakistanu.

— O ile — mówił sekretarz — zastosowanie go jest możliwe. Bardzo trudno jest udowodnić członkowi plemienia zabójstwo, gdyż żaden świadek nie chce przeciwko niemu zeznawać, czy to przez solidarność z plemieniem, czy ze strachu przed represjami. A oprócz tego — dorzucił z poważną miną — zabójca jest na ogół dobrze strzeżony przez rodziców...

Sekretarz opowiedział mi jeszcze, że na całej drodze strategicznej prowadzącej przez przełęcz Chajber do granicy afgańskiej stosowane jest prawo prowincji i każde zabójstwo dokonane na tej drodze lub w paśmie pięćdziesięciometrowym po obu jej stronach karane jest według prawa pakistańskiego, nawet jeśli zostało popełnione na terytorium należącym do plemienia. Jednakże uśmiech jego wskazywał, że członkowie plemion dbają o to, aby załatwiać swoje porachunki poza tym pięćdziesięciometrowym pasem wzdłuż drogi. Kiedy zegnałem się z nim, radził mi, abym po zapadnięciu zmroku nie spacerował po ulicach Peszaur.

— W nocy zdarzają się napady i strzelaniny. W większości dużych miast niedawno temu miały miejsce różne rozruchy. A w żaden sposób — dodał, jakby tłumacząc się — nie możemy z dnia na dzień zmienić tych dzikusów...

Stosownie do jego rady spędzałem wieczory w moim hotelu, będącym odpowiednikiem, może trochę bardziej luksusowym, poprzedniego Flashman's Hotel. Restauracja w Dean's Hotel pełna była różnych ciekawych osobistości, których do bramy Azji sprowadziły najrozmaitsze powody. Niektórzy z nich byli rzeczoznawcami technicznymi lub wojskowymi na służ-

bie rządu Pakistanu. Grupa Niemców opracowywała sprawozdanie o sytuacji przemysłowej kraju, kilku beztróskich Amerykanów zatrzymało się na jedno- czy dwudniowy odpoczynek przed dalszą drogą do Kabulu. Po obiedzie wszyscy gromadzili się w salonie, siadali w ogromnych fotelach pod portretami członków brytyjskiej rodziny królewskiej, i po strzępkach rozmów, jakie można było usłyszeć, wywnioskowałem, że niektórzy spośród nich byli prawdziwymi turystami. W rzeczy samej, w jednym z małych budynków, z których składał się hotel, dwa pokoje były zajęte przez „N. W. F. P. Tourist Bureau“.

Za całe umeblowanie służył stół, dwa fotele i wielki wybór ilustrowanych broszur zachwalających malownicze zakątki Pakistanu. Głównym i prawdopodobnie jedynym urzędnikiem tego biura był niski, okrągłutki pan o wyglądzie zadziwiająco różnym od przeciętnego typu ludzi zamieszkujących Pogranicze. Powitał mnie z wylewną radością i wcale nie ukrywał swego przekonania, iż świetnie włada francuskim. Gdybym go był pozostawił w tym całkowicie niesłusznym mniemaniu, wszelka między nami rozmowa stałaby się niemożliwa: toteż na jego francuskie okrzyki na cześć urody Francuzek — odpowiadałem systematycznie po angielsku pytaniami o możliwości dotarcia do granicy afgańskiej. W końcu ustąpił. Usiedliśmy wygodnie w fotelach i wtedy — już po angielsku — poinformował mnie o środkach lokomocji i o najdogodniejszym rozkładzie jazdy. Na jednej nodze miał wełnianą skarpetkę, a druga stopa tkwiła w sandale zupełnie goła. W trakcie rozmowy założył sobie bosą nogę na kolano i bezceremonialnie drapał się w wielki palec. Udzieliwszy mi informacji, na których mi zależało, opowiedział z grubsza o charakterze swoich funkcji, a potem postawił mi kilka pytań na temat Champs Elysées i kabaretów na Montmartre. Wydawał się zachwycony wiadomością, że turystyka we Francji świetnie się rozwija. Pytałem go dwukrotnie, czy był w Paryżu, lecz za każdym razem odpowiedział mi tylko: „Znam... znam... to bardzo piękne miasto“. Wreszcie ustaliliśmy godzinę mego odjazdu i na pożegnanie uściśnałem mu rękę: tę samą, którą drapał się w wielki palec u nogi.

Nazajutrz przed śniadaniem spotkałem go w ogrodzie znajdującym się przed głównym wejściem. W zamyśleniu przechadzał się tam i z powrotem po trawniku. Na mój ukłon odpowiedział po francusku: — „Bon-jour“.

— Wyobrażam sobie, że pan musi być bardzo zajęty — zacząłem grzecznie.

— Zajęty? Oh, straszliwie — odpowiedział ze zmęczonym wyrazem twarzy. — Nie mogę sam wydolać. To za dużo, o wiele za dużo na jednego człowieka. Lecz musimy czynić wszystko, co w naszej mocy, dla dobra naszej ojczyzny — dodał z westchnieniem, jak gdyby przygnieciony zbyt wielkim brzemieniem.

Sprawdziliśmy godzinę, o której nazajutrz miał przyjechać po mnie samochód, i rozstaliśmy się, aby pójść na śniadanie — każdy osobno.

New Deal na przełęcz Chajber

Droga przez przełęcz Chajber jest prawdopodobnie najkosztowniejszym i najwspanialszym anachronizmem świata. Jako osiągnięcie techniczne, jako zaporę strategiczną czy granicę zamykająca pewien układ socjologiczny należy już do przeszłości. A jednak choćby tylko przez swoje wymiary jest

niezwykłym pomnikiem nieustającej zmienności naszego świata. Przed dwudziestu pięciu laty wywoływała jeszcze gwałtowne namietności; dziś pierwszy lepszy transport wojsk lotniczych może ją w dziesięć minut przecieć i obecnie jest już tylko muzealnym zabytkiem w trawionym gorączką stuleciu.

Jest coś zdecydowanie teatralnego w samym horyzoncie rozciągającym się przed oczyma widza opuszczającego Peszaur w kierunku zachodnim. Fółkole niebieskawych gór z dalekim na zapleczu lodowcem Hindukusz wznosi się jakby krągłą barierą naokoło półwyspu indyjskiego. Następnie, tak jak w powieściach, samochód zatrzymuje się na punkcie kontrolnym, na którym strażę sprawdzają przepustki i konfiskują aparaty fotograficzne. Za plecami żołnierzy rysuje się ogromne cielsko Fortu Dżamrud ze ścianami lepionymi z gliny i słomy, najeżonego wieżami i strzelnicami skierowanymi ku góróm. Przed strażnikami, przykucnięty na ziemi, cierpliwy i pstrokaty tłum czekający na pozwolenie przejścia zapory i udania się na półwysep. Tu właśnie w ciągu długich wieków wędrowni kupcy z przeciwnych stoków Himalajów zmuszeni byli zostawiać swoją broń, aby otrzymać przepustki na dalszą drogę wiodącą na rynki w Lahor, Delhi i Agra. Ich kobiety w czerwonych sukniach, z gęstymi zasłonami na twarzach, wielbłądy i muły ich karawan, niezliczone ilości dzieci w haftowanych czapeczkach i sami mężczyźni surowi i dzicy ze strzelbami i ładownicami — wszystko to razem należało do świata odrębnego od Indii. Za fortem Dżamrud droga prowadzi przez kamienistą płaszczynę, a o pięć kilometrów dalej — zupełnie jak w teatralnej dekoracji — ginie w górach. Od tego miejsca zaczyna piąć się wzwyż. Wije się wśród jałowych skał, tajemniczy wicher Środkowej Azji dmie przez wąskie przejścia, a rozległy półwysep udręczonych Indii ginie ostatecznie za górskimi stokami zamykającymi się za plecami podróżnika.

Wkrótce gładka i kamieniami wyłożona droga w zastraszający sposób zaczyna się wznosić i podskakiwać w akrobatycznych zygzakach. Ciągnie się jak ogromnej długości taśma rzucona na chybił trafił na nagie góry. Przez małe wiadukty i małe mosty, arcydzieła techniki, przez tunele wybite w skałach uparcie pnie się naprzód wśród martwego krajobrazu surowych gór, których całkowite opustoszenie napęłnia serce ludzkie pełnym szacunku lękiem. Skaliste bałwany piętrzą się na spotkanie drogi strategicznej, a jej kamienisty bruk, w ciągu wieków gwałtownymi polerowany wichrami, oznajmia podróżnikowi, że kroczy po niegościnniej ziemi, na której przelano wiele krwi, o którą rozbiło się wiele snów i której dumni zdobywcy drogo płacili za swoje ambicje.

Co drugi wierzchołek nosi na grzbiecie blokhauz czy mały fort o mało zachęcającym wyglądzie, ukryte rowy i zręcznie zamaskowane strzelnice zjeżdżającymi z niewinnych na pozór bloków skalnych. Przez jakiś czas droga biegnie łożyskiem wyschniętego potoku i pogrąża się w wąwozy mające nie więcej niż pięć metrów szerokości, lecz zamknięte z dwóch stron murami o wysokości pięciuset metrów. Potem znów wznosi się na małą wyżynę, gdzie na martwych przylądkach rozpierają się straszliwe forty, osiadłe wśród skał jak dziwaczne zamczyska, zbudowane dzięki szaleństwu jakiegoś Ludwika Bawarskiego. Zezuają ponad dolną ku niezliczonym otworom armat ukrytych w olbrzymich skałach pojawiających się na każdym zakręcie. Każdy metr tej poskręcanej w zygzaki drogi znajduje się pod



czujną obserwacją widzialnego lub niewidzialnego, jednego z licznych posturków strażniczych, połączonych z sobą zaporami zbudowanymi naprędce przez Brytyjczyków, kiedy to wojska Hitlera zdawały się zbliżać do Środkowego Wschodu.

Tu i ówdzie widać włóczących się po górach nomadów, organicznie związanych z tym złowrogim i milczącym krajobrazem. Kroczą z majestatyczną dumą, potem stają, a strzelba na ramieniu sprawia wrażenie składowej części ich narodowego stroju. Sterczą jak wrośnięci na wystających cyplach skał zawieszonych nad drogą i jak posągi, nieruchomi i tajemniczy, otuleni w swoją częśćkę odziedziczonej po klanie czujności, przyglądają się przejeżdżającemu samochodowi. Naokoło nich, zależnie od ruchu obłoków, barwy gór przechodzą z różowych w szare, z szarych we fioletowe, a przy zbliżającym się deszczu przybierają złowrogi, ciemnoniebieski odcień.

Od czasu do czasu, kiedy wąskie przejście rozszerza się w dolinę, można zobaczyć rzadko porozrzucane wioski. Składają się najwyżej z sześciu do ośmiu domów, których architektura zależy od rodzaju mieszkańców. Każdy z nich jest prawdziwym małym fortem o wysokich murach z gliny mieszanej ze słomą, której końce rozczochranymi pękami jeżą się ze ścian. Pojedyncze drewniane drzwi są dostatecznie mocne, aby oprzeć się szturmom, a płaskie dachy wyposażone są w wysokie parapety, chroniące przed kulami wysyłanymi z sąsiednich wzniesień. W narożnikach stoi wieża wartownicza nabijana wielkimi, płaskimi kamieniami, umieszczonymi nad strzelnicami dla ochrony głowy strzelającego. Rodziny żyją tam jak w garnizonie, cały ich dobytek znajduje się w obrębie murów. W okresach, kiedy kłótnie między różnymi szczepami nasuwają obawy przed napaścią na ich

Siedzibę, ojciec i syn czuwają nocami i dniami na wieży strażniczej. Droga dla ruchu kołowego, budowana etapami w czasie wojen afgańskich, bawi się w ciuciubabkę z dawną drogą karawan i torem kolei żelaznej, która przez trzydzieści tuneli i tyleż samo zuchwale biegnących wiaduktów wspina się na połowie drogi do granicy afgańskiej. Mijamy stare wozy, aż pod sam dach zapchane podróżnymi. Pełno w nich górali o surowym wyglądzie, w okazałych turbanach, tworzących niespodziewany kontrast z pastelowymi w barwach kwiatami namalowanymi na karoserii mocnego wehikułu.

Kilkakrotnie na skrzyżowaniach dawnego szlaku i szosy asfaltowej spotykamy długie, nielczące karawany. Uchodzą z dusznego upału lata w Pendżabie do świeższego klimatu swoich gór, i następnej jesieni zejdą znów z powrotem z towarami, aby uciec od lodowatych wichrów Azji Środkowej. Melancholijnie posuwają się naprzód: dwieście wielbłądów, kilka tuzinów osłów i mułów prowadzonych przez mężczyzn o wojowniczym wyglądzie, a na końcu kobiety zamykające pochód. Wielbłądy obciążone koldrami, ramami łóżek, przyborami kuchennymi i wypchanymi workami. Do kompletu niemowlę umieszczone w czymś w rodzaju kosiorka, płaczące żałośnie, lub mały wielbłądek wyciągający szyję, zbyt jeszcze słaby, aby nadążyć w szeregu dorosłych. Wielbłądy są ciemnobrażowe, a bogate futro zwiesza im się z szyi jak rozerwane podszycie starej pelisy. Towarzyszą im ludzie są zahartowanymi koczownikami. Na ramionach noszą amulety lub perły wszyte w skórzane woreczki zawieszane na szyi, mające ich chronić przed nieszczęściem i chorobą. Na twarzach poranych głębokimi fałdami maluje się uparta wytrwałość wędrownych kupców, którzy od setek lat



przebywają te drogi. Dzieci o ogromnych, czarnych oczach i barwnych czapczkach starają się dotrzymać kroku ojcom i, wyraźnie podniecone widokiem przejeżdżającego w dali samochodu, popędzają swoje zwierzęta. Na końcu tego korowodu jedzie milcząco gromadka kobiet. Okryte ciężkimi, ciemnoczerwonymi chustami, kołyszą się spokojnie na grzbietach swoich mułów lub też idą pieszo, bogato obwieszzone srebrnymi błyskotkami. Ich naszyjniki mają egzotyczne desenie, a niektóre ozdobione są starymi monetami, pamiątkami inwazji greckich, tureckich i mongolskich. Inne znów noszą na piersiach srebrne krążki lub przyczepione do włosów ozdobne wisiorzki, spadające im do połowy czoła. Niejedna spośród kobiet wyróżnia się pięknoscią rysów, w czym można odnaleźć ślady różnych ras. Wcale nie zmęczone długą podróżą, na skrzyżowaniach dróg, gdzie mogłyby być narażone na ciekawość obcych, starannie zaciągają zasłony na twarze. I, jakby na zbędny zresztą dowód powszechności instynktów kobiecych, kilka spośród nich niesie na głowach po parze bogato haftowanych pantofelków, związanych i wiszących po obu stronach twarzy niewątpliwie po to, aby pokazać, że uważają je za najcenniejszy nabytek, jaki wynosią z kończącego się sezonu handlowego. Wreszcie, zamykając pochód, biegną psy, stróże nocnych obozowisk, w tej chwili szciekając obskakując objuczone zwierzęta, aby utrzymać porządek marszu. Z cichą obojętnością mijają nas karawana, skupiona w sobie, najwidoczniej nie zdając sobie sprawy, że każdy cal ziemi, którą przemierza, bogaty jest w historię.

Lecz obecnie betonowe schrony, rowy na stokach górskich i inne chytne urządzenia świecą pustką. Na małych fortach powiewają chorągwie Pakistanu, a w ich wnętrzach załogę tworzą sami Patanowie. Minęły już czasy, w których liczne wyborowe dywizje armii brytyjskiej w stanie ciągłego pogotowia tworzyły tamtejsze garnizony, aby utrzymać pokój na granicy. Minęły już również dni, kiedy koczownicy stojący na skalnych cypłach za swój patriotyczny obowiązek uważali strzelanie do wszystkich przejeżdżających wozów, a Brytyjczycy musieli się uciekać do publicznego wieszania ludzi za bandytyzm czy też bombardować lepianki Patanów, aby im wpoić zdrowy respekt dla potęgi imperium. Może po raz pierwszy w swej historii niesforne plemiona Pogranicza poczuły pokój polityczny. Zabójstwa — a trudno twierdzić, że zdarzają się rzadko — nie są już aktem patriotycznym strzelców wyborowych przeciwko potężnemu okupantowi, lecz porachunkami o charakterze czysto prywatnym. Około 60 km od Peshawar znajduje się granica Afganistanu; tam właśnie przy ładnym, małym bungalowie postawionym dla służby granicznej kończy się droga strategiczna. Nieco dalej stoją dwie budki strażnicze, a po dwóch stronach ciężkiego, żelaznego łańcucha dwaj żołnierze: afgański i pakistański operują się na lufach swoich strzelb. Pod tym symbolicznym łańcuchem kończy się też i asfalt i droga gubi się w górach w kierunku Kabulu.

Uprzejmi pakistańscy urzędnicy graniczni poczęstowali mnie „quavah” (zieloną herbata). Usiedliśmy w małym ogrodzie tuż przy drodze. Było chłodno. Z mojego fotela mogłem obserwować długi odcinek szosy, którą przyjechaliśmy. Za mną rozciągał się kraj Afgański, w którym ongiś wymieniano chińskie jedwabie na rzymskie złoto, przede mną rozciągał się widok na szare góry. Nieomal czułem gorąco przechodzących koło mnie wielbłądów, ciężko obciążonych dywanami i suszonymi owocami. Kobiety z zasłoniętymi twarzami — nieruchome na swoich lagodnych mułach

cach — czekały, aż mężowie otrzymają poświadczenie papierów. Rudyard Kipling powołał do życia cały barwny świat tych okolic. Lecz powieściowe wersje bohaterских czynów kolonialnych białego człowieka nigdy nie dotknęły swoim urokiem Pogranicza ani Chajberu i dla mnie były już tylko socjologicznymi skamielinami; były one miejscem pobytu ludzi na pół cywilizowanych, których przymioty takie jak inteligencja i słodycz charakteru nigdy nie miały możliwości wynurzenia się z barbarzyńskich tradycji. Jednakże, kiedy tak siedziałem na tym szlaku Przeznaczeń, odczuwałem prze dziwną egzaltację. Dariusz i Aleksander, Mongołowie i tuzin innych królów i zdobywców korzystali z



tej drogi, przyciągnięci bajkową sławą Indii. Cywilizacje i religie spotykały się na tych przełęczach i poprzez niezliczone wieki jako użyźniające zarodki sztuki, kultury i rzemiosł płynęły tymi szlakami, którymi dziś ciągnęły wielbłądy. Historia tego pasma dróg została napisana przez żywioł odwiecznych namiętności ludzkich, przez ducha sławy i tragedii.

— Zmieniło się Pogranicze — rzekł do mnie celnik w futrzanej czapie — Pakistan dał dowód, że niepotrzebna mu armia dla utrzymania ładu wśród Patanów. W naszym muzułmańskim kraju czują się jak u siebie i stali się wiernymi obywatelami. Właśnie zwróciliśmy im forty, które pan oglądał jadąc do nas. Uczyniliśmy to z wiarą w łączące nas więzy religijne. To cud — dodał z głęboką szczerością.

Odwołano go jednakże dla wyjaśnienia jakichś zawilych problemów paszportowych. W kilka minut później olbrzymi Patan przechodził przez ogród. Robił wrażenie tubylca, więc poprosiłem, aby podszedł bliżej. Miał brodę rudą jak Prorok, lecz mocno już pociwiła. W tali ściągnięty był szerokim pasem, a na ramionach dzwigał ciężką, skórzaną ładownicę. Na głowie miał turban wyszywany złotymi nićmi no i oczywiście na ramieniu strzelbę. Zaprosiłem go, żeby usiadł, lecz odmówił i stał jakby na baczność zastanawiając się, czego od niego żądam. Jak bardzo wielu spośród tubylców, którzy przeżyli wiele lat w dalekich miastach i jako żołnierze, strażnicy czy mechanicy zaoszczędzili trochę pieniędzy przed powrotem do domu, mówił płynnie po angielsku i znał świat poza granicami swego kraju.

— To moja ojczyzna — rzekł z dumą. — Tu urodziliśmy się i tu powinniśmy wrócić, żeby umrzeć. — Nie był jednak jeszcze tak stary, by myśleć o śmierci. Choć był już na pewno po pięćdziesiątce, miał postawę naprawdę imponującą, a twarz surową i szlachetną, pełną życia. Wyjaśniłem mu, że rozmawiałem już z wieloma góralami na bazarach wielkich miast, ale chciałem dowiedzieć się szczegółów o sposobie życia mieszkańców okolic Chajberu. Słuchał mnie z poważną i godną miną, lecz zauważyłem, że wcale nie miał ochoty mówić o sobie. Starałem się usilnie, aby wyrażać się zrozumiale, toteż — choć z pewną trudnością — zaczęliśmy jakoś rozmawiać.

Miał dom niedaleko stąd, parę owiec, gromadkę dzieci i dwie żony. Nie wiele mógł wyciągnąć z swojego kawałka ziemi; przychodził więc często do komory celnej, gdzie zawsze znalazło się coś do roboty. Śmiejąc się poprosiłem, żeby opowiedział mi coś o wendettach. Dlaczego zabijać człowieka? Zrobił pogardliwą minę. — Za brak szacunku — odparł w końcu. Lecz wendetty mogły również przechodzić w spadku po ojcu na syna, a nawet po dziadku na wnuka. Kobiety się oszczędza — dodał — jak również chłopców poniżej lat dwunastu. Kiedy go spytałem, w jakim wieku dziewczęta wychodzą za mąż, wydawał się wcale nie rozumieć mojego pytania, lecz mogłem wywnioskować, że czynią to w wieku lat trzynastu lub czternastu. Gotów był posyłać swojego syna do szkoły. — Nauka to dobra rzecz — powtórzył dwukrotnie, ale uniósł się, kiedy spytałem, czy pośle do szkoły także swoją córkę.

— Nigdy dziewcząt do szkoły — zawołał. — Miejsce kobiety w domu.

— Nigdy nie widziałem domu Patanów — rzekłem. — Czy sądzicie, że mógłbym zwiedzić Wasz?

Była to wielka zachwalość. Mój Patan był człowiekiem nieprzejednanym i gwałtownym i gdybym nie był urzędowym gościem, pytanie to wystarczyłoby, aby mnie umieścić w gronie nieprzyjaciół. Jednakże opanował się.

— Bardzo mi przykro, panie — rzekł przez zaciśnięte zęby. — Żaden obcy nie może wejść do mojego domu. — A potem z nagłą i dziecinną zmianą humoru dorzucił prawie łagodnie: — Niech pan zrozumie, że nawet mojemu bratu nie wolno przestąpić progu mego domu, kiedy noc zapadnie...

Śpiesznie przerzuciłem rozmowę na inne, mniej niebezpieczne tematy i spytałem, jaki rodzaj strzelby posiada. Oturbaniony olbrzym roztętał natychmiast. Z błyszczącymi oczyma i czułością zakochanego zdjął z ramienia swój karabin i podał mi go. Jest to karabin angielski, objaśniał gorliwie, kosztował 600 rupii. Tonem pełnym pogardy oznajmił, że strzelby miejscowe kosztują zaledwie 150 rupii. Wyrabiano je w „fabrykach“ w Kohat, położonego w pobliżu sąsiedniej przełęczy, gdzie widziałem, jak górale siedząc na ziemi w swoich lepiankach i pracując niewiarogodnie prymitywnymi narzędziami kopiuja modele karabinów angielskich.

— Lecz strzelby miejscowe niewiele są warte. To dobre dla tych, co nie mają pieniędzy — powiedział krzywiąc się. — 600 rupii to drogo, ale to piękna broń — dodał z dumą i przyłożył strzelbę do ramienia, żeby mi pokazać, jak celuje.

— Czy zabilibyście swego wroga, gdybyście go spotkali wychodząc stąd? — spytałem korzystając z pewnego odprężenia atmosfery.

— Czybym go zabił? — powtórzył tonem niedowierzania. — Mojego wroga zabiłbym na miejscu... — I całe odziedziczone barbarzyństwo uderzyło krwią do białych policzków jego opalonej twarzy.

— A z jakiego powodu uważalibyście go za wroga? — spytałem.

— Mężczyźni plemienia zabijają z powodu kobiet, z powodu ziemi i pieniędzy — odpowiedział z wielką powagą. Po krótkim milczeniu przysunął się do mnie o krok i głosem ponownie zupełnie zmienionym powiedział prawie serdecznie: — Mój panie, wy, ludzie ze świata, myślicie o nas, jak o dzikusach. My kochamy nasze dzieci, nasze żony. Ale mamy nasze zwyczaje. Patanowie są dobrzy... — skończył, jakby broniąc swojej sprawy. W orlich oczach miał pewną naiwną prawość — prawość kodeksu honorowego, który nakazuje wierność dla przyjaciół i wpakowanie kulki w łeb wroga. Rozmowa nasza została przerwana przez powrót urzędnika celnego. co skłoniło Patana do dyskretnego wycofania się.

— Widzę, że nie nudził się pan w czasie mojej nieobecności — rzekł uprzejmie celnik.

Opowiedziałem mu, że postawiłem kilka pytań człowiekowi, którego tu zastałem, i że odpowiedzi jego uważam za dość interesujące.

— To jeszcze surowi ludzie. Lecz otwieramy dla nich szkoły, owszem, nawet dla dorosłych. Warto zobaczyć, jak uczą się alfabetu. Oni pragną nauki. Budujemy także fabryki. Pogranicze zaczyna się już zmieniać. Jeszcze kilka latek, a górale porzucą swoje strzelby...

tłumaczyła *Maria Kłos*

ilustrował *Andrzej Łepkowski*

ZAGADKA INDONEZJI

W jednym ze starych numerów „Témoignage Chrétien“ natrafiłem na zdanie, które wydało mi się bardzo trafnym, choć może jednostronnym wprowadzeniem we współczesną problematykę indonezyjską. Jednostronnym, bo ujmującym zagadnienie jedynie od strony geograficznej, bez uwzględnienia najważniejszego czynnika, jakim zawsze i wszędzie pozostaje człowiek. Tym niemniej od tego właśnie geograficznego wprowadzenia musimy rozpocząć nasze rozważania o piątym wielkim mocarstwie Azji, które wyrosło nagle obok Chin, Japonii, Indii i Pakistanu — jako nowy doniosły czynnik polityki światowej.

Autor wspomnianego artykułu widzi specyfikę problematyki indonezyjskiej w wielkości i rozproszeniu archipelagu:

„Od Sumatry do wysp Moluckich, na przestrzeni z górą pięciu tysięcy kilometrów leży łańcuch indonezyjskich wysp i wysepek. Stolica kraju, Djakarta — dawna Batawia holenderska — jest oddalona o dwa tysiące kilometrów zarówno od Makassaru, jak i od Timoru“.

„To rozproszenie jest zasadniczym elementem problematyki indonezyjskiej. Ono jest źródłem trudności, jakie ma rząd centralny przy administrowaniu odległych terenów. Ono decyduje o słabym powiązaniu ze sobą poszczególnych części archipelagu. Ono wreszcie umożliwia takim ludziom jak Westerling wzniecanie ruchów, grożących zachwianiem fundamentów młodego państwa indonezyjskiego.“

Nie ulega wątpliwości, że sama koncepcja połączenia w jedną całość polityczną olbrzymiego kompleksu wysp, zamieszkałych przez ludy malajskie (i nie tylko przez nie), była bardzo śmiała i ryzykowna. Autorami i realizatorami tego planu byli jednak nie Indonezyjczycy, lecz Holendrzy. Ta sama Djakarta (tyle, że pod holenderską nazwą Batawii), była stolicą kraju — odległą o dwa tysiące km od Makassaru i tyleż od Timoru. Nic się w gruncie rzeczy w geografii tych ziem od tego czasu nie zmieniło.

Dochodzimy więc do wniosku, że rozległość terytorium indonezyjskiego nie jest ani jedyną, ani nawet główną przyczyną wewnętrznych trudności, jakie ma do pokonania rząd Republiki. Muszą one tkwić gdzie indziej, przede wszystkim w budzących się z długiego snu ludach indonezyjskich, które mają własne, choć nie dość jeszcze sprecyzowane nadzieje i pragnienia i dążą do ich realizacji po omacku, poprzez coraz to

gdzie indziej zrywające się burze powstań lokalnych, którym znakomicie sprzyja panująca w kraju anarchia.

W poszukiwaniu źródeł trudności trzeba iść jeszcze dalej, trzeba doszukać się przyczyn tej anarchii w głębi pałacu o białej kolumnadzie, gdzie rezyduje parlament indonezyjski i tu dotrzeć do zawodowych polityków, którzy nikogo nie reprezentują, ale za to trzymają w swoich rękach nici prowadzące do niejednego herszta band mużulmańskich albo koncernu zagranicznego. Może trzeba będzie dostać się do samego prezydenta Soekarno¹, człowieka, który niewątpliwą wielkość kojarzy z dziwną małodusznością wobec własnych przyjaciół. Może trzeba będzie zapoznać się z projektami reform, które nigdy nie zostały zrealizowane i z tym, co zostało zrealizowane, choć nigdy nie było planowane. Trzeba wreszcie stanąć bezradnie wobec zagadki światowego rynku, który w r. 1938 zakupił z terenów wchodzących w skład dzisiejszej Indonezji 1.092.000 (słownie milion dziewięćdziesiąt dwa tysiące) ton cukru trzcinowego, a w r. 1950 tylko... 1.500 (słownie tysiąc pięćset) ton.

Praca ta nie rości sobie pretensji do gruntownego wyświetlenia tych trudności. Nie tylko dlatego, że — jak się zawsze mówi w podobnym wypadku — przekroczyłoby to ramy niniejszego artykułu, ale po prostu dlatego, że autor nie posiada materiałów, które pozwoliłyby na wszechstronne przestudiowanie tematu, choć do pracy niniejszej zużytkował absolutnie wszystko, co było w ciągu ostatnich dziesięciu lat napisane o Indonezji w językach rosyjskim, francuskim, niemieckim i angielskim i co, rzecz prosta, dotarło do Polski. A tego jest dość, by wyrobić sobie ogólny obraz sytuacji, jaka wytworzyła się w Indonezji, lecz stanowczo za mało, by wgryźć się w istotę problematyki tego kraju.

Musimy na wstępie sprostować zasadniczy błąd, uparcie powtarzany we wszelkich publikacjach o współczesnej Indonezji, które ogólną powierzchnię Republiki podają według danych przedwojennych, odnoszących się do całego terytorium Indii Holenderskich (1904 tys. km kw.), gdy w rzeczywistości powierzchnia Republiki jest mniejsza o 412,8 km kw. (tj. o cały obszar holenderskiej Nowej Gwinei) i wynosi poniżej 1.500 tys. km kw. W tym Jawa ma 126,5 tys. km kw., Madoera — 5,5 tys., Sumatra — 473,5 tys., indonezyjska część wyspy Borneo — ok. 550 tys., Celebes — 189 tys., Moluki i wyspy Małe Sundajskie (bez wschodniego Timoru) — 157,3 tys. Obszar Jawy wraz z Madoera (łącznie 132 km kw.) obejmowany jest wspólną nazwą Posiadłości Wewnętrznych. Zajmuje on mniej niż jedną jedenastą powierzchni Republiki, lecz na tak niewielkim obszarze skoncentrowane jest przeszło dwie trzecie ludności (ponad 50 milionów), gdy na całej olbrzymiej reszcie archipelagu (tj. w Posiadłościach Zewnętrznych) żyje niespełna 25 milionów.

Rozpiętość kulturalna pomiędzy mieszkańcami Posiadłości Wewnętrznych (Jawanie, Sundanie i Maduranie), a krajowcami niektórych wysp peryferyjnych lub wnętrza Borneo jest ogromna. Pierwsi stoją na poziomie czołowych ludów Europy i Indii — posiadają bardzo liczną i wysoko kwalifikowaną inteligencję, własnych wybitnych uczonych, lekarzy,

prawników i inżynierów, gdy niektóre zacofane ludy peryferiów znajdują się jeszcze na pograniczu dzikości i barbarzyństwa.

Określenie „niektóre” jest tu bardzo istotne. Granica pomiędzy Posiadłościami Wewnętrznymi a Zewnętrznymi nie jest bynajmniej przez to samo granicą dwóch poziomów kulturalnych, a właściwi Malajowie, których melodyjna i piękna mowa stała się językiem ogólnopaństwowym Indonezji, mieszkają w masie poza posiadłościami wewnętrznymi: przede wszystkim w kraju Minangkabau i sąsiadujących z nim terenach Sumatry, gdzie była ich pierwotna ojczyzna, oraz na półwyspie Malajskim, który leży zresztą poza granicami Indonezji. Bramańscy Balijszczy, muzułmańscy Bugisi i Makassarowie z południa Celebesu czy protestanccy Minahassanie z północy tegoż Celebesu stoją na poziomie kulturalnym niewiele odbiegającym od poziomu Jawanów. Ale im dalej na wschód archipelagu lub w głąb wielkich lądów Borneo, Celebesu i Sumatry, tym bardziej obniża się poziom kultury ludności i różniczkują się języki, przy czym — szczególnie na wschodzie — typ malajski (czy raczej to, co zwykliśmy nazywać „typem malajskim”), zaczyna zanikać na rzecz rasy melanezyjskiej brodatych Murzynów o kręcej się czuprynie, grubych wargach i szerokim nosie (nazywanych tu z arabska Alfuri), a w językach, którymi posługują się te ludy, występują, coraz wyraźniej — im dalej na wschód — elementy mowy krajowców Nowej Gwinei.

Indonezyjczycy — nawet ta ich część, która mówi pokrewnymi językami „malajskimi” — nie stanowią bynajmniej jednego narodu. Nawet posiadłości wewnętrzne — mimo że obejmują tak nieznaczny obszar — są siedzibą aż trzech odrębnych narodowości. Co prawda Jawanie, będący najliczniejszym ludem całego archipelagu (ok. 40 milionów), potrafili narzucić swój prymat kulturalny obu najbliższym sąsiadom, a dwa żeglarskie ludy południowego Celebesu (Makassarowie i Bugisi) zespoliły się już tak bardzo, że praktycznie stanowią dziś jeden naród.

Tym niemniej proces stapiania się całej różnolitej mozaiki ludnościowej archipelagu w jeden wspólny indonezyjski naród, poprzez zupełną niwelację istniejących różnic religijnych, kulturalnych i językowych, potrwa jeszcze bardzo długo i — w odniesieniu do ludów obcych etnicznie i językowo, jak Alfuriowie lub tak odrębnych kulturalnie jak Batakowie Sumatry czy Dajakowie Borneo — nie wiem, czy jest całkiem słuszny. Bardziej celowa i dużo owocniejsza w skutkach byłaby próba znalezienia klucza do umysłów i serc różnojęzycznej ludności kraju, bez pozbawiania jej indywidualności — słowem próba zespolenia jej choćby w taką wielopostaciową wspólnotę, jaką stopniowo stają się Indie.

Analogie pomiędzy obydwoma krajami istnieją i są w zasadzie doceniane przez indonezyjskich mężów stanu, z tym, że dla elementów laickich z partii narodowej i części lewicy indonezyjskiej autorytetem jest Hindustan, gdy fanatycy muzułmańscy spod znaku Dar-ul Islamu widzą z kolei swój ideał w Pakistanie.

W gruncie rzeczy wszystkie trzy państwa (nie wyłączając Pakistanu) stanowią mozaikę rozmaitych ras i typów, narodów i narodków, języków i dialektów, a z wyjątkiem Pakistanu — również i wyznań. Indonezyj-

czycy są w większości muzułmanami-sunitami, ale na Bali i częściowo na Lomboku zachował się brahmanizm w formie nieskażonej, a wśród Bataków na Sumatrze, Tenggeran i Badujów na Jawie, oraz na wyspach Soembawa, Soemba i Sawoe — w formie zdegenerowanej i wulgarnej. Część ludności Floresu i Timoru oraz skupisk wyspowych Solor i Kei wyznaje katolicyzm i posiada — w wiosce Ndonga na Floresie — własnego biskupa. Kulturalny i łagodny lud Minahassan na północnym Celebesie wyznaje protestantyzm, podobnie jak większość mieszkańców Amboiny, którzy podczas Wojny o Niepodległość 1945—1949 zyskali niepochlebną opinię jako najemnicy holenderscy, używani do pacyfikacji podbitych terenów Republiki. Protestantami są poza tym wszyscy bez wyjątku mieszkańcy wysp Banda, które ze względu na olbrzymie plantacje muszkataru uważane były za perłę korony portugalskiej, a potem holenderskiej, zanim środek ciężkości całego archipelagu nie przesunął się na Jawę. Wreszcie z misjonarzami, krzewiącymi katolicyzm na wyspach Solor, współzawodniczy misja protestancka na sąsiadujących z nimi od wschodu wyspach Alor, cieszących się smutną sławą, jako endemiczne ognisko trądu. Wreszcie prymitywne wierzenia totemistyczne („pogańskie“ — jak utarło się u nas mówić) wyznaje większość tzw. Alfurów (czarnych Indonezyjczyków) na wschodzie archipelagu, oraz ludy zamieszkujące wnętrza wielkich wysp (nie wyłączając Jawy, gdzie totemizm, pomieszany z brahmanizmem, jest religią wspomnianych już wyżej Tenggeran i Badujów). Wyznaje go wreszcie wiele drobnych ludów malajskich, zamieszkujących odosobnione wysepki na wschodzie i zachodzie, oraz zagadkowe szczepy niewiadomego pochodzenia, ostatki jakichś wygasłych a pięknych ras, tkwiące gdzieś w morzu ludów malajskich i alfurskich.

Są to przede wszystkim Nijasowie — mieszkańcy wysp Nijas i Batoe na zachód od Sumatry (na Nijasie jest ich ponad 250 tys.), których niektórzy antropolodzy uważają za potomków pierwszej fali kolonistów z Hindustanu... z czasów jeszcze przeddrawidyjskich. Obie wyspy były do niedawna stale najeżdżane przez malajskich korsarzy, którzy stąd porywali kobiety, podobno niezwykle urodziwe.

Na południe od Batoe, w dalszym ciągu tego samego łańcucha wysp. biegnących jak korale nanizane na nitkę wzdłuż zachodniego brzegu Sumatry, na czterech kolejnych wyspach (Sibiroe, Sipora, Pagi północne i Pagi południowe) mieszka równie zagadkowy lud Mentawejczyków, który z wyglądu, mowy i obyczajów zdaje się być szczepem... polinezyjskim, rzuconym przez jakiś dziejowy kataklizm 10 tys. km na zachód od swojej ojczyzny.

Trzeci dziwny lud, mówiący językiem niewiadomego pochodzenia, to jasnobrazowi, przystojni Galełanie z północy wysp Halmachery (Moluki). Zręczni i inteligentni żeglarze, chętnie osiedlający się na niezamieszkałych wyspach archipelagu, z dala od swojej rodzinnej wyspy.

Alfurowie, w większym czy mniejszym stopniu skrzyżowani z ludami malajskimi, oraz rozmaite kombinacje mieszańców — powstałe ze skrzyżowań tak odrębnych grup ludności, jak Malajczycy, Papuasi, Hindusi, Chińczycy, Arabowie, Europejczycy i nawet z całą pewnością

ludy polinezyjskie — stwarzają na wyspach nienotowaną chyba gdzie indziej mozaikę ras i nieraz bardzo osobliwe mieszaniny języków.

Ale bezwzględna większość ludności wysp należy, mimo wszystko, do tego osobliwego konglomeratu typów, który Johan Blumenbach nazwał — od imienia jednego z ludów tej grupy — „rasą malajską“ i posługuje się językami, które również nazywamy malajskimi. To „ludzie najwyżej średniego wzrostu, o raczej szczupłej, zgrabnej budowie, o cerze jasnobrązowej, o czarnych gładkich lub z lekka falistych włosach i o czarnych oczach, o twarzy bez zarostu, albo z zarostem niezwykle skąpym, o rysach twarzy stanowiących jak gdyby przejście od typu mongolskiego do europejskiego, a przy tym skryci, panujący nad sobą, układni, pozornie flegmatyczni“ (Władysław Gumpłowicz).

Poszczególne z tych ludów mają własne, czasem wspaniałe tradycje: ulubieńcy Conrada Bugisi, ci Wikingowie Południa, zdobywali dla siebie całe królestwa i osadzali w nich własne dynastie, z których niejedna przetrwała do dziś (np. w Księstwie Selangoru na półwyspie Malajskim) zaś ich sąsiedzi, Makassarowie, stworzyli niegdyś imperium kolonialne. Mówiąc nawiasem, oba narody mają własny alfabet i ciekawe literatury, których dzieje skreślił w języku holenderskim B. F. Matthes². Miasta kupieckie Tennate i Tidore na Molukach odegrały w dziejach całego archipelagu, według Elizeusza Reclus, tę samą rolę co Wenecja i Genua w dziejach Europy wschodniej i Bliskiego Wschodu. Z polityką zagraniczną władczyni Soloru poważnie liczył się rząd holenderski, a jej korespondencję dyplomatyczną (wiek XVII) cechuje wytworna kurtuazja, charakterystyczna dla tego stulecia.

Dzieje niepodległych państw indonezyjnych nie urywają się zresztą gdzieś w średniowieczu czy w wieku XVII. Potężne państwo Gajo-Aczyńskie stać było na prowadzenie z Holandią wojny trzydziestoletniej (1873-1904), a bramańska wyspa Bali straciła swą niepodległość dopiero w r. 1906.

Nie zamierzamy tu kreślić dziejów państw i państwerek archipelagu (najstarsze z nich powstały na początku ery chrześcijańskiej) ani omawiać poszczególnych literatur narodowych (kawi — jawańska i malajska doczekały się szczegółowych opracowań w języku holenderskim). Chodziło nam jedynie o uzasadnienie poprzednio już przez nas wysuniętej tezy o wielopostaciowości kultury i tradycji poszczególnych ludów indonezyjskich, gdyż uważamy, że ta wielopostaciowość jest wcale nie podrzędnym elementem trudności, które ma do pokonania rząd Indonezji.

Nie przeceniając znaczenia spraw narodowościowych w obliczu jeszcze donioślejszych zagadnień socjalnych i gospodarczych, niesposób jednak zaprzeczyć ich wagi i znaczenia. Powtórzony został tu błąd Aleksandra Karadzordzewicza, który w r. 1929 odgórnie „skasował“ narody Serbów, Chorwatów i Słoweńców, uznając je za części składowe jednego „narodu jugosłowiańskiego“.

Do spraw tych jeszcze powrócimy, gdy będziemy omawiać historię polityczną kraju w okresie Wojny o Wyzwolenie (1945-1949) i powojennego pięciolecia. Teraz przejdźmy z kolei do krótkiego omówienia tego, czym Indonezja dysponowała wchodząc w okres niepodległości.

Wyniosła ona z czasów kolonialnych olbrzymie zasoby naturalnych bogactw, mierny przemysł, olbrzymie plantacje i proporcjonalnie wielką armię robotników rolnych, szeroki wachlarz chorób epidemicznych i społecznych oraz nieproporcjonalnie do ogromu kraju rzadką sieć szkół.

Wkład poszczególnych wysp we wspólną pulę jest w ogólnych zarysach następujący:

Na Jawie skoncentrowała się przede wszystkim wielka gospodarka plantacyjna: produkcja ryżu, trzciny cukrowej, kawy, herbaty, tytoniu i palmy kokosowej, oraz nieznaczny przemysł naftowy; wydobywa się poza tym rudę manganową i złoto. Tu również skoncentrował się cały przemysł przetwórczy: cukrownie, fabryki tytoniowe, suszarnie i sortownie herbaty i kawy, łuszcarnie ryżu, olejarnie, krochmalnie oraz rafinerie nafty i nieznaczny przemysł tekstylny. Tu wreszcie umiejscowiły się nieliczne jednostki przemysłu ciężkiego: stocznie, warsztaty okrętowe, montownie wagonów i samochodów itp.

Sumatra zajmuje wśród innych wysp archipelagu przodujące miejsce jako producent ropy naftowej (65% indonezyjskiej ropy). Poza tym produkuje kauczuk, tytoń i kawę. W zagłębiu Ambillii znajdują się największe w Indonezji (obok borneańskich) pokłady węgla kamiennego. Jest też złoto. Poza tym leżące na wschód od Sumatry wyspy: Banka i Bintang posiadają bardzo bogate i intensywnie eksploatowane kopalnie cyny i boksytu. Jedno i drugie stanowi — obok nafty — największe bogactwo mineralne archipelagu.

Na Borneo przypada 22,6% produkcji ropy naftowej. Jest poza tym węgiel, ruda żelazna, nikiel, złoto, srebro i diamenty. Borneo jest ważnym dostawcą kauczuku i cennych gatunków drzew.

Celebes jest w sensie geologicznym mało zbadane. Ma pokłady niklu i rudy żelaznej. Moluki wreszcie są ojczyzną goździków i gałki muszkatołowej, których znaczenie eksportowe jest dziś niewielkie. Z okolicznych mórz wydobywa się perły.

Ogółem przed wojną Indonezja dostarczała 40—45% światowej produkcji oleju kokosowego, 35—40% kauczuku, 30% kopry, 15—20% cyny, 15% herbaty, 10% cukru trzcinowego i aż 90% chininy. Nafty w ostatnim roku przedwojennym (1940) wydobyto 8 milionów ton, węgla około 2 milionów ton.

Roczny dochód z produkcji indonezyjskiej wynosił przed wojną 1,2 miliarda guldenów holenderskich, jednak tylko drobna część tej kwoty pozostawała w Indonezji. W zyskach poza kapitałem holenderskim partycypowały kapitały: angielski, amerykański, japoński i miejscowy chiński.

W przemyśle fabrycznym pracowało w r. 1940 zaledwie 324 tys. robotników, a osiem razy tyle w przemyśle chałupniczym i rzemiośle. Ogromna większość, bo trzy czwarte ludności Indonezji zajmuje się pracą na roli. Z tego 65% to chłopci małorolni bądź całkowicie bezrolni, zatrudniani na plantacjach lub pracujący jako parobcy w prywatnych gospodarstwach. Ponad 4 miliony ha najlepszej roli znajdowało się pod plantacjami, pracującymi wyłącznie na eksport, w rezultacie czego produkcja rolnicza na użytek wewnętrzny była stale niedostateczna (corocznie

sprawadzano ryż). Zaopatrzenie chłopów w bydło było niewystarczające (70% gospodarstw w ogóle bydła nie miało).

Stan zdrowotny ludności indonezyjskiej był w chwili odzyskania niepodległości wręcz rozpaczliwy. Według holenderskiej statystyki przedwojennej w Djakarcie na 1.000 niemowląt tuziemczych umierało 300, a na 1.000 europejskich — 56. W dwunastym miesiącu życia waga dziecka tuziemczego była poniżej normy o 1 do 2 kg, a wzrost o 1 do 2 cm.

Na samej Jawie umierało na dżumę przeciętnie 6 tys. osób rocznie, na ospę — zależnie od nasilenia epidemii — przeciętnie tyleż. Bardzo rozpowszechniony był dur brzuszny i paratyfusy, a z chorób przewlekłych: gruźlica, malaria i jaglica. W okolicy miasta Padomarang, gdzie nasilenie jaglicy jest największe, chorowało na nią aż 53% dzieci. Co tydzieńny mieszkaniec Jawy był zarażony trądem. Brak dokładnych danych o rozpowszechnieniu chorób wenerycznych.

Jedno łóżko szpitalne przypadało na 1.100 mieszkańców, jeden lekarz na 60 tys. Według prof. Władysława Gumpłowicza na całym archipelagu Alor (posiadającym notabene największe skupisko trędowatych) był tylko jeden lekarz.

Stan szkolnictwa przedwojennego na terenie indonezyjskim opisał szczegółowo radziecki pedagog N. A. Konstantinow. Osobom interesującym się tym zagadnieniem radzę przeczytać jego książkę *Szkolnaja politika w kolonialnych stranach*, Moskwa 1948, która, zdaje się, jest jeszcze do nabycia w warszawskich księgarniach. Tu ograniczymy się do nakreślenia bardzo ogólnego obrazu ówczesnego szkolnictwa, które było pomyślane jako całość dość zróżniczkowana — w zależności od klasowej przynależności uczniów.

Podstawową komórką szkolnictwa elementarnego były „wiejskie szkoły pisania i czytania“, tzw. „deza“, z kursem dwu—trzy letnim i z nauczaniem wyłącznie w języku miejscowym. Szkół takich w r. 1938 było ponad 17 tys., a uczyło się w nich ponad 1.700.000 dzieci. Równoległe do nich istniały w miastach tzw. szkoły II klasy, z pięcioletnim kursem. Wykłady były prowadzone również w języku miejscowym, z tym że dodatkowo (od klasy IV) wykładany był również język malajski, rzadziej holenderski. Takich szkół było 2.611, a uczyło się w nich 250 tys. uczniów. Dla dzieci miejskich ze sfer zamożnych istniał jeszcze trzeci rodzaj szkół elementarnych, tzw. „szkoły holendersko-tuziemcze“ (338 z 75 tys. uczniów).

Następnym ogniwem była szkoła Moelo, coś jakby „progimnazjum“ sprzed pierwszej wojny światowej, wzorowane na holenderskiej „*Hoogere Burgerckooole*“. Szkół tego typu było już tylko 58, a uczyło się w nich 11 tys. uczniów.

Po tym następowały szkoły średnie typu licealnego, których miało być według Konstantinowa tylko 13 z niespełna 5 tys. uczniów, gdy szkół wyższych jakoby było w tym samym czasie 18. Oczywiście jest to nieporozumienie, wynikające z nadmiernego szafowania przez Holendrów terminem *Hoogere*. Właściwych szkół wyższych było z pewnością niewiele więcej niż dziś uniwersytetów (6). Były to przede wszystkim szkoły lekarskie, prawnicze i pedagogiczne.

Część szkół znajdowała się w rękach misjonarzy: protestanckich i katolickich. Wynagrodzenie ze skarbu państwa za pracę pedagogiczną pobierało 79 pastorów Holendrów i 399 pastorów Indonezyjczyków. Poza tym 843 duchownych pracowało bezinteresownie. Księża katolickich — Europejczyków, pobierających wynagrodzenie za pracę nauczycielską, było 37, księża Indonezyjczyków — tylko 14. Poza tym 453 księża, zakonników i zakonnic pracowało bezinteresownie.

Pamiętajmy, że dzisiejsza Indonezja to tylko okrojone Indie Holenderskie, a więc twór państwowy powstały nie na gruncie wspólnoty naturalnej, lecz politycznej, ustanowionej przez holenderskich zaborców, po których odziedziczono terytorium w gotowych, choć (na wschodzie) okrojonych granicach. Ten schemat holenderski mógł być większy lub mniejszy od obszaru stanowiącego idealną całość — nie będziemy się o to spierali — ale z całą pewnością nie pokrywał się z nim.

Indonezja w granicach „idealnych” musiałaby obejmować bądź wszystkie ziemie zamieszkałe przez ludy malajskie (indonezyjskie), bądź też cały kompleks wysp, stanowiących pewną zamkniętą całość geograficzną.

Północną granicę ludów malajskich stanowi w zachodniej części dokładnie 10 stopień szerokości północnej (przesmyk Kra, oddzielający półwysep malajski od lądu), we wschodniej zaś części równie dokładnie 20 stopień północnej szerokości — cieśnina Bashi, dzieląca Filipiny od Formozy. Wprawdzie i na tej ostatniej, w głębi lądu, mieszkają drobne góralskie zgrupowania malajskie, ale stanowią one znikomą mniejszość wśród ogółu ludności.

Słowem granica etnograficzna biegnie tu po linii łamanej i złożona jest z trzech odcinków, z których pierwszy zaczyna się mniej więcej na 90 stopniu długości wschodniej od Greenwich, na zachód od cieśniny oddzielającej Nikobary — zamieszkałe przez lud jakoby „rasy malajskiej” — od Andamanów, posiadających pierwotną ludność czarnej rasy — Negritów. Następnie odcina ona półwysep malajski od Indochin dokładnie na przesmyku Kra. Na swym pierwszym odcinku ma więc kierunek ściśle równoleżnikowy i biegnie cały czas 10 stopniem szerokości północnej, zakrzywiając się raz tylko na południowym cyplu Wietnamu.

Pośrodku morza Południowo-Chińskiego, mniej więcej na 115 stopniu długości wschodniej, ta idealna linia załamuje się pod kątem prostym i biegnie poprzez morze na północ, aż do przecięcia z 20 stopniem szerokości, gdzie zaczyna się trzeci — znów równoleżnikowy odcinek, stanowiący północną granicę filipińskiego Luzonu (cieśnina Bashi).

Obszar, którego północno-zachodnie krańce ustaliliśmy, nazywa prasa malajska „indonezyjską częścią świata” (por. „Pedoman” z r. 1952). Wewnątrz jego znajdują się — poza Republiką Indonezyjską — jeszcze inne państwa i kolonie, których ludność Malajczycy uważają za rasowo i językowo im pokrewną. Są to — licząc od północy — 1) Filipiny, 2) Brytyjskie Borneo, 3) półwysep Malajski, 4) Nikobary i 5) portugalska część Timoru.

Pierwsze, jak wiadomo, są dziś oficjalnie niepodległym państwem, powiązanych jednak z USA więzami bardzo licznych umów. Jest to archipelag, obejmujący 7.083 wyspy i wysepki, o ogólnej powierzchni 296.310 km kw. i z górą 10 milionów mieszkańców. Drugie terytorium jest posiadłością Korony Brytyjskiej i — łącznie z Sarawakiem i protektorem Brunei zajmuje obszar 190 tys. km kw. z 900 tys. mieszkańców. Przynależność Filipin i północnego Borneo — tak samo jak i portugalskiej części Timoru (19 tys. km kw. powierzchni i około 500 tys. mieszkańców) do świata malajskiego nie może istotnie nasuwać żadnych wątpliwości, choć na Filipinach znalazł rozpowszechnienie inny język grupy malajskiej (tagalski), a na Timorze zachodzi nieprawdopodobna wprost krzyżówka ras i języków.

Czy unia indonezyjsko-filipińska będzie w dalszej przyszłości czymś realnym, trudno dziś przewidzieć. Zresztą o tym się wcale w prasie malajskiej nie pisze. Jest tam mowa jedynie o „odrębnej wyspiarskiej części świata“, do której należą oba państwa, a o tym ostatecznie wolno mówić bez specjalnego narażania się Amerykanom, choć, jak przekonamy się niżej, artykuły te zostały przez niektóre czynniki anglosaskie przyjęte dość nieufnie.

W każdym razie całkowita przynależność półwyspu Malajskiego do „indonezyjskiego świata“ nasuwa pewne wątpliwości. Ogółem półwysep ten ma ok. 190 tys. km kw., przy czym jego północna (mniejsza) część wchodzi w skład Tajlandu (Syjamu), a środkowa i południowa stanowi brytyjski protektorat, tzw. „Federację Malajską“ i — łącznie z brytyjską kolonią — miastem Singapoore — obejmuje ok. 132 tys. km kw. i 6.500 tys. mieszkańców. Niestety, brak nam dokładnych danych o liczbie Malajczyków, mieszkających w syjamskiej części półwyspu. Istnieją tam wprawdzie do dziś trzy księstwa malajskie (Czumpon, Nakon Sritamarat i Patani), ale czy Malajczycy stanowią tam dziś większość — nie wiadomo. W każdym razie w Federacji Malajskiej, będącej związkiem dziewięciu księstw i paru kolonii (tzw. „*Straits Settlements*“ — „Osady nad cieśniną“) — są oni mniejszością. Mieszkają tu bowiem zwartą masą przedstawiciele aż trzech wielkich narodów azjatyckich, w tym Chińczycy stanowią 45% ludności, gdy Malajczycy zajmują dopiero drugie miejsce (44%), a Hindusi — trzecie (10,5). Inni (0,5%) to przede wszystkim miejscowe ludy pierwotne: Semangowie i Sakajowie. Trzy wielkie narody Federacji, to właśnie owe trzy gwiazdy, które widzimy na jej sztandarze.

Słowem półwysep Malajski zdaje się być predysponowany do tego, by stać się raczej jakąś azjatycką Szwajcarią.

Jeszcze poważniejsze wątpliwości nasuwa zaliczanie ludności Nikobarów do „rasy malajskiej“, a to po pierwsze dlatego, że współczesna antropologia takiej rasy w ogóle nie uznaje, po drugie dlatego, że przynależność rasowa nie ma nic wspólnego z przynależnością narodową, a po trzecie wreszcie i dlatego, że Nikobarczycy mówią językiem, który z malajszczyzną nie ma absolutnie nic wspólnego. Tyle, że są do Malajów nieco podobni z wyglądu. Ale tego stanowczo za mało, aby się do nich przyznawać.

Nikobary stanowią małeńki archipelag, złożony z 19 wysepek o łącznej powierzchni 1,645 km kw. i 10 tys. mieszkańców.

Rzecz ciekawa, że we wspomnianych artykułach pominięty został milczeniem Madagaskar — wprawdzie bardzo odległy, ale posiadający ludność w sensie językowym czysto malajską.

Zresztą „Pedoman“ nie poprzestaje na precyzowaniu azjatyckich — w zasadzie etnograficznych — granic „indonezyjskiej części świata“, lecz włącza do niej cały kompleks wysp, stanowiących na mapie przedłużenie Indonezji ku wschodowi, tj. Nową Gwineę, archipelag Bismarcka i wyspy Salomona.

Idąc śladem autorów tej koncepcji, weźmy mapę obszarów leżących na północ od Australii i zwróćmy uwagę na 10 równoleżnik — tym razem dla odmiany — szerokości południowej. Jest on, jak widzimy, południową granicą zwartego kompleksu wielkich i małych wysp, ciągnących się od Nikobarów i Sumatry na zachodzie, aż po Malaite w archipelagu Salomona na wschodzie, a dalej stanowi południową granicę Mikronezji. Poza tę linię wysuwają się tylko drobnutkie skrawki malajskich wysp: Soemba i Timor, koniuszek „ogona“ nowogwinejskiego smoka oraz małeńka wysepka S. Cristobal na samym południu archipelagu Salomona. Ta zadziwiająco precyzyjna linia jest zarazem granicą pomiędzy obszarami zamieszkałymi przez zwartą masę ludności autochtonicznej (na północ od niej) a obszarami bądź całkowicie skolonizowanymi przez Europejczyków (Australia, Nowa Zelandia), bądź w dużym już stopniu przez żywioł europejski opanowanymi (Nowe Hebrydy, archipelag Fidżi, Samoa itd.).

Nowa Gwinea, archipelag Bismarcka i wyspy Salomona — ten olbrzymi kompleks dziewiczych obszarów o łącznej powierzchni 890 tys. km kw., o zaludnieniu nie przekraczającym 1,5 osoby na km kw. (łącznie 1.365 tys. mieszkańców) stanowi do dziś tereny nie do sforsowania przez europejskich kolonizatorów, co właśnie radykalnie ochroniło tubylczą ludność tych ziem przed wyćpieniem. Tym niemniej niski poziom kulturalny miejscowych Melanezyjczyków i Papuasów nie pozwolił im na wzięcie udziału w ruchu wyzwoleniczym ludów kolonialnych i uczynił ten teren jednym z ostatnich rezerwatów „klasycznego“ wyzysku kolonialnego.

Zasadniczo w całej koncepcji „Pedomana“ nie ma dotychczas nic, co by mogło nas zaskoczyć. Ciągłość obszaru malajsko-melanezyjskiego jest na mapie tak oczywista, że jakoś podświadomie zawsze akceptowaliśmy istnienie „indonezyjskiej części świata“ dużo wcześniej, niż „Pedoman“ ją odkrył. Niespodzianką natomiast jest dla nas zaliczanie do niej jeszcze dalszych terenów — aż po 180 stopień dł. geogr.

Tu na wschód i północny wschód od trójkąta: Sumatra, Luzon, wyspy Salomona — rozciągają się olbrzymie połacie oceanu, z rzadka usiane pojedynczymi atolami bądź wysepkami, stanowiącymi szczyty zatopionych gór. To Mikronezja — nędzne szczątki zalanego lądu, ongiś tak wielkiego jak Europa. Te półtora tysiąca wysepek — do których należy m. in. i Bikini — ma w sumie (łącznie z wyspami Ellisa, niesłusznie zaliczanymi do Polinezji) 2.627 km kw. suchej powierzchni (czyli mniej niż jeden powiat łomżyński — 2.657 km kw.). Ludność tych najdalszych kresów naszej półkuli posiada istotnie (szczególnie na Marianach)

pewne powiązania z malajską ludnością Filipin, ale w masie stanowi raczej pomost pomiędzy nią a rozciągającym się dalej — ku wschodowi — od 180 południka — światem polinezyjskim.

Ogólna ilość rdzennej ludności Mikronezji wszędzie (poza jednym tylko archipelagiem Ellisa) maleje i — w sumie z ludnością napływową — wynosi dziś niewiele ponad 100 tys.

Południową granicę Mikronezji stanowi znany nam już 10 równoleżnik szerokości południowej, wschodnią — 180 stopień długości — będący zarazem umowną granicą obu półkul i doby, a północną — 20 równoleżnik szerokości północnej, który w swym dalszym biegu na zachód przetnie cieśninę Bashi, oddzielającą Filipiny od Formozy, i zamknie olbrzymi szmat dwóch oceanów (o łącznym obszarze większym niż Związek Radziecki) i około 3.100 tys. km kw. powierzchni suchej. W skład Republiki wchodzi więc nieco mniej niż połowa lądowych obszarów tej nowej części świata.

W każdym razie ukazanie się podobnych rozważań właśnie w „Pedomanie“, dzienniku wybitnie prawicowym i tradycyjnie proamerykańskim, jest rzeczą dość zastanawiającą. Chyba, że autorom chodziło o stwierdzenie smętnego faktu, że cała reszta „indonezyjskiej części świata“ (poza skrawkiem Timoru) znajduje się pod kontrolą ludzi, mówiących po angielsku.

*
* *

Walka o przyłączenie do Republiki zachodniej (tj. holenderskiej) części Nowej Gwinei (po malajsku Irianu) odbywa się nie w płaszczyźnie teoretycznych rozważań, ale całkiem konkretnej i uporczywej akcji politycznej. Jest to zresztą ostatni już etap walk z holenderskim najeźdźcą, „*là ou l'Amérique a relevé la Hollande*“ — jak lapidarnie określili sytuację w Indonezji francuski publicysta Fougère — a zarazem pierwsza jaskółka, zwiastująca rozbieżność interesów terytorialnych pomiędzy Indonezją a państwami anglosaskimi.

Wskazuje na to fakt, że Australia, będąca w posiadaniu całej reszty Nowej Gwinei oraz archipelagu Bismarcka i części wysp Salomona, zdecydowanie oparła się przekazaniu nowogwinejskich posiadłości Holandii Indonezyjczykom, obawiając się widocznie, że proces poszerzania Indonezji ku wschodowi nie zatrzyma się na 141 południku, oddzielającym posiadłości holenderskie od australijskich, lecz będzie trwał dalej, aż do połączenia w jedną tubylczą federację wszystkich wysp leżących pomiędzy południowo-wschodnią Azją, Australią i morzem Koralowym, a wielką przestrzenią oceaniczną, oddzielającą wschodnie krańce Mikronezji od wysp Hawajskich.

Federacja tego rodzaju, jako twór już nie tylko wielonarodowy, ale nawet wieloszczepowy (przede wszystkim malajsko-melanezyjski) bliska byłaby konopecji dzisiejszego Hindustanu, gdzie element indoeuropejski Północy współżyje w ramach wspólnej państwowości z czarnymi ludami Dekanu (z tym oczywiście, że w Hindustanie nie ma takiej rozpiętości cywilizacyjnej pomiędzy obydwoma partnerami jak tu). W każdym razie tego rodzaju możliwość (w dzisiejszej konfiguracji mało realna) spędza już, zdaje się, sen z oczu niektórym politykom australijskim

i angielskim (tym ostatnim ze względu na Singapoore i Malakkę), a artykuły „Pedomana“, bynajmniej nie obliczone na tego rodzaju efekt, wywołały, jak widać ze stanowiska Australii, nieufną czujność państw anglosaskich.

W poprzednich rozważaniach nakreśliśmy bardzo ogólny obraz kraju i ludzi, bogactwa ziemi i tragicznego ubóstwa człowieka, wreszcie pewnej płynności terminów: Indonezyjczyk i Indonezja, oscylujących pomiędzy bardzo wąskim pojęciem Jawano-Malajów a fantastycznie szerokim — „indonezyjskiej części świata“. Z kolei musimy prześledzić bieg wypadków, które doprowadziły do ogłoszenia niepodległości i poprzez krwawe dzieje walk 1945—1949 ukształtowały dzisiejszą rzeczywistość kraju — bynajmniej nie pozbawioną jeszcze wielu cieniów. W tej wędrówce musimy uświadomić sobie fakt, że jesteśmy świadkami zdarzenia o niezwyklej wadze dziejowej, bo narodzin mocarstwa, które jutro może stać się doniosłym czynnikiem pokoju lub równie doniosłym czynnikiem zagrożenia. Co reprezentuje ono w tej chwili w sensie już nie potencjalnym, lecz realnym, i z czym wchodzi do historii?

*
* *

Indonezyjczycy w ogromnej większości są muzułmanami. I to w dużym stopniu przesądziło dzieje ich walki o wyzwolenie narodowe i społeczne w XX w., włączając tę walkę w ramy organizacji religijnych, czasem wręcz dewocyjnych. Takim był m. in. „*Sarekat Islam*“ (Związek Islamu), organizacja masowa o dość, na swoje czasy, radykalnym zabarwieniu.

Później zaczęły powstawać i organizacje czysto świeckie. W r. 1906 jawański lekarz Wahiddin Soediro Hoesido wyruszył na objazd kraju, nawołując ludność miast i miasteczek do fundowania stypendiów dla niezamożnej młodzieży. Stało się to początkiem potężnego ruchu buńczycielskiego, w którym wzięli udział przede wszystkim studenci Akademii Medycznej, a następnie i cała młodzież szkolna. W dwa lata później powstała, w oparciu o fundusze zebrane przez dr Hoesido masowa organizacja kulturalno-oświatowa i samopomocowa „*Boedi Oetomo*“ (Wzniósł cel), a w październiku tegoż 1908 r. zwołany został pierwszy kongres młodzieży jawańskiej. Hasła tego zjazdu: „praca od podstaw w granicach obowiązujących ustaw nad kulturalnym i gospodarczym odrodzeniem kraju“ — staje się odtąd naczelnym postulatem pokolenia, które miało przygotować grunt pod doniosłe wydarzenia lat dwudziestych.

W 1918 r. w ramach *Sarekat Islamu* ukonstytuowała się Indonezyjska Partia Socjal-Demokratyczna, a w dwa lata później z jej lewego skrzydła wyłoniła się Komunistyczna Partia Indonezji. Oba stronnictwa pozostały nadal wewnątrz *Sarekat Islamu*, który do r. 1921 ogarnął 2,5 miliona zorganizowanych członków. Dopiero w trzy lata później oderwał się od niego lewicowy *Sarekat Rajat* (dosłownie Związek Wielki — tu w znaczeniu: masowy), a w 1927 r. doszło do zbrojnego powstania, kierowanego przez tę organizację. Powstanie, krwawo stłumione przez

Holendrów, stało się pretekstem do delegalizacji Partii Komunistycznej i wyniszczenia całego jej aktywu.

W tym samym roku powstała Partia Narodowa Indonezji (PNI) — organizacja niepodległościowa, społecznie radykalna i areligijna. Duchowym wodzem jej stał się inż. Achmed Soekarno. Od początku swego istnienia Partia, ze względu na głoszone przez nią hasła zbrojnej walki o niepodległość, była ostro zwalczana przez władze holenderskie, a przywódcy jej (Soekarno, Hatta) większą część życia spędzali w więzieniach niż na wolności. Były to czasy gwałtownie narastającego kryzysu ekonomicznego i wzrastających w parze z nim nastrojów opozycyjnych wśród dość licznej miejscowej inteligencji i cieniutkiej warstwy malajskiej burżuazji. Dodajmy nawiasem, że cały niemal detaliczny handel i drobny przemysł znajdował się w rękach Chińczyków, którzy i dziś odgrywają w Republice doniosłą rolę, jako czynnik bardzo ruchliwy, a dysponujący znacznymi kapitałami, choć liczbowo niewielki (1,2 miliona). Do malajskiego ruchu niepodległościowego odnosili się oni zresztą raczej życzliwie, podobnie jak i miejscowa — całkowicie zaaklimatyzowana ludność holenderska (tzw. „*sinjo*“) — a w przeciwieństwie do elementów najezdniczo-urzędniczych („*totoków*“), które pobyt w kolonii uważały za coś w rodzaju kary.

Udział mas ludowych w ruchu niepodległościowym, reprezentowanym z jednej strony przez komunistów, z drugiej przez PNI kształtował się w zależności od stopnia uświadomienia politycznego ludności: a więc bardzo wydatnie na Jawie i Madoerze, w zewnętrznych zaś prowincjach raczej słabo. Na wyspach o większości muzułmańskiej wszechwładnie rządził *Sarekat Islam*, który po wyjściu z niego elementów radykalnych i areligijnych, przekształcił się w skrajnie prawicową partię Masjumi o bardzo silnym zabarwieniu religijnym.

Nalot na Pearl Harbour i początek wojny z Japonią zastały przywódców niepodległościowych jak zwykle w więzieniu. Uwolnieni przez Japończyków mogli stać się w ich rękach posłusznym narzędziem. Nie stali się. Soekarno i Hatta oficjalnie pertraktując z okupantami, po cichu, ale skutecznie, montowali przeciwko nim ruch oporu. W chwili załamania się Nipponu dysponowali oni już potężną armią partyzantów i z miejsca obsadzili wszystkie węzłowe punkty Jawy, Madoery i Sumatry. Holendrzy chwilowo nie byli groźni, ponieważ brak im było środków transportowych na przerzucenie wojsk. Natomiast na wyspy zaczęły ścigać oddziały angielskie, których oficjalną misją miało tu być jedynie dokonanie rozbrojenia japońskich garnizonów. Trafili na potężną armię neutralną, ale stojącą w pogotowiu bojowym. Holenderska ekipa urzędnicza, która przybyła wraz z wojskami angielskimi, została przez rząd Soekarno potraktowana jako misja dyplomatyczna. Dano jej do dyspozycji reprezentacyjne pomieszczenie w stolicy i parę samochodów z literkami „C.D.“ Kandydaci na wielkorządców przyjęli te oznaki kurtuazji niechętnie.

Anglicy, przerażeni obrotem sprawy, rozesłali do wszystkich japońskich garnizonów na wyspach rozkaz nieskładania broni na ręce powstańców, a nawet rozbrajania ich. Rzecz prosta, że nie odniosło to większego skutku. „Sami rozbrajajcie“ — odpowiedział im hardo japoński komendant Djokdjakarty. To jednak nie było takie łatwe. Tym bardziej

że rząd powstańczy zasłaniał się oświadczeniem królowej Wilhelminy, która, po zajęciu Holandii przez Niemców, a Indonezji przez Japończyków, oficjalnie przyrzekła temu krajowi niepodległość.

Mimo to walki brytyjskich wojsk z powstańcami trwały przez cały rok, przy czym Anglicy po zakończeniu swojej misji rozbrojeniowej pozostali w kraju „celem zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa“, w porozumieniu zresztą z rządem holenderskim, który miał własną „koncepcję indonezyjskiej niepodległości“. Pierwsza próba nawiązania rozmów pomiędzy rządami holenderskim i powstańczym wyszła z Kijowa (nota ministra spraw zagranicznych USSR Korniejczuka w styczniu 1946) po czym wystąpili z oficjalnym pośrednictwem: brytyjski ambasador w Związku Radzieckim sir Archibald Clark Kerr i lord Killearn (1946).

„Holenderska koncepcja niepodległości“ polegała na stworzeniu tzw. „Stanów Zjednoczonych Indonezji“, przy czym Republika (na czele której stanął, w drodze własnej nominacji na prezydenta, Soekarno) miała być jednym ze stanów. Resztę stanowić miały marionetkowe rządy poszczególnych prowincji i wysp, pozostające pod władzą większych i mniejszych książąt feudalnych, którzy w Holendrach widzieli jedyną obronę przed zagrażającą ich tronom Republiką. Rzecz prosta, że wszystko to nie miało nic wspólnego z federacją wolnych narodów, w której musiałaby być uwzględniona naturalna hierarchia wielkich i małych ludów, a 40 milionowemu narodowi jawańskiemu przypaść powinna rola kierownicza. Tymczasem koncepcja holenderska, spekulująca przede wszystkim na miejscowych książętach i sułtanach, jako bezpośrednich władcach bądź przywódcach arystokracji na pewnych, przypadkowo zespolonych terenach, była antynarodowa w samym założeniu i musiała natrafić na sprzeciw prawdziwych patriotów. Mimo to emisariusze Holandii nie marnowali czasu, montując wspólny front miejscowej arystokracji przeciwko Republice. Nie próżnowała zresztą, jak się później okazało, i druga strona. Tymczasem w każdym razie działania wojenne ustały i władze republikańskie mogły wreszcie przystąpić do przebudowy prowizorycznego ustroju na coś bardziej trwałego. Reformy zaczęły się od zmontowania parlamentu, który, wobec fizycznej niemożności rozpisania wyborów, został obsadzony według klucza partyjnego — w ten sposób, że oba jego skrzydła wzajemnie neutralizowały się. Najlicniejsza partia Masjumi otrzymała 60 mandatów, a PNI — 45, czyli łącznie dla prawicy przypadło 105 mandatów. Partie: komunistyczna, socjalistyczna i robotnicza otrzymały po 35 mandatów każda, co z kolei dawało 105 mandatów dla lewicy. Trzeba przy tym zaznaczyć, że partia robotnicza ściśle współpracowała z komunistyczną, a w partii socjalistycznej w tym czasie już zarysował się rozłam: lewica socjalistów, pod kierownictwem Sjarifoeddina żądała przystąpienia do ścisłego bloku z komunistami, prawica zaś, grupująca się wokół Sjahrira, zachowywała się niezdecydowanie, a wreszcie opowiedziała się przeciwko wszelkiej współpracy z innymi ugrupowaniami lewicy, coraz bardziej grawitując ku partiom prawego bloku — w szczególności ku Masjumi.

Wpływy komunistów w parlamencie wzrosły jeszcze, gdy dekretem prezydenta zostali dokooptowani do niego delegaci organizacji zawodowych i chłopskich oraz przedstawiciele poszczególnych wysp i mniejszości narodowych (Chińczycy, Arabowie i Holendrzy). Najsilniej-

sza organizacja zawodowa SOBSI, skupiająca, według niezycliwej dla niej prasy zachodnio-europejskiej, co najmniej 2,5 miliona członków, była od początku swego istnienia kierowana przez komunistów. Zresztą nastawienie jej do młodej Republiki, w pierwszym okresie jej istnienia, było zdecydowanie pozytywne. Sprzyjał temu wybitnie lewicowy kurs rządu Soekarno (w pierwszym gabinecie przewodniczył on osobiście) i powierzenie przez niego leaderowi komunistów Sarjano zaszczytnej funkcji przewodniczącego Komitetu Narodowego — instytucji zastępującej parlament w okresie przerw pomiędzy sesjami. Sprzyjał temu wreszcie charakter pierwszej konstytucji, wprowadzającej w życie szereg słusznych założeń: „*Ziemia, woda i bogactwa naturalne w nich zawarte podlegają kontroli państwowej i mają być użyte wyłącznie na dobro narodu*”; „*Wszystkie dziedziny posiadające znaczenie obronne dla państwa, bądź też związane z życiem znacznej części narodu, podlegają kontroli państwa*”; „*Gospodarka państwowa ma opierać się na spółdzielczości*” itp.

Następny gabinet Sjahrira, który w tym czasie jeszcze wyraźnie nie „poszedł na prawo”, kontynuował w zasadzie politykę prezydenta, co więcej, usunięci zostali z rządu politycy, którzy splamili się współpracą z Japończykami, a szereg ważnych ministerstw zostało obsadzonych przez ludzi lewicy, co wywołało nawet ostre sprzeciwy ze strony masjumistów i części zwolenników rządowej Partii Narodowej (choć komuniści tym razem do rządu nie weszli).

Porozumienie indonezyjsko-holenderskie zawarte zostało w Linggajati w listopadzie 1946 r., a podpisane w marcu 1947 r. mimo sprzeciwu masjumistów. Przyznawało ono Holendrom dość duże uprawnienia gospodarcze za cenę uznania niepodległości Republiki w granicach trzech wysp: Jawy, Madoery i Sumatry. W specyficznych warunkach, w jakich znalazła się Indonezja na przełomie 1946 i 1947 r., było ono wręcz nieuniknione, co w pełni uświadamiały sobie partie lewicowego bloku, opowiadając się jednogłośnie za ratyfikacją umowy. Stanowisko kompromisowe rządu, gwarantujące obcym kapitalistom czerpanie zysków z ich przedsiębiorstw na terenie Republiki, dobitnie sformułowała deklaracja SOBSI: „*Republika zmuszona jest zaakceptować zysk, ale nie zaakceptuje nigdy eksploatacji robotników*.”

W tym czasie wojska angielskie zostały wycofane, a na ich miejsce przybyły znaczne kontyngenty wojsk holenderskich, zaopatrzonych w najbardziej nowoczesny sprzęt, artylerię, czołgi i lotnictwo. Oficjalnym uzasadnieniem ich obecności na wyspach była znów „konieczność zapewnienia ładu i bezpieczeństwa”, tym razem do czasu ostatecznego ukonstytuowania Stanów Zjednoczonych Indonezji, mających pozostawać w unii personalnej z królestwem holenderskim. Ale wkrótce okazało się, że nie o samo tylko zachowanie ładu tu chodziło.

W czerwcu 1947 r. dowództwo holenderskich sił zbrojnych wystosowało do rządu Republiki szereg żądań w formie ultimatywnej, a 26 lipca — mimo że część tych żądań została przez Sjahrira przyjęta, a termin wyznaczony w ultimatum jeszcze nie upłynął — przystąpiło do akcji zbrojnej. W tym czasie rząd Sjahrira podał się do dymisji, a na czele nowego gabinetu stanął Sjarifoeddin. Był to w zasadzie gabinet koalicyjny z silną przewagą lewicy i z udziałem komunistów. Sjarifoeddin,

poza przewodnictwem w radzie ministrów, objął tekę ministra obrony, a wicepremierem został leader partii robotniczej — Satiajid. W krótkim okresie rządów tego najbardziej lewicowego gabinetu parlament uchwalił ustawę o planie 7-letnim i asygnował 20 milionów rupii tytułem subsydiów dla chłopów małoprolnych (na skutek wybuchu wojny suma ta została jednak przeadresowana na cele obrony).

Bardzo charakterystyczny dla tego okresu był memoriał złożony parlamentowi przez ówczesnego ministra Gospodarki, oficjalnego lidera partii narodowej, dr Adnana Gani, postulujący m. in.

1) Przedsiębiorstwa użyteczności publicznej oraz przedsiębiorstwa i plantacje, stanowiące własność państwa, automatycznie przechodzą w ręce Republiki.

2) Przedsiębiorstwa mające szczególne znaczenie dla ogółu społeczeństwa a stanowiące własność prywatną, zostają unarodowione, po uprzednim wykupieniu ich od właścicieli.

3) Własność japońska ulega konfiskacie tytułem odszkodowań wojennych.

4) Prywatne przedsiębiorstwa, należące do cudzoziemców, będą po zakończeniu pertraktacji pokojowych zwrócone właścicielom. „Jednakże — oświadczył Gani — rozmiar i tempo przekazywania tych obiektów będą uzależnione od rozmiaru i tempa ewakuacji holenderskich wojsk z terytorium indonezyjskiego.“

Plan rekonstrukcji gospodarki miał na celu, według słów Ganiego: „stworzenie optymalnych warunków, do obudzenia aktywności wytwórczej w myśl § 33 konstytucji“.

W tymże memoriale minister zaproponował parlamentowi uchwalenie 10-letniego planu przebudowy gospodarczej (parlament skrócił ten okres do 7 lat). Celem dziesięciolatki miało być:

A. Podniesienie stanu moralnego, intelektualnego i fizycznego ludności w drodze:

- 1) podniesienia minimum wynagrodzenia,
- 2) poprawienia warunków zdrowotnych i higieny,
- 3) likwidacji analfabetyzmu oraz poszerzenia i podniesienia poziomu oświaty,
- 4) organizowania chłopskich i robotniczych spółdzielni,
- 5) wprowadzenia w życie prawodawstwa socjalnego, mającego na celu skuteczną obronę praw chłopów i robotników,
- 6) rozwoju przemysłu — ale wyłącznie przetwórczego.

B. Podniesienie wydajności przedsiębiorstw w drodze:

- 1) podwyższenia ich zdolności nabywczej przez udzielanie kredytów państwowych i zakup produktów rolnych,
- 2) stworzenia podstawowych gałęzi przemysłu rolnego w sektorze pozioym (o lokalnym znaczeniu) przemysłu wiejskiego, zasilanych ze strony państwa niewielkimi pożyczkami,
- 3) stworzenia pionowych (o znaczeniu ogólnopaństwowym) gałęzi przemysłu, nastawionego na eksport, a opierającego się na znacznym kredycie państwowym,
- 4) poszerzenia państwowych przedsiębiorstw o zasięgu ogólnonarodowym,

- 5) uruchomienia stałej żeglugi przybrzeżnej, z tym, że żadne obce państwo nie może sobie rościć praw do wyłącznego monopolu na obsługiwanie portów indonezyjskich,
 - 6) przesiedlenia nadmiaru ludności z terenów przeludnionych do słabo zaludnionych,
 - 7) powołania obcych ekspertów do współpracy z rządem w dziedzinie oświaty, finansów, obrotu pieniężnego, bankowości, gospodarki, rolnictwa, przemysłu, transportu, pracy i opieki społecznej i wojska.
- C. Powiększenie międzynarodowej wymiany produktów eksportu na towary importowane dla użytku wewnętrznego. Żadne obce państwo nie może sobie rościć praw do wyłącznego monopolu w dziedzinie indonezyjskiego importu lub eksportu. Handel zagraniczny będzie popierany i kontrolowany przez państwo.

D. Nakreślenie planu gospodarczego w następujących sektorach:

- 1) państwowych monopolów na przedsiębiorstwa o znaczeniu ogólnonarodowym,
- 2) spółek z kapitałem państwowym i prywatnym (obcym i narodowym),
- 3) spółdzielni z udziałem kapitału państwowego i prywatnego,
- 4) lokalnych spółdzielni chłopskich, robotniczych i kupieckich,
- 5) instytucji prywatnych: narodowych i obcych,
- 6) pożyczek wewnętrznych,
- 7) pożyczek zagranicznych.

E. Podniesienie świadomości klasowej chłopów i robotników.

Jeżeli poświęciliśmy tak wiele miejsca na omówienie tego memoriału, to przede wszystkim dlatego, że stał się on górną granicą tych reform, które, w coraz to bardziej okrojonej formie, przeprowadzał rząd Republiki w ciągu ubiegłego siedmiolecia, stopniowo odstępując od nakreślonych w nim wytycznych.

Zresztą i sam plan nie wydaje się nam zbyt imponujący. Zastanawia nas fakt odżegnywania się rządu od wszelkich prób budowania przemysłu ciężkiego oraz pominięcie zupełnym milczeniem reformy rolnej. W tym ostatnim wypadku liderowi PNI chodziło z całą pewnością o nienarażenie się potężnym sprzymierzeńcom partii — wielkim feudałom spod znaku Masjumi.

*

*

Działania wojenne zaczęły się w dniu 26 lipca i były przez Holendrów prowadzone według niemieckiej recepty „wojny błyskawicznej“. Istotnie w ciągu kilku dni udało się im opanować prawie całą Jawę, a Sumatrę przeciąć na dwoje. Rząd indonezyjski musiał szukać schronienia na południu wyspy w Djokdjakarcie, która na z górą dwa lata stała się stolicą państwa. Jednak sukcesy holenderskie były tylko pozorne. Na tyłach ich wojsk, tuż za linią frontu powstała partyzantka, której nie dawało się zlikwidować najbardziej drakońskimi środkami. De facto w rękach zdobywców pozostawały tylko szosy i koleje. Według opinii holenderskich korespondentów wojennych „*teren nieprzyjacielski zaczynał się o sto kroków od drogi, po obu jej stronach*“. W tych warunkach dalsze kontynuowanie wojny nie wróżyło najeźdźcom trwałych sukcesów.

Zresztą sprawa najazdu nie przeszła bez echa. W obronie Indonezyjskiej Republiki wystąpiły kolejno: ZSRR, Indie i Australia. Sprawa znalazła się w Radzie Bezpieczeństwa, a następnie w rękach Komisji Dobrych Usług, której przewodniczył delegat amerykański. Nie ulega wątpliwości, że pomiędzy nim a przedstawicielami indonezyjskiej prawy doszło do jakichś wiążących dla obu stron zobowiązań, gdyż działania wojenne zostały nagle wstrzymane i w styczniu 1948 r., na pokładzie amerykańskiego krążownika, nastąpiło podpisanie nowego porozumienia, ustalającego linię demarkacyjną pomiędzy obszarami administrowanymi przez Republikę, a terenami okupowanymi. Była to tzw. „linia van Mooka“, łącząca końcowe punkty terenów zajętych przez wojska holenderskie, dzięki czemu w ręce Holendrów dostały się nawet terytoria, do których w trakcie walk faktycznie nie dotarli. Na mocy porozumienia wojska indonezyjskie z terenów tych wycofano, a nawet częściowo zdemobilizowano, co pozwoliło Holendrom na przeprowadzenie „plebiscytu“ na Madoerze oraz ogłoszenie „niepodległości“, tj. oderwania od Indonezji wschodniej Jawy.

Wkrótce po podpisaniu umowy, w marcu 1948 r., koalicyjny rząd Sjarifoeddina podał się do dymisji, a stanowisko prezesa Rady Ministrów otrzymał z ręki prezydenta jego oficjalny zastępca, Mahomed Hatta. „Prezydencki gabinet“ Hatty składał się niemal wyłącznie z przedstawicieli Masjumi i PNI i mimo uroczystych zapewnień, że będzie dalej prowadził politykę poprzedniego rządu, poszedł po linii raczej likwidowania niż kontynuowania jego poczynań. Znalazło to wyraz szczególnie w polityce wewnętrznej — w stosunku do lewicowych ugrupowań, skupiających się wkoło Sjarifoeddina i Partii Komunistycznej. Polityka ta była wynikiem poufnego porozumienia pomiędzy Hattą a rządem amerykańskim, który za cenę zlikwidowania Partii Komunistycznej przyrzekł Hatcie poparcie w walce z Holendrami.

Nie ulega wątpliwości, że Hatta stawiał na USA, szukając w nich za wszelką cenę osłony przeciw groźnie nacierającym na Republikę wojskom holenderskim. Według doniesień ówczesnej prasy angielskiej: „Hatta i jego przyjaciele, przedstawiciele indonezyjskiej burżuazji, dążą do podporządkowania Republiki interesom Departamentu Stanu... Przedstawiciel Republiki w USA oświadczyć miał, że rząd jego zamierza zawrzeć z jedną z amerykańskich firm porozumienie, na mocy którego firma ta weźmie na siebie organizację całego indonezyjskiego handlu zagranicznego“... Według dalszych relacji tego dziennika ogólne zamówienie indonezyjskie u firm amerykańskich przekroczyły już w r. 1949 kwotę 500 milionów dolarów. W zamian za przyrzeczoną pożyczkę Indonezja wyrazić miała zgodę na eksploatację krajowych surowców, ważnych dla przemysłu wojennego. Według innych wiadomości Stany Zjednoczone zainwestowały w tym samym czasie olbrzymie sumy (ponad miliard dolarów) w indonezyjskie plantacje kauczuku i w kopalnie ropy.

Wprawdzie 5 lat, jakie nas dzielią od przełomowych w dziejach Republiki rządów gabinetu Hatty, nie potwierdziły przewidywań pesymistów, którzy wróżyli Indonezji karierę nowych Filipin (wskazuje na to choćby fakt nieprzystąpienia Republiki do SEATO, to jest paktu połud-

niowo-wschodniej Azji), tym niemniej daleko idąca współpraca Hatty z Departamentem Stanu nie ulega dziś już żadnej wątpliwości.

Co więcej, w orbitę polityki amerykańskiej udało się wciągnąć i Sjah-rira, który po wizycie w USA opowiedział się zdecydowanie przeciwko wszelkiej łączności z blokiem lewicowym i poszedł, wraz z grupującymi się wkoło niego prawicowymi socjalistami na współpracę z rządem Hatty. W odpowiedzi na to, na początku września 1948 r. nastąpiło połączenie lewicy socjalistycznej Sjarifoeddina i Partii Robotniczej z komunistami. Do zjednoczonej Partii przystąpił również związek młodzieży socjalistycznej Pasindo, a 16 września tegoż roku połączone partie proklamowały w Madiumie rząd ludowo-rewolucyjny z Sjarifoeddinem jako premierem.

Wybuchła krótkotrwała wojna domowa, która zakończyła się klęską komunardów. Większość przywódców komunistycznych poległa, część została aresztowana, a następnie stracona przez wojska holenderskie, które w końcu r. 1948 ponownie przeszły do ofensywy i w pierwszym dniu walki zdobyły — przy pomocy desantu spadochroniarzy — Djokdjakartę, czyniąc straszliwą rzeź wśród przychwyconych w miejscowych więzieniach lewicowców. A musiało ich tam być sporo, skoro, według świadectwa chińskiej gazety „Sinpo“, w samej Djokdjakarcie aresztowały władze w przeddzień powstania 25 tys. osób.

Ten ostatni najazd Holendrów miał miejsce w grudniu 1948 r., po szeregu krwawych „incydentów granicznych“, których w jednym tylko tygodniu (pomiędzy 24 a 30 listopada) naliczono 238. Zajęcie przez holenderskich spadochroniarzy prowizorycznej stolicy już w pierwszym dniu walki i internowanie przez nich całego rządu postawiły pod znakiem zapytania dalszą możliwość regularnej walki z nimi.

Skarga do Rady Bezpieczeństwa na działalność holenderskich agresorów, poparta z rozmaitych pobudek przez Związek Radziecki i USA, spowodowała zawarcie w Djokdjakarcie nowego porozumienia, przy czym rząd Hatty wyraził zgodę na podyktowane przez Holandię warunki, na mocy których Republika stała się jednym z 16 Stanów Zjednoczonych Indonezji, które z kolei weszły w skład Unii Holendersko-Indonezyjskiej. 27 grudnia 1949 r. królowa Julianna podpisała ten układ, uznając *de jure* powstanie nowego państwa. Republika, zdawałoby się, poniosła druzgoczącą klęskę, zmajoryzowana przez piętnaście „*negara*“ — marionetkowych państweczek, powołanych do życia jedynie po to, by służyły holenderskiej racji stanu.

Holendrzy budowali je z nie lada wysiłkiem przez 4 lata. Indonezyjczykom wystarczyło kilka miesięcy, by całe to misterne rusztowanie obalić. W ciągu lipca 1950 r. piętnaście „parlamentów“ z holenderskiej nominacji „zgłosiło swój akces do Republiki“, która w przeciągu niespełna miesiąca połknęła wszystkie piętnaście „*negara*“, stając się od razu z małego państweczka — mocarstwem. Dodajmy, że w cztery lata później — 10 sierpnia 1954 r. — Indonezja oficjalnie wycofała się z Unii z Holandią, która tym razem spokojnie przyjęła fakt rozpadnięcia się swego imperium kolonialnego.

Na mocy nowego redakcji tymczasowej konstytucji z r. 1945, uchwalonej przez parlament w sierpniu 1950 r., Indonezja stała się państwem ściśle centralistycznym. Dodajmy dla wyjaśnienia sytuacji, że w tym

osobliwym państwie wszystko jest od dziesięciu lat tymczasowe: poczynając od konstytucji, prezydenta i parlamentu, a kończąc na woźnych. Każdy nowy rząd dochodząc do władzy przyrzeka przeprowadzić wybory, które nadałyby instytucjom państwowym cechy legalności. Ale jest to zadanie nad wyraz trudne ze względu na obszar państwa i panującą w nim wciąż jeszcze anarchię, a zarazem niebezpieczne dla partii rządzących, które nieoczekiwanie dla siebie mogą wylecieć z siodeł. Z rozmaitych powodów wszystkie partie reprezentowane w parlamencie — i to zarówno duże, o których pisaliśmy, jak i małe grupki, spekulujące na nieistniejącym zapleczu — starają się odwlec moment generalnej rozgrywki, która może tym pierwszym przynieść przykre niespodzianki, a drugich z całą pewnością utraci. Tymczasem parlament degeneruje się coraz bardziej, stając się domeną jakichś dożywotnich polityków, decydujących bez aprobaty narodu o jego najbardziej zasadniczych sprawach. Są tu reprezentowane wszystkie modne na świecie hasła — od skrajnie prawicowych do najbardziej postępowych, ale ludzie, którzy je reprezentują, nie są wybranymi narodu indonezyjskiego, lecz nominatami.

Ostatnio prasa indonezyjska sygnalizowała, że wybory do konstytuancy odbędą się już niedługo w bieżącym roku 1955, przy czym jeden deputowany ma reprezentować 150 tys. obywateli (do zwykłego parlamentu 300 tys. obywateli). Prezydent i wiceprezydent mają odąd być również wybierani przez cały naród, w drodze powszechnego, bezpośredniego głosowania. (Soekarno i Hatta wybierali parlament przez nich samych poprzednio powołany do życia, bez wyborów, tak że udział narodu w tym wzajemnym wybieraniu i nominowaniu sprowadzony został do zera).

Rząd Indonezji składa się z premiera i 10 ministrów: spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych, obrony, oświaty, sprawiedliwości, skarbu, informacji, rolnictwa, handlu i gospodarki oraz dróg i komunikacji. Sędziowie, na mocy istniejącej konstytucji, pełnią swe funkcje nie z wyboru, lecz z nominacji. Naczelną władzę sądowniczą w państwie sprawuje Sąd Najwyższy, przy którym urzęduje Generalny Prokurator.

Terytorium Republiki podzielone jest na 10 prowincji (Jawa Zachodnia, Jawa Środkowa, Jawa Wschodnia, Sumatra Północna, Sumatra Środkowa, Sumatra Południowa, Borneo, Celebes, Wyspy Moluckie i wyspy Małe Sundajskie). Na czele każdej prowincji stoi gubernator i Rada Prowincjonalna (dotychczas z nominacji).

Barwy państwowe — czerwona i biała (a więc w kolejności odwrotnej niż na fladze polskiej), hymnem narodowym jest „*Indonesia Raya*“ (Wielka Indonezja), jednostką monetarną — rupia indonezyjska, która od roku 1945 już dwukrotnie (w 1950 i w 1952) ulegała dewaluacji.

Sukcesy Republiki w jej polityce zagranicznej, będące wynikiem zręcznego lawirowania na pograniczu interesów poszczególnych państw kolonialnych, nie szły w parze z powodzeniami na froncie wewnętrznym. Wprost odwrotnie. Żadne inne państwo azjatyckie, które powstało po wojnie, nie przeżywa dziś już podobnego chaosu. Stosunki na terenach zewnętrznych przypominają tu żywo Chiny lat dwudziestych, kiedy poszczególne części kraju znajdowały się w rękach rozmaitych „generałów“, nazywanych przez lud „panami wojny“, a grabiących go

według swego widzimisie. Dodajmy, że obie partie rządzące krajem w okresie pięciolecia 1948 — 1953, tj. Masjumi i PNI, wzajemnie zarzucają sobie tolerowanie bandytyzmu. I, co się rzadko zdarza, obie mają słuszność.

Domeną bandytów szczególnie miłych sercu Masjumi jest zachodnia Jawa (kraj Sundajczyków), gdzie rządzą zbrojne oddziały fanatyków muzułmańskich spod znaku nielegalnego związku *Dar-ul Islam*, cieszącego się wydatnym poparciem miejscowych feudałów. Jedną z grup tej półrozbójniczej organizacji był słynny „niebiański legion“, kierowany przez niebezpiecznego awanturnika i renegata Westerlinga. Stosunkowo nieliczne, ale świetnie uzbrojone oddziały „dar-ul islamistów“ sprawują również faktyczną władzę na niektórych terenach Sumatry i Borneo, lekceważąc zarządzenia centralnych władz lub wręcz — jak na Borneo — występując przeciwko nim z bronią w rękę. Gwarancją bezkarności było dla nich dotychczas poparcie parlamentarnej frakcji Masjumi i osobiste kontakty przywódców ruchu z ministrami, wchodzącymi w skład gabinetu z ramienia tej partii.

„W tym obozie znajdują się elementy kompradorskie i obszarnicze“ — pisze radzieckie czasopismo „Nowe Czasy“, szkicując pobieżny obraz Republiki w r. 1953 — „Występują one przeciwko reformom agrarnym za „współpracą“ z zachodnim kapitałem monopolistycznym, przeciwko nawiązaniu stosunków gospodarczych z krajami obozu demokratycznego. Siły te są ściśle powiązane z zagranicznymi kołami imperialistycznymi i stanowią ich oparcie społeczne wewnątrz kraju... Dążą (one) do zlikwidowania ustroju parlamentarnego i do ustanowienia dyktatury wojskowej, by zdławić w kraju ruch demokratyczny i antyimperialistyczny. Do tego celu zmierzał pucz dokonany 17 października 1952 r. w Djakarcie, a zorganizowany przy aktywnym udziale prawicowych socjalistów. Zakończył się on fiaskiem, bo masy ludowe nie tylko nie poparły zamachowców, lecz wystąpiły przeciwko nim...“.

„Nie mając oparcia w narodzie, siły reakcyjne stosują okrutny terror wobec postępowych organizacji i poszczególnych działaczy. A funkcje te wykonują bandy *Dar-ul Islamu*, związane z partią Masjumi. Bandy te, zaopatrzone w broń obcego pochodzenia i dowodzone w szeregu wypadków przez oficerów holenderskich, dokonują aktów terrorystycznych przeciwko działaczom ruchu robotniczego i chłopskiego, przeciwko postępowej inteligencji. W ciągu ostatnich miesięcy w samej tylko prowincji Jawa Zachodnia zginęło z rąk bandytów 318 kierowników terenowych organizacji postępowych. Według oficjalnych danych w ubiegłym roku (1952) w tej samej prowincji bandyci zamordowali 2 096 spokojnych obywateli, spalili 9 254 domy mieszkalne i ograbili ponad 23 tys. rodzin“ („Nowe Czasy“ 32/1953).

PNI, skupiająca element laicki, inteligencko-drobnomieszczański i antyfeudalny — ale bynajmniej nie lewicowy — jest przysięgłym wrogiem *dar-ul islamistów*, którzy odpłacają Partii Narodowej również szczerą nienawiścią. Gdyby nie potężna protekcja Masjumistów, ruch *Dar-ul Islamu* już dawno byłby przez narodowców zgnieciony. Dotychczas jednak wszystko kończyło się na wzajemnych pogroźkach, z tym, że *dar-ul islamiści*, ośmieleni bezkarnością wciąż poszerzali swoją strefę wpływów,

stając się nieustannie narastającym niebezpieczeństwem dla całości Republiki.

O ile odpowiedzialność za anarchię na zachodzie spada wyłącznie na masjumistów, o tyle na wschodzie archipelagu sytuacja jest zupełnie inna: panoszy się tu soldateska spod znaku PNI, a raczej samego prezydenta Soekarno. Rządzą tu na własną rękę jego liczni dawni podkomendni, samozwańcy „pułkownicy” i „generałowie”, ludzie nowi, na ogół raczej bezideowi, lecz ambitni. Poza tym niczym absolutnie nie związani z dawnymi feudałami, w oczach których uchodzą za plebejuszów, tak samo jak i ich wódz Soekarno, który jest synem jawańskiego nauczyciela i balijskiej chłopki.

Rządy „grupy pułkownikowskiej” na terenach wschodnich znakomicie ułatwia fakt istnienia właśnie tam szczególnie barwnej mozaiki językowej i wyznaniowej (o czym już powyżej pisaliśmy), przy czym fanatyzm wyznawców Islamu jest na tych terenach skutecznie neutralizowany przez znaczne grupy ludności bramańskiej, katolickiej, protestanckiej i pogańskiej. Nie bez znaczenia jest również fakt, że wszędziebnych na zachodzie Malajczyków (w sensie ścisłym tego wyrazu) zastępują tu znacznie mniej przywiązani do Islamu Bugisowie oraz Jawańczycy (ci ostatni z reguły na kluczowych stanowiskach).

„Grupa pułkownikowska” jest źródłem siły, a zarazem słabości „dziadka” Soekarno. Siły — bo składa się z jego fanatycznych zwolenników — słabości, bo działalność ich podrywa autorytet Republiki u swoich i obcych, przekształcając cały wschód olbrzymiego archipelagu w jakieś „dzikie pola”, gdzie wyżywają się rozmaite „silne indywidualności” przede wszystkim kosztem miejscowej ludności, a zarządzenia rządu centralnego są honorowane o tyle, o ile odpowiadają interesom miejscowych kacyków.

„Mąż zaufania” masjumistów, sułtan Djokdjakarty, piastujący stanowisko ministra Obrony w paru kolejnych gabinetach, stale był dopinany przez swą partię, która czuła się zagrożona przez tę „prywatną armię Soekarno”, będącą mimo wszystko dość poważną przeciwwagą dar-ul islamistów. Zgodnie z tymi dyrektywami zamierzał on dokonać częściowej demobilizacji i montowania nowej armii, mającej być — według jego oświadczeń — „organizacją ściśle kadrową, której trzon stanowiliby dawni oficerowie zawodowi armii holenderskiej i brytyjskiej, choćby nawet w okresie walk o niepodległość walczyli po przeciwnych stronach”. A to znowu było nie do przyjęcia ani przez Soekarno, ani przez ludzi z aktywu PNI.

Słowem narastająca nienawiść pomiędzy obozem inteligenckim Soekarno a jego przeciwnikami spod znaku muzułmańskiej reakcji znajdowała wyraz w montowaniu przez obie strony coraz to nowych formacji zbrojnych, choćby kosztem coraz większego popuszczania cugli swoim zwolennikom. Zupełna bezideowość tej walki, sprowadzającej się do wzajemnego wydzierania władzy dla swoich ludzi, fatalnie zaciążyła na obu głównych partiach prawicowych, które wtrącały kraj w stan permanentnej anarchii, tak kompletnej, że nawet życie ludzkie, poza kilkoma większymi centrami „posiadłości zewnętrznych” i części Jawy, zostało uzależnione od kaprysu pierwszego lepszego kaprała czy wręcz herszta bandy.

Walną rozgrywkę pomiędzy zwolennikami obu obozów przyspieszyły wypadki z dnia 17 października 1952 r., kiedy pod naciskiem „pułkowników“ znenawidzony sułtan Djokdjakarty musiał wreszcie zrezygnować z teki ministra Obrony, a w ślad za nim usunęli się dwaj inni najbardziej niebezpieczni przeciwnicy „rozbudowanej armii Soekarno“: sekretarz generalny Ministerstwa Obrony Ali Buiardjo i major Simatupang — obaj, rzecz prosta, masjumiści. Jednocześnie w terenie „pułkownicy“ dokonali szeregu aresztowań wśród wyższych oficerów — zwolenników b. ministra Obrony, obsadzając ich stanowiska swymi ludźmi. Rzecz charakterystyczna, że podczas tej burzy w szklance wody socjaliści prawnicowi, jak słusznie piszą „Nowe Czasy“, opowiedzieli się po stronie masjumistów, gdy partia Soekarno zaczęła, poczynając od tego momentu, przechylać się ku lewicy, szukając tam sprzymierzeńców przeciw zarysowującemu się blokowi masjumiści — Sjahrir. A pośrodku obu ugrupowań uplasował się Mahomed Haita, którego zbliżenie z Sjahrirem datuje się od początku flirtu indonezyjsko - amerykańskiego.

Niezwykle ciekawą rzeczą byłoby ustalenie istnienia łączności pomiędzy poszczególnymi ośrodkami anarchii muzułmańskiej i wojskowej a ruchami odśrodkowymi w poszczególnych prowincjach. Fakt istnienia tych ruchów, na które niedawno tak nieudolnie stawiali Holendrzy, nie ulega dziś żadnej wątpliwości. Byłoby nawet rzeczą bardzo dziwną, gdyby podobnych ruchów nie było, zważywszy to, co pisaliśmy na początku, że nawet malajska część Indonezji jest krajem wielu narodów, pozostających pomiędzy sobą w pokrewieństwie językowym tego samego rzędu, co Polacy, Czesi i Serbowie (ale bynajmniej nie bliższym), a rząd scentralizowanej od roku 1950 Republiki tych różnic zupełnie nie chce spostrzegać. Nie doceniali ich na szczęście i Holendrzy, opierając swoje „*negara*“ przede wszystkim na miejscowych dynastiach, a więc na pierwiastkach powiązanych najwyżej z taką czy inną tradycją państwowości, a nie odrębności narodowej. Zresztą w obliczu wspólnego wroga momenty wspólnoty musiały wziąć górę. Ale dziś — gdy wielka próba już minęła — nieuwzględnianie istniejących różnic jest karygodnym błędem, który domaga się naprawienia w drodze stworzenia jakiejś rozumnie pomyślanej federacji narodów indonezyjskich, w postaci podobnej jak ta, którą swego czasu proponowali komuniści indyjscy dla Hindustanu (por. mój artykuł w „Dziś i Jutro“ Nr 8/1954). Podobne tezy zostały zresztą wysunięte już i przez komunistów indonezyjskich w ich „Programie ratowania Indonezji“ z dnia 31 marca 1951 r.

Bardzo specyficzne formy ruchawki religijno-reakcyjnej przybrał wspomniany już przez nas ruch separatystyczny w kraju Sundajczyków oraz podobne ruchy na pewnych obszarach Sumatry i Borneo. Gdzie indziej, jak np. na północy Celebesu — w kraju chrześcijańskich Minahassanów — pierwiastek odrębności religijnej tego ludu od Malajów i Jawańczyków jeszcze potęguje jego niechęć do rządów centralnych. Sekunduje mu na południu wyspy ruch odśrodkowy bugijsko-makassar-ski, będący wyrazem mocno ukształtowanej indywidualności kulturalnej tych ambitnych ludów żeglarskich. Na Ceramie, który wraz z innymi „*negara*“ zgłosił swój akces do Republiki, separatysty ponownie wzięli górę i uroczyście ogłosili powtórne oderwanie Ceramu od Republiki. Zresztą alfurska ludność tego kraju, z którą ongiś władze ho-

lenderskie miały wiele kłopotów ze względu na jej predylekcję do zakładania tajnych związków, ma, pod względem rasowym, językowym i wyznaniowym zaprawdę niewiele wspólnego z Malajami. Z kolei sąsiadująca z Ceramem od południo-zachodu Amboina stanowi najbardziej nieprawdopodobny konglomerat ras i ludów, wyznających przeważnie protestantyzm. Stąd właśnie wojska holenderskie w okresie walk 1947 — 1949 czerpały najliczniejsze kontyngenty ochotników, którzy dziś — częściowo zdemobilizowani, częściowo zaciągnięci do służby w oddziałach miejscowych samozwańczych „pułkowników” — stanowią jeden z najbardziej istotnych elementów panującej na wschodzie państwa anarchii.

„Na odleglejszych wyspach (archipelagu) mówi się coraz więcej o jawańskim kolonializmie” — pisze ze złe ukrywaną satysfakcją „Times” z 21.I.1954 r., a specjalny wysłannik „Neue Züricher Zeitung”, referując swoje wrażenia z Sumatry, przytacza słowa jakiegoś bliżej nieokreślonego „wykształconego mieszkańca tej wyspy, który walczył przeciwko Holendrom w latach 1945 — 49” i miał powiedzieć do autora, że „zamieniliśmy holenderski kolonializm na jawański imperializm”. Ta niechęć mieszkańców Sumatry do Jawańczyków — jako mieszkańców wyspy w ogóle, a Jawańców jako narodu panującego w szczególności — ma, zdaniem autora reportażu, m. in. podłoże gospodarcze, bowiem w świetle oświadczenia jego sumatrzańskich informatorów „Sumatra już dzisiaj daje dwie trzecie eksportu krajowego, tymczasem dwie trzecie importu dostaje się na Jawę” „Neue Züricher Zeitung” z 11.X.53 r. Dodajmy od siebie, że dane co do eksportu są tu niezgodne z prawdą, ale być może istotnie są kolportowane przez niektórych „wykształconych mieszkańców Sumatry” na użytek wewnętrzny i zewnętrzny.

Nie ulega zresztą wątpliwości, że „Jawa ma druzgoczącą przewagę nad całą resztą archipelagu. Żołnierze, urzędnicy i nauczyciele z Jawy pojawiają się wszędzie, zwykle na kierowniczych stanowiskach. Na archipelagu, który geograficznie i etnicznie stanowi klasyczny grunt pod państwo związkowe, panuje centralistyczny system rządów. Wszystkie problemy zaczynają się na Jawie i kończą się na niej” (tamże). Ale z drugiej strony — czego autor nie uwzględnił w stopniu dostatecznym — ta Jawa łącznie z Madoerą ma dziś (1955 r.) — o czym już pisaliśmy gdzie indziej — na swych 132 tys. km kw. ponad 50 milionów ludzi, gdy cała olbrzymia reszta archipelagu — na ok. 1 400 tys. km kw. wciąż jeszcze nie osiąga cyfry o połowę mniejszej.

Tak czy inaczej głosy malkontentów, przytaczane przez „Times” i „Neue Züricher Zeitung”, nie są tylko śpiewem unisono, miłym dla ucha europejskiej prasy, wciąż jeszcze rozszalonej na Jawańczyków za niepodległość wysp. Nastroje takie na Sumatrze — i nie tylko na Sumatrze — niewątpliwie istnieją, ale rozładowanie ich, o ile nastąpi, pójdzie nie po linii rozbięcia Republiki, ale raczej wzmocnienia jej, w drodze rozumnego uwzględnienia istniejących różnic pomiędzy narodami archipelagu.

Swoją drogą separatyzm sumatrzańskich Malaiów może wydawać się dziwny, choćby dlatego, że Jawańczycy narzucili całemu państwu właśnie ich mowę — i to nawet kosztem swych własnych języków. Ten niewielki naród (łącznie w Indonezji i w Federacji ogólna ilość Malaj-

czyków nie przekracza 8 milionów) zrobił w pewnym sensie niesłychaną karierę — rozrósł się od razu dziesięciokrotnie — przynajmniej na papierze. Właściwie dzieje nie znały jeszcze podobnych przykładów, by naród panujący, liczny i stojący na bardzo wysokim stopniu kultury (Jawanie) rezygnował z własnej mowy i wprowadzał gwałtem na całym podległym sobie terenie język małego i w gruncie rzeczy mniej kulturalnego narodu (Malajczycy). Porównanie z Macedończykami i ich rolą w propagowaniu greki nie wytrzymuje tu żadnej krytyki, bo jeżeli któryś z tych narodów można porównać z Hellenami, to raczej Jawańczyków. Urzędowym wytłumaczeniem tej dziwnej polityki językowej jawańskich mężów stanu jest argument, że język malajski jest jakoby najczystsza i najmniej skażoną naleciałościami mową indonezyjską, znaną poza tym i używaną przez wiele innych ludów Republiki jako pewnego rodzaju *Lingua Franca*, podczas gdy język jawański, pozostający pod znacznym wpływem sanskrytu, byłby na tym terenie czymś sztucznie narzuconym. Zdaje się jednak, że idąc na tak wielką ofiarę, jak wyrzeczenie się własnej mowy, Jawańczycy mieli na myśli to, „o czym się głośno nie mówi“ — stworzenie pomostu do połączenia z Republiką Federacji Malajskiej i Singapoore.

Dodajmy nawiasem, że malajski — stając się językiem urzędowym połączonego państwa i przybierając nazwę „języka indonezyjskiego“, uległ zarazem bardzo dużym zmianom leksykalnym, kosztem zapożyczeń z innych języków grupy malajskiej. Przekonałem się o tym, tłumacząc współczesne teksty indonezyjskie przy pomocy świeżo wydanego (ale opracowanego przed wojną) słownika malajsko-niemieckiego (*Malayisch-Deutsches und Deutsch-Malayisches Wörterbuch* von Dr. Gerhard Kahlo. Akademie Verlag. Berlin 1950), który do tego tłumaczenia okazał się bardzo mało przydatny.

*

*

*

Inicjatywa rządowa w dziedzinie organizowania gospodarki indonezyjskiej — mocno zdewastowanej na skutek długotrwałej wojny i trzech kolejnych okupacji (japońskiej, angielskiej i holenderskiej) — poszła w zasadzie po linii odbudowy stanu poprzedniego. Plantacje i zakłady przemysłowe zostały zwrócone dawnym właścicielom, przeważnie obcym spółkom akcyjnym. Tyle, że wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy i wysokość płac została ustawowo uregulowana, a właściciele przedsiębiorstw zmuszono do zawierania z pracownikami umów zbiorowych. Jednak pierwotna, stosunkowo wysoka skala zarobków uległa na skutek dwukrotnej dewaluacji znacznemu obniżeniu, a zmniejszenie zapotrzebowania rynku światowego na wiele miejscowych produktów, spowodowało zahamowanie wytwórczości w wielu gałęziach gospodarki obliczonej na eksport. M. in. produkcja herbaty spadła z 83,8 tys. ton (w 1939 r.) na 35,2 tys. ton (w r. 1950). Produkcja oleju kokosowego z 244 tys. ton (1939 r.) na 97 tys. ton (w r. 1950), kopry z 839 tys. ton (1939) na 426,2 (1949), mięszu kokosowego z 54 tys. ton (1939) na 29,3 (1949), czarnego pieprzu — z przeciętnej produkcji przedwojennej (30 tys. ton) na 7 tys. ton (w 1950 r.). Szczególnie fatalnie odbiło się na gospodarce plantacyjnej katastrofalne zmniejszenie zapotrzebowania

rynku na cukier trzcinowy. Gdy przed wojną z terenów dzisiejszej Indonezji wywożono rocznie ponad milion ton cukru, zapotrzebowanie na ten produkt obniżyło się w r. 1949 na 42,6 tys. ton, a w następnym roku zupełnie ustało (sprzedano za granicę zaledwie półtora tys. ton). W związku z tym gwałtownie skurczył się stan zatrudnienia robotników pracujących w cukrowniach. W jednej tylko prowincji Jawa Środkowa ze 150 tys. osób pracujących w cukrowniach uległo redukcji 125 tys., czyli $\frac{5}{6}$ stanu zatrudnienia. Ogólna ilość całkowicie lub częściowo bezrobotnych robotników — przeważnie rolnych — wyniosła w r. 1952, według oficjalnych danych departamentu zatrudnienia Ministerstwa Pracy R. I., fantastyczną cyfrę... 15 milionów (chyba łącznie z rodzinami).

Z produktów roślinnych wzrosło jedynie gwałtownie zapotrzebowanie na kauczuk, przy czym ma ono tendencję do dalszego wzrostu, zaopatrując Republikę w 51% dewiz. Natomiast produkcja węgla spadła z 2 milionów ton w r. 1940 na 0,8 miliona w r. 1950.

Mimo to bilans handlowy Republiki był jeszcze w r. 1950 dodatni, co świadczyło jednak raczej o słabym wciąż jeszcze zapotrzebowaniu rynku wewnętrznego. Eksport w tym roku wyniósł 2 741 mil., import — 1 526 mil. indonezyjskich rupii. Zmniejszył się, w porównaniu z r. 1938, wywóz ropy naftowej, oleju kokosowego, kopry, herbaty, kawy, pieprzu. Wzrósł wywóz kauczuku (647 tys. ton w porównaniu z 329 tys. w r. 1938), cyny i boksytów (w r. 1951 wydobyto 642 tys. ton wobec 275 tys. w r. 1940). Import, jak zawsze, składał się z produktów żywnościowych (przede wszystkim ryżu i mąki pszennej), wyrobów tekstylnych, maszyn, nawozów sztucznych i produktów ropy naftowej, której tak wybitnym producentem jest skądinąd sama Indonezja.

Krajowa produkcja produktów żywnościowych (ryż — 6,5 mil. ton, kukurydza — 1,8 mil. ton i maniok 6,5 mil. ton) nie wystarcza nadal na zaspokojenie rynku wewnętrznego. Toteż ilość importowanego ryżu wzrasta z roku na rok. W r. 1950 sprowadzono 331,7 tys. ton, w następnym roku już 408,3 tys. ton, a w 1952 aż 675 tys. ton.

Poczynając od r. 1951 bilans handlowy Republiki zaczyna wykazywać saldo ujemne, wynoszące już w pierwszym roku załamania się — 1 636 mil. rupii i wzrastające nieustannie — aż do r. 1954, kiedy zaczęła zarysowywać się pewna poprawa w związku z przyjściem do władzy gabinetu Ali Sastroamijojo.

Wyrazem niezadowolenia mas ludowych są powtarzające się co pewien czas fale strajków, które w sierpniu i wrześniu 1950 r. ogarnęły 800 tys. robotników plantacyjnych, żądających — w związku z pierwszą dewaluacją — podniesienia płac z półtorej na trzy rupie. W latach 1951 i 1952 wielkie strajki, kierowane przez SOBSI, wybuchały parokrotnie, a we wrześniu 1953 ogarnęły znów 750 tys. robotników plantacyjnych. Jednocześnie akcja przesiedlania nadmiaru ludności chłopskiej z terenów „wewnętrznych“ do „zewnętrznych“ szła coraz oporniej, z braku kredytów, które by pozwoliły na zagospodarowanie się przesiedleńców na nowych ziemiach.

Ciekawe materiały o życiu chłopów (autochtonów i przesiedleńców z Jawy) przynoszą korespondencje z terenu poszczególnych „posiadłości

zewewnętrznych“, zamieszczone w czasopiśmie „Suara Tani“ (Głos Chłopska) organie „*Barisan Tani Indonesia*“ (Zrzeszenia Chłopów Indonezji), którego poszczególne numery za lata 1950 — 1951 zostały dość szczegółowo streszczone przez J. A. Sotnikowa (patrz *Kratkije Soobszczenija Instituta Wostokowiedienija*“ VIII). W warunkach prymitywnej gospodarki rolnej i niedoskonałych urządzeń irygacyjnych, rodzina chłopska (złożona z pięciu osób) w Lampungu (południowa Sumatra) a więc na terenach wybitnie ryżodajnych, nie jest w stanie — w świetle tych korespondencji — wyprodukować więcej niż dwie tony *padi* (ryż z pierwszego zbioru) i kilka centnarów *polowidio* (ryż z drugiego zbioru) ogólnej wartości 1 200 rupii. W tym samym czasie utrzymanie rodziny, złożonej z pięciu osób, w ciągu roku wynosi:

720 kg łuszczonego ryżu	720 rp.
50 metrów tkaniny na sarongi	300 rp.
5 butli oleju kokosowego	150 rp.
12 kg soli	10 rp.
20 litrów nafty	20 rp.
5 kg cukru	10 rp.
Różne wydatki gospod.	50 rp.
Leczenie i kształcenie dzieci	40 rp.
razem	1 300 rp.

Widzimy, że autor nie uwzględnił tu podatków i rozmaitych świadczeń, które, jak wynika z innej korespondencji, są bardzo uciążliwe. Poza tym przy obliczaniu dochodów chłopu założył, że ten sprzedaje swoje *padi* (ryż niełuskany) po 45 centów za kg, gdy w rzeczywistości cena jego w tym okresie (wg tej samej korespondencji) spada do 30 centów (gdy na przednówku dochodzi do 1,5 rupii za kg). Nie uwzględnił autor również bardzo doniosłego czynnika, o którym sam gdzieś indziej pisze, tj. zadłużenia chłopów, które w konsekwencji doprowadza ich nieraz do wyprzedawania zboża już na pniu oraz tego, że na własnej ziemi pracuje zaledwie część gospodarzy. Inni ją dzierżawią, a więc muszą poza tym wszystkim płacić jeszcze tenutę.

Słowem rodzina chłopska, której dochody i wydatki stały się podstawą do tych obliczeń, znalazła się w wyjątkowo uprzywilejowanej sytuacji w porównaniu z innymi rodzinami. I mimo to budżet jej wykazuje niedobór 100 rupii, który musi być pokryty w drodze oszczędności na własnym żołądku.

Z obliczeń tych wynika, że sytuacja chłopu małorolnego jest dużo gorsza niż robotnika plantacyjnego, którego płaca roczna wg ostatnich znormalizowanych stawek wynosi 1 988 rupii, czyli o przeszło 50% więcej niż całoroczny dochód tej pięcioosobowej rodziny, pracującej domniemanie we własnym gospodarstwie. Co prawda koszty utrzymania na plantacjach są proporcjonalnie wyższe niż na wsi.

Inny korespondent (z Celebesu) donosi o bardzo swoście pojętej „reformie rolnej“, dokonywanej tu przez niektóre rady powiatowe. Chodziło mianowicie o grunty „*ongko*“, przywłaszczone niegdyś bezprawnie przez miejscowych feudałów (a nie posiadłości zakupione przez nich,

które reformie nie podlegały), zaś cała reforma sprowadzona została do uznania tych ziem za posiadłości municypalne i sprzedania ich z licytacji miejscowym bogaczom.

W wielu miejscowościach Indonezji istnieje ten sam system „dzierżaw łańcuszkowych“, który jest plagą Indii. Wielki posiadacz ziemski oddzierżawia część swych gruntów któremuś z miejscowych lichwiarzy, ten z kolei dzierżawi je kilku swym pomniejszszym kolegom, a ci wreszcie chłopom, którzy obrabiają je w zamian za prawo pobierania na swój użytek części zbiorów — czasem zaledwie 1/5 (na Bali tego rodzaju poddzierżawy chłopskie nazywają się „*aturan maro*“).

Wielcy posiadacze ziemscy, oddzierżawiający znaczną część gruntu, rezerwują jednak dla siebie kluczowe urządzenie irygacyjne, co niejednokrotnie doprowadza do konfliktów, w rodzaju tych, jakie tak przekonywająco przedstawił Jerzy Krzysztoń w swojej noweli *Tama*. (*Opowiadania indyjskie* — Inst. Wyd. „Pax“. Warszawa 1953).

System podatków i świadczeń, spadających całym ciężarem na plecy chłopów drobnorolnych, jest tu bardzo skomplikowany i w zasadzie dotychczas jeszcze nie uległ zasadniczym zmianom. Podatek od ziemi na wyspie Bali był w r. 1950 — przed dewaluacją — trzykrotnie wyższy niż przed wojną. Poza tym istnieje szereg innych obciążeń — państwowych i komunalnych, będących ekwiwalentem dawnego szarwarku (mimo że instytucja szarwarku została w zasadzie również zachowana, przynajmniej na wyspie Bali, gdzie chłopowie zobowiązani są do bezpłatnej pracy przy budowie dróg 10 dni w roku). Bardzo przykrym przeżytkiem jest podatek od zawarcia małżeństwa (*pallawa tanah*), wynoszący 5 do 15 rupii. Suma ta — stanowiąca bądź co bądź około jednej do trzech dniówek — wybitnie odstrasza ubogich chłopów od zawierania legalnych małżeństw, które poza tym związane są zwykle z pewnymi opłatami na rzecz mułły.

Na łamach pism toczą się bardzo ciekawe dyskusje pomiędzy zwolennikami rewolucji socjalistycznej a reformistami rozmaitych odcieni. Ciekawy jest pod tym względem artykuł niejakiego Sajarwo *O rozwiązaniu zagadnień rolnych*. Autor postuluje następujące reformy, które, zdaniem redakcji „Suara Tani“, mają radykalnie zmienić obecną sytuację w rolnictwie indonezyjskim:

1) Nowe plantacje zostaną uruchomione na zasadach spółdzielczych.

2) Część udziału w istniejących plantacjach, należących do obcych spółek akcyjnych, odkupi państwo i z kolei odsprzeda je, w postaci drobnych akcji, chłopom. Ci „spólnicy“ mogą bądź tylko korzystać z uprawnień akcjonariuszów, bądź ponadto zaciągnąć się do pracy na plantacji, przy czym przy angażowaniu do roboty będą mieli pierwszeństwo przed „nieakcjonariuszami“ — „zarazem partycypując w zyskach“.

3) Zakłady przetwórcze, pracujące na eksport, mają nie zakupować od chłopów surowca — jak to robiły dotychczas, a jedynie obciążać ich kosztami przeróbki, po czym półfabrykat pozostaje własnością rolnika — aż do sprzedania go za granicę.

Oczywiście są to półśrodki, które indonezyjskiego rolnictwa nie mogą wyprowadzić z impasu, choć świadczą o dużej pomysłowości kierownictwa BTI, którego tubą jest autor artykułu.

Na zakończenie wysuwa on 6 postulatów, idących również po tej samej linii reformistycznej:

1) Rząd ma otoczyć specjalną opieką plantacje, stanowiące własność miejscowej ludności, dbać o ich modernizację, a szczególnie o zaopatrzenie w maszyny przez udzielanie taniego kredytu.

2) Wykupić latyfundia należące do cudzoziemców.

3) Nie odnawiać koncesji, których termin wygaś.

4) Bronić praw chłopów, którzy w okresie wojny i okupacji wzięli w posiadanie ziemię, stanowiącą przedtem własność obcych plantatorów.

5) Przesiedlenie ludności z „terenów wewnętrznych“ do „zewnętrznych“ musi iść w parze z uprzedysponowaniem tych ostatnich i z podniesieniem stopy życiowej ich ludności autochtonicznej.

6) Wysoki podatek od gruntów musi być zastąpiony przez normalny podatek dochodowy.

Grunty poplantacyjne, o których mowa w punkcie 4, zostały opuszczone przez ich dawnych właścicieli, którzy zbiegli przed Japończykami, a po powrocie zażądali zwrotu posiadłości, w tym czasie już zagospodarowanych przez miejscową ludność małorolną. O wadze zagadnienia tych „gruntów pohlenderskich“, które w drodze samorządnej reformy rolnej weszły już faktycznie do ogólnej puli gruntów chłopskich, zaspokajając w pewnym stopniu głód ziemi, świadczą dane liczbowe z samej tylko Sumatry, gdzie holenderscy plantatorzy domagają się zwrotu z górą miliona ha. Podobna w pewnym sensie sytuacja wytworzyła się w niektórych zakładach pracy, jak np. w pewnej kopalni ropy — również na Sumatrze — stanowiącej własność holenderskiej firmy „Bataafsche Petroleum“. W czasie działań wojennych kopalnia ta uległa zupełnemu zdewastowaniu, a — po odbudowaniu i uruchomieniu jej przez samych robotników — stała się obiektem sporu — tym razem pomiędzy popieraną przez Masjumi holenderską firmą a rządem Republiki, któremu robotnicy ofiarowali ten obiekt, po uprzednim odbudowaniu go z zupełnej ruiny. Mówiąc nawiasem, mimo użytkowania przez chłopów części „ziem pohlenderskich“ i zakwestionowania przez rząd paru obiektów przemysłowych, ogólna dywidenda holenderskich kapitalistów z pozostałych w ich rękach prywatnych posiadłości wyniosła w samym tylko 1951 r. — 518 milionów guldenów (por. „Nowe Czesy“ 38/53).

Przebieg wypadków politycznych, jakich widownią stała się Indonezja w ciągu ostatnich pięciu lat (1950 — 1954), był następujący:

Gabinet Hatty pozostał przy władzy po urzędowym uznaniu Stanów Zjednoczonych Indonezji. Jego oficjalną misją miało być rozpoznanie wyborów i przekazanie władzy legalnemu parlamentowi. Misji tej, jak wiadomo, nie spełnił. Jedynym poważnym sukcesem, jakim mógł się poszczycić w ciągu swej nowej ośmiomiesięcznej kadencji (grudzień 1949 — sierpień 1950), było zlikwidowanie „nagarów“ i przekształcenie Indonezji w państwo centralistyczne.

Następny rząd — Mohammeda Natsira, oficjalnego lidera partii Masjumi, złożony był w większości ze zwolenników tego stronnictwa,

przy nieznacznym udziale PNI. Z ważniejszych wydarzeń w okresie rządów Natsira należy zanotować fakt relegalizacji centralnego organu Komunistycznej Partii Indonezji „Bintang Mepah” (Czerwona Gwiazda) i zwołania (w dniu 31 marca 1951 r.) konferencji ugrupowań lewicowych, która opracowała „Program ratowania Indonezji”, uwzględniający również zagadnienie szerokiej autonomii językowej dla jej poszczególnych ludów.

Po niespełna siedmiomiesięcznych rządach gabinetu Natsira i 36 dniowym kryzysie ukonstytuował się dwupartyjny rząd Soekimana (z Masjumi), w którym najważniejszą tekę ministra Spraw Zagranicznych objął Soebardjo (z PNI). Był to gabinet wybitnie proamerykański. Zawarcie przez niego „układu wzajemnej pomocy” z USA, w ramach słynnej ustawy o „wzajemnym zapewnieniu bezpieczeństwa”, wywołało niezadowolone większości parlamentu i ustąpienie rządu dwupartyjnego (23 lutego 1952).

Po pięcioletnim kryzysie 1 kwietnia 1952 r. doszedł do władzy rząd Wilopo, złożony tym razem w większości z narodowców. W ciągu jego czternastomiesięcznych rządów (upadł 2 czerwca 1953 r.) nastąpiły pewne doniosłe przesunięcia w dotychczasowej konfiguracji politycznej. Dotychczas obie główne partie prawicowe były dość silne, by łącznie zmajoryzować lewicę w tym samym od lat niezmiennym się i skostniałym parlamencie, ale każda z nich z osobna była zbyt słaba, by rządzić samodzielnie, bez szukania sprzymierzeńców na tejże lewicy. Wypadki, jakie rozegrały się w Dżakarcie 17 października 1952 r. (nieudany zamach stanu ze strony masjumistów), przyspieszyły decyzję PNI pójścia na współpracę z lewicą. Znalazło to wyraz jeszcze za rządów gabinetu Wilopo — w usunięciu skrajnie reakcyjnego ministra Obrony oraz w pewnym zbliżeniu z państwami Demokracji Ludowej (podpisanie w Dżakarcie polsko-indonezyjskiego układu handlowego).

W dniu 2 czerwca 1953 r. zaczął się najdłuższy w dziejach Republiki kryzys ministerialny, który trwał prawie dwa miesiące (do 30 lipca). W tym czasie ze szczególną siłą ujawniły się zastarzałe antagonizmy pomiędzy obydwoma partiami — tak zasadnicze, że wręcz wykluczające możliwość dalszej współpracy.

„Gabinet Wilopo podał się do dymisji, ponieważ wchodzący w jego skład przedstawiciele partii Masjumi usiłowali zwrócić plantatorom holenderskim ziemię odebraną im przez chłopów na Sumatrze, jak również restytuować prawa towarzystwa „Bataafsche Petroleum” do kopalń nafty na tej wyspie” — pisały „Nowe Czasy”. „Partia Masjumi sprzeciwiała się żądaniom mas ludowych, które domagały się ukarania organizatorów puczu z 17 października i podjęcia kroków przeciwko bandom Dar-ul Islamu. Wreszcie partia ta sprzeciwiła się realizacji uchwały, powziętej przez parlament w kwietniu br. (1953) w sprawie otwarcia indonezyjskiego przedstawicielstwa w Moskwie...”

„Ignorowanie przez przywódców partii Masjumi żądań mas ludowych w sprawie realizacji naglących posunięć, udaremniło wszystkie próby stworzenia rządu z udziałem tej partii. Kryzys zakończył się 30 lipca 1953 r. sformowaniem rządu przez Alego Sastroaminjoio, byłego ambasadora indonezyjskiego w USA, Meksyku i Kanadzie. W skład rządu

weszli przedstawiciele PNI i drugorzędnych partii politycznych“ („Nowe Czesy“ 32/53).

„Upadek gospodarczy kraju staje się mniej gwałtowny i pomimo przepowiedni — wojny domowej dotychczas jakoś nie widać“ — stwierdzał ze zdziwieniem „Neue Züricher Zeitung“ po paru miesiącach rządów Sastroaminjoio. „Z drugiej jednak strony, spadająca linia krzywa nie została jeszcze zahamowana, chociaż na początku sierpnia po raz pierwszy od dłuższego czasu nie sprzedano złota na pokrycie zobowiązań zagranicznych.“ Ale ogólne nastawienie prasy zachodnio europejskiej do nowego rządu Indonezji było od początku niechętnie i stawało się coraz bardziej wrogie, w miarę jak zaczęło ujawniać się jego stanowisko w polityce zagranicznej. 5 grudnia 1953 r. przebywający w Karaczi sekretarz generalny Ministerstwa Informacji Indonezji, Roesian Abdoellah Gani oświadczył korespondentom prasowym, że Indonezja występuje przeciwko tworzeniu baz wojennych w Azji Południowo-Wschodniej: „Nie może być mowy o udziale Indonezji w jakimkolwiek sojuszu wojennym.“ W kilka dni potem placówka dyplomatyczna Indonezji w Moskwie została podniesiona do rangi ambasady, a jednocześnie przedstawiciele Republiki wyjechali do Chin, by nawiązać z nimi, wbrew życzeniu USA, ożywione stosunki handlowe. Lekceważenie interesów Republiki przez kapitał amerykański pomściło się na nim srodze.

Rzecz prosta,* że wszystko to nie mogło wywołać entuzjazmu ani w Waszyngtonie, ani w Londynie. Szpalty angielskich gazet, poczynając od r. 1954. roją się od takich tytułów jak: *Misgovernment and its origins in Indonesia*, *The nationalist-communist pact in Indonesia* itp. „The Manchester Guardian Weekly“ poświęcił Indonezji całą serię artykułów, w których nie ukrywa swej niechęci do nowego gabinetu.

„Obecny rząd zdecydowanie nie okazuje przyjaźni Stanom Zjednoczonym. A przecie — poczynając od r. 1949 — jedność poglądów była niemal idealna... Oziębienie stosunków zaczęło się w sierpniu 1953, gdy wreszcie, po dwumiesięcznym kryzysie, Wongsonegoro z nielicznej Partii Wielkiej Indonezji utworzył rząd i został jego wicepremierem, a premierostwo ustąpił Alemu Sastroaminjoio z Partii Narodowej — dotychczasowemu ambasadorowi w Waszyngtonie. Drugim wicepremierem mianowano wówczas Zainala Arifina z grupy Nahdatul Oelama, polityka jeszcze niewyrobionego. Czwartym z głównych partnerów stał się lewicowy Indonezyjski Związek Muzułmański. Poza tym w skład gabinetu weszły inne małe ugrupowania bez znaczenia... Nie posiada on absolutnej większości w parlamencie i egzystencję swą opiera jedynie na bloku komunistycznym, który jest reprezentowany również przez związki zawodowe...“

„Opozycję stanowią masjumiści, największa partia muzułmańska... i mniej liczna socjalistyczna. Członkowie pozostałych małych ugrupowań lawirują gdzieś na pograniczu obu bloków. Tego rodzaju rządu Indonezja jeszcze nie posiadała. Wszystkie poprzednie gabinety koalicyjne były wypadkową współdziałania partii Masjumi z nacjonalistami. Dziś ci ostatni są najpoważniejszym partnerem, a masjumiści po raz pierwszy znaleźli się w opozycji. Rząd Indonezji zależy jedynie od poparcia komunistów.“

Angielski tygodnik stwierdza, że powstanie dar-ul islamistów, które wybuchło wkrótce po zaprzysiężeniu nowego rządu (w dniu 27 września

1953 r.), zostało tymczasem stłumione, a śmierć słynnego watażki Kahara Moesakkara (który zresztą zmarł śmiercią naturalną), ułatwić powinna ostateczne spacyfikowanie kraju. Dalej niechętnie przyznaje, że: „kraj dąży do samowystarczalności w uprawie ryżu oraz wprowadza się program oświatowy, obejmujący wszystkie dzieci i dorosłych analfabetów“, choć inne zarządzenia nowych władz indonezyjskich bynajmniej nie budzą zachwyty u autora artykułu.

Trudno dziś zorientować się, jak potoczą się dalsze wypadki. Zbliżenie narodowców z lewicą demokratyczną jest niewątpliwie zdarzeniem bardzo doniosłym, choć aktywność przeciwniej strony, chwilowo zahamowana na skutek delegalizacji — z powodów formalnych — Partii Socjalistycznej Sjahrira, znów przybiera na sile i zdaje się prowadzić do ostatecznej rozgrywki z siłami demokracji. W ogniu tej rozgrywki odbędzie się ostateczna selekcja elementów anarchistycznych — „pułkownikówskich“, wykrystalizowanie z nich tego, co jest patriotyczne i zdolne do wysiłków twórczych, a definitywne odrzucenie pierwiastków zdecydowanie aspołecznych. Okazją do tej wielkiej próby sił staną się wybory, oficjalnie już tym razem zapowiedziane przez rząd, którego dalekosiężne plany reform społecznych szukają oparcia w szeroko rozbudowanym Froncie Narodowym — z pominięciem od dawna już zdrętwiałego i chwiejnego parlamentu z nominacji.

Artykuł ten był już napisany, kiedy prasa doniosła o naradzie w Bogorze (Indonezja), na której pięć państw — uczestników konferencji w Colombo (tj. Pakistan, Indie, Cejlon, Burma i Indonezja) zapowiedziało zwołanie wspólnej konferencji krajów Azji i Afryki w Bandungu na zachodzie Jawy. Jest to — jeżeli kogoś szczególnie te interesują — spore miasto, liczące 170 (a nie — jak podawała polska prasa — 700) tysięcy mieszkańców, ważny ośrodek przemysłu i zarazem miejscowość kuracyjna, o stosunkowo łagodnym, jak na Jawę, klimacie.

Tu w ciągu tygodnia (18—24 kwietnia br.) odbyło się jedno z najbardziej przełomowych w dziejach świata spotkań pomiędzy premierami (względnie ministrami spraw zagranicznych) wszystkich nieomal państw Azji i Afryki, często takich, które dotychczas nie podtrzymywały ze sobą żadnych stosunków dyplomatycznych. Państwa Demokracji Ludowej były reprezentowane przez Chiny i północny Wietnam. Państwa o innych ustrojach stawily się niemal w komplecie — z wyjątkiem Izraela, Kaszmiru i lisymanowskiej Korei. Unia Południowo-Afrykańska, jako państwo *de facto* kolonialne i nie autochtoniczne, zaproszenia na konferencję nie otrzymała. Ogółem zasiedli na niej przedstawiciele 29 krajów, reprezentujących w sumie ok. 1.400 milionów ludzi, czyli 2/3 całej ludzkości. Pamiętajmy przy tym, że w spotkaniu nie mogła wziąć udziału, z przyczyn formalnych, ludność kolonii, której globalną liczbę amerykański uczyony R. Emerson (*Colonialism and Cold War*, N. Y.

1955) określa w bieżącym roku na ca 200 milionów. W skład tej cyfry wchodzi przede wszystkim — w świetle corocznych sprawozdań ośmiu państw kolonialnych — 60 tzw. „terytoriów nie rządzących się samodzielnie“, dalej 11 terytoriów powierniczych oraz kolonie państw nie będących członkami ONZ. Według Emersona liczbę tę trzeba jeszcze powiększyć „o te kolonie, które państwa kolonialne wycofały z systemu terytoriów nie rządzących się samodzielnie, co należy zresztą przyjąć z dużym sceptycyzmem“. Autor ma tu na myśli przede wszystkim brytyjską Malte, posiadłości francuskie: Gwadelupę i Martynikę oraz holenderski Surinam (tj. środkową Gujanę).

Ale fakt formalnej nieobecności przedstawicielstwa ludów kolonialnych na sali obrad nie pomniejszył wagi samego zagadnienia. Zresztą wśród nieoficjalnych gości i obserwatorów nie brakowało przedstawicieli uciemnionych narodów, poczynając od arcybiskupa Makariosa z Cypru i Marokańczyków, a kończąc na mulatach z Portorico, którzy wachlarz ludów reprezentowanych na konferencji poszerzyli o jeden jeszcze dalszy kontynent. Z inicjatywy gospodarzy konferencji wypłynęła również kwestia przynależności Irianu (zachodniej części Nowej Gwinei), a równie bliska im sprawa Malakki zreferowana została przez delegatów Malajskiej Partii Akcji Ludowej (Woodholla i Ismaila), którzy na ręce przewodniczącego Sastroaminjoio złożyli memorandum nawołujące do położenia kresu działaniom wojskowym na półwyspie.

Ten antykolonialny aspekt konferencji próbowali z góry ośmieszyć Amerykanie, lansując dowcip, że ma być ona poświęcona „walce ze zdechłym koniem“. Niestety, koń jeszcze nie zdechl, o czym wie najlepiej nie tylko dwadzieście milionów „ludności kolorowej“, żyjącej w warunkach ustroju *par excellence* kolonialnego, ale i znaczna część ludów oficjalnie reprezentowanych na konferencji. „Kolonializm“ bowiem „nie kończy się z uzyskaniem niepodległości“ — jak słusznie pisze obecny ambasador Indonezji w USA, Moekarno. „Przybrał on tylko nowe formy“ — dodał, rozwijając tę samą myśl, prezydent Republiki w przemówieniu na uroczystym otwarciu konferencji — „formy obcej kontroli nad gospodarką i nad życiem intelektualnym narodów“.

Przełomowe znaczenie konferencji polega właśnie na tym, że narody obu wielkich kontynentów, będących przez parę wieków widownią najbardziej klasycznego wyzysku kolonialnego, uświadomiły sobie w pełni, że fakt uzyskania formalnej niepodległości nie oznacza jeszcze zupełnego wyzwolenia i że uzyskane ono być może tylko w drodze solidarnego wysiłku obu kontynentów, w warunkach ich pokojowej współpracy.

Toteż zachowanie pokoju jest już nie tylko warunkiem rozwoju krajów Azji i Afryki, ale i próbą generalną ich siły oraz dojrzałości politycznej. „Delegat Syrii Halem Azem oświadczył na jednym z posiedzeń“ — piszą „Nowe Czasy“ — „że jeżeli Azja i Afryka, z ich ogromnymi terytoriami, z obfitością surowców i rezerwami ludzkimi, nie będą dopuszczały do tworzenia u siebie obcych baz wojskowych, nie będą dostarczały żołnierzy i surowców, wówczas od nich będzie zależało, czy w ich części świata będzie pokój czy wojna.“

Konieczność zachowania pokoju, który niemal wszystkie rządy reprezentowane na konferencji uznały za warunek *sine qua non* rozwoju obu kontynentów, przesadziła o potępieniu przez nie broni masowej zagłady,

czemu nie miały odwagi przeciwstawić się nawet państwa jawnie współpracujące z Ameryką, jak Filipiny, Syjam, Irak, Turcja i Pakistan, do których w pewnych momentach zdawał się grawitować i Cejlon, państwo o dość niesprecyzowanym kierunku polityki zagranicznej. Dodajmy nawiasem, że ten sam Cejlon na międzydominialnym spotkaniu premierów, porwany widocznie przykładem Indii, odmówił swego podpisu pod komunikatem akceptującym zbrojenia atomowe, uzbrojenie Zachodnich Niemiec, rozbudowę SEATO i sojusz wojskowy z USA. Pakistan natomiast wszystkie te punkty zaakceptował.

Treść końcowych uchwał konferencji w Bandungu jest na ogół znana i nie będę ich tu referował. Ważniejsze może jeszcze od nich są te przesunięcia ideologiczne i nowe powiązania polityczne, jakie ona spowodowała. W trakcie tygodniowych rozmów wykrystalizował się wyraźnie trzon całości, złożony z pięciu państw, na które przeszło duchowe przewodnictwo sił pokoju w Azji i Afryce.

W kolejności znaczenia poszczególnych członów tego czołowego zespołu na pierwsze miejsce wysunęły się bezsprzecznie Chiny Ludowe, reprezentujące nie tylko największą masę ludzką, ale i bardzo spokojną, pozbawioną wszelkiej awanturniczości politykę zagraniczną Czou En-Laia, która pozyskała dla Chin ogólną sympatię uczestników konferencji. *„Jeśliby Azjatom kazano dziś wybierać między demokracją amerykańską a chińskim komunizmem, wybraliby oni raczej komunizm“* — stwierdza niechętnie „Manchester Guardian“.

Afrykańskim zakończeniem osi biegnącej z Pekinu jest Kair — faktyczna stolica Afryki i krajów arabskich obu kontynentów. Na terenie Azji południowo-wschodniej polityka zagraniczna Chin Ludowych znajduje pełne poparcie obu wielkich mocarstw tego regionu, tj. Indii i Indonezji. Piątym członem czołowego zespołu stała się Burma.

Z wyraźną sympatią do tych pięciu ustosunkowały się: Laos, Kambodża, Nepal i Afganistan. W obozie wprost przeciwnym znalazły się Filipiny, Syjam, Pakistan, Turcja i Irak. Cejlon oraz małe kraje arabskie zachowują się niezdecydowanie.

Konferencja w Bandungu miała dla prestiżu Indonezji znaczenie przełomowe, awansując ją, nawet w oczach Amerykanów, do rzędu wielkich mocarstw Azji. *„Wielką trójkę azjatycką, tj. Chiny, Indie i Indonezję łączy większa jedność celów niż trzy mocarstwa zachodnie“* — stwierdza smętnie „Washington Evening Star“. Trzeba przyznać, że Indonezja jako organizatorka konferencji stanęła na wysokości zadania, tym trudniejszego, że na niej spoczywało przewodnictwo zarówno na plenum (premier Sastroaminjoio), jak i we wszystkich trzech komisjach (polityczna — premier, gospodarcza — minister Gospodarki, prof. Roossene, kulturalna — minister Oświaty, Mohammed Yamyamin). W parze ze sprężystością organizacji prac szły ogromne wysiłki w kierunku zapewnienia osobistego bezpieczeństwa 340 oficjalnym delegatom i wielokrotnie większej grupie obserwatorów. A że bezpieczeństwo to było poważnie zagrożone, świadczy najwymowniej tragiczna śmierć red. Jeremiego Stareca i delegatów chińskich jadących do Bandungu. Tym bardziej, że jak donosiła „Berita Indonesia“, w okolicach Bandungu próbowały skoncentrować się oddziały *Dar ul-Islamu* i chińskiej organizacji faszystowskiej „Korpus Żelaza i Krwi“.

Niezwykle ważnym precedensem dla nowych porozumień pomiędzy poszczególnymi państwami Azji i Afryki stały się wytyczne porozumienia chińsko-hinduskiego z 29.IV.1954 r., sprecyzowane w tzw. „pięciu zasadach pokojowego współistnienia“ (wzajemne poszanowanie suwerenności i integralności terytorialnej, nieagresja, wzajemna nieingerencja w sprawy wewnętrzne, równość i wzajemne korzyści). Drugim ważnym wydarzeniem, jak gdyby próbą sił przed konferencją dwóch kontynentów, była konferencja krajów Azji w Delhi, poświęcona sprawie osłabienia napięcia w stosunkach międzynarodowych, która zakończyła swoje obrady na tydzień przed Bandungiem i powołała do życia Komitet Solidarności Azjatyckiej, ze stałym sekretariatem, w skład którego weszły Burma, Cejlon, Chiny, Indie, Indonezja, Japonia, Pakistan, ZSRR i kraje arabskie.

Korzystając z obecności premiera Czou En-Laia w Indonezji, rząd Republiki zaprosił go zaraz po zakończeniu konferencji do Dżakarty, gdzie została podpisana umowa, likwidująca jedną z największych bolączek kraju, tj. sprawę tzw. „podwójnego obywatelstwa“ miejscowych Chińczyków, będącą przykrym przeżytkiem z czasów holenderskich. Odtąd wszystkie osoby narodowości chińskiej będą musiały zdecydować się na wybór obywatelstwa: indonezyjskiego lub chińskiego.

W czasie składania niniejszego artykułu, Indonezja stała się znowu widownią kryzysu ministerialnego — o charakterze zamachu stanu, na skutek którego ponownie doszła do władzy skrajna prawica (masjumiści oraz prawe skrzydła PNI i socjalistów) przy cichym poparciu prezydenta Soekarno, który w najbardziej decydującym momencie... udał się na pielgrzymkę do Mekki. Premierem nowego rządu został aktualny przywódca masjumistów Boerhannoeddin Harahap.

W tej chwili trudno jeszcze zorientować się w nowej sytuacji, która ulega zmianie z dnia na dzień. „Zagadka Indonezji“ wciąż jeszcze pozostaje nierozwiązana.

¹ Czyt. Sukarno. Oe — zachowane jeszcze w pisowni imion własnych — zastępuje nieistniejące do niedawna w alfabecie malajskim u. W pisowni nazw takich jak: Sumatra, Moluki, wyspy Sundajskie, partia Masjumi, tę osobliwość malajskiej pisowni pomijamy.

² B. F. Mattes, *Kort Verslag aangaande alle mij in Europa bekende Makassarische en Boegineesche Handschriften, vooral die van het Neder. Bijbelgenootschap te Amsterdam*. Amsterdam, Spin and Son, 1875.

JULIUSZ DOMAŃSKI

O WŁAŚCIWĄ OCENĘ AUGUSTYNIZMU

Artykuł Legowicza

Artykułowi J. Legowicza na temat *Dialogów filozoficznych* św. Augustyna¹ trzeba bezsprzecznie przyznać, że jest oryginalny, a nawet w pewnym znaczeniu sensacyjny. Ujmuje on bowiem osobowość i naukę św. Augustyna w sposób niespotykany dotychczas² i będący swoistym „przewróceniem wartości“. Nie ograniczając się zresztą do na wskroś oryginalnej oceny augustynizmu Legowicz zajmuje się także oceną zamierzeń wydawców dialogów augustyńskich i w tej dziedzinie jest równie oryginalny jak w poprzedniej. Tym bardziej więc warto ze stanowiska tychże wydawców ocenić z kolei wywody Legowicza i przekonać się, czy istotnie dokonał on doniosłego odkrycia, nad którym powinni się zastanowić wszyscy wielbiciele i zwolennicy poglądów biskupa hipponenńskiego, czy też uległ zasadniczemu nieporozumieniu, które stało się źródłem jego oryginalności.

Rewelacyjne odkrycie Legowicza dotyczy trzech zagadnień. Pierwsze z nich ma charakter ściśle historyczny — jest to zagadnienie nawrócenia się św. Augustyna. Przedmiotem drugiego jest augustynizm i jego ocena w perspektywie historycznej. Trzecie wreszcie — to ocena „roli dialogów filozoficznych we współczesnej walce ideologicznej“ — Trzymając się porządku, w jakim te trzy zagadnienia występują w artykule Legowicza, postaram się najpierw możliwie wiernie powtórzyć jego rozumowanie i wynikające zń tezy, potem zaś rozważyć każdą z nich.

Na początek — historyczne (jak je nazywa Legowicz) ujęcie nawrócenia św. Augustyna.

Po restytucji neoplatonizmu przez Juliana Apostatę i po upadku wraz ze śmiercią cesarza całej koncepcji odrodzenia pogaństwa niektórzy przed-

¹ *Dialogi Aureliusza Augustyna w walce z naukowym poglądem na świat*. „Myśl Filozoficzna“. 3(13), 1954.

² Oryginalność ta wynika — jak później zobaczymy — z założenia, że relacja *Wyznań* jest fałszywa. Otóż podejrzenia o nieautentyczność zdarzeń przedstawionych w *Wyznaniach* spotykamy również u innych, dawniejszych autorów, np. u P. Alfaraica w *L'évolution intellectuelle de saint Augustin*, Paris 1918. Rozważania Alfaraica dotyczą jednak przede wszystkim zagadnienia, czy Augustyn nawrócił się na chrześcijaństwo, czy na neoplatonizm, z wyraźnym zamiarem dowiedzenia, że faktycznie tylko neoplatonizm wchodzi tu w rachubę. Ale Alfaraic — podobnie jak i inni autorzy analizujący historyczność *Wyznań* — nie kwestionuje faktu samego „nawrócenia“, jak to czyni Legowicz.

stawiciele hierarchii Kościoła katolickiego, z uwagi na to, że neoplatonizm bardzo się od czasu restytucji Julianowej rozpowszechnił, i widząc w neoplatonizmie system filozoficzny, który łatwo by można wykorzystać dla aktualnych potrzeb Kościoła, postanowili użyć go — po odpowiednim zmodyfikowaniu, które miało zatrzeć wszelkie istniejące między neoplatonizmem a chrześcijaństwem różnice — do walki z herezjami, głównie z manicheizmem, religijno-filozoficznym systemem o tendencjach materialistycznych, tudzież z donatyzmem, który obok sprzecznych z doktryną katolicką tez teologicznych wysuwał również rewolucyjne hasła społeczne. Wprawdzie na greckim Wschodzie, gdzie, jak wiadomo, system Plotyna bardziej się rozpowszechnił, Legowicz nie umie czy nie chce wskazać ani jednego inicjatora recepcji neoplatonizmu, ale za to na łacińskim Zachodzie znajduje ich łatwo i dokładnie charakteryzuje ich taktykę. Ponieważ w Kościele katolickim w latach osiemdziesiątych IV stulecia brakło zarówno filozofa-neoplatonika wielkiej miary, jak i w ogóle ludzi o odpowiednim wykształceniu filozoficznym, ci taktycy, postanowiwszy jednym wysiłkiem „rozbroić światopoglądowo“ neoplatonizm przez zasymilowanie go teologii katolickiej i zarazem użyć jako sprawnego narzędzia intelektualnego do zwalczania herezji, zajęli się gorliwie przeciąganiem do obozu katolickiego bądź filozofów — neoplatoników pogańskich, bądź chrześcijan-heretyków o dużej kulturze filozoficznej i „szkoleniem“ ich na rzeczników katolickiej ideologii, będącej na usługach posiadaczy wielkich latyfundiów, do których zresztą należy wielu członków hierarchii kościelnej. Cel więc kaptowania filozofów orientacji neoplatońskiej był podwójny: szło bowiem nie tylko o skuteczną walkę z wymienionymi herezjami, ale także o „pokonanie neoplatonizmu przy pomocy neoplatonizmu schrystianizowanego“ — dla zapobieżenia dalszym jego ewentualnym sukcesom. Specjalnie dwu ludzi w Italii zajmuje się gorliwie tą sprawą: biskup Mediolanu Ambroży i jego kapelan Symplicjan. Przed kilkunastu laty Symplicjan, „specjalista od nawracania“, zdobył dla swej sprawy Mariusza Wiktoryna Afra, znanego neoplatonika. Było to jednak jeszcze przed restytucją Juliana, a zresztą Wiktoryn nie wyszkolił żadnego następcy. Toteż gdy Augustyn, wówczas „bojowy“ manichejczyk, a zarazem sławny na całym Zachodzie retor postanowił przenieść się z Afryki do Italii dla zrobienia pedagogicznej kariery, kuria mediolańska zwróciła na niego uwagę i powzięła zamiar przeciągnąć go na swoją stronę. Po przyjeździe Augustyna do Mediolanu otoczono go czujną opieką, doprowadzono do spotkań i rozmów z Ambrozym, specjalnie zaś zajął się Augustynem Symplicjan — i agitacja jego odniosła natychmiastowy skutek: w parę miesięcy po przybyciu do Mediolanu Augustyn, dotychczasowy manichejczyk, był o tyle pozyskany dla sprawy Symplicjana, że wykorzystanie go stało się już tylko zagadnieniem niejako formalnym, związanym z otrzymaniem przezeń dymisji z zajmowanego dotąd stanowiska, a z drugiej strony ze sprecyzowaniem zadań i kierunku jego pracy. Ostatecznie Augustyn, zwolniony z państwowej posady profesora retoryki, udaje się na „kurs ideologiczny“ (oczywiście w formie „samokształcenia“ i samodzielnej pracy twórczej, bo jest już i zbyt dojrzały intelektualnie, i zbyt przekonany do nowej sprawy, by trzeba mu było nauczyciela) do willi przyjaciela-bogacza Werekundusa (nie „Werekondiusza“, jak pisze Legowicz) w Cassiciacum, by dozorowaniem pracujących w posiadłości swego protektora chłopów zarabiać na środki do życia i pro-

wadzić dyskusje w gronie uczniów, wśród których zresztą „nie wszyscy byli zwykłymi uczniami. Przez nich kuria mediolańska miała otrzymywać informacje o «mistrzu», który dokonywał pierwszej próby własnych możliwości przeniesienia neoplatonizmu na grunt poglądów katolickich i zarazem zdawał jakby egzamin wstępny przed mediolańskim kierownictwem kościelnym“. (s. 174 ns.) Pisane w tym okresie dialogi, przeznaczone dla adresatów o wysokiej pozycji społecznej (Manliusz Teodor, Romanian, Zenobiusz), mające charakter autentycznych sprawozdań, wiele razy silnie podkreślany przez Augustyna, mają być właśnie wypracowaniami egzaminacyjnymi, pilnie czytowanymi — za pośrednictwem owych przyjaciół-adresatów — w kurii mediolańskiej. W ostatecznym rezultacie tego eksperymentu Augustyn zdał egzamin na katolickiego ideologa klas posiadających i wyzyskujących, wykazał dostateczne kwalifikacje na katolickiego nauczyciela i ochrzcił się w Mediolanie w kwietniu 387. Następnie przez krótki czas przygotowuje się w Mediolanie do roli katolickiego filozofa (traktat *O nieśmiertelności duszy*), dalej czas jakiś przebywa w Rzymie, gdzie „zapoznaje się z kurią papieską i bardziej bezpośrednio nastawia do pracy na rzecz kościoła, ugruntowuje swoją katolicką świadomość (dialog *O wielkości duszy*), zrywając z wszelkimi tendencjami materialistycznymi, o ile przejawiały się one w manicheizmie“ (s. 178) — i wreszcie wyjeżdża do Afryki, gdzie już jako członek hierarchii kościelnej „zajął się społeczną i polityczną organizacją życia katolickiego“ (tamże).

„W literaturze katolickiej — pisze Legowicz — problem ten (tj. problem nawrócenia św. Augustyna) rozpatrywano zawsze od strony subiektywnej. Wydawcy polskiego przekładu dialogów filozoficznych poszli tą samą drogą. «Augustyn — piszą — słuchając Ambrożego wykładającego alegorycznie *Pismo święte*... przeżywa swe pierwsze spotkanie z prawdziwym spirytualizmem. Pod wpływem kazań Ambrożego Augustyn przechodzi głęboki przełom wewnętrzny.» W konsekwencji takiej interpretacji reszta w ujęciu katolickim — będzie już tylko rezultatem tego «wewnętrznego przełomu» czy «nawrócenia», całkowicie uzależnionego od czynników nadnaturalnych i pozaświatowych“ (str. 171). Tymczasem w rzeczywistości „historyczne źródła jego (tj. Augustyna) filozofii nie leżą w «cudownym» akcie nawrócenia, lecz w tym wszystkim, co między innymi i to «nawrócenie» uwarunkowało — w potrzebach społecznych i politycznych ówczesnego kościoła. A jedną z podstawowych wówczas ideologicznych potrzeb kościoła była sprawa pseudoracjonalizacji wiary chrześcijańskiej, stworzenia dla niej podbudowy teoretycznej i wchłonięcia w nią istniejącej filozofii greckiej w obliczu politycznego rozprzężenia imperium i narastania nowej świadomości społecznej w masach, wyrrywających się z więzów niewolnictwa i zaczynających bardziej samodzielnie myśleć o własnych losach. Tu tkwiło źródło popularności poglądów manichejskich i całe niebezpieczeństwo ich materialistycznej tendencji, przeciw której zwróciło się głównie ostrze ataków katolickich. Walka z materializmem stanowi też główny trzon dialogów filozoficznych Augustyna“ (str. 179 ns).

Interpretacja tych dialogów w ujęciu Legowicza sprowadza się do tego, że dualistyczna filozofia Augustyna, akcentująca silnie prymat rzeczywistości duchowej, zarówno jeśli idzie o pierwszeństwo w czasie, jak i o hierarchię wartości — jest w istocie nie wytworem przemyśleń i przeżyć Augustyna ani nawet przejścia z jakiejś wewnętrznej potrzeby i zmodyfiko-

wania po chrześcijańsku neoplatonizmu, ale funkcją konkretnych warunków społecznych i politycznych, w których Kościołowi zależało na utwierdzeniu pozycji możnych oraz na obozwładnieniu ludu przez ukazanie mu znikomości wszelkich dóbr tego świata (nie należy zazdrościć bogatym i możnym, bo to, co oni posiadają, jest niczym). Filozofia ta, dzieło inspirowane przez uwarunkowaną klasowo i zaangażowaną w grę polityczną hierarchię, jest sprawnym narzędziem ideologicznym, które utrzymuje masy w posłuszeństwie właśnie przez obozwładnienie ich groźbą przyszłej kary czy nadziejami przyszłego szczęścia — nie na tym świecie. To „ideologiczne narzędzie“ ma za podstawę tezy światopoglądu skrajnie spirytualistycznego, który przeciwstawia się skutecznie materializmowi manichejskiemu. Rozwój doktryny Augustyna, której głównym trzonem jest walka — zdaniem Legowicza — z manichejskim materializmem, wyznaczony jest przez potrzeby polityczne ówczesnego Kościoła i ściśle im podporządkowany, podczas gdy Kościół niejako zastępuje walące się Imperium Romanum, będąc władcą i wyzyskiwaczem ludu nie mniej bezwzględny od wczorajszych pogańskich władców. Schrystianizowana filozofia neoplatońska, ukazująca cel człowieka i jego szczęście nie na tym świecie, ma poprzeć, uzasadnić tę władzę Kościoła. Zarówno dziedzina woli, jak i myśli ludzkiej jest jej bez reszty podporządkowana. Między wiarą a wiedzą bowiem nie może być rozdziewku, a ponieważ Kościół posiada w postaci dogmatów wiary absolutną prawdę, wyrokuje zawsze o prawdziwości czy fałszywości wszystkich ludzkich poglądów. — Jako uboczny produkt antymanichejskiego spirytualizmu Augustyna powstaje jego dialog *Przeciw akademikom* walczący, niby z groźnym widmem, ze sceptycyzmem Akademii. W interpretacji Legowicza „w dialogu *Przeciw akademikom* (nb. nie będącym żadną rozprawą z własnymi trudnościami, skoro cały proces nawrócenia jest zrećnię zainscenizowaną fikcją) *Augustyn ostatecznie zrywa z wszelką tradycją filozofii greckiej, w której zawarte było uznanie obiektywnych wartości poznania ludzkiego, i przechodzi bez reszty na stanowisko fideistyczne i dogmatycznie ugruntowanego subiektywizmu*“ (str. 189). Poznanie świata materialnego nie ma żadnej wartości, poznanie świata niematerialnego możliwe jest tylko dzięki oświeceniu Bożą prawdą, której depozytariuszem jest Kościół. W tej negacji doczesności i w ukazywaniu człowiekowi celu nie na tym świecie, celu, do którego wiedzie droga przez wiarę i posłuszeństwo Kościołowi, Legowicz widzi genezę feudalizmu, inkwizycji, wszelkich późniejszych wystąpień przedstawicieli Kościoła przeciw nauce czy postępowi społecznemu. Zdaje się twierdzić, że wszelki spirytualizm i światopogląd religijny musi prowadzić do takich i tylko takich rezultatów, a jednocześnie on i tylko on zdolny jest opanować i stłumić wszelką inicjatywę ludzką zmierzającą do polepszenia bytu przez poznanie świata. — Stąd w walce Augustyna z manicheizmem, którą przedstawia przede wszystkim jako walkę z materializmem filozoficznym, widzi krok wstecz na drodze postępu ludzkości.

Tak sformułowanej ocenie historycznej dzieła Augustyna towarzyszy nie mniej oryginalna ocena roli tego dzieła we współczesnej walce ideologicznej.

„W dziełach Augustyna — pisze Legowicz — znajduje się jeden element, którego już później nie znajdziemy niemal u żadnego z pisarzy kościelnych — moment psychologiczny, zyskujący dziełom Augustyna sympatyków.

jego «autentyzm ideologiczny». Augustyn prawie we wszystkich swych pismach, a przed Wyznaniami szczególnie w dialogach filozoficznych, usiłuje przekonać czytelnika o prawdziwości i słuszności swych poglądów za pomocą referowania ich w postaci własnych, z niezwykłą plastyką retora przedstawianych przeżyć. Daje to pozory bezpośredniego uczestnictwa w jakimś «doświadczeniu», które w postaci «osobistego przeżycia» łatwiej trafia do słuchacza czy czytelnika i zarazem pozwala autorowi, takiemu jak Augustyn, znającemu psychikę forum, na ukrycie własnych zamierzeń «zwierającego się». Ta nieustanna «spowiedź» z dróg poszukiwania «prawdy» i znalezienia jej poza światem ma porwać czytelnika i pozbawić go krytycznej odporności na słowne sugestie. Te «wielkie słowa» posiadają w istocie dobrze i wszechstronnie przemyślaną treść klasową i polityczną, a pozornie «osobiste zwierzenia» są w rzeczywistości z góry ustalonymi zamierzeniami ideologicznymi. Porwany «zwierzeniami» czytelnik ulega ideologicznej sugestii, która przedostaje się do jego świadomości i z kolei oddziałuje na postawę życiową znacznie szybciej i głębiej niż podzielone na «kwestie», artykuły, punkty i podpunkty suche i pozornie logiczne rozumowania Tomasza z Akwinu czy komentarze Piotra Lombarda» (str. 197 ns).

Otóż tak scharakteryzowana forma pism Augustyna ma być dla wydawców tych pism nielada pomocą. Ułatwia ona niepomiarne spełnienie właściwego i jedynego zadania, które miały spełnić już według zamierzenia autora i które polegało na tym, by „przysłonić człowiekowi krytyczne spojrzenie na obiektywną rzeczywistość i obezwładnić go w walce o postęp społeczny” (str. 199). Tego „obezwładnienia” ma dokonać wyżej zanalizowana treść filozoficzna, ukazująca przedmiot prawdziwego szczęścia nie na tym świecie i podporządkowująca cały ludzki wysiłek poznawczy i całe działanie „duchownemu zwierzchnictwu” Kościoła. Otóż poza doraźnymi niejako skutkami, jakie filozofia Augustyna miała sprawić przez swą negację świata w strukturze ówczesnego społeczeństwa (wzmocnienie władzy i wpływów Kościoła reprezentującego klasy posiadające) — „jest to próba obrony religii przed naukową krytyką. Godne uwagi jest tu stanowisko Augustyna, że zasady «prawdziwej filozofii» nie sprzeciwiają się twierdzeniom dyktowanym przez wiarę. Nie chodzi tu tylko o to, że «prawdziwa filozofia» nie oznacza u Augustyna nauki opartej na doświadczeniu świata zewnętrznego, lecz na wewnętrznym «doświadczeniu» i działaniu «laski» i że dlatego «prawdy filozoficzne» w tym rozumieniu nie mają nic wspólnego z nauką. Idzie tu o znalezienie i wskazanie nowych możliwości wcielenia i zaprzęgnięcia zdobyczy naukowych w służbę ideologii katolickiej, idzie o to, by w świetle wskazanej przez Augustyna umiejętności zmienić i zniekształcić rzeczywistą treść i znaczenie współczesnych osiągnięć naukowych, wykorzystywać je dla pseudoracjonalnego tłumaczenia zasad teologii i filozofii kościelnej. Trzeba więc, wzorem Augustyna, przyswoić sobie pozornie współczesne poglądy naukowe i zarazem umieć je podporządkować teorii «rzeczywistości zaświatów» i światopoglądowo unieszkodliwić. Innymi słowy, trzeba na gruncie ideologicznym umieć zwalczać przeciwnika jego własną bronią, to znaczy zdobyć ją i wykorzystać w odpowiednich okolicznościach” (str. 200).

„Filozofia Augustyna ma przekonać, że świat zewnętrzny, materia i człowiek mają jedno wspólne i pierwotne źródło, boga, i że nie poznanie świata ani umiejętności wykorzystania tego dla potrzeb człowieka, lecz pozna-

nie owego absolutnego początku i źródła istnienia pozwala człowiekowi osiągnąć prawdę i szczęście. Ponowne sięgnięcie do Augustyna w dobie dzisiejszej jest próbą defensywy ze strony filozofii katolickiej w celu światopoglądowej neutralizacji nauki i «przezwyćżenia» naukowej filozofii materialistycznej. Wykazując, że materia, świat zewnętrzny, życie społeczne i umysłowe człowieka w ostatniej instancji zależą od swego «pierwotnego i absolutnego» źródła i do niego powracają, że poznanie świata musi doprowadzić człowieka do poznania zaświata i do stwierdzenia, że w konsekwencji wszystko odeń zależy, pragnie się między innymi znaleźć drogę pozornej «ugody» między wiarą i nauką. Filozofia i metoda Augustyna, zastosowana w szczególności w jego dialogach filozoficznych, nadają się do tego celu znakomicie. Przy pomocy jego dualizmu treści pojęciowych można wszystkiemu nadać pożądaną treść i wszystko wytłumaczyć przez przypisywanie odpowiedniego drugiego sensu pojęciom» (str. 201).

„Dialogi filozoficzne Augustyna mają przekonać współczesnego czytelnika, że jedynie w świetle wiary może on ocenić i właściwie zrozumieć rzeczywistość, to znaczy dojrzeć ją sub specie życia i szczęścia nadprzyrodzonego, któremu wszystko trzeba podporządkować, podporządkowując sobie zarazem «zwierzchnictwu duchownemu» i rezygnując z czynnej walki o przeobrażenie rzeczywistości społecznej. Filozofia Augustyna ma dać możliwość stworzenia nowej metafizyki świata, która by mogła skutecznie stanąć do walki i przewyciężyć naukową filozofię materialistyczną, narzucając swym wyznawcom odpowiednią postawę w praktyce życiowej» (str. 201).

Wokół nawrócenia św. Augustyna

Wydaje się, że nie cały wywód Legowicza, zmierzający do historycznego (chyba w przeciwieństwie do dotychczas panującego „psychologicznego”) ujęcia nawrócenia Augustyna, zasługuje na jednakowe potraktowanie. Jego dwie tezy, które się nawzajem uzupełniają: 1) że Augustyn był tylko narzędziem w rękach hierarchii kościelnej, odkąd ta upatrzyła go sobie na ideologa polityki Kościoła, 2) że zwierając się swoim czytelnikom — ze ściśle określonych powodów kłamał, przedstawiając im własne przeżycia religijne, których nigdy nie było, a które miały mu służyć jako maska zakrywająca prawdziwe jego oblicze — te dwie zasadnicze tezy nie mają jednakowej wartości. Wydaje się, że drugą należy bezwzględnie — właśnie na zasadzie historycznej analizy — odrzucić, pierwszą w znacznym stopniu zmodyfikować.

Zacznijmy od pierwszej.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że funkcja społeczna katolicyzmu na początku IV wieku uległa w stosunku do poprzednich stuleci daleko idącym zmianom. Kierunek tych zmian uwidocznił się nazajutrz po ogłoszeniu edyktu mediolańskiego, którego rezultatem było nie tylko równouprawnienie, ale i pewne uprzywilejowanie chrześcijaństwa: z chwilą gdy przyjął je cesarz i jego dwór — stawało się jakby oficjalną religią państwową. Dla Kościoła katolickiego był to fakt brzemienny w doniosłe następstwa. Zapewniał mu bowiem widoki łatwiejszego niż dotąd rozwoju nie tylko dzięki usunięciu dotychczasowych trudności, takich jak prześladowania ze

strony władzy państwowej, ale także dlatego, że oddawał w ręce hierarchii kościelnej nowe środki oddziaływania, dzięki którym Kościół stawał się niemalą potęgą polityczną. Znalazło to także wyraz w stanowisku Kościoła wobec herezji.

Walka z herezjami, która datuje się niemal od założenia Kościoła, od czasu edyktu mediolańskiego przybiera nieco odmienne formy niż dotychczas. Nie rezygnując bynajmniej z przekonywania odstępców i heretyków przy pomocy dysput dogmatycznych, katolicy starają się zapewnić sobie nad nimi także przewagę polityczną przez zdobycie wpływu na dworze cesarskim. Pod koniec wieku IV chrześcijaństwo jest religią panującą, kult pogański jest zakazany, a początek wieku V przynosi wykluczenie pogan od sprawowania jakiegokolwiek urzędu. Kościół ma więc coraz większe możliwości korzystania z pomocy owego *bracchium saeculare*, zarówno w obronie przed atakami z zewnątrz, jak i dla zwalczania wewnętrznych buntów i sporów, pokusa miecza i władzy jest coraz silniejsza. Głosy oburzenia i protestu przeciwko temu zaświecczeniu członków Kościoła, jak namiętna i przepelniona goryczą uwaga św. Hieronima o pozornym tylko powodzeniu Kościoła bogatego we władzę i potęgę, ale ubogiego w cnoty, są dostatecznym dowodem z jednej strony owego zbyt gorliwego zdobywania wpływów świeckich, z drugiej strony świadomości, że nie to jest właściwym celem chrześcijaństwa ani nawet stosownym środkiem prowadzącym do tego celu.

Jak wygląda w tym przełomowym okresie stosunek chrześcijan do pogaństwa pojętego nie jako określone wierzenia i kultury oraz związane z nimi moralność, ale jako kultura, dobro duchowe i materialne wytworzone przez twórcy wysiłek człowieka?

Trzeba przyznać, że i w tej dziedzinie nastąpiła pewna zmiana. Zmiana ta zresztą nie dotyczyła jakiegś ogólnej postawy autentycznego chrześcijaństwa wobec kultury w ogóle, sprowadzała ona jednak stopniowe osłabienia się nieufności wobec dorobku myśli pogańskiej, będące zawsze wyrazem troski o zachowanie depozytu wiary. Było to zresztą zrozumiałą reakcją wobec historycznych przemian rozbrajających w dużej mierze pogańską religię jako współzawodniczkę chrześcijaństwa. Stosunek do pogańskiej teraźniejszości zmienił się z czasem na stosunek do pogańskiej przeszłości, co pozwalało z mniejszą nieufnością a większym sentymentem traktować dorobek myśli pogańskiej jako tradycję. Nie należy przy tym zapominać, że wieki rozdziału i prześladowań mimo wszystko dokonały ogromnego zbliżenia między chrześcijaństwem i kulturą pogańską, choć zbliżenie to następowało z obydwu stron zawsze z dużą rezerwą.

Niemniej w w. IV pogaństwo, mimo edyktu mediolańskiego, było jeszcze ciągle „teraźniejszością“, w stosunku do której zachowywano daleko idącą ostrożność. Duża ilość ludności Imperium była jeszcze pogańska i dobra kulturalne w przeważającej części znajdowały się w rękach pogan. Restytucja pogaństwa, dokonana przez Juliana Apostatę, choć krótkotrwała, mogła wydawać się niebezpieczna. Czy była istotnie, to inna sprawa. Miała ona wprawdzie posmak jakiegoś odrodzenia się tradycji narodowych i odwoływała się do uczuć patriotycznych wskrzeszając hellenistyczne tradycje nie tylko religijne, lecz i narodowe. Julian mówiąc o chrześcijanach jako o „Galilejczykach“ myślał również o niegreckim, a więc barbarzyńskim pochodzeniu ich religii. Ale ostatecznie porwała tylko konserwatywnych

marzycieli, „romantyków“ podobnych do samego cesarza. Jeśli idzie o chrześcijan, to dla nich najdotkliwszym ciosem w tym krótkim okresie reakcji pogańskiej było niewątpliwie usiłowanie zamknięcia dostępu do dóbr kultury helleńsko-rzymskiej, której wartość już byli dobrze poznali i za której nie tylko spadkobierców, ale i współtwórców mieli prawo uważać siebie. Legowicz charakteryzując ich reakcję na wskreszenie pogaństwa trafnie posługuje się wypowiedziami Grzegorza z Nazjanzu i Bazylego. Istotnie, próba restytucji pogaństwa, choć zakończona niefortunnie, wydawała się wielu przedstawicielom ówczesnego Kościoła groźna i skłaniać ich mogła do przedsięwzięcia skutecznych środków zaradczych.

Czy jednak te środki zaradcze miały polegać — jak pisze Legowicz — na „przewycięzeniu neoplatonizmu przy pomocy neoplatonizmu schryścianizowanego“, czyli mówiąc innymi słowy — na chytrym chwycie taktycznym? Zgodnie z prawdą odpowiedź na to pytanie nie jest wcale tak łatwa, jak ta, którą daje Legowicz.

Nie idzie tu bynajmniej o to, by oceniając tego rodzaju taktykę jako nieuczciwą intelektualnie twierdzić, że nie mógł jej stosować biskup katolicki dlatego właśnie, że byłaby niemoralna. Postawa katolickiego historyka nie wymaga tego rodzaju aprioryzmu. Nietaktyczny stosunek Ambrożego i samego Augustyna do zagadnienia recepcji neoplatonizmu da się udowodnić bez powoływania się na to, że Ambroży był w r. 385 biskupem Mediolanu, a Augustyn w kilkanaście lat później został biskupem Hippony, obaj zaś po śmierci wyniesieni zostali na ołtarze. Spróbujmy tylko idąc za sugestią omawianego artykułu spojrzeć na zagadnienie od innej nieco strony, niż to uczynił Legowicz.

Wspomina on o dwojakiego rodzaju trudnościach, jakie Kościół miał do pokonania na skutek restytucji Juliana: politycznych i ideologicznych. Pierwszych nie tłumaczy szerzej, niemniej należy się domyślać, że pokonanie ich rozumie także jako takie umocnienie politycznej pozycji Kościoła, które by eliminowało ograniczenia w odbiorze dóbr świeckiej kultury duchowej przez katolików. Jest to zrozumiałe tym bardziej, że w drugiej połowie IV wieku, niezależnie nawet od wysiłków Juliana, np. oficjalne szkolnictwo było jeszcze prawie całkowicie w rękach pogan. Wobec tego — i tu wkraczamy w dziedzinę przewycięzania trudności ideologicznych — należałoby tylko dokonać jakiegoś zneutralizowania różnic dzielących oficjalnych przedstawicieli myśli helleńskiej od ludzi Kościoła. Czynnikiem neutralizującym miałyby być schryścianizowanie neoplatonizmu, polegające na kłaniuwej (tak wynika z rozumowania Legowicza) sugestii, że między neoplatonizmem, będącym od czasów Juliana wyrazem światopoglądu pogańskiego, a chrześcijaństwem nie ma żadnych istotnych różnic.

Nie chcę bynajmniej *a priori* odrzucać sugestii Legowicza i twierdzić, że św. Ambrożemu nie mogło przyjść na myśl takie rozwiązanie trudności. Dziwne wprawdzie, że nie pomyśleli o nim Ojcowie wschodni (np. Grzegorz z Nazjanzu), których ta sprawa niewątpliwie żywiej obchodziła i którzy nie potrzebowaliby przynajmniej ciągnąć gwałtem jakiegoś Wiktoryna na swoją stronę i namawiać go do przełożenia Płotyna na łacinę, skoro sami rozumieli go — równie dobrze jak i poddani ich opiece wierni — po grecku. Ale ostatecznie, przyznając, że jest to niezupełnie oczywisty punkt rozumowania, zgódźmy się, że to właśnie Ambroży mógł zamiar taki powziąć

i znaleźć w Augustynie jego realizatora. Tylko że wtedy nie wolno nam zapomnieć o dwu innych niezmiernie ważnych sprawach.

Po pierwsze — o tym, że filozofia św. Augustyna nie jest w historii myśli chrześcijańskiej pierwszą próbą adaptacji neoplatonizmu. Wszak już o dwa prawie wieki przed Augustynem, niemal współcześnie z powstaniem systemu Plotyna, neoplatonizm chrześcijański — wprowadził inny nieco niż augustyński — reprezentuje Orygenes, a po nim uczeń jego, Grzegorz Cudotwórca. Trzeba pamiętać także, że właśnie w drugiej połowie IV wieku neoplatonik Orygenes jest wprowadzony dzięki przekładom Hieronima i Rufina postacią bardzo na chrześcijańskim Zachodzie popularną, ale system jego przyjmowany jest z dużymi zastrzeżeniami; wokół niektórych jego poglądów toczy się w tym czasie namiętna polemika, w której ze stanowiska katolickiej ortodoksji piętnuje się w systemie Orygenesza tezy z ducha neoplatonistyczne, a sformułowane w wyniku zbyt pochopnego wtlaczania treści Objawienia w ramy koncepcji neoplatonistycznych. Nie wdając się w zawarte w tej polemice szczegóły wystarczy przypomnieć choćby niektóre listy św. Hieronima, piętnujące popełnione pod wpływem orygenizmu błędy Rufina czy wyrażające *expressis verbis* stosunek autora do samego Orygenesza: Hieronim, pełen szacunku i podziwu dla tego myśliciela, stwierdza wyraźnie, że nie wszystkie koncepcje Orygenesza są zgodne z duchem doktryny (np. jego poglądy na wzajemny stosunek Osób Trójcy Świętej). Oczywiście nie oznacza to, że poglądy św. Hieronima są poglądami panującymi wśród myślicieli chrześcijańskich, a już tym bardziej nie można z analizy wypowiedzi Hieronima wyciągać wniosku, że antyneoplatonistyczne jest stanowisko oficjalne Kościoła. I to nie tylko dlatego, że neoplatonizm chrześcijański typu Orygenesza zbyt silnie był zabarwiony pokrewną neoplatonizmowi filozofią Filona. Fakt ten nie ma zasadniczego znaczenia, jeśli się zważy, że w oczach starożytnych chrześcijan zarówno Plotyn, jak i Filon, jak i sam Orygenes byli „platonikami“, wywodzili się z jednego kierunku platońskiego. Klasyfikacja tego typu co stosowana w nowożytnych podręcznikach filozofii była starożytności chrześcijańskiej w tym wypadku raczej obca. O wiele ważniejsze jest to, że zarówno w osobie Orygenesza, jak i Filona widziano tego, który usiłował w kategorii platońskiej ująć treść Objawienia. Próba ta, jeśli idzie o Orygenesza, niezupełnie się udała. Być może, że w ocenie tego faktu zdania myślicieli IV wieku były podzielone: jedni, jak św. Hieronim, zbyt niechętnie ustosunkowywali się do koncepcji Orygenesza, inni uważali, iż fakt, że próba jego nie udała się, nie przesądza jeszcze o wartości samego pomysłu. Przykładem tego stanowiska byłby Rufin, tłumacz Orygenesowego dzieła *Περὶ ἀρχῶν*. Zresztą i sam Hieronim w różnych okresach życia rozmaicie wyrażał się o Orygenesie. Czy Ambroży i jego współpracownik Symplicjan byli ludźmi tego drugiego typu, to wymagałoby dokładniejszego zbadania. W danym wypadku jednak pewność w tej sprawie o tyle nie jest potrzebna, że przypuszczenie, iż oni właśnie wywarli poprzez swoją zachętę jakiś wpływ na kształtowanie się doktryny Augustyna, wielce prawdopodobne, bo — jak się zdaje — potwierdzone przez *Wyznania*, nie oznacza jeszcze wcale, że ich zamiarem było „przewycięzenie“ neoplatonizmu, czyli taka recepcja systemu Plotyna, która by, opierając się na przekonaniu o błędności tego systemu, sfingowała jego nieistniejącą zgodność z doktryną chrześcijańską i w ten sposób unieszkodliwiła jego wyznawców a zarazem przeciwników

chrześcijaństwa. Relacja *Wyznań*, nie przekreślając możliwości oddziaływania Ambrożego na Augustyna (poprzez Symplicjana, a także osobiście), mającego na celu — być może, ale o tym z *Wyznań* nic nie wiemy — ukazanie Augustynowi zagadnienia w skali ogólnego dobra Kościoła, a nie tylko jego osobistych trosk i pasji, potwierdza mocno jedynie osobiste zaangażowanie Augustyna w tę sprawę.

Na marginesie tych rozważań warto odnotować jeszcze jedno zagadnienie, które trzeba wziąć pod uwagę, jeśli się przyjmuje, że recepcji neoplatonizmu (a raczej — jeśliby konsekwentnie stać na stanowisku Legowicza — recepcji chrześcijaństwa, skoro był z wykształcenia i z przekonań neoplatonikiem) dokonał Augustyn głównie wskutek inspiracji hierarchów mediolańskich. Idzie o to, czy można twierdzić, że Augustyn jeszcze przed wyjazdem z Afryki do Italii był głośnym znawcą i wyznawcą neoplatonizmu. Legowicz bowiem przypuszcza, że hierarchowie mediolańscy „postawili” na Augustyna już w chwili podjętej przez niego decyzji wyjazdu do Italii. Otóż wydaje się, że tak być nie mogło.

Wyznania, które są tu jedynym źródłem informacji, a z których nie można wywieść żadnych dokładnych danych o tym, kiedy i gdzie Augustyn zapoznał się z neoplatonizmem i w jakim stopniu fakt ten mógł być przed zetknięciem się Augustyna z Symplicjanem znany w kołach mediolańskich, nie potwierdzają bynajmniej koncepcji Legowicza. Jeśli się wczuć w atmosferę ówczesnego oficjalnego wykształcenia, jakie zdobywano w państwowych szkołach retorycznych (pogańskich) na Zachodzie, stwierdzi się tyle tylko, że programy owych szkół nie budziły zbyt intensywnie ani neoplatonickich, ani jakichkolwiek innych zainteresowań filozoficznych. To, co w tym zakresie zdobył Augustyn, zawdzięcza on własnej pasji, rozbudzonej wprawdzie w szkole retorycznej, ale przygodnie, na marginesie innych zainteresowań przewidzianych w programie nauczania. Toteż jeśli przyjmować jakieś określone zamiary w stosunku do Augustyna ze strony Ambrożego i Symplicjana, to bardziej prawdopodobne wydaje się, że Augustyna jako myśliciela o zainteresowaniach i zamiłowaniach neoplatonickich poznano dopiero w czasie pobytu jego w Mediolanie i że tam dopiero powstać mogły w umysłach hierarchów mediolańskich owe zamiary. Rzekoma trudność, jaką Legowicz widzi w fakcie, iż Augustyn, oficjalny manichejczyk, zaraz po przybyciu do Mediolanu złożył wizytę Ambrożemu, bardziej przekonująco tłumaczy się inicjatywą Augustyna, płynącą z chęci zapoznania się z katolicyzmem za pośrednictwem bardzo reprezentatywnej i sławnej osoby Ambrożego, niż misternie wykombinowanym przez Legowicza zamiarem usidlenia manichejczyka i uczynienia z niego narzędzia dla wykonania chytrych planów.

Jest to zresztą sprawa mniejszej wagi. Daleko poważniejsze zastrzeżenia budzi druga teza Legowicza, jakoby hierarchowie mediolańscy w ciągu niewielu miesięcy przerobili zacieklego manichejczyka w posłuszne sobie narzędzie. Trudność powstaje wówczas, gdy przyjmiemy, że Augustyn jeszcze wtedy traktował na serio manicheizm jako jego wyznawcę i do Mediolanu przyjechał dla zrobienia kariery nauczycielskiej nie myśląc w ogóle o zbliżeniu się do katolicyzmu, jak nam usiłuje wmówić Legowicz.

Trzeba tu zwrócić uwagę na jeden ważny szczegół, który Legowicz beztrosko pominął w swoich rozważaniach. Uznaje on bowiem tylko taką al-

ternatywę: albo nawrócenie Augustyna było cudowne, albo dokonało się pod naciskiem propagandy, któremu Augustyn uległ ze względów natury oportunistycznej. Ponieważ pierwsze jest dla niego nonsensem, przyjmuje drugie — bo tylko presja (obojętne w jakiej formie — może to być nawet presja intelektualna) tłumaczy mu nagle nawrócenie Augustyna. Tymczasem to nawrócenie nie dokonało się w Mediolanie i nie dokonało się w ciągu krótkiego czasu znajomości z Symplicjanem i Ambrożym. Mediolan stanowi tylko ostatni jego etap, jest jakby ukoronowaniem wszystkich wysiłków Augustyna. Pierwszy etap to pogańska szkoła retoryczna w Kartaginie, gdzie Augustyn zapoznał się z *Hortensjuszem* Cycerona. Pismo to z lekkoducha uczyniło go filozofem, kazało mu szukać prawdy w manicheizmie, zwątpić o prawdzie w myśl poglądów starożytnych sceptyków — znów pośrednio pod wpływem Cycerona, od którego przecież poznał poglądy sceptyków. Drugim zasadniczym współczynnikiem jego rozwoju umysłowego były nabyte w dzieciństwie wyobrażenia religijne i wpływ matki. Te dwa współczynniki zwróciły go ku filozofii — zabarwionej religijnie, i to po chrześcijańsku, od początku. Co innego wyobrażenia religijne (niesprecyzowane, niejasne, jeśli idzie o Augustyna), co innego ich uzasadnienie i wytłumaczenie filozoficzne. Tego dostarczył Augustynowi neoplatonizm, do którego zwrócił się po trudnościach spowodowanych manicheizmem, ale i ten nie wystarczył; ostatecznie głębsze poznanie doktryny katolickiej, przede wszystkim moralnej, dopełniło owego nawrócenia, które nie było bynajmniej dziełem jednej chwili, lecz — tak jak można uchwycić je w granicach historycznego badania, bez uciekania się do tłumaczenia wszystkiego czynnikami nadprzyrodzonymi, działaniem łaski (któremu zresztą nie ma potrzeby zaprzeczać, tylko że gdzie wystarczą *secundae causae*, tam nie trzeba odwoływać się do pierwszej przyczyny) — długiej pracy i długich poszukiwań i spekulacji, niepokoju i wysiłku. Taką interpretację, będącą wulgatą, uznała przez najlepszych znawców Augustyna, usiłowaliśmy ze swej strony wyrażać zarówno w komentarzach do dialogów, jak i w artykułach na temat nawrócenia św. Augustyna.

Oczywiście, że przedstawione tu dzieje tego nawrócenia opierają się wyłącznie na relacji Augustyna i kto ją uzna za kłamstwo, mające pozorami religijno-moralnego przeżycia osłonić istotnie wcale nie religijne raczej przejście Augustyna na katolicyzm, dla tego żadna źródłowa wartość owej relacji nie istnieje. Ale na temat kryteriów, według których rozsądza się o prawdziwości czy fałszywości tej relacji, niewiele już da się powiedzieć. Można bowiem, stojąc na stanowisku jakiejś „hiperkrytyki“, zakwestionować wiarogodność każdego właściwie źródła historycznego. Można każdemu autorowi, niezależnie od tego, czy mówi o sobie i sprawach związanych z własną osobą, czy też o sprawach nie dotyczących go wcale, zarzucić kłamstwo, w dobrej wierze, że się w ten sposób dokonuje jakiegoś wiekopomnego odkrycia. Niekiedy stanowisko takie może istotnie doprowadzić nawet do rewelacyjnych odkryć. Gdyby nie krytyczny zmysł Lorenza Valli oraz jego średniowiecznych poprzedników, jak Abelard, może do dziś uważalibyśmy Pseudo-Dionizego Areopagite'go za ucznia św. Pawła, tak jak uważano go za ucznia św. Pawła niemal powszechnie w średniowieczu. *Consensus omnium* jeszcze niczego nie dowodzi, cóż dopiero *consensus* uczuciowo nieobojętnych, którzy — jeśli idzie o św. Augustyna — znajdują w nim poprzednika swych własnych przeżyć (wszelkiego rodzaju kon-

wertyci!) czy wręcz ideał stawiania się świętym, godny naśladowania. Tylko pytać trzeba, czy w wypadku Augustyna można — i dla jakich racji można — zakładać z góry, że cała jego „spowiedź z dróg poszukiwania prawdy“ była mistyfikacją. Widzieliśmy, że dowodów źródłowych potwierdzających to *expressis verbis* nie ma, a dokonana przez Legowicza interpretacja istniejących, stwierdzających *expressis verbis* coś wręcz przeciwnego, jest może świadectwem wspaniałej fantazji i wzorem bardzo pracowitej konstrukcji myślowej, ale w całą sprawę wprowadza daleko większy niż źródła element cudowności i przedstawia się daleko mniej prawdopodobnie niż potwierdzony setkami faktów proces dochodzenia do katolicyzmu na drodze przekonania i urzeczenia prawdą i pięknem jego doktryny, proces odznaczający się w wypadku Augustyna niezwykłą prawdziwością i prawidłowością psychologiczną.

Chciałbym mocno podkreślić, że stawiając tak zagadnienie staram się zrozumieć w pełni motywy natury światopoglądowej, jakie skłoniły Legowicza do podejrzwania relacji *Wyznań* i innych pism św. Augustyna o mistyfikację. Chcę dostrzec logiczny związek między marksistowską tezą o fikcyjności przedmiotu uczuć i przekonań religijnych a tezą Legowicza o fałszywości psychologicznej tych uczuć i przekonań. Niestety, związek taki nie istnieje i artykuł Legowicza, mający być marksistowską interpretacją *Wyznań* i *Dialogów filozoficznych*, zadania swego nie spełnia o tyle, że wprowadza do tej interpretacji element nie wynikający ani z tez światopoglądu marksistowskiego, ani z danych źródłowych. Jest on więc tylko dowolną konstrukcją myślową, opartą o wielką może fantazję naukową autora, lecz właśnie jako twór fantazji, wykorzystanej nie dla wykrycia prawdy, ale dla powiedzenia czegoś oryginalnego, bez względu na prawdę, nie przedstawia w swej części dotyczącej prawdziwości relacji Augustyna żadnej wartości.

Augustynizm, neoplatonizm, manicheizm

Uwagi powyższe załatwiają tylko jedną połowę sprawy: stwierdzając, że według wszelkich danych, jakie mogą dać pewność w ramach omawianego zagadnienia, nawrócenie Augustyna było zgodne z relacją *Wyznań* i innych autobiograficznych fragmentów jego pism, tj. szczere i nie powodowane żadnymi względami innymi jak pasja intelektualna i wrażliwość moralna; co zaś do wpływów Ambrożego i Symplicjana, nie negując ich, prowadzą do uznania ich za wpływy natury ideologicznej — żeby użyć modnej dziś terminologii — nie oportunistycznej. Pozostaje jednak jeszcze druga połowa sprawy: jaka była istotna wartość doktryny filozoficznej św. Augustyna, jeśli się ją ocenia biorąc pod uwagę rolę, jaką odegrała w rozwoju myśli ludzkiej, w doskonalącym świat i człowieka budowaniu kultury. Podobnie jak w pierwszej części niniejszej repliki, tak i tu oceniać będę rzeczy według kryteriów narzuconych mi przez artykuł Legowicza, polemizując z nim na jego własnym terenie. Jednocześnie zaś postaram się rozpatrzyć problem w ujęciu historycznym. Dlaczego te dwie sprawy, tj. stanowisko Legowicza i historyczną ocenę augustynizmu, przeciwwstawiam, to się okaże w dalszym ciągu moich rozważań.

Należy zacząć od najogólniejszego stwierdzenia, że filozofia św. Augustyna jest istotnie w pewnym sensie jednostronna. „*Deum et animam sci-*

re cupio. — *Nihilne plus? — Nihil omnino*“. Cytując te słowa, najdosadniej określające przedmiot augustyńskiej filozofii, nie bez racji można przypisać augustynizmowi dużą dozę bądź zamierzonej, bądź niezamierzonej pogardy dla świata, dla doczesnych celów i zadań człowieka. Nie bez racji też można o filozofii Augustyna powiedzieć, że zamyka swe zainteresowania przede wszystkim w granicach zagadnienia osobistego stosunku człowieka do Boga z wyraźnym lekceważeniem wszystkiego, co bezpośrednio nie jest temu zagadnieniu logicznie podporządkowane, przy czym kryteria podporządkowania nie zawsze dobierane są na chłodno i wszechstronnie. Łącząc te wszystkie elementy należy jednak powiedzieć o augustynizmie, że mimo specyficznej jednostronności jest on doktryną niewątpliwie uniwersalistyczną, ale patrzącą na wszystko nie tylko *sub specie aeternitatis*, lecz w pewnym znaczeniu od strony Boga i udziału człowieka w sprawach Bożych. Bo „*Deum et animam scire cupio*“ nie wyklucza żadnego innego poznania, lecz stwierdza potrzebę oświecenia każdego poznania tamtym upragnionym przez Augustyna.

Nawet przyjmując ortodoksyjnie katolicki punkt widzenia w ocenie augustynizmu musimy mu stawiać pewne zarzuty, usprawiedliwione zresztą możliwością patrzenia nań z perspektywy piętnastu wieków i zestawienia go z innymi kierunkami myśli chrześcijańskiej, przede wszystkim zaś z tym, który tak wiele odziedziczył po Augustynie, ale jednocześnie tak daleko od niego w różnych szczegółach (a zresztą nie tylko w szczegółach) odszedł. Mówię o tomizmie. Nie siląc się na pełną „*synkrisis*“ tych dwu najbogatszych i najbardziej wpływowych w historii myśli chrześcijańskiej systemów, chcę porównanie ich w jednym tylko, ale ważnym szczególe uczynić punktem wyjścia dla oceny augustynizmu. Niech będzie nim najogólniej zarysowana koncepcja człowieka w obu systemach. W jednym jest ona syntezą Objawienia i spekulacji platońskiej, w drugim — Objawienia i spekulacji arystotelesowskiej, przy czym punkt wyjścia dla tej syntezy i sposób jej budowania jest w obu systemach zasadniczo różny. Choć bowiem łączy je fakt zespolenia dwu odrębnych pierwiastków, to jednak dzieli je nie tylko różnica poszczególnych pierwiastków w elementach składowych syntez, ale i różnica w metodzie dokonania tych syntez. Najogólniej, popołniając wszystkie konieczne uproszczenia, można powiedzieć, że Augustyn dowodzi Objawienia neoplatonizmem (*crede, ut intel- ligas*), Tomasz — arystotelizm sprawdza Objawieniem.

Przypomnienie tej aż nazbyt znanej genezy jest potrzebne dla uwydatnienia istotnych podobieństw i różnic. Trzeba od razu dodać, że augustyńska koncepcja człowieka nie jest statyczna (mam na myśli jej stan już „uformowany“ po neoplatońsku), lecz rozwija się w ściśle określonym kierunku, który można by nazwać wyzwaniem się z neoplatonizmu na rzecz pełniejszej i bardziej autentycznej interpretacji Objawienia. Od platońskiej teorii *ψυχη — δεσμευμένη τῆς ψυχῆς* od teorii, która uważa fakt przebywania duszy ludzkiej w ciele za karę i nieszczęście, do augustynizmu już z *Dialogów filozoficznych* jest daleka droga. O ileż dalsza do augustynizmu z lat ostatnich życia biskupa Hippony! Wystarczy bez uprzedzeń wczuć się w intencje kilku fragmentów *Retractationes*, w te lakoniczne i suche zdania poprawiające „*censorio stylo*“ dzieła młodzieńcze, żeby stwierdzić nie tylko odcięcie się od skrajności platońskiego spirytualizmu, ale i wielki postęp w kierunku ortodoksji chrześcijańskiej. Ortodoksji, która uświadamia waż-

ność i wartość każdego tworu Bożego, a więc i materii, ontologiczną — jeśli tak można się wyrazić — pogardą darzonej przez Plotyna!

Wróćmy jednak do naszego porównania. Jeśli św. Tomasz umiał przejąć od Arystotelesa zasadą materii i formy wytłumaczyć związek duszy z ciałem (którego — *nota bene* — Augustyn nigdy nie rozumiał i szczerze przyznawał się do swych trudności), a skutkiem jego koncepcji, konstatującej, że bez ciała nie ma człowieka (ponieważ nie ma bytu bez jednego z tych dwu składników — materii i formy), była trudność w wytłumaczeniu z kolei istnienia duszy po śmierci ciała, w wyniku której Tomasz musiał dodać do swej koncepcji pojęcie wirtualnego związku duszy z ciałem po śmierci — to w przeciwieństwie do tej logicznej i zamkniętej konstrukcji Augustyna tak precyzyjnie skonstruowanej koncepcji człowieka nie stworzył, mimo że rozważania na ten temat posiadają u niego nie mniejszą rangę niż u Tomasza. Można by zaryzykować twierdzenie, że fakt ten jest skutkiem oscylowania między doskonałą logiczną koncepcją platońską a treścią Objawienia, że wynika on z trudności pogodzenia jednego z drugim na gruncie koncepcji człowieka. „Uchryścianizowanie“ neoplatonizmu nie było bowiem rzeczą łatwą, przynajmniej w wypadku, gdy chciało się użyć go jako narzędzia ujmującego w kategoriach filozoficznych treść Objawienia, a nie traktować jako schematu, który już *in nuce* zawierał w sobie jego treść. To uchryścianizowanie neoplatonizmu, mające swe precedensy już w w. III, niezbyt zresztą pomyślne, u Orygenesa, nie polegało tylko na znalezieniu analogii między Logosem platońskim a Logosem z Ewangelii św. Jana. Tak sugestywna, ale w gruncie rzeczy tylko słowna analogia, której uległo tylu myślicieli chrześcijańskich od Justyna i Klemensa Aleksandryjskiego, budzi już w *Wyznaniach* wątpliwości Augustyna. Czytałem — powie on — u Plotyna, że na początku było Słowo. Ale nie czytałem, że Słowo stało się ciałem i mieszkalo między nami. Choć zastrzeżenia te godzą w zakres, a nie w istotę analogii, to jednak już i w takiej postaci są ważne. Daleko ważniejszy rozdzźwięk między Augustynem i neoplatonizmem spotkamy wszędzie tam, gdzie trzeba będzie neoplatoniskiej emanacji przeciwstawić mające tylko w Biblii oparcie pojęcie *creatio ex nihilo*. Nie jest to tylko proste zastąpienie jednego pojęcia drugim. Przyjęcie faktu stworzenia pociąga za sobą konieczność uznania materii za byt rzeczywisty, stworzony przez Boga i — co za tym idzie — nie mogący być, jako dzieło Boga, źródłem zła, podczas gdy u Plotyna materia stoi ledwie na granicy niebytu jako ostatnia postać emanacji. Różnica ta, niewielka może na gruncie metafizyki, urasta do ogromnych rozmiarów na gruncie augustyńskiej „antropologii“. Nie próbujemy twierdzić, że Augustyn wykorzystał ją w stopniu dostatecznym, że wyciągnął z niej wszystkie konsekwencje. Jak wszędzie, tak i tu powtarzane wielokrotnie zdanie, że nie stworzył systemu, ma swój konkretny sprawdzian. Augustyn rozpraszał się w szczegółach, bądź rysował tylko najbardziej schematyczne szkice, którym do wykończenia brakło ostatecznego rozwiązania kilku szczegółowych problemów. Ma on na przykład trudności nie tylko z wytłumaczeniem natury ciał ludzi zbawionych i zmartwychwstałych cielesnie po Sądzie Ostatecznym, ale i z wytłumaczeniem natury ciał ludzkich przed grzechem pierworodnym. W tym ostatnim wypadku odziedziczony po pitagorejsko-platońskich spekulacjach schemat *σωμα-σῆμα* rodzi wielkość powtarzane wątpliwości, czy ciało ludzkie było przed grzechem pierworodnym tą samą, czy in-

nej natury materia. Są to szczegóły wprowadzić, ale szczegóły nie pozbawione istotnego znaczenia dla ogólnego obrazu chrześcijańskiego neoplatonizmu Augustyna. Nie stanowią one w każdym razie problemów jakiejś szkolarskiej zabawy w sofizmaty. Wyciągnąć można z nich wnioski, które stosują się do spraw życia ludzkiego w najróżnorodniejszych jego przejawach. Czy wnioski takie wyciągnął Augustyn i czy je w pełni, konsekwentnie stosował w formułowaniu swoich poglądów na sprawy życia doczesnego, to inne zagadnienie, nad którym nie zamierzam się tu dłużej zatrzymywać. Najbardziej nawet pobieżny przegląd augustynizmu narzuca wniosek, że tak nie było. Ile w tym „winy“ konstrukcji psychicznej Augustyna, jego zbyt intensywnego (choć — w myśl tego, co powiedziałem wyżej — bynajmniej nie nagłego) ośnienia „filozofią zaświatów“ (żeby użyć wyrażenia z artykułu prof. Legowicza), a ile obiektywnych, zewnętrznych okoliczności, które jakiś wpływ na kształtowanie się jego filozoficznej postawy wywarły, nie zamierzam tu rozstrzygać. Jest to problem w gruncie rzeczy dość nieistotny: rozwiązanie go pozwoli skonstatować tylko pewną sumę faktów, które do zagadnienia oceny augustynizmu z pozycji określonych na początku nic nie wnoszą. Dla tej oceny wystarczy powołać się na wspomniane już szczegóły „antropologii“ augustyńskiej, by nie przekraczając zakresu dopuszczalnego w takiej ocenie, bez „pobożnych życzeń“ i fantazjowania, stwierdzić, że mimo ważnych różnic, jakie dzielią augustynizm od tomizmu w tej części obydwu systemów, i mimo przemożnego wpływu platońskiej tradycji na Augustyna — u neoplatonika chrześcijańskiego materia w stosunku do systemu Plotyna zrobiła ogromny awans, ogromną karierę, którą zawdzięcza nie czemu innemu, jak temu, że neoplatonik Augustyn pozostał ortodoksyjnym chrześcijaninem i co więcej — że swoją ortodoksyjność coraz bardziej precyzował. — Trzeba też jasno stwierdzić, że jeszcze większą chyba karierę zrobiła w porównaniu z materializmem manichejskim. Brzmi to trochę paradoksalnie, toteż zagadnieniu temu należy poświęcić nieco więcej uwagi.

W ujęciu Legowicza walka Augustyna z manichejczykami to walka filozofii idealistycznej z materializmem, bardzo jeszcze prymitywnym — przyznaje on — bardzo naiwnym, operującym w dużej mierze pojęciami mitologicznymi, nie naukowymi, ale niemniej walka między wsteczną, bo idealistyczną (w sensie ontologicznym), a postępową, bo nawet przez naiwny materializm bliższą nauce, koncepcją świata. Z przyjęcia w założeniu schematu traktującego jakikolwiek materializm jako wyraz postępu intelektualnego w stosunku do jakiegokolwiek dualistycznej metafizyki wpływa daleko posunięta stronniczość, która ciąży nad całym rozumowaniem Legowicza w postaci idei „szukania sprzymierzeńca“ w manicheizmie z zapoznaniem — wbrew pozorom — najelementarniejszych zasad perspektywicznej oceny, obowiązujących w każdym badaniu historycznym. Trzeba przyznać, że Legowicz, usiłując według kryteriów marksistowskich ocenić manicheizm, dostrzega w nim daleko więcej cech pozytywnych, niż ich było tam rzeczywiście. Prawidłowe ujęcie zagadnienia wartości obu systemów — augustynizmu i manicheizmu — wygląda jednak zupełnie inaczej, niż się wydaje Legowiczowi, przyjmującemu jako pewnik, znajdujący zastosowanie w ocenie każdego systemu myśli ludzkiej, większą wartość każdego materializmu, niż każdego idealizmu ontologicznego. Ujmując rzecz w największym skrócie, w największym uproszczeniu, można w każdym

razie dojść do dwu ważnych stwierdzeń. Po pierwsze — że o ile wiele systemów myśli chrześcijańskiej, a wśród nich i augustynizm, jest próbą pogodzenia wiedzy z wiarą objawioną, filozoficznego wytłumaczenia Objawienia, i uprawia „mystykę zaświatów“ szukając ostatecznej racji tłumaczącej byt w Bogu Objawienia, to manicheizm w zestawieniu z nimi przedstawia się nie jako próba godzenia poznania rozumowego z wiarą, ale jako zbiór mitów i zabobonów, któremu faktycznie obca była jakakolwiek „ugoda między wiarą i wiedzą“. Przekonanie o naukowości tego systemu jest tak wielkim nieporozumieniem, że go nawet zwalczać nie warto. Człowiek, który je głosi, powołując się na to, że manicheizm jest systemem jakichś poglądów materialistycznych, ośmiesza samego siebie dając wyraz bądź kompletnej ignorancji w tej dziedzinie, bądź niezdrowej gorliwości gloryfikowania wszystkiego, czemu można przykleić etykietkę z tytułem „materializm“. Po drugie — gdy się chce określić wartość kulturotwórczą i funkcję społeczną manicheizmu w zestawieniu z doktryną Augustyna, to w odpowiedzi na sugestie omawianego artykułu nie można się oprzeć przypomnieniu, że w manicheizmie rozróżniano ściśle i przestrzegano gorliwie różnych stopni „wtajemniczenia“, w zależności od których pozostawały przywileje członków sekty. Zarówno *Wyznania*, jak księga *De moribus Manichaeorum*, jak wreszcie liczne przygodne wzmianki rozrzucone po różnych pismach polemicznych Augustyna fakt ten ujmują w sposób bynajmniej nie dwuznaczny. Tak więc i od tej strony sprawa przedstawia się zgoła inaczej, niż twierdzi Legowicz. Cały wynikający rzekomo z materialistycznych tendencji manicheizmu humanizm okazuje się wymysłem, podobnie jak podkreślane wielokrotnie w artykule Legowicza prekursorstwo naukowego materializmu. Jak sfabrykowano to ostatnie, niech zaświadczy jeden szczegół, będący znakomitą ilustracją wartości „obiektywizmu“ Legowicza. W wywodach dotyczących augustyńskiej koncepcji człowieka, ściślej mówiąc — przewagi duszy nad ciałem w procesie poznania (dusza czynna, ciało bierne), znajduje się u Legowicza takie pozornie niewinne zdanie: „Zwalczając poglądy manichejskie, wedle których w materii zawarta jest możliwość odczuwania i myślenia, Augustyn nazywa je «bezbożnymi i bluźnierczymi kłamstwami»“ (str. 119). Tu w przypisku jest odsyłacz do *De quantitate animae* 71, ale Legowicz nie cytuje zawartych tam słów. Warto przyjrzeć się temu ustępowi, który ma świadczyć o obskurantyzmie Augustyna, przeciwstawionym światłemu, będącemu prekursorem nauki manicheizmowi: „...przypatrzmy się — pisze Augustyn — jaką moc ma dusza w działaniu zmysłów, które są bardziej dostrzegalnym i wyraźnym objawem życia. Nie należy bowiem dawać posłuchu jakimś tam bezbożnym poglądom, które przypominają prostackie zabobony i mniej mają wy czucia niż same drzewa, w obronie których występują. Zwolennicy tych poglądów wierzą, że latorośl winna cierpi przy zrywaniu grona, a ścinane rośliny nie tylko czują to, lecz widzą i słyszą. Nie tu jednak miejsce na omawianie tego bluźnierczego kłamstwa“ itd. Szczegół ten chyba dość wyraźnie świadczy o „naukowej“ wartości materializmu manichejskiego i o obiektywizmie Legowicza. Warto tu przypomnieć jeszcze inny tekst Augustyna, poruszający ten sam problem, a świadczący nie tylko o wartości spekulacji manichejskich, ale także o wartości manichejskiego humanizmu: „Ja jednak w mej niewiedzy — pisze św. Augustyn w *Wyznaniach* III, 10, 18 — śmiałem się ze świętych sług i Twoich proroków. A śmiejąc

się z nich czyż nie sprawilem, że Ty sam śmiać się już mogłeś ze mnie, gdy nieznacznie i powoli przywiedziony zostałem do takich bredni, że wierzyłem, iż figa, którą się zerwie, i drzewo, na którym rosla, płacze mlecznymi łzami? Gdyby jednak tę figę, przez kogo innego zerwaną zbrodniczą ręką, spożył jakiś święty, to przetrawiłby ją w swych wnętrznościach i wyziewał z niej aniołów, co więcej, nawet cząstki Boga wśród westchnień w modlitwie i odbijania się pokarmu; te cząstki zaś najwyższego i prawdziwego Boga pozostałyby uwięzione w owocu, gdyby ich święci wybrańcy nie uwolnili z niego przy pomocy zębów i żołądka. Wierzyłem nieszczęsnym, że miłosierdzie należy okazywać raczej płodom ziemi niż ludziom, dla których one się rodzą, i jeśliby ktoś, kto by nie był manichejczykiem, wyciągnął po nie rękę, to kęs mu dany, sądziłem, musi być skazany na najśroźszą mękę.“ Końcowe słowa tego ustępu nie wymagają komentarza. Odkrywają one całą ponurość manichejskich spekulacji, równie jak trafność oceny Augustyna już katolika. Można chyba mieć nadzieję, że nie przypisze mu „propagandowego“ kłamstwa w tym ustępie *Wyznań* nawet wietrzący wszędzie świadome wprowadzenie w błąd czytelnika Legowicz. Byłoby to bowiem tak, jakby Augustyn przeznaczył *Wyznania* dla ludzi jego typu, a nie dla współczesnych sobie, którzy przecież o manicheizmie wiedzieli więcej niż my.

Jakież tedy prawidłowy wniosek należy wyciągnąć z obserwacji augustyńskiej polemiki z manicheizmem? Zestawiając manichejski materializm z augustynizmem pod kątem widzenia stosunku obu tych systemów do świata materialnego i płynących logicznie z tego stosunku konsekwencji, musimy w wyniku tego zestawienia, patrząc na oba systemy z perspektywy piętnastu wieków, stwierdzić, że gdybyśmy chcieli rejestrować filozofów chrześcijańskich z punktu widzenia zagadnienia „filozofia chrześcijańska w obronie materii“, to uwzględniając przy tym kontekst historyczny, Augustynowi nie przyznałibyśmy w żadnym razie ostatniego miejsca. Zwłaszcza bowiem tam, gdzie obie doktryny za punkt wyjścia przyjmują Objawienie zawarte w Starym Testamencie (*Księga Rodzaju*), jak np. w wypadku konsekwencji grzechu pierworodnego, różnica między ponurym dualizmem manichejskim a ontologicznym optymizmem Augustyna występuje nader wyraźnie. Można by cytować dziesiątki tekstów Augustyna, z których wynika, że „zło“ i „materia“ nie utożsamiają się nigdy; można by cytować dziesiątki długich wywodów i przygodnych, mimochodem rzuconych myśli, że wszystko, co istnieje, istnieje dzięki aktowi stwórczemu Boga i dlatego jest dobre, a źródłem zła nie jest żaden byt zły, bo takiego wśród dzieł Bożych nie ma, lecz niewłaściwa hierarchizacja dóbr, nie odpowiadająca ich prawdziwej wartości. Ale są to rzeczy znane powszechnie choćby z najogólniejszych kompendiów historii filozofii i nie warto poświęcać ich dowodzeniu miejsca. Warto natomiast zastanowić się, czy z tego optymizmu ontologicznego, którego tezy sformułował w walce z manicheizmem, wyciągnął Augustyn dostatecznie daleko idące wnioski, jeśli chodzi o zagadnienia życia na ziemi i doczesnych celów człowieka. Otóż jest rzeczą pewną, że tak się nie stało. Co więcej, że niektóre myśli św. Augustyna w sposób mniej lub więcej wyrazisty są zaprzeczeniem wniosków, jakie z owego ontologicznego optymizmu wolno i trzeba wyciągnąć. Można np. znaleźć u Augustyna miejsca stwierdzające wyraźnie bezowocność wszelkiego wysiłku badawczego zmierzającego do poznania przyrody,

jak również wyrażające pogardę dla spraw życia doczesnego w zestawieniu z perspektywami wieczności. Inne znów miejsca równoważą doskonale tamte akcenty. Czytając teksty Augustyna ma się przeświadczenie, że istnieją w nich nie tylko problemy nierozwiązane, ale i liczne wewnętrzne sprzeczności. Te „indeterminacje“, jak je nazywa Gilson, należy kłaść na karb, zgodnie z tym, o czym już była mowa, wpływów neoplatońskich, na rachunek intensywnego oślnienia systemem Plotyna. Przypisywanie nauce Augustyna „dobrze i wszechstronnie przemyślanej treści klasowej“ okazuje się bezpodstawne w świetle tych właśnie niekonsekwencji, tych „indeterminacji“. Gdyby była ona realizacją z góry obmyślonego planu, ukrywającego fałszywość przesłanek w rozumowaniu, byłaby znacznie bardziej zwarta, miałaby znacznie mniej niedomówień i sprzeczności. Stan, jaki przedstawiają pisma św. Augustyna, jest najlepszym świadectwem, że są one wynikiem szczerego przeżycia, a nie chytrego zamysłu.

Zestawiając naukę św. Augustyna z manicheizmem trzeba wreszcie pamiętać o tym, że wbrew sugestiom Legowicza, twierdzącego, jakoby ataki Augustyna dotyczyły przede wszystkim materializmu manichejskiego, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Wprawdzie w *Wyznaniach*, które nie są pismem antymanichejskim, a tylko przy okazji innych rozważań zajmują się nauką manichejczyków, Augustyn wspominając swoje trudności upatruje ich przyczynę w materializmie manichejskim, ale w pismach polemicznych, będących rozprawą z manichejczykami, nie rezygnując ze zwalczania materializmu, główny nacisk kładzie na coś innego, mianowicie na manichejski dualizm, zakładający odwieczną i konieczną walkę dwu równorzędnych sił — dobra i zła. Fakt ten, jeśli go sobie należycie uświadomimy, pozwoli nam nie tylko ocenić według właściwych kryteriów ontologiczny optymizm Augustyna, ale również zrozumieć, że upatrywanie rzekomo głównego motora polemiki antymanichejskiej Augustyna w jego spirytualizmie jest prostackim modernizowaniem zagadnienia, bez należytego rozumienia ducha omawianej epoki i pism Augustyna. Dlatego też można stwierdzić, że artykuł Legowicza jest w gruncie rzeczy ahistoryczny i jako modernizujący historię niewiele ma — mimo pozorów — wspólnego z autentycznym marksizmem.

Pozostaje jeszcze sprawa augustyńskiej krytyki sceptycyzmu akademickiego. Legowicz formułuje swój sąd tak: „W dialogu *Przeciw akademikom* Augustyn ostatecznie zrywa z wszelką tradycją filozofii greckiej, w której zawarte było uznanie obiektywnych wartości poznania ludzkiego, i przechodzi bez reszty na stanowisko fideistycznie i dogmatycznie ugruntowanego subiektywizmu“ (str 182). Wprawdzie ów „fideistycznie i dogmatycznie (?) ugruntowany subiektywizm“ — jak go nazywa Legowicz — pojawia się „bez reszty“ dopiero w *De magistro*, nie w *Contra Academicos*, gdzie znajduje się dopiero *in statu nascendi*, ale ostatecznie nie o to nam idzie. Idzie o to, że zdanie to znów jest w niezgodzie z duchem historii. Kto choć trochę zna starożytny sceptycyzm, ten mu nie będzie przypisywał „uznania obiektywnych wartości poznania ludzkiego“, a kto „sine ira et studio“ przeczytał dialog *Przeciw akademikom*, ten stwierdzić musi, że wprawdzie jest on odejściem (podobnie zresztą jak *Soliloquia* i *De beata vita*) od obiektywizmu filozofii greckiej, ale nie w tym znaczeniu, jakie mu przypisuje Legowicz. Będziemy bowiem w zgodzie z prawdą, gdy powiemy, że Augustyn wyprzedził w dialogu *Przeciw akademikom*

(a także w *Solilokwiach* i w *De beata vita*) „*cogito*“ kartezjańskie, ale nie będziemy w zgodzie z prawdą, gdy będziemy się starali upatrywać w tym zamierzoną walkę z obiektywizmem filozofii starożytnej. Jeśli w wymienionych pismach Augustyna dominuje teza stwierdzająca, jako niezawodną, pewność własnej myśli i własnego istnienia, to fakt ten wynika nie z czego innego jak z tego, że Augustyn nazbyt przejął się argumentami sceptyków przeciwko możliwości jakiegokolwiek poznania filozoficznego. Cały więc subiektywizm augustyński nie jest w pierwszym swym stadium „fideistycznie i dogmatycznie ugruntowany“, lecz jest koniecznym środkiem do przezwyciężenia tych trudności, jakie stwarzał sceptycyzm. Jest on punktem wyjścia, czy raczej etapem przejściowym, jeśli jako punkt wyjścia traktować będziemy sceptycyzm, ale punktem dojścia jest coś więcej niż pewność istnienia własnej jaźni, mianowicie pewność istnienia rzeczywistości obiektywnej. Można przypuszczać, że gdyby na drodze intelektualnego rozwoju św. Augustyna nie znalazły się *Academica* Cyserona, z których poznał on sceptycyzm Pirrona i jego następców, problem „*cogito*“ nie pojawiłby się w jego doktrynie, a w każdym razie nie byłby akcentowany z taką siłą. Ale skoro się pojawił i skoro posiada tak wielką wagę, trzeba wyciągnąć zeń wnioski. Pierwszy już sformułowałem. Drugi wynika z pierwszego: Gdyby Augustyn nie przeżył dramatycznie sceptycyzmu, nie byłby z nim w taki sposób walczył i nie byłby dla jego pokonania używał tak zawiłych argumentów. Nie ma więc żadnej racji deznawuowania tezy, że dialog *Przeciw akademikom* zrodziły własne trudności i przeżycia Augustyna.

Skoro zatrzymaliśmy się przy sceptycyzmie, by określić zakres i sens owego „zerwania z obiektywizmem filozofii greckiej“ na terenie augustyńskiej teorii poznania, spróbujmy teraz, rozumiejąc sprawę w sposób właściwy, ocenić znaczenie subiektywizmu Augustyna w kategoriach już nie tylko filozoficznych, ale i historycznoliterackich. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zarówno *Wyznania* jak dialogi cechuje ów osobisty ton, który dociekania filozoficzne ustawia nie tylko jako wynik pasji poznawczej, ale wręcz jako skutek przeżyć mających — przynajmniej z pozoru — z filozofią niewiele wspólnego. To prawda, że taki subiektywny, osobisty ton pobrzmiewa tu i ówdzie w literaturze filozoficznej greckiej, a może bardziej jeszcze w łacińskiej — żeby wspomnieć tylko Cyserona, który każdy niemal swój dialog filozoficzny rozpoczyna od osobistego wstępu. Ale ostatecznie podobieństwo w tym względzie między Augustynem a Cyseronem, mimo nie dających się zaprzeczyć analogii i zależności formalnych, jest dosyć powierzchowne. Cyzero, stary i rozczarowany w czynnym życiu polityka, bierze się do filozofii z jakiejś wewnętrznej potrzeby. Ale, mówiąc o tym zbyt głośno przy każdej okazji, sprawia, że zwierzenia jego są dosyć sztuczne, trącą manieryzmem, a nadto nie wrastają organicznie — a w każdym razie nie w takim stopniu jak u Augustyna — w problematykę filozoficzną dzieła. *Wyznania* są pod tym względem czymś osobliwym, nader oryginalnym. Pokazują filozofię nie tylko jako rozumowe dociekanie, ale jako przeżycie bardzo intymne i bardzo intensywne nawet pod względem uczuciowym — i w ten sposób odkrywają wielką prawdę, której może nie tyle odkryć, co dość silnie wyrazić nie umiała filozoficzna literatura grecka i rzymska. — Pytać w związku z tym o postępową czy wsteczną funkcję *Wyznań* w historii kultury filozoficznej czy literackiej

znaczy rozpoczynać na nowo dyskusję nad istotą postępu. Ale zauważyć, że *Wyznania*, podobnie zresztą jak dialog *Przeciw akademikom* czy *O życiu szczęśliwym*, wzbogacają starożytną literaturę filozoficzną o element nowy i niebiały — znaczy dojrzeć to, co w nich istotne i co wyznacza im pierwszorzędne miejsce wśród arcydzieł literatury świata.

Na marginesie — i na zakończenie tych uwag o walce Augustyna ze sceptycyzmem — warto zauważyć, że Legowicz omawiając dialog *Przeciw akademikom* nie dostrzegł jeszcze jednego, niezmiernie ważnego aspektu tego dialogu. Mam na myśli wywody Augustyna dotyczące moralnej strony zagadnienia. Silny akcent, jaki spoczywa na moralnych niebezpieczeństwach sceptycyzmu, jest bodaj największą wartością tego dialogu, i to wartością, której nie mogłyby nie docenić żaden poważnie myślący marksista, pamiętający o tym, że celem filozofii jest nie tylko wyjaśnić świat, ale także zmienić.

O d w y d a w c ó w

Przystępując do trzeciej tezy artykułu Legowicza musimy sobie здаwać sprawę z tego, że płaszczyzna oceny augustynizmu nie może być jednolita, co wynika z ogromnego bogactwa problematyki związanej z osobą i dziełem św. Augustyna. Jest w nim miejsce dla refleksji hagiografa i teologa, historyka filozofii i historyka kultury w najogólniejszym znaczeniu tego słowa, dla współwyznawcy Augustyna i dla człowieka, który formalnie z chrześcijaństwem nie ma nic wspólnego. Omawiany artykuł, narzucając teren polemiki, z konieczności redukuje związane z postacią i dziełem św. Augustyna bogactwo zagadnień i aspektów. Dlatego też sformułowanie stanowiska wydawców dialogów augustyńskich, będące w tym wypadku narzędziem polemiki, musi sprowadzić się do tez najogólniejszych, w przeciwieństwie do poprzednich rozważań, w których chodziło głównie o wykazanie błędów natury historycznej w rozmaitych szczegółach omawianych zagadnień.

Na czoło wysuwa się problem uwarunkowań ekonomicznych i społecznych filozofii św. Augustyna. Od razu trzeba stwierdzić, że artykuł Legowicza, usiłujący w myśl zasad materializmu historycznego te uwarunkowania społeczno-ekonomiczne uczynić punktem wyjścia, jest cenny o tyle, o ile wzbogaca obraz historyczny. Wydawcy dialogów augustyńskich są głęboko przekonani o słuszności uwzględnienia tego aspektu i choć wydając pisma św. Augustyna nie uczynili tego dla powodów, które wyjaśnia się za chwilę, chętnie widzieliby inicjatywę ze strony uczonego marksistowskiego zmierzającą do wypełnienia tej luki, mając nadzieję, że wzbogaci ona obraz historyczny. Nie mogą jednak ci sami wydawcy zgodzić się na sprowadzenie każdego zjawiska bezpośrednio do ekonomiczno-społecznych uwarunkowań. Taka bowiem operacja myślowa jest w ich przekonaniu nie wzbogacaniem, a zubożaniem rzeczywistości historycznej. Niewątpliwie każdy człowiek w swym rozwoju wewnętrznym uzależniony jest od środowiska historycznego, od kompleksu zewnętrznych warunków, w jakich żyje. Św. Augustyn nie stanowi tu żadnego wyjątku. Ale w tym uzależnionym od całego szeregu warunków zewnętrznych człowieku dzieją się rozmaite rzeczy, których uwarunkowanie zewnętrzne nie tłumaczy. Widzieliśmy, że aby wyjaśnić nawrócenie św. Augustyna na katolicyzm czynni-

kami zewnętrznymi, pozaprzekonaniowymi, Legowicz musiał dowodzić, że relacja *Wyznań* jest fałszywa. Odrzućmy tę niesprawdzalną i w istocie wielce nieprawdopodobną sugestię, a cały proces przemiany wewnętrznej Augustyna będziemy musieli po staremu traktować jako skutek działania określonych idei i prądów umysłowych w połączeniu z potrzebą natury duchowej, jaką jest pragnienie znalezienia prawdy. Czyż możliwości istnienia takiego pragnienia w duszy człowieka zaprzeczyć może ktokolwiek? Czy ktokolwiek może je tłumaczyć wyłącznie jako wynik określonych uwarunkowań społeczno-ekonomicznych, w jakich dany człowiek żyje? Wydaje się, że gdybyśmy tak chcieli stawiać sprawę, musielibyśmy stracić szacunek dla samych siebie jako dla ludzi, którzy jedynie dlatego, że żyją w takich a takich warunkach historycznych, chcą coś wiedzieć na pewno, gdyby zaś żyli w innych, pragnienie takie byłoby im obce. Dlatego właśnie uważaliśmy, że i bez komentarza historycznego, dokonanego w myśl wskazania materializmu historycznego, proces rozwoju intelektualnego Augustyna jest dostatecznie zrozumiały, choć nie możemy i nie mamy zamiaru przezczyć, że komentarz taki, dokonany nie według z góry przyjętych założeń, a w oparciu o fakty i obiektywną ich ocenę, przyniósłby niewątpliwie nowe oświetlenie dyskutowanych od dawna zagadnień. Dlatego również jesteśmy przekonani, że artykuł Legowicza, choć mógł wzbogacić obraz historyczny, raczej go zubożył, eliminując zeń wszystko, co nie dałoby się wtłoczyć w ramy schematu usiłującego wszystko wprost wytłumaczyć uwarunkowaniem współczesnej Augustynowi formacji ekonomiczno-społecznej.

Drugie zagadnienie, do którego musi swój stosunek wyrazić wydawca dialogów augustyńskich, to zagadnienie recepcji neoplatonizmu. Powyżej starałem się wykazać, że Augustynowi nie szło bynajmniej o „rozbrojenie“ neoplatonizmu przez wykazanie pozornej niesprzeczności między nim a Objawieniem. Teraz pozostaje ustosunkować się do tezy Legowicza, że historyczny fakt adaptacji neoplatonizmu miał być dla współczesnego katolika, który się zetknął z myślą marksistowską, przesłanką do „znalezienia i wskazania nowych możliwości wcielenia i zaprzęgnięcia zdobyczy naukowych w służbę ideologii katolickiej“ dla ich „światopoglądowego unieszkodliwienia“. Analogia jest — jak wynika z poprzednich uwag — mocno naciągana: jakże bowiem mógł Augustyn „światopoglądowo rozbierać“ neoplatonizm, skoro — nie tylko w jego przekonaniu — pierwsze zasady jego filozofii i filozofii Plotyna faktycznie nie różniły się wskutek tego, że jedna i druga stwierdzała istnienie rzeczywistości duchowej? Ale mniejsza o to. Należy raczej wyjaśnić, że przypisywanie takiego zamiaru wydawcom dialogów św. Augustyna jest nieporozumieniem. Jeśli bowiem publikując dialogi św. Augustyna chcieliśmy nadać jakiś posmak aktualności dziełu recepcji neoplatonizmu, to w tym znaczeniu, że jest naszym pragnieniem, aby katolicyzm spożytkował wszystkie zdobycze myśli ludzkiej nie dla ich „światopoglądowego unieszkodliwiania“, bo to świadczyłoby tylko o niepewności posiadania prawdy u katolików, ale dla szczęścia ludzkiego. Augustyn w w. IV zrobił to w dostępnym sobie zakresie. Nie tylko neoplatonizm, ale i każda inna zdobycz myśli ludzkiej, niezależnie od jej autorstwa, o ile Augustyn z nią się zetknął, zaznaczyła trwałe ślad w jego dziele. Zarówno więc Augustynowi, jak i wydawcom jego dzieł nie szło o żadną „pseudoracjonalizację wiary“, ale o wzrost pierwiastków racjonalnych w światopoglądzie ludzi wierzących. Rozumiejąc tak zagadnienie

nie widzieliśmy w augustynizmie narzędzie do podniesienia współżycia ludzi o różnych światopoglądach na wyższy poziom intelektualny, nie dla niwelowania różnic w koncepcji świata i nie dla zabezpieczenia własnej postawy, lecz z myślą o tym, by postawienie dyskusji i z naszej strony na możliwie wysokim poziomie było z korzyścią dla prawdy.

Wreszcie na zakończenie tych uwag kilka słów o naszej ocenie augustynizmu wyrażanej *expressis verbis* w związku z wydaniem dialogów św. Augustyna.

Musimy wyjść od stwierdzenia, że operowanie takimi ogólnikami jak „materialistyczne tendencje manicheizmu“, „filozofia zaświatów“ itp., jakiego się dopuszcza w każdym niemal zdaniu swego artykułu Legowicz, nie prowadzi bynajmniej do jasnego sądu o wartości augustynizmu. Oceniając ją z punktu widzenia jej przydatności jako inspiracji do działania w świecie, a więc na płaszczyźnie wspólnej z zajmowaną przez Legowicza, trzeba stwierdzić, że bezpośrednio takich inspiracji nie daje i dawać nie mogła współczesnym, a tym bardziej ludziom XX wieku. Nie to było jej celem i nie tego należy od niej oczekiwać. Ale nie można stwierdzić, jakoby była w tej dziedzinie zupełnie nieprzydatna. Przeprowadzone w poprzedniej części tego artykułu porównanie z materializmem manichejskim pozwala w całej wyrazistości zobaczyć historyczną wartość ontologicznego optymizmu Augustyna. Rodzi on miłość do wszystkiego, co istnieje, ukazując wszystko jako dobre dzieło Boga. Wywodząc zło z niewłaściwego użycia woli i rozumu, teżę woli i temuż rozumowi pozostawia w ogromnej mierze jego naprawienie. Gdzież tu miejsce na nienawiść do świata, choć na pierwszym miejscu stoi miłość Boga zapewniająca prawdziwe szczęście? Gdzież — odwrotnie — miejsce na miłość do świata w manichejskim materializmie przyjmującym ontologiczne zło w materii? To prawda, że u Augustyna mamy teksty, które by można traktować jako wyraz pogardy i niechęci do świata. Mówiliśmy już o jego „indeterminacjach“. Dodajmy, że tym bardziej niebezpieczne jest tylko powierzchowne zaznajomienie się z nauką św. Augustyna, bo tylko ono może stwierdzić u niego irracjonalizm, pogardę dla świata. Głębsze poznanie augustynizmu przeniknie tę wierzchnią warstwę i dostrzeże to, co w nim istotne, ów tylekroć już podkreślany ontologiczny optymizm i wszystkie jego wyrażone czy niewyrażone przez Augustyna konsekwencje. Dla myślącego, i to myślącego niepowierzchnownie, chrześcijanina z tego optymizmu płyną wnioski, którym już nie można przypisać rozbijającego wpływu na postawę wobec doczesności. Trzeba tylko umieć sięgnąć głębiej i kojarzyć różne elementy myśli św. Augustyna, różne jej płaszczyzny i aspekty.

Przy tym wszystkim nie chcę bynajmniej pasować Augustyna na jakiegoś twórcę „teologii rzeczywistości ziemskich“. On sam byłby z pewnością takim zamiarem bardzo zdziwiony. Nie zamierzam również przedstawiać go jako wybitnego społecznika — przynajmniej jako teoretyka w tej dziedzinie. Tylko dla udokumentowania, że aby wydawać sąd o Augustynie, trzeba powoływać się na nieco więcej jego dzieł niż cztery tomiki dialogów w wydaniu Paxu, pozwolę sobie zacytować kilka zdań pochodzących spod jego pióra, a dotyczących zagadnienia, którego w żaden sposób nie można by się domyślić mając w pamięci tylko tytuły licznych jego pism: „Nie powinniśmy pragnąć, żeby istnieli nieszczęśliwi, którym moglibyśmy świadczyć miłosierdzie. Dajesz chleb głodnemu — ale lepiej by było, gdyby nikt

nie cierpiał głodu i gdybyś ty nie miał komu dawać chleba! Odziewasz nagiego — oby wszyscy byli odziani i nie istniała w ogóle taka konieczność!... Spraw, by nie było nieszczęśliwych, a ustaną dzieła miłosierdzia. Dzieła miłosierdzia ustaną — czy tym samym zgaśnie płomień miłości? Nie, bardziej po bratersku kochasz człowieka szczęśliwego, któremu nic dać nie możesz; miłość ta będzie czystsza i bardziej szczerza. Bo jeśli dajesz coś biednemu, to może pragniesz wywyższyć się wobec niego, może chcesz, żeby się stał zależnym od ciebie ten, który jest sprawcą twego dobrodziejstwa. On potrzebował, tyś mu udzielił. Wydajesz się jakby większym od tego, komu dałeś, ponieważ to ty dałeś. Pragniń równości, abyście obaj podlegali Jedynemu, któremu nikt niczego dać nie może“ (In Joh. epist. tract. VIII 5).

Oto konsekwencje chrześcijańskiego optymizmu ontologicznego. Lecz dla zadośćuczynienia prawdzie stwierdzić trzeba, że zdania te rzucone są mimochodem, tak że płytki krytyk augustynizmu nie zauważy ich może wcale. Ale nie dla tych przecież wydano dialogi św. Augustyna!

Ontologiczny optymizm i intelektualna pasja — pragnienie prawdy to dwa elementy przesadzające o wartości augustynizmu. Ocenie tego drugiego starałem się dać ogólniejsze tło w artykule, który z wielkim zaszczytem dla mnie wymienia Legowicz. „Dialogi św. Augustyna — pisałem tam — można czytać rozmaicie i różnych rzeczy w nich szukać. Można im stawiać rozmaite zarzuty i wynajdywać w nich liczne niekonsekwencje, naiwności, «platonizmy». Wydaje się jednak, że niezależnie od tych wartości, jakie przedstawiają dla historyka filozofii czy literatury starożytności, nie zdeaktualizowały się zupełnie. Nie chodzi bynajmniej o poszczególne koncepcje i rozwiązania; nie chodzi o to, by adaptować do współczesnej myśli augustyńskie dowody niematerialności czy nieśmiertelności duszy, nie chodzi o to, by jako ostateczne traktować argumenty przeciw sceptycyzmowi z Contra Academicos, jak je traktował Augustyn. Sprawa nawrotu do tradycji, korzystania z tej tradycji jest za bardzo skomplikowana, by każdą pozytywną wartość historyczną uznać po prostu za obowiązującą i przez samo zajęcie się nią stwierdzić, że jest najwyższym i ostatecznym osiągnięciem. Awerroes, który był zdania, że ponad osiągnięcia Arystotelesa w filozofii umysł ludzki wznieść się nie może, wydaje się nam dziwakiem. Gdybyśmy tak traktowali jakiegokolwiek ze zjawisk historii kultury, musielibyśmy stwierdzić, że nie istnieje postęp i — co gorsza — że nie jest możliwy ani potrzebny. Toteż do lektury dialogów augustyńskich nie można przystępować z przesadnym pietyzmem Awerroesa. Ale nie można ich również uznać za nic nie znaczący przeżytek. Trzeba tylko wiedzieć, czego w nich należy szukać i co one mogą dać współczesnemu człowiekowi.“

Dopiero na tym tle wypowiadam przekonanie o tym, że Augustyn jest bliski miłośnikom prawdy wszystkich poglądów i wszystkich czasów. Nie wydaje mi się, żeby język tego fragmentu mojego artykułu był zbyt enigmatyczny. Tym bardziej żałuję, że go nie zrozumiał Legowicz!

JEAN LACROIX

MORALNOŚĆ KTÓRA ZATRACIŁA POJĘCIE GRZECHU *

Gdyby się chciało jednym słowem wyrazić to, co najgłębiej charakteryzuje chrześcijanina i cywilizację chrześcijańską, nie należałoby — sędzę — szukać jakiegoś centralnego dogmatu, z którego można by drogą logicznego wnioskowania wyprowadzić wszystkie inne dogmaty. Nie należałoby, moim zdaniem, podejmować wysiłków celem określenia właściwości intelektualnej, politycznej, ekonomicznej lub społecznej kultury chrześcijańskiej, ale po prostu trzeba by stwierdzić, że tą cechą charakterystyczną jest pojęcie i odczucie grzechu. Możliwe, że trzeba by się nawet posunąć do stwierdzenia, że nie święci, ale właśnie grzesznicy nadają właściwe oblicze religii Chrystusa. Mieć zawsze, w jakiegokolwiek sytuacji, w jakichkolwiek okolicznościach, świadomość, że się jest grzesznikiem, odczuwać wewnętrznie — wybaczyć określenie nieco pospolite — że się jest tylko „nędzną słabizną“ — oto rozpoznawczy znak chrześcijanina. Odczucie bowiem grzechu jest równocześnie nierozdzielnie związane z odczuciem wspólnoty ludzkiej, odczuciem rzeczywistej obecności w nas wszystkich błędów i nieszczęść ludzkich z jednej strony, a przeżyciem obecności Boga z drugiej strony. Świadomość, że jestem grzesznikiem, jest równocześnie świadomością mego ścisłego związku ze wszystkimi ludźmi w obliczu Boga — ale w obliczu Boga Przyjaciela, Boga śpieszącego z pomocą, Boga, z którym dozwolona jest pewnego rodzaju poufalość, gdyż nie mści się On za mój błąd, ale w pewnej mierze przyjmuje go i bierze na siebie. Oto dla czego — mówiąc językiem konkretnym, poczucie grzechu jest przeżyciem łączności pierwszego przykazania miłości Boga z drugim przykazaniem miłości bliźniego. Ostatecznie grzech jest to postawa człowieka pokornego w obliczu Boga, a pojęcie grzechu jest nie tyle świadomością tego, co można czynić, a czego nie można, ile świadomością, że wszelkie czyny nasze urzeczywistniają się w ramach wspólnoty z innymi ludźmi i w obecności Boga, powiedziałabym nawet — pod Jego spojrzeniem.

Właśnie to pojęcie grzechu, które powoli jałowuje i zanika, jest dziś przedmiotem ataku w dużej części współczesnego świata. Chętnie widzi się w nim prawdziwe upokorzenie godności ludzkiej. Według sądu wielu,

* Referat wygłoszony przez prof. Jean Lacroix w Warszawie, w czasie jego pobytu w Polsce w kwietniu br.

świadomość grzechu czyni człowieka w pewnej mierze chorym, staje się źródłem chorób nerwowych, które zabijają wiarę w siebie, a rodzą świadomość niezdolności do podjęcia wielkich dzieł ludzkich. Cywilizacja zbrojna wiarą w technikę, która otwiera w końcu przed człowiekiem możliwość wzięcia we własne ręce swego przeznaczenia i kierowania nim, musi usunąć i zniszczyć ślady mentalności, która to dzieło prometejskie zdradza. Grzesznik traci czas na oskarżanie się, gdy tymczasem powinien on działać. Grzesznik — to człowiek złożony jakąś wielką niemocą. Idąc w głąb po linii tej myśli spotykamy ideę zdrowia ludzkiego, której rzekomo nie można połączyć z ideą grzechu. Mówiono mi o wielu ateistach z urodzenia, to znaczy wychowywanych w rodzinach ateistycznych, formowanych od najmłodszych lat w środowisku całkowicie ateistycznym, którzy spotkawszy inne książki i innych ludzi nawrócili się, poczuili w sobie powołanie i postanowili zostać kapłanami. Po kilku jednak miesiącach pobytu w Seminarium Duchownym wystąpili, nie mając zresztą żadnych określonych powodów, ale po prostu dlatego, że dusili się w panującej tam atmosferze. W czasie studiów teologicznych odkryli bowiem, że są jedynymi ludźmi zdrowymi w otoczeniu ludzi chorych. Pojęcie grzechu wydawało się im pojęciem nie do przyswojenia — stali się całkowicie względem niego niedostępni.

Zapewne tendencje te dostrzec można wszędzie, szczególnie jednak chciałbym odsłonić to ich oblicze, jakie przyjmują w ramach cywilizacji amerykańskiej. Idea grzechu zawiera w ujęciu amerykańskim coś niezdrowego, coś niebezpiecznego. Jest ona źródłem tragedii bytu, ona każde życie przekształca w dramat, ponieważ występuje nierozdzielnie z cierpieniem i śmiercią. Zatem całe życie tak się organizuje, by można było wyłączyć zeń tragedię, by usunąć jego dramat, a wszystkiemu nadać wygląd uspokajający, który niszczy pierwiastek sakralny i czyni z niego tylko czystą rzecz. Cel ten zostaje osiągnięty — by ograniczyć się do jednego tylko przykładu — przez pewnego rodzaju usunięcie śmierci. Widzimy to zarówno w filmie amerykańskim, jak i w życiu Ameryki. Analizując liczne filmy produkowane w Stanach Zjednoczonych, Roger Caillois wykazał, iż śmierć ujęto w nich jako pewnego rodzaju akt administracyjny dotyczący życia na tamtym świecie. Nie ma już nic wstrząsającego lub zaskakującego: nie ma już ani szkieletu, ani kosy, ani diabła ze skrzydłami nietoperza, ani chóru serafimów, ani wrzących kotłów. Nikt nie idzie już do nieba, nikogo nie wrzucają do piekła. Krainy te leżą zupełnie blisko, żyją ze sobą w zażyłości, pozbawione są całkowicie elementu fantastycznego. Przybývámy na szerokie pole zarośnięte trawą, przypominające w zarysach lotnisko, z którego podnosi się mgła, gęstniejąca w miarę, jak idziemy dalej. Przez mgłę dostrzegamy zamazane kontury jakichś hangarów. Zmarły właściwie nie wie, że umarł. Ale wkrótce inni zajmują się nim. Raz po raz pojawiają się urzędnicy w czapkach oficerskich, którzy prowadzą zmarłego do biur, gdzie musi on wypełnić konieczne formalności. Zajmuje miejsce w kolejce, wypełnia liczne blankiety, podczas gdy uprzejmy urzędnik tłumaczy mu, jak będzie odtąd wyglądać jego życie. Ale wydaje się, że zmarły przyzwyczaił się już do swej nowej sytuacji, zmiana bowiem jest nieznamenna. „Tamten świat“ ukazuje się jako świat biurokratyczny, pokrewny rzeczywistości i będący jej przedłużeniem. Nikt nie czuje się tu wygnanym. Urzędnicy są uprzejmi i łaskawi. Nic istotnego nie odróżnia ich —

z wyjątkiem ich serdeczności — od tych ludzi, z którymi każdego zmarłego łączyło w ciągu życia ziemskiego wiele wspólnych spraw. Zmarli przestają podlegać jednej władzy administracyjnej, by zacząć podlegać innej, niemal identycznej z pierwszą. Wystarczy wskazać na przykład *Huis-Clos*, by dostrzec różnice, lub raczej przeciwieństwo, istniejące między tą mentalnością a mentalnością Francuza, nawet ateisty, jak np. Sartre'a.

Film jest jedynie pewną interpretacją rzeczywistości codziennej. Gdy przeczy się temu, że życie jest tragiczne, gdy się wzbrania dostosowania swego życia do wymogów śmierci, trzeba dostosować śmierć do „rzeczywistości“. Małgorzata Mead, wybitny etnolog, pisała, że nawet w wypadku śmierci nie jest rzeczą konieczną uciekać się do pomocy religii. Należy scałić śmierć z naturą żyjącą, wszczepić ją we wspólną rzeczywistość, należy odebrać jej przerażające oblicze, zniszczyć w końcu głęboki związek łączący ją na gruncie myśli chrześcijańskiej z grzechem. Droge, którą wystarczy kroczyć, by osiągnąć ten cel — pisze Małgorzata Mead — „*uskażuje funeral parlor, gdzie specjaliści balsamują zwłoki i tak je w końcu przetwarzają, że robią one wrażenie człowieka żyjącego*“. *Funeral parlor* jest zatem salonem kosmetycznym dla trupów. W celu nadania twarzom zmarłych naturalnej karnacji są one odpowiednio masowane woskiem. W końcu zmarły jest tak pięknie wystrojony, że obecność jego przestaje być nieprzyjemna. Można dalej żyć przy jego boku, jakgdyby śmierci już nie było. „*Tak przetworzony* — stwierdza pewien obserwator — *zmarły nie posiada już oblicza niezwykłego i tak wzruszającego, jakie ma człowiek śpiący, który nie przebudzi się już więcej, ale raczej robi wrażenie zakłopotanego pana, który usiłuje zasnąć na ławce w poczekalni dworcowej czekając na swój pociąg*“. Zrozumiałe jest, że nikt z przyjaciół ani z rodziny nie towarzyszy czynności pogrzebania ciała. Oczywiście jest tu zamierzony cel: ukryć przed oczyma ludzi śmierć, nie podkreślać ani boleści, ani tajemnicy, usunąć obrzędy żałobne, nadać wszystkiemu charakter niewinny i radosny, jednym słowem pomóc żyjącym, by mogli być szczęśliwi pomimo śmierci, pomimo braku tych, którzy odeszli.

Cytując te kilka przykładów chcieliśmy osiągnąć tylko jedno: pokazać wysiłek, który dokonuje się dziś na wielu odcinkach cywilizacji, zmierzający do usunięcia pojęcia grzechu, które wydaje się być nie do pogodzenia z optymizmem cechującym człowieka współczesnego. Nie wystarczy jednak stwierdzić, że uczucie chrześcijańskie wzdraga się wobec takiej postawy i nie może się z nią pogodzić. Zapewne można tu wyróżnić postawy śmieszne i powierzchowne. Godzą one w samą wartość człowieka i jego godność. Istnieje jednak ponad wszystkim problem, którego nie można z pewnością ukryć. Zupełnie słuszne próby zbudowania ludzkości zdrowszej, silniejszej, sprawiedliwszej, rozbijają się — lub wydaje się tylko ich inicjatorom, że się rozbijają — o przeszkodę, jaką jest według nich koncepcja człowieka grzesznego, słabego, poddanego, człowieka w pozycji klęczącej, który nigdy szczerze nie mógłby przyjąć prostej postawy człowieka stojącego. Nie można zawsze potępiać wszelkiego pragnienia mocy i potęgi, jeśli pragnienie to nie dąży do władzy kilku ludzi nad całością, ale drogą do zdobycia przez ludzkość władztwa nad światem.

Rodzi się tu pytanie, czy we wszystkich wypadkach oskarżenie rzucone chrześcijańskiemu pojęciu grzechu jest pozbawione wszelkiego uzasadnie-

nia. Chciałbym obecnie dokonać analizy tego oskarżenia nie w takim czy innym fakcie cywilizacji, ale raczej tej jego formy, w jakiej występuje ono w teoretycznym dziele francuskiego psychiatry dr Hesnard, zatytułowanym *Morale sans Péché*. Zdaje sobie sprawę, że przedmiot tej pracy jest zupełnie specjalny, a mentalność i wychowanie, które autor poddaje krytyce, są właściwe raczej Zachodowi, jak to się u nas mówi, niż Wschodowi. Możliwe jednak, że krytyka, jaką dr Hesnard kieruje pod naszym adresem, lub po prostu spostrzeżenia, jakie notuje, i refleksje, do których nas zmusza, będą pożyteczne dla wszystkich chrześcijan — bez względu na to, w jakiej znajdują się sytuacji i jak układa się ich życie.

*

*

Dr Hesnard opublikował w r. 1949 *L'Univers morbide de la Faute*, w 1954 zaś *Morale sans Péché*. Drugi tom jest koniecznym uzupełnieniem pierwszego. Podjął tu on i uzasadnił tę samą tezę: człowiek jest przede wszystkim bytem etycznym, a potrzeba moralności jest fundamentalnym postulatem jego natury. W twierdzeniu tym dr Hesnard chce powiedzieć, że istotnie ludzkim głodem jest głód wartości. Każdy człowiek jest pierwotnie i w swej zasadniczej strukturze „bytem w wartości“. Każdy dramat ludzki, od najstraszniejszej tragedii aż po codzienny banał, jest dramatem istotnie moralnym, albowiem w grę wchodzi to, co zagraża wartości mojego „ja“ lub co ją powiększa w moich własnych oczach. Człowiek w koncepcji Hesnarda nie żyje ostatecznie w głębinach swej istoty pod znakiem Troski, Zmysłowości lub Potęgi, ale pod znakiem Winy. „W każdym człowieku — pisze on — istnieje jakaś predyspozycja do przeżywania winy, do oskarżania się, do tych dwóch naczelných reakcji człowieka, złączonych z przeżyciem trwogi“. Ponieważ wszelkie postępowanie ludzkie posiada jakiś zawarty w nim immanentnie sens moralny, dlatego wszelkie schorzenia psychiczne i nerwowe staną się wyrazem prawdziwego zбочenia i perwersji moralnej. Choroba umysłowa jest właściwie objawem chorej moralności. Dlatego chorobę umysłową trzeba umieć odczytać jako zjawisko objawiające ludzkie znaczenie przeżycia winy. W stanie psychopatycznym, zwłaszcza w halucynacjach, chory przeżywa dramat w licznych i niespodziewanych perypetiach, które jednak wszystkie obracają się około zagadnienia etycznego: dąży on mniej do realizacji swych stłumionych pragnień niż do schronienia się w świecie, w którym nie byłby już odpowiedzialny, w którym zmalałaby trwoga z powodu popełnionego grzechu, i gdzie zwrócono by mu osobową wartość jego moralnej nieskazitelnosci. Każde przeżycie zawiedzionych nadziei, to znaczy właściwie przeżycie winy, przemienia się w postawę agresywności w stosunku do siebie lub do innych, a często i w stosunku do siebie, i w stosunku do innych. Ostatecznie oskarżenie się jest wyrazem postawy nie przyjmującej siebie, a nieprzyjmowanie siebie jest właściwym objawem choroby umysłowej. W przeciwieństwie do koncepcji Freuda świat Hesnarda jest światem zwartościowanym: interpretacja choroby jako oskarżenia, kary, aktu obrony przed wewnętrznym niebezpieczeństwem, jest interpretacją zasadniczą. Chory umysłowo żyje w świecie moralnym, ale w świecie błędnej moralności, zbudowanym jako schronienie lub jako kompensata z powodu niemożności współżycia z innymi i niemożności życia w moralności realnej. Taki jest właśnie chory świat błędu moralnego.

Hesnard zastosowuje potem do jednostek normalnych swe wnioski będące wynikiem tej głębokiej znajomości ludzi chorych, a pozwalające mu „na wyczerpujące poznanie wewnętrznej struktury konkretnego bytu moralnego“. Właśnie na tym odcinku *Moral sans Pêché* jest naturalnym uzupełnieniem *L'Univers morbide de la Faute*. Tezą nowego dzieła jest twierdzenie, że zwykła moralność, którą autor nazywa moralnością lub raczej mitomoralnością grzechu, posiada te same źródła i w gruncie rzeczy rzeczy analogiczne cechy: człowiek żyjący w kategoriach moralności powszechnej — podobnie jak psychopata, czy chory nerwowo — chociaż odmiennie, żyje w tym samym chorym świecie. Doszukujemy się zła tam, gdzie ono nie istnieje, to znaczy „*niejako we wnętrzu osoby, we wnętrzu bytu myślącego, a myślącego nie po to, by działać, ale by kontemplować siebie w przeżyciu winy często tylko fikcyjnej*“. Zamiast dostrzegać błąd w czynie, szukamy go we wnętrzu podmiotu. Ta ucieczka w sfery intymizmu — czy to torturująca, czy to pojąca rozkosz, czy też wreszcie splatająca mękę z rozkoszą — ukazuje nierealność naszej moralności. Różnica, jeśli nie przeciwstawianie między moralnością teoretyczną a moralnością życia, wystarczy, by odkryć tu mistyfikację: majestatyczne fikcje moralności doktrynalnej służą jedynie do zamaskowania agresywności ludzkiej. Dlatego wspólnym korzeniem moralności chorej i normalnej jest fałszywa, pozbawiona poczucia rzeczywistości świadomość, przeciw której człowiek stale się broni. Ta fałszywa, pozbawiona poczucia rzeczywistości świadomość ma swe źródło w tym, co dr Hesnard określa jako grzech. Przez grzech rozumie on zło wewnętrzne istniejące w jednostce, czysto wewnętrzne przeżycie winy, błąd pozbawiony związku z działaniem. Im bardziej jednostka żyje w odśunięciu od ludzi, tym bardziej czuje się ona grzeszna, tym bardziej przeżywa świadomość winy. Często wystarczy przejść do działania, wystarczy popełnić zło obiektywne, by zniknęły wyrzuty sumienia i ta pewnego rodzaju choroba błędu. Jest to do tego stopnia prawdziwe, że można stwierdzić fakt, iż grzech „*prześladuje przede wszystkim tych, którzy są niewinni w działaniu, a grzeszni w myśli, oszczędzając naprawdę winnych—przez to, że przechodzą do działania*“. Radykalną pomyłką jest wyobrażenie, że błąd tkwi w *b y c i e* a nie w *d z i a ł a n i u*. W ten sposób wyrabiamy sobie sąd oskarżający naszą własną naturę i naturę innych: świadomość tkwienia grzechu w naszym wnętrzu zawiera w zarodku agresywność, ale agresywność pozbawioną związku z działaniem. Im więcej uwagi poświęcamy naturze bytów, tym słabiej walczymy ze złem rzeczywistym i tym mniej współdziałamy z innymi ludźmi. Moralność grzechu jest prawdziwym wyrazem postępowania, które rodzi się z utraty poczucia rzeczywistości.

Chcąc wytłumaczyć ten stan rzeczy, dr Hesnard szkicuje jakby historię kultury pod aspektem pojęcia grzechu, która stanowi najsłabszą część jego dzieła i którą można by całkowicie wykreślić nie umniejszając w niczym wartości jego uwagi. W rozdziale zatytułowanym *Le mythe monothéiste du péché survivance animiste*, odpowiedzialność za powstanie mitomoralności grzechu rzucza dr Hesnard na monoteizm żydowski i monoteizm chrześcijański, które poczucie winy zamknęły w sercu, stwarzając tyrana, ostatecznego sędziego sprzeciwiającego się pragnieniom ludzi. Niewątpliwie Chrystus głosił prawdziwą moralność, polegającą na czynnej miłości ludzi. Pozostałości jednak pojęcia Boga Izraela, Boga zazdrosnego i mści-

wego, później zaś zakonny ideał wrogości wobec życia i wobec własnych instynktów, oraz ideał czystości wewnętrznej całkowicie przesłoniły „tkliwość“ Chrystusa. Sama koncepcja grzechu pierwotnego zawiera w sobie pojęcie zmywania istniejącej w naturze, pewnego rodzaju zła istnienia, właściwe każdemu człowiekowi przychodzącemu na świat. Dlatego grzech pierwotny rozwija poczucie, które można by określić jako poczucie winy bez poczucia odpowiedzialności. W ten sposób ludzie doszli do przekonania, że błąd ich tkwi w naturze ludzkiej, nie zaś w sposobie ich reagowania na konkretne sytuacje, w jakich się rzeczywiście znajdują. Tak więc podjęto zakazy religii świata animistycznego, by przerzutować je do wnętrza jednostki. Grzech jest zatem pierwotnym tabu, które uległo procesowi interioryzacji. W określeniu „pierwotny“ należy rozumieć dziecięcy wiek tak jednostki jak i ludzkości.

Dlatego istotne cechy świadomości wewnętrznej winy, która w rozumieniu dr Hesnard stanowi grzech, można ująć w trzech kategoriach: negatywności, agresywności i wewnętrzności.

1. **N e g a t y w n o ś ć.** Mitomoralność grzechu nie nakazuje niczego pozytywnego, ogranicza się do stawiania zakazów. Według Hesnarda charakterystyczną cechą „adeptów grzechu“ jest nie tyle to, co oni robią, ale to, czego nie robią, to znaczy stała ucieczka przed odpowiedzialnością, która co dzień staje przed nami. Zostają za to ukarani przez pewnego rodzaju dolożym, który zwalcza instynkty jako samo zło: zaprzeczenie radości życia prowadzi do nienawiści siebie i drugiego człowieka. *„Wewnętrzna trwoga spowodowana świadomością grzechu jest raczej skutkiem niż przyczyną wyrzeczenia się zdrowej radości życia“* (Hesnard). Dlatego świadomość winy zostaje przeżyta jako zmaza, z której trzeba się uwolnić przez ekspiację. Ostatecznym wynikiem takiej negatywistycznej postawy jest poczucie głębokiej nieufności wobec rzeczywistości, skłonności do potępiania życia i jego instynktownych radości.

2. **A g r e s y w n o ś ć.** Grzech tkwiący we wnętrzu człowieka jest nie tylko zwykłym skupieniem się w sobie, zwykłym samouwielbieniem, ale stanem aktywnej dezaprobaty, to znaczy pewnej agresywności powrotnej. Nie jest łatwo zrozumieć ten proces. Wewnętrzne poczucie winy jest wyrzeczeniem się siebie, a poprzez siebie wyrzeczeniem się życia. To wyrzeczenie się życia odczuwane jest jako krzywdzące pozbawienie czegoś, co się człowiekowi należy. Przekształca się ono w końcu w samooskarżenie, w pewien bunt przeciwko sobie. Ta negacja siebie samego szybko doprowadziłaby do samobójstwa i do śmierci, gdyby nie przerzucała się z łatwością w oskarżenie przeciwko innym — dzięki temu lżej jest ją znieść. Nie należy z tej agresywności tworzyć jakiegoś niezniszczalnego bytu, który zawsze sprzeciwiałby się moralności konkretnej, ale raczej należy w niej widzieć konsekwencję dobrowolnego wyrzeczenia się. Nie jest ona tym instynktem głębokim, który Freud — określając jako instynkt śmierci — przeciwstawiał instynktowi życia, ale jest wyrazem zboczenia, spaczenia tej pierwotnej dążności człowieka do działania z ludźmi dla ludzi.

3. **W e w n ę t r z n o ś ć.** Jest to aspekt istotny, który zawiera tamte pozostałe. „Grzech“ skupia myśl jednostki na jej własnym bycie, zrywa jej związki z działaniem, uniemożliwia pełne świeżości uczestniczenie w życiu i społeczności ludzkiej. Można by powiedzieć, że takie skupienie się na własnym wnętrzu jest kłamstwem, gdyby kłamstwo polegało na odrzuce-

niu powiązań z realnym światem. Dlatego „grzech umysłu“ — co spowodnicy często sami muszą stwierdzić — zależy bardziej od higieny umysłu niż od właściwej moralności. Światem tego „grzechu umysłu“ jest świat zupełnie subiektywny i egocentryczny, w którym, jeśli tak można powiedzieć, człowiek się dusi. Już samo to odczucie duszenia się jest objawem chorobowym: trwoga „grzesznika“ przepowiada i przygotowuje trwogę „chorego“.

Hesnard przeciwstawia mitomoralności grzechu moralność autentyczną, którą lubi nazywać konkretną. Zresztą moralność ta nie jest nowa, a psychoanaliza pomaga nam tylko do wyeliminowania elementów nieautentycznych. Pewnego rodzaju przekleństwo nadprzyrodzone, które wydaje się coraz silniej ciążyć na człowieku, jest tylko mitem. Poznanie naukowe pozwala uwolnić się nam od tego mitu, w miarę jak odsłania się jego zbyt ludzki mechanizm. Skoro „grzesznik“ jest człowiekiem żyjącym w trwodze nie przed tym, co czyni, ale przed tym, czym jest (czym sądzi, że jest), to należy zdemistyfikować moralność, obniżając moralnie wartość myśli, a zwiększając wartość działania. Moralność bowiem jest w gruncie rzeczy prosta. Nie należy szukać dla niej norm u bohaterów i świętych, ale w wymaganiach najbardziej powszechnych: można tolerować wszelkie idee, ale należy potępić wszelki czyn szkodzący osobowości drugiego człowieka, lub raczej pozytywnie — należy pracować „nad niekończącym się doskonaleniem stosunków międzyludzkich“. Moralność konkretna łączy w działaniu człowieka z nim samym i z innymi ludźmi. Człowiek musi żyć w ramach międzypodmiotowości. Zaczynając myśleć i żyć, człowiek zaczyna się utożsamiać z istotą podobną sobie. Postawa ta wskazuje z kolei, że przeznaczeniem człowieka jest związek z jemu podobnymi. Siły instynktowe człowieka nie mogą być potępione, ale muszą być znormalizowane i zużytkowane. Cała tradycja i całe wychowanie nieuchronnie prowadzą nas do postawy zwrócenia się ku sobie, do postawy oskarżenia się — „to moja wina“, a potem do zwrócenia się do drugiego człowieka, by jego z kolei oskarżyć — „to twoja wina“. Grzech jest strachem, źródłem agresywności i nienawiści siebie, innych ludzi i życia. Pesymizmowi grzechu trzeba przeciwstawić optymizm życia. Musimy uwolnić się od infantylizmu, archaizmu, terroru, trwogi, które rodzą się w wychowaniu ześrodkowanym na świadomości winy, to znaczy na tym micie przesadnej skrupulatności. Nauka współczesna może nas uwolnić od tego „grzechu bytu“, od tej „świadomości winy tkwiącej w przeznaczeniu“, które są szczytową formą wewnętrznej świadomości winy. Moralność przyszłości, moralność Chrystusa w działaniu, „konkretna, ponieważ zdemistyfikowana, mogłaby być moralnością bez diabła, bez tabu, bez wiary w złośliwość losu, bez bałwochwalczej wiary w przeznaczenie. Moralność wesola i płodna pokrywa się z duchowością autentyczną, którą chrześcijaństwo właściwie pojęło, ale której nie mogło zrealizować: czyn dokonany, nie tylko pomyślany, a dokonany z człowiekiem i dla człowieka“.

*

Nie leży w naszych zamiarach dyskusja z tezami historycznymi lub filozoficznymi Hesnarda. Pomimo tego, że szczerze stwierdza on swój szacunek dla moralności chrześcijańskiej, i mimo że ją przyjmuje, wiele

jego twierdzeń w rzeczy samej podważa ją. Bóg w pojęciu Pisma św. nie jest Bogiem zazdrosnym i Bogiem mścicielem, tak jak on sobie wyobraża, a ideał zakonny, który rzeczywiście może błędnie niekiedy określane jako ideał przyświecający każdemu chrześcijanowi, nie wystarczy na to, by udowodnić, że zbyt często uważano pojęcie grzechu za synonim czysto wewnętrznej świadomości winy. Interesuje nas tu tylko centralna idea tego dzieła, oparta na licznych obserwacjach: w dużej części nowoczesnego świata grzech jest objawem interioryzacji, która odrywa człowieka od działania i od realnej odpowiedzialności, a błąd moralny u niewierzących jest często pewnego rodzaju laicyzacją grzechu tak pojętego i zachowuje wszystkie jego skazy. Innymi słowy, wiele elementów infantylnych i archaicznych pozostało w naszej koncepcji grzechu. Z całą szczerością musimy stwierdzić, że podstawowe twierdzenie tego dzieła często się sprawdza. W ogólnych zarysach prawdą jest, że dzisiejszy świat moralny uczciwego człowieka, a nawet chrześcijanina, jest często światem chorym. W czasie lektury dzieła dr Hesnarda rzuca się w oczy niekiedy tragiczna oczywistość: chrześcijanin współczesny jest zbyt często kimś, kto się boi działania. Obciążając odpowiedzialnością byt, a nie działanie, z łatwością skończyłby on z pojęciem grzechu bez działania. Chętnie mierzyłby poziom swej wartości moralnej cierpieniem, które przeżywa z powodu obecności zła, nie zaś wartością środków, jakie mu przeciwstawia. Już Péguy mówił o katolikach, u których nawet modlitwa — traktowana jako coś, co zastępuje czyn — stała się mistyfikacją. Prawdą jest również fakt, że fałszywa i niejasna świadomość winy niereczywistej jest głównym źródłem oskarżenia. Pewne formy wychowania religijnego rozwijają uczucie lęku, trwogi i strachu. Odczuwamy tak wielką potrzebę obcowania z drugimi i korzystania z ich pomocy, że nie możemy zacieśnić się tylko do siebie bez obawy znienawidzenia innych i znienawidzenia siebie. Wszelkie uczucie zawiedzionej nadziei prawie koniecznie musi przejść w postawę oskarżenia. Niewątpliwie tym tłumaczy się ów gorzący fakt, że najwyższa cnota chrześcijańska, cnota miłości, która jest zasadniczo natchnieniem cnoty sprawiedliwości i która ją zmusza do stałego, nieskończenie wielkiego przekraczania siebie, w rzeczywistości stała się jakby wrogiem sprawiedliwości. Ostatecznie sprawiedliwość jest ucieleśnieniem miłości, jest miłością przybierającą formy instytucji, jest miłością realizującą się obiektywnie w dziele zawsze czasowym, które w nieskończoność rodzić będzie nowe dzieła, coraz doskonalsze. Oto dla czego prawdziwy postęp sprawiedliwości jest zawsze skutkiem działalności ludzi promieniujących prawdziwą miłością. Dzisiejsze jednak wychowanie pseudochrześcijańskie oddzieliło miłość od cnoty sprawiedliwości, czyniąc z tej pierwszej cnotę czysto indywidualną, gdy tymczasem nie jest ona jedynie odruchem serca. Pewna nauka o grzechu, przyjęta jako punkt wyjścia wychowania pozornie chrześcijańskiego, wytworzyła w człowieku lęk przed rzeczywistością ocenianą jako zło. Chcąc uniknąć grzechu należy, według tej koncepcji, uciec od ludzi i świata, schronić się w swoim wnętrzu, by w nim znaleźć Boga poza zasięgiem Jego stworzenia ocenianego *implicite* jako przejaw zła. Ostatecznie realizowanie tej koncepcji ściąga na człowieka karę, która jest nowym grzechem, będącym jakby zatruciem psychicznym i objawem moralnej rozpacz. Chrześcijanie współcześni powinni zdobyć się na głęboką ufność w wielkie przed-

siewzięcia człowieka, na które składa się treść pracy przekształcającej świat, treść nauki poznającej świat i treść filozofii rozważającej wartość jednej i drugiej. Sama przyjemność zawiera pewnego rodzaju szlachetność, która bynajmniej nie jest udziałem wszystkich — lub raczej jest tym, co zbyt często usiłuje się zniszczyć. Jednym odruchem miłości powinniśmy kochać siebie, innych ludzi i Boga.

Przyjmując jednak to wszystko, niczego nie ujmując, prawdą jest, że pozostanie pewna kłopotliwa trudność i pewna dwuznaczność. Poza zasięgiem wszystkich krytyk pedagogicznych, poza koniecznymi sprostowaniami **staje** przed każdym człowiekiem, a zwłaszcza przed chrześcijaninem, istotny problem: problem wartości wewnętrzności. Należy go dokładnie zbadać, w nim bowiem niewątpliwie tkwi główna trudność, jaką napotyka myśl w naszej epoce. Często w czasie lektury dzieła dr Hesnard odnosiśmy wrażenie jakiegoś radykalnego przeciwstawienia między mitomoralnościami subiektywnymi w porządku intencji a obiektywnymi moralnościami w porządku działania. Rozdzielenie jednak to jest oczywiście niemożliwe: czyn posiada swój sens, zwłaszcza odnośnie do swego znaczenia moralnego, dopiero wówczas, gdy zrealizowany zostaje przez podmiot świadomie **pragnący** — bez tego nie byłby czynem ludzkim, ale jedynie obiektywnym faktem — już zaś sama intencja, jak wskazuje na to ten termin, jest skierowaniem do przedmiotu, uwagą zwróconą ku czemuś innemu. Zresztą w innych miejscach swej książki dr Hesnard uznaje ten fakt i przeciwstawia kategorycznie schorzałej świadomości grzechu „*prawdziwe wewnętrzne poczucie winy, które ma raczej tendencję do uzewnętrznienia się: grzeszną intencję*“. A zatem rozróżnienie dokonuje się nie między sferą myśli i działania, ale we wnętrzu samej myśli między wszystkimi formami samouwielbienia i intencji autentycznej. Odtąd problem komplikuje się niezwykle: nie ma już bowiem moralności wewnętrznej i moralności zewnętrznej, moralności intencji i moralności czynu, ale istnieje prawdziwa wewnętrzna świadomość winy i fałszywa wewnętrzna świadomość winy. Pewne jest, że pierwsza staje się często okazją do powstania drugiej. Nie należy jednak ograniczać się do stwierdzenia tego możliwego zawsze wynaturzenia, ale rozpoznać prawdziwą wewnętrzność, określić i zanalizować jej autentyczne cechy. Chcąc potępić grzech nie wystarczy stwierdzić, że jest on czymś wewnętrznym — należy nauczyć się rozróżniać między fałszywym grzechem wewnętrznym, który jest wynikiem świata chorego, będącego zbyt często udziałem chrześcijanina, a prawdziwym grzechem wewnętrznym, który jedynie chrześcijanin — pokorny w obliczu Boga — może odczytać w całej jego głębi.

Właśnie tu przebiega nerw dyskusji. Trzeba być jasnym i stanowczym. W swym olbrzymim studium nad *Tyranią i Mądrością* ateista, uczeń Hegla, Kojève, z siłą ukazuje, że uznanie pewnego autentycznego świata wewnętrznego implikuje przyjęcie istnienia Boga. Rzeczywiście, „*choćby jedynie człowiek może zdobyć wiedzę o rzeczy, to jednak nigdy nie jest on pewny, czy ta jego wiedza jest prawdziwa*“. Pewność subiektywna nie różni się w niczym od wariactwa. Dopiero konfrontacja wyników poczynionych doświadczeń doprowadza do wzajemnego uznania, które rodzi prawdę i stwarza pewność moralną. Skoro konsekwentny ateista zastępuje pojęcie Boga pojęciem Społeczeństwa i Historii, pojęcie świata wewnętrznego jako wartości niesprawdzalnej społecznie zostaje zepchnięte na teren jedynie

subiektywnego przekonania (*doxa*). Dla ateisty zatem naukowe stwierdzenie świata wewnętrznego jest niemożliwe nie tylko *de facto*, ale również *de jure*. Świat wewnętrzny, będący jedynie przedmiotem subiektywnego przekonania, nie przedstawia dla niego żadnej wartości, nie rodzi pewności, jest pozbawiony prawdziwości. Dla chrześcijanina przeciwnie — istnieje prawdziwa wiedza (*episteme*) o wewnętrznym świecie duszy, jako tym, który poznaje Boga. Oczywiście on sam ze siebie nie posiada tej wiedzy o Bogu. Fakt ten pociąga za sobą dla chrześcijanina podwójne następstwo: z jednej strony wszystkie jego wysiłki muszą łączyć się z wysiłkiem ateisty, by upewnić swój sąd drogą pewnego rodzaju konfrontacji społecznej i w oparciu o sąd historii, z drugiej strony jednak nie powinien on nigdy sądzić ani siebie, ani drugich z punktu widzenia tego nieznanego mu wnętrza, otwartego jedynie dla spojrzenia Boga, przenikającego serca. Gdy jednak z całą pokorą oddaje Bogu prawo osądu sprawy nieznanego mu, gdy cpiera się jedynie na nadziei, gdy nigdy nie może ograniczyć się do kontemplacji swego wnętrza, równocześnie powinien działaniem swoim objąć teren tego wnętrza, powinien oczyścić je i robić wszystko, co możliwe, by sąd Boga o tym wnętrzu był jak najlaskawszy. Dlatego świat wewnętrzny i zewnętrzny nie stanowią dla chrześcijanina jakichś oddzielnych sfer, ale znajdują się w stałym procesie dialektycznym. Człowiek jest duchem wcielonym, a za Heglem można powiedzieć, że zwykle czyn jest prawdziwym wyrazem intencji, co też można uściślić stwierdzając, że czyn może już być zwykłym działaniem ducha na ciało. Również pewne jest, że intencja tworzy prawdę czynu, który bez niej byłby jedynie obiektywnym faktem ze sfery natury. Ateizm przyjmuje odpowiedzialność jedynie przed historią. Dlatego może on powiedzieć, że świat wewnętrzny jest dla niego światem zewnętrznym. Przeciwnie ma się sprawa u chrześcijanina, dźwigającego podwójną odpowiedzialność: przed Bogiem i przed historią. Najgorsze jego błędy pochodzą stąd, że nie uznaje on którejs z nich, lub zniekształca ich sens. Grzech jest zawsze czynem dokonany nie przed samym sobą, ale przed Bogiem. Nie jest on natury psychologicznej, ale natury duchowej. Dlatego istnieje dwuznaczność w pojęciu grzechu, a cała nowoczesna krytyka wyrabia w nas jasną świadomość tego faktu, wyzwala nas z wielu poglądów przestarzałych i infantylnych.

Całe to rozumowanie prowadzi nas do problemu rozróżnienia bytu i działania. Niewątpliwie byt osoby nie jest odrębny od jej czynów. A jednak poglądowi, że jesteś bardziej odpowiedzialni za to, czym jesteś, niż za to, co czynimy, można nadać możliwy do przyjęcia sens. Prawdą jest, że nie ma grzechu bytu, grzechu istnienia, nie ma winy z góry człowiekowi przeznaczonej. Dostatecznie już wykazaliśmy, że zarówno w dziedzinie pedagogii, jak i w dziedzinie moralności wychodzenie od pojęcia winy jest narażaniem się na najgorsze. Grzech występuje wyraźnie dopiero na tle niewinności — a o ile chrześcijanin posiada pojęcie grzechu pierwotnego (*le péché originel*), o tyle nie posiada pojęcia grzechu wrodzonego naturze ludzkiej (*le péché originare*). Zasadą każdej etyki i każdego systemu wychowawczego jest postulat wyrażenia zgody na siebie samego. Ale dla człowieka wyrażenie zgody na siebie samego nie jest łatwe. Zawsze trudno jest przyjąć siebie takim, jakim się jest — takiej płci, w takim wieku, w takiej sytuacji. Fakt ten ukazuje błąd naturalizmu lub witalizmu: moralność nie jest wynikiem naturalnej ewolucji życia. To zaś uzasadnia fakt,

że nie istnieje moralność bez dualizmu. Innymi słowy imperatyw kategorii nie wyraża z pewnością całej moralności, ale nie można go z niej wyeliminować nie niszcząc jej. „Człowiek — jak mówi Renouvier — *jest zwierzęciem, które kieruje się przykazaniami*“. Właśnie to, co jest w człowieku ze zwierzęcia, uzasadnia konieczność przykazań. W dniu, w którym człowiek zaczął istnieć, w którym rozum jego przeciwstawił się jego zmysłom, a wolność — naturze, w dniu tym również zaistniał problem moralny. Moralność bowiem istnieje jedynie dla tego bytu, który ma świadomość swojej dwoistości, a chce być jedną. Dysharmonia istniejąca między ludźmi ma swoje źródło w dysharmonii wewnętrznej, która istnieje w człowieku. Wysiłek kształtowania człowieczeństwa w sobie i w innych ludziach stanowi prawdziwą i trudną moralność. Nie trzeba by było budować tej harmonii, gdyby była ona spontaniczna i naturalna. To wewnętrzne rozdarcie jest w oczach chrześcijanina moralnym sensem grzechu pierworodnego: człowiek ma obowiązek wyrazić zgodę na przyjęcie siebie — bytu wewnętrznie rozdartego.

Chrześcijanin nie żyje jednak pod prawem grzechu, ale pod prawem miłości. Chrześcijaństwo odrzuca wszelkie tabu, ponieważ dla niego świadomość winy nie rodzi się ze świadomości pogwałcenia prawa, ale ze świadomości, że ugodzona została osobowość człowieka. W pewnym sensie każdy grzech cechuje nienawiść człowieka względem bliźniego: grzech taki lub inny jest zawsze powtórzeniem czynu Kaina zabijającego brata. Dlatego radykalnym problemem moralności jest problem zabójstwa. Całe zło na przestrzeni historii znajduje swój symbol w złu, jakie człowiek wyrządza drugiemu człowiekowi. W historii ludzkości wszędzie, w rozmaitych formach występuje zabójstwo. Fakt ten tłumaczy, dlaczego kształtowanie człowieczeństwa jest sprawą tak trudną. Świat moralny jest światem ciężkim i bezwładnym, w którym wysiłek jednoczenia się i wzajemnego wychowywania jest zawsze wysiłkiem prowizorycznym i o wątpliwej skuteczności. Ponieważ chrześcijanin wie, że zawsze dokonuje się w nim zabójstwo — lub przynajmniej istnieje możliwość zabójstwa — dlatego posiada on świadomość, że jest wirtualnym grzesznikiem lub, jak powiedzieliśmy na początku, „nędzną słabizną“. Widzimy zatem, jak bardzo moralność jest konieczna i — z drugiej strony — jak bardzo jest ona trudna. Problem moralny tkwi w najgłębszym wnętrzu człowieka, a pragnienie przekroczenia go bez przechodzenia przezeń jest zawsze połączone z ryzykiem upadku moralnego. Można by powiedzieć, że właśnie tu tkwi grzech pierworodny. Zawsze punktem wyjścia ofensywy człowieka zdążającej do ujarzmiania siebie samego będzie owo pomieszanie czynnika zwierzęcego i ludzkiego. Ponieważ świat moralny jest miejscem tego rozdziału — miejscem, gdzie dokonuje się wysiłek pokonania tego rozdziału — jest on również miejscem niepowodzeń i upadków tego wysiłku. Dlatego zrozumiałe się staje, że dr Hesnard np. mógł naprawdę w chorobach umysłowych odczytać perwersję lub prawdziwe zboczenie moralności. Świadomość moralna łączy się zawsze z ryzykiem popadnięcia w rozpacz i trwogę. Świadomość religijna jednak oswobadza nas od tej rozpacz i od tej trwogi. Oto dlatego wszystkie nowoczesne filozofie niepokoju mogą być moralne, a nawet moralistyczne, nie są jednak chrześcijańskie. Twierdzenie bowiem, że chrześcijanin nie żyje pod prawem grzechu, ale pod prawem miłości, pokrywa się z twierdzeniem, że jest on odkupiony, a istniejące w nas wew-

nętrzne rozdarcie może i musi zostać przewyciężone, a nawet zostało już przewyciężone. Chrześcijanin może zatem połączyć nadzieje ludzkie z Boską cnotą nadziei — niepowodzenia bynajmniej nie zatrzymują go, ponieważ obowiązkiem jego jest zawsze zwracać myśl ku „tamtej” rzeczywistości. Prawdziwy grzech, grzech w pojęciu chrześcijańskim sprzeciwia się działaniu. Zobowiązuje on jedynie do działania pokornego, do działania pod nieustannym spojrzeniem Boga. Gdy naprawdę zrozumiemy, że centralną ideą chrześcijaństwa jest ostatecznie nie idea grzechu, ale idea odpuszczania grzechów, to wówczas świadomość, że jesteśmy grzesznikami, bynajmniej nie zrodzi w nas uczucia trwogi.

Tłumaczył *Adam Paygert*

UMOWA POCZDAMSKA 1945 — 1955

Dnia 2 sierpnia br. mija dziesięć lat od momentu opublikowania tekstu umowy poczdamskiej. Treść tej umowy międzynarodowej jest bardzo różnorodna, nie ona jest przedmiotem niniejszego artykułu. Z punktu widzenia treści umowa poczdamska może być określona jako traktat pokoju *ad interim*.

Na przełomie tego dziesięciolecia spotykamy się z bogatą dokumentacją, która pozwala ocenić wartość polityczną i prawną umowy poczdamskiej — tej umowy, której zasadniczym celem była zarówno likwidacja skutków wojny, jak i położenie podstaw organizacyjnych pod budowę świata powojennego. Trudno przedstawić nawet w krótkim zarysie całość tej dokumentacji. Dla celów niniejszego artykułu wystarczy wybrać trzy zasadnicze elementy tej dokumentacji:

1) Materiały z berlińskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw, odbytej w dniach 25 stycznia — 18 lutego 1954 r. Było to pierwsze po wielu latach spotkanie przedstawicieli tych czterech mocarstw, stąd wielka waga dokumentacji związanej z tą konferencją.¹

2) Materiały sprawozdawcze z procesu przeciwko kierownictwu Komunistycznej Partii Niemiec (KPD), wytoczonego przez rząd kanclerza Adenauera przed Trybunałem Konstytucyjnym Niemieckiej Republiki Związkowej w Karlsruhe.² W toku przewodu sądowego starły się dwa zespoły argumentów politycznych i prawnych, naświetlające umowę poczdamską. Stało się to na tle wysunięcia przez obronę Komunistycznej Partii Niemiec tezy, że delegalizacja KPD na terytorium Niemieckiej Republiki Związkowej sprzeczna jest zarówno z prawem wewnętrznym, jak i prawem międzynarodowym — w szczególności zaś jest sprzeczna z umową poczdamską. Siła argumentacji obrony spowodowała nie tylko wielokrotne odraczanie procesu, lecz przede wszystkim wywabiła w toku przewodu sądowego nie-

¹ Opracowanie niniejsze oparte jest na dwóch zbiorach dokumentów: a) *Konferencja berlińska (25 stycznia — 18 lutego 1954 r.). Dokumenty i materiały* — Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Warszawa 1954, str. 316; b) *Die Viererkonferenz in Berlin. Reden und Dokumente*, Ausgabe Februar 1954. Herausgegeben vom Presse — und Informationsamt der Bundesregierung, Berlin, str. 194.

² Analiza problematyki prawnej umowy poczdamskiej oparta jest zasadniczo na materiałach sprawozdawczych, ujętych w nieurzędowym protokole z procesu przeciwko KPD w Karlsruhe. W szczególności przytoczone są tutaj materiały z przemówienia wstępnego podsekretarza stanu rządu Niemieckiej Republiki Związkowej

spotykany dotąd zespół argumentów i kontrargumentów na rzecz wielkiej wartości politycznej i prawnej umowy poczdamskiej.

3) Konferencja członków parlamentów kilkunastu państw europejskich, odbyta w Warszawie w początkach lutego 1955 r. — oprócz bogatej w argumenty polityczne i prawne dyskusji — przyniosła rezolucję, która niewątpliwie stanowi wytyczną w zakresie powrotu do programu poczdamskiego.³ Rezolucja ta przewiduje: jednoczesne wycofanie z Niemiec wszystkich wojsk okupacyjnych czterech mocarstw, zjednoczenie Niemiec w drodze wolnych i kontrolowanych wyborów, które zostałyby przeprowadzone na podstawie ordynacji wyborczej gwarantującej wszystkie swobody demokratyczne i wreszcie poszanowanie zobowiązań umowy poczdamskiej, zgodnie z którymi Niemcy nie mogą wejść w skład żadnej koalicji wojskowej. Te trzy elementy rezolucji warszawskiej przewijają się od czasu tej konferencji w różnych akcjach politycznych, zmierzających do odprężenia sytuacji międzynarodowej i do realizacji zasady pokojowego współżycia różnych systemów społeczno - politycznych.

Oczywiście — są to źródła informacyjne i interpretacyjne o różnym charakterze. Wspólną ich cechą jest to, że wszystkie te i im podobne źródła przemawiają wyraźnym językiem na temat wartości postanowień umowy poczdamskiej. Ze wszystkich tych źródeł wynika również wielka odpowiedzialność mocarstw zachodnich za odejście od postanowień umowy poczdamskiej. Wreszcie wynika z tych źródeł, że przez fakt odejścia mocarstw zachodnich od programu poczdamskiego sprawa Niemiec nie została rozwiązana. Dzisiaj można już sformułować wniosek, że sprawa Niemiec pozostała nierozwiązana właśnie wskutek odejścia mocarstw zachodnich od umowy poczdamskiej — a nie mimo ich odejścia.

Celem niniejszych uwag nie jest pisanie historii o wykonywaniu lub łamaniu postanowień umowy poczdamskiej w okresie minionego dziesięciolecia. W niniejszych uwagach chodzi o przedstawienie kluczowej problematyki prawnej tej wielkiej i podstawowej dla powojennego budownictwa ładu międzynarodowego — umowy międzynarodowej. Z tego punktu widzenia zarysowują się tutaj trzy zasadnicze zagadnienia:

I. Czy umowa poczdamska zachowuje swą wartość i moc, zwłaszcza w sprawie Niemiec, w chwili obecnej — po upływie dziesięciu lat?

II. Zasadnicze zagadnienia międzynarodowo-prawne związane z umową poczdamską.

Ritter von Lex z dnia 26.XI.1954 r., wywód prof. dr H. Kroegera z Uniwersytetu Humboldta w Berlinie oraz wywód radcy prawnego rządu Niemieckiej Republiki Związkowej prof. dr E. Kaufmanna z dnia 7.XII.1954 r. Celem naświetlenia tych materiałów wprowadza się tutaj również dwa zasadnicze artykuły, a mianowicie: prof. dr Wolfgang Abendroth, *Die gegenwaertige voelkerrechtliche Bedeutung des Potsdamer Abkommens vom 2.VII.1945* — „Europa Archiv“, 1952, nr 11, oraz prof. dr Rudolf Arzinger, *Potsdamer Abkommen und Wiedervereinigung Deutschlands im Mittelpunkt des Karlsruher Prozesses* — „Neue Justiz“, 1955, nr 1. Rzecz jasna, że te dwa artykuły nie wyczerpują ogromnej problematyki prawnej umowy poczdamskiej, lecz w niniejszym artykule chodzi jedynie o wskazanie zasadniczych zagadnień z tą umową związanych. Szczegółowe odsyłacze opuszczone są ze względu na ogromnie skondensowany materiał.

³ Szczególny charakter tej rezolucji podkreśla fakt zgłoszenia jej w Radzie Republiki Francuskiej jako interpelacji do ministra spraw zagranicznych — patrz „Trybuna Ludu“ 1955 nr 71.

III. Ataki polityczne na umowę poczdamską w świetle publikacji tzw. dokumentów jałtańskich przez Departament Stanu USA.

Należy z kolei przejść do szkicowego przedstawienia tych trzech zasadniczych — jak się zdaje — zagadnień, które muszą zainteresować nas w dziesiątą rocznicę obowiązywania umowy poczdamskiej.

I.

Czy umowa poczdamska zachowuje swą wartość i moc zwłaszcza w sprawie Niemiec, w chwili bieżącej — po upływie dziesięciu lat?

Odpowiadając na to pytanie podczas konferencji berlińskiej 1954 r. oświadczył min. Mołotow, że zarówno uchwały powzięte w Jalcie, jak i umowa poczdamska — oraz wytyczone w tych uchwałach podstawowe cele odnośnie do problemu niemieckiego — powinny wskazywać główny kierunek rozwiązywania pokojowego sprawy Niemiec. Realizacja umowy poczdamskiej na tym odcinku służy interesom utrwalenia pokoju w Europie. Jak w świetle tak sformułowanej tezy przedstawia się stanowisko mocarstw biorących udział w tej konferencji? Oto odpowiedź na powyższe pytanie:

1) ZSRR — zajmuje stanowisko, że zarówno umowa jałtańska, jak i poczdamska stanowią jedyny słuszny program pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. Min. Mołotow podkreślił w przemówieniu z dnia 21.I.1954 r., że rządy czterech mocarstw, reprezentowane na konferencji berlińskiej, miały w sprawie Niemiec jednakową opinię i wspólne poglądy w okresie konferencji jałtańskiej i poczdamskiej.⁴ W tym samym przemówieniu min. Mołotow oświadczył: „Nie wolno wreszcie pomniejszać znaczenia umowy poczdamskiej w sprawie Niemiec. Czyż wszystko to nie może i nie powinno stanowić podstawy do wspólnego podjęcia takich konkretnych kroków, które odpowiadałyby interesom zapewnienia trwałego pokoju i bezpieczeństwa narodów Europy?” Przemawiając dnia 1.II.1954 r. min. Mołotow oświadczył: „Przyznajemy, że w umowie poczdamskiej jest niemało przestarzałych już punktów. Niemniej jednak zasadniczy sens tych uchwał pozostaje w całej pełni w mocy. Sens tych uchwał polega na tym, by rozwiązując problem niemiecki Francja, ZSRR, W. Brytania i USA działały razem i aby nasze kraje znalazły wspólny język z narodem niemieckim, a mianowicie z jego siłami demokratycznymi, ażeby nie dopuścić do nowej wojny w Europie. Wspomniane umowy między czterema mocarstwami wyraźnie wytyczyły drogę do zapewnienia bezpieczeństwa w Europie. Jeżeli zgodnie z tymi umowami czterech mocarstw nie dopuścimy wspólnymi wysiłkami do odrodzenia militarystyki niemieckiej — usuniemy główne niebezpieczeństwo nowej wojny w Europie i przez to wzniesiemy poważne przeszkody na drodze do przygotowania i rozpętania nowej wojny światowej. Jeżeli natomiast zrezygnujemy ze wspólnych i uzgodnionych działań czterech mocarstw oraz dopuścimy do odbudowy militarystyki niemieckiej — to wówczas żadne umowy międzynarodowe nie zdołają dać nam wystarczających gwarancji, które by zapobiegły nowej rzezi światowej.“ Oceniając treść umowy poczdamskiej w przemówieniu z dnia 25.I.

⁴ Analiza ta oparta jest na tekstach, wydanych w zbiorze dokumentów pt. *Konferencja berlińska*, patrz odsyłacz ¹.

1954 r. stwierdził min. Mołotow m. in.: „Rozumiemy oczywiście, że niemało punktów zawartych w umowie poczdamskiej straciło swe znaczenie dlatego, że miały one charakter przejściowy. Ale zasadnicze cele umowy poczdamskiej — cele przyjscia z pomocą Niemcom, przyjscia z pomocą narodowi niemieckiemu ze strony naszych państw, cele rozwoju Niemiec w drodze demokratycznej i pokojowej — te cele nie tylko nie straciły znaczenia, ale nie mogą one stracić znaczenia, jeśli dążymy do tego, żeby Niemcy rozwijały się właściwą drogą i stanęły wreszcie w rzędzie wielkich mocarstw Europy wraz z innymi miłującymi pokój mocarstwami Europy...” Te poglądy rządu radzieckiego znalazły swój jeszcze jeden wyraz w projekcie traktatu pokoju z Niemcami, zgłoszonym dnia 1.II.1954 r.

2) Stany Zjednoczone — oceniły podczas konferencji berlińskiej 1954 r. negatywnie umowę poczdamską. W przemówieniu min. Dullesa z dnia 27.I.1954 r. znajduje się m. in. taki zwrot: „My czterej nie spotykamy się tutaj dlatego, że inne narody dały nam prawo zajmować się sprawami świata w ogóle, lub że prawo takie uzurpowaliśmy sobie. My czterej jesteśmy tutaj po to, aby zajmować się problemem Niemiec... ponieważ jesteśmy czterema mocarstwami okupacyjnymi. Innych mocarstw okupacyjnych nie ma i dlatego... zjednoczenie Niemiec zależy wyłącznie od nas. Jesteśmy w tej sprawie właściwymi i nieodzownymi stronami. Okupacja nie może się skończyć, jeżeli my jej nie skończymy.” Omawiając umowę jałtańską i poczdamską porównywał je min. Dulles do „nieszczęsnego traktatu wersalskiego”. Oświadczył on, że te dwie umowy, w których uczestniczył również rząd Stanów Zjednoczonych, „były zrozumiałe w kontekście dnia”. To wystąpienie min. Dullesa zawiera więc wyraźną sugestię nawiązującą do klauzuli *rebus sic stantibus* — jakkolwiek zagadnienie mocy obowiązującej umowy poczdamskiej nie zostało tutaj wyraźnie poruszone.

3) W. Brytania — nie zajęła w ogóle stanowiska w sprawie umowy podczas konferencji berlińskiej 1954 r.

4) Francja — nie zajęła w ogóle stanowiska wobec umowy poczdamskiej podczas konferencji berlińskiej 1954 r.

Analiza opublikowanej dotąd dokumentacji dotyczącej konferencji berlińskiej 1954 r. pozwala sformułować pewne ogólniejsze wnioski. Przede wszystkim wolno stwierdzić, że płaszczyzna dyskusji czterech mocarstw opiera się w zasadzie na programie poczdamskim — bądź wyraźnie wymienionym, bądź przy milczącym założeniu obowiązywania umowy poczdamskiej. Cztery mocarstwa — strony umowy poczdamskiej — zajmują różne stanowiska wobec tej umowy i różnie ją interpretują. Różnice te występują w skali — od pełnego uznania mocy obowiązującej tej umowy, poprzez jej krytyczną ocenę, do jej zupełnego przemilczania.

Dokumentacja konferencji berlińskiej 1954 r. stanowi poważną zachętę do wyjaśnienia kluczowej problematyki międzynarodowo-prawnej tej umowy. Oto zasadnicze zagadnienia z tej płaszczyzny.

II.

Umowa poczdamska zawarta została przez trzy rządy: ZSRR, Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii — a później podpisana również przez Francję. Bez względu na to, czy określimy ją jako typową umowę międzynarodową, czy też jako „umowę rządową” — należy stwierdzić, że jest ona

umową z typu tych, w stosunku do których prawo międzynarodowe nie stawia żadnych wymogów odnośnie do jej formy. Obojętna jest nazwa takiej umowy, obojętna jej forma i sposób ogłoszenia — gdyż nie to decyduje o istocie umowy międzynarodowej.

Treść umowy poczdamskiej nie ma charakteru jednolitego. Na przestrzeni całego dziesięciolecia główna walka toczy się o realizację postanowień dotyczących problemu Niemiec. Trzeba tutaj dodać, że postanowienia umowy poczdamskiej odnośnie do „Niemiec jako całości“ nawiązują do czterostronnych aktów prawnych poprzedzających umowę poczdamską. Wymienić tu trzeba takie akty prawne jak:

1) układ ZSRR — Stany Zjednoczone — W. Brytania z dnia 30.XI.1944 roku na temat zasad mechanizmu kontrolnego nad Niemcami.

2) umowa jaltańska z dnia 11.II.1945 r.

3) układ o przystąpieniu Francji do umowy trzech mocarstw z dnia 30.XI.1944 r. — podpisany przez Francję na tydzień przed bezwarunkową kapitulacją hitlerowskiej Rzeszy, a mianowicie dnia 1.V.1945 r.

4) zespół aktów prawnych czterech mocarstw z dnia 5.VI.1945 r.

Wszystkie te akty prawne są ściśle związane z umową poczdamską. Z tego wynika, że może ona być interpretowana głównie w świetle powyższych aktów prawnych. Dotyczy to oczywiście tych postanowień umowy poczdamskiej, które regulują problem Niemiec. Na szczególne podkreślenie zasługuje tutaj okoliczność, że w zakresie wielu postanowień umowy poczdamska ma charakter aktu wykonawczego w stosunku do umowy jaltańskiej.

Przeciwnicy powyższego poglądu, negując wartość prawną umowy poczdamskiej, wysuwają na uzasadnienie swego stanowiska następujące argumenty:

1) wskazują na nazwę umowy poczdamskiej, która została opublikowana jako *Komunikat z dnia 2.VIII.1945 r.*;

2) uważają, że umowa poczdamska jest tzw. aktem rządowym, zawartym przez trzech szefów rządów;

3) podkreślają, że umowa poczdamska nie została ratyfikowana w sposób konstytucyjnie przewidziany w państwach będących jej stronami.

Argumentacji tej warto poświęcić nieco uwagi, gdyż przewija się ona ze wzrastającym nasileniem na przestrzeni minionych lat:

ad 1) Nikt nie zaprzecza faktu, że umowa poczdamska została opublikowana jako *Komunikat z dnia 2.VIII.1945 r.* Nie można wszakże wysnuwać z tego konsekwencji, związanych z oceną charakteru prawnego i mocy obowiązującej umowy międzynarodowej. Równałoby się to pomieszaniu formy publikacji umowy z treścią publikowanej umowy i z oceną prawną tej treści. Tekst umowy poczdamskiej nie dopuszcza wątpliwości, że stanowi ona porozumienie stron o charakterze umowy międzynarodowej. Zarówno teoria, jak i praktyka międzynarodowo-prawna stwierdza, że nazwa umowy jest obojętna, że nie decyduje ona ani o charakterze prawnym umowy, ani też o jej mocy obowiązującej. Prawo międzynarodowe jest obojętne na formę umowy. Z tego punktu widzenia zarzut tego typu, skierowany przeciwko umowie poczdamskiej, nie może być uznany za uzasadniony.

ad 2) Argument, że umowa poczdamska jest tzw. aktem rządowym, wymaga szczegółowego wyjaśnienia. Przede wszystkim ten argument nie go-

dzi ani w moc prawną umowy, ani w ogóle w jej charakter prawny. Jest rzeczą oczywistą, że kompetencje do zawierania umów międzynarodowych określa prawo wewnętrzne każdego państwa. To zagadnienie ma wszakże mało wspólnego z problemem mocy obowiązującej zawartej w umowie międzynarodowej. Obecnie dopuszcza się domniemanie kompetencji do zawierania umów międzynarodowych przez określone organy państwowe — zwłaszcza przez głowę państwa i przez ministra spraw zagranicznych. Umowa jałtańska została podpisana przez prezydenta USA, działającego w swej czwartej kadencji. Umowę poczdamską podpisał prezydent USA, który odbywał dwukrotną kadencję. W nauce prawa międzynarodowego można spotkać się z poglądem, że zarzut braku kompetencji organów — zwłaszcza gdy chodzi o głowę państwa lub inny wysoki organ wykonawczy — stanowi delikt prawa międzynarodowego. Ten zarzut negatorów umowy poczdamskiej jest już do tego stopnia wyjaśniony, iż obecnie podkreśla się, że nie godzi on w zagadnienie mocy wiążącej umowy, a jedynie dotyczy jej „natury prawnej“.

ad 3) Przeciwnicy umowy poczdamskiej podkreślają, że nie została ona ratyfikowana przez strony. Wskutek tego wiąże ona jakoby tylko rządy, które ją zawarły, a nie „państwa jako całości“. Argument ten nie wytrzymuje krytyki prawniczej. Upoważnione konstytucyjnie organy zawierają umowy międzynarodowe wiążące państwo. Trudno zrozumieć różnicę między „państwem jako całością“, a nie wiadomo czym jako drugim członem porównawczym. Na przestrzeni dziesięciu lat obowiązywania umowy poczdamskiej żadna ze stron nie kwestionowała jej wiążącego charakteru międzynarodowo-prawnego. Istnieją różnice w interpretacji tej umowy, ale wszystkie strony stoją na stanowisku jej uznania jako umowy międzynarodowo-prawnej. Ze strony mocarstw zachodnich jest to co prawda tylko postawa formalno-prawna. Nikt nie zaprzecza faktu, że umowa poczdamska nie jest ratyfikowana przez senat USA, że nie jest ona również ratyfikowana przez inne strony tej umowy. Jest jednak również faktem nie do zaprzeczenia — że umowa poczdamska nie zawiera wymogu ratyfikacji przez strony.

Wyjaśnwszy w ten sposób podstawowe zarzuty podnoszone przez przeciwników umowy poczdamskiej można przejść do szczegółowego rozważenia szeregu zagadnień prawnych, z umową tą związanych. Są to zagadnienia pierwszorzędnej wagi zarówno dla stosunków międzynarodowych, jak i dla prawa międzynarodowego. Oto one:

Z a g a d n i e n i e I — Stosunek umowy poczdamskiej do ogólnych zasad prawa międzynarodowego.

W umowie poczdamskiej znajdują się ogólne zasady prawa międzynarodowego, które powszechnie obowiązywały przed jej zawarciem. Uiegly one w umowie poczdamskiej niejako konkretyzacji, głównie w stosunku do Niemiec. Ogólnie mówiąc są to zasady prawa międzynarodowego, zawarte w art. 1 i art. 2 Karty Narodów Zjednoczonych. W szczególności umowa poczdamska zawiera następujące ogólne zasady prawa międzynarodowego: zasadę zakazu agresji i interwencji, zasadę potępienia wojny i zasadę samostanowienia. Kto zaprzecza mocy prawnej umowy poczdamskiej

skiej, ten dąży do przekreślenia powyższych zasad prawa międzynarodowego.⁵

Negatorzy umowy poczdamskiej podnoszą, że w ogólnych zasadach tej umowy chodzi głównie o uregulowanie problemów wewnętrznych Niemiec: decentralizację, reedukację, demokratyzację, denazyfikację itd. Podkreślają oni, że nie ma ogólnych zasad prawa międzynarodowego, regulujących takie zagadnienia. Ich zdaniem istnieje przede wszystkim ogólna zasada prawa międzynarodowego, zakazująca ingerowania w wewnętrzne sprawy państwa. Negatorzy umowy poczdamskiej podkreślają, że strony tej umowy postawiły sobie zadania równoznaczne z interwencją w wewnętrzne sprawy Niemiec. Jednocześnie negatorzy umowy poczdamskiej uważają, że skoro pewne ogólne zasady prawa międzynarodowego zostały w umowie poczdamskiej „skonkretyzowane” — to tym samym zatraciły one charakter „ogólnych” zasad.

Spór o stosunek umowy poczdamskiej do ogólnych zasad prawa międzynarodowego nie jest pozbawiony wartości praktycznej. Ustawa zasadnicza Niemieckiej Republiki Związkowej stwierdza w art. 25, że ogólne zasady prawa międzynarodowego są częścią składową prawa konstytucyjnego Niemieckiej Republiki Związkowej. Przeprowadzenie dowodu, że umowa poczdamska zawiera takie ogólne zasady, stanowi zatem przesłankę do wniosku — że umowa poczdamska jest częścią integralną prawa konstytucyjnego Niemieckiej Republiki Związkowej. Z tego względu urzędowa koncepcja Adenauera — to koncepcja negatorów umowy poczdamskiej.

Z a g a d n i e n i e II — Cztery mocarstwa jako strony umowy poczdamskiej.

Omówiony we wstępie stosunek czterech mocarstw do umowy poczdamskiej — w oparciu o dokumentację z berlińskiej konferencji 1954 r. wymaga pewnych dodatkowych, prawniczych uzupełnień:

ZSRR — uznając w pełni umowę poczdamską i wykonując ją, żąda jej wykonania przez wszystkie strony. Dyplomacja radziecka podkreśla przy każdej okazji, że istotny sens umowy poczdamskiej sprowadza się do faktu znalezienia w tej umowie wspólnego języka nie tylko przez cztery mocarstwa, lecz również wspólnego języka między mocarstwami i narodem niemieckim.

Stany Zjednoczone formalnie nie wypowiedziały umowy poczdamskiej, lecz materialnie przekreślają systematycznie jej postanowienia. Można jednak wskazać na szereg przykładów nawiązywania przez Stany Zjednoczone do umowy poczdamskiej tam, gdzie polityka USA może wyciągnąć z tego bezpośredni interes. Urzędowo nie podniesiono również ze strony amerykańskiej zarzutu — że umowa poczdamska nie została ratyfikowana przez senat USA.

W. Brytania — zachowuje stanowisko powściągliwe, wahające się w granicach wyznaczonych przez wypowiedzi dwóch ministrów spraw zagra-

⁵ Rzecznicy oskarżenia w procesie przeciwko KPD nie mogli uzasadnić swej tezy, jakoby umowa poczdamska nie zawierała ogólnych zasad prawa międzynarodowego. Wynika to z opublikowanej dotąd dokumentacji tego procesu.

nicznych: Bevina — który stwierdził, że umowę poczdamską „*podpisał jedynie z ociąganiem*“, oraz Edena — od którego pochodzi wypowiedź, że umowę poczdamską należy wykonać w całości, albo też w całości ją przekreślić.

Francja — nie była obecna w Poczdamie, przystąpiła do umowy poczdamskiej formułując w nocy z dnia 7.VII.1945 r. jedynie zastrzeżenia dotyczące utworzenia centralnego rządu niemieckiego. Francja nie ratyfikowała umowy poczdamskiej. Na zapytanie w parlamencie dnia 21.VII.1953 r. minister spraw zagranicznych Francji odpowiedział, że umowa poczdamska konstytucyjnie nie wymaga ratyfikacji.

Na podstawie dostępnej dokumentacji można stwierdzić, że mocarstwa zachodnie w oparciu o umowę poczdamską wyciągnęły z jej postanowień liczne korzyści. Z chwilą nasycenia się tymi korzyściami — jeśli tak można powiedzieć — zaczęły mocarstwa zachodnie wysuwać wątpliwości polityczne i prawne w stosunku do umowy poczdamskiej. Zjawisko to wystąpiło jeszcze w ostatnich miesiącach. W ekspertyzach, złożonych przez obrońców w procesie przeciwko KPD w Karlsruhe, poruszono te przypadki, w których mocarstwa zachodnie „praktycznie powoływały się“ na postanowienia umowy poczdamskiej. Oto one:

1) w sprawie obecności wojsk okupacyjnych na terytorium Niemieckiej Republiki Związkowej — podstawa prawna zawarta jest w umowie poczdamskiej; nawiązywanie układu ogólnego z dnia 26.V.1952 r. do uprawnień wojsk okupacyjnych na terytorium Niemieckiej Republiki Związkowej, to nawiązywanie do umowy poczdamskiej,

2) uprawnienia mocarstw okupacyjnych w Berlinie Zachodnim mają praktycznie swe korzenie również w umowie poczdamskiej;

3) układ paryski z 1954 r. nawiązuje praktycznie w art. 2 i art. 4 do umowy poczdamskiej — artykuły te określają bowiem utrzymywanie przez mocarstwa zachodnie dotychczasowych uprawnień w stosunku do „Niemiec jako całości“ — co nawet terminologicznie łączy się z umową poczdamską.

Z a g a d n i e n i e III — Sprawa obowiązywania umowy poczdamskiej na terytorium Niemieckiej Republiki Związkowej.

Obowiązywanie umowy poczdamskiej na terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej jest ujęte przez rząd NRD bez żadnych niedopowiedzeń. Niemiecka Republika Demokratyczna stoi na stanowisku całkowitego wykonania umowy poczdamskiej przez wszystkie strony oraz przez rząd NRD.

Inaczej przedstawia się to zagadnienie w Niemieckiej Republice Związkowej. Według urzędowych poglądów zachodnio-niemieckich umowa poczdamska jako *res inter alios acta* nie jest adresowana do narodu niemieckiego, a więc nie interesuje narodu niemieckiego. Temu pogładowi zaprzecza w pierwszym rzędzie tekst umowy poczdamskiej, która wielokrotnie zwraca się bezpośrednio do narodu niemieckiego. Z licznych postanowień tej umowy wynika konieczność współdziału narodu niemieckiego w wykonywaniu jej postanowień. Wyrazem tego współdziałania między czterema mocarstwami i narodem niemieckim w ramach postanowień umowy pocz-

damskiej jest m. in. całe ustawodawstwo Sojuszniczej Rady Kontroli nad Niemcami oraz zarządzenia dowódców wojskowych poszczególnych stref.⁶

Według urzędowych poglądów zachodnio-niemieckich prawo międzynarodowe nie uznaje umów *in favorem tertii*. Rozwijając ten pogląd doradcy prawni rządu bonneńskiego twierdzą, że Niemiecka Republika Związkowa nie jest związana umową poczdamską, że nie może ona wypowiadać poglądu na temat jej obowiązywania, że nie może jej interpretować. Naród niemiecki — według tych poglądów — nie jest adresatem postanowień umowy poczdamskiej. Adresatem są jedynie rządy czterech mocarstw. Na uzasadnienie tego poglądu przytacza się m. in. taki argument, że tekst umowy poczdamskiej nie został zamieszczony w tej części dziennika urzędowego, który zawiera normy prawne adresowane do narodu niemieckiego, lecz opublikowano ten tekst w zeszyście uzupełniającym, zawierającym ogólne informacje. Według tych poglądów program poczdamski przekazany został narodowi niemieckiemu jedynie w postaci norm bezpośrednio do niego adresowanych — a więc ustawodawstwa Sojuszniczej Rady Kontroli nad Niemcami i zarządzeń dowódców wojskowych stref. Argumentacja ta zbudowana jest na niedopowiedzeniu — że podstawę prawną obu tych zespołów norm stanowi właśnie umowa poczdamska i że te normy rozwijają jedynie postanowienia umowy poczdamskiej.

Zagadnienie obowiązywania umowy poczdamskiej na terytorium Niemieckiej Republiki Związkowej posiada liczne aspekty praktyczne. Na czoło wysuwa się tutaj zagadnienie, w jakim stopniu naczelne organa Niemieckiej Republiki Związkowej są związane postanowieniami umowy poczdamskiej. Wylania się tutaj zagadnienie — czy ustawa zasadnicza Niemieckiej Republiki Związkowej jest zgodna z umową poczdamską i czterostronnym ustawodawstwem okupacyjnym. Według poglądów urzędowych — odpowiedź na to pytanie należy wyłącznie do trzech mocarstw zachodnich. W urzędowych poglądach zachodnio-niemieckich można odnaleźć takie rozumowanie:

1) umowa poczdamska wiąże wyłącznie rządy mocarstw, które ją podpisały;

2) tylko trzy mocarstwa zachodnie są uprawnione do udzielenia odpowiedzi na pytanie, czy ustawa zasadnicza jest zgodna z umową poczdamską;

3) trzy mocarstwa zachodnie zatwierdziły ustawę zasadniczą, a więc można ją interpretować niezależnie od umowy poczdamskiej.

Z tych przesłanek otwiera się możliwość wnioskowania w dwóch kierunkach. Po pierwsze — zachodnie mocarstwa zatwierdziły ustawę zasadniczą dlatego, że ich zdaniem nie jest ona sprzeczna ani z umową poczdamską,

⁶ Sojusznicza Rada Kontroli nad Niemcami jest już pozornie problemem historycznym. Jednakże zarówno w organizacji jej, jak i w całej działalności odzwierciedla się układ i mechanizm działania stosunków międzynarodowych w Europie. Z tego względu analiza ustawodawstwa tego organu dostarcza cennego materiału prawnego pozwalającego określić kierunek działania tych sił politycznych, które przystąpiły do odradzania militarystyki niemieckiego. Należy bowiem dodać, że ustawodawstwo Sojuszniczej Rady Kontroli nad Niemcami, poprzedzone zostało szeregiem programowych aktów prawnych na temat likwidacji militarystyki niemieckiej. Wykonanie tego programu powierzone zostało Sojuszniczej Radzie Kontroli nad Niemcami. Najbardziej wymowne materiały do oceny działalności tego organu zawarte są w dokumentacji z paryskiej sesji Rady Ministrów Spraw Zagranicznych.

ani z całym ustawodawstwem okupacyjnym; przy tym rozumowaniu umowa poczdamska stanowi zasadniczą podstawę prawną ustawy zasadniczej Niemieckiej Republiki Związkowej, a więc obowiązuje na jej terytorium. Po drugie — istnieje i taka możliwość rozumowania, że mocarstwa zachodnie uważają ustawę zasadniczą za niezgodną z umową poczdamską i dlatego ją zatwierdziły, działając przeciwko umowie poczdamskiej. W tym przypadku mocarstwa zachodnie dopuściły się złamania umowy poczdamskiej i jawnie wystąpiły przeciwko jednej ze stron tej umowy — przeciwko ZSRR. Formalne stanowisko mocarstw zachodnich wypowiada się przeciwko drugiej hipotezie.

Z a g a d n i e n i e IV — Czas obowiązywania umowy poczdamskiej.

Umowa poczdamska nie zawiera określenia czasu obowiązywania. Jest to więc umowa bezterminowa. Negatorzy umowy poczdamskiej wysuwają argument, że została ona zawarta jedynie na „początkowy okres okupacji i kontroli” — i z tego wysnuwają wniosek, że obecnie ta umowa nie obowiązuje.

Przeciwko tej tezie przemawia fakt, że część postanowień umowy poczdamskiej poświęcona problemowi Niemiec zawiera dwa rodzaje postanowień. Jedna grupa postanowień — reguluje normatywnie problematykę niemiecką w kierunku zapewnienia bezpieczeństwa i pokoju w Europie. Druga grupa postanowień — wytycza konkretne zadania, które winny być niezwłocznie wykonane na terytorium Niemiec celem osiągnięcia pokoju i bezpieczeństwa w Europie, jak np. likwidacja NSDAP, rozwiązanie sił zbrojnych itd. Te postanowienia są oczywiście pomyślane na okres przejściowy i jest rzeczą niesporną, że po ich wykonaniu stają się one bezprzedmiotowe. Inaczej mówiąc umowa poczdamska zawiera szereg postanowień na „początkowy okres okupacji i kontroli” — ale pod tym terminem rozumie się okres wytężonego likwidowania wszystkich elementów militarystyki niemieckiego, przeciw nie w tym celu, ażeby po „początkowym okresie okupacji i kontroli” — postanowienia te stały się bezprzedmiotowe w sensie przywrócenia likwidowanych w tym okresie elementów militarystyki niemieckiego.

Nie ma takich poważnych elementów politycznych czy prawnych, które mogłyby podważyć fakt bezterminowego obowiązywania umowy poczdamskiej.

Wydaje się, że na podstawie powyższej analizy części zagadnień prawnych dotyczących umowy poczdamskiej można sformułować pewne zasadnicze wnioski:

odbytej w połowie 1949 roku. Min. A. Wyszyński określił wówczas w następujący sposób zadania tego organu: 1) zapewnienie odpowiedniego uzgodnienia postępowania głównodowodzących w ich strefach; 2) opracowanie planów i osiągnięcie uzgodnionych uchwał w głównych kwestiach wojskowych, politycznych, gospodarczych i innych wspólnych dla całych Niemiec; 3) kontrola niemieckiej administracji centralnej; 4) kierownictwo przez odpowiednie organy administracji „Wielkiego Berlina”. Ustawodawstwo Sojuszniczej Rady Kontroli nad Niemcami stanowi zatem istotny element organizacji bezpieczeństwa powojennego. Formalne uchylanie tego ustawodawstwa w Niemieckiej Republice Związkowej jest sprzeczne z prawem międzynarodowym. Akty prawne tego organu mogą być uchylone lub zmienione tylko łącznie przez cztery mocarstwa.

1) Umowa poczdamska w zakresie postanowień likwidujących militaryzm niemiecki wytrzymała próbę czasu, jest realna i mogłaby być wykonana przez wszystkie strony tej umowy.

2) Umowa poczdamska mogłaby przestać obowiązywać jedynie w drodze formalnego jej wypowiedzenia. Sam fakt łamania jej postanowień przez mocarstwa zachodnie nie jest równoznaczny z wypowiedzeniem tej umowy.

3) Wobec faktu bezspornego obowiązywania umowy poczdamskiej wszelkie zmiany w niej mogą być dokonywane jedynie przez strony tej umowy — a więc przez cztery mocarstwa łącznie.

III.

Należy wreszcie w świetle powyższej dokumentacji omówić pokrótce sprawę ataków politycznych na umowę poczdamską — czego wyrazem jest ostatnio m. in. publikacja tak zwanych dokumentów jałtańskich, dokonana przez Departament Stanu USA.

W marcu br. opublikowany został ten zbiór dokumentów, liczący 834 strony, obliczając zaś według systemu amerykańskiego — około 500 tysięcy słów. Zbiór ten zawiera różne notatki, sprawozdania i noty związane z konferencją jałtańską oraz memoranda, opracowane po tej konferencji. Nie jest to komplet dokumentacji, gdyż nawet z urzędowej strony amerykańskiej podkreślono, że nie wszystkie dokumenty zostały opublikowane. Jaki jest sens i znaczenie faktu opublikowania tych dokumentów? Odpowiedź na to pytanie warto uszeregować według rezonansu, jaki ten zbiór dokumentów wywołał w pierwszym rzędzie w prasie codziennej mocarstw zachodnich. Oto krótkie zestawienie tej reakcji.

1) Sekretarz Stanu USA znalazł się w sytuacji, w której musiał bardzo starannie bronić decyzji na temat publikacji tego zbioru dokumentów. Głównym argumentem jego obrony była teza, że zbiór ten zasadniczo nie ujawnia nowych faktów. Druga teza brzmi — że materiały jałtańskie zostały opublikowane w normalnym trybie publikowania dokumentacji przez Departament Stanu USA. Na tych dwóch tezach Sekretarz Stanu USA zbudował wniosek, że — jego zdaniem — nie jest kwestią, dlaczego te dokumenty mają być publikowane, a raczej odwrotnie, dlaczego nie miałyby być publikowane. Rozumowanie to poparł Sekretarz Stanu USA przytoczeniem faktu, że jest to czwarta publikacja dokumentów jałtańskich — licząc pamiętniki czy wspomnienia Churchilla, Byrnesa i Stettinusa. Według oceny prasy amerykańskiej opublikowane dokumenty jałtańskie uwydatniają poważne błędy popełnione przez Roosevelta oraz jego sztab wojskowy i polityczny.⁷ Z tego punktu widzenia publikacja tego zbioru dokumentów ma swoje oblicze zarówno z punktu widzenia wewnętrznej jak i zagranicznej polityki Stanów Zjednoczonych. W aspekcie polityki wewnętrznej — publikacja ta jest wyrazem rozgrywek między dwoma partiami amerykańskimi w przededniu rozpoczęcia nowej kampanii wyborczej. W aspekcie polityki zagranicznej — publikacja ta ma dostarczyć nowych argumentów na rzecz tzw. polityki z pozycji siły. Toteż jeden

⁷ Oparte na zestawieniu kilku wydań „New York Herald Tribune“ z bieżącego roku, a mianowicie na numerach z dni: 18, 19, 21 i 22 marca, zawierających zarówno szczegółowe materiały informacyjne i agencyjne, jak i liczne artykuły i komentarze.

z czołowych dzienników amerykańskich omawiając tę publikację stwierdził po prostu, że znajduje się w niej więcej politycznego dynamitu niż nowych faktów, i że wiele cech istotnego krytycyzmu wobec postanowień jałtańskich polega na mądrości nabytej po szkodzie.

2) Premier brytyjski W. Churchill oświadczył dnia 22.III.1955 r. w Izbie Gmin, że uważa publikację amerykańskiej wersji konferencji jałtańskiej za krok „nie na czasie”. Przy tej okazji ujawnił on, że w połowie 1954 r. Departament Stanu USA poinformował brytyjskie MZS, że chce opublikować zbiór dokumentów z konferencji jałtańskiej i poczdamskiej. Rząd brytyjski „sprzeciwiał się z ogólnych względów publikacji dokumentów z ważnych rozmów międzynarodowych w tak krótkim czasie po ich odbyciu” — jak oświadczył Churchill. Dnia 12.I.1955 r. brytyjski minister spraw zagranicznych ponownie oświadczył Departamentowi Stanu USA, że uważa taką publikację w chwili obecnej za szczególnie niepożądaną. Pod wpływem tych oświadczeń rząd Stanów Zjednoczonych zobowiązał się dnia 11.III.1955 r. nie ogłaszać wymienionych dokumentów. Cztery dni później — dnia 15.III.1955 r. — rząd Stanów Zjednoczonych oświadczył, że nie może już dłużej wstrzymać publikacji tych dokumentów, po czym ogłosił je po upływie 24 godzin.⁸ Według oceny prasy brytyjskiej, była to decyzja niezręczna i niefortunna, historyczne akty zostały ujawnione w nieodpowiedniej chwili, w nieodpowiedni sposób i z nieodpowiednich pobudek. Opublikowany zbiór dokumentów zawiera znane już fakty i anegdoty, opowiedziane tylko w sposób bardziej szczegółowy. W prasie brytyjskiej podkreślono, że te dokumenty nie zawierają prawie nic nowego, podkreślają tylko z naciskiem niektóre wydarzenia — a o to właśnie chodziło. Główna teza prasy brytyjskiej w zakresie oceny tej publikacji brzmi — nie wyjaśnia ona niczego, a jętrzy dawne rany, budząc minione nieporozumienia między sprzymierzeńcami.⁹

3) Opinia francuska podkreśliła obraźliwy charakter tej publikacji z punktu widzenia Francji. Zwrócono w komentarzach francuskich uwagę na wrogie dla Francji elementy zawarte w tej dokumentacji. Rząd Francji zajął tzw. półurzędowe stanowisko, oświadczając, że konferencja jałtańska jest sprawą Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i ZSRR, a Francja nie brała w tej konferencji udziału. Niemniej trudno na podstawie przytaczanych przez prasę francuską wyjątków nie przyznać racji komentarzom, że opinie o Francji wyrażone w Jalcie „były bardzo cierpkie”.¹⁰

Jest rzeczą charakterystyczną, że Departament Stanu USA usiłował przedstawić tę publikację jako uzgodnioną z rządem ZSRR.¹¹ Czołowa agencja informacyjna Stanów Zjednoczonych oświadczyła, że ZSRR „zgodził się na opublikowanie, kiedy zwrócono się w roku ubiegłym zapytaniem w tej sprawie w drodze dyplomatycznej”. W związku z tym urzędo-

⁸ Oparte na zestawieniu kilku wydań londyńskich „Times” z bieżącego roku, a mianowicie na numerach z dni: 17, 18 i 21 marca, zawierających zarówno materiały agencyjne, jak artykuły i komentarze.

⁹ Patrz „Trybuna Ludu”, 1955, nr 82, zestawienie agencyjne pt. *Jak Churchill zawiódł się na przyrzeczeniach Dullesa*.

¹⁰ Patrz zestawienie materiałów dokonane przez „Le Monde” z dnia 18 marca 1955 r.

¹¹ Patrz notatka agencyjna pt. *Dementi agencji TASS* — „Trybuna Ludu”, 1955, nr 82.

wa agencja radziecka TASS upoważniona została do oświadczenia, że ta wiadomość nie odpowiada rzeczywistości. Między ZSRR a USA nie przeprowadzono żadnych rozmów w sprawie publikowania dokumentacji z konferencji jałtańskiej, a rząd USA nie zwracał się do rządu ZSRR w tej sprawie. W jednym z zasadniczych komentarzy radzieckich podkreślono, że Departament Stanu USA usiłuje zdyskredytować konferencję jałtańską, aby tą drogą usprawiedliwić fakt, iż odrzuca on jej uchwały. Jest to jednak droga wiodąca do zwiększenia napięcia w stosunkach międzynarodowych, gdyż dyskredytuje ona jednocześnie samą ideę rokowań między wielkimi mocarstwami.¹²

Przedstawiony materiał faktyczny upoważnia do sformułowania pewnych wniosków, związanych nie tylko z dokumentacją konferencji jałtańskiej. Nie ulega wątpliwości w świetle tego materiału faktycznego, że ogłoszenie zbioru dokumentów jałtańskich zaostriżyło sprzeczności między trzema mocarstwami zachodnimi. W szczególnie sposób zaognił ten fakt rozbieżności istniejące na odcinku polityki w stosunku do Niemiec. Ten szczegół zasługuje na jak najbardziej pilną uwagę naszej opinii.

Interesująca jest analiza reakcji opinii niemieckiej na tę publikację. Prasa wschodnio-niemiecka poświęciła wiele uwagi i komentarzy tym dokumentom, które stwierdzają, że ZSRR reprezentował podczas konferencji jałtańskiej tezę o jedności Niemiec. Podkreślono również w tych komentarzach uprawnienia terytorialne Polski nabyte zarówno w umowie jałtańskiej, jak i w umowie poczdamskiej.¹³ Jeśli chodzi o komentarze zachodnio-niemieckie, to wahały się one w granicach wyznaczonych przez ostatnie godziny dyskusji nad ratyfikacją układów paryskich 1954 przez parlament bonneński. W związku z publikacją w tym momencie amerykańskiego zbioru dokumentów jałtańskich padły dwa charakterystyczne sformułowania w tej dyskusji. Kanclerz Adenauer stwierdził, że układy paryskie 1954 „oznaczają koniec *Jałty*“. Jeden z premierów krajowych, Zinn, stwierdził natomiast, że ratyfikacja układów paryskich 1954 „oznacza realizację *Jałty*“ w sensie ostatecznego rozbitcia jedności Niemiec. Prasa zachodnio-niemiecka poświęciła swą uwagę przede wszystkim takim fragmentom amerykańskiej publikacji, które godzą nie tylko w umowę jałtańską, lecz również w umowę poczdamską. Stąd szczególnie chętnie cytowano — i jeszcze cytuje się — powiedzenie Churchilla w Jalcie, że trzej mężowie stanu usiłują w ciągu pięciu dni zrobić to, na co sam Bóg potrzebował dni siedmiu — to znaczy, próbują stworzyć nowy świat. Dalej przytacza się w prasie zachodnio-niemieckiej inną uwagę Churchilla, „*że nie można powziąć decyzji o 80 milionach Niemców w ciągu 80 minut*“. Prasa uprawiająca wyłącznie rewizjonizm wybrała — rzecz szczególnie znamienna — z dokumentacji amerykańskiej tylko te fragmenty, które atakują Polskę.¹⁴

Z polskiego punktu widzenia trzeba podkreślić, że nie zwrócono dotąd należytej uwagi na ścisły związek między publikacją amerykańską prze-

¹² Patrz artykuł „Prawdy“ — streszczenie „Trybuna Ludu“, 1955, nr 79 pt. *Knobania gwałcicieli układów międzynarodowych*.

¹³ „Neues Deutschland“ z dnia 19 marca 1955 r., nr 66 — artykuł wstępny pt. *Dichtung und Wahrheit über Jalta*.

¹⁴ Dokonane na podstawie zestawienia następujących dzienników: „Frankfurter Allgemeine“ z dnia 23 marca 1955, nr 69, „Neue Zürcher Zeitung“ z dnia 20 marca 1955, nr 78, oraz z dnia 3 kwietnia 1955, nr 92.

ciwko umowie jałtańskiej — a uprawnieniami Polski wynikającymi z umowy poczdamskiej. Jak się bowiem okazuje, Departament Stanu USA przystąpił obecnie do opracowywania publikacji dokumentów z konferencji poczdamskiej. Ale nie w tym rzecz. Istota sprowadza się do faktu, że umowa poczdamska zawiera szereg postanowień o charakterze wykonawczym w stosunku do umowy jałtańskiej. Liczne problemy terytorialne — w tym szczególnie sprawa zachodniej granicy Polski — ujęte zostały w Jałcie w formie zasad. Wykonanie tych zasad, ich szczegółowe określenie zawiera umowa poczdamska. Stąd każdy atak na wartość prawną i polityczną umowy jałtańskiej godzi bezpośrednio w umowę poczdamską. Z tego punktu widzenia zasługuje na uwagę oświadczenie amerykańskiego sekretarza stanu, że — Stany Zjednoczone „nie mają zamiaru anulować układów jałtańskich”.¹⁵ Oświadczenie to złożył on w kilka dni po publikacji zbioru dokumentów jałtańskich, w okresie szczególnie natężonej akcji niektórych polityków amerykańskich, wypowiadających się na rzecz anulowania przez rząd USA umów: jałtańskiej i poczdamskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że ze strony brytyjskiej wypowiedziano się przeciwko publikacji archiwów konferencji poczdamskiej. Podkreślono przy tym, że rozmowy te były prowadzone poufnie, że publikacja tych archiwów może doprowadzić do nieporozumień i wzrostu napięcia międzynarodowego.¹⁶

¹⁵ „Trybuna Ludu“, 1955, nr 77, notatka agencyjna pt. *Dulles uchyla się od odpowiedzi*.

¹⁶ „Times“ z 21 marca 1955 r., artykuł pt. *Potsdam Records*.

NA TŁO KSIĄŻEK

INDIE W BELETRYSTYCE HINDUSKIEJ I POLSKIEJ

MULK RAJ ANAND: *Niedotykalny*, przekł. z ang. Bolesława Migi, Książnica-Atlas, Wrocław-Warszawa 1949; *Kulis*, przekł. z ang. Marii Skibniewskiej, Czytelnik, Warszawa, 1950; *Dwa liście i pąk*, przekł. z ang. Bolesława Migi, Czytelnik, Warszawa 1950; *Wielkie Serce* przekł. z ang. Ewy Fiszer, Czytelnik, Warszawa 1949.

BHABANI BHATTACHARYA: *Tak wiele jest głodów*, przekł. z ang. Krystyny Tarnowskiej, Książka i Wiedza, Warszawa 1951.

KRISZAN CZANDAR: *Płomień i kwiat* (nowele), przekł. z ang. Marty Malickiej-Guha, Książka i Wiedza, Warszawa 1952.

JERZY KRZYSZTOŃ: *Opowiadania indyjskie*, Pax, Warszawa 1953.

Przytoczona wyżej litania tytułów wskazuje na nienotowany u nas dotychczas wzrost zainteresowania tematyką indyjską. Ściślej — tylko hindostańską, bo Pakistan, jeżeli nie mamy liczyć małej książeczki Tichonowa (*Opowiadania o Pakistanie*), pozostaje dla nas nadal — według terminologii średniowiecznych geografów — „krajem, gdzie są lwy“, ergo lepiej go nie zwiedzać.

Zresztą większość wymienionych tu książek (w tym wszystkie powieści) napisana została jeszcze przed podziałem

Indii na dwa dominia a zaliczenie dzieł Ananda, Bhattacharyi i Chandra do literatury Hindostanu (w najszerszym tego słowa znaczeniu) wynika jedynie z negatywnego faktu, że żaden z tych pisarzy nie jest muzułmaninem.

Poza tym reprezentują oni — wewnątrz samego Hindostanu — trzy odrębne literatury narodowe: Anand jest Pendżabita, tj. pochodzi z tragicznego kraju, który po wyjątkowo zaciętych walkach Hindusów z muzułmanami, został przepołowiony: zachód włączono do Pakistanu, wschód przypadł Hindostanowi. Swoje wcześniejsze utwory Anand pisał po angielsku, późniejsze po pendżabsku (z tym, że równocześnie ukazywały się ich angielskie przekłady).

Krishan Chandar (wg. polskiej pisowni Kriszan Czandar) jest również Pendżabita, ale tworzył w mowie urdu-hinduskiej, do niedawna uważanej za jednolity język i potocznie nazywanej „Urdu“. Tak nazywa ją i M. R. Anand, który opatrzył przedmową angielski przekład nowel Chandra.

Dziś, na skutek podziału Indii na dwa dominia, terminy Urdu i Hindi zaczynają nabierać ściśle sprecyzowanego znaczenia. Pierwszy stosuje się do mowy muzułmanów, drugi — do właściwych Hindusów. Różnią się poza tym od siebie grafiką (tam arabską, tu sanskrycką — „devanagari“) z tym, że muzułmański Urdu ma sporo naleciałości

arabskich i perskich, Hindi zaś — tyleż archaizmów sanskryckich i prakryckich. Wcześniejsze utwory Chandra były istotnie pisane grafiką arabską — a więc w języku Urdu, późniejsze zaś, powstałe po podziale kraju na dwa dominia — grafiką sanskrycką, a więc w języku Hindi.

Wreszcie Bhabani Bhattacharya, autor wstrząsającej książki *So many hungers*, bez względu na angielski język oryginału powinien być zaliczony do pisarzy bengalskich. Chociażby dlatego, że życie Bengalu stanowi wyjątkowo dla niego powieści. Nota bene nie należy tego pisarza utożsamiać z Sukantą Bhattacharyą, poetą posługującym się językiem Bengali, zmarłym z wycieńczenia wkrótce po ustaniu Wielkiego Głodu, o którym pisze autor *So many hungers*.

*

Zacniemy nasz przegląd od pisarza, którego książki stanowią z górą połowę wydanych dotychczas u nas pozycji hinduskich. Mówiąc nawiasem, Anand w przedniepodległościowym okresie swojej twórczości niewiele więcej w ogóle napisał: *Niedotykany* (1933, ang. przekł. 1935), *Kulis* (1936), *Dwa liście i pęk* (1937), *Wieś* (1939), *Za czarną wodą* (1940), *Sierp i Szpada* (1942) oraz *Wielkie serce* (1944, ang. przekł. 1947). Rzecz prosta, że wymieniliśmy tu tylko ważniejsze pozycje. Tytułów późniejszych książek, pisanych pod wrażeniem pobytu w Polsce, (1948) i w Związku Radzieckim, nie znamy. Wiemy tyle, że mamy w Anandzie szczerego przyjaciela.

Powieści jego należą do literatury społeczno-radykalnej i gwałtownie oskarżycielskiej w tonie. Ale bohaterzy tych powieści bynajmniej nie nadążają za autorem w jego rewolucyjnym rozpędzie. Są raczej niemrawi i potulni. Przyjmują ciosy z pokorą, w najlepszym razie z rezygnacją. Najbardziej dojrzały z nich — Ananta (*Wielkie serce*) — zdobywa się raz tylko na praw-

dziwie męski czyn, gdy próbuje za cenę własnego życia obronić maszynę przed oszalałym tłumem. Prawdziwie silna indywidualność (Ratan) występuje w *Kulisie* tylko epizodycznie i znika w chwili, gdy stara się położyć kres politycznej prowokacji.

Ta potulność bohaterów Ananda jest psychologicznie uzasadniona, jeżeli zważymy, że są to ludzie poniżeni i podeptani. Osiemnastoletni „niedotykany“ Bakha, piętnastoletni kulis Manu i stary, bezdomny chłop Gangu — z trzech kolejnych powieści — nie mieli skąd czerpać ani woli walki o lepsze jutro, ani wiary w swe stałe niewierane człowieczeństwo.

Wiary tej nie ma zresztą ani pocziwy, a niezaradny kupiec Prabb z *Kulisie*, ani drugi bohater *Dwóch liści i pęka*, zanglizowany Francuz, de la Havre.. Wszystko, co szlachetne, jest tu niezdarne, do życia nieprzystosowane i skazane na pożarcie przez drapieżne bestie, które szczerzą kły z każdej niemal strony tych posępnych książek. Wyjątki (Ratan i zagadkowy kulis z ostatnich stron powieści o małym Manu) dają niejasne poczucie istnienia w społeczeństwie indyjskim świadomych swego celu i twórczych sił, ale nie rozpraszają ponurego nastroju, z jakim odkłada się książka Ananda.

Dróg wyjścia z rodzimego piekła szuka autor po omacku, ciągle cofa się i szuka na nowo. Istoty chrześcijaństwa nie rozumie, a parodię misjonarstwa, jaką uprawia tzw. Armia Zbawienia, słusznie wyśmiewa. Gandhim entuzjazuje się w *Niedotykany*, potem stopniowo wycofuje się z pozycji ideowych gandyzmu, by wyraźnie odżegnać się od nich w *Wielkim sercu*. Najbliższy jest komunizmowi, ale aż do chwili pobytu w Związku Radzieckim (1948) jest w jego postawie ideowej wobec marksizmu więcej nadziei niż zrozumienia.

Twórczość Ananda z lat 1937 — 1944 nie została dotychczas udostępniona polskiemu czytelnikowi. Z pozycji prze-

tłumaczonych, najciekawsze niewątpliwie są dwie pierwsze (*Niedotykalny i Kulisa*), najślubsza — *Dwa liście i pak*. Autor opuszcza tu bowiem teren Pendżabu, który zna od dzieciństwa i umiejscawia akcję w dalekim Assamie, kraju tak odległym od jego ojczyzny, jak Hiszpania od Polski. Pendżab jest krainą wyżynną, suchą, i w ziemi dość chłodną, Assam — parową łaźnią z dżunglą, tygrysami, malarią tropikalną, żółtą febrą i częstymi epidemiami cholery. Dodajmy, że autor nigdy tam nie był, a nieznamość miejscowych realiów nadrabia wyobraźnią, która go czasem zawodzi, podrywając u czytelnika zaufanie do wszystkiego, co pisze. Przykład: Gangu dostaje ataku malarii, po paru godzinach jego żona „zaraża się“ malarią i umiera. Z polecenia angielskiego lekarza dom Gangu zostaje otoczony kordonem sanitarnym, aby zapobiec szerzeniu się „epidemii“. Nikt natomiast nie troszczy się o pochowanie zmarłej. Nieszczęśliwy mąż idzie więc po pożyczkę do dyrektora plantacji, bo nie ma pieniędzy na koszty pogrzebu. Szantażowany po drodze przez strażników i urzędników, musi im z góry przyrzec łapówki i dopiero wtedy zostaje dopuszczony do „białego sahiba“, po czym odbywa się następująca rozmowa:

„Chcesz pieniędzy? — rzekł Croft, kalecząc bez litości ojczysty język kulisa, Hindustani. — Tak, najlepszy panie. Ile chcesz? — Dwadzieścia rupii. — A co mi dasz jako zabezpieczenie zwrotu mojego kapitału i procentów? Masz coś wartościowego, jakieś kosztowności? — Nie, panie — rzekł Gangu bezradnie — żadnych kosztowności nie przywiozłem ze sobą ze wsi. — No, więc jaką mam gwarancję, że mi zwrócisz pieniądze? — Panie, jestem twoim robotnikiem na plantacji. Odrobię je. A gdyby pan był łaskaw dać mi kawałek ziemi, jak mi to obiecał dozorca Buta, spłacę dług z pieniędzy za sprzedane produkty. — To wszystko niepew-

ne. Ale właściwie na co ci te pieniądze? — Panie, żona mi umarła wczoraj — rzekł Gangu zniżając głos. — Ach, to ten wypadek z malarią?! — krzyknął Croft. — Tak panie. Ja byłem chory, potem ona zachorowała i umarła. — Precz mi stąd! Precz! ty przekłety durniu — ryknął Croft, purpurowy z wściekłości i kopnął kulisa. — Precz! Precz! Rozsiewasz zarazę! Czy nie wiesz, idioto, że nie wolno ci stykać się z ludźmi? Kto ci kazał przyjść?“ (s. 140 — 141).

Nic dziwnego, że w tych warunkach robotnicy plantacyjni marzyli o ucieczce. Ale to było niemożliwe, bo musieli by pieszo przejść przez lasy, gdzie pełno jest dzikich zwierząt, m. in. są... lwów (s. 248).

Wszystko to razi sztucznością. W rzeczywistości nie było, bo być nie mogło, ani bezpośredniego zarażenia się malarią, ani podobnej kwarantanny, ani lwów. Malaria bowiem roznoszona jest wyłącznie przez stawonogi (widliszki, moskity) i nie można się nią w żaden inny sposób zarazić. Toteż osoby chore są separowane nie przed ludźmi, lecz przed komarami i moskitami (co zresztą w prymitywnych warunkach, opisywanych przez Ananda, było w ogóle niemożliwe). Ale jeżeli nawet założymy, że dr de la Havre był tak kiepskim lekarzem, iż o tym wszystkim nie wiedział, i potraktował przypadek malarii na równi z dżumą, ospą, czy cholerą, to musiałby siłą rzeczy — zacząć swe zarządzenia sanitarne od usunięcia trupa Sadzani, czyli że znów nie mogłyby przytrafić się wszystkie dalsze perypetie Gangu z poszukiwaniem pieniędzy na koszty pogrzebu.

Pozostaje jeszcze sprawa lichwy uprawianej przez funkcjonariuszy angielskiej administracji plantacyjnej i fabrycznej. Nie ulega wątpliwości, że wielu z nich zarabiało na tym całe fortuny. Ale tylko ci najniżsi — jak majster Jimmie Thomas z *Kulisa* — mogli uprawiać ten proceder tak jawnie i

bezczelnie. Wyżsi — a cóż dopiero dyrektor olbrzymiej plantacji — załatwiali te rzeczy bardzo dyskretnie, z reguły przez podstawowego krajowca. Dawało to im zresztą podwójną wygodę: ratowało prestiż i umożliwiało nakładanie aresztu na pensję robotnika z zachowaniem wszelkich pozorów bezstronności. Szkoda, że Anand, zamiast pokazać nam podszewkę tych machinacji, wolał uciec się do tak naiwnych uproszczeń, jak cytowana wyżej rozmowa lub końcowy passus książki: Reggie Hunt zabija bez żadnego powodu Gangu Singa, a ława przysięgłych (wśród których są i Hindusi) również bez żadnego powodu uznaje go za niewinnego. Na tym koniec! Zamiast pozwolić nam na podsłuchanie dyskusji pomiędzy przysięgłymi i pokazać, jakich to sofistycznych chwytów użyli angielscy obrońcy Hunta, by go wybielić, autor woli oszołomić czytelnika niespodziewanym werdyktem ławy przysięgłych. Takie uproszczone „łopatologiczne“ rozwiązanie powieści niewiele zaprawdę ma wspólnego z poważną literaturą społeczną.

To wszystko razem pozwala nam uznać *Dwa liście i pęk* za książkę w dużym stopniu chybioną. Ciekawe są w niej tylko fragmenty zupełnie w sensie literackim surowe, gołe cyfry wydarte z prasy, a włożone w usta przypadkowych osób. I one dopiero budzą dreszcz gniewu i grozy.

„— 75 procent kulisów, zatrudnionych na plantacjach herbaty w Assamie, cierpi na chorobę oczu (caratomalaisia), spowodowaną brakiem właściwego pożywienia, w szczególności tłuszczu.

50 procent ludności Indii traci zęby z powodu braku mleka w odżywianiu.

2 miliony kobiet umiera w Indiach podczas porodów na skutek niedożywienia. (rocznie).

20 procent zamieszkałych w Indiach Anglików oraz taki sam procent Hindusów, należących do klas wyższych

umiera wskutek przejadania się — inna forma złego odżywiania...“

„Płace kulisów na plantacjach w Indiach nie uległy zmianie w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat. Płaca kulisa w r. 1870 wynosiła 5 rupii miesięcznie. W r. 1922 najwyższa płaca kulisa na plantacji w Assamie nie przekroczyła 7 rupii miesięcznie (około 10 szylingów i 6 pensów). Należy tu jednak dodać, że cena ryżu — jedynego artykułu żywnościowego kulisa — wzrosła w tym okresie więcej niż dwukrotnie. Kulis wydaje właściwie cały swój miesięczny zarobek na ryż. Ubranie, a raczej łachmany, które nosi czarny, stanowią nieznaczną pozycję w jego budżecie“ (s. 153—154).

Data 1922 niewątpliwie znacznie pomniejsza aktualność tej cytaty. Należy się dziwić, że autor nie sięgnął po świeższe źródła (np. 1937 r.), tym bardziej, że wartość rupii obniżała się nadal, aż do wojny, by potem gwałtownie stoczyć się na dół, na skutek niesłychanej inflacji w latach 1942 — 1943.

W każdym razie *Dwa liście i pęk* nie należą do najlepszych utworów Ananda. Tak się złożyło, że moje studia nad jego twórczością zaczęłam właśnie od tej najbardziej chybionej powieści, co mnie z góry nastawiło nieufnie do pozostałych jego książek. Jak się potem przekonałam — całkiem niesłusznie.

Wszędzie tam, gdzie Anand porusza się w dobrze sobie znanym świecie — tj. na całym obszarze od ojczyстого Pendżabu do Bombaju — autentyzm tego co pisze, nie ulega żadnej wątpliwości, a wachlarz znanych mu środowisk, jest naprawdę ogromny: Niedotykalni, zdeklasowani kulisi z rozmaitych kast, proletariat wielkomiejski, włóczędzy, rzemieślnicy, kupcy, inteligencja urzędnicza, mużulmanie, sikhowie, anglo-indyjscy metysi i wreszcie sami Anglicy (których autor zna wyjątkowo dobrze) stanowią w sumie tak bogate tło, że autor, gdyby tylko starczyło mu na to wytrwałości, mógłby się po-

kusić o napisanie olbrzymiej powieści-rzeki, prawdziwej epopei północno-zachodnich Indii. Dobrze zapowiadającą się próbą takiej epopei jest *Kulis*, najdoskonalsza i najbardziej wszechstronna z jego książek.

Niedotykalny stanowi zaledwie niewielki epizod, doskonale dający się wpleść w ramy *Kulisa*, od którego nie odbiega ogólnym nastrojem i realizmem grawitującym ku naturalizmowi. Nie odbiega od niego również w negatywnej ocenie morale ogółu Hindusów.

Akcja *Niedotykalnego* rozgrywa się w ciągu jednego dnia: od świtu do wieczora. Te same ramy czasowe narzuci autor później innej swej powieści — *Wielkie serce*. Daje to książce dużą zwartość, ale zarazem i pewne cechy wycinkowości, sugerując istnienie niedopowiedzeń o tym wszystkim, co legło poza tym dniem.

W sensie fabularnym *Niedotykalny* nie wiąże się z *Kulisem*. Ale kwestia powiązań nie ma tu istotnego znaczenia. Ta cienka książeczka jest niezbędnym ogniwem, którego tam właśnie brak. Od niej zaczyna się dantejska wędrówka przez indyjskie piekło, poczynając od jego najniższych kręgów.

— „Wierzcie mi — mówił Gandhi — pragnę osiągnąć duchowe wyzwolenie, nie pragnę ponownie przyjść na ten świat, lecz gdybym miał znów się narodzić, życzyłbym sobie urodzić się jako jeden z tak zwanych nieczystych, niedotykalnych, tak bym mógł dzielić ich niedolę, cierpienia i zniewagi im wyrządzane, abym mógł podjąć wysiłki do wyzwolenia siebie i ich z tych nędznych warunków bytowania. Modłę się przeto, abym, jeśli mam znówu przyjść na świat, przyszedł nie jako bramin... ale jako ten najniższy, niedotykalny“ (s. 165).

Te wstrząsające słowa, włożone w usta Gandhiego, umieściłbym jako motto na pierwszej stronie tej książki o kale i ludziach.

„Niech pan unika pisania o kale, bo to może obrazić dobry smak naszych czytelników“ — ostrzegał mnie kiedyś jeden z naszych czołowych publicystów. A ta straszna książka jest właśnie wielką sagą o nieczystościach, na których — jak czerwie — roją się niedotykalni — sprzątacze miejskich latryn. Latryna zastępuje tam dziecku żłobek i przedszkole, latryna jest jego liceum i uniwersytetem. Tarza się ono w odchodach, kąpie w urnie, bawi się wśród zwałów łajna, jest „przyjacielem much i moskitów, ich wesółym towarzyszem od urodzenia“ (s. 92). Łajno jest nie tylko źródłem utrzymania niedotykalnego sprzątacza, jest nie tylko niezbędnym elementem krajobrazu jego lat dziecinnych. Ono go karmi niemal i w literalnym znaczeniu tego słowa. Niestrawione ziarna, przesiane, a raczej wybrane z kału krów należących do zamożnych gospodarzy, stanowią podstawowy pokarm zimowy bydła nędzarzy. Moi znajomi, powracając z Indii, opowiadali mi, że tamtejsze mleko nie odbiega w smaku od lekko zabielonej wody. Zwierzęta, przez wiele pokoleń zatrutowane złym pokarmem, degenerują się coraz bardziej. Opieka nad krową, o której tyle mówił Gandhi, jest w Indiach, ze względu na wegetarianizm olbrzymiej większości Hindusów, kwestią ciężkiej i zdrowia całego narodu.

„Niedotykalni muszą wyrzec się jedzenia padliny“ — postuluje autor przez usta Gandhiego (na s. 166). Mięso padłego zwierzęcia jest bowiem uświęconą wiekami zapłatą dla „niedotykalnego“ za sprzątnięcie padliny. W społeczeństwie tak fanatycznie wegetariańskim, jak indyjskie, to zmuszanie pozakastowych Hindusów do pożerania gnijącego mięsa jest wyrazem szczególnie wyrafinowanej pogardy dla „ludzi urodzonych w kale“.

Ten straszny i tragiczny kraj, który poznaliśmy w *Niedotykalnym* od strony latryny, odsłania się przed nami

w całym swym ogromie dopiero na kartach *Kulisa*. Tę powieść można byłoby nazwać indyjskim *Dawidem Copperfieldem*, albo — jeżeli kto woli — *Anty-Kimem*.

Składa się ona z pięciu wielkich rozdziałów, a każdy z nich jest opowieścią o coraz to innym środowisku geograficznym i ludzkim, do którego kolejno trafia Manu. Rodzinna wioska chłopca w górach Pendżabu, prowincjonalne miasta: Szam-Nagar i Daulalpur, olbrzymi Bombaj i wreszcie letnia rezydencja anglo-indyjskich dostojników w podhimalajskim Simla, stanowią kolejne etapy tej drogi przez piekło.

Indie Ananda nie są podobne do Indii Kiplinga, choć są równie malownicze. Manu, ukryty w towarowym wagonie, przebywa olbrzymią drogę od Daulalpuru, poprzez Delhi, aż do Bombaju. W pewnym momencie przeciąć musiał Wielką Drogę Indii, po której włókł się kiedyś maleńki Kim z oczyma szpiega i jego uduchowiony opiekun.

Dużo od tych czasów zmieniło się. A może tylko spojrzeliśmy na Indie po raz pierwszy od wewnątrz, oczyma indyjskich proletariuszy. Oczyma tych, co wychowywali się pełzając pomiędzy maszynami, wśród rozpędzonych transmisji, aż „Manu zdumiewał się, że wszystkie te dzieci nie pokaleczyły sobie rąk, nie porozbijały głów, nie zostały rozszarpane w ostrych szponach maszyny, sterczących na zewnątrz, niczym nieostroniętych i niezabezpieczonych żadnym ogrodzeniem“ (s. 241—242).

Vallathol nazwał kiedyś Indie „krajem nędzarzy i głodnych dzieci“, a Anand z nieprześcignionym realizmem pokazał nam tych nędzarzy i te dzieci: „Nieprzeliczone, okryte lachmanami ciała kulisów leżały na chodnikach... Ledwie (Manu) uszedł parę kroków, gdy niespodziewanie potknął się o kłęb polatanej koldry, spod której

wyłoniło się gnijące ciało trędowatego... O parę kroków przed nim jakiś człowiek upadł z łoskotem i toczył się po chodniku. To dozorca, zamykając żelazne drzwi broniące mieszkań bogaczy od złodziei, kopnął brutalnie któregoś z kulisów“. To tylko scena nocna z ulic Bombaju, które czasem przybierały bardziej złowieszczy charakter. Wtedy np., gdy prowokacja policyjna rzucała na siebie muzułmanów i Hindusów.

„Jakiś starzec, zgięty pod ciężarem lachmanów, biegł ile sił w pałakowatych nogach. Za nim gonił ogromny Patan... Kilku muzułmanów z pałkami w rękach dopadło z dwóch stron starca, który trząsł się ze strachu jak kurczak i jęczał: — Ram, o Ram! 'Ginę! — Olbrzym, który go ścigał, uderzył nieszczęśnika nożem w plecy, krzycząc: Ty poganinie. Ty synu! Iblisa! — Stary wrzasnął ostatni raz i z jękiem zwałił się na ziemię...

Ledwo (chłopiec) zdążył odwrócić głowę, gdy spod płonących murów rozległy się wrzaski muzułmanów:

— Allah-ho akbar. Usłyszał tupot nóg, biegnących w jego stronę...

Muzułmanie i Hindusi zwarli się w morderczym uścisku wśród dzikich, zduszonych wrzasków: Allah-ho akbar i Kali Mai-ki dżai.“

Autor nie jest bynajmniej wrogiem muzułmanów. W *Kulisie* i w innych powieściach nieraz wprowadza ich epizodycznie i zawsze jako postacie raczej sympatyczne. W stosunku do kast upośledzonych są oni bardziej ludzcy niż ortodoksyjni Hindusi — z tej prostej przyczyny, że sami w oczach tych ostatnich uchodzą za nieczystych.

Nie ma w Indiach żadnych realnych powodów do nienawiści międzywyznaniowych poza interesem tych, którzy je rozdmuchują. Hindus Gandhi, zanim padł z ręki swego współwyznawcy, wchodził bezbronny do mieszkań najzacieklejszych muzułmańskich bojów-

karzy i zwykłą perswazją skłaniał do zaprzestania rzezi.

Do spraw tych zresztą powrócimy jeszcze przy omawianiu nowel Chandra.

Tragedia proletariatu hinduskiego tkwi, zdaniem Ananda, nie w rozbiści tego proletariatu na dwa obozy wyznaniowe — choć rozbiści utrudniło wspólną walkę o poprawę bytu — lecz w czynnikach natury ekonomicznej. Analiza przyczyn gospodarczego upośledzenia Indii nie leży już jednak w granicach artystycznych możliwości Ananda. (Porwie się na to Bhattacharya w swej powieści o Wielkim Głodzie.) Za to jako odtwórca życia indyjskiego proletariatu wielomiejskiego autor *Kulisa* okaże się mistrzem dużej klasy, dbającym ponadto o podbudowywanie faktami tego, co pisze. Zestawienia suchych cyfr, rozrzucone po kartach książki, dają bardzo ciekawy materiał porównawczy dla ekonomisty i socjologa.

Weźmy dla przykładu chociażby dwa przypadkowo dobrane fragmenty. W pierwszym — angielski majster angażuje rodzinę chłopską do fabryki:

„Mogę ostatecznie dać wam trzydzieści rupii (miesięcznie) dla wszystkich razem... Dziesięć rupii dla Ciebie, dziesięć dla chłopca (donosłego), pięć dla kobiety i po dwa i pół dla (dwojga) dzieci...

... Pewnie nie macie grosza przy duszy? Dam wam zaliczyć dziesięć rupii; potrącę sobie cztery anna (tj. 25%) od każdej rupii, dodam to oczywiście do prowizji, jaką musicie mi co miesiąc płacić od zarobków...” (s. 220 —222.)

Tak wyglądały zarobki rodziny robotniczej (przy czym najmłodsze zatrudnione dziecko miało sześć lat).

Cyfry te niewiele by nam mówiły, gdybyśmy nie mogli zestawić ich z cenami:

„Rupia za miarkę maki, osiem anna (pół rupii) za miarkę ryżu, topione

masło pięć rupii, groch — osiem anna, oliwa — cztery, cukier — osiem anna.” (s. 229.)

Pomiędzy tabelą płac a cenami legło całe piekło proletariatu hinduskiego i muzułmańskiego Indii. Wyjście z niego prowadzić musiało poprzez zrzeszanie się w związku zawodowym i dwustronną umowę zbiorową. Do takich właśnie rozwiązań dążą najpozytywniejsze postaci *Kulisa* i *Wielkiego serca*: Ratan i Ananda. I obaj przegrywają. Pierwszy na skutek sprowokowanej przez policję rzezi muzułmańsko-hinduskiej, drugi — na skutek prowokacji panaszatów (partia projapońska).

Manu włącza się w walkę proletariatu hinduskiego — zresztą biernie i połowicznie — dopiero w kulminacyjnym punkcie akcji, gdy będzie miał już poza sobą „lata pogardy” w Szam-Nagarze i Daulalpurze, a przed sobą jeszcze tylko karierę ryksiarza w Simla, gdzie wypłyje resztę płuc.

Środowiska zaprezentowane w powieści są bardzo rozmaite. Obraz Indii przedwojennych byłby niepełny, gdyby autor ograniczył się do samego tylko proletariatu wielkomiejskiego, uprzywilejowanego, mimo swej straszliwej nędzy, w porównaniu z milionami bezrobotnych i lumpenproletariuszy. „Widziałem dzieci sprzedawane za garść ryżu przez rodziców, zbyt słabych, aby mogli zrobić parę kroków... Za tyle żywności, ile my tu jeszcze zjadamy na południowy posiłek, można było kupić młodą dziewczynę...” (*Wielkie serce* s. 23). Bowiem „chleb jest drogi, a ciało i krew ludzka nie ma wielkiej ceny” (*Kulis* s. 161).

Tę cyniczną maksymę wyznają tu nie tylko bogaci, których interesem ona służy, ale i nędzarze, których ciało i krew są właśnie obiektem tego handlu. W tym tkwi największa słabość bohaterów *Kulisa*, że na ogół jeszcze „nie chcą chcieć” zmiany na lepsze, choć już uświadamiają sobie swoją krzywdę. A prawdziwością przeżyć

i cierpień wzruszają nas do głębi, czyniąc opowieść o dziejach małego Manu jedną z najtragiczniejszych książek o „sieroczej doli“ i „ludziach bezdomnych“ (w literalnym, a nie przenośnym znaczeniu tych słów).

Kulis, wraz z opowieścią o „Niedotykalnym“, wyraźnie odcina się nie tylko od *Dwóch liści i pąka*, ale i od *Wielkiego serca* — powieści raczej chaotycznej, przeładowanej dyskusjami i medytacjami, na nasz smak raczej jałowymi. Fatalny pomysł, by w centrum powieści o tendencjach dydaktyczno-społecznych postawić bohatera o umysłowości Hamleta, uczynił z całości rzecz wręcz trudną do strawienia. Podobnie jak w *Dwóch liściach i pąku* najciekawsze są tu wiadomości wydarte z dzienników oraz drugoplanowe postaci i akcje (np. doskonała scena zaślubin pomiędzy przedstawicielami dwóch odrębnych kast oraz obrazki ilustrujące dotkliwy brak kobiet, których w Pendżabie — szczególnie w środowisku sikhów — jest w porównaniu z mężczyznami katastrofalnie mało).

Książka Bhattacharyi jest drugim — obok *Kulisa* — arcydziełem współczesnej prozy hinduskiej, tym cenniejszym, że wprowadza nas do środowisk, których brakowało nam w eposie Ananda. Te nowe środowiska to przede wszystkim chłopci i intelektualisci, co prawda bengalscy, a nie zachodnio-indyjscy.

Książka Ananda zbliża się ideowo do marksizmu, zresztą marksizmu raczej przeżywanego emocjonalnie niż gruntownie przetrawionego. Książka Bhattacharyi bez żadnych zastrzeżeń stoi na gruncie gandhizmu, a więc doktryny nie uznającej antagonizmów klasowych i szukającej rozwiązania konfliktów społecznych w drodze moralnego doskonalenia ludzi.

Z tego nie wynika jednak, by autor nie doceniał czynnika ekonomicznego. Akcja tej powieści z nieporównanym mistrzostwem odsłania kulisy *Wielkiego Głodu* jako skutku zbrodniczych

machinacji skartelizowanych łotrów, przeprowadzających na olbrzymią skalę akcję skupu ryżu, przy cichej aprobacie ze strony „*Niegodziwej Rzeczy*“, tj. władz brytyjskich. Żarliwy patriotyzm autora nie ma w sobie jednak nic z szowinizmu. Jest bardzo dojrzały w swoim głęboko humanitarnym pojmowaniu miłości ojczyzny jako czegoś, co wyklucza nienawiść nawet do narodu, który ją ujarzmił. „Czemu miałbyś walczyć z narodem angielskim? — mówi Dewata do wnuka. „*Ludzie w Anglii to dobrzy ludzie. Ludzie wszędzie są dobrzy. My walczymy z władcami Anglii, którzy trzymają nas w niewoli dla swych własnych korzyści...*“ (s. 24).

Prosty biały żołnierz — autor nie mówi jakiej narodowości — dał małemu Onu pół rupii i „*tagodnym ruchem przesunął dłoń po zlepiionych kędziorach małego żebraka*“. Potem oddalił się. „*Onu stał oszotomiony. Nikt jeszcze nie dał mu tak wielkiej sumy pieniędzy i żaden obcy nie pogłaskał go serdecznie po głowie. Żaden. Onu wiedział, że jest istotą, której należy nienawidzić, unikać, bać się. Sięgnął ręką do włosów, jak gdyby spodziewał się, że znajdzie tam jeszcze owo cudowne dotknięcie. Zamrugnął powiekami. Był bliiski płaczu*“. (s. 214).

Ta piękna i mądra książka jest niewątpliwie dużo bardziej typowa dla mentalności hinduskiej niż wszystko, co poprzednio cytowałem, właśnie przez swe żarliwe umiłowanie człowieka. Niewidzialne więzy trudnych do sprecyzowania powinowactw duchowych wiążą nowoczesnych pisarzy indyjskich z wielką literaturą rosyjską XIX wieku: z Turgieniewem, Tołstojem i Dostojewskim. Może nawet ze Skandynawami. Tu i tam widoczny jest ten sam centralny motyw: człowiek widziany od strony jego wewnętrznego piękna i ponad wszystko ukochany ciepłą i mądrą, prawdziwie ewangeliczną miłością.

W błędzie jest ten, kto wielkich wzruszeń doszukuje się w oderwanym od życia pobożnym mentorstwie. Im konfrontacja z rzeczywistością jest pełniejsza, bardziej brutalna, bardziej drastyczna, tym większej wyrazistości nabiera piękno zagubionego wśród bagnicki człowieka.

Oto w jednej z bocznych ulic Kalkuty stoi młoda nędzarka. Obok niej skupił się tłum angielskich i amerykańskich żołnierzy. „Stali w milczeniu, jakby stężeli w oczekiwaniu... Z grupy mężczyzn wysunął się naprzód żołnierz i wrzucił pieniądze do miski żebraczek, w której było już kilka srebrnych monet. Dziewczyna nie odezwała się, podniosła się tylko z wolna, z ociąganiem... Jej wargi rozchyliły się w uśmiechu, który dziwnie nie przypominał uśmiechu. Potem rozłożyła ręce, zsunęła z piersi postrzępiony gałgan i stała tak naga w świetle ulicznej latarni, figurka z brązu, wpatrzona w gwiaździste niebo... Mężczyźni patrzyli, nie padło ani słowo, nie rozległ się ani jeden chichot. Mijały minuty, dziewczyna opuściła twarz, naciągnęła sari z powrotem na piersi i uklękła na bruku. Zwieściła głowę, wargi zadrżały nagle i w kącikach oczu zabłyśły ogromne łzy“... (s. 210).

A gdy to dziwne przedstawienie zakończyło się na skutek rozpedzenia żołnierzy przez żandarma, „nieodparty impuls kazał Rahoulowi pójść śladem dziewczyny przez zaciemnione ulice... (Widział jak) zatrzymała się przed straganem z tanim jedzeniem i usłyszał, jak zamawia kilka bochenków płaskiego, razowego chleba za sześć rupii... Niosąc w rękach ogromną paczkę, poszła dalej i wreszcie skręciła w nędną uliczkę. Gnieździły się tu na bruku dziesiątki nędzarzy, tak jak w setkach innych uliczek...”

Z chwilą pojawienia się dziewczyny w posępnym, mrocznym zaułku zbudziło się nagle życie. Na twarzach nędzarzy pojawiło się podniecenie: przysia-

dali na ziemi i wołali słabymi głosami: — Matka, matka do nas wróciła!... Było coś osobliwego w tej skwapliwości z jaką ich wargi nazywały młodą dziewczynę matką.

Przewiesiła koszyk przez ramię i zaczęła rozdzielać chleb... Nachylała się nad nędzarcami, mówiąc tagodne słowa: — nie, wujku, jesteś chory na żołądek i nie wolno ci jeść dużo. Hari, musisz najpierw przeżuć dobrze chleb, a dopiero potem go połykać, gryź starannie, mój maleńki! Siostrzo, zjesz dwie kromki? Nie? Jedna starczy?

Miała ruchy i obejście księżniczki. Rozdawszy całą zawartość kosza, usiadła między nędzarcami i zabrała się do jedzenia swojej porcji.

I wtedy straciła całą niezwykłość. Stała się na powrót wiejską dziewczyną, jak tysiące innych. Trudno było domyśleć się w niej owej patetycznej postaci z Red Road. Między swoimi stała się znowu sobą“ (s. 212).

Dziewczyna, w tak żałosny sposób zarabiająca na utrzymanie tłumu nędzarzy, była samotnym żołnierzem wielkiej armii, która w tym czasie toczyła na polach Bengalu swą najbardziej beznadziejną batalię. Dane liczbowe i szczegółową kronikę dziejów Wielkiego Głodu z 1943 r. daje nam Kali Charan Ghosh w swej wstrząsającej książce *Famines in Bengal* (istnieje tłumaczenie rosyjskie), ale bez porównania głębszy, a zarazem artystycznie doskonały obraz tych zdarzeń odsłania przed nami książka Bhattacharyi.

Jest ona produktem zamówienia społecznego w najpoważniejszym znaczeniu tego słowa. Bowiem cierpienie ludzkie, a szczególnie tak skondensowane cierpienie jak klęska głodowa, wyzwala olbrzymi kapitał potencjalnych wzruszeń, którego nie wolno zmarnować. Jego przeznaczeniem jest mobilizowanie ludzi dobrej woli do walki o to, by za żadną cenę nie dopuścić do powtórzenia się raz przeżytych okropności. Warunkiem tego jednak jest, aby pomiędzy

cierpieniem a odbiorcami relacji o nim stanął artysta, w którego twórczości jak w pryzmacie przełamał się prawda mężczyzny ludzkiej w wielobarwną tęczę wzruszeń estetycznych — już nie potencjalnych, lecz naładowanych trwałym dynamizmem.

Oto na peronie dworca kalkuckiego, na jakiejś skrzyni usadowił się mężczyzna i coś pośpiesznie szkicuje. Obok leży trup młodej nędzarki, która jakimś cudem wśliznęła się na peron i tu umarła. Przytuliło się do niej niemowlę ssąc martwą pierś. Bileter podbiega do malarza złożyć mu, że zamiast zameldować władzom, maluje obrazek: — „Gdyby było w panu poczucie przyzwoitości, gdyby pan miał w sobie odrobinę ludzkich uczuć, zameldowałby pan nam o wypadku...”

— Niechże mi pan nie przeszkadza... powiedział artysta, a w jego głosie zabrzmiała nuta gorzkości. — Przecież ja właśnie próbuję złożyć meldunek. Ale nie władzom kolejowym. Muszę złożyć raport Indiom“. (s. 177).

Nie pozwolono mu jednak na złożenie tego raportu. Tłum oburzonych pasażerów rzucił się na niego, zbito go pięściami, a rysunek podarto na strzępy. I wówczas Rahoulowi, który to obserwował, zdawało się, „że nieżywa matka, karmiąca na peronie swe małeńkie dziecko, skończyła po raz drugi“.

Obrazu namalowanego przez Bhattacharyę na szczęście nikt nie považał się zniszczyć, choć olbrzymia wizja artystyczna kraju, jaką odsłonił przed naszymi oczyma jego geniusz, jest jeszcze bardziej wstrząsająca od tej, którą zaprezentowano nam swego czasu w Kulisie. Dewata dobrowolnie zagłodził się na śmierć, a „jałmużnik“ i Kanu zginęły na szubienicach z okrzykiem: „Wandé Mataram!“ (Bądź pozdrowiona matko-ojczyzno!)

W tym samym czasie agenci domów publicznych ruszą ławą na wsie bengalskie, skupując dziewczęta po trzydzieści rupii za sztukę, a hieny w ro-

dzu Samarendry i sir Abalabandhu wykupią szczęśliwie miliony ton ryżu, magazynując je w samym środku głodujących prowincji. Właśnie wtedy, gdy cyfra nędzarzy umierających na ulicach samej tylko Kalkuty dochodzić będzie do tysiąca dziennie.

W błocie ulicznym kobiety-cienie będą jeszcze usiłowały rodzić dzieci, których urodzić już nie będą w stanie, a mali chłopcy zwarci w śmiertelnej walce z psami, tarzać się będą po śmietnikach, gdzie jeszcze przy dużej dozie szczęścia, można znaleźć gnijącą skórkę banana. Zaś na drogach podmiejskich, przy których nie pozostało już ani jednego korzonka, padający z wycieńczenia ludzie będą powoli, po kawałku, zjadani przez szakale.

To była pierwsza linia frontu. Druga biegła na przedpolach Bengalu, skąd szły na Indie fale japońskiej ofensywy. Indie chciały walczyć z obozem faszystowskim o wolność Polski i Francji, „solidaryzowały się w swych poglądach z poglądami obozu postępu na całym świecie. Czy jednak naród mógł przystąpić do wojny, która, jak głoszą, prowadzona była w imię demokratycznej wolności, jeśli sam tej wolności nie posiadał? Indie w kajdanach niewoli używane były do walki o wolność świata“ (s. 14). Przecież „szermierze wolności za oceanem byli wrogami wolności w Indiach“ (s. 51).

Mimo to przywódcy indyjskiego ruchu narodowego „wiązali swe nadzieje ze zwycięstwem, ale nie zwycięstwem jednego narodu nad drugim... lecz ze zwycięstwem prawdziwej demokracji dla wszystkich ludów wszystkich krajów świata. I dlatego nie wzywali do natychmiastowej walki“ z rządem angielskim. „Ruch narodowy nie zada Wielkiej Brytanii ciosu w godzinie jej ciężkiej próby“. Takie postępowanie nie byłoby *ahimsa* — prawdziwym wyrzeczeniem się przemocy... „Ruch narodowy znał się lepiej na moralności, niż na

strategii" — dodaje smętnie autor (s. 61).

Jednak i tu przebrała się miara cierpliwości. „Kongres Narodowy nie mógł czekać dłużej, nie mógł przyglądać się biernie zbliżającemu się niebezpieczeństwu i odwlekać momentu decyzji“. I wówczas padły pamiętne słowa: „Wolne Indie rzucą wszystkie swe nieprzebrane zasoby sił do walki z faszyzmem... Wolne Indie staną się sprzymierzeńcem Narodów Zjednoczonych, będą dzielić ich ciężkie próby i strapienia. Wolność pozwoli Indiom stawiać skuteczny opór agresji, obdarzy je bowiem siłą, jaką czerpać można jedynie ze zjednoczonej woli całego narodu“ (s. 77).

Była to historyczna uchwała sierpniowa (r. 1942), która przeszła do historii pod nazwą „Precz z Indii!“ „Żadne przyrzeczenia na przyszłość ani zapewnienia nie wywrą koniecznego, psychologicznego nacisku na umysły mas ludowych. Jedynie blask wolności wyzwoli ową energię i entuzjazm milionów ludzi, które zmieniają natychmiast oblicze wojny.“

Jednakże władcy Anglii nie chcieli wygrywać wojny po to jedynie, by stracić imperium. „Nie potrafili oni tworzyć nowych wartości, umieli jednak szybko i niezawodnie niszczyć wartości stworzone przez innych... Niespodzianka jaką przygotowali, była zupełna. Nehru miał przemawiać do słuchaczy w Stanach Zjednoczonych na falach jednej z rozgłośni amerykańskich i czekał w swoim mieszkaniu na przybycie mechaników. Zamiast nich zjawili się policja. Gandhi miał właśnie pisać list do jego ekscelencji w New Delhi. Napisał, ale zupełnie inny w treści list z więzienia. O jednej oznaczonej godzinie czarne samochody policyjne wypełniły się ludźmi w każdym mieście Indii...

A potem powstanie ludowe, nie przygotowane i nie usankcjonowane przez ruch narodowy. Nagły wybuch namięt-

nego gniewu przeciwko tyranii, która wtrąciła przywódców ruchu do więzienia...“ (s. 78).

Zasugerowani ogromem naszych własnych cierpień pod okupacją niemiecką, skłonni jesteśmy wyobrazać sobie terror angielski w Indiach jako coś niemal sielankowego. Tymczasem w świetle „*So many hungers*“ angielscy okupanci niewiele ustępowali niemieckim. Wystarczająco świadczy o tym garść przytoczonych przez autora faktów i cyfr:

Funkcjonariusz komunalny, zapalający na ulicy gazowe latarnie, został zabity przez przejeżdżającego na motocyklu sierżanta policji (s. 83); dziesięcioletniego chłopca zastrzelono za to, że krzyknął: „Mahatma Gandhi—ka dżai!“ (Bądź pozdrowiony, Mahatmo!) Po całym kraju strzelano do tysięcy manifestantów, którzy, zgodnie z zasadą *ahimsy* (dosłownie „dobroć“), nie dopuszczali się żadnej przemocy; nekano ludność z powietrza. W ciągu paru dni aresztowano „sześćdziesiąt tysięcy kobiet i mężczyzn, a większość ich stanowiąli wieśniacy. Tysiąc padł od kul, dwukrotnie więcej odniosło rany. Wielu zawisło na szubienicy po śpiesznie przeprowadzonym dochodzeniu—chłopcy wiejscy szli na śmierć, wołając ostatnim tchnieniem: „Zwycięży, zwycięży wolność! *Wandē Mātaram!*““ (s. 115) „Chłopcom zaledwie kilkunastoletnim groziła szubienica“. (s. 111).

Rahoula uratowało przed aresztowaniem jedno słówko, rzucone we właściwym miejscu przez jego obrotowego ojca — Samarendrę. Ten fragment powieści, odsłaniający kulisy wielkiej angielskiej polityki, robionej przy szklance herbaty, naszkicowany jest z takim mistrzostwem, że przytoczę go niemal w pełnym brzmieniu:

„W czasie przyjęcia w Pałacu, Samarendra przystąpił do realizacji swego planu. Wymienił uściski dłoni z pomniejszych przedstawicielami biuro-

kracji i stanął wreszcie twarzą w twarz z ministrem.

— Mój syn Rahoul otrzymał tytuł doktora na Uniwersytecie w Cambridge — powiedział Samarendra, gdy tylko znalazł po temu sposobność. Wiedział, że w podpisie ministra widniały po podwójnym nazwisku literki «Cantab».

— W którym kolegium? — minister okazał zainteresowanie.

— Świętego Jana. Studiował tam cztery lata pod kierunkiem profesora o światowej sławie. Astrofizykę. Badania naukowe w dziedzinie astrofizyki. — Ostatnie słowa Samarendra wypowiedział dobitnie, znacząco.

— Kolegium Świętego Jana? Ja sam studiowałem w tym kolegium. — Nieznaczny uśmiech naruszył maskę uroczystej powagi. Minister był wysokim mężczyzną o sprężystych ruchach i skroniach przyprószonych siwizną. — Ale na długo, zanim pana syn przybył do Cambridge. Pański syn musi być młodym chłopcem.

— Stara głowa na młodych ramionach — Samarendra czuł się urażony, że „astrofizyka“ nie wywarła na biurkracie piorunującego wrażenia. Widocznie sprawa wymagała staranniejszego przygotowania.

— Rahoul piastuje obecnie stanowisko profesora uniwersytetu w Kalkucie. Pochłonięty jest daleko posuniętą pracą badawczą na polu astrofizyki. Usiłuje wyrwać matce naturze kilka sekretów, aby ludzie mogli uzbroić się w nową siłę, potężną, nową siłę. Oczywiście — zniżył głos — w obecnych warunkach, dopóki prowadzimy wojnę, siła ta będzie musiała być niszczyielska...

...Tym razem słowa Samarendry wywarły na ministrze wrażenie. — Może napijemy się herbaty? — Roprowadził swego gościa do wolnego stolika.

Samarendra szedł za nim z dumnie podniesioną głową. Czuł, że kierują się ku niemu liczne spojrzenia.

— Nowe istnienie powstało ze zniszczenia... — ciągnął z zapalem swoje wywody, a tymczasem minister nalewał mu herbatę do filiżanki.

— Wróćmy do pańskiego syna; nad czym on właściwie pracuje?

Samarendra nie wiedział dokładnie, na czym polega praca jego syna, nie zlekkał jednak z odpowiedzią.

— Rahoul — powiedział — postanowił okiełznać siłę astralną. Gdyby jego wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem — co z pewnością nastąpi, jeśli otrzyma odpowiednią pomoc i zachętę ze strony władz, czynnik o wprost niewymiernej wartości moralnej — wówczas... cóż... obecna technika prowadzenia wojny stanie się zupełnie bezwartościowa. Haubice spadną do rzędu broni takich, jak na przykład oszczep lub łuk. Nawet lotnictwo nie będzie potrzebne. Energia słońca, energia tysięcy słońc, energia, która porusza w kosmicznym rytmie tysiące gwiazd — wystarczy skierować drobinę tej energii z jakiegoś miejsca w Anglii na dywizję wojsk nieprzyjacielskich, a natychmiast w jednym kataklizycznym wybuchu, cała dywizja zostanie zmiażdżona: czołgi, samoloty, armaty, ludzie, wszystko rozpadnie się na strzępy, jak płonąca szmata. Kilka drobinek kosmicznej energii zniszczy całą potęgę zbrojną mocarstw osi. Ta broń znana była starożytnym Indiom, Hindusi zwali ją Brahmastra. Ale Rahoul to nie wizjoner, to trzeźwy naukowiec, wychowanek uniwersytetu w Cambridge. Wszystko jest kwestią czasu, przygotowań i poparcia moralnego. Pomyśleć tylko, próbówka promieni śmierci!

— Probówka? — Minister podniósł jedną brew z powątpiewaniem.

— Probówka — Samarendra obstawał przy swoim.

Wymienili uścisk dłoni i rozstali się. Samarendra nie przypuszczał wówczas, że jego krótka rozmowa z ministrem wywrze aż tak doniosły wpływ na życie jego syna; nie miał żadnych pod-

staw do takich przypuszczeń". (s. 45 — 47).

Jednak i „promienie śmierci“ wreszcie zawiodły. Rahoul został w końcu aresztowany, w tym samym dniu, w którym nadeszła z frontu wiadomość o zaginięciu jego brata. Wraz z innymi bojownikami o wolność Indii znalazł się w miejscu, przez które musi przejść każdy patriota w kraju podbitym przez nieprzyjaciela. *„Był sam i w rękach wroga. Jednak nie czuł się samotny. Był pianką na wzburzonych wodach przypiływu. Był ziarnkiem w potężnej lawinie piaskowej milionów, dla których nie starczy nigdy miejsc w więzieniach, ani nie wykruje się dość mocnych kajdan. I w oczach Rahoula zapłonęła radość, a na jego twarzy pojawił się dziwnie stęzaty uśmiech zwycięstwa; przyłączył swój głos do chóru głosów:*

*„Im mocniej zaciskają się kajdany,
Tym słabsze stają się pęta.” (s.234)*

Książka Bhattacharyi ma niewątpliwie swoje niedociągnięcia. Odtwarzając dzieje Wielkiego Głodu i wojny autor mówi stosunkowo niewiele o tym, jaka była sytuacja chłopów bengalskich w momencie wyjściowym (jeżeli oczywiście pominiemy to, co nam opowiada Dewata o dziejach wsi Baruni na s. 28 — 30). Poza tym autor słowem nie wspomina o muzułmanach, zupełnie jakby ich w Bengalu nie było, (choć stanowią oni tam większość), ani o kalkuckim proletariacie wielkomiejskim, który — chociażby ze względu na swój udział w akcji niepodległościowej — musiał odegrać w opisanych wypadkach doniosłą rolę. Ale książka Bhattacharyi, w przeciwieństwie do *Kulisa*, nie rości sobie pretensji do tego, by stać się epopeją (za mały wachlarz środowisk). Jest natomiast niewątpliwie jedną z najlepszych powieści historycznych z okresu drugiej wojny światowej, dając w przy czynowym powiązaniu wyczerpujący * artystycznie doskonały obraz tragicznych przemian, jakie przeżył Bengal w

czasach, gdy — jak nigdy przedtem — „prędkie się stały kroki historii“.

*

Książka Krishan Chandra stanowi zbiór nowel o bardzo niewyrównanym poziomie oraz jeden essay (*List do poległego żołnierza*), zawierający ciekawe szczegóły autobiograficzne. Jest on — obok wstrząsającej opowieści *Ekspres peszawarski* — najbardziej wartościową pozycją zbioru. Ten *List* (do pierwszego Amerykanina poległego w Korei) był swego czasu szeroko omawiany w prasie, m. in. odpowiedział na niego pisarz radziecki Mikołaj Szpanow na łamach czasopisma „*Smiena*“, tu więc zatrzymamy się dłużej tylko na tych jego fragmentach, które nawiązują do przeszłości Chandra, a pośrednio i do stosunków indyjskich. Poza wiadomością, że autor kształcił się w katolickim kolegium amerykańskim, dowiadujemy się o jednym doniosłym szczególe: „Do niedawna mieszkalem na małej uliczce w mieście Lahore, w prowincji Pendżab. Moja uliczka nazywała się *Chowk Matti*. Nie wiem, jak nazywa się teraz, gdyż chociaż to ci się może wydać dziwne, ci sami ludzie, którzy postali ciebie na śmierć, mnie zabrali mój kraj, moje miasto, moją małą uliczkę. Tak jak ty nie możesz już powrócić do swego domu, tak * ja nie mogę powrócić na moją ukochaną uliczkę. Czy to tylko zły los i okrutne przeznaczenie, czy też ohydny spisek cynicznych polityków o kamiennych sercach pozabawił ciebie życia, a mnie ojczyzny? Ty i ja — zmarły i żyjący — musimy znaleźć odpowiedź na to pytanie. Przyszłość i teraźniejszość muszą współpracować, by znaleźć drogę do przyszłości“ (s. 32).

Autor mówi tu o podziale Indii na Hindostan i Pakistan, co spowodowało m. in. przepełnienie jego ojczyste go Pendżabu (podobnie zresztą jak na wschodzie przepełniony został Bengal). Podział poprzedziły wielkie rzezie w latach 1946 — 1947, stanowiące trze-

cie ogniwo w martyrologii indyjskiej, której kolejnymi kronikarzami byli M. R. Anand i B. Bhattacharya. To trzecie ogniwo, zamykające się u progu niepodległości okaleczonych Indii (1947), będzie w tym samym stopniu, co i dwa poprzednie, pobocznym produktem „Niegodziwej Rzeczy“, która przed o-
dejsciem zdążyła rozdmuchać wojnę religijną; przedsmak tej wojny mieliśmy w *Kulisie*.

Szczególnie przerażający obraz Wielkiej Rzezi daje nam Chandar w swych dziejach *Ekspresu peszawarskiego*, pociągu wiozącego uciekinierów z terenów, które przypadły muzułmańskiemu Pakistanowi, tj. z okręgu Peshawaru (tzw. Pogranicze północno-zachodnie) i Lahore (zachodni Pendżab). Rzeź zaczyna się podczas jednego z kolejnych postojów tego pociągu w Taxila. Jedzie on pod silną eskortą uzbrojonych po zęby muzułmańskich żołnierzy z Beludżystanu:

„Nagle w dali zabrzmiały bębny. Droga nadchodziła «dżutha» (grupa, pochód) hinduskich uciekinierów... pod troskliwą opieką swoich sąsiadów — muzułmanów. Przez ramię każdego muzułmanina zwisało przerzucone ciało kafira (niewiernego), który usiłował być zbiec ze swej wsi. Tych ciał było dwieście; przyniesiono je bardzo troskliwie, aż na stację i wręczono strażnikom z Beludżystanu. Tłum muzułmanów żądał, żeby ci hinduscy uciekinierzy zostali za-
wiezieni do bram Hindostanu z całym należnym im uszanowaniem. Żołnierze postanowili własnoręcznie wywiązać się z tego świętego obowiązku; pośrodku każdego przedziału położono po kilka trupów, potem tłum muzułmanów wystrzelił w powietrze i kierownikowi ruchu rozkazano wypuścić pociąg ze stacji. Zaledwie ruszył, gdy ktoś chwycił za hamulec i zatrzymał go. Wówczas przywódca tłumu muzułmanów zbliżył się do jednego z wagonów i powiedział, że odjazd tych dwustu uciekinierów rujnuje ich wieś i dlatego postanowili

wziąć dwustu żywych Hindusów i sik-
hów; bez względu na to, co się stanie, muszą oni nadrobić utratę siły roboczej swego kraju. Żołnierze z Beludżystanu przyklasnęli takiemu patriotyzmowi, wyciągnęli z przedziału dwustu uciekinierów i wydali ich tłumowi.“

Wszystkich zabito...

Działo się to w Taxila — indyjskich Atenach, — gdzie kiedyś znajdował się największy uniwersytet Azji. Tu najwspanialej krzewiła się wielka religia Buddy i stąd właśnie po raz pierwszy zajaśniał nad krajem półksiężyc Islamu.

Zresztą to był dopiero początek masakry. Nie będziemy nużyć czytelnika opisami wyrafinowanych męczarni, jakie zadawali Hindusom muzułmanie na wszystkich kolejnych stacjach ich męki. Dość, że po drodze zabito tylu, iż „odór rozkładających się ciał stał się tak nieznośny, że żołnierze beludżystańscy postanowili je wyrzucić. Wkrótce znaleźli właściwą metodę. Rozkazywali człowiekowi, którego twarz im się nie podobata, przynieść ciało blisko drzwi wagonu, a następnie wyrzucano go wraz z trupem“. (s. 45).

Na zakończenie w Lahore zabito jeszcze czterystu uciekinierów i zgwałcono pięćdziesiąt kobiet, aby wyrównać podobną zbrodnię dokonaną przez Hindusów na transporcie muzułmańskich uciekinierów ze wschodniego Pendżabu, po czym pociąg przekroczył granicę Hindostanu. I wówczas sytuacja odwróciła się. Tu bowiem, dla odmiany, Hindusi mordowali muzułmanów. Po drodze pociąg zatrzymywał się wielokrotnie i uciekinierzy biegli do pobliskich wiosek i lasów, gdzie ukryły się niedobitki mahometan i znów gwałcono kobiety, a niemowlęta wbijano na dzidy.

W Ambala „do jednego z przedziałów pierwszej klasy wprowadzono pod eskortą muzułmańskiego komisarza z żoną i dziećmi. Żołnierzom wydano surowy rozkaz chronienia życia i majątku tego muzułmańskiego urzędnika... Wy-

jechało z Ambala o drugiej w nocy. Jechano zaledwie dziesięć minut, gdy ktoś pociągnął za hamulec. Przedział pierwszej klasy, w którym jechał muzułmański urzędnik, był zamknięty od wewnątrz. Włamali się przez okno. Zamordowali komisarza, jego żonę i troje małżeństw. Komisarz miał młodą córkę. Ponieważ była bardzo ładna, postanowili ją oszczędzić. Zabrali dziewczynę, kosztowności, kasetkę z pieniędzmi, wyskoczyli z wagonu i poszli do dżungli. Dziewczyna miała w ręku książkę.

W dżungli usiedli, żeby się naradzić, co zrobić z dziewczyną, zabić ją, czy oszczędzić. Dziewczyna zaproponowała: Po co macie mnie zabijać? Nawróćcie mnie na waszą religię. Jeden z was weźmie mnie za żonę.

— Stuszenie — powiedział jeden z młodych ludzi — myślę, że powinniśmy...

Drugi młodzieniec przerwał mu i wbijając sztylet w brzuch dziewczyny powiedział:

— Najlepiej skończyć będzie z nią tutaj... Dość mieliśmy tych konferencji okrągłego stołu.

Dziewczyna umarła w dżungli na suchej trawie, a jej krew poplamiała książkę. Była to książka o socjalizmie. Może była to inteligentna dziewczyna... — kończy autor smętnie.

„Jak oni umieją napuszczać jednych na drugich“ — stwierdza Tichonow w swych znanych opowiadaniach o Pakistanie, mając na myśli anonimowych inspiratorów tych wzajemnych rzezi.

A potem nadszedł dzień formalnego uznania niepodległości Indii — 15 sierpnia 1947 r. — i „wszyscy tańczyli z radości.“ — „A dlaczego ty nie tańczyłeś?“ — spytał autor ślepego chłopca, który sprzedawał przed fabryką śpiewniki.

— „Bo byłem głodny“ (s. 103).

Zamykamy książkę Chandra z równie ciężkim sercem, jak wszystkie poprzednie. Jest on niewątpliwie pisarzem dużej klasy, choć nie brak w jego zbiorze rzeczy słabych, czy wręcz ba-

nalnych (Noc pełni księżycowej, Poeta, filozof i urzędniczyna, Degenerat). Społeczno-radykalny posmak mają nowele z życia wielkomińskiego proletariatu (Kwiaty są czerwone i Most w Mahaluksmi). Pierwsza z nich jest wspólnym uzupełnieniem bombajskich fragmentów Kulisa (strajkujący robotnicy, gotowi już powrócić do pracy, wracają od bramy fabrycznej, porwani patosem pieśni rewolucyjnej). Obie nowele wprowadzają nas w nową rzeczywistość Indii — powojennych i niepodległych.

*

Odbyliśmy wspólnie podróż poprzez Indie przedwojenne (Anand), wojenne (Bhattacharya) i powojenne (Chandar), na przestrzeni nie większej niż piętnaście lat (1932 — 1947), co tu równało się całej epoce, bowiem „prędkie stały się kroki historii“, jak mówi Bhattacharya.

Książki hinduskie nie są lekturą rozrywkową. Są wstrząsającymi dokumentami obrachunku z rzeczywistością, dokonywanego w żarliwym zapamiętaniu przez wielki i ambitny naród, stojący na rozdrożu: — pomiędzy gandyzmem a rewolucją socjalną.

Gandyzm nakreślił Indiom program, który nie wytrzymał próby życia:

„O Indie!
Kraju smutnych twarzy,
Kraju nędzarzy
I głodnych dzieci,
Moja największa na świecie
Miłości!
Łzami i krwią
Obcych narodów
Poć nie będziesz ty
Ogrodów
Swojej wielkości.
I nigdy —
Wierzcie mi
Z ojczyzny
Bambusowych gajów
Nie spadną
Miecze Kriszny
Na zgubę małych krajów.

Zbyt wielką duszę masz,
 Ojczyzno,
 Byś tak
 Pojęta sens wielkości,
 Jak ci,
 Co swej historii szlak
 Zabudowali,
 Nam na znak,
 Wieżami z ludzkich kości.“
 (Vallathol — tłum. B. G.)

Jest to program *ahimsy*, pierwszy raz w dziejach świata rzucone hasło stosowania w polityce wyłącznie zasad miłości bliźniego w znaczeniu niemal ewangelicznym. Niestety, ta koncepcja ogólna nie znalazła realnej podbudowy przede wszystkim w programie gospodarczym, który chciał cofnąć Indie w dobę chałupnictwa i gospodarki naturalnej. Spostrzegli to chyba wreszcie nawet jego najzagorzalsi wyznawcy, skoro w przełomowym roku 1947 poszli po linii kompromisów pomiędzy rzeczywistością dwudziestego wieku, a spóźnioną o dwieście lat doktryną gospodarczą i próbowali pogodzić deklaratywną *ahim* sę z trupami zbeszczeszczonych kobiet muzułmańskich na wszystkich drogach indyjskiego Pendżabu i Bengalu.

Równoległy do sprawy muzułmańskiej kompleks zagadnień narodowościowych nie znalazł w cytowanych książkach należytego odbicia. Za to niezwykle silnie wystąpiły u wszystkich trzech autorów inne aspekty rzeczywistości indyjskiej: specyficzne dla Indii zagadnienie kast, (u Ananda) i również specyficzne dla tego kraju zagadnienie nędzy w skali wręcz kosmicznej.

„Przecież mój lud
 Tak prozaicznie jest
 Z głodu spuchnięty
 I chory,
 Że jeden tylko księżyc,
 Ze wszystkich rekwizytów
 Firmamentu,
 Coś mówi mi,
 Bo przypomina
 P l a c e k z k o r y.“

— pisał kiedyś nieżyjący już dziś Sukanta Bhattacharya (tłum. B. G.).

Nędza ludu hinduskiego, jako dziełstwo dwóch stuleci rządów kolonialnych, legła u fundamentów obu państw indyjskich w momencie ich powstania. Natarczywie, odpychając wszystko inne, wdiera się ta jedyna i najważniejsza sprawa biologicznego istnienia narodu do prozy i poezji, do malarstwa i rzeźby, wstrząsa sumieniem narodu, jak podobizna martwej kobiety karmiącej dziecko na dworcu w Kalkucie — wstrząsa sumieniem świata. Każde uchYLENIE się od tego istotnego tematu uważane jest słusznie za dezercję z szeregów narodowych i piętnowane jako zdrada.

„Tyś poeta, co trwa bez ustanku
 w kontemplacji nad pięknem
 przyrody,
 W dociekaniach nad ludzką
 naturą
 I subtelną gradacją uczucia!
 Może spojrziałbyś jednak
 Na dzieci
 Wysuszone jak wióry,
 Którym krwi już zabrakło
 I płuc nie wystarcza
 Do płucia.“

— rzuca w twarz wyznawcom „czystej sztuki“ Harindranath Chattopadajaja (tłum. B. G.).

Wszystkie cytowane tu przez nas książki hinduskie żarliwie służą tej najważniejszej sprawie: kreślą wierny obraz krzywdy społecznej i są wyrazem szukania dróg do „wolności od głodu“.

*

Zdaje mi się, że największą bolączką naszych tłumaczeń z języków „egzotycznych“ są komentarze i wstępy, pisane przez niefachowców. Pozytywny wyjątek stanowi tu jedynie wstęp Marii Malickiej-Guha, która zarazem jest tłumaczką nowel Chandra, choć i ona popełnia rażące błędy („*Bhikshood*“ na

str. 44 to nie imię własne, ale przekreścona w angielskiej pisowni pospolita nazwa żebrzącego mnicha buddyjskiego, „*bikshu*“). Anonimowy autor posłowania do książki B. Bhattacharyi nie wniósł do niej absolutnie nic, poza informowaniem nas w sposób niezbyt przekonujący — kogo z bohaterów powieści wolno nam uważać za postać pozytywną.

*

Antoni Gołubiew w swej przedmowie do paxowskiego wydania *Opowiadań indyjskich* Jerzego Krzysztonia wstrzymuje się od pouczania czytelników o Indiach. Odróżnia to korzystnie tę przedmowę od innych. Ale mimo to, i mimo trafnego w zasadzie podpatrzenia podstawowych elementów tej książki utkanej z miłości i cierpienia, przedmowa pozostawia wrażenie, że Gołubiew na ogół nie docenia klasy pisarskiej Krzysztonia.

Szukanie dziury w całym jest wyłącznym przywilejem recenzentów, a nie komentatorów. Korzystając z tego prawa postaram się sprecyzować to, co mnie nieco uraziło w książce Krzysztonia, wstrzymując się zresztą od arbitralnego określania tego mianem błędów.¹

Przedę wszystkim mam na myśli nieuzasadnione żadną koniecznością chwytły naturalistyczne (np. opisy czynności fizjologicznych z użyciem najbardziej wulgarnych określeń). U innego pisarza to by nie raziło, u Krzysztonia właśnie razi.

Drugie zastrzeżenie odnosi się do zakończenia paru nowel z nadmierną „zapiętych na ostatni guzik“ wbrew zasadzie, że słowo oszczędnie użyte potęguje wrażenie, a użyte w nadmiarze osłabia je, albo zgoła niweczy. Nigdy ta o-

szczędność słowa nie jest tak konieczna, jak właśnie przy braniu końcowych akordów, kiedy akcja urywając się na gło utrwała się w naszej pamięci właśnie w tej chwili gwałtownego spiętrzenia przed skokiem w próżnię. W ten sposób została m. in. zepsuta ciekawie zapowiadająca się *Powiatka o przewoźniku*. Podobnie, choć z różnych powodów, załamują się na końcu tak doskonale rzeczy jak *Ulica Chowringhee* i *Plantacja*, gdy Krzysztoń każe bohaterom przeżywać uczucia nie mieszczące się w ich psychice.

W pierwszej noweli młody bandyta przypadkiem trafia na czoło jakiejś demonstracji i ginie z okrzykiem: „*Quit India!*“ (co w gruncie rzeczy jest zupełnie prawdopodobne, bo to samo krzyczeli inni). Nieprawdopodobne natomiast i artystycznie zbędne było podkładanie pod ten zbieg okoliczności jakiejś głębszej treści, rozmazywanie obrazu, który sam przez się posiadał swoją wymowę. Czy nie należało po prostu pozwolić Biharemu, by umarł z tym swoim „*Quit India!*“ na ustach, bez uzupełniania obrazu dociekaniem psychologicznymi?

W *Plantacji* zakończenie noweli nie jest przerysowane, lecz odwrotnie — niedorysowane. W rezultacie nie wiemy, dlaczego plantator Borton, zamiast aresztować Murzynów, kradnących trzcinę, załamuje się moralnie i ucieka. Nie wierzę po prostu, by do człowieka tego pokroju mogły przemówić słowa Murzynów: „Ta ziemia jest nasza“.

Wreszcie pewne wątpliwości budzi autentyczność niektórych miejscowych realiów, np. potraw (kartofle, kapusta), sposobu jedzenia i spania („Zaniósł ją do łóżeczka. Rozebrał“... s. 65). Wierzymy autorowi na słowo, że w niektórych miejscowościach Indii kartofle (na ogół bardzo drogie) rzeczywiście zastąpiły w jadłospisie ryż, a łóżeczka wyparty z użycia maty, i że nawet dzieci rozbiera się do snu. Ale dla ogółu Indii to wszystko nie jest typowe.

¹ Wszystkie uwagi odnoszą się do pierwszego wydania książki.

Akcja dwóch nowel (*Cudownych Rąk i Plantacji*) rozgrywa się na terenie afrykańskim i z Indiami — poza drugoplanową postacią babu Rathnskara — nie ma nic wspólnego. W pozostałych czterech drobnych utworach akcja toczy się bądź w Bombaju *Ulica Chowringhee*, *Białogęby* i częściowo *Ojcowska koszula* — bądź w jakimś małym miasteczku — początek tej ostatniej oraz *Dzień targowy*. Dwa pozostałe obrazki (urocze *Wspomnienie indyjskie* i *Powiastrka o przewoźniku*) rozgrywają się gdzieś na prowincji, ale — poza motywem głodu w *Powiastrce* — pozbawione są momentów interesujących socjologa.

Słowem w swych pierwszych nowelach Krzysztoń jest przede wszystkim odtwórcą stosunków wielkomiejskich — ściślej bombajskich, znanych nam już z *Kulisa Ananda* i nowel Chandra. Dodajmy, że jest odtwórcą równie utalentowanym. Wypełnia przy tym lukę pomiędzy obrazem przedwojennego Bombaju u Ananda, a Bombaju Chandra z czasów niepodległości, umiejscawiając akcję swoich nowel w epoce przejściowej (wojna i pierwszy rok powojenny). Wachlarz środowisk jest w zasadzie szerszy niż u Ananda, bo obejmuje — poza biedotą miejską i przekupniami — również górę intelektualną (*Ojcowska koszula*), studentów (Arwind w *Białogęby*) oraz męty wielkomiejskie (*Ulica Chowringhee*). Brak tu właściwego proletariatu (pracze w *Białogęby*, należący do biedoty, nie są właściwie proletariuszami, lecz drobnymi przedsiębiorcami). Domyślamy się obecności robotników na zebraniu komunistycznym w *Białogęby* i widzimy ich w dwóch opisanych przez autora demonstracjach ulicznych. Ale do środowiska ich nie wchodzimy. Nie ma tu również i chłopów poza *Tamą*, o której pomówimy osobno.

Natomiast indyjski ruch niepodległościowy, reprezentowany przez ludzi Kongresu i komunistów, znalazł w no-

welach Krzysztonia odbicie tak sugestywne, że chwilami nabierają one znaczenia historycznych dokumentów epoki, obfitującej w wielkie wypadki i wielkie postaci.

„Kasturbai (żona Gandhiego) stała na postumencie pomnika cesarzowej Indii. Miała zniszczoną twarz, posiekaną zmarszczkami. Nad wysokim czołem zlepiły się od potu rzadkie siwe włosy. W kącikach zaciśniętych ust przywarło zmęczenie. Zamglone oczy zza dużych okularów patrzyły długo, długo.

— Siostry moje, bracia, ojcowie i matki.

Na ogromnym placu było cichusieńko. Ludzie wstrzymali oddech...

...Kilku policjantów na koniach przetrzębnęło się, waląc pałkami przez tłum. Oficer podniósł dłoń do daszka, zasalutował.

— Madam, you are under arrest.

Kasturbai, nie dostrzegając ich, mówiła dalej...“ (s. 102—103).

Narodowa bohaterka Indii nie jest tu postacią epizodyczną, historycznym rekwizytem, wplecionym w nowelę, której akcja toczyć się może własnym torem — obok dziejów. Zbyt realna staje się dziś historia, by można było żyć poza nią, nie włączyć się w jej bieg, nie współtworzyć jej albo hamować. Fabuła noweli i fabuła historii spleta się ze sobą tak ściśle, że trudno ustalić, gdzie przebiega granica pomiędzy prawdą o Indiach, a prawdą o człowieku.

„...Pierwszy policjant jest już na piątym schodku. Białogęby daje nura pod brzuchem końskim. Rżnie tamtego pięścią w łeb, chwytając się palcami barierki, wspina, tarasuje drogę. Oficer coś krzyczy, aż mu wykrzywiona twarz sinieje, trzej ludzie w mundurach skaczą z siodeł, biegną ku schodkom. Białogęby staje w rozkroku, zaczerpnął powietrza. Wali zaciśniętymi pięściami, jednostajnym spokojnym ruchem, z góry w dół, z dołu w górę. Tyle lat prało się

bieliznę na Mahalaksemi. Można było nabrać wprawy.

Kasturbai poprawia okulary, opiera się plecami o marmurowy podnóżek cesarzowej Indii. Mówi:

— Ostaniam mnie w tej chwili swoim ciałem mój brat, bo chce, żebym dokończyła...“ (s. 103—104).

Krzysztoniowi obca jest mizantropia i zgryźliwość Ananda. Jego postawa wobec opisywanych zjawisk jest dużo bliższa Bhattacharyi. Gołubiew bardzo trafnie zastosował wobec niego maksymę o pokornym i pełnym miłości podziwie dla wspaniałości i nędzy człowieka. Tym więcej, że specyficzne środowisko wielkiego narodu marzycieli i nędzarzy dostarcza artyście szczególnie wdzięcznego pola do wzruszeń w jednym i drugim kierunku. A Krzysztoń jest wyjątkowo wrażliwym odbiorcą tych wzruszeń, jeśli potrafił z nich wyczarować takiego Ram Sanadza (*Dzień targowy*).

Był on drobnym kupcem w małym miasteczku. Potem zbankrutował. Wąleł się od sklepu do sklepu w poszukiwaniu pracy. Mówił: „Zrozumcie, że ja muszę żyć, przecież mam małą córeczkę. Siedem latek. Dajcie mi pracę... Później nie czekał już wcale na odpowiedź. Jednak niezmiennie wstawał rano i spędzał cały dzień w mieście, powtarzając tę formułkę, która obciążyla mu pamięć, pozbawiła go zdolności myślenia, reagowania, czucia...“ (s. 60).

Szczęście uśmiecha się do niego raz jeszcze. W dniu targowym udaje mu się sprzedać ostatni kawałek płótna i stary kaszkiet za jedną rupię. Posyła córeczkę po placki, owoce i mleko. Resztę dziecko daje żebrakowi, bo był ślepy, a takim podobno należy dawać jałmużnę.

Obrazek prawie sielankowy. Ojciec poi dziecko mlekiem, opowiada mu bajki. Ale wie — i my również wiemy — że to już koniec. Ta sielanka już się nigdy nie powtórzy. „*Najpierw umrze Anila, on dopiero potem. Będzie chuda*

jak drzewko, gorączka spali ją na popiół... On będzie stał bezradnie i mówił: Ani, no, Ani, widzisz, ja nie chciałem... Patrzył uważnie na nożyce. Zwyczajnie stare nożyce do przecinania płótna i powoli jakaś myśl zakiełkowała w nim, rosta, pęczniała korzeniami, które rozsadzaly czaszkę. I było to tak, jakby rzucić słońce na ziarno. Uspokajał się, był już zupełnie spokojny, wiedział, że Ram Sanadz teraz nie zginie i nie zginie jego córka. Chciałby na nią popatrzeć, tak ją jakoś wziąć w oczy, przesyć w siebie. Podniósł się i pozostał pochylony, oparty ręką o ladę. Jesli pójdzie tam, wszystko przepadnie. Nie wolno było iść. Nie wolno. Wsunął nożyce na kciuk i palec średni, ścisnął je do bólu, powoli rozszerzał ostrza. Lampka paliła się spokojnie. Trzeba zdmuchnąć płomyk, zgasić światło. Kilkakroć wciągał głęboko w płuca powietrze i pozwalał mu uciekać pomatu, nim zachłystnąwszy się, dmuchnął wreszcie. Ręka jeszcze przez chwilę drżała w ciemnościach...“ (s. 66).

Tu autor zademonstrował nam prawdziwe mistrzostwo w operowaniu skrótami, piętrzącymi się w takt ostatnich słów noweli, aż zaczyna się z nich wyłaniać obraz tak przerażający, że czytelnik odruchowo cofa się przed zrozumieniem strasznej prawdy. Po cóż autor miałby dopowiadać rzecz oczywistą, że człowiek sam sobie wykłutł oczy, żeby jego dziecko żyło. W nagłym olśnieniu, które będzie okupione wieczną ciemnością, zobaczyliśmy oczyma Ram Sanadza bardzo wiele: źródło cierpień Białogętego i pozostałych postaci z nowel Krzysztonia czy autorów indyjskich. Wiemy już, dlaczego zamknięty w wieży z kości słoniowej Narayan (*Ojcowska koszula*) nie mógł odnaleźć pełni życia i dlaczego Bihari stał się mordercą. Raportu, który próbował złożyć Indiom bezmienny malarz z książki Bhattacharyi, nie udało się zniszczyć. Podjął go i przekazał światu polski literat, który największym wysiłkiem

serca i umysłu zrozumiał tragiczny cud Indii.

We wszystkich recenzowanych przez nas poprzednio powieściach brakowało nam zasadniczego ogniwa — powszedniego dnia wsi hinduskiej. Bhattacharya dał nam wprawdzie fascynujący obraz wsi, ale w warunkach największego głodu, jaki nawiedził Indie w bieżącym stuleciu. Lukę tę wypełnia dopiero Krzysztoń w sporej noweli *Tama*, umieszczonej na samym końcu zbioru. Co prawda i on nie daje nam obrazu wsi w warunkach optymalnych czy chociażby normalnych. W dwa lata po Wielkim Głodzie, który nawiedził przede wszystkim wschodnie prowincje, jego wieś dekańska przeżywa kolejną fazę głodu, jaki co parę lat nawiedza południowe Indie, a jest nieuniknioną konsekwencją zarówno kapryśnego klimatu (częste spóźnianie się monsunu), jak i fatalnej gospodarki, wykluczającej tworzenie jakichkolwiek rezerw zbożowych. Południowo-indyjski Shiwa nie bez powodu jest uważany za boga zniszczenia, choć jest niczym innym, jak tylko w inne ramy wtłoczonym pojęciem Absolutu, który na szczęśliwszej Północy znalazł swoje odbicie w pogodnej twarzy Wisnu.

Trudno nam ściśle umiejscowić wieś Valivade. Na przedwojennych mapach angielskich niewątpliwie odnaleźlibyśmy państewko Kolhapur, położone, o ile się nie mylę, na terytorium Marathi, jednego z najkulturalniejszych ludów Indii, mieszkającego na skrajnym południu obszaru aryjskiego (dalej żyją już tylko ludy draidwijskie). Tu właśnie leży Valivade, którego życie, a raczej dzieje umierania, odmalował nam Krzysztoń z mistrzostwem nie ustępującym Bhattacharyi.

Analogie pomiędzy dwoma autorami (którzy w okresie pisania swych książek nie wiedzieli nic o sobie), są wręcz wstrząsające, ale Krzysztoń wydaje nam się bardziej opanowany i w innej płaszczyźnie szuka rozwiązań.

Valivade, widziane w perspektywie zaledwie paru dni, nie ma dla nas żadnych tajemnic. Wiemy, dlaczego wieś jest skazana na śmierć głodową — równie dobrze, jak poznaliśmy, dzięki autorowi *So many hungers*, ukryte sprężyny Wielkiego Głodu.

Opóźniający się w tym roku (1945) monsun zagroził zbiorom na całym półwyspie. Ale w Valivade klęska żywiołowa została jeszcze pogłębiona przez maharadżę, którego posiadłości graniczą ze wsią. W drodze szantażu zmusił on chłopów do wymiany gruntów, aż scalił w swoich rękach ziemie leżące w górnym biegu rzeczki. Potem zbudował tamę i całą wodę skierował na swoje pola, gdzie zasiał trzcinę cukrową, a ziemia chłopska zmieniona została w skalistą pustynię. „W pyle gościńca kuszytka scherlate bydlę, bawolice pochylały łby, długie obwisłe rogi ciągną się prawie po piasku. Na zadach bryłowatych sterczą kości, bodąc skórę napiętą, zmatowiałą. Głuche, żałostne muuuu... kłębi się w kurzu, tłucze o strzechy, szumi w drzewach, omiata przyzby i pnie się z pyłem na niebo rozległe, bezchmurne, upstrzone sępami, co kołują, kołują, kołują... «Muuuu». W rytm tej pieśni głodu kołują nad pastwiskami, gdzie trawa wyschła, nad polami, gdzie nic nie rośnie” (s. 166).

W bok od wioski mieściło się „ponure cmentarzysko bydła. Z rozdętych brzuchów krowich sępy ciągnęły wnętrzności, zaśliniałe, sine. Tu szarpała zeschłe nogi bawolic ostatnia na tej ziemi żarłoczność, wydłubywała im oczy, rwała skórę, darła mięso. Aż gęsto było od nich, od sępów...”.

„Tyle mięsa się marnowało, tyle dobrej strawy. Ale powiedz no matce, albo komuś ze starych czy młodych, że wołowina jest smaczna, pyszna... Spluną tylko, więcej gadać z tobą nie zechcą. Dziwni ludzie, wolą, żeby sępy zeżarli... Od pradziadów ciągnie się ta zastarzana głupota. Tyle bydła marno-

wać, a jest go w tej krainie, jest, żadna ziemia tyle nie wykarmi. «Dziad mój nie jadł, ojciec nie jadł, to i ja nie będę!» (str. 167).

„Tylko życie było ważne... Ostatecznie w walce liczyła się przebiegłość, nie odwaga. Tak jak w tej wielkiej rzezi, na wojnie... Tyle, że tam śmierć dawała szansę i jakąś kruszynę czasu... Tam huczna była, z daleka widziałeś, że idzie. A tuś nigdy nie wiedział, czy wygrywasz, czy tracisz... Bo tu przegrywało się każdym oddechem, każdym ruchem, każdą chwilą rosnącego zmęczenia“ (s. 194).

Jesteśmy świadkami, jak kolejno ginie bydło, potem dzieci i starcy. Sine półtrupki kucają w przedśmiertnej biegunce głodowej. A rano już leżą pod pagórkami suszonego nawozu. „Dla nich nawet drzewa nie było (na stos), bo i skąd... I karał (kapłan-grzebalnik)

zgarbiony nad każdym pagóreczkiem, coś tam szeptał do siebie, czy do tych ciałek pod nawozem“ (s. 226).

Potem zaostają się rysy młodziutkich dziewcząt. Jeszcze pozostanie im tydzień życia, może dwa. I Prasad ucieka z wioski, skazanej na śmierć, pozostawiając starą matkę i uwiedzioną dziewczynę.

A w górze rzeki szumią piękne plantacje maharadży, jak symbol innych Indii, tych z nieprawdziwego zdarzenia, olśniewających kabotyńską Europę bogactwem radzów i wysmukłymi sylwetkami pónagich tancerek. Indii przepychu, zbudowanego na nędzy milionów. Indii takich, jak pojmowali je nasi ojcowie, mimo że była to tylko dekoracja, zasłaniająca prawdziwe Indie — Indie Ananad, Bhattacharyi, Chandra i Krzysztonia.

Bohdan Gębarski

ŻYCIE JEZUSA CHRYSTUSA

RICCIOTTI GIUSEPPE: *Życie Jezusa Chrystusa*, Warszawa, „PAX” 1954.

Rezultatem badań A. Schweitzera (Von Reimarus bis Wrede) było stwierdzenie, że nauka historyczno-teologiczna ustaliła jako pewnik: o historycznym Jezusie z Nazaretu nie wiemy nieomal nic; a to co wiemy jest dla nas w praktyce bez wszelkiej wartości. Takie stanowisko liberalnego krytyka nie dziwi nas zbytnio; w plejadzie wielu innych jego głos łączy się z tymi, którzy doszli do zupełnej nieomal negacji w tym względzie. Rozprawa z takim stanowiskiem jest zadaniem częściowo apologetyki, częściowo odnośnych działów egzegezy; a także historii, która nie stanowi, mówiąc nawiasem, silnej pomocy w badaniach Schweitzera.

Inną sprawą jest krytyczne stanowisko takiego koryfeusza nauki egzegetycznej, jakim jest dominikanin O. M. J. Lagrange, który w przedmowie do swego dzieła *L'Évangile de Jésus-Christ* powiada: „Zdecydowałem się jednak nie dawać szerokim rzeszom czytelników «Życia Jezusa» w tradycyjnym ujęciu, a oddać raczej głos czterem ewangeliom. Jako dokumenty historyczne nie wystarczają one do napisania historii Jezusa Chrystusa takiej, jaką współcześnie pisano-

¹ Cytuję wedle tłumaczenia *Prolegomena* do „Życia Chrystusa” Ricciottiego ks. prof. dr Eugeniusza Dąbrowskiego.

by o cesarzu Auguście lub o kardynale Richelieu.“¹ Wątpliwości O. Lagrange'a są oczywiście całkiem innej natury niż wątpliwości Schweitzera. Bo osąd Schweitzera jest skutkiem całkowitego nieomal zaprzeczenia Ewangelii, która przeszła przez alembik racjonalizmu, anarchicznej krytyki tekstu i subiektywnego traktowania przekazanych nam świadectw historycznych, jak to czyni metoda *Formgeschichte*. O. Lagrange zaś, biorąc pod uwagę formę literacką, nadaną ewangeliom, oraz intencje i zamiary pisarzy św., nie widzi w nich dostatecznego tworzywa do napisania życiorysu Jezusa Chrystusa w tym rozumieniu, jakie człowiek nowoczesny łączy z pojęciem biografii jakiejś osobistości historycznej. Ta niedostateczność zaś jest logicznym rezultatem założeń literackich ewangelistów i celu ich dzieła. Ewangelie, przynajmniej trzy ewangelie synoptyczne, wyrosły zasadniczo z katechezy apostołskiej, która miała wyższe, lepsze i dalej sięgające cele, niż je mieć może jakakolwiek literatura: bo nauczanie wszystkich narodów tego, co nakazał Jezus Chrystus, ażeby ludzkość dostąpić mogła zbawienia. Zaden z ewangelistów nie okazuje dbałości zwykłego biografa, który troszczy się skwapliwie o szczegóły i daty, o ścisłość chronologiczną i, o ile się da, o kompletne i wyczerpujące opracowanie życiorysu danego bohatera; a głosząc królestwo Boże, które zaistniało między ludźmi, pragnie je przedstawić zwięźle i zrozumiale w je-

go istocie i wyłuszczyć postulatory postawione przez Boskiego Mistrza człowiekowi, pragnącemu wstąpić do tego Kościoła Bożego i zbawić się. A ponieważ to królestwo Boże jest założone i rządzone przez Jezusa, który jest Panem i Chrystusem, ponieważ wiara w Syna Bożego jest nieodzownym warunkiem przynależenia do Jego Kościoła, więc ewangeliści mówią w swej pisanej katechezie oczywiście o Nim, o Jego „mowach i czynach“ — ale nie dążą nigdy do tego, aby powiedzieć o Nim wszystko; ani do tego, żeby zgłębić Jego duszę i charakter — tak, jak sumienny biograf notuje dzień po dniu życie swego bohatera i stara się wykazać wewnętrzny mechanizm jego duszy, aby słowa jego i dzieła uczynić zrozumiałymi i przedstawić je we właściwym świetle. To, co napisał Jan pod koniec swej ewangelii, odnosi się w zupełności także do ewangelii synoptycznych: „Wiele też innych jeszcze cudów uczynił Jezus wobec uczniów swoich, które nie są w tej księdze spisane. Te zaś spisane są, abyście uwierzyli, że Jezus jest Chrystusem, Synem Bożym i żebyście przez wiarę żywot mieli w imię jego.“ (Jan XX, 30—31.) A to, co napisał uczeń Janowy na końcu dzieła swego mistrza, można by dopisać do każdej z trzech pierwszych ewangelii: „Wiele też innych rzeczy uczynił Jezus, ale gdyby każdą z nich opisywać, to myśle, że nie pomieściłby świat cały ksiąg, które by się miało napisać.“ (Jan XXI, 24, 25.)

Świadomość takiego stanu rzeczy może rzeczywiście sumiennemu uczonemu wzbronić podjęcia się napisania żywota Chrystusa Pana — bo raz, nie chce sięgać poza źródła ewangelijne do gadatliwych apokryfów; a poza tym nie chce pokrywać retorycznym frazesem dotkliwych luk nie tylko w opowieści Jego ukrytego życia, lecz także publicznej Jego działalności. A zwłaszcza nie chce się odważyć brać pióra do ręki, aby pisać w ludzkiej mowie o Synu

Bożym i zaglądać ciekawie do Jego duszy, której głębie są przepaścią wieczności — zupełnie nie na miarę zwykłej duszy ludzkiej, stworzonej i ograniczonej: a mimo to często tak tajemniczej i nieodgadnionej dla drugiego człowieka. Woli więc ograniczyć się do roli komentatora słowa Bożego. Zbierając skrzętnie rezultaty żmudnych badań minionych wieków nad ewangeliami i wartościując je krytycznie, stara się przybliżyć czytelnika do postaci Jezusa Chrystusa czterech ewangelii, opromienionych nieziemską aureolą prostoty i majestatu Bożego.

Toteż życiorysy Chrystusa Pana, pisane w ostatnich czasach przez katolickich autorów, są po większej części czymś innym, jak tylko biografią w zwykłym słowa znaczeniu. Sickenbergera *Das Leben Jesu nach den vier Evangelien*, Muenster i. W. 1932, jest egzegezą w ścisłym słowa znaczeniu oryginalnego tekstu ewangelijnego, którą w pewnym skrócie wyjaśnia tekst pod względem filologicznym, historycznym, archeologicznym itd. — lecz nie jest to życiorys w potocznym znaczeniu. Sickenberger suponuje oczywiście dużo wiadomości wstępnych; kto je posiada, znajdzie wiele światła w jego książce. W żadnym razie nie jest to popularyzacja, choćby na wysokim stopniu, a autor nie wykazuje chęci wiązania wszystkich tekstów źródłowych w całość opowieści o życiu Zbawiciela. *Das Leben Jesu im Lande u. Volke Israel*, Freiburg i. Br. 1933 F. M. Willmanna tłumaczy ciekawie i wnikliwie niektóre trudności źródłową na płaszczyźnie etnicznej ludu i kraju, oddalonego od nas czasem i przestrzenią. Książka ta nie ma pretensji, aby być życiorysem Chrystusa Pana w pełnym tego słowa znaczeniu. Praca Adama (*Jesus Christus*, Augsburg 1933) i Feldera (*Jesus von Nazareth*, Paderborn 1939) są zbiorem wykładów i artykułów, niekiedy bardzo instruktywnych, odnoszących się

do osoby Pana Jezusa — ale nie są biografią Chrystusa Pana. Praca H. Daniela-Ropsa *Jésus en son temps*, Paris 1945, ciesząca się słusznym dużym uznaniem, jest wartościową pozycją literacką popularyzującą, w najlepszym słowa znaczeniu, osobę Zbawiciela oraz zagadnienia wskazane w tytule — lecz nie jest chyba dziełem oryginalnym. Książka Prata natomiast: *Jésus-Christ. Sa vie, sa doctrine, son oeuvre*, Paris 1938, jest naukowym życiorysem Chrystusa Pana i poważną pozycją naukową w tej dziedzinie.

Należy zatem stwierdzić pewną wstrzemięźliwość także ze strony katolickiej w podejmowaniu tego fascynującego tematu, jakim jest życiorys Zbawiciela, który nie przestaje ani na chwilę zajmować umysłów ludzi. A tłumaczy się ona względami, które wyżej pokrótce wzmiankowałem.

Żeby nie być jednak źle zrozumianym, pragnę stwierdzić, że te dość liczne życiorysy Chrystusa Pana, jakie jednak posiadamy, spełniały w swoim czasie i spełniają dzisiaj jeszcze swe zadanie. Kto nie zajmuje się z obowiązkowo naukowym lub zawodowego kwestiami związanymi z problemem, jaki stanowią ewangelie i inne pisma Nowego Testamentu, a pragnie poinformować się szczegółowo w sprawach odnoszących się do osoby Chrystusa Pana i Jego nauki, sięgnie po te dzieła z dużą dla siebie korzyścią. Jeżeli rezultaty w nich podane nie znajdują zawsze aprobaty wykształconego czytelnika, to przytoczone szczegóły oraz pogłębienie doktrynalne nauki Chrystusowej — zwłaszcza o charakterze dogmatycznym i moralnym — przyniosą mu jednak wiele pożytku.

Życie Jezusa Chrystusa, które napisał G. Ricciotti, jest, na takim tle, czynem na wskroś pozytywnym; jest dziełem o wielkiej wadze naukowej, napisanym przez znawcę i erudyte, zwłaszcza w dziedzinie orientalistyki i filolo-

gii. Styl potoczysty i jasny, przejrzysta dyspozycja książki, niezmiernie ciekawe objaśnienia z różnych dziedzin pomocniczych egzegezy biblijnej — a także bardzo piękny przekład polski włoskiego oryginału przyczynią się z całą pewnością do pogłębienia wiadomości o Chrystusie Panu, o problemach związanych z Jego osobą i Jego nauką oraz o dynamice ruchu chrześcijańskiego, który tak potężnie zaznaczył się w dziejach ludzkości.

Pisano już dużo o tej książce i, o ile mi wiadomo, przeważnie z wielkim uznaniem. Nie chcąc być tylko jednym więcej głosem w tym chórze i nie chcąc powtarzać stwierdzenia, które już inni poczynili, pragnę zwrócić raczej na tle dzieła Ricciottiego uwagę czytelnika na te wątpliwości i zastrzeżenia, natury czysto formalnej, które powyżej wzmiankowałem — a które są jednak tak ważne, że niektórzy egzegeci nie godzą się wreszcie na pisanie życiorysu Chrystusa Pana. Wgląd w te sprawy wyostrzy wzrok czytelnika na ważne zagadnienia metodyczne odcyfrowania biblijnych tekstów i na istotne wnioski, które robić wypada z nauk i mów Chrystusa Pana. Bo najważniejszą rzeczą pozostanie chyba zawsze odpowiedź na pytanie, jaką jest myśl Chrystusa Pana, zawarta w danej nauce lub zdaniu, i jaki cel miało Jego działanie w tej lub innej okoliczności. Komentarze i wyjaśnienia, które dawali różni autorowie, są ważne, a znajomość ich jest pożyteczna: ale ważniejszą nierównie jest istotna treść nauki Chrystusa Pana, Jego myśl właściwa i Jego istotne pojmowanie jakiegoś zagadnienia. Kto spotyka na swej drodze życiowej postać Pana Jezusa, pragnie poznać ją po prawdzie, bez dodatków i ludzkich domysłów. *Żywot Jezusa Chrystusa* musi mieć taki cel i musi chcieć spełnić takie właśnie zadanie — a to jest rzecz zupełnie niełatwa.

Opowieść o życiu Jezusa Chrystusa poprzedza Ricciotti *Wprowadzeniem*,

które, choć ciągnie się przez długie dwieście stron, jest jednak tylko skrótem różnych nauk pomocniczych egzegezy, jak: geografia biblijna, historia czasów Nowego Testamentu, chronologia Nowego Testamentu, introdukcja do ksiąg Nowego Testamentu itd. Na koniec dodaje „racjonalistyczne wyjaśnienie życia Jezusa“. To wprowadzenie pisane jest przystępnie i porusza kwestie, które laikowi wydawać się będą nowe i bardzo ciekawe i które w rzeczy samej przygotowują go należycie do lektury następujących wywodów, a co może jeszcze ważniejsze — do racjonalnej lektury samych ewangelii. Ricciotti posiada dar przedstawiania jasno swej myśli. Nawet zawiłą kwestię synoptyczną omawia tak, że czytelnik potrafi ją ogarnąć i zrozumieć problem, który autor rozwiązuje uzasadniając swą tezę przekonującymi argumentami. Z ogromnego materiału wstępnych nauk egzegetycznych potrafił Ricciotti wybrać rzeczy istotne i podać je w sposób ciekawy i pociągający.

Po tym „wprowadzeniu“ dopiero rozpoczyna autor właściwą opowieść. Podział na paragrafy, których jest 639, czyni całość przejrzystą i pozwala na powoływanie się na dane już wyjaśnienia i łączenie różnych części opowiadania ze sobą. W następnych wywodach pragnę zatrzymać się przy nielicznych tylko rozdziałach tego opowiadania, aby wykazać w pewnym świetle myśl przewodnią mojego omówienia: mianowicie, problematyczność niektórych rozstrzygnięć egzegetycznych, do których biograf Chrystusa Pana jest poniekąd zmuszony, a które — podane w formie apodyktycznej — budzą jednak uzasadnione zastrzeżenia.

1. W paragrafach 271—276 omawia autor kuszenie Pana Jezusa przez szatana. Zanim Zbawiciel rozpoczął swą publiczną działalność, której celem było zbawienie ludzi, chciał stoczyć bój ze sprawcą nieszczęścia, jakie spotkało człowieka przez grzech popełniony w

raju oraz przez następstwa grzechu. Zanim wyrwie człowieka z pęt mocarza, który go trzyma w niewoli, chce pokonać samego mocarza, pozbawiając go zbroi i mocy. Ricciotti słusznie mówi o tajemniczości tego wydarzenia, którego świadkiem nie był nikt z ludzi. Chrystus Pan opowiedział je widocznie sam swoim uczniom i apostołom, uważając je za ważne samo w sobie oraz za konieczne do zrozumienia dzieła Zbawienia. Ta okoliczność nakłada na egzetę obowiązek zgłębienia tajemnicy kuszenia Pana Jezusa i wyznaczenia jej należytego miejsca w całokształcie działalności Pana Jezusa. Ricciotti konkluduje po dłuższych wywodach w ten sposób: *„Wszystkie trzy pokusy kontrastują wyraźnie z mesjanizmem Jezusa. W pierwszej szatan pragnie przywieść go do tego, by jako Mesjasz głosił królestwo bogactw i dóbr, w drugiej nakłania go do pewnego ekshibicjonizmu i cudownych występów o charakterze teatralnym, w trzeciej ukazuje ideał mesjanizmu w osiągnięciu władzy politycznej.“* (s. 275) Nie wydaje mi się, aby takie tłumaczenie było do przyjęcia. Propozycja, jaką robi szatan łaknącemu po 40-dniowym poście Mesjaszowi, by rzekł, *„aby te kamienie chlebem się stały“*, nie ma chyba nic do czynienia z *„królestwem bogactw i dóbr“*. Pan Jezus jest głodny, zupełnie wyczerpany i bliski śmierci. Szatan korzysta z takiego stanu rzeczy, aby zrobić Mu swą propozycję. Wydaje się bowiem całkiem właściwe, aby w tej ostateczności, w jakiej się Pan Jezus znalazł, ratował swe życie chociażby cudem, który przecież potrafi zdziałać będąc Posłańcem Bożym. Wątpię, czy można podsunąć szatanowi intencję dowiedzenia się, czy Jezus jest prawdziwym Synem Bożym. To pojęcie nie wchodzi na razie jeszcze w rachubę. „Syn Boży“ oznacza tu: wybrańca, posłańca Bożego, Mesjasza, na którego w owych czasach czekał naród wybrany. Cuda, podobne do zamienienia kamieni

w chleb, zna Stary Testament — a jednak nie stanowią one tam o „synostwie Bożym“ cudotwórcy. Kuszenie szatana polega raczej na tym, aby tego Posłańca Bożego i Mesjasza sprowadzić z właściwej drogi: jeżeli użyje swej mocy cudotwórczej dla siebie, dla ratowania własnego życia, powiedzmy, z pewną niedokładnością: dla swej wygody — wówczas zejdzie z właściwej drogi i sprzeniewierzy się swemu posłannictwu. Pan Jezus odpiera tę pokusę stwierdzając, że Bóg może człowieka zachować przy życiu mimo głodu i braku chleba — i odsyła szatana z niczym.

Jeszcze mniej trafia do przekonania tłumaczenie Ricciottiego drugiego kuszenia, gdzie mówi o nakłanianiu Pana Jezusa przez szatana do „pewnego exhibicjonizmu i cudownych występów o charakterze teatralnym.“ Kuszenie sprowadziłoby się więc do propozycji, aby Pan Jezus wykonał jakąś sztuczkę cyrkową na placu świątynnym przed zgromadzonym ludem i nią udowodnił swe mesjaństwo. Atmosfera komizmu, wprowadzanie w akcję „głupiego diabła“ bardzo a bardzo dalekie są od prawdy i od powagi chwili, w której Syn Boży łamie szatańskie zakusy! Drugie kuszenie nawiązuje raczej do ówczesnych wierzeń ludowych, opartych na błędnym tłumaczeniu Danielaowego prorocтва, mówiącego o zstąpieniu na obłoku Syna człowieczego z niebios na ziemię: niechże więc Jezus odpowie temu oczekiwaniu ludu i stanie się jego upragnionym Mesjaszem, a w dalszym ciągu poprowadzi go do zbrojnej walki z pogańskim najeźdźcą!

Sonde, którą zapuszcza biograf w duszę Chrystusa Pana, chcąc jej wyrwać głęboką tajemnicę, trzeba zapuszczać z większą ostrożnością — albo nie kusić się w ogóle o rozstrzyganie tajemnic, które w pewnej mierze będą zawsze zakryte przed oczyma ludzi śmiertelnych. Autor biografii Chrystusa Pana znajduje się nieraz w podobnym położeniu. Lepiej będzie, gdy wtedy zamilknie —

niż żeby starał się o wyjaśnienie za wszelką cenę.

2. Epizod o godach w Kanie Galilejskiej (Jan II) zawiera tzw. *crux interpretum*, która dotąd nie stała się, mimo wszystkich tłumaczeń, jasna. W tych wypadkach nie pozostaje nic innego, jak stwierdziwszy stan rzeczy pozostawić problem otwarty i nie tłumaczyć go dalej. Ricciotti w paragrafach 281—284 zajmuje się tą sceną. Bardzo dobre i trafne są jego uwagi o ówczesnych zwyczajach weselnych itd. i doskonale jest przedstawione tło wydarzenia i bliższe jego okoliczności. Ale chodzi właśnie znów o ową trudność, jaką nastrocza sam tekst. Bo w którejś chwili zwraca się Najśw. Panna do Pana Jezusa ze słowami: „Wina nie mają. I rzekł jej Jezus: Cóż mnie i tobie, niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina moja.“

Kto czyta te słowa, może rozumieć je tylko w ten sposób, że Pan Jezus odmawia swej matce spełnienia cudu, którego się ona domaga. Tymczasem według dalszych słów ewangelii zwraca się Matka Boska bezpośrednio potem do sług polecając im: „Uczyńcie, cokolwiek wam powiem!“ A następnie Chrystus Pan rzeczywiście zamienia wodę w wino.

Ricciotti zna różne tłumaczenia tego tekstu i podaje je w dopisku (s. 303). Lecz nie wystarczają mu one i dlatego podaje swoje własne rozstrzygnięcia. Twierdzi mianowicie, że „rozmowa między Maryją i Jezusem nie urywa się na tym. Jej najważniejsze słowa nie zostały nigdy wypowiedziane ustami, jedynie przekazane wzrokiem... Maryja w owej milczącej rozmowie, która nastąpiła po ustnej wymianie zdań, nabrała pewności, że Syn spełni jej prośbę...“ Autor nasz zapędza się chyba za daleko w swej chęci tłumaczenia sytuacji w Kanie Galilejskiej. Bo cóż odpowiedzieć na to, że „najważniejsze słowa nie zostały nigdy wypowiedziane ustami, jedynie przekazane wzrokiem?“ Ewangelista nie upoważnia w niczym

do robienia takiego wniosku — a Ricciotti domyśla się go samowolnie. Nie miejsce tu, aby zapuszczać się w długie wywody dotyczące tej *crux interpretum*; nie przekonałyby one jednak wszystkich. Osobiście wolę jednak tłumaczenie Willama, przypominającego arabskie „malek“ jako odpowiednik greckich słów „cóż mnie i tobie?“ Bo chociaż nie można twierdzić z całą pewnością, że takie tłumaczenie jest jedynie trafne, to nie odstępuje ono jednak od tekstu i nie zapuszcza się w krainę fantazji.

Biograf chciał rozwiązać pewną trudność, ale czy postąpił właściwie z tekstem? Czy wnioski jego i jego psychologiczne tłumaczenie tak Najśw. Maryi Panny, jak Chrystusa Pana są trafne? A jednak pada stąd snop światła na umysłowość Matki Bożej i na postawę Pana Jezusa. Jeżeli biograf myli się w swej interpretacji, to także wnioski jego będą błędne. Ricciotti, nie mogąc ominąć tego szkopułu, każe nam ciemne i trudne słowa tłumaczyć mimiką, o której tekst nic nie wspomina. A jednak nie chodzi tu o rozbiór jakiegoś dramatu czy powieści; lecz o inspirowane słowo Boże, które ma dla nas przecież inną wagę, a którego na domysł naginać nie wolno.

3. Niekiedy znów odnosi się wrażenie, że Ricciotti przesłizguje się przez trudności zamiast je rozwiązywać. W paragrafie 287, gdzie mowa jest o wypędzeniu kupujących ze świątyni, powiada tekst, że po tym cudzie zbliżyło się kilku Żydów do Pana Jezusa z zapytaniem: „*Jaki znak dasz nam na dowód, że masz prawo to czynić?*“ W odpowiedzi padają słowa Chrystusa Pana: „*Zburzcie tę świątynię, a ja w trzy dni ją odbuduję.*“ Żądanie znaku w tej chwili jest bardzo znamienne. Wypędzenie kilkudziesięciotysięcznej rzeszy z podwórza świątynnego zrobiło na hierarchach wielkie wrażenie. Wszystkim było jasne, że nie stało się to zwykłą siłą przyrodzoną. A uzasadnienie,

jakie Chrystus Pan dał na swe postępowanie, musiało znaleźć uznanie u wszystkich: „*Nie czynicie domu Ojca mego domem targowiska.*“ Czyż w głowach starszyny powstała już wtedy myśl, że ten władny człowiek to oczekiwany Mesjasz? Wszyscy widzieli wielki znak-cud, którego dokonał. Znak ten powinien ich być przekonać. Jeżeli więc żądają od Chrystusa Pana nowego znaku, mianowicie takiego, który oni naznaczą, to jest to oczywiście złą wolą, na którą im Pan Jezus odpowiada tajemniczą zapowiedzią swego zmartwychwstania — zapowiedzią, której ani oni, ani nikt inny w tej chwili zrozumieć nie mógł. Zmartwychwstanie Pańskie powinno było ich wreszcie przekonać — oczywiście pod warunkiem, że starczy im wtedy na ten znak dobrej woli.

Ricciotti nie odkrywa całego mechanizmu psychologicznego, którego poznanie dopiero łączy właściwie i konsekwentnie zdania ewangelisty. A o to zrozumienie przecież chodzi, aby pojąć postępowanie Zbawiciela wobec ludzi, z którymi się stykał, a którzy rozbijali się o Jego osobę na dwa przeciwne sobie obozy.

4. Powiązania, jakie Ricciotti proponuje dla zrozumienia rozmowy Chrystusa Pana z Nikodemem (Jan III), znów nie są przekonywujące. W rozmowie tej idzie Nikodemowi widocznie o odpowiedź na pytanie, co czynić należy, aby dostać się do królestwa Bożego. Dopiero z tego punktu wyjściowego zrozumieć można skrót rozmowy, podany w Ewangelii św. Jana. Tłumaczenie Ricciottiego rwie się i potrzebuje sztucznego oparcia o powiedzenia, których nie chciałoby się brać na serio. Bo nasz autor pisze np: „*A choć Nikodem udaje nierozgarniętego, jest w rzeczywistości bystrzejszy, niżby się na pozór wydawało*“ itd. Takim sposobem wchodzimy już w krainę fantasmagorii i dowolności, które przywodzą na pamięć niektóre apokryfy — lecz które

nie mogą mieć nic wspólnego ze świętym tekstem.

5. W przypowieści o „przewrotnym włodarzu“, który przewidując, że go pan przepędzi za popełnione nieuczciwości, a który chcąc sobie zwerbować na czarne dni przyjaciół darowuje — co prawda, z kieszeni swego pana — część pieniędzy jego dłużnikom — chce Chrystus Pan pouczyć ludzi o konieczności roztropności, o zdobywaniu sobie nagrody w niebie. Chrześcijanin winien tak mądrze, tak wytrwale, jak ów włodarz myśleć o przyszłości — wieczności i ją sobie przygotować, gotując sobie przyjaciół w niebie przez jałmużnę udzielaną ubogim.

Ricciotti natomiast dopatruje się w tej paraboli nauki o „wyrzeczeniu się bogactw, które dowodzi roztropności...“ (par. 470). Nie dość wyraźnie rozgranicza także Ricciotti elementy formalne rodzaju literackiego, jakim jest parabola, od zawartej w niej nauki. Włodarz paraboli oszukuje i okrada swego pana — i tego Chrystus Pan nie chwali; pierwsi słuchacze Zbawiciela rozumieli go dobrze. Chwali natomiast dbałość włodarza o swą przyszłość — i to stawia nam za przykład. Zupełnie wypada z kontekstu zdanie naszego autora, że „*pan ów miał widać poczucie humoru i umiał podchodzić do trudności życiowych z wielkopańską niedbalością*“, ponieważ pochwalił nieuczciwego włodarza, że roztropnie uczynił. Takie zdanie może mimo woli umocnić w czytelniku wrażenie, że Chrystus Pan pochwała albo nawet zaleca jakiegoś rodzaju nieuczciwość — co jest najzupełniej niezgodne z parabolą i znaczeniem tego rodzaju literackiego.

Podobnych zaostrzeń można by jeszcze dużo przytoczyć. Relacja o procesie Pana Jezusa, na przykład, pozostawia wiele niejasności. Lecz te przykłady, które podałem, wystarczą, aby zwrócić uwagę na trudności, jakie stają przed biografem Pana Jezusa, który, bądź co bądź, odważa się na wielką rzecz: bo na autorytatywny osąd osoby i nauki Zbawiciela. Nie wspomniałem, albo przynajmniej nie rozprawiałem szerzej innych trudności, które wynikają ze szczególnego charakteru literackiego synoptycznych ewangelii i z innych problemów, które stawia sobie czwarta Ewangelia. Cokolwiek by powiedziano, każdy autor życiorysu Chrystusa Pana musi decydować się na pewne dowolności i zadowolić się w niejednym wypadku samym prawdopodobieństwem, aby dalej snuć swą opowieść: bo ewangelie same nie podają mu zawsze wystarczającego wątku do biografii, jaką podjął się napisać.

Książka Ricciottiego jest, mimo wszelkich zastrzeżeń, bardzo pięknym osiągnięciem. Autor potrafił w mistrzowski sposób rozmięścić w swym dziele tłumaczenia i wyjaśnienia, które są rezultatem żmudnych badań i wielkiej nauki; a podał je w sposób jasny i zrozumiały dla każdego. Są w tej książce partie przepiękne, które pogłębia wiedzę biblijną czytelnika i zapala go do pilnego czytania ewangelii, będących przecież źródłem tej biograficznej opowieści. A zbliżenie dzisiejszego człowieka do słowa Bożego i zaprawienie go do lepszego zrozumienia ewangelii jest zbożnym czynem, którego dokonał Ricciotti w swym *Życiu Jezusa Chrystusa*.

Ks. Seweryn Kowalski

KOMENTARZ DO KARTY NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

1. GOODRICH L. M. and HAMBRO E. — *Charter of the United Nations. Commentary and Documents*. World Peace Foundation. Boston 1946, str. 413. (Cytowane w tekście jako: I).

2. GOODRICH L. M. and HAMBRO E. — *Commentaire de la Charte des Nations Unies*. Edition française établie par André-Marie Guynat et revue par Edvard Hambro. Histoire et Société d'aujourd'hui. Editions de la Boconnière. Neuchatel 1946, str. 421.

3. GOODRICH L. M. and HAMBRO E. *Charter of the United Nations. Commentary and Documents*. Second and revised edition. London. Stevens and Sens Limited 1949, str. 710. (Cytowane w tekście jako: II).

W roku bieżącym upływa dziesiąta rocznica od dnia podpisania Karty Narodów Zjednoczonych (26 czerwca 1945 r.). Wydaje się rzeczą pożądaną, aby naświetlić treść pierwszego, a jednocześnie najczęściej używanego komentarza do Karty NZ. Komentarz ten napisało dwóch autorów — Amerykanin L. M. Goodrich i Norweg E. Hambro.

Powyższe zestawienie trzech wydań tego samego komentarza prowadzi do interesujących wyników. Aby je osiągnąć, trzeba przezwyciężyć pewne trudności, które wynikają przede wszystkim z ilości stron tych komentarzy. Te półtora tysiąca stron trzeba zbadać techniką niejako „śledczą“, bo autorzy dokonywali zmian w tłumaczeniu i w drugim wydaniu w sposób, który utrudnia wyszukanie tych zmian. Dodatkową trudność stanowi subtelność dokonywanych zmian. Wystarczy na dowód tej subtelności przytoczyć fakt, że zmiany wyrażają się niejednokrotnie w takim „drobiazgu“, jak zamienienie czasu teraźniejszego w pierwszym wydaniu na czas przeszły w drugim wydaniu. Z punktu widzenia zarówno prawniczego, jak i politycznego taka zamiana czasu ma często istotne znaczenie. Wszystkie te zmiany spowodują się do wielu dziesiątek zauważonych poważnych różnic między dwoma wydaniem angielskimi tego komentarza. Szczupłe ramy niniejszego omówienia nie pozwalają na przedstawienie szczegółowej analizy, stąd z konieczności zachodzi potrzeba dokonywania uogólnień. Te uogólnienia poparte są przytoczeniem przykładów, które pozwalają ustalić, jakie tendencje ma interesujący nas tutaj komentarz do Karty NZ.

Na wstępie należy zwrócić uwagę na rodzaj materiału, który dopełnia pierwsze wydanie komentarza. Można sformułować wniosek, że autorzy położyli w zakresie dopełnień większy nacisk na o p r a c o w a n i a c h niż na dokumentach ONZ. Zamiast więc cyfr dokumentów ONZ spotykamy w odsyłaczach do dopełnień przeważnie nazwiska czołowych międzynarodowców amerykańskich i innych, zaangażowanych równocześnie w walce politycznej. Nie można więc mieć wątpliwości, czy ten sposób rewizji komentarza w drugim wydaniu jest właściwy. Z takiego systemu pracy autorów wynikają ważne konsekwencje.

Przede wszystkim wyłania się zagadnienie — n a c z y m ten komentarz jest właściwie zbudowany? Pierwsze jego wydanie oparte było głównie na pracach przygotowawczych do Karty NZ (dokumentacja konferencji w San Francisco), na komentarzach do Paktu Ligi Narodów oraz na teorii i praktyce prawa międzynarodowego. Należałoby zatem oczekiwać, że drugie wydanie tego komentarza — stanowić będzie syntezę ogromnej ilości materiałów sprawozdawczych z prac wszystkich organów ONZ, a zwłaszcza z prac Rady Bezpieczeństwa. Tak jednak nie jest, gdyż w drugim wydaniu wysuwają się na czoło opracowania, a nie źródłowa dokumentacja (w załącznikach do drugiego wydania opuszczono nawet umowę jałtańską). Tym samym p r a w n i c z a wartość tego komentarza jest zachwiana. Wystarczy wskazać na jeden istotny fakt. Jednym z najbardziej pasjonujących zagadnień prawniczych w ONZ jest odpowiedź na pytanie, co jest sporem, a co sytuacją. Jest to zagadnienie o wielkiej doniosłości dla praktyki w Radzie Bezpieczeństwa. Dotąd żaden komentarz tego problemu wyraźnie nie postawił. Wprawdzie w pierwszym wydaniu znajduje się próba, która zmierza do rozróżnienia sporu od sytuacji (I, s.

138—139). Próba ta związana jest z objaśnieniem do art. 32 Karty NZ — lecz podane tutaj wiadomości są niedostateczne. W drugim wydaniu ten rozdział jest zupełnie opuszczony w komentarzu do art. 32 Karty NZ (II, s. 236) i cała ta sprawa została przeniesiona do objaśnień związanych z art. 35 § 1 Karty NZ (II, s. 249). Komentarz z poprzedniego wydania jest w tym zakresie przepracowany i bardzo skrócony. Rzecz wymowna, że nie podano ani jednej wskazówki interpretacyjnej w postaci stanów faktycznych, związanych z zagadnieniem spór-sytuacja. Warto zaznaczyć, że w pracach Rady Bezpieczeństwa to zagadnienie przewijało się niezliczoną ilość razy. Wywoływało ono zawsze interesujące dyskusje prawnicze, które znajdujemy w protokołach z posiedzeń Rady Bezpieczeństwa. Ani jeden fragment z tych dyskusji nie został uznany za godny wprowadzenia, bodaj w postaci ilustracji do komentarza.

Po tych uwagach wstępnych należy przejść do zagadnień szczegółowych.

I. I n t e r p r e t a c j a K a r t y NZ. Pierwsze wydanie komentarza zawiera w części ogólnej rozdział poświęcony interpretacji Karty NZ (I, s. 48—49). Rozwinięta tam jest myśl, że Karta NZ jest czymś w rodzaju konstytucji i należy stosować do niej zasady interpretacyjne, stosowane wobec konstytucji. Karta NZ nie jest więc traktowana jako zwykła umowa wielostronna i nie może podlegać, według tego komentarza, wszystkim normalnie stosowanym zasadom interpretacji, które dotyczą umów międzynarodowych. Autorzy podkreślili jednak, że taka postawa nie wyklucza możliwości „liberalnego interpretowania“ postanowień Karty. Ze szczególnym naciskiem podkreślają oni wartość prac przygotowawczych dla celów interpretacji Karty NZ. Wydanie francuskie komentarza z 1946 roku opuszcza ten rozdział w zupełności. W drugim wydaniu ten

rozdział został opuszczony w części ogólnej i przeniesiony z dużymi zmianami do części szczegółowej, jako materiał wyjaśniający art. 111 Karty (II, s. 547—557). Zagadnienie interpretacji Karty NZ zostało tutaj przesunięte z płaszczyzny interpretacji aktu prawnego na płaszczyznę możliwych kolizji na wypadek różnic interpretacyjnych, jakie mogą powstać w ramach prac różnych organów ONZ. Troska autorów sprowadza się więc do tego, ażeby poprzez rozbieżną interpretację postanowień Karty NZ „*nie mogło przypadkiem dojść do przebudowy zwyczajowego prawa międzynarodowego*“. Podkreślają oni, że różne akty konstytucyjne współczesnych organizacji międzynarodowych zawierają wskazówki dotyczące interpretacji tych aktów konstytucyjnych. Karta NZ nie zawiera takich postanowień. Autorzy nie rozbudowują tego zagadnienia w oparciu o rezolucję Ogólnego Zgromadzenia, powziętą podczas drugiej sesji, stwierdzającą, że interpretacja Karty NZ winna być oparta na powszechnie uznanym prawie międzynarodowym, a wszelkie wątpliwości w tym zakresie winny być rozstrzygane przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości (opinie doradcze). W sposób mglisty natomiast zaznaczają autorzy, że interpretacja Karty jest w równym stopniu funkcją polityczną jak i prawną, że wskutek tego należy ją pozostawić różnym organom ONZ, czyli państwom, które ta interpretacja ma wiązać. Autorzy odwołują się tutaj do prac przygotowawczych (San Francisco). Ogólna tendencja drugiego wydania zmierza w zakresie interpretacji Karty do zaciemnienia tego, co zresztą nigdy nie było jasne w tym komentarzu. Można wskazać kilka innych przykładów. Wartość prawna wstępu do Karty NZ nie wymaga dodatkowych wyjaśnień. Komentarz w pierwszym wydaniu nie zawiera uwag ogólnych na ten temat (I, s. 53). Natomiast w drugim wydaniu

autorzy doczepili zdanie stwierdzające, że wstęp do Karty NZ stanowi zwyczajową część umowy międzynarodowej (II, s. 87). To zdanie, wtrącone przy okazji omawiania wartości prawnej wstępu, przesuwca całe zagadnienie interpretacji Karty NZ na płaszczyznę, z której autorzy sami starają się je sprowadzić. To samo zjawisko znajduje swój wyraz w innym jeszcze szczególe. W drugim wydaniu opuszczona jest ta część komentarza z pierwszego wydania, która określa wstęp do Karty NZ jako pion ideologiczny i polityczny, będący podstawą do naświetlenia wszystkich postanowień Karty NZ (II, s. 88—89). Można wykazać wielką liczbę wątpliwości interpretacyjnych w drugim wydaniu komentarza. Autorzy podkreślają np., że słowo „narody“ jest użyte w komentarzu „*w sensie nie-technicznym*“ (II, s. 90). Nie określają bliżej, co to znaczy, nie określają, jaki jest normalny sens pojęcia naród, nie określają, jaki jest jego sens techniczny, nie określają wreszcie, jaki jest sens nie-techniczny tego określenia. W innym miejscu nie mogą autorzy zharmonizować takich pojęć, jak sprawiedliwość — poszanowanie prawa międzynarodowego (II, s. 90). Oto kilka przykładów szczególnie jaskrawych wątpliwości interpretacyjnych. Autorzy starają się wybrnąć z tych trudności przez żywe nawiązywanie do praktyki Ligi Narodów. Wprowadzili nawet w tym celu tytuł *Podobieństwo do systemu Ligi Narodów* — którego nie było w pierwszym wydaniu (II, s. 21). Nie wiadomo, czy wskutek tego nawrotu do analogii między ONZ a Ligą Narodów ta pierwsza coś straci, czy ta druga coś zyska, chociażby w postaci naprawy swej reputacji.

II. C e l e i z a s a d y O N Z.
W sposób szczególnie jaskrawy występuje dowolność interpretacyjna autorów na tle komentarza do art. 2 Karty NZ. Termin „*suwerenna równość*“ starali się autorzy wyjaśnić w pierw-

szym wydaniu, gdzie poświęcili temu zagadnieniu specjalny rozdziałek (I, s. 65—66). Drugie wydanie przenosi ten rozdziałek w skład wyjaśnień poświęconych suwerenności. Rozdziałek specjalny ulega więc likwidacji, a sam termin „suwerenna równość” pozostaje bez precyzyjnego wyjaśnienia (II, s. 99—101). Analiza obu elementów składowych tego terminu wykazuje podobną ewolucję. Początkowo autorzy zajmują bez wahania stanowisko klasycznej tezy o suwerenności państwa i uważają, że Karta NZ jest całkowicie zharmonizowana z tak pojętą suwerennością (I, s. 64—65). Dopiero później autorzy wyrażają ubolewanie z powodu braku miejsca na wyczerpujące omówienie suwerenności, piszą o suwerenności wewnętrznej i zewnętrznej oraz podkreślają, że zobowiązania wynikające z Karty NZ nie naruszają suwerenności państw (II, s. 99—100). Równość państw uważają autorzy za konsekwencję suwerenności. Rozróżniają równość wobec prawa od równości praw i stwierdzają, że Karta NZ stoi również na tym stanowisku (I, s. 65). Ilustracją do tego jest materiał zawarty w art. 27 Karty NZ (głosowanie w Radzie Bezpieczeństwa). W drugim wydaniu komentarza autorzy nie nawiązują już wyraźnie do art. 27 Karty NZ, ilustrują jedynie to zagadnienie ogólnikowo materiałem z rozdziału VII Karty NZ (II, s. 100). W podobny sposób potraktowana jest inna zasada — mianowicie zasada poszanowania politycznej niezależności i terytorialnej integralności państw. Co się tyczy politycznej niezależności państwa — autorzy odsyłają do prac Ligi Narodów, w których nic rewelacyjnego na ten temat nie można znaleźć. To samo dotyczy pseudo-wyjaśnień w zakresie integralności terytorialnej państwa (II, s. 104—105). W zakresie obu tych zagadnień nic się dla autorów nie zmieniło od czasów Ligi Narodów. Występuje jedna tylko zmiana — w drugim

wydaniu komentarza opuszcza się zwrot zawarty w pierwszym wydaniu (I, s. 66), że art. 2 § 4 Karty NZ stanowi „kardynalną zasadę całej Organizacji” (II, s. 102). Wymowa tego opuszczenia jest duża. Podobnie wyraźną wymowę posiada fragment komentarza do art. 2 § 4 wprowadzony w drugim wydaniu, a zatytułowany *Prawo do samoobrony i cele ONZ* (II, s. 105—107). Jest to prawdopodobnie element przygotowawczy do trzeciego wydania komentarza, w którym zapewne w tym miejscu pojawi się cała problematyka prawnicza Paktu Północno-Atlantyckiego. Wskazuje na to drobna okoliczność, że właśnie tutaj autorzy zamieszczają odsyłacz do art. 51 Karty NZ. Obiektywnie trzeba podkreślić, że na razie, w drugim wydaniu, autorzy sami uważają to zagadnienie za dość niejasne. W ramach komentarza do art. 2 Karty NZ należy jeszcze zwrócić uwagę na wyjaśnienia, związane z § 7 odnośnie tzw. kompetencji wewnętrznej państwa (sprawy, którymi ONZ nie ma prawa się zajmować). Wydanie drugie komentarza ogromnie rozszerza historię tego paragrafu i poświęca wiele uwagi terminowi „wewnętrzna kompetencja państwa”. Jest to wszakże materiał kronikarski o zabarwieniu politycznym, a nie prawniczym. Autorzy nie zadali sobie nawet trudu oczyszczenia terminologii, boć przecież zagadnienie wewnętrznej kompetencji państwa występuje jeszcze ciągle pod różnymi nazwami. W tym miejscu autorzy nie nawiązali również do prac Ligi Narodów i nie skomentowali różnicy między Kartą NZ a Paktem Ligi Narodów w zakresie tego zagadnienia.

III. Zagadnienie powszechności ONZ. Cz ł o n k o s t w o. W ramach komentarza do przepisów rozdziału II Karty NZ zasługuje na uwagę kilka zagadnień o charakterze zasadniczym dla całej Karty NZ. Przede wszystkim na uwagę zasługują próby wyjaśnienia definicji państwa w ujęciu

art. 3 Karty NZ. Początkowo autorzy uważali, że „*jest rzeczą zupełnie jasną... iż słowo państwo nie może być pojmowane w swym normalnym prawnym znaczeniu...*“ Nie wyjaśnili wszakże, w jakim znaczeniu należy to pojęcie pojmować w Karcie NZ. Ujawnili swoje poglądy drogą pośrednich opisów stwierdzając, że pod pojęciem państwa w Karcie NZ należy rozumieć „*wszelki twór polityczny, który w określonym czasie może pretendować do wyboru na członka ONZ*“ (I, s. 79). Później cała ta ekwilibrystyka z pojęciem państwa została zarzucona (II, s. 125), ale nie wprowadzono na jej miejsce żadnych konkretnych, wyraźnych i jasnych sformułowań. Pojęcie państwa rozważane jest w związku z nabywaniem członkostwa ONZ. Warunki nabycia członkostwa są w pierwszym wydaniu bardzo skromnie skomentowane. Główna uwaga koncentruje się na warunku „*umiłowania pokoju*“ przez państwo kandydujące na członka ONZ (I, s. 80—82). Później te warunki członkostwa zostały ogromnie rozbudowane przez omówienie praktyki w tym zakresie (II, s. 12—137). Jednak wskutek rozszerzenia materiału ilustracyjnego ani jedno zagadnienie nie zostało jasnie przedstawione. W związku z art. 4 Karty NZ zajmują się również autorzy komentarza zagadnieniem powszechności ONZ. W pierwszym wydaniu wyjaśnienia od art. 4 Karty NZ poprzedzone są wstępem, który mówi o powszechności Organizacji i podstawach prawnych do osiągnięcia tej powszechności (I, s. 23; s. 80). W drugim wydaniu cały ten fragment komentarza został wypuszczony, co niewątpliwie zasługuje na uwagę. Jeszcze jedno zagadnienie wymaga, aby je podkreślić. W obu wydaniach komentarza wskazuje się (w części szczegółowej), iż veto ma zastosowanie przy przyjmowaniu nowych członków do ONZ. Różnica w tym zakresie występuje wszakże w części ogólnej komentarza. W pierw-

szym wydaniu mówi się w części ogólnej, że veto ma zastosowanie przy przyjmowaniu nowych członków (I, s. 23), natomiast w drugim wydaniu ten fragment został opuszczony (II, s. 23—24). Również art. 6 Karty NZ jest w rozmaity sposób komentowany w obu wydaniach. W pierwszym wydaniu jest on naświetlony zgodnie z tendencjami uniwersalistycznymi (I, s. 86). Natomiast w drugim wydaniu naświetlenia nacechowane są raczej odwrotem od uniwersalizmu (II, s. 142—145).

IV. G ł ó w n e o r g a n y O N Z.
W pierwszym wydaniu komentarza autorzy mieli poważne wątpliwości, czy organy wymienione w art. 7 Karty NZ można określić jako główne. Uważali, że raczej należałoby je nazwać pomocniczymi organami NZ (I, s. 90). W drugim wydaniu te wątpliwości uległy skreśleniu (II, s. 146). Przyczyną tego skreślenia można sobie łatwo wytłumaczyć tym, iż powstały z inicjatywy amerykańskiej tzw. Komitet Międzysesyjny, mający zastępować Zgromadzenie Ogólne, określany jest przez niektórych polityków z zachodu jako „*podstawowy organ pomocniczy*“. Przy okazji omawiania kompetencji głównych organów ONZ na tle rozważań nad art. 10 Karty NZ autorzy poruszają liczne stany faktyczne. Czynią to jednak w sposób opisowy, zręcznie zaciemniając konkluzje (II, s. 152—163). Niejasno przy tym określają, jakie sprawy należą do wyłącznej kompetencji Ogólnego Zgromadzenia, jakie zaś sprawy dzieli Ogólne Zgromadzenie z innymi organami, a zwłaszcza z Radą Bezpieczeństwa. Jedna linia komentatorska jest w zakresie kompetencji głównych organów ONZ jasno zarysowana. Jest to mianowicie tendencja do ograniczenia roli i kompetencji Rady Bezpieczeństwa. Występuje to szczególnie przy naświetlaniu art. 12 § 2 Karty NZ, w którym przewidziany jest obowiązek uzyskania przez Sekretarza Generalnego w pewnych okoliczno-

ciach zgody Rady Bezpieczeństwa. Rzecz jasna, że ta zgoda wymaga jednomyślności wszystkich stałych członków Rady Bezpieczeństwa (I, s. 101). To ostatnie zdanie zostało jednak skreślone bez żadnych dodatkowych wyjaśnień w drugim wydaniu komentarza (II, s. 174). Jest to jeszcze jeden dowód, jak łatwo pracuje się piórem, zwłaszcza gdy nim kierują wytyczne polityczne. Przy okazji omawiania art. 19 Karty NZ skreślone zostało zdanie zawarte w pierwszym wydaniu (I, s. 114), stwierdzające, że pewne skutki zalegania ze składkami na rzecz ONZ nie mogą dotknąć stałych członków Rady Bezpieczeństwa, gdyż korzystają oni ze specjalnych przywilejów. W drugim wydaniu komentarza to zdanie zostało skreślone (II, s. 191). Jedno z najbardziej charakterystycznych przeobrażeń w tym komentarzu dotyczy składu Rady Bezpieczeństwa. Omawiając art. 23 § 1 Karty NZ stwierdzają autorzy w pierwszym wydaniu, że stali członkowie Rady Bezpieczeństwa są tymi państwami, które należą uważać za najbardziej ważnych gwarantów bezpieczeństwa międzynarodowego — po czym wymienia się imiennie te pięć mocarstw (I, s. 117). W drugim wydaniu zaszła zmiana. Zachowując w zasadzie ten sam układ zdań, zamienili autorzy czas terażniejszy na czas przeszły — co w sumie dało zdanie, że pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa było najważniejszymi gwarantami bezpieczeństwa międzynarodowego. Imienne wyliczenie tych pięciu mocarstw zostało skreślone (II, s. 199). Ta zamiana czas terażniejszego na przeszły ma wyraz polityczny, bo przecież nie może jeszcze mieć żadnego wyrazu prawniczego. Wreszcie jeszcze jedna zmiana. W pierwszym wydaniu autorzy przewidują, że Rada Bezpieczeństwa zajmie czołową pozycję na odcinku władzy wykonawczej w ONZ (I, s. 28). W drugim wydaniu zwrot ten

ulega złagodzeniu, samo przewidywanie zostało skreślone. Autorzy nie potwierdzili, ani też nie zaprzeczyli swoim przewidywaniom z poprzedniego wydania, tylko po prostu je przekreślili (II, s. 28). Ta tendencja do komentarzowego ograniczenia uprawnień i pozycji Rady Bezpieczeństwa zyskuje na ostrości w zestawieniu z wyjaśnieniami do art. 22 Karty NZ w sprawie wspomnianego już tzw. Komitetu Międzysesyjnego. W pierwszym wydaniu komentarz do tego artykułu zawiera dosłownie trzy wiersze druku (I, s. 116). W drugim wydaniu komentarz do tego samego artykułu zawiera pięć i pół strony, z czego cztery i pół strony poświęcone jest wyłącznie Komitetowi Międzysesyjnemu, a jedna strona zawiera pobieżne streszczenie radzieckiej argumentacji przeciwko Komitetowi Międzysesyjnemu (II, s. 193—198).

V. S p r a w a r o z b r o j e n i a.
Jest to zagadnienie zasadnicze dla ONZ. W pierwszym wydaniu komentarza uważali autorzy, iż Liga Narodów oparta była na trzech podstawach: bezpieczeństwo — arbitraż — rozbrojenie. Te trzy podstawy w ONZ stanowią: bezpieczeństwo — pokojowe załatwianie sporów międzynarodowych — dobrobyt. Zdaniem więc autorów rozbrojenie zepchnięte zostało w Karcie NZ na podrzędną pozycję (I, s. 97). W drugim wydaniu powtarza się ten pogląd bez zmian (II, s. 165). Uzupełnia się to jedynie opisem zagadnienia rozbrojenia i regulacji zbrojeń w ONZ. Ten cały opis jest jednak sztucznym poszerzeniem tekstu komentarza o znane i powszechnie dostępne rezolucje Ogólnego Zgromadzenia, a więc najmniej interesujące formy walki o rozbrojenie. Brakuje w tym syntezy i konkluzji. W innym miejscu, tym razem już w drugim wydaniu, oświadczają autorzy wyraźnie, że w Karcie NZ — ich zdaniem — nacisk spoczywa na regulacji zbrojeń, a nie na ich redukcji (II, s. 210). Na tej samej stronie nawią-

zują oni do smutnej sławy tez francuskich z okresu Ligi Narodów, że bezpieczeństwo musi poprzedzić rozbrojenie (II, s. 210). Nie ma tego w pierwszym wydaniu. Doniosłe zagadnienie kontroli nad energią atomową potraktowane jest pobieżnie, tendencyjnie i bez wnikania w istotę rzeczy (II, s. 211—213).

VI. Ocena porozumień regionalnych. W pierwszym wydaniu autorzy szeroko naświetlają zagadnienie porozumień regionalnych zwłaszcza tych, które zawarte zostały przed konferencją w San Francisco. Uważają oni, iż Karta NZ uprzywilejowuje porozumienia regionalne. Nie odpowiadają wszakże na pytanie, czy to osłabi, czy też wzmocni system bezpieczeństwa, zorganizowany przez Kartę NZ (I, s. 36 — 38). W drugim wydaniu to wszystko jest pominięte milczeniem. Cały ten rozdział, poświęcony ocenie porozumień regionalnych, zastąpiony jest przez streszczenie rozdziału VII Karty NZ. Wnioski przedstawione w pierwszym wydaniu oraz pytania tam zawarte pominięte zostały milczeniem (II, s. 37). Komentując art. 52 § 1 Karty NZ uważali autorzy początkowo za wskazane dodać, że artykuł ten zawiera podstawową zasadę, iż porozumienia regionalne są dopuszczalne w ramach Karty NZ jedynie tak długo, jak długo są one zgodne z celami i zasadami ONZ (I, s. 182). Zdanie to zostało zupełnie pominięte w drugim wydaniu (II, s. 309). Nie wiadomo, dlaczego nagle to

zdanie straciło sens? Można tutaj zanotować jeszcze inne spostrzeżenia. W ramach komentarza do art. 52 §1 Karty NZ wymienia się w pierwszym wydaniu porozumienia regionalne oparte na podstawie wspólnoty geograficznej (I, s. 182 — 183). W drugim wydaniu te przykłady zostały pominięte milczeniem (II, s. 310). A więc kłopotliwa jest obecnie dla autorów podstawa geograficzna w porozumieniach regionalnych. Równocześnie jednak komentatorzy operują bezustannie podziałem Europy na zachodnią i wschodnią, pomawiając wschodnią część Europy o inicjatywę sprzeczną z Kartą NZ. Cały art. 52 i 53 Karty NZ komentowany jest więc pod kątem widzenia potrzeb Paktu Północno-Atlantyckiego (II, s. 314 — 317).

VII. Przyszłość ONZ. W pierwszym wydaniu komentarza znajduje się rozdział tak zatytułowany (I, s. 50). Ten rozdział nie zawierał wprawdzie zbyt różowych perspektyw rozwojowych, kończył się jednak trzeźwym wnioskiem, wyrażającym nadzieję, że wszyscy pragną takiej organizacji, ale trzeba na nią zapracować, gdyż nie spadnie ona z nieba jak manna. Francuskie wydanie komentarza pomija ten rozdział milczeniem. W drugim wydaniu angielskim rozdział ten został również opuszczony. Nie wiadomo, czy autorzy w ogóle nie widzą przyszłości dla ONZ, czy też tylko zmienili poglądy na tę przyszłość?

Alfons Klafkowski

PROTEST PRZECIWKO PRZYPISKOWI

W „Pamiętniku Literackim“ (R. XLV, z. 3-4, 1954) ukazała się ostatnio rozprawa S. Żółkiewskiego pt. *Rozwój badań literatury polskiej w latach 1944—1954*, która — i słusznie — wkracza w szereg dziedzin bliskich badaniom polskiej literatury, jak w dziedzinę teorii literatury, neofilologii, a nawet językoznawstwa. Otóż w tejże rozprawie (s. 388) znalazł się przypisek poświęcony tomowi I mojego *Wstępu do nauki o literaturze*. Treść tego przypisku domaga się nie dyskusji, ale protestu. Protestu przeciw zastosowanym w nim metodom krytycznym. Przeciw metodom niezgodnym z postawą uczonego, a już zwłaszcza uczonego, który z racji swego społecznego stanowiska musi być autorytetem naukowym.

Sensem tego przypisku jest odsądzenie książki „od czci i wiary“, jej likwidacja w opinii publicznej. Pomijam to, czy kilkunastozdaniowa napaść może być społecznie skuteczna i czy niejednego nie oburzy dysproporcją braku swej powagi w stosunku do dużego trudu twórczego, którego wykładnikiem jest książka. Idzie o rzecz — moim zdaniem — znacznie ważniejszą: o zasady metodyczne tej napaści i ich obiektywną wymowę.

Jest rzeczą oczywistą, że zarówno założenia, jak i konsekwentne wobec nich dowodzenia w mojej książce, może i zakres wysuniętej przez nią problematyki, wymagają dyskusji, wobec której — przypuszczam — niejedno się nie ostoja, niejedno będzie wymagać korektur i uzupełnień, co nie zmienia faktu, że na gruncie naszej nauki o literaturze nie ma ona precedensów w dziedzinie rozpatrzenia problematyki warsztatowo-artystycznej dla marksistowskich twierdzeń o dziele literackim, i że *avant la lettre* sformułowanych pod tym adresem postulatów, choćby w tejże rozprawie S. Żółkiewskiego, omawia szereg doniosłych zagadnień z tej dziedziny.

Zasadą metodyczną zastosowaną przez S. Żółkiewskiego dla zwalczania książki jest **p r z e i n a c z e n i e** faktów i **o d w r ó c e n i e** twierdzeń autorki o 180 stopni. S. Żółkiewski, nawet *wbrew expressis verbis* sformułowanym w książce twierdzeniom — zakłada, że autorka twierdzi coś wręcz przeciwnego, niż istotnie twierdzi — i swoją krytykę wali we w ł a s n ą f i k c j ę, którą opatruje nazwiskiem autorki. Dowody?

W jednym z pierwszych zdań swego przypisku S. Żółkiewski twierdzi, że inkryminowana książka zawiera „ogólne rozważania na temat typologii metod badań literackich...“ Odnosi się to zapewne do Rozdziału II pt.

Przedmiot i zadanie badań literackich w świetle różnych kierunków badania literackiego, który przynależy do Części I spośród trzech części tejże książki. Jest on konieczny ze względu na ustalenie treści pewnych pojęć, którymi wypadnie się posługiwać w toku dalszych wywodów.

Otóż ten rozdział nie stawia sobie za zadanie przeprowadzenia „typologii badań literackich”; nie zamierza dać ich systematyki. Autorka stwierdza to *expressis verbis* (s. 15—17), ukazując rozmaite możliwości potraktowania zagadnienia i decydując się na danie przeglądu w miejsce możliwej typologii czy systematyki. Nie wątpię, że S. Żółkiewski odróżnia typologię czy systematykę od przeglądu, i to przeglądu ograniczonego, wedle założeń autorki, do wybranych kierunków, a to wybranych ze względu na ich szczególne ciężenie na świadomości metodologicznej do niedawnych czasów. A zatem S. Żółkiewski wmawia opinii publicznej, że autorka dała w swej książce to, czego nie dała, czego dać nie zamierzała, czego wręcz dać nie chciała. Stwarza tym samym fikcję, buduje wiatraki, aby z nimi walczyć — kosztem konkretnego człowieka, autora książki.

Autorka decydując się na przegląd wybranych orientacji metodologicznych w ich, o ile to możliwe, kolejności czasowej, starała się określić każdą z nich wedle sposobu, w jaki ujmowała ona przedmiot badania, wedle zadań badawczych, jakie sobie stawiała — oraz starała się rozszyfrować jej sens ideologiczny. Czy scharakteryzowała je trafnie i czy oceniła je słusznie — to właśnie należy do krytyki. Do rzetelnej krytyki natomiast nie należy bicie w próżnię, wypełnioną własną fikcją krytyka.

Skoro już mowa o argumencie typologii i klasyfikacji, którym szermuje S. Żółkiewski bez żadnej — powtarzam — odnośności do książki pt. *Wstęp do nauki o literaturze, t. I*, warto go zapytać, co ma konkretnie na myśli twierdząc, że autorka „Postępuje tak, jakby w nauce nie istniała klasyfikacja kierunków światopoglądowych, jakby w ogóle nigdy nie rozważano związków między kierunkami światopoglądowymi a typami postępowania metodologicznego w nauce.” Odpowiedź przyda się jeśli nie mnie, to niejednemu z młodych. Co do mnie, znam szereg systemów klasyfikacyjnych, dotyczących czy to światopoglądów, czy typów postępowania metodologicznego w nauce, na których jednak bym się nie oparła ze względu na ich wymowę ideologiczną. Przyjęte w nich bowiem zasady podziału, stosowane konsekwentnie, prowadzą w rezultacie do zaszeregowania w jeden rząd systemu metodologicznego marksistowskiego obok innych systemów zasadniczo mu obcych i wrogich, z tym że między sobą nie różnią się one tak radykalnie w swym fundamencie ideologicznym. W ten sposób zostaje zatarty charakter przełomowy marksizmu, zniwelowana jego nowa jakość. To były względy, dla których zrezygnowałam w swojej książce z zastosowania, istotnie pojętej, którejkolwiek ze znanych mi klasyfikacji—na rzecz skromnego przeglądu. Być może jednak, że istnieje jakaś naprawdę z wszelkich względów zadowalająca klasyfikacja, której po prostu nie znam. Prosiłabym o informację, nie wątpiąc, że S. Żółkiewski nie ma na myśli żadnej spod znaku neopozytywizmu, od którego się przecież odzegnał, wycofując się z dawniejszych zaleceń pod tym względem (np. *Potrzeby metodologii nauk humanistycznych w Polsce*, „Zag. Lit.”, dawn. „Życie Lit.” 1946, z. I).

S. Żółkiewski jest konsekwentny w swojej „linii bojowej“ i w swojej metodzie stwarzania fikcji twierdzeń autorki. Sugeruje, że autorka stoi na stanowisku „trwałych składników strukturalnych dzieła literackiego“. Tę insynuację muszę odeprzeć z oburzeniem na podstawie własnych twierdzeń w książce i na podstawie jej wymowy obiektywnej. Przytoczonym zdaniem stara się S. Żółkiewski „wpakować“ stanowisko autorki w ramy strukturalizmu, sprzecznego z podstawowymi marksistowskimi twierdzeniami o dziele literackim. Tymczasem autorka przeciwstawia się *expressis verbis* pojęciu „struktur statycznych“ (por. na s. 70 ustęp zatytułowany: *Rozwójowa zmienność struktury*) — i stara się w całej swojej książce dać wyraz zmienności struktury pod naciskiem rzeczywistości historycznej. Takie ujęcie rzeczy stanowi podstawowy aspekt jej książki. Posługiwanie się pojęciem struktury i elementu strukturalnego nie wynika z tego, że uprawniała do tego dyskusja na ten temat i że jawi się ono w języku niejednego z badaczy marksistów, lecz dlatego, że w dziele literackim musi mieć jakiś — w szerokich ramach — swój faktyczny, względnie trwały odpowiednik takie np. o nim twierdzenie, odnośne przecież do każdego dzieła literackiego, jak twierdzenie, że stanowi ono twórcze i kierunkowe odbicie rzeczywistości. Trzeba tutaj usiłować myśleć dialektycznie; bez tego niczego nie przeciwstawimy stanowiskom amarksistowskim, chroniącym się za tarczą „nienagannej poprawności logicznej“. Albo idzie nam przede wszystkim o rzecz, albo przede wszystkim o formę. A kłopoty, które stąd wynikają, zna bardzo dobrze S. Żółkiewski, skoro mówi o nich w tejże rozprawie.

Do ataku na poglądy autorki mobilizuje S. Żółkiewski jej stanowisko w sprawie tzw. kategorii estetycznych. Sprawa jest istotnie ważka. Chyba nie jest tajne S. Żółkiewskiemu, że jedną z metod — i to metod podstawowych — walki z realizmem i jego obiektywną wymową bywało błąkające się po dziś dzień twierdzenie, że realizm nie jest formą artystyczną. G. Simmel np. stawiał sprawę: albo realizm, albo sztuka. Toteż nasza walka o realizm musi iść defensywnie i ofensywnie w tym kierunku, aby wykazywać, że realizm w swych rezultatach jest także formą artystyczną, i to najwyższą formą artystyczną, a ponadto, że on właśnie — przy pełnej wierności dla swoich założeń (trafne odbicie obiektywnej rzeczywistości) — dysponuje, jak żadna inna metoda twórcza, największą ilością sposobów artystycznego kształtowania i uzyskanych nimi efektów. W wyniku tak postawionego zagadnienia trzeba było stanąć oko w oko ze sprawą tzw. kategorii estetycznych, chociaż jest to sprawa trudna — i najwygodniej byłoby ją pominąć. Czy jednak licowałoby to z sumieniem uczonego?

Sprawa tzw. kategorii estetycznych ciągnie się, jak wiadomo, od antyku po dziś dzień. Na gruncie estetyki burżuazyjnej patronowały jej głównie dwie intencje badawcze: opisu „rzeczy“ na podstawie ciasnych ram tekstów (orientacja formalistyczna) i wyjaśnienia jej na podstawie „analizy“ przeżyć autora czy odbiorcy (orientacja psychologiczna). Orientację psychologiczną reprezentuje J. Volkelt, dominujący nad innymi ogromem tomu, który tej sprawie poświęcił. S. Żółkiewski twierdzi: „Autorka np. wyróżnia — za cytowanymi jako niewzruszone autorytety dawno przekonywającą krytykowanymi estetykami XIX w. typu Volkelta — rzekome, ahistoryczne zasady organizacji dzieła, jak wniosłość, śliczność, humor, charakterystyczność“. Jest to znów n i e p r a w d a. Autorka się od nich odcina i to

expressis verbis. Jeśli idzie o jej stosunek do inkryminowanego jej J. Volkelta, powiada: „Postawienie ... i rozwiązanie tych spraw nie zadawała nas wskutek psychologicznego ujęcia, ważącego na zasadzie podziału“ (s. 156). A chyba autor omawianego przypisku odróżnia zgodę autora na całokształt poglądów jakiegoś badacza od wymowy wykazania go w przypiskach do szczegółowych rozpatrzeń, czego brak byłby niesłuszny wobec dziejów zagadnienia, a czasem prostą kradzieżą czyichś twierdzeń szczegółowych.

Skoro S. Żółkiewski już wdaje się w sąd o tych sprawach — powinien był zauważyć próbę nowego ich postawienia przez autorkę. A mianowicie jej założenie, że organizacja artystyczna literackiego obrazu po linii poszczególnych tzw. kategorii estetycznych może być zgodna lub może nie być zgodna z założeniami realizmu, w zależności od tego, czy artysta odpowiednio uwypukla obiektywne rysy i wartości rzeczywistości, czy też jej przedstawieniu pewne rysy i wartości narzuca. Oczywiście autorka może się mylić w samym postawieniu zagadnienia; może je źle rozwiązywać; może niewłaściwie wybierać omawiane typy tzw. kategorii estetycznych z ich notowanego dotychczas szeregu; może źle je charakteryzować i źle oceniać ich dzisiejszą przydatność. I to właśnie powinno być kwestią krytyki, krytyki zastąpionej w przypisku głosownym stwierdzeniem o ahistorycznym wprowadzeniu zagadnienia.

Jeśli S. Żółkiewski orientuje się w dotychczasowej problematyce tzw. kategorii estetycznych — to dobrze wie, z jakich względów nie wolno było dzisiejszemu badaczowi uchylić się przed wymienieniem tzw. kategorii charakterystyczności. Już inną rzeczą jest trafność jej postawienia w mojej książce; niezależnie, oczywiście, od S. Żółkiewskiego mam w tym względzie poważniejsze wątpliwości i uważam, że przydałaby się dyskusja i w tej mierze. Wtedy, gdy tę rzecz ujmowałam, zdawało mi się, że o charakterystyczności poszczególnych zjawisk można tylko mówić w oparciu o wiedzę o rzeczywistości, a więc o prawa nią rządzące, czyli że nie można się tutaj nie zetknąć, zwłaszcza dla zjawisk społeczno-historycznych, z zagadnieniem typowości, z zagadnieniem ciągle dyskutowanym i krystalizującym tak cenne dla sprawy charakterystyczności propozycje, jak np. ostatnio w książce A. I. Rebiakina *Problema tipicznosti w chudożestvennoi literature* (1954). Czy mówiąc o charakterystyczności jakiegoś zjawiska mamy na myśli siłę wymowy jego typowości, czy indywidualną precyzację jego elementów strukturalnych, czy wreszcie jego właściwości przypadkowe — oto jest otwarte pytanie, bynajmniej nie zabawne, jeśli się zna wszystkie z nim związane trudności. I — sądzę — raczej na plus trzeba policzyć autorowi, nawet wobec jego ew. błędów — to, że śmiało sięga po nowe, byle usprawiedliwione założeniem, zagadnieniem, że nie ogranicza się do powielania w polskim języku stwierdzeń obcych. Wydaje mi się — powiedziawszy nawiasem — że się u nas zbyt często bije w najpiękniejszą ambicję nauki radzieckiej, w jej ambicję twórczego bodźca, redukując ją do roli dogmatycznych orzeczeń — wbrew jej własnej woli.

Dalej powiada w swoim przypisku S. Żółkiewski: „Ogólnie mówiąc główną logiczną wadą teoretyzowań autorki jest niewywracalność jej twierdzeń. W swoim daleko posuniętym eklektyzmie, pragnąc pogodzić zbyt wiele aż nadto wykluczających się systemów, nie określiła ram swego własnego systemu. W ten sposób nie podała warunków, w których jej tezy

będą prawdziwe. Nie spełniony został przeto podstawowy rygor logicznej poprawności sformułowania wszelkiej teorii."

Przyznam się, że nie rozumiem, co praktycznie mają oznaczać powyższe zdania w języku marksisty. Szkoda, że autor swojego stanowiska nie poparł przykładem. Nie zdaje mi się, aby zalecenia S. Żółkiewskiego miały swój konkretny odpowiednik w jakimkolwiek wykładzie marksistowskiego systemu teorii literatury. Nie spotkałam się u żadnego z teoretyków marksistów (łącznie z H. Markiewiczem, którego przecież S. Żółkiewski uważa za najwybitniejszego teoretyka literatury w krajach demokracji ludowej) z „wywracalnością“ twierdzeń w imię „podstawowego rygoru poprawności sformułowania wszelkiej teorii“. I nie wyobrażam sobie takich „logicznych“ operacji bez nadwyższenia ideologicznego sensu i dynamiki tychże twierdzeń. Proszę mojego krytyka, aby np. „podał warunki, w których nie będzie prawdziwa“ podstawowa teza marksistowskiej teorii literatury, teza, że literatura jest twórczym i kierunkowym odbiciem rzeczywistości. A przecież jest to podstawowa teza i w mojej książce, teza, z której — w toku wywodów — wyciągam różne konsekwencje. Co tu jest — w imię, oczywiście, marksizmu — do „wywracania“?

To by były mniej więcej wszystkie szczegółowe zarzuty S. Żółkiewskiego przeciw mojej dużej książce. Zarzuty te zostały podporządkowane zarzutowi centralnemu: zarzutowi eklektyzmu. Dynamika tego pojęcia ma pod piórem S. Żółkiewskiego wymowę druzgocącą.

A przecież sprawa nie jest prosta i wymaga, chyba nie tylko moim zdaniem, gruntownego przemyślenia, idącego nawet znacznie dalej niż mój własny sąd o tej sprawie, wyrażony w książce. Eklektyzmem nazwiemy chyba dla naszych w tej chwili potrzeb mechaniczną sumę zebranych razem twierdzeń, przynależnych do różnych systemów myślowych, wraz z odpowiadającymi im narzędziami badawczymi. Podkreślam mechaniczną sumę jako rys istotny eklektyzmu, nie to, że pewien system myślowy o wyraźnej dynamice ideologicznej powołuje w orbitę obchodzących go zagadnień pewne zagadnienia, już gdzie indziej stawiane, czy sięga po jedno z narzędzi, już dawniej wypróbowanych. Takie postępowanie byłoby dziecinstwem spod znaku powiedzenia: „na złość mojej mamie niech mi uszy zmarzną“, pustą pogonią za „oryginalnością“; nie licowałoby z rzeczywistością i odpowiedzialnością marksistowskiej nauki za jej udział w walce o przyszły świat. Wszyscy zresztą wiemy, że tak sprawy nie stawia ideologia marksistowska. Wręcz przeciwnie — przypomina, że proletariatus jest prawym dziedzicem wszelkich wartościowych osiągnięć przeszłości — wszelkich, dodajmy, słuszných i przydatnych narzędzi działania. Rozwiązaniu tej sprawy przydaje nie byle jaki problem: problem przełomowości kultury proletariackiej i — równocześnie — problem — ciągłości kultury. I znów praktyczne rozwiązanie tych spraw dla potrzeb metodologii marksistowskich badań literackich — wymaga myślenia dialektycznego. W jego imię przejmujemy nawet od badaczy ideologicznie obcych i wrogich trafne ich sądy szczegółowe, co więcej: niekiedy zespoły takich sądów, wyprujemy je z ich dotychczasowej funkcji ideologicznej, a włączymy w nowe zespoły sądów o nowej funkcji ideologicznej, twórczo je tym samym precyzując i rozwijając. Czyli zneutralizujemy ich dawną funkcję klasową i zaprzagniemy je, w nowych zespołach funkcyjnych, do nowej ideologicznej służby. To nie jest nasz wynalazek. W ten

sposób zawsze — i na gruncie sztuki i na gruncie nauki o niej — postępować bojowo nowatorstwo w stosunku do tego, z czym walczyło. Nie tak dawno starałam się pokazać technikę tego procesu na szczególnie wdzięcznym temacie, jakim jest walka dramatu romantycznego z tragedią klasyczną (*Wiktor Hugo jako teoretyk dramatu*, „Pam. Teatr.“ 1952). — Otóż przy takim postawieniu zagadnienia jest rzeczą jasną, że w orbicie problematyki badań marksistowskich znajdzie się niejeden problem, uwzględniany już przez inne kierunki; że do dyspozycji badacza marksisty stanie niejeden „zabieg“ metodyczny, znany z arsenału innych systemów badawczych. Znajdzie się jednak w nowej roli, w nowym zespole, bo w nowej funkcji ideologicznej. A zatem, co miał na myśli S. Żółkiewski piorunując na mnie w imię eklektyzmu? Czy chodziło mu o mechaniczną całość, czy też o fakt obecności „starych rzeczy“ w nowym zespole funkcyjnym? Jeśli idzie o ten drugi typ „eklektyzmu“ — jestem dumna, że go zastosowała. Niejedno wartościowe się uratowało — i służy teraz nam.

Kończąc sprawę niefortunnego przypiska S. Żółkiewskiego raz jeszcze wnoszę przeciw zastosowanym w nim metodom krytycznym i przeciw sensowi społecznemu, którego jest wyrazem — najenergiczniejszy protest. Protestuję przeciw przeinaczaniu twierdzeń krytykowanego autora, protestuję przeciw niedomyślanemu zagadnieniu, protestuję przeciw załamywaniu linii kryteriów marksistowskich. Protestuję przeciw wrogiej wymowie, z gruntu ahumanistycznej, przypiska, dobrej może w czasach „pogardy człowieka“, natomiast absolutnie nie licującej z postawą socjalistyczną. Protestuję także w imieniu praktycznych skutków, jakie pociąga dla pracownika nauki miarodajna — z racji zajmowanego stanowiska — opinia S. Żółkiewskiego (PAN, Komisja Kwalifikacyjna, Ministerstwo). Taka opinia nieoparta na przeczytaniu osądanego materiału, na poważniejszej znajomości zagadnień, lekkomyślna — decyduje o krzywdzie człowieka. Spotykam się z taką opinią ze strony S. Żółkiewskiego nie po raz pierwszy, więc znam jej skutki z własnej, isticie groteskowej, sytuacji. Trzeba skończyć z tego rodzaju błędami jednostek, które przez niechętnych bywają przerzucane na karb samych podstaw naszej rzeczywistości.

Sprawa przypiska i moja osobista sprawa jest jednak tylko wycinkiem, niestety, sprawy znacznie szerszej, żywo obchodzącej naszą wiedzę o literaturze i ideowe drogi naszej kultury. Daje jej wyraz sprawozdawcza rozprawa S. Żółkiewskiego, zawierająca ów przypisek, rozprawa pt. *Rozwój badań literatury polskiej w latach 1944—1955*. Budzi ona poważną obawę z racji krytycznego postępowania autora, którego słowo winno być przecież autorytatywne naukowo, społecznie, ideologicznie, czy wyraża się nią istotnie troska o rozwój badań literackich, czy idzie w niej o rzetelny obraz podbojów w dziesięcioleciu myśli marksistowskiej, czy idzie w niej naprawdę o obraz naukowych osiągnięć w zakresie wiedzy o literaturze w naszej rzeczywistości dążącej do socjalizmu. Każdy, kto ją odczyta, musi odnieść wrażenie, że głos sprawozdawczy S. Żółkiewskiego z wyżyn Polskiej Akademii Nauk, a więc instytucji narodowej, służy raczej chwale i dobru pewnej grupy ludzi i ambicjom jednego ośrodka, niż chwale polskiej nauki w dziesięcioleciu i trosce o jej rozwój na jak najszerszych torach w przyszłości. Przykłady rzucają się w oczy. Wybierzmy z nich tylko dwa. S. Żółkiewski czyni wypad w kierunku neofilologii. Uwzględnia jednak z tej dziedziny tylko dorobek ludzi związanych ze

środowiskiem IBL-u. Uwzględnia go bardzo szczegółowo, sięgając nawet do drobnych artykułów i do wstępów do tłumaczeń autorów obcych. Natomiast nie uwzględnia poważnych, rewizjonistycznych, marksistowskich rozpraw tych badaczy, którzy nie należą do wybranej grupy. Daje to naturalnie krzywy obraz osiągnięć polskiej nauki w tej dziedzinie. Jak dalece krzywy — wystarczy zestawzić np. to, co zostało dokonane odnośnie do twórczości W. Hugo, z tym, co uwzględnia sprawozdawca. — Podobnie ma się rzecz z badaniami nad funkcją artystyczną języka. Tak się złożyło, że niejedno zostało dokonane poza Instytutem Badań Literackich. Tymczasem rozprawa sprawozdawcza S. Żółkiewskiego sugeruje, że nie ma osiągnąć w tej dziedzinie poza tym, co dali pracownicy IBL-u. A zatem istnieje w dziedzinach uwzględnionych w tej rozprawie szereg rzetelnych osiągnięć naukowych, które leżą poza ewidencją i oceną. Uderza przy tym to, że dotyczy to rozpraw, którym nie lub niewiele można by zarzucić z punktu widzenia metodologicznego. „Nieswoi“ nie istnieją, gdy sprawiają się dobrze. Bo istnieją, „mocno“ istnieją, w rozprawie wtedy, gdy można w nich bić.

Zupełnie inaczej rzecz się ma w odniesieniu do „swoich“. Ich prace, nawet książkowe, gdy nie są metodologicznie zadowalające, zostają pominięte, mniej udałe, atakowane już dawniej przez krytykę „z zewnątrz“, wybielane, udałe czy mniej więcej udałe, traktowane jako rewelacje naukowe. Nikt nie kwestionuje zasług IBL-u jako środowiska, które w pierwszych latach po wyzwoleniu zainicjowało badania marksistowskie. Być może nawet, że z tego tytułu grupka ludzi, niegdyś pionierska, ma i dzisiaj nawet prawo do niejakiich „forów“. Natomiast z tego prawa nie wynika, by ta grupka była traktowana — wbrew prawdzie — jako jedyna grupa reprezentująca marksistowskie badania literackie, jako jedynie zasłużona dla konkretnych osiągnięć naukowych. Trudno taką rzecz ludziom wmówić; jest tajemnicą poliszynela i spora ilość potknięć, i pewna ilość imprez nieudanych w bilansie prac tej grupy. Nie można przecież gołosłownie wywyższać jednych kosztem drugich. Przemilczać prawdę, aby tylko jedni wystąpili jako jedynie zasłużeni; nie można tak rzeczy przedstawić, aby osiągnięcia jednych występowały w pełnym blasku dzięki temu, że się przemilczaniem czy dysproporcjonalną krytyką likwiduje osiągnięcia innych.

Doraźnym owocem takiej polityki personalnej, jaka panuje w sprawozdawczej rozprawie S. Żółkiewskiego, jest to, że tylko na jednych, tych „swoich“, sypią się szaszczyty, splendory i honory — ponad miarę ich istotnych zasług, nominacje na fachowców w dziedzinach, w których fachowcami nie są lub są nimi w zbyt nikłej — porównawczo — mierze. A przecież i koń Kaliguli został swego czasu mianowany konsulem, co nie podwyższyło zapewne jego kwalifikacji. W konsekwencji taka polityka personalna *par force*, przeciw rzeczowym kwalifikacjom, prowadzi do zabicia szlachetnego, socjalistycznego współzawodnictwa w naukowej pracy, a dalej do niszczenia rywali w wiedzy, w pasji twórczej, w rzeczowych, naukowych osiągnięciach. W najgorszym razie do tzw. „wykańczania człowieka“, w lepszym(?) do niszczenia jego inicjatywy naukowej, do deptania jego osiągnięć, do podcinania placówki, na której działa, do odbierania mu tej placówki. Oczywiście takie przemienianie ni-

wy pracy naukowej w „dzikie pola“ harców indywidualnej polityki personalnej niesie szkodę badaniom literackim na dalszą metę. Hamuje możliwości rozwojowe polskiej nauki o literaturze na ich szerokim torze. W rezultacie nauka o literaturze pozostaje w tyle w stosunku do innych gałęzi nauki, rozwijających się prawidłowo i doprawdy wspaniale w Polsce Ludowej. Oczywiście błędy jednostkowej polityki i tutaj nie sięgają tak daleko, aby unicestwić konkretne fakty i przekreślić obiektywne wartości. Historia przywraca zawsze faktom ich właściwe miejsce i ich właściwy sens. Ale błędy mogą opóźnić proces historyczny — i dlatego trzeba z nimi walczyć.

Polityka przemilczenia w rozprawie S. Żółkiewskiego tyczy, niestety, nie tylko jednostek, ale i całych środowisk. Nikt, kto by nie znał faktycznego stanu rzeczy, nie domyśliłby się po jej przeczytaniu, że w Polsce Ludowej istnieją i działają inne ośrodki naukowe poza IBL-em. A wydawałoby się, że opiekun „*ex officio*“ badań literackich powinienby być szczególnie wrażliwy na ich rozkwit, na ich trudności, na ich zwycięstwa i ich klęski w ośrodkach poza-stołecznych. Twórcza żywotność takich ośrodków stanowi przecież przedmiot dumy Polski dążącej do socjalizmu, Polski, która postawiła sobie za zadanie zdynamizowanie sił kulturotwórczych całego narodu, w całym kraju. Dla przykładu wymieńmy to, że w sprawozdawczej rozprawie S. Żółkiewskiego nie ma ani słowa o łódzkim środowisku badań literackich, którego organem jest rocznik „Prace Polonistyczne“. A przecież w ciągu dziesięciolecia ukazało się 9 roczników „Prac Polonistycznych“ (10-ty w opracowaniu). To jednak coś mówi o dorobku naukowym Łodzi, o nowych, lepszych w Polsce Ludowej możliwościach pracy naukowej na prowincji, o szlachetnym zapale konkretnej grupy ludzi. Tymczasem ogrom pracy konkretnego zespołu, ogrom wysiłku, ogrom entuzjazmu, ogrom energii włożonej w walkę o byt tego wydawnictwa — został skwitowany lekceważącym milczeniem. Czy tak się godzi? I czy to nie wykrzywia obrazu osiągnięć naukowych dziesięciolecia, czy ich nie umniejsza i nie obniża ich waloru?

Zle by świadczyło o naszej polskiej rzeczywistości na obecnym etapie historycznym, gdyby prawdziwa była treść sugestii rozprawy S. Żółkiewskiego, że marksizm „istnieje“ tylko w Instytucie Badań Literackich, że „uprawiają“ go tylko jego pracownicy czy ci, którzy są z nim jakoś powiązani. Tak, na szczęście, nie jest. Przy tym ani przynależność do IBL-u nie gwarantuje, jak wiemy chociażby z samej rozprawy S. Żółkiewskiego, nienaganności pracy badawczej, ani jej nie wyklucza — nieprzynależność do niego. System krytyczny S. Żółkiewskiego wydaje mi się nadto błędem politycznym także dlatego, że — pośrednio — zaprzecza dynamizmowi marksizmu przez sugestię, że marksizm w badaniach literackich „mieści się“ tylko w IBL-u. Przecież każdy, kto twórczo myśli kategoriami marksizmu, a nawet ten, kto usiłuje nimi myśleć, automatycznie powiększa obóz walki o socjalizm, deklaruje pośrednio przynależność do niego. Nie trzeba wmawiać opinii publicznej, że ten obóz jest mniejszy, niż jest on istotnie. Nie trzeba także nikogo od niego odtrącać — a odtrącaniem jest niewątpliwie niesłuszne i krzywdzące opiniowanie, dyskryminowanie *a limine*, nieprzymiślana napaść lub lekceważące milczenie.

Mam prawo przeciwstawić się metodom krytycznym S. Żółkiewskiego nie tylko z naturalnego prawa do obrony napadniętego człowieka; mam prawo i obowiązek przeciwstawić się społecznie szkodliwym skutkom systemu krytycznego S. Żółkiewskiego jako uczciwy obywatel, który dbać musi o to, aby w Polsce dążącej do socjalizmu było coraz lepiej, i aby — powtarzam — niechętnym nie dawano okazji do zaliczania błędów jednostek na konto samych podstaw naszej rzeczywistości.

Toteż niech moje słowa nie będą przez nikogo z reakcji w kraju czy za granicą poczytane za objaw „rozłamu“ w zwartym froncie naszej walki o socjalizm. Tyczą tylko błędów jednostek — a wszyscy je popełniamy — płyną z pozycji wewnętrznych i z troski o to, aby w Polsce Ludowej było coraz lepiej, by jej konkretne, rzeczowe osiągnięcia na każdym polu świadczyły o jedynie słusznej jej drodze w przyszłość. Niech każdy będzie pewien, że pomimo tej poważnej kontrowersji ze stanowiskiem S. Żółkiewskiego — tam, gdzie idzie o najważniejsze sprawy, tam, gdzie idzie o obóz pokoju i rewolucji, tam, gdzie idzie o ideowy sens Ogólnopolskiego Frontu Narodowego — stoimy ramię w ramię i idziemy ramię w ramię. A jeśli sprawę przypiska i sprawę, której jest ona, wycinkiem, przedstawiam publicznie, to dlatego, że uważam za rzecz politycznie szkodliwą, by je — jak się to dzieje obecnie — komentowano „po kątach“ i „kułuarowo“, by służyły za społeczny akumulator różnych niejasnych ideologicznie niechęci. Dlatego wreszcie, bo nie chciałabym, aby padała ona cieniem na Instytut Badań Literackich, którego przeszłe zasługi w pełni uznaję i którego niektóre niedawne osiągnięcia nepelniają mnie szczerą wdzięcznością.

Stefania Skwarczyńska

ERRATA

Do artykułu ks. Kazimierza Klósaka, zamieszczonego w nrze 2/3 — 1955 „Życia i Myśli“, wkradł się błąd, który niniejszym prostujemy:
str. 7, wiersz 29 od góry, ma być: $1 \leq x \leq 2$.



DO WSPÓŁPRACY REDAKCYJNEJ ZAPROSZENI ZOSTALI
POD PRZEWODNICTWEM prof. dr Z. WOJCIECHOWSKIEGO

Ks. dr E. DEBICKI, ks. prof. dr J. IWANICKI, W. KĘTRZYŃSKI, prof. dr A. KLAF-
KOWSKI, ks. prof. dr K. KLÓSAK, J. KOLENDO, A. KRASIŃSKI, prof. dr T. LEHR
SPLAWIŃSKI, K. LUBIŃSKI, ks. prof. dr M. MICHAŁSKI, prof. dr K. MORAWSKI,
ks. prof. dr M. MYRRHA, dr W. OSTROWSKI, ks. ST. OWCZAREK, ks. dr W. RADOSZ,
dr A. ROGALSKI, prof. dr J. SAJDAK, prof. dr T. SILNICKI, prof. dr ST. SKWAR-
CZYŃSKA, ks. dr J. SYKULSKI, prof. dr K. TYMIENIECKI, ks. prof. dr M. ŻYWCZYŃSKI

Redaktor Naczelny
JANINA KOLENDO

Redakcja i administracja „Życie i Myśl” — Warszawa, „Pax”, Mokotowska 43,
tel. 36011-15 — Konto PKO, W-wa 1-8515, — Oddział w Poznaniu: Górska 3.

Nakład 5 000 + 50 egz. Ark. papier sat. V, B-1-60. Zam. 1659. Druk zakończono
5.X.55 r. Zakł. Graf. „Prasa”, Al. Jerozolimskie 125 B-6-12156

„ŻYCIE I MYŚL” jest do nabycia.

W KIOSKACH PPK „RUCH”

W ODDZIAŁACH „SŁOWA POWSZECHNEGO”:

Białystok — Nowy Świat 4
Bydgoszcz — 3 września 6/4
Częstochowa — Waszyngtona 61 63
Gdańsk — Profesorska 17
Kielce — Mickiewicza 7
Koszalin — Zwycięstwa 29
Kraków — Krowoderska 68
Lublin — Dąbrowskiego 13
Łódź — Piotrkowska 83/2

Olsztyn — 22 Lipca 11
Opole — Książąt Opolskich 36 a
Poznań — Pl. Fr. Ratajczaka 45 a
Rzeszów — Jana Tkaczowa 11
Stalinogród — Sienkiewicza 8 b
Szczecin — M. Buczka 37/5
Tarnów — Wałowa 18
Wrocław — Podwale 75
Zielona Góra — Pl. Wielkopolsk. 1

W ODDZIAŁACH „VERITASU”:

Białystok — Dąbrowskiego 1
Bydgoszcz — 1 Maja 54
Częstochowa — 7 Kamienie 27
Giżycko — Mickiewicza 36
Kalisz — Garbarska 2
Kraków — Sławkowska 20
Lublin — Królewska 7
Łódź — Andrzeja Struga 14
Nowy Sącz — Św. Ducha 3
Opole — Katedralna 11
Olsztyn — 22 Lipca 11
Pabianice — Armii Czerwonej 27
Pelplin — Stalina 24
Poznań — Kantaka 10

Racibórz — Długa 39
Radom — Słowackiego 19
Rzeszów — Tkaczowa 11
Siedlce — Świerczewskiego 20
Sopot — Bieruta 7/9
Szczecin — W. Zieleniczyk 7
Świdnica — Nowotki 48
Tarnów — Krakowska 39
Toruń — Rynek Staromiejski 17
Warszawa — Rutkowskiego 13
Warszawa — Mokotowska 43
Wrocław — Katedralna 6
Zamość — Przybyszewskiego 3
Zielona Góra — Świerczewskiego 67

W BIURZE SPRZEDAŻY „PAXU” po wpłacie zł 7 na konto PKO I-8515
W-wa, ul. Mokotowska 43.

Zamówienia i wpłaty na prenumeratę należy zgłaszać w placówce pocztowej właściwego rejenu doręczeń, na terenie którego zamieszkuje prenumerator odbiorca, w terminie do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego. Prenumerata półroczna wynosi zł 21, roczna — zł 42.—

